

Młodzik

Fiodor Dostojewski



calibre 0.9.27

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie wytrzymałem więc i siadłem, żeby opisać tę historię mych pierwszych kroków w szrankach życia, mimo zew istocie mógłbym obejść się bez tego.

Jedno wiem na pewno: nigdy już więcej nie zasiądę do pisania autobiografii, choćbym nawet dożył

stu lat. Trzeba być zbyt podle zakochanym w sobie, żeby pisać bez wstydu o samym sobie. Tym tylko się usprawiedliwię, że piszę nie po to co wszyscy, to znaczy, nie zależy mi na pochwałach czytelników. Jeżeli nagle postanowiłem spisać słowo w słowo wszystko, co się ze mną zdarzyło od zeszłego roku, skłoniła mnie do tego wewnętrzna potrzeba: tak bardzo poraziło mnie to wszystko, co się stało. Spisuję tylko zdarzenia, unikając ze wszystkich sił spraw nieistotnych, a przede wszystkim literackich ozdób. Literat pisze przez trzydzieści lat i w końcu sam nie wie dlaczego pisał tak długo. Nie jestem literatem i być nim nie pragnę, a wywlekanie wnętrza mej duszy i piękne opiewanie uczuć dla potrzeb rynku literackiego uważam za nieprzyzwoitość i podłość.

Doznaję jednak przykrych przeczuć, że nie można obejść się zupełnie bez opisywania uczuć i bez rozmyślań (być może pospolitych), tak demoralizująco działa na człowieka wszelkie literackie zajęcia, chociażby przedsięwzięte wyłącznie dla siebie.

Rozmyślania zaś mogą być nawet bardzo pospolite ponieważ to, co samemu się ceni, może nie mieć żadnej wartości w oczach osoby postronnej.

Ale dość tego. Jednakże - oto i przedmowa. Niczego więcej tego rodzaju nie będzie. A więc do rzeczy, chociaż nie ma nic trudniejszego niż rozpoczęcie jakiejś sprawy, być może nawet każdej sprawy.

II

Zaczynam, to jest chciałbym zacząć wspomnienia od 19 września zeszłego roku, to znaczy akurat od tego dnia, kiedy po raz pierwszy spotkałem...

Ale objaśniać z góry, kiedy jeszcze nikt nic nie wie, kogo spotkałem, będzie pospolitością. Nawet, jak myślę, już i ten ton jest pospolity, dawszy sobie słowo unikać ozdób literackich, od pierwszego wiersza wpadam w te upiększenia. Poza tym nie wystarcza zdaje się samo pragnienie, aby pisać z sensem. Zaznaczę też, że jak się zdaje, w żadnym z europejskich języków nie jest tak trudno pisać, jak po rosyjsku. Przeczytałem teraz to, co przed chwilą napisał i widzę, że jestem o wiele mądrzejszy od tego co napisałem. Jak to się dzieje, że rzeczy wypowiedziane przez rozumnego człowieka są głębsze niż to, co w nim zostaje? Niejednokrotnie zauważyłem to u siebie i w moich rozmowach z ludźmi w ciągu tego ostatniego fatalnego roku i bardzo mnie to męczyło.

Choć więc zacznę od 19 września, wstawię jednak ze dwa słówka o tym, kim jestem, gdzie byłem poprzednio, a wobec tego, co mniej więcej mogłem mieć w głowie w ten ranek 19 września, aby wszystko było bardziej zrozumiałe dla czytelnika, a być może i dla mnie samego.

Ukończyłem gimnazjum i poszedł mi już rok dwudziesty pierwszy. Nazwisko moje Dołgorukij, a moim prawnym ojcem jest Makar Iwanowicz Dołgorukij, były sługa dworski panów Wiersiłowów.

Faktycznie pochodzę z nieprawego łoża i fakt ten nie podlega najmniejszej wątpliwości.

Odbyło się to w sposób następujący: dwadzieścia dwa lata temu dwudziestopięcioletni obywatel ziemski Wiersiłow (to jest właśnie mój ojciec) odwiedził swój majątek w Tulskiej guberni.

Przypuszczam, że w owym czasie był on jeszcze kimś bez określonej osobowości. Ciekawe, że człowiek ten, który wywarł na mnie silne wrażenie już w dzieciństwie, wpłynął na cały mój ustrój duchowy i nawet, być może, zaraził sobą całą moją przyszłość. Ten człowiek nawet teraz pod bardzo wieloma względami pozostaje dla mnie zupełną zagadką. Ale właściwie o tym potem. Tego opowiedzieć niepodobna. I bez tego cały mój zeszyt będzie wypełniony tym człowiekiem.

Właśnie w tym czasie, to jest około dwudziestego piątego roku życia owdowiał. Był zaś żonaty z osobą z wyższej sfery, lecz niezbyt bogatą, z domu Fanariotówną i miał z nią syna i córkę.

Wiadomości moje o tej małżonce, która go tak wcześnie opuściła, są dość niekompletne i gubią się w mej pamięci. Wiele też okoliczności z osobistego życia Wiersiłowa wymknęło mi się, tak bardzo był wobec mnie dumny, pyszny, zamknięty i lekceważący, mimo że chwilami traktował mnie z uderzającą pokorą.

Muszę jednak najpierw zaznaczyć, że w przeciągu swego życia przepuścił trzy fortuny i to nawet dość duże, na sumę przynajmniej czterystu tysięcy rubli, a bodaj i więcej. Teraz nie ma naturalnie ani kopiejki...

Przyjechał wówczas na wieś „Bóg wie po co” - przynajmniej tak się sam później w rozmowie ze mną wyraził. Jego małe dzieci jak zwykle były nie z nim, lecz pod opieką krewnych. Przez całe życie w ten sposób urządzał się ze swoimi dziećmi prawymi i nieprawymi. Ludzi dworskich było w tym majątku bardzo dużo. Między innymi był też ogrodnik Makar Iwanowicz Dołgorukij. Dodani tu, aby się tego raz na zawsze pozbyć, mało kogo tyle złościło własne nazwisko, niż mnie w ciągu całego życia. To było naturalnie głupie, ale tak już było. Ilekroć przyjmowano mnie gdziekolwiek do szkoły lub spotykałem się z osobami, którym ze względu na mój wiek byłem obowiązany dawać wyjaśnienia, jednym słowem, ktokolwiek bądź, każdy belfer, guwerner, inspektor, pop -

zapytawszy o nazwisko i usłyszawszy, że Dołgorukij, zazwyczaj widzieli potrzebę dodać:

- Książę Dołgorukij?

I za każdym razem zmuszony byłem wszystkim tym ludziom wyjaśniać:

- Nie, po prostu Dołgorukij.

To „po prostu” zaczęło mnie doprowadzać do szaleństwa. Zauważę przy tym, jako fenomen, że nie pamiętam ani jednego wyjątku, wszyscy pytali. Niektórym to zupełnie nie było potrzebne. Nie wiem nawet, do jakiego diabła potrzebne to jest komukolwiek. Ale wszyscy pytali, co do jednego.

Usłyszawszy, że jestem „po prostu” Dołgorukij, pytający zwykle mierzył mnie tępym i głupawo-obojętnym spojrzeniem, świadczącym, że sam nie wie, po co pytał i zwykle odchodził. Koledzy -

uczniowie pytali w sposób najbardziej obraźliwy. Uczniak jak pyta nowicjusza? Zagubiony i zakłopotany nowicjusz w pierwszym dniu w szkole (jaka by nie była szkoła) staje się ogólną ofiarą, starsi koledzy wydają mu polecenia, żartują z niego, obchodzą się z nim jak z lokajem. Zdrowy i tęgi chłopczysko nagle zatrzymuje się przed swoją ofiarą. Długim, surowym i pogardliwym spojrzeniem obserwuje ją przez kilka chwil. Nowicjusz stoi przed nim w milczeniu, spogląda z ukosa, jeśli nie jest tchórzem i czeka, co będzie.

- Jak się nazywasz?

- Dołgorukij. 1 - Książę Dołgorukij?

- Nie, po prostu Dołgorukij.

- A, po prostu! Głupiec.

I miał rację: nie ma nic głupszego, niż nazywać się Dołgorukij, nie będąc księciem. To głupstwo wlokę na sobie, będąc niewinny. Później, kiedy zaczynało mnie to mocno gniewać, na pytanie: jesteś księciem? Zawsze odpowiadałem: - Nie, jestem synem sługi dworskiego, byłego pańszczyźnianego.

Potem, kiedy złość mnie ogarniała w najwyższym stopniu, na pytanie, pan jest księciem? Pewnego razu odpowiedziałem twardo:

- Nie, po prostu Dołgorukij, nieprawdy syn mego dawnego dziedzica, pana Wiersiłowa.

Wymyśliłem to już w szóstej klasie gimnazjum i mimo że już wkrótce przekonałem się, że jest to nad wyraz głupie, lecz nie od razu przestałem popełniać głupstwa. Pamiętam, że jeden z nauczycieli - zresztą był tylko ten jeden - stwierdził, że wypełnia mnie „mściwa i obywatelska idea”. W ogóle koledzy przyjęli ten mój wybieg z pewnego rodzaju obraźliwym dla mnie zamyśleniem. W końcu jeden z kolegów, bardzo złośliwy pacan i z którym tylko raz jeden w ciągu roku rozmawiałem, z poważną miną, lecz nie patrząc mi w oczy, powiedział:

- Takie uczucia, kolego, przynoszą ci honor i oczywiście kolega ma czym się chlubić. Ale ja bym na miejscu kolegi nie chwalił bym się tak bardzo, że pochodzę z nieprawego łóża...

Odtąd przestałem się „chwalić”, że jestem nieprawy.

Powtarzam, bardzo ciężko jest pisać po rosyjsku. Zapisałem całe trzy stronice o tym, jak złościłem się przez całe życie z powodu nazwiska, a tymczasem czytelnik zapewne już wyciągnął wnioski, że złoścę się za to, że nie jestem księciem, a po prostu Dołgorukłj. Tłumaczyć się raz jeszcze i usprawiedliwiać byłoby zbyt poniżające.

IV

Kontynuując: w gronie tej służby, której było mnóstwo, oprócz Maka-ra Iwanowicza była jedna panna. Ukończyła lat osiemnaście, kiedy pięćdziesięcioletni Makar Dołgorukij nagle nabrał chęci, by się z nią ożenić. Związki małżeńskie służących, jak wiadomo, w czasach pańszczyźnianego prawa odbywały się z przyzwolenia panów, a nieraz na ich polecenie. W majątku przebywała wówczas pewna ciocia, to znaczy nie moja ciotka, ponieważ sama była dziedziczką. Nie wiem, dlaczego całe życie nazywano ją ciocią, tak w ogóle, podobnie jak i w rodzinie Wiersiłowa. Zdaje się, że była jego jakąś daleką krewną. To - Tatiana Pawłowna Prutkowa. Wtedy miała jeszcze w tej samej guberni i w tym powiecie trzydzieści pięć dusz pańszczyźnianych chłopów. Nie tyle zarządzała, co po sąsiedzku doglądała posiadłości Wiersiłowa (wielkości pięciuset dusz) i ten nadzór, jak słyszałem, wart był nadzoru jakiegoś edukowanego administratora. Zresztą nic mi do jej umiejętności. Chcę tylko dodać, odrzuciwszy na bok wszelką myśl o pochlebstwie i przypodobaniu się, że ta Tatiana Pawłowna była istotą szlachetną i nawet oryginalną.

Otóż, nie tylko nie stanęła na przeszkodzie wobec małżeńskich zamiarów ponurego Makara Dołgorukiego (mówiono, że był wówczas ponury), lecz przeciwnie, dla jakichś powodów wydatnie poparła je. Sofia Andriejewa (ta osiemnastoletnia dworka, to jest moja matka) była całkowitą sierotą już od wielu lat. Nieboszczyk zaś ojciec jej, niezmiernie szanujący Makara Dołgorukiego i czymś wobec niego zobowiązany, również sługa dworski, sześć lat przedtem, umierając, na łożu śmierci, mówił nawet, że na kwadrans przed oddaniem ostatniego tchnienia, tak że od biedy można to było wziąć za bredzenie, tym bardziej, że jako poddany pańszczyźniany nie miał do tego stosownych uprawnień, zawezwawszy Makara Dołgorukiego wobec całej czeladzi i w obecności kapłana zlecał mu na głos stanowczo, wskazując na córkę: „wychowaj ją i weź ją sobie za żonę”.

Wszyscy to słyszeli. Co się tyczy Makara Iwanowicza, to nie wiem, z jaką myślą on się potem zenił, to czy z wielkim zadowoleniem, czy tylko spełniając obowiązek. Najprawdopodobniej udawał obojętność. Był to człowiek, który wtedy już umiał „pokazać się”. Nie był wprawdzie ani rachmistrzem, ani nie znał pisma (choć znał wszystkie sprawy cerkiewne, a w szczególności żywoty niektórych świętych, ale to raczej ze słuchu), nie był też kimś w rodzaju, że się tak wyrażę, dworskiego rezonera, lecz po prostu był uparty, a czasem nawet zuchwały. Mówił z godnością, sądził arbitralnie i na koniec „żył

11

przyzwoicie” - według jego własnego dziwnego określenia, oto kim był w tym czasie. Naturalnie pozyskał ogólny szacunek, ale mówił też, że był dla wszystkich nieznośny. Inna rzecz, że kiedy opuścił służbę dworską, nikt inaczej go nie wspominał, jak jakiegoś świętego, który dużo wycierpiał. To wiem na pewno.

Co się tyczy mej matki, to do lat osiemnastu Tatiana Pawłowna, wbrew naleganiom rządcy, żeby oddać ją na naukę do Moskwy, trzymała ją przy sobie i dała pewne wychowanie, to znaczy nauczyła ją szycia, kroju, panieńskich manier a nawet czytania. Pisać znośnie nigdy moja matka nie umiała. W jej oczach małżeństwo z Makarem Iwanowiczem było już rzeczą dawno zdecydowaną i wszystko, co wtedy się z nią stało, uznała za doskonałe i najlepsze. Do ślubu poszła z największym spokojem, jaki

tylko można mieć w takich wypadkach, tak, że sama Tatiana Pawłowna nazwała ją wówczas rybą. To wszystko o ówczesnym usposobieniu mej matki usłyszałem od samej Tatiany Pawłowny. Wiersiłow przyjechał na wieś akurat w pół roku po tym ślubie.

Chcę tylko powiedzieć, że nigdy nie mogłem dowiedzieć się, ani dostatecznie domyśleć, od czego to się między nim a matką zaczęło. W zupełności gotów jestem wierzyć, jak on sam zapewniał

mnie zeszłego roku, z rumieńcem na twarzy, mimo że opowiadał o tym wszystkim swobodnie i dowcipnie, iż nie było w ogóle żadnego romansu, a wszystko stało się „tak jakoś”. Wierzę w to i to słówko rosyjskie „tak” - jest zachwycające. Jednak zawsze chciałem się dowiedzieć, jak to między nimi stać się mogło. Osobiście przez całe życie nienawidziłem i nienawidzę tych wszystkich świństw. Naturalnie nie jest to z mojej strony tylko bezwstydną ciekawość. Zaznaczam, że aż do zeszłego roku niemal zupełnie nie znałem mojej matki. Dla wygody Wiersiłowa od małego dziecka byłem oddany do obcych ludzi, o czym zresztą opowiem później i nie mogę sobie w żaden sposób wyobrazić, jaka ona mogła być w owym czasie. Jeśli bynajmniej nie była tak piękna, to czym w niej mógł się zachwycić taki człowiek, jak ówczesny Wiersiłow? Pytanie to dlatego jest dla mnie ważne, że w nim bardzo ciekawie zarysowuje się sylwetka tego człowieka. Dlatego pytam, a nie z pobudek perwersyjnych. Ten ponury i skryty człowiek z miłą prostotą, którą diabli wiedzą skąd brał (jakby wyciągał z kieszeni), zwłaszcza kiedy widział, że jest konieczna, sam mówił mi, że wówczas był bardzo „głupim młodym szczeniakiem”

12

i nie, żeby sentymentalnym, lecz „tak jakoś”. Tylko co był przeczytał „Antoniego Goremykę” i

„Polinkę Saks”, dwa utwory literackie, mające wielki, cywilizacyjny wpływ na ówczesne, podrastają-ce pokolenie nasze. Dodawał, że pod wpływem „Antona Goremyki” być może wtedy na wieś przyjechał - i dodawał to zupełnie poważnie. W jaki sposób mógł zacząć ten „głupi szczeniak”

z moją matką? Wyobraziłem sobie teraz, że gdybym miał choć jednego czytelnika, ten zapewne wyśmiał by mnie jak śmiesznego młodzika, który, zachowując swoją głupią niewinność, pcha się by roztrząsać i decydować, o czym nie ma najmniejszego pojęcia. Tak, rzeczywiście jeszcze nie mam pojęcia, choć przyznaję się nie pod wpływem dumy, ponieważ wiem, do jakiego stopnia głupi jest w takim dryblasie brak doświadczenia. Lecz powiem takiemu panu, że sam nie ma pojęcia i udowodnię to. Istotnie, na kobietach zupełnie się nie znam i nie chcę się znać, dlatego też całe życie będę gwizdać na nie i na to daję słowo. Lecz wiem na pewno, że niektóre kobiety urzekają urodą swą w jeden moment. Inne trzeba nieraz przez pół roku badać, zanim się pojmie, co w nich siedzi. I żeby przyjrzeć się takiej i zakochać się - mało patrzeć i mało być gotowym na cokolwiek, lecz trzeba mieć ponadto specjalne uzdolnienie. Jestem o tym przekonany, mimo że nic nie wiem, a jeśli jest inaczej, wtedy trzeba wszystkie kobiety sprowadzić do poziomu zwierząt domowych i w takiej tylko postaci trzymać je przy sobie. Być może wielu mężczyzn tylko o tym marzy. Wiem z kilku źródeł, że matka moja nie była piękną, choć portretu z tamtych lat, który gdzieś jest, nie widziałem. Od pierwszego spojrzenia nie można więc było w się niej zakochać. Wiersiłow mógł

wybrać inną i taka też była, jeszcze niezamężna, Anfisa Konstantinowna Sapożkowa, dziewczyna pokojowa. A człowiekowi, który przyjechał z „Antonem Goremyką” rujnować świętość związku

małżeńskiego, choć nawet u siebie we dworze, byłoby wstyd przed samym sobą, ponieważ, powtarzam, o tym „Antonie Goremyce” mówił zupełnie poważnie jeszcze kilka miesięcy temu.

Przecież Antonowi uprowadzono konia, a tu -żonę! Zaszło więc coś szczególnego, w związku z czym przegrała mademoiselle Sapożkowa (według mnie, wygrała). Zasypywałem go pytaniami raz i drugi zeszłego roku, kiedy można było z nim jeszcze rozmawiać (ponieważ nie zawsze można z nim było rozmawiać) i zauważyłem, że mimo jego światowości i dwudziestoletniego oddalenia, jakoś próbował się wykręcać. Lecz byłem uparty. Ze zniecierpliwieniem, na jakie niejednokrotnie sobie pozwalał w rozmowach ze mną, pewnego razu wybąkał jakoś dziwnie, że matka moja była taką osobą

13

„bezbroną”, którą nie tyle się kocha, może nawet wcale, a która jakoś wzbudza uczucie serdeczności, za łagodność, dokładnie trudno to określić, ale uczucie to trwa długo. Użalasz się nad nią i przywiążesz się... „Jednym słowem, mój drogi, nieraz bywa tak, że się i nie odwiążesz.” Oto, co mi powiedział. I jeśli było tak rzeczywiście, zmuszony jestem nie traktować go jako jakiegoś głupiego szczeniaka, za jakiego sam siebie wówczas uważał. Tego mi właśnie było trzeba.

Ponadto wówczas zaczął mnie zapewniać, że matka pokochała go przez „uniżoność”. Szkoda, że nie wymyślił, że z powodu pańszczyźnianego prawa! Zełgał dla szyku, zełgał na przekór sumieniu, na przekór czci i szlachetności.

Wszystko to opowiedziałem jakby na pochwałę mojej matki, a także już oświadczyłem, że jej, z tamtych lat, nie znałem zupełnie. Mało tego, właśnie znam dobrze ową nieprzekraczalność tego środowiska i tego żalosnego pojmovania, w jakim szcerstwiała od dzieciństwa i w którym pozostała potem na całe życie. Tym nie mniej stało się nieszczęście. Nawet muszę się poprawić.

Ulatując pod obłoki zapomniałem o fackie, który należałoby umieścić najpierw, a mianowicie, zaczęło się u nich wszystko wprost z „nieszczęścia”. (Mam nadzieję, że czytelnik pojmuje, o czym chcę powiedzieć.) Jednym słowem zaczęło się u nich po pańsku, mimo że została pominięta mademoiselle Sapożkowa. Lecz tu wtrączę i zawczasu ogłaszam, że zupełnie sobie nie przeczę.

Bowiem o czym, o Boże, o czym mógł rozmawiać w tym czasie taki człowiek jak Wiersiłow z taką o:sobą, jak moja matka nawet w wypadku nieprzewycięzonej miłości? Słyszałem od ludzi zepsutych, że bardzo często mężczyzna, spotykając się z kobietą, zaczyna w pełnym milczeniu, co naturalnie jest szczytem potworności i obrzydliwości. Niemniej jednak, gdyby nawet Wiersiłow chciał, to, zdaje się, nie mógłby z moją matką zacząć inaczej. Czyliż można było zacząć z nią od objaśniania „Polinki Sachs”? I poza tym, nie o literaturę rosyjską im chodziło. Przeciwnie, według jego własnych słów (raz się jakoś tak rozpędził) chowali się po kątach, czekali na siebie na schodach, odskakiwali jak piłki, z zarumienionymi policzkami, jeśli ktoś przechodził, a „tyrاندziedzic” drżał przed ostatnią pomywaczką mimo swego pańszczyźnianego prawa. Ale choć zaczęło się po pańsku, lecz ostatecznie wyszło niby tak, lecz nie tak i w rzeczywistości niczego nie daje się wytłumaczyć. Nawet przeciwnie, jeszcze większy mrok. Już choćby rozmiary, do jakich rozwinęła się ich miłość, stanowią zagadkę, ponieważ zwykle pierwszym warunkiem takich ludzi jak Wiersiłow jest porzucenie z chwilą osiągnięcia celu.

Jednakowoż nie tak to wyszło. Zgrzeszyć z ładniutką trzpiotką ze dworu (a moja matka nie była trzpiotką) dla rozpustnego „młodego szczeniaka” (a oni wszyscy co do jednego byli rozpustni i postępowcy, i reakcyjniści) było nie tylko możliwe, ale i nie do uniknięcia, szczególnie biorąc pod uwagę romantyczną sytuację i nieróbstwo młodego wdowca. Ale pokochać na całe życie - to zbyt dużo. Nie ręczę, że ją kochał, ale że ciągał ze sobą przez całe życie - to fakt.

Wiele pytań postawiłem, lecz najważniejszego nie ośmieliłem się wprost zadać mojej matce, mimo że tak bardzo zbliżyłem się do niej w zeszłym roku, a ponadto, jako brutalny i niewdzięczny szczeniak, mniemający, że zawiniono wobec niego, bynajmniej z nią się nie certoliłem. Chodzi o następujące pytanie. W jaki sposób ona, będąca od pół roku mężatką, przy tym przygnieciona wszystkimi wyobrażeniami o świętości małżeństwa, przygnieciona, jak bezsilna mucha, ona, która szanowała swego Makara Iwanowicza, nie mniej niż jakiegoś boga, jak mogła w ciągu jakichś dwóch tygodni pograć się w takim grzechu? Przecież moja matka nie była rozpustnicą.

Przeciwnie, powiem od razu z góry, że trudno sobie wyobrazić bardziej czystą duszę. Objąć by to można tym, że uczyniła to w zapomnieniu, nie w tym znaczeniu, jakie obecnie nadają adwokaci broniący zabójców i złodziei, lecz chodzi tu o silne wrażenie, które opanowuje pro-stoduszną ofiarę w sposób fatalny i tragiczny. Kto wie, może pokochała aż do śmierci... fason jego ubrania, paryski przedziałek włosów, jego francuski akcent, właśnie francuski, z którego ani dźwięku nie rozumiała, ów romans, który on śpiewał przy fortepianie, pokochała coś nigdy nie widzianego i nie słyszanego (a on był bardzo przystojny) i już całego pokochała aż do utraty sił, wraz z jego fasonami i romansami. Słyszałem, że z dziewczętami dworskimi zdarzało się to czasem w epoce prawa pańszczyźnianego i to właśnie z najuczciwszymi. Pojmuję to i podły jest ten, kto to tłumaczy tylko prawem pańszczyźnianym i poczuciem niższości! Tak więc mógł ten młody człowiek mieć w sobie tyle najprostszej i najbardziej ujmującej siły, aby zwabić na oczywistą zgubę tak czyste do tej pory stworzenie, a co najważniejsze, stworzenie zupełnie różne od siebie, z innej ziemi i innego świata?

Że na zgubę, to mam nadzieję i moja matka rozumiała przez całe życie; tyle tylko, że kiedy szła, to nie myślała zupełnie o zgubie. Ale to tak zawsze z tymi „bezbronnymi” - wiedzą, że zguba, ale pogrążają się.

Zgrzeszywszy, natychmiast okazali skruchę. Dowcipnie opowiadał mi, jak to płakał na ramieniu Makara Iwanowicza, którego umyślnie wezwał na ten wypadek do gabinetu, a ona - w tym czasie leżała gdzieś w zapomnieniu w swojej czeladnej komórce...

VI

Ale dość na temat znaków zapytania i skandalicznych szczegółów. Wiersilow, wykupiwszy moją matkę od Makara Iwanowicza, szybko wyjechał i odtąd, jak to wyżej wspomniałem, ciągał ją ze sobą niemal wszędzie, wyjąwszy te wypadki, kiedy rozłączał się na długo. Wtedy zostawiał ją najczęściej pod opieką ciotki, to znaczy Tatiany Pawłowny Prutkowej, która zawsze jakoś tak nawijała się pod rękę w takich wypadkach.

Mieszkali i w Moskwie, mieszkali po rozmaitych wsiach i miastach, nawet za granicą i na koniec w Petersburgu. O tym wszystkim później, albo nie warto wcale! Powiem tylko, że w rok po rozstaniu się mojej mamy z Makarem Iwanowiczem przyszedłem na świat, w rok później moja siostra, a potem jeszcze po dziesięciu czy jedenastu latach chorowity chłopczyk, mój młodszy brat, który umarł po kilku miesiącach. Wraz z męczącym porodem tego dziecka przeminęła uroda mojej matki, tak przynajmniej mi powiedziano, zaczęła starzeć się i cherlać.

Ale stosunki z Makarem Iwanowiczem mimo wszystko nigdy nie uległy przerwaniu. Gdziekolwiek znajdowali się Wiersilowowie, czy mieszkali na miejscu kilka lat, czy tylko przyjeżdżali, Makar Iwanowicz dawał o sobie znać „rodzinie”. Utworzyły się jakieś dziwne układy, po części uroczyste i niemal poważne. W pańskim bytowaniu do takich stosunków nieodzownie włączał się element komiczny, lecz tu się to nie wydarzyło. Listy były przysyłane dwa razy do roku, nie częściej i nie rzadziej i były nadzwyczajnie do siebie podobne. Widziałem je. Mało w nich czegoś osobistego, przeciwnie, o ile to możliwe wyłącznie tylko powiadomienia o najzwyczajniejszych uczuciach, jeżeli tak można powiedzieć -o uczuciach: zawiadomienia przede wszystkim o swoim zdrowiu, potem pytania o zdrowie, potem życzenia, uroczyste ukłony i błogosławieństwa - to wszystko.

Na tej właśnie zwykłości i bezosobowości polega, jak się zdaje, przyzwoitość tonu i wyższa znajomość zachowania się w tym środowisku. „Wielce miłej i szanownej małżonce naszej Sofii Andriejewnie przesyłam nasz najniższy pokłon. ...Kochanym dzieciom naszym przesyłam rodzicielskie błogosławieństwo, nienaruszalne na wieki.” Dzieci wszystkie były wzmiankowane po imieniu w miarę ich przybywania i ja między nimi. Zauważę tutaj, że Makar Iwanowicz był na tyle dowcipny, iż nigdy nie nazywał „wysoko urodzonego, najszanowniejszego pana Andrzeja Piotrowicza” swoim „dobroczyńcą”, mimo że przysyłał nieuchronnie w każdym piśmie swój najniższy pokłon, prosił o łaskawość, a także o zesłanie błogosławieństwa bożego.

Odpowiedzi Makaremu Iwanowiczowi moja matka wysyłała nie zwlekając i zawsze w tym samym guście. Naturalnie Wiersilow nie brał udziału w korespondencji. Makar Iwanowicz pisywał z różnych zakątków Rosji, z miast i klasztorów, w których długo niejednokrotnie przemieszkiwał.

Został tak zwanym pielgrzymem. Nigdy o nic nie prosił. Natomiast raz na trzy lata niezmiennie zjawiał się na dłuższy pobyt i zatrzymywał się wprost u matki, która - zawsze się tak zdarzało -

miała mieszkanie osobne, nie mieszkała z Wiersilowem. O tym wypada mi później opowiedzieć, tu tylko wspomnę, że Makar Iwanowicz nie rozwalał się po kanapach w salonie, lecz skromnie lokował się gdzieś za przepierzeniem. Przebywał niedługo: pięć dni, tydzień.

Zapomniałem powiedzieć, że strasznie lubił i szanował swoje nazwisko „Dołgorukij”. Ma się rozumieć - to zabawna głupota. Najgłupsze zaś to, jego nazwisko podobało mu się właśnie dlatego, że istnieją książęta Dołgorucy. Dziwne stanowisko, zupełnie do góry nogami. Jeśli nawet mówiłem, że cała rodzina była zawsze razem, to, rozumie się, oprócz mnie. Czułem się wyrzucony, ponieważ niemal od samego urodzenia umieszczano mnie u obcych ludzi. Lecz w tym nie było żadnego specjalnego zamysłu, po prostu jakoś tak wyszło. Po moim urodzeniu matka była jeszcze młoda i ładna, i widocznie memu rodowitemu ojcu potrzebna, a krzyczący dzieciak wszystkiemu przeszkadzał, szczególnie w podróży. Dlatego tak się stało, że do dwudziestego roku życia nie widywałem niemal zupełnie mojej matki, wyjąwszy dwa, trzy przelotne wypadki. Stało się to nie z powodu uczuć matki, ale przez pychę Wiersiłowa wobec ludzi.

Teraz zupełnie o czymś innym. Miesiąc temu, tj. miesiąc przed 19 września - postanowiłem w Moskwie wyrzec się ich wszystkich i odejść już ostatecznie do swojej idei. Umyślnie piszę te słowa: „odejść do swojej idei”, ponieważ to wyrażenie może określić prawie całkowicie moją główną myśl - to właśnie, po co żyję na świecie. Co to jest „moja idea”, o tym znacznie więcej opowiem później. Sprzyjało jej narodzinom osamotnienie podczas mego wieloletniego

rozmarzonego życia w Moskwie. Skryształizowała się we mnie już w szóstej klasie gimnazjum i od tego czasu chyba nawet na chwilę mnie nie opuszczała. Pochłonęła całe moje życie.

17

Jeszcze przed Moskwą żyłem w marzeniach, od wczesnego dzieciństwa żyłem w wymarzonym królestwie pewnego odcienia. Ale od chwili pojawienia się tej głównej i coraz bardziej pochłaniającej mnie idei, marzenia moje okrzepły i zarazem odlały się w pewną formę - z głupich stały się rozsądne. Gimnazjum nie przeszkadzało marzeniom, nie przeszkodziło też i idei. Dodam jednak, że kurs gimnazjalny kończyłem w ostatnim roku źle, podczas gdy do siódmej klasy byłem zawsze jednym z pierwszych uczniów. Wynikło to z tejże idei, z konsekwencji, być może błędnej, którą z niej wyprowadziłem.

W ten sposób, nie gimnazjum przeszkodziło idei, lecz idea - gimnazjum, podobnie jak i uniwersytetowi. Ukończywszy gimnazjum, natychmiast powziąłem zamiar nie tylko zerwać radykalnie ze wszystkim, lecz, jeśli trzeba, nawet z całym światem, mimo że miałem zaledwie dwadzieścia lat. Napisałem do kogo należy i przez kogo należy, do Petersburga, aby mnie ostatecznie pozostawiono w spokoju, nie przysyłano więcej pieniędzy na utrzymanie i - o ile to możliwe - aby o mnie w ogóle zapomniano (jeśli, ma się rozumieć, cokolwiek o mnie pamiętano) i w końcu - że na uniwersytet „za nic” nie wstąpię.

Miałem przed sobą nieunikniony dylemat, albo wyrzec się uniwersytetu i dalszego kształcenia się, albo odsunąć natychmiastowe praktyczne zastosowanie idei jeszcze na cztery lata. Bez wahania się opowiedziałem się za ideą, gdyż uzyskałem iście matematyczną pewność.

Wiersiłow, ojciec mój, którego widziałem wszystkiego raz w życiu, przez moment, kiedy miałem dziesięć lat (i który w ciągu tego jednego momentu zdążył mnie olśnić), Wiersiłow, w odpowiedzi na moje pismo, zresztą nie do niego posłane, sam wezwał mnie do Petersburga własnoręcznym listem, obiecując prywatną posadę. To wezwanie człowieka suchego i dumnego, w stosunku do mnie

wyniosłego i lekceważącego, a który do tego czasu, wydawszy mnie na świat i rzuciwszy między ludzi, nie tylko nie znał mnie zupełnie, ale nawet nigdy tego nie żałował (kto wie, może o samym moim istnieniu miał wyobrażenie mgliste, nieściśle, ponieważ później się okazało, że nawet pieniądze na moje utrzymanie w Moskwie nie on płacił, lecz inni), wezwanie tego człowieka, powiadam, który tak nagle sobie o mnie przypomniał i zaszczycił mnie własnoręcznym listem - to wezwanie, olśniewszy mnie, zdecydowało o moim losie. Dziwne mi się między innymi spodobało w jego liście (jedna mała stroniczka małego formatu), że ani słowem nie wspomniał o uniwersytecie, nie prosił o zmianę decyzji, nie robił wyrzutów, że nie chcę się uczyć - słowem nie stroił żadnych komedii rodzicielskich, jak to zwykle bywa, a tymczasem, to właśnie było złe z jego strony, w tym znaczeniu, że jeszcze bardziej zaznaczało jego lekceważenie mnie. Jeszcze i dlatego zdecydowałem się jechać, że to bynajmniej nie przeszkadzało memu głównemu marzeniu „zobaczę co będzie”, rozumowałem: „w każdym razie zwiążuję się z nimi tylko na czas być może najkrótszy. Lecz jak tylko zobaczę, że ten krok, chociaż i warunkowy i drobny, jednakże oddali mnie od

najważniejszego, to natychmiast z nimi zerwę, wszystko rzucę, ucieknę do mej skorupy”. Właśnie do skorupy! „Schowam się w niej, jak żółw”, porównanie to bardzo mi się spodobało. „Nie będę sam jeden” - rozmyślałem w dalszym ciągu, chodząc jak zaczadzony w ciągu tych ostatnich dni w Moskwie - „nigdy już teraz nie będę samotny, jak przez te wszystkie straszne lata. Będzie ze mną moja idea, której nigdy nie zdradzę, nawet gdyby mi się oni tam wszyscy spodobali i dali mi szczęście i gdybym przeżył z nimi nawet dziesięć lat!” To oto wrażenie, zaznaczą z góry, ta dwoistość moich planów i celów, która określiła się jeszcze w Moskwie i która nie opuszczała mnie ani na jedno mgnienie w Petersburgu, chociaż nie wiem, czy był choć jeden taki dzień w Petersburgu, którego nie wyznaczałem sobie naprzód, jako ostatecznego terminu, ażeby zerwać z nimi i odejść, ta dwoistość, mówię, była, zdaje się, jedną z głównych przyczyn moich licznych nieostrożności, popełnionych w ciągu roku; licznych podłości, wielu nędznych postępów i, naturalnie, głupstw.

Naturalnie, niespodzianie - pojawił się ojciec, którego nigdy przedtem nie było. Ta myśl upajała mnie przy pakowaniu się w Moskwie i w wagonie. Że ojciec, to nic jeszcze, czułości nie lubiłem, lecz ten człowiek znać mnie nie chciał i poniżył mnie, podczas gdy ja przez wszystkie te lata śniłem o nim tkliwie. Każde moje marzenie od wczesnego dzieciństwa było mu poświęcone.

Zaczynało się od niego i sprowadzało się do niego w ostatecznym rezultacie. Nie wiem, czy go nienawidziłem, czy kochałem - ale on wypełniał sobą całą moją przyszłość, wszystkie moje plany życiowe - i to stało się samo przez się, to szło jednocześnie z dorastaniem.

Na wyjazd mój z Moskwy wpłynęła jeszcze jedna potężna okoliczność, jedna pokusa, na myśl o której już wtedy, jeszcze na trzy miesiące przed wyjazdem (a więc kiedy jeszcze nawet wzmianki nie było o Petersburgu), serce mi rosło i biło! Ciągnęło mnie w ten nieznaną ocean jeszcze i dlatego, że mogłem wprost wejść weń jako pan i władca nawet obcych losów i to czyich! Ale kipiały we mnie szlachetne, niespoteczne uczucia - uprzedzam zawczasu aby nie było nieporozumień co do moich słów.

Ponadto Wiersiłow mógł sobie myśleć (jeżeli tylko raczył o mnie myśleć), że oto jedzie mały chłopczyk, były uczeń, wyrostek i dziwi się całemu światu. A ja tymczasem znalazłem już jego tajniki i

miałem przy sobie pierwszej wagi dokument, za który (teraz już wiem to na pewno) -

oddałby kilka lat swego życia, gdybym mu wtedy odkrył tę tajemnicę. Zresztą zauważam, że napakowałem zagadek. Bez faktów uczuć nie można opisać. Przy tym o tym wszystkim dość będzie mowy na właściwym miejscu, po to przecież chwyciłem za pióro. A takie pisanie wygląda na bredzenie lub bujanie w obłokach.

Na koniec, aby ostatecznie przejść do oznaczonej daty, powiem na razie pokrótce i, że się tak wyrażę, mimochodem, że zastałem ich wszystkich, to znaczy Wiersiłowa, matkę i siostrę moją (ostatnią zobaczyłem po raz pierwszy w życiu), w ciężkich warunkach, niemal w nędzy lub w przeddzień nędzy.

Wiedziałem o tym jeszcze w Moskwie, jednakże nie wyobrażałem sobie tego, co zobaczyłem.

Od dzieciństwa przywykłem wyobrazać sobie tego człowieka, tego „przyszłego mego ojca”, niemal w jakiejś aureoli i nie mogłem wyobrazić go sobie inaczej, niż wszędzie na pierwszym miejscu.

Nigdy Wiersiłow nie mieszkał z moją matką w jednym mieszkaniu, a zawsze wynajmował dla niej osobne. Naturalnie robił to z najpodlejszych względów „przyzwoitości”. Ale tu mieszkali wszyscy razem w jednej drewnianej oficynie, w zaułku w Siemionowskim pułku. Wszystkie rzeczy były już zastawione tak, że nawet oddałem matce, w sekrecie przed Wiersiłowem, moje tajemnicze sześćdziesiąt rubli. Właśnie tajemnicze, ponieważ były zaoszczędzone z moich kieszonkowych pieniędzy, z pięciu rubli na miesiąc w ciągu dwóch lat. Oszczędzanie zaś zaczęło się od pierwszego dnia „mojej idei”, a przeto Wiersiłow nie powinien był wiedzieć ani słowa o tych pieniądzach.

Drżałem o to.

Ta pomoc okazała się kroplą. Matka pracowała, siostra brała szycie. Wiersiłow próżnował, kaprysił i żył w dalszym ciągu z mnóstwem dawnych, dość drogie przyzwyczajęń. Zrządził strasznie, w szczególności przy obiedzie i cały jego sposób zachowania się był zupełnie despotyczny. Ale matka, siostra, Tatiana Pawłowna i cała rodzina nieboszczyka Andronikowa (pewnego zmarłego trzy miesiące temu wyższego urzędnika, który

20

jednocześnie kierował interesami Wiersiłowa), składająca się z niezliczonej liczby kobiet, korzyła się przed nim, jak przed fetyszem.

Nie mogłem tego pojąć, zaznaczę, że dziewięć lat temu wydał mi się o wiele bardziej wytworny.

Powiedziałem już, że pozostał w moich marzeniach, w jakiejś aureoli, a przeto nie mogłem sobie wyobrazić, jak można się było tak zestarzeć i zniszczyć zaledwie w ciągu dziewięciu lat

- zrobiło mi się naraz smutno, żal i wstyd. Spojrzenie na niego było jednym z najcięższych moich wrażeń po przyjeździe. Zresztą, nie był to jeszcze wcale starzec, miał wszystkiego czterdzieści pięć lat. Przyglądając się bliżej znalazłem w jego urodzie coś bardziej uderzającego, niż to, co pozostało

w moim wspomnieniu. Mniej ówczesnego blasku, mniej zewnętrżności, nawet

wykwintu, lecz życie jak gdyby wycisnęło na tej twarzy coś o wiele bardziej ciekawego niż dawniej.

Prócz tego, ubóstwo było zaledwie dziesiątą lub dwunastą częścią jego niepowodzeń, a ja aż nadto dobrze wiedziałem o tym. Poza ubóstwem było coś o wiele poważniejszego - nie mówiąc już o tym, że ciągle jeszcze była nadzieja wygrania procesu o spadek, który toczył się już cały rok między Wiersiłowem, a księżętami Sokolskimi, a z którego Wiersiłow mógł otrzymać w najbliższym czasie majątek, wynoszący siedemdziesiąt, albo i więcej tysięcy. Mówiłem już wyżej, że Wiersiłow roztrwonil w swym życiu trzy spadki, a oto znów ratował go spadek. Sprawa decydowała się w sądzie w najbliższym terminie. W tym czasie właśnie przyjechałem. Co prawda, na samą nadzieję nikt pieniędzy nie dawał, pożyczyć nie było gdzie, więc na razie cierpieli niedostatek.

Ale Wiersiłow nie chodził do nikogo, choć często wychodził z domu na cały dzień. Już przeszło rok, jak wypędzono go z towarzystwa. Ta historia, bez względu na wszelkie moje usiłowania w najgłówniejszych punktach pozostawała dla mnie nie wyjaśniona, mimo że już cały miesiąc mieszkałem w Petersburgu. Czy Wiersiłow był winny czy niewinny

- oto co było dla mnie ważne, oto po co przyjechałem!

Odwrócili się od niego wszyscy, między innymi wszyscy wpływowi, poważni ludzie, z którymi przez całe życie utrzymywał łączność, a wszystko to na skutek słuchów o pewnym nadzwyczaj nędznym, a co najgorsze w oczach „świata” - skandalicznym postępku, jakoby popełnionym przez niego przeszło rok wcześniej, w Niemczech, a także o obeldze, jaką zniósł wtedy ze strony jednego z księząt Sokolskich mianowicie, a na którą nie odpowiedział wyzwaniem.

Nawet jego dzieci (prawe), syn i córka, odwróciły się od niego i żyły osobno. Prawda, i syn, i córka byli przyjmowani w najwyższych kołach

21

dzięki Fanariotowym i staremu księciu Sokolskiemu, zresztą dawnemu przyjacielowi Wiersiłowa.

Przyglądając mu się przez cały ten miesiąc, widziałem dumnego człowieka, którego nie społeczeństwo wykluczyło ze swego koła, ale który raczej sam przepędził od siebie społeczeństwo

- do tego stopnia trzymał się niezależnie. Ale czy miał prawo patrzeć w ten sposób - oto co mnie nurtowało! Bezwzględnie musiałem poznać całą prawdę w najbliższym terminie, bom przyjechał -

sądzić tego człowieka. Siły swe ukrywałem jeszcze przed nim, ale musiałem albo go uznać, albo ostatecznie odepchnąć od siebie. A to ostatnie byłoby dla mnie bardzo trudne i dlatego się męczył. Wyznam na koniec - człowiek ten był mi drogi!

A tymczasem mieszkałem z nimi w jednym mieszkaniu, pracowałem i ledwo powstrzymywałem się od niegrzeczności. Nawet nie powstrzymywałem się. Przez cały miesiąc z każdym dniem upewniałem się, że po ostateczne wyjaśnienie w żaden sposób nie będę mógł zwrócić się do niego.

Dumny ten człowiek był dla mnie po prostu zagadką, drażniącą do głębi. Był nawet w stosunku do mnie miły i żartował, ale ja o wiele bardziej wolałbym kłótnię, niż takie żarty. Wszystkie rozmowy z nim miały w tle zawsze jakąś dwuznaczność, to znaczy zawierały jakieś dziwne kpiny z jego strony. Już od początku, gdy przyjechałem do Moskwy, powitał mnie jakoś niepoważnie. W żaden sposób nie mogłem zrozumieć, dlaczego tak postąpił.

Prócz tego cechował go jakiś zadziwiający, niemożliwy do przeniknięcia sposób bycia, z którym nie umiałem dać sobie rady. Mówiąc po prostu, obchodził się ze mną, jak z żółtodziobem, czego nie mogłem znieść, jakkolwiek wiedziałem, że tak będzie.

W rezultacie ja sam przestałem mówić serio i czekałem, nawet niemal zupełnie zaprzestałem mówić. Czekałem na pewną osobę, z przyjazdem której do Petersburga mogłem ostatecznie poznać prawdę. To była moja ostatnia nadzieja. W każdym razie przygotowałem się do ostatecznego zerwania i poczyniłem już odpowiednie przygotowania. Żał mi było matki, ale „albo on, albo ja” -

oto co chciałem powiedzieć jej i mojej siostrze. Nawet dzień miałem na to już wyznaczony, a tymczasem pracowałem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Owego dziewiętnastego powinienem był otrzymać moją pierwszą pensję za pierwszy miesiąc mej petersburskiej pracy na „prywatnej” posiadłości. O posiadłość tę nawet nie zapytali mnie, a po prostu oddali mnie tam, bodajże pierwszego dnia po przyjeździe. Było to bardzo niedelikatne i właściwie powinienem był zaprotestować. Była to posiadłość w domu księcia Sokolskiego. Ale protestować już wtedy - znaczyłoby zerwać z nimi od razu, co, chociaż mnie wcale nie przstraszało, ale szkodziło moim osobistym celom i dlatego przyjąłem to miejsce, milcząc do czasu i milczeniem broniąc mego honoru. Wyjaśnię od razu, że ów książę Sokolski, bogacz i tajny radca, nie miał nic wspólnego z tymi moskiewskimi książętami Sokolskimi (nędznymi hołyszami od kilku już pokoleń), z którymi Wiersiłow się procesował. Byli tylko imiennikami. Jednakże stary książę bardzo się nimi interesował i specjalnie lubił jednego z tych książąt, rzec można, przywódcę ich rodu - pewnego młodego oficera. Wiersiłow jeszcze niedawno miał wielki wpływ na sprawy owego starca i był

jego przyjacielem, dziwnym przyjacielem, bo ten biedny książę, jak już wspomniałem, strasznie się go obawiał nie tylko w tym czasie gdy objąłem u niego posiadłość, ale zdaje się, zawsze, przez cały czas ich przyjaźni. Zresztą dawno się nie widzieli, gdyż niehonorowy postępek, o który obwiniano Wiersiłowa, dotyczył właśnie rodziny księcia, ale nawinęła się Tatiana Pawłowna i za jej pośrednictwem umieszczono mnie u staruszka, który potrzebował człowieka do swego biura.

Wtedy się okazało, że chciał też ogromnie dogodzić Wiersiłowowi, zrobić, że tak powiem, pierwszy krok ku niemu, a Wiersiłow pozwolił.

Stary książę zrobił to w nieobecności swej córki, wdowy, generałowej, która na pewno nie byłaby mu pozwoliła na ten krok. O tym potem, ale zauważę, że to dziwne traktowanie Wiersiłowa zrobiło na mnie

wrażenie sympatyczne. Wyobraziłem sobie, że jeśli głowa obrażonej rodziny ciągle jeszcze nie przestaje szanować Wiersiłowa, to plotki o jego nikczemności są, być może, nieprawdziwe lub przynajmniej dwuznaczne i przesadzone. Po części też ta okoliczność sprawiła, że nie protestowałem biorąc posadę. Przyjmując ją miałem mianowicie nadzieję sprawdzić wszystko.

Owa Tatiana Pawłowna dziwną grała rolę, gdym ją zastał w Petersburgu. Niemal już o niej zapomniałem, a w każdym razie nigdy nie przypuszczałem, że ma takie znaczenie. Poprzednio zjawiała się trzy, czy cztery razy podczas mego pobytu w Moskwie, a zjawiała się Bóg wie skąd, z czyjego polecenia, zawsze wtedy, gdy trzeba mnie było gdzieś umieścić - czy to w pensjonacie Tuszara, czy dwa i pół roku potem - przy przeniesieniu mnie do gimnazjum i mieszczeniu u niezapomnianego Mikołaja Siemionowicza. Przyjechawszy, spędzała ze mną cały dzień, przeglądała moją bieliznę, ubranie, jeździła ze mną na Kuznieckij, kupowała mi niezbędne rzeczy, urządziła jednym słowem, całą moją wyprawę, od kufra, aż do ostatniego scyzoryka. Cały czas przy tym fukała na mnie, strofowała mnie, karciała, egzaminowała, stawiała mi za przykład jakichś fantastycznych chłopców swych znajomych i kuzynów, którzy jakoby wszyscy byli lepsi ode mnie i doprawdy, nawet szczypała mnie i poszturchiwała stanowczo, ba, nieraz boleśnie. Urządziwszy mnie i ulokowawszy na danym miejscu zniknęła bez śladu na kilka lat.

Otóż zaraz po moim przyjeździe znów się zjawiała, by mnie zagospodarować. Była to chudziutka, maleńka figurka z ptasim ostrym noskiem i ptasimi bystrymi oczkami. Służyła Wiersiłowowi, niby niewolnica i korzyła się przed nim, jak przed papieżem, ale z przekonania. Lecz wkrótce ze zdumieniem zauważyłem, że na ogół wszyscy i wszędzie ją poważali, a głównie, wszyscy i wszędzie znali. Stary książę Sokolski odnosił się do niej z nadzwyczajnym szacunkiem, jego rodzina również, harde dzieci Wiersiłowa także. U Fanariotowych - to samo, a przecież zarabiała szyciem, praniem jakichś tam koronek, brała robotę ze sklepu. Pokłóciłem się z nią od pierwszego słowa, ponieważ uważała natychmiast za stosowne, jak poprzednio sześć lat temu, fukać na mnie, od tego czasu kłóciliśmy się codziennie, lecz to nie przeszkadzało nam niekiedy rozmawiać i przyznam, że pod koniec miesiąca zaczęła mi się podobać; myślę, że z powodu niezależności charakteru. Zresztą nie komunikowałem jej tego.

Od razu pojąłem, że umieścili mnie u tego chorego starca po to tylko, bym go rozweselał i że na tym polega cała praca. Oczywiście to mnie poniżało i natychmiast powziąłem złe zamiary. Wkrótce ten stary cu-24

dak wywarł na mnie tak nieoczekiwane wrażenie, coś jakby w rodzaju litości i w końcu miesiąca jakoś dziwnie się do niego przywiązałem, w każdym razie porzuciłem zamiary niedorzecznego postępowania. Zresztą, miał on więcej niż sześćdziesiąt lat. To była cała historia. Półtora roku temu zdarzył mu się nagle wypadek. Gdzieś tam pojechał i w drodze znikował, zrobił skandal, o którym mówiono w całym Petersburgu. Jak to bywa w takich przypadkach wywieziono go momentalnie za granicę, ale po pięciu miesiącach, nagle znów się zjawiał najzupełniej zdrowy; jakkolwiek porzucił

służbę. Wiersiłow zapewniał poważnie i z widoczną żarliwością, że pomieszczenia zmysłów wcale nie było, lecz tylko jakiś atak nerwowy. Tę żarliwość Wiersiłowa natychmiast zauważyłem. Zresztą zaznaczę, że i ja podzielałem po części jego mniemanie. Starzec sprawiał odtąd wrażenie tylko nazbyt lekkomyślnego jak na swój wiek, co poprzednio, jak mówią, się nie zdarzało. Opowiadano, że dawniej dawał on gdzieś tam jakieś porady i nawet pewnego razu wybitnie się odznaczył przy

wykonaniu zlecenia. Obcując z nim cały miesiąc nigdy bym nie przypisał mu specjalnych kwalifikacji na radcę. Zauważono (choć ja tego nie zauważyłem), że po ataku rozwinęła się w nim jakaś szczególna skłonność do ożenku i podobno już nieraz gotów był do realizowania tej idei.

Wiedziano o tym jakoby w świecie i interesowali się tym ci, komu na tym zależało. Ale ponieważ ta skłonność nie zawsze zgadzała się z interesem niektórych osób, otaczających księcia, więc pilnowano starca ze wszystkich stron. Rodzinę miał małą. Był wdowcem już od lat dwunastu i miał

tylko jedną córkę, ową wdowę po generale, której teraz z dnia na dzień oczekiwano w Moskwie, a której temperamentu on się niewątpliwie obawiał. Ale miał bez liku dalszych krewnych, przeważnie po nieboszczce żonie, którzy wszyscy byli niemal w nędzy; prócz tego masę różnych wychowanków i wychowanie. Wszyscy oni liczyli na część jego testamentu, toteż wszyscy pomagali generałowej w nadzorowaniu starca. Prócz tego miał on od wczesnej młodości pewne dziwactwo, sam nie wiem, czy śmieszne: wydawać za mąż biedne panny. Wydawał już

dwadzieścia pięć lat z rzędu - albo dalekie krewniaczki, albo pasierbice jakichś tam ciotecznych braci swej żony, albo chrześniaczki, wydał nawet córkę swego szwajcara. Brał je naprzód do siebie, jako małe dziewczynki, wychowywał je z guwernantkami i francuzicami, potem kształcił w najlepszych zakładach pedagogicznych, a na koniec wydawał z posagiem. Wszystko to kręciło się koło niego bezustannie. Wychowankę oczywiście w małżeństwie rodziły jeszcze dziewczynki.

Wszystkie urodzone dziewczynki także

25

pchano na wychowanice; wszędzie musiał trzymać do chrztu, wszystko to zjawiało się z powinszowaniem imienin; i wszystko to sprawiało mu nadzwyczajną przyjemność.

Od pierwszych dni w jego domu zauważyłem, że w duszy starca zagnieździło się pewne przykre przekonanie - tego nie można było nie zauważyć - że wszyscy w jego obecności patrzą nań jakoś dziwnie, że wszyscy odnoszą się doń jakby nie tak jak poprzednio, jak do zdrowego. To wrażenie nie opuszczało go nawet podczas najweselszych spotkań w „świecie”. Starzec zrobił się podejrzliwy, zaczął u wszystkich coś tam w oczach postrzegać. Myśl, że go wszyscy uważają za wariata widocznie męczyła go, nawet mnie przyglądał się nieraz z niedowierzaniem. Gdyby się dowiedział, że ktokolwiek rozpowszechnia o nim lub utwierdza taką pogłoskę, zapewne człowiek ten zostałby jego wiecznym nieprzyjacielem. Chcę zwrócić uwagę na tę okoliczność. Dodam, że to zadecydowało od pierwszego dnia, że starałem się być dla niego grzecznym. Byłem nawet zadowolony, jeżeli udawało się go czasem rozweselić lub rozerwać. Nie sądzę jednak, aby to wyznanie mogło rzucić cień na moją godność osobistą.

Większa część jego pieniędzy była w obrocie. Już po przebytej chorobie wstąpił jako udziałowiec do pewnego dużego towarzystwa akcyjnego, zresztą bardzo solidnego. Choć interesy prowadzili inni, bardzo się nimi interesował, uczęszczał na zebrania akcjonariuszy, został wybrany do grona członków założycieli, zasiadał w radach, miewał długie przemówienia, zbijał cudze twierdzenia, hałasował, a wszystko z widoczną satysfakcją.

Bardzo mu się podobało przemawianie: przynajmniej wszyscy mogli stwierdzić, że jest w pełni władz umysłowych. I w ogóle ogromnie polubił nawet w najbardziej intymnych momentach prywatnego życia wstawiać do rozmowy głębokie zdania i „bons mots”, co jest dla mnie zrozumiałe.

W domu na partnerze urządził coś w rodzaju domowej kancelarii i jeden urzędnik załatwiał sprawy, prowadził rachunki i księgi, a jednocześnie zarządzał domem. Ten urzędnik sam w zupełności wystarczał, ale na żądanie księcia dodano jeszcze mnie, jakoby do pomocy owemu urzędnikowi; lecz od razu zostałem przeniesiony do gabinetu i często nawet dla pozorów nie miałem przed sobą żadnej roboty: ani papierów, ani książek.

Piszę to teraz jak człowiek, który już dawno otrzeźwiał i w dużym stopniu stał się kimś nieomal obcym; lecz jak mam odmalować smutek (który mi się teraz tak żywo przypominał), jaki wówczas zapadł w moje serce, a co ważniejsze mój ówczesny niepokój, który dochodził do stanu takiego wzburzenia i rozgorączkowania, że moja niecierpliwość i zagadki, które sam sobie stawiałem nie dawały mi spać po nocach.

Paskudna to rzecz prosić o pieniądze, nawet o pensję, jeżeli w głębi sumienia czuje się, że na nią niezupełnie się zasłużyło. Tymczasem w przeddzień matka poszeptawszy z siostrą, w sekrecie przed Wiersiłowem („żeby nie zasmucić Andrzeja Piotrowicza”), zamierzała zanieść do lombardu obraz, który był jej bardzo drogi.

Pracowałem za pięćdziesiąt rubli miesięcznie, ale zupełnie nie wiedziałem, w jaki sposób będę je otrzymywał. Umieszczając mnie tu, nic mi nie powiedziano. Trzy dni wcześniej spotkawszy się na dole z urzędnikiem zapytałem: do kogo tu zwracać się o pensję? Ten popatrzył na mnie z uśmiechem człowieka zdziwionego, nie lubił mnie:

- Pan otrzymuje pensję?

Myślałem, że po mojej odpowiedzi doda: „Za cóż to?”

Ale odpowiedział tylko sucho, że „nic nie wie” i zagłębił się w swą poliniowaną księgę, do której z jakichś papierków wpisywał cyfry.

A przecież musiał wiedzieć, że jednak cośkolwiek robiłem. Dwa tygodnie temu przesiedziałem całe cztery dni nad robotą, którą sam mi przydzielił: przepisywanie z brudnopisu, ale okazało się, że trzeba było tekst zupełnie przerobić. Była to cała zawierucha „myśli” księcia, które zamierzał

przedstawić na posiedzeniu akcjonariuszy. Trzeba było z tego wszystkiego skomponować całość i uszlachetnić styl. Przesiedzieliśmy z księciem potem cały dzień nad tym pismem. Bardzo gorąco sprzeczał się ze mną, jednakże w końcu był zadowolony, nie wiem tylko, czy przedstawił swój elaborat, czy nie. O dwóch, trzech listach, również dotyczących interesów, które napisałem na jego prośbę, nawet nie wspominam.

Prosić o pensję było mi jeszcze dlatego nieprzyjemnie, że postanowiłem zrzec się posady, przeczuwając, że będę zmuszony odejść stąd z powodu okoliczności nie do uniknięcia.

Obudziwszy się tego ranka i ubierając się u siebie na górze w komórce poczułem, że mi serce zabiło i chociaż miałem to wszystko w nosie, lecz wchodząc do domu księcia znów uczułem wzburzenie: tego ranka miała przybyć tu owa osoba, kobieta, od przybycia której oczekiwałem wyjaśnienia wszystkiego, co mnie męczyło! Była to właśnie córka księcia, ta generałowa Achmakowa, młoda wdowa, o której już wspomniałem i która była w stanie srogiej wrogości z Wiersiłowem.

27

Na koniec napisałem to nazwisko! Nigdy jej naturalnie nie widziałem i wyobrazić sobie nie mogłem, jak i czy będę z nią rozmawiał, ale wyobrażałem sobie, nie bez podstaw, że wraz z jej przyjazdem rozwieje się mrok, otaczający w mych oczach Wiersiłowa. Nie mogłem być spokojny.

Byłem zły, że od pierwszego kroku jestem tak małoduszny i niezręczny i byłem strasznie ciekawy, a co ważniejsze, czułem obrzydzenie - od razu trzy uczucia. Pamiętam cały ten dzień do najdrobniejszego szczegółu.

O prawdopodobnym przyjeździe córki mój książę nic jeszcze nie wiedział i przypuszczał, że jej powrót z Moskwy nastąpi dopiero w ciągu tygodnia.

Ja zaś dowiedziałem się tego w wigilię, zupełnie przypadkowo. Wygadała się przy mnie, matce mej Tatiana Pawłowna, która otrzymała od generałowej list. Chociaż szeptały i mówiły ogródkami, alem się domyślił. Ma się rozumieć nie podsłuchiwałem, po prostu nie mogłem nie słyszeć, kiedy spostrzegłem, że nagła wiadomość o przyjeździe tej kobiety tak wzruszyła moją matkę. Wiersiłowa nie było w domu.

Staruszkowi nie chciałem o tym mówić, ponieważ nie mogłem nie zauważyć przez cały ten okres, że obawia się jej przyjazdu. Nawet trzy dni temu wygadał się, jakkolwiek trwożliwie i niewyraźnie, że obawia się jej przyjazdu także z mego powodu, to jest, że z mego powodu będzie miał

przykrość. Jednak muszę dodać, że w sytuacjach rodzinnych mimo wszystko zachowywał

niezależność i zwierzchnictwo, zwłaszcza w rozporządzaniu pieniędzmi. Z początku wydał mi się kompletną babą, ale potem musiałem zmienić zdanie w tym sensie, że jeśli nawet był babą, to jednak pozostawał w nim czasami jakiś upór, jeżeli nie prawdziwe męstwo. Bywały chwile, kiedy z charakterem jego - wyraźnie tchórzliwym i uległym - nic prawie nie można było zrobić.

Szczegółowo wyjaśnił mi to później Wiersiłow. Wspominam teraz z ciekawością, że prawie nigdy nie rozmawialiśmy z księciem o generałowej, to znaczy, jakbyśmy w ogóle unikali rozmowy.

Unikałem tego szczególnie ja, a on z kolei unikał rozmowy o Wiersiłowie i po prostu domyśliłem się, że mi nie odpowie, jeśli mu zadam zbyt drażliwe, a tak bardzo interesujące mnie pytanie.

Gdyby ktoś chciał wiedzieć, o czym przez cały ten miesiąc rozmawialiśmy, odpowiem, że właściwie o wszystkim na świecie, lecz zawsze

28

o jakichś dziwnych rzeczach. Bardzo mi się podobała nadzwyczajna prostota, z jaką mnie traktował. Niekiedy z ogromnym zdziwieniem wpatrywałem się w tego człowieka i zadawałem sobie pytanie: „Gdzież to on dawniej zasiadał? Gdyby tak dać go do naszego gimnazjum, nawet do czwartej klasy - a byłby z niego przemiły kolega”. Nieraz też podziwiałem jego twarz. Była pozornie nadzwyczaj poważna (i prawie ładna), sucha, gęste, siwe kręjące się włosy, otwarte oczy; przy tym był chudy, słusznego wzrostu, ale twarz jego miała jakąś nieprzyjemną, niemal nieprzyzwoitą właściwość do zmiany raptem wyrazu z nadzwyczaj poważnego na zbyt już swawolny, tak że ktoś, kto go w życiu pierwszy raz widział, nigdy by się tego nie spodziewał.

Powiedziałem o tym Wiersiłowowi, który mnie z ciekawością wysłuchał. Nie spodziewał się, jak się zdaje, że byłem zdolny do takich spostrzeżeń; zauważył mimochodem, że pojawiło się to u księcia już po chorobie i bodaj nawet w ostatnim czasie.

Przeważnie rozmawialiśmy o dwóch tematach oderwanych - o Bogu i o Jego istnieniu, to znaczy, czy istnieje, czy nie - i o kobietach. Księżę był bardzo religijny i uczuciowy. W jego gabinecie wisiała ogromna szafka ze świętymi obrazami z lampką. Ale nagle coś na niego nachodziło i oto zaczynał wątpić w istnienie Boga i prawil zadziwiające rzeczy, wyraźnie prowokując mnie do odpowiedzi. Ta kwestia była mi dość obojętna ogólnie biorąc, jednakże dyskutowaliśmy, obaj zaciekle i zawsze szczerze. Na ogół wszystkie te rozmowy dziś jeszcze wspominam z przyjemnością.

Ale najbardziej lubił gawędzić o kobietach, a ponieważ czułem niechęć do rozprawiania na ten temat i nie byłem dobrym rozmówcą, nieraz było mu przykro. Akurat zagadał na pasjonujący go temat, właśnie zjawiłem się owego ranka. Zastałem go w usposobieniu swawolnym, a nie dalej jak wczoraj był pogrążony w niezwykłym smutku. Tymczasem musiałem nieodczownie zakończyć sprawę pensji, dziś jeszcze, przed przyjazdem pewnych osób. Przypuszczałem, że nam dziś na pewno przeszkodzą (nie darmo tak mi serce biło), a wtedy ja może nie zdecyduję się powiedzieć o pieniądzach. Ale ponieważ temat pieniędzy w rozmowie się nie pojawiał, zirytowała mnie naprawdę moja głupota i jak sobie teraz przypominam, ze złości na jakieś już zbyt wesołe jego zapytanie, wyłożyłem hurtem, w nadzwyczajnym uniesieniu, moje zapatrywania na kobiety. W

rezultacie rozochocił się jeszcze bardziej.

...Nie lubię kobiet za to, że są ordynarne, za to, że są niezręczne, za to, że są niesamodzielne i za to, że noszą nieprzyzwoite stroje! - chaotycznie zreasumowałem moją długą tyradę.

- Litości, gołąbku! - wykrzyknął strasznie rozweselony, co jeszcze bardziej mnie rozsierdziło.

Jestem ustępliwy i drobiazgowy tylko w drobiazgach, ale w ważnej rzeczy nie ustąpię nigdy. W

drobiazgach można ze mną Bóg wie co zrobić i zawsze przeklinam ten rys mojego charakteru. Z

powodu mej obrzydliwej dobroduszości byłem gotów nieraz potakiwać nawet byle

pyszałkowatemu światowcowi, olśniony jego uprzejmością, albo wdawałem się w dysputę z głupcem, co jest już wprost niewybaczalne. Wszystko to z niepoohamowania i z tego, że wychowałem się samotnie.

Oto dlaczego brano mnie czasem niemal za szesnastolatka. Lecz zamiast nauczyć się panowania nad sobą także dziś jeszcze wolę zaszyć się jeszcze bardziej w kącie, sprawiając wrażenie większego mizantropa niż w rzeczywistości: „Przypuśćmy, że jestem niezręczny- a więc żegnajcie”. Mówię poważnie i stosuje się to do całego życia. Zresztą w ogóle nie z powodu księcia piszę to, a nawet nie z powodu tamtej rozmowy.

- Ja bynajmniej nie dla rozweselania pana to mówię - prawie krzyknąłem - ja po prostu wypowiadam swoje przekonanie.

- Jakżeż to: kobiety są ordynarne i nieprzystojnie ubrane? To coś nowego!

- Ordynarne. Wystarczy pójść do teatru, na spacer. Każdy mężczyzna wie, gdzie prawa strona, spotkamy się i minimy, ja w prawo i on w prawo. Kobieta, to jest dama, bo o damach mówię, pcha się prosto na pana, nawet pana nie dostrzegając, tak jakby pan był już koniecznie zobowiązany odskoczyć i ustąpić jej z drogi. Jestem gotów ustąpić, jako stworzeniu słabszemu, ale skąd tu prawo, dlaczego ona jest taka pewna, że jestem do tego zobowiązany, oto co mnie obraża. Zawsze spluwałem spotykając je.

I po tym wszystkim krzyczą, że są poniżone i żądają równouprawnienia. Jakaż tu może być równość, jeśli ona depcze mnie albo napycha mi w usta piasku!

- Piasku!

- Tak, dlatego że ubrane są nieprzystojnie; tego tylko rozpustnik może nie zauważyć. W sądach drzwi się zamyka, gdy jest mowa o nie-pryzwoitościach: dlaczegoż pozwala się na nie na ulicy, gdzie jest jeszcze więcej ludzi?

Podkładają sobie z tyłu jakieś fru-fru, żeby pokazać, że są pięknie zbudowane; jawnie! Nie mogę przecież tego nie zauważyć; i młodzieniaszek, i dziecko, i podrastający malec zauważy; to nikczemne. Niech się tym zachwycają starzy rozpustnicy, niech lecą, wysunąwszy język, ale jest czysta młodzież, którą należy chronić.

Nie pozostaje nic innego, jak tylko pluć na to. Idzie bulwarem, a z tyłu opuści tren na półtora arszyna i kurz podnosi; jakże tu iść za nią: albo biegnij i przeganiaj, albo uciekaj na bok, jeśli nie, to i w nos i w gębę napcha ci pięć funtów piasku. A w dodatku tren jest z jedwabiu, ona go przez trzy wiorsty strzępi po kamieniach kierując się wyłącznie modą, a mąż w senacie otrzymuje pięćset rubli rocznie. Oto, gdzie źródło łapówkarstwa! Plułem na to zawsze, plułem i kłamię.

Choć opisuję tę rozmowę trochę humorystycznie, lecz i z ówczesną moją zapalczywością; dziś myślę tak samo.

- I poskutkowało? - zaciekawiał się książę.

- Splunę i odejdę. Ona naturalnie wszystko wyczuje, lecz nie pokaże tego po sobie. Sunie majestatycznie, nie odwracając głowy. Posprzeczałem się na serio tylko raz jeden - z jakimś dwiema, obie z ogonami, na bulwarze - rozumie się, że nie brzydkimi słowami, tylko zauważyłem na głos, że ogon mnie obraża.

- Tak się wyraziłeś?

- Naturalnie. Po pierwsze ona lekceważy porządek publiczny, a po drugie podnosi kurz - a bulwar jest dla wszystkich. Idę ja, idzie drugi, trzeci, Fiodor, Iwan, wszyscy na równi. To właśnie wypowiedziałem. W ogóle nie lubię kobiecego chodu, jeśli patrzeć z tyłu.

- Przyjacielu, ależ mogłeś wpaść w poważną awanturę. Mogły zaciągnąć cię do sądu.

- Nie, nie mogły. Nie było na co się skarżyć: idzie obok człowiek i sam z sobą rozmawia. Każdy ma prawo rzucić w przestrzeń swoje zdanie. Mówiłem abstrakcyjnie, nie zwracałem się do nich.

Same mnie zaczepiły, zaczęły mi wymyślać, bardziej ostro wymyślały niż ja: a to smarkacz, a to na chleb i wodę trzeba skazać, a to nihilista, a to stójkowemu oddadzą, a to, że ja dlatego się przyczepiłem, że one same jedne, słabe kobiety, a gdyby z nimi był mężczyzna, to bym zaraz ogon podkulił. Oświadczyłem im z zimną krwią, żeby się przestały mnie czepiać, a ja przejdę na drugą stronę. „A żeby im dowieść, że nie boję się ich mężczyzn i gotów jestem przyjąć wyzwanie, będę szedł dwadzieścia kroków za nimi, aż do samego ich domu, po czym stanę przed domem i zaczekam na ich mężczyzn”. Tak też zrobiłem.- Czyżby?

31

- Oczywiście, głupia rzecz, ale byłem rozgorączkowany. Wlokły mnie tak przeszło trzy wiorsty, w upale, do instytutów, weszły w końcu do drewnianego, parterowego domu - muszę przyznać, że zupełnie przyzwoitego - w oknach widać było dużo kwiatów, dwa kanarki, trzy pieski i sztychy w ramach. Stałem pośród ulicy przed domem około pół godziny. Wyjrzały ukradkiem ze trzy razy, a

potem opuścili wszystkie story. W końcu z furtki wyszedł jakiś urzędnik, w podeszłym wieku.

Sądząc po wyglądzie, spał i specjalnie go obudzono. Nie to że w szlafroku, ale w stroju domowym.

Stał przy furtce, założył ręce do tyłu i zaczął patrzeć na mnie, a ja na niego. Nagle zaczął się do mnie uśmiechać. Odwróciłem się i odszedłem.

- Mój przyjacielu, ależ to coś z Schillera! Zawsze mnie dziwiło: masz rumiane policzki, z twarzy twej tryska zdrowie i taki, można powiedzieć, wstręt do kobiet! fak to jest, żeby kobieta w twoje lata nie wywierała wrażenia? Mon cher, kiedy miałem jedenaście lat, już guwerner zwracał mi uwagę, że zbytnio przypatruję się posągom w Letnim Ogrodzie.

- Panu się bardzo chce, żebym poszedł do jakiejś tutejszej Josephiny i przyszedł panu o wszystkim opowiedzieć. Nie ma powodu. Już w trzynaście lat widziałem kobietą nagość, całą. Odtąd czuję obrzydzenie.

- Poważnie? Przecież, cher enfant, piękna, świeża kobieta pachnie jabłkiem, jakież tu obrzydzenie!

- Miałem w poprzedniej szkole, u Tuszara, jeszcze przed gimnazjum, kolegę, Lamberta. Ciągłe mnie bił, ponieważ był więcej niż trzy lata starszy, a ja mu służyłem i buty zdejmowałem. Kiedy jeździł na konfirmację, wówczas przyjechał do niego ksiądz Rigo, żeby pozdrowić z okazji pierwszej komunii. Obaj ze łzami w oczach rzucili się sobie na szyję i ksiądz Rigo począł go mocno przyciskać do swej piersi, z różnymi gestami. Także płakałem i bardzo zazdrościłem.

Kiedy zmarł mu ojciec, opuścił szkołę i nie widziałem go dwa lata, a po dwóch latach spotkałem na ulicy. Powiedział, że mnie odwiedzi. Byłem już w gimnazjum i mieszkałem u Nikołaja Siemionowicza. Przyszedł rankiem, pokazał mi pięćset rubli i kazał ze sobą jechać. Chociaż bił

mnie dwa lata temu, zawsze mnie potrzebował, nie tylko do zzuwania butów. Wszystko mi opowiadał. Powiedział, że pieniądze wyciągnął dziś ze szkatułki matki przy pomocy

podrobionego klucza, dlatego że pieniądze po ojcu wszystkie mu się należą zgodnie z prawem i że ona nie ma prawa mu nie dawać, a że wczoraj przychodził do niego ksiądz Rigo z

napomnieniami – wszedł, stanął nad nim i zaczął kwękać, przedstawiać zgrozę i podnosić ręce do nieba; „a ja wyciągnąłem nóż i powiedziałem, że go zarżnę”. Pojechaliśmy na bazar Kuzniecki. Po drodze oznajmił mi, że jego matka jest kochanką księdza Rigo, że to zauważył i że na wszystko gwizdzę, i że wszystko, co oni mówią o komunii - bzdura. Jeszcze dużo mówił, a ja drżałem ze strachu. Na Kuznieckim kupił dwulufową strzelbę, naboje, pejcz i potem jeszcze funt cukierków. Pojechaliśmy za miasto postrzelać i po drodze spotkaliśmy ptasznika z klatkami. Lambert kupił u niego kanarka. W zagajniku wypuścił kanarka, ponieważ ten nie może daleko odlecieć po wypuszczeniu z klatki; zaczął do niego strzelać, lecz nie trafił. Strzelał

po raz pierwszy w życiu, a karabin już dawno chciał kupić, jeszcze u Tuszara. Dawno już marzyliśmy o strzelbie. Jakby zachłystywał się. Włosy miał czarne, twarz biała i rumiana niby maska, nos długi, z garbem, jak u Francuzów, zęby białe, oczy czarne. Przywiązał kanarka nitką do sęka i z dwóch luf, z

najbliższej odległości, oddał dwie salwy. Kanarek rozleciał się na sto piórek. Potem wróciliśmy, zajechaliśmy do hotelu, wynajęliśmy pokój, zaczęliśmy jeść i pić szampana. Przyszła dama... Pamiętam, jak byłem porażony tym, że tak wspaniale była ubrana, w zieloną, jedwabną suknię. Tutaj właśnie to wszystko zobaczyłem... O czym panu

wspomniałem... Potem, kiedy zaczęliśmy znów pić, zaczął się z nią droczyć i przeklinać.

Siedziała bez sukni; zabrał jej suknię i kiedy zaczęła mu wymyślać, i prosić suknię, żeby się ubrać, zaczął z całej siły walić po nagich plecach pejczem. Wstałem, chwyciłem go za włosy tak zręcznie, że od razu przewróciłem go na podłogę. Schwycił widelec i dźgnął mnie w udo. Wtedy na krzyk wbiegli ludzie, a ja zdążyłem uciec. Od tej pory obmierzłe mi jest wspomnienie nagości, a proszę wierzyć, ładna była...

W miarę, jak mówiłem, twarz księcia zmieniła się ze swawolnej na bardzo smutną.

- Mon pauvre enfant! Zawsze byłem przekonany, że w dzieciństwie miałeś wiele nieszczęśliwych dni.

- Niech się pan uspokoi...

- Aleś ty był sam jeden, sameś mi to opowiadał, i choćby ten Lambert: tyś to tak nakreślił... ten kanarek, ta komunia ze łzami i obejmowaniem się, a w niespełna rok potem on o swojej matce z księdzem... O, mon cher, ten problem dziecka, w naszych czasach jest wprost okrop-Mój drogi

33

ny. Naprzód te złote główki z kędziorami we wczesnym dzieciństwie pierzchają przed tobą i patrzą na ciebie jasnymi oczkami, ze świetlanym uśmiechem - istne aniołki boże, albo prześliczne ptaszki; a potem, potem zdarza się, że bodajby wcale nie dorosły!

- Jakież pan przeczulony, książę! Jak gdyby pan miał dzieci. Przecież pan ich nie ma i mieć nie będzie.

- Tiens! - momentalnie zmienił się na twarzy. - Akurat Aleksandra Piotrowna - trzy dni temu he, he! Aleksandra Piotrowna Sinicka, zdaje się powinieneś ją tu być spotkać trzy tygodnie temu, na moją wesołą uwagę, że gdybym się teraz ożenił, to przynajmniej mógłbym być spokojny, że dzieci nie będzie, a ona mi na to z taką złością: „Przeciwnie, u pana właśnie będą: u takich jak pan właśnie bywają, niezawodnie, od pierwszego nawet roku pójdą, zobaczy pan”. He-he! A wszyscy czemuś wyobrazili sobie, że ja się raptem ożenię, ale chociaż to złośliwie powiedziane, zgódź się, że dowcipnie.

- Dowcipnie, ale obelżywie.

- Ach, mon enfant, nie na każdego można się obrażać. Ja nade wszystko cenię w ludziach dowcip, który widocznie zanika, a co tam nasza Aleksandra Piotrowna powie - czyż to się liczy?

- Jak, jak pan powiedział? - przyczepiłem się. - Nie na każdego można... właściwie tak! Nie każdy zasługuje, aby na niego zwracać uwagę - wspaniała zasada! Tego właśnie mi trzeba. Ja to zapiszę.

Pan, książę, mówisz niekiedy przemiłe rzeczy.

- N'est-ce pas? Cher enfant, prawdziwy dowcip zanika, im dalej tym bardziej. Eh, mais... C'est moi, qui connaît les femmes! Wierz mi, życie każdej kobiety, cokolwiek by tam twierdziła - to wieczne poszukiwanie, komu by się podporządkować, że tak powiem, żąda podporządkowania się. I zauważ dobrze - bez żadnego wyjątku.

- Zupełnie słusznie, świetnie! - wykrzyknąłem w zachwycie. Kiedy indziej być może

zapuścilibyśmy na całą godzinę w rozmyślenia filozoficzne na ten temat, ale nagle, jakby mnie coś ukąsiło, aż cały poczerwieniałem. Wydało mi się, że chwaląc jego dowcipy podlizuję mu się przed wypłatą pieniędzy i że on niezawodnie sobie to pomyśli, gdy zacznę go prosić. Umyślnie napomykam teraz o tym.

Masz ci los! mój chłopcze

Nieprawdaż? Drogie dziecko...

Znam się na kobietach!

34

- Książę, ja pana uprzejmie proszę o wypłacenie mi niezwłocznie pięćdziesięciu rubli, które mi się od pana za ten miesiąc należą - wypaliłem jednym tchem i zabrzmiało to niegrzecznie, aż do ordynarności.

Pamiętam (tak, jak pamiętam ten cały ranek ze szczegółami), że doszło między nami wtedy do odrażającej w swej realnej prawdzie sceny.

Z początku nie zrozumiał mnie, długo patrzył i nie rozumiał o jakich ja pieniądzach mówię.

Najwidoczniej nie wyobrażał sobie, że otrzymuję jakieś wynagrodzenie - bo i za cóż? To prawda, że zaczął potem zapewniać, że zapomniał i kiedy się domyślił, natychmiast zaczął wyjmować te nieszczęsne ruble, ale zmieszał się i nawet poczerwieniał. Widząc, co się stało, podniosłem się i ostro zakomunikowałem, że nie mogę teraz przyjąć pieniędzy, że mnie widocznie omyłkowo lub oszukańczo poinformowano o wynagrodzeniu, abym nie odmówił przyjęcia posady i że zbyt dobrze teraz pojmuję, że nie mam za co otrzymać pensji, bo żadnej służby nie było.

Książę przeląkł się i zaczął zapewniać, że pracowałem nadzwyczaj dużo, że będę jeszcze więcej i że pięćdziesiąt rubli to tak mało, że on jeszcze doda, bo powinien i że sam naradzał się z Tatianą Pawłówną, ale „niewybaczalnie o wszystkim zapomniał”. Wybuchnąłem i ostatecznie

powiedziałem, że byłoby z mej strony podłe, abym otrzymywał wynagrodzenie za skandaliczne opowiadania o tym, jak odprowadzałem dwa „ogony”, że nie godziłem się do pracy, by go zabawić, ale zajmować się pracą, a skoro nie ma pracy, to trzeba z tym skończyć itd., itd.

Nie mogłem sobie nawet wyobrazić, że można się tak przestraszyć jak on, po tych ostatnich moich

słowach. Naturalnie, skończyło się na tym, że przestałem protestować i on wepchnął mi jednak te pięćdziesiąt rubli. Dotąd z rumieńcem na twarzy wspominam, że je przyjął! Na świecie zawsze wszystko kończy się podłością, a co najgorsze, książkę wtedy potrafił mi niemal dowieść, że zasłużył na zapłatę, a ja byłem tak głupi, że uwierzyłem, a przy tym, jakoś ostatecznie nie wypadało nie wziąć.

- Cher, cher enfant! - wykrzyknął on całując mnie i obejmując (przyznaję, że sam się wtedy rozpłakałem czort wie czego, chociaż zaraz się powstrzymałem, a nawet teraz, gdy piszę, mam rumieniec na twarzy) - drogie dziecko, jesteś mi teraz jak rodzony, stałeś się dla mnie przez ten Drogie dziecko!

35

miesiąc, jakby kawałkiem mego własnego serca! W „świecie” tylko „światowość” i nic więcej się nie liczy. Katarzyna Nikołajewna (jego córka) wspaniała kobieta i ja się nią szcycę, ale ona często, bardzo, bardzo, mój drogi, często obraża mnie... No, a te dziewczątka (elles sont charmantes*) i ich matki, które przyjeżdżają w dzień imienin - przecież one przywożą tylko swoją kanwę, a same nic nie potrafią powiedzieć. Nazbierało mi się tej kanwy na sześćdziesiąt poduszek: same psy i jelenie.

Bardzo je lubię, ale z tobą jestem prawie jak z rodzonym i nie synem - ale bratem, a szczególnie lubię, kiedy zaprzeczasz: masz zacięcie literackie i jesteś odcytany, umiesz zachwycać się...

- Niczego nie czytałem i zupełnie nie jestem wyrobiony literacko. Czytałem byle co, a przez ostatnie dwa lata zupełnie nie czytałem i nie będę czytać.

- Dlaczego nie będziesz?

- Mam inne cele.

- Cher... szkoda będzie, jeśli przy końcu życia powiesz, jak ja: je sais tout, mais je ne sais rien de bon. Zupełnie nie wiem, po co żyłem na świecie! Ale... tyle ci zawdzięczam... a nawet chciałem...

Urwał nagle, spochmurniał i zamyślił się.

Po wstrząsach (a wstrząsy mogły mu się wydarzać w każdej chwili, Bóg wie skąd) zazwyczaj na pewien czas, jak gdyby tracił zdrowy rozsądek i przestawał panować nad sobą; zresztą prędko przychodził do siebie, tak że wszystko to nie było szkodliwe. Przesiedzieliśmy chwilę. Jego dolna warga, bardzo mięsista, opadła na dół... nade wszystko zdziwiło mnie, że nagle wspomniał o swojej córce i to z taką szczerością. Oczywiście przypisałem to zdenerwowaniu.

- Cher enfant, ty się przecież nie gniewasz, że ci mówię ty, nieprawdaż? - wyrwało mu się nagle.

- Bynajmniej. Przyznaję, że początkowo byłem nieco urażony i sam chciałem zwrócić się do pana przez ty, ale zrozumiałem, że to głupio, bo przecież pan nie dlatego mówi mi ty, żeby mnie poniżyć?

Nie słuchał już i zapomniał o swoim pytaniu.

- No, a co u ojca? - podniósł na mnie nagle zamyślony wzrok.

(są czarujące)

Drogi...

wiem tak dużo, ale nic wielkiego

- Drogie dziecko

36

Zadrzałem. Po pierwsze nazwał Wiersiłowa moim ojcem, na co by sobie nigdy przedtem nie pozwolił, a po drugie zaczął w ogóle mówić o Wiersiłowie, co się nigdy nie zdarzyło.

- Siedzi bez pieniędzy, pogrążony w melancholii - odpowiedziałem krótko, płonąc z ciekawości.

- Tak, a propos pieniędzy. Dziś w sądzie okręgowym decyduje się ich sprawa, a ja czekam na księcia Sieriożę, z czym też on przyjdzie. Obiecał przyjść prosto z sądu do mnie. Waży się ich los, chodzi o sześćdziesiąt, czy osiemdziesiąt tysięcy. Oczywiście, zawsze życzyłem równie dobrze Andrzejowi Piotrowiczowi (to znaczy Wiersiłowowi) i jak się zdaje, on zostanie zwycięzcą, a książęta bez niczego. Prawo!

- Dziś w sądzie! - wykrzyknąłem zdumiony. Myśl, że Wiersiłow nawet tego nie raczył mi zakomunikować niezwykle mnie zdziwiła. „A więc i matce nie powiedział, a może i nikomu -

pomyślałem sobie zaraz

-ot, charakter”.

- Alboż książe Sokolski jest w Petersburgu? - uderzyła mnie nagle inna myśl.

- Od wczoraj. Prosto z Berlina, umyślnie na ten dzień. To także nadzwyczajnie ważne dla mnie wydarzenie. „I on tu dziś przyjdzie, ten człowiek, który jemu wymierzył policzek!”

- I cóż - zmieniła się nagle cała twarz księcia - apostołuje po dawnemu i... i... bodaj znowu pomiędzy dziewczynkami, nieopierzonymi dziewczynkami? He-he! Tu się też znów wykluwa pewna bardzo zabawna anegdota... He-he!

- Kto apostołuje? Kto pomiędzy dziewczynkami?

- Andrzej Piotrowicz! Czy uwierzysz, on w swoim czasie przyczepił się do nas wszystkich, jak rzep, co, panie tego jemy, o czym myślimy?

- to jest prawie że to. Grzmiał i nawracał: „Jeśliś religijny, to czemu nie idziesz do klasztoru? -

Niemal że tego żądał. Mais quelle idee!* Jeżeli nawet słusznie, to czy nie zbyt surowo?

Szczególnie mnie lubił straszyć sądem ostatecznym, mnie najwięcej ze wszystkich.

- Nic podobnego nie zauważyłem, a już minął miesiąc, jak z nim mieszkam - odpowiedziałem, słuchając z niecierpliwością. Czułem wielką przykrość, że nie otrząsnął się i paplał tak bez sensu.

- Dopiero teraz o tym nie mówi, ale wierz mi, że tak było. Jest to człowiek bezsprzecznie dowcipny i głęboko uczony, ale czy to jest umysł

‘ Co za pomysł! Stateczny?

37

To wszystko stało się po trzech latach jego pobytu za granicą. Przyznaję, wstrząsnął mną bardzo...

wstrząsnął wszystkimi... Cher en-fant, j'aime le bon Dieu...* Wierzę ile tylko mogę, ale -

ostatecznie straciłem cierpliwość. Przypuśćmy, że użyłem chwytu lekkomyślnego, ale zrobiłem to naumyślnie, w irytacji i do tego istota mego twierdzenia była poważna jak świat światem. „Jeżeli istota wyższa - mówię doń -jest i istnieje osobowo, a nie w postaci rozproszonego we wszechświecie ducha, czy tam jakiejś cieczy (bo to jeszcze trudniej pojąć), to gdzież Ona zamieszkuje? Mój drogi, c'etait betę**, niewątpliwie, ale przecież i wszystkie kontrargumenty sprowadzają się do tego samego. Un domicile***- to rzecz ważna. Okropnie się rozgniewał. On tam przeszedł na katolicyzm.

- O tej idei także słyszałem. Na pewno bajka.

- Przysięgam na wszystkie świętości. Przyjrzyj mu się. Zresztą ty mówisz, że on się zmienił. Ale wówczas, jakże on nas wszystkich wtedy umęczył! Czy uwierzysz, tak się wtedy zachowywał, jakby był świętym i mielibyśmy czcić jego relikwie. Żądał od nas zdawania sprawy z po stępków, przysięgam ci! Relikwie! En voila une autre!**** No, niech by tam mnich, albo pustelnik - ale tu człowiek chodził we fraku, on, i tak dalej... i nagle jego relikwie! Dziwne żądanie, jak na człowieka święto wego i, przyznaję, dziwny gust. Ja tam nic nie mówię: oczywiście, to wszystko jest świątobliwe i wszystko zdarzyć się może... Przy tym wszyst ko to de l'inconnu*****, ale dla człowieka z towarzystwa to nawet nie przyzwoicie. Jeśli mi się to przydarzyło, albo mi to zaproponowano, to przyznam, że odmówiłbym. Oto dziś jem obiad w klubie i raptem potem mam objawienie! Toż okryłbym się śmiesznością! Wszystko to

wyłożyłem mu wtedy... On nosił łańcuchy pokutnicze! a,

Poczerwieniałem z gniewu.

BU

- Sam pan widział?

•

- Sam nie widziałem, ale...

- Więc komunikuję panu, że to wszystko kłamstwo, stek nędznych plotek i oszczerstw wrogów, to jest jednego wroga, jednego najważniejszego i nieludzkiego, bo on ma tylko jednego wroga: to jest pańską córkę!

Książę wybuchnął.

* Drogie dziecko, ja wierzę w Boga...

** to niemądre...

*** domostwo

**** oto coś nowego

‘ nieznajomego

38

- Mon cher*, proszę cię i żądam, byś nigdy odtąd nie wymieniał obok tej niesmacznej historii imienia mej córki.

Powstałem. Książę stracił panowanie nad sobą: podbródek mu drżał.

- Cette histoire infame!...** Nie wierzyłem w nią i nigdy nie chciałem wierzyć... ale... mówią mi: wierz, wierz, ja...

Wtem wszedł lokaj i oznajmił wizytę. Opadłem znowu na krzesło.

—

Weszły dwie damy, obie panny, jedna - pasierbica ciotecznego brata nieboszczki żony księcia, czy coś w tym rodzaju, wychowana przez niego, której on już wyznaczył posag i która (zaznaczam dla tego, co nastąpi) i bez tego miała pieniądze, druga - Anna Andriejewna Wiersiłowa, córka Wiersiłowa, starsza ode mnie o trzy lata, mieszkająca z bratem swym u Fanariotowej, a którą dotychczas widziałem wszystkiego trzy razy w życiu, w przelocie na ulicy, jakkolwiek z bratem jej, również przelotnie, miałem już w Moskwie zajście (być może, że wspomnę o tym zajściu w przyszłości, jeżeli będzie miejsce, bo właściwie, nie warto).

Anna Andriejewna od dzieciństwa była szczególną faworytką księcia (znajomość Wiersiłowa z księciem datowała się od bardzo dawna).

Byłem tak przejęty tym, co zaszło, że gdy weszły nawet nie podniosłem się, choć książę powstał na ich przywitanie, a potem pomyślałem, że już wstyd jest wstawać i pozostałem na miejscu. Przede wszystkim tym byłem zbity z tropu, że książę tak na mnie krzyknął trzy minuty przedtem i ciągle jeszcze nie wiedziałem - wychodzić czy nie. Ale mój staruszek już o wszystkim zupełnie zapomniał

swoim zwyczajem i ożywił się uprzejmie na widok panien. Nawet z szybko zmienionym wyrazem twarzy i jakoś tajemniczo mrugając, zdążył szepnąć mi naprędce przed samym ich wejściem.

- Przypatrz się Olimpii, popatrz uważnie, wnikliwie, potem opowiem... uważnie, uważnie...

Patrzyłem na nią wnikliwie i nic nadzwyczajnego nie znajdowałem. Niezbyt wysoka panna, tęga, z bardzo rumianymi policzkami. Twarz na ogół dość sympatyczna, z tych, co to się podobają materialistom. Być może, wyraz dobroci, ale ze zmarszczką. Nie mogła błyszczeć niezwykle inteligencją, ale tylko w wyższym znaczeniu, bo spryt był widoczny w jej oczach. Lat nie więcej jak dziewiętnaście. Jednym słowem, nic godnego uwagi. W gimnazjum u nas powiedzieliby -

bułeczka. (Jeżeli opisuję tak szczegółowo, to jedynie dlatego, że przyda się to w przyszłości!) Zresztą i wszystko, com opisywał dotąd, pozornie z taką zbyteczną drobiazgowością - wszystko to ma swój cel i w przyszłości się przyda. We właściwym miejscu wszystko się przypomni. Nie umiałem tego uniknąć, a jeśli to jest nudne, to proszę nie czytać.

Zupełnie inną osobą była córka Wiersiłowa. Wysoka, chudawa; podłużna i uderzająco blada twarz, ale włosy czarne, wspaniałe; oczy ciemne, duże, spojrzenie głębokie; małe, czerwone wargi świeżych ust. Pierwsza kobieta, która nie wzbudzała wstrętu swoim chodem, zresztą była szczupła i sucha. Wyraz twarzy niezupełnie życzliwy, ale poważny, dwadzieścia dwa lata. Prawie żadnego zewnętrznego podobieństwa z Wiersiłowem, a jednakże jakimś cudem, niezwykle podobieństwo z nim w fizjonomii. Nie wiem, czy ładna - zależy od gustu. Obie ubrane bardzo skromnie, tak, że nie warto opisywać. Czekałem, że zaraz zostanę obrażony jakimś spojrzeniem albo gestem Wiersiłówny, przygotowywałem się. Jej brat przecież obraził mnie w Moskwie przy pierwszym w życiu naszym zetknięciu. Nie mogła znać mnie z twarzy, ale naturalnie słyszała, że przychodzę do księcia. Wszystko, co ksiązę robił lub zamierzał w całym tym tłumie jego krewnych i

„oczekujących”, natychmiast wywoływało zainteresowanie, stawało się wydarzeniem - a tym bardziej jego niespodziewana życzliwość do mnie. Było mi dokładnie wiadome, że ksiązę bardzo się interesował losem Anny Andriejewny i szukał dla niej narzeczonego.

Ale Wiersiłównie trudniej było znaleźć męża, niż tym, co wyszywały na kanwie.

I oto wbrew wszystkim oczekiwaniom, Wiersiłówna, uściskawszy rękę księcia i zamieniwszy z nim jakieś wesole światowe słoweczka, z nadzwyczajną ciekawością spojrzała na mnie i widząc, że ja także na nią patrzę, nagle z uśmiechem ukłoniła mi się. Prawda, że tylko co weszła i ukłoniła się jako wchodząca, ale uśmiech był tak dobry, że najwidoczniej był wcześniej obmyślony. I pamiętam, że doświadczyłem zaraz nadzwyczaj przyjemnego uczucia.

- A to... a to - mój kochany młody przyjaciel, Arkadij Andriejewicz Dół... - wybąkał ksiązę, zauważywszy, że mi się ukłoniła, a ja wciąż siedzę - i nagle zaciął się. Może się zawstydył, że mnie z nią zapoznaje

wybuchłem i podskoczyłem z miejsca: przyplływ dumy, zupełnie bezsensownej, rezultat miłości własnej.

- Przebacz, książę, nie jestem Arkadij Andriejewicz, ale Arkadij Makarowicz - wypaliłem ostro, zupełnie już zapomniawszy, że należałoby odpowiedzieć paniom ukłonem. Niech diabli wezmą tę niezręczną chwilę!

-Ma/s... tlens!* -wykrzyknął książę, uderzywszy się palcem w głowę.

- Gdzie pan się uczył? - rozległo się nade mną głupiutkie i przeciągłe pytanie „bułeczki”, która podeszła wprost do mnie. - -r

- W Moskwie, w gimnazjum. ‘ >

- A, słyszałam. I cóż, czy tam dobrze uczą?

- Bardzo dobrze.

Ciągle stałem i mówiłem jak żołnierz na raporcie. Pytania tej panny były bezsprzecznie niewyszukane, ale jednakowoż znalazła się zrećnie, aby zatuszować mój głupi wyskok i ulżyć zmieszaniu księcia, który już tymczasem słuchał z wesołym uśmiechem jakiegoś wesołego szeptania na ucho Wiersiłówny, najwidoczniej nie o mnie. Pytanie, dlaczego ta panna zupełnie mi nieznajoma, pokwapiła się zatrzeć mój głupi wyskok i jego następstwa.

Jednocześnie nie można sobie było wyobrazić, że zwracała się do mnie tylko tak, w tym ukryty był zamysł. Patrzyła na mnie zbyt ciekawie, jak gdyby chciała, abym i ja ją jak najwięcej zapamiętał.

Wszystko to uświadomiłem sobie już potem i nie omyliłem się.

- Jak to, czyż to dzisiaj? - krzyknął nagle książę, zrywając się z miejsca.

- Więc pan nie wiedział? - zdziwiła się Wiersiłówna. - Olimpio! Książę nie wiedział, że Katarzyna Nikołajewna dziś będzie. Myśmy do niej właśnie jechały, myślałyśmy, że przyjechała już rannym pociągiem i od dawna jest w domu. Tylko co spotkałyśmy się przed gankiem i

powiedziała nam, byśmy poszły do pana, a sama tu zaraz przyjdzie... A, otóż i ona!

Otworzyły się boczne drzwi i ukazała się ta kobieta.

Znałem już jej twarz ze świetnego portretu, który wisiał w gabinecie księcia, uczyłem się na pamięć tego portretu przez cały miesiąc. Spędziłem przy niej w gabinecie trzy minuty i na ani jedną sekundę nie oderwałem oczu od jej twarzy. Ale jeżeli bym nie był znał portretu i po

‘ Też coś

tych trzech minutach spytano by mnie: „jaka ona jest?” - nic bym nie odpowiedział, bo wszystko we mnie zasnęła mgła.

Pamiętam tylko, z tych trzech minut jakąś naprawdę piękną kobietę, którą księżę całował i błogosławił dłonią i która nagle zaczęła bystro patrzeć - jak tylko weszła - prosto na mnie.

Wyraźnie usłyszałem, jak księżę oczywiście wskazawszy na mnie, wymruczał coś z lekkim uśmiechem o nowym sekretarzu i wymówił moje nazwisko. Jej twarz jakby się ściągnęła, brzydsko spojrzała na mnie i uśmiechnęła się tak bezczelnie, że nagle postąpiłem krok naprzód, podszedłem do księcia i wybełkotałem, drżąc strasznie, nie kończąc żadnego wyrazu, zdaje się, stukając zębami!

- Teraz... ja mam teraz swoje sprawy... wychodzę.

Odwróciłem się i wyszedłem. Nikt nie powiedział do mnie słowa, nawet księżę; wszyscy tylko patrzyli. Księżę opowiedział mi później, że tak pobladał, iż on „po prostu zląkł się”.

Ale nie ma zmartwienia!

ROZDZIAŁ TRZECI

I rzeczywiście nie było zmartwienia, pewna wyższa myśl pochłaniała wszystkie drobiazgi, a jedno potężne uczucie wynagradzało mnie za wszystko. Wszedłem w jakimś zachwyceniu. Stąpiwszy na ulicę gotów byłem śpiewać. Jakby umyślnie ranek był prześliczny: słońce, przechodnie, hałas, ruch, radość, tłum. Co, czyż mnie nie obraziła ta kobieta? Od kogo zniósłbym takie spojrzenie i tak bezczelny uśmiech bez najmniejszego protestu, choćby najgłupszego - wszystko jedno - z mojej strony? Zauważcie, że już z tym jechała do księcia, żeby mi czym prędzej ubliżyć, mimo że nigdy dotąd mnie nie widziała. W jej oczach byłem „nasłany przez Wiersiłowa”, a ona była przekonana już wtedy i długo potem, że Wiersiłow trzyma w swoich rękach cały jej los i że w postaci pewnego dokumentu, ma środki, mogące, jeśli tylko zechce, zgubić ją natychmiast; podejrzewała to w każdym razie. Był to pojedynek na śmierć i życie! A oto -ja nie czułem się obrażony! Obraza była, ale jej nie odczułem. Gdzież tam! Byłem nawet rad. Przyjechałem nienawidzić, a czułem nawet, że zaczynam ją lubić. „Nie wiem, czy pająk może nienawidzić muchy, którą omotał i chwytą. Milutka muszka! Zdaje mi się, że ofiary swoje się lubi, w każdym razie można lubić. Przecież oto lubię mojego wroga; na przykład bardzo mi się podoba, że jest taka piękna. Bardzo mi się podoba, wielmożna pani, żeś taka wyniosła i wspaniała, i gdybyś pani była skromniejsza, nie byłoby takiej przyjemności. Splunęła pani na mnie, a ja triumfuję; gdyby pani trafiła mi w twarz prawdziwą plwociną, być może nie gniewałbym się, ponieważ to pani jest moją ofiarą, moją a nie jego. Jakże czarująca jest ta myśl! Nie, tajna świadomość potęgi znacznie jest przyjemniejsza od jawnego panowania. Gdybym był stumilionowym bogaczem, prawdopodobnie znajdowałbym przyjemność w chodzeniu w najstarszym ubraniu i żeby mnie uważano za najbardziej mizernego człowieczka, niemalże żebraka, żeby mnie popychano i lekceważono: wystarczyłaby mi tylko sama

świadomość.”

Oto jakbym wytłumaczył ówczesne myśli i radość moją i wiele z tego, co czułem. Dodam tylko, że tu, w teraz napisanym, wyszło mi bardziej lekkomyślnie: naprawdę byłem głębszy i bardziej wstydlivy.

Być może, gdzieś w głębi, jestem teraz bardziej wstydlivy niż w słowach i czynach moich, daj Boże!

Być może bardzo źle zrobiłem, że siadłem do pisania: wewnątrz o wiele więcej zostaje niż to, co wychodzi w słowach. Wasza myśl, choćby nawet niemądra, póki jest przy was - zawsze jest głęboka, a w słowach - bardziej śmieszna i hańbiąca. Wiersiłow powiedział mi, że na odwrót bywa tylko u niedobrych ludzi. Ci tylko kłamią, lekko im; a ja staram się pisać całą prawdę: to straszliwie ciężko!

W tę datę, dziewiętnastego, uczyniłem jeszcze jeden „krok”.

Pierwszy raz od przyjazdu znalazły się w mojej kieszeni pieniądze, ponieważ zaoszczędzone w ciągu dwóch lat sześćdziesiąt rubli oddałem matce, o czym wspomniałem wyżej; lecz już kilka dni temu postanowiłem, w dzień wypłaty, uczynić „próbę”, o jakiej dawno marzyłem. Jeszcze wczoraj wyciąłem z gazety adres - ogłoszenie „komornika przy petersburskim sądzie” itp., itp. o tym, że

„dziewiętnastego września, o dwunastej rano, kazańskiego cyrkułu, takiego to obwodu itd., itd., w domu nr taki a taki będzie sprzedawana ruchoma własność pani Le-brecht” i że „opis, wycenę i sprzedawaną własność można obejrzeć w dzień sprzedaży” itd., itd.

Dochodziła druga. Pospieszyłem pod wskazany adres na piechotę. Mija już trzeci rok, jak nie jeżdżę dorożkami - takie dałem słowo (inaczej nie zaoszczędziłbym sześćdziesięciu rubli). Nigdy nie chodziłem na aukcje, jeszcze nie „pozwaliałem” sobie na to; i mimo że terazniejszy „krok” mój był jedynie „próbny”, postanowiłem użyć go dopiero wtedy, gdy skończę z gimnazjum, kiedy zerwę ze wszystkimi, kiedy zaszyję się w skorupie i będę zupełnie wolny.

Co prawda, wciąż jeszcze nie byłem w „skorupie” i wciąż jeszcze nie byłem wolny. Ale przecież krok postanowiłem uczynić w postaci próby - tak tylko, żeby przyjrzeć się, niemal jak pomarzyć, a potem już nie przychodzić być może długo, aż do czasu, gdy wszystko zacznie się na 44

poważnie. Dla wszystkich była to tylko malutka, głupia aukcja, a dla mnie - ta pierwsza belka okrętu, na którym Kolumb popłynął odkrywać Amerykę. Oto moje ówczesne odczucia.

Po przybyciu na miejsce przeszedłem do wgłębienia podwórza zaznaczonego w ogłoszeniu domu i wszedłem do mieszkania pani Le-brecht. Mieszkanie składało się z przedpokoju i czterech niedużych, niewysokich pokoi. W pierwszym pokoju stał tłumek około trzydziestu ludzi. Połowę spośród nich stanowili licytujący, a inni z wyglądu byli gapiami, albo amatorami widowisk, albo podeślanymi przez panią Le-brecht. Byli tu i kupcy, i Żydzi, łaszący się na rzeczy ze złota i kilku ludzi, z tych ubranych „czysto”. Nawet fizjonomie niektórych z tych panów wbiły mi się w pamięć.

W pokoju na prawo w otwarte drzwi wstawiony był stół, tak, że do tego pokoju nie można było wejść, na stole leżały opisywane i sprzedawane rzeczy. Na lewo był inny pokój, lecz drzwi do niego były przymknięte, choć i otwierały się co chwila na maleńką szczelinę, przez którą ktoś popatrywał - zapewne ktoś z licznej rodziny pani Lebrecht, której, naturalnie, w tym czasie bardzo było wstyd. Za stołem, twarzą do publiczności, siedział na krześle pan komornik i prowadził

wyprzedaż. Zastałem już całą sprawę prawie w połowie; wszedłem i przecisnąłem się do samego stołu. Sprzedawano lichtarze z brązu. Zacząłem patrzeć.

Patrzyłem i jednocześnie zacząłem myśleć: co mógłbym tu kupić? I gdzie podzięję brązowe świeczniki i czy się uda to, na co liczę? I czy nie dziecinne było moje wyrachowanie? Myślałem o tym wszystkim i oczekiwałem. Wrażenie było jak przy stole gry w chwili, kiedy gracz jeszcze nie postawił na kartę, ale podszedł z zamiarem postawienia: „zechcę - postawię, zechcę - odejdę, moja wola”. Serce jeszcze nie bije, ale jakby z lekka zamiera i drży. Uczucie nie pozbawione przyjemności. Ale niezdecydowanie szybko zaczyna ciążyć, ślepnie się jakby: wyciąga się rękę, bierze się kartę, ale machinalnie, prawie wbrew woli, jakby ręką powodował ktoś inny. Na koniec zdecydowaliście się i stawiacie - tu już wrażenie jest zupełnie inne, wielkie. Nie piszę o licytacji, tylko o sobie: komuż innemu może bić serce na licytacji?

Byli tacy, co się gorączkowali, byli tacy, co milczeli i wyczekiwali, byli - którzy kupili i żalowali.

Nawet zupełnie nie było mi żal jakiegoś pana, który przez omyłkę, nie dosłyszawszy kupił dzbanek na mleko platerowany zamiast srebrnego, zamiast za dwa ruble, za pięć - nawet zrobiło mi się bardzo wesoło.

45

Komornik zmieniał przedmioty: po świecznikach zjawily się kolczyki, po kolczykach haftowana safianowa poduszka, po niej szkatułka -prawdopodobnie dla urozmaicenia, albo stosownie do życzeń licytantów. Nie wystąłem nawet dziesięciu minut, przysunąłem się do poduszki, potem do szkatułki, ale w ostatniej chwili za każdym razem coś mnie powstrzymywało.

Przedmioty te wydawały mi się zupełnie niemożliwe. Na koniec w rękach komornika znalazł się album:

- Album domowy, w pąsowym safianie, podniszczony, z rysunkami akwarelą i tuszem, w futerale z rzeźbionej kości słoniowej ze srebrnymi klamerkami - cena dwa ruble!

Podszedłem. Przedmiot na pozór wykwinny, lecz w rzeźbie kościanej w jednym miejscu była szczerba. Ja jeden podszedłem popatrzeć, wszyscy milczeli i konkurentów nie było. Mogłem być

otworzyć klamerki i wyjąć album z futerału, ale nie skorzystałem z mego prawa, tylko machnąłem ręką: „Niech tam, wszystko jedno!”

- Dwa ruble pięć kopiejek - powiedziałem, znów zdaje się stukając zębami.

Nikt mnie nie przebił. Zaraz wyjąłem pieniądze, zapłaciłem, schwyciłem album i uciekłem w kąt pokoju. Tam wyjąłem go z futerału i drżąc jak w febrze, pospiesznie zacząłem oglądać: nie licząc futerału był to najlichszy przedmiot w świecie - albumik rozmiaru kartki papieru listowego, małego formatu, cieniutki, ze złotymi, wytartymi brzeżkami -kropla w kroplę taki, jakich używały w dawnych czasach panny po świeżo ukończonym instytutcie. Tuszem i farbami narysowane były świątynie na górze, chmura, staw z pływającymi łabędziami, były też wierszyki:

W daleką drogę się udaję Na długo z Moskwą się rozstaję, Na długo żegnam to, co mile, Na Krym gnam pocztą ile siły.

Jednakże utrwaliły się te wiersze w mojej pamięci! Zdecydowałem, że wpadł i jeśli komu czego nie potrzeba, to właśnie tego.

„To nic - zdecydowałem - pierwszą kartę zawsze się przegrywa; to nawet dobra wróżba!

Było mi zdecydowanie wesoło.

- Ach, spóźniłem się, pan nabył? - rozległ się koło mnie głos pana w niebieskim palcie, okazałego i dobrze ubranego. Spóźnił się.

46

- Spóźniłem się. Ach, jaka szkoda! Za ile? ;;;

- Dwa ruble, pięć kopiejek. , :

- Ach, jaka szkoda! Pan by nie odstąpi}?

- Wyjdźmy - szepnąłem mu, martwiejąc. Wyszliśmy na schody.

- Odstąpię panu za dziesięć rubli - powiedziałem, czując chłód w plecach.

- Dziesięć rubli! Zmiłuj się pan! Co pan!

- Jak pan chce.

Wytrzeszczył na mnie oczy: byłem ubrany przyzwoicie, zupełnie nie wyglądałem na Żyda, ani na handlarza.

- Zlituj się pan, to przecież nędzny album, komu on potrzebny? Futerał w rzeczywistości przecież nic nie wart. Przecież pan go nikomu nie sprzeda!

- Pan przecież kupuje.

- Ale ja przecież ze specjalnych względów... dopierom się wczoraj dowiedział... Przecież ja jeden reflektuję. Zmiłuj się pan, co pan...

- Powinienem był żądać dwudziestu pięciu rubli, ale ponieważ jest tu jednak ryzyko, że pan się cofnie, więc zażądałem dla pewności tylko dziesięć rubli. Nie opuszczę ani kopiejki.

Odwrociłem się i odszedłem.

- Niech pan weźmie cztery ruble - dopędził mnie na dworze - no, pięć!...

Milczałem i szedłem dalej.

- Masz pan, bierz! - wyjął dziesięć rubli, a ja oddałem album.

-Ale zgódź się pan, że to nieuczciwe! Dwa ruble i - dziesięć, prawda?

- Dlaczego nieuczciwie? Handel!

- Jakiż tu handel - irytował się.

- Gdzie jest popyt, tam i handel. Gdyby pan nie zapotrzebował, nie dostałbym nawet czterdziestu kopiejek.

Mimo że nie zanosilem się od śmiechu i byłem poważny, ale w duszy śmiałem się, śmiałem się nie tyle z radości, ile sam nie wiem z czego, aż się nieco zadyszałem.

- Posłuchaj pan - mruknąłem wzburzony, ale przyjaźnie i życzliwie - posłuchaj pan: kiedy nieboszczyk James Rotschild, paryski, ten który pozostawił tysiąc siedemset milionów franków (on kiwnął głową), jeszcze w młodości, kiedy przypadkowo dowiedział się kilka godzin wcześniej niż wszyscy o zabójstwie księcia Berry, natychmiast czym prędzej

47

dal znać o tym komu należało i na tej samej sztuczce w jednej chwili zarobił wiele milionów - oto jak ludzie robią!

- To pan jesteś Rotschild, czy jak? - krzyknął na mnie ze zgorzeniem, jak na głupca.

Wyszedłem szybko z domu. Jeden krok i siedem rubli dziewięćdziesiąt pięć kopiejek zarobiłem!

Krok był bezsensowny, dziecinna zabawka, zgadzam się, ale bądź co bądź zgadzał się z moją myślą i nie mógł nie poruszyć mnie głęboko... Zresztą nie ma co opisywać uczuć.

Dziesięćrublówka była w kieszeni od kamizelki. Wsunąłem dwa palce, by jej dotknąć i tak już szedłem nie wyjmując ręki. Odszedłem sto kroków ulicą, wyjąłem ją, by popatrzeć, popatrzyłem i chciałem pocałować. Wtem pod bramą zaturkotała karetą, szwajcar otworzył drzwiczki, a z domu wyszła, by wsiąść do karety wspaniała dama, młoda, piękna, bogata, w jedwabiach i aksamitach z dwuarszynowym trenem. Nagle maleńki ładny portfelik wypadł jej z ręki i upadł na ziemię; wsiadła; lokaj pochylił się, by podnieść przedmiot, ale ja szybko podskoczyłem, podniosłem i wręczyłem damie, uchylwszy kapelusza (kapelusz - cylinder, byłem niezłe ubrany, jak na młodzieńca). Dama z umiarkowaniem, ale też z bardzo uprzejmym uśmiechem, odezwała się do mnie: *Merci, mon-sieur***. Karetą zaturkotała.

Pocałowałem dziesięćrublówkę.

iii

Tegoż dnia miałem się widzieć z Jefimem Zwieriewem, jednym z byłych kolegów gimnazjalnych, który porzuciwszy gimnazjum wstąpił w Petersburgu do wyższej szkoły specjalnej.

On sam nie wart jest opisywania i nie byłem z nim w specjalnie przyjacielskich stosunkach, ale w

Petersburgu odszukałem go. Mógł (z różnych względów, o których także niewarto opowiadać) podać natychmiast adres niejakiego Krafta, nadzwyczaj potrzebnego mi człowieka, kiedy tylko ten powróci z Wilna. Zwieriew oczekiwał go dziś mianowicie lub jutro, o czym dał mi znać przed trzema dniami. Trzeba było iść aż na Petersburską stronę, ale nie czułem zmęczenia.

Zwieriewa (miał on także dziewiętnaście lat), zastałem na podwórzu domu jego ciotki, u której czasowo zamieszkiwał. Tylko co zjadł obiad

dziękuję panu

48

i chodził po podwórzu na szczudłach. Zaraz też zawiadomił mnie, że Kraft przyjechał jeszcze wczoraj i zatrzymał się w dawnym mieszkaniu, obok, na Petersburskiej i że sam pragnie jak można najprędzej mnie zobaczyć, ażeby niezwłocznie oznajmić coś ważnego.

- Gdzieś tam znowu wyjeżdża - dodał Jefim.

Ponieważ widzenie się z Kraftem w obecnych okolicznościach było dla mnie bardzo ważne, poprosiłem Jefima, by zaprowadził mnie zaraz do jego mieszkania, które, jak się okazało, było o dwa kroki gdzieś w zaułku. Ale Zwieriew powiedział, że godzinę temu spotkał go, idącego do Diergaczowa.

- No to chodźmy do Diergaczowa, czemu się wciąż wykręcasz, tchórzysz?

Faktycznie, Kraft mógł się zasiedzieć u Diergaczowa, a wtedy gdzie miałem nań czekać? Nie tchórzyłem, ale nie chciałem iść do Diergaczowa, pomimo że Jefim ciągnął mnie tam już trzeci raz.

A przy tym „tchórzysz” wymawiał zawsze z paskudnym uśmiechem pod moim adresem. To nie było tchórzostwo, oświadczam zawczasu, a jeżeli się bałem, to zupełnie czego innego. Tym razem zdecydowałem się pójść; to było także o dwa kroki.

Po drodze spytałem Jefima, czy ciągle jeszcze ma zamiar uciekać do Ameryki.

- Może i zaczekam jeszcze - odpowiedział z lekkim uśmiechem.

Nie bardzo go lubiłem, nawet nie lubiłem go zupełnie.

Miał bardzo jasne włosy, pełne, zbyt białe policzki, aż nieprzyzwoicie białe, po dziecinnemu, a wzrostem był nawet ode mnie wyższy, ale nie można mu było dać więcej niż siedemnaście lat. Nie było z nim o czym rozmawiać.

- A cóż tam? Czy ciągle tłok? - zapytałem dla informacji.

- I czegoż ty ciągle tchórzysz? - znowu zaśmiał się.

- Idź do diabła - rozżłościłem się.

- Wcale nie tłok. Przychodzą tylko znajomi i to sami swoi, bądź spokojny.

- A diabła mi do tego, swoi, czy nie swoi! A ja, czy jestem swój? Dlaczego mają mi dowierzać?

- Ja ciebie przyprowadziłem, to wystarczy. Zresztą słyszeli o tobie. Kraft może także za tobą poświadczyć.

- Słuchaj, czy tam będzie Wasin?

- Nie wiem.

49

- Jeśli będzie, to jak tylko wejdziemy, trąc mnie i pokaż Waskła; jak tylko wejdziemy, słyszysz?

O Wasinie słyszałem wiele i od dawna mnie interesował.

Diergaczow mieszkał w małej oficynie w podwórzu drewnianego domu pewnej kupcowej, ale za to zajmował całą tę oficynę. Były wszystkiego trzy przyzwoite pokoje. We wszystkich czterech oknach story były opuszczone. Diergaczow był technikiem i miał w Petersburgu posiadłość. Słyszałem mimochodem, że mu się trafiało dobre prywatne miejsce na prowincji i że się już tam wybiera.

Ledwośmy weszli do maleńkiego przedpokoju, gdy dały się słyszeć głosy: zdaje się dyskutowano gorąco i ktoś krzychał:

„Quae medicamenta non sanant - ferrum sanat, quae ferrum non sanat - ignis sanat!”*

Byłem faktycznie nieco zaniepokojony. Naturalnie, nie przywykłem do towarzystwa, jakie by nie było. W gimnazjum byłem z kolegami na „ty”, ale z nikim prawie się nie przyjaźniłem; stworzyłem sobie kąć i żyłem w kącie.

Ale nie to mnie krępowało. Na wszelki wypadek dałem sobie słowo nie wdawać się w dysputę i mówić tylko rzeczy niezbędne, tak, żeby nikt o mnie nic nie mógł wywnioskować, przede wszystkim - nie dyskutować.

W pokoju aż nazbyt małym, było siedmiu mężczyzn - z paniami dziesięć osób. Diergaczow miał

dwadzieścia pięć lat i był żonaty. Żona miała siostrę i jeszcze kuzynkę, one także mieszkały u Diergaczowa. Pokój był umeblowany jako tako, zresztą wystarczająco, a nawet było w nim czysto.

Na ścianie wisiał portret litografowany, ale bardzo tani, a w kącie święty obraz bez sukienki, lecz z płonąca lampką. Diergaczow podszedł do mnie, podał rękę i poprosił, żebym usiadł.

- Siadaj pan, tu sami swoi.

- Niech pan będzie łaskaw - dodała zaraz ładniutka młoda kobieta, bardzo skromnie ubrana i z lekka mi się ukloniwszy, zaraz wyszła.

Była to jego żona, widocznie także brała udział w dyskusji, a teraz wyszła karmić dziecko. Ale w pokoju pozostały jeszcze dwie panie: jedna bardzo niedużego wzrostu, lat dwudziestu, w czarnej sukni, także niebrzydka, a druga lat trzydziestu, chuda i bystrooka. Siedziały zasłuchane, ale w rozmowie nie brały udziału. (tac.) „Czego leki nie uzdrawiają, leczy skalpel, czego skalpel nie uleczy, uzdrawia przeżegnanie!

50

Co się tyczy mężczyzn, to wszyscy stali, siedzieli tylko oprócz mnie Kraft i Wasin. Pokazał mi ich zaraz Jefim, ponieważ Krafta również widziałem po raz pierwszy w życiu. Wstałem z miejsca i podszedłem, by się z nimi zapoznać. Twarzy Krafta nigdy nie zapomnę: żadnej specjalnej urody, ale coś jakby bardzo łagodnego i delikatnego, jakkolwiek przebijało się poczucie własnej godności.

Miał dwadzieścia sześć lat, był dosyć szczupły, wzrostu więcej niż średniego, jasnowłosy, twarz poważna, ale łagodna; było coś szczególnie spokojnego w nim całym. A jednak, gdyby mi zaproponowano, nie zamieniłbym mojej twarzy, może nawet bardzo pospolitej, na jego, która wydała mi się tak pociągająca. Było coś takiego w jego twarzy, czego nie pragnąłbym mieć w swojej, coś już zbyt spokojnego w sensie moralnym, coś w rodzaju ukrytej, nieświadomej dumy.

Zresztą wówczas tak go chyba nie osądzałem, teraz dopiero tak mi się wydaje, to znaczy już po fakcie.

- Bardzo mi rad, że pan przyszedł - powiedział Kraft. - Mam pewien list, który pana dotyczy.

Posiedzimy tutaj, a potem pójdziemy do mnie.

Diergaczow był średniego wzrostu, barczysty, silny brunet z dużą brodą, w jego spojrzeniu widać było roztropność i opanowanie we wszystkim, pewną bezustanną ostrożność. Chociaż przeważnie milczał, lecz najwidoczniej kierował rozmową. Powierzchność Wasina nie uderzyła mnie niczym, chociaż słyszałem o nim jako o nadzwyczaj mądrym człowieku; jasnowłosy z

światlistoszarymi, dużymi oczami, twarz otwarta, ale jednocześnie było w nim coś jakby zbyt twardego; przeczuwało się, że nie jest zanadto wylewny, ale spojrzenie miał zdecydowanie mądre.

Mądrzejsze od spojrzenia Diergaczowa, głębsze, mądrzejsze niż u wszystkich w pokoju. Zresztą, być może dziś wszystko wydaje się wyolbrzymione. Spośród pozostałych przypominam tylko dwie osobistości: wysokiego, smagłego mężczyznę z czarnymi bokobrodami, dużo mówiącego, lat dwadzieścia siedem, nauczyciela, czy kogoś w tym rodzaju i jeszcze młodego chłopca w moim wieku, w rosyjskiej kapocie - twarz ze zmarszczką, milcząca - przysłuchującego się. Okazało się że pochodzi z chłopów.

- Nie, to nie tak należy stawiać problem - zaczął, prawdopodobnie kontynuując dawniejszy spór, nauczyciel z czarnymi bokobrodami. - O dowodach matematycznych nie mówię, lecz jest to idea, w którą gotów jestem wierzyć bez matematycznych dowodów...

- Zaczekaj, Tichomirow - głośno przerwał mu Diergaczow. - Ci, co weszli, nie rozumieją. To, widzi

pan - nagle zwrócił się do mnie jednego (przyznam się, jeśli miał zamiar

przeegzaminować mnie lub zmusić do

51

i

mówienia, to chwyt był bardzo zręczny z jego strony; natychmiast to poczułem i przygotowałem się).

- Widzi pan, oto pan Kraft, dobrze już nam wszystkim znany i z jakości charakteru, i z solidności przekonań. Na podstawie zwykłego faktu doszedł on do niezwykłego wniosku, czym wszystkich nas zdziwił. Wywiódł, że rosyjski naród jest narodem drugorzędnym...

- Trzeciorzędnym - krzyknął ktoś.

- ...drugorzędnym, któremu wypadło służyć za materiał dla bardziej szlachetnego plemienia, a nie mieć samodzielnej roli w dziejach ludzkości. Z uwagi na ten, być może nawet sprawiedliwy wywód, pan Kraft doszedł do wniosku, że wszelka działalność każdego rosyjskiego człowieka zostanie przez taką ideę sparaliżowana, że tak powiem, wszyscy powinni opuścić ręce i...

- Pozwólże, Diergaczow, to nie tak należy formułować - znowu podchwycił niecierpliwie Tichomirow (Diergaczow natychmiast ustąpił) . - Z uwagi na to, że Kraft przeszedł poważne studia, wywiódł wywody na podstawie fizjologii, które uznaje za matematyczne i poświęcił być może całe dwa lata na swoją ideę (którą spokojnie przyjąłbym a priori), z uwagi na to, to jest z uwagi na obawy i powagę Krafta, sprawa ta objawia się w postaci fenomenu. Z tego rodzi się problem, którego Kraft rozumieć nie może, i tym właśnie trzeba się zająć, to jest

nierozumieniem. Krafta, ponieważ to jest fenomen. Trzeba zdecydować, czy jest to fenomen kliniczny, jako jednostkowy przypadek, czy jest to właściwość, która może normalnie powtarzać się u innych. Jest to ciekawe w postaci powszechnej sprawy. Co do Rosji - uwierzę Kraftowi i nawet powiem, że jestem rad. Gdyby ta idea była przyswojona przez wszystkich, to rozwiązała by ręce i uwolniła wielu ludzi od patriotycznego przesądu...

- Ja nie z pobudek patriotycznych - powiedział Kraft jakby z jakimś napięciem. Wszystkie te debaty nie sprawiały mu, jak się zdaje, przyjemności.

- Patriotyzm, czy nie, to można pominąć - wyrzekł Wasin, dotąd milczący.

- Lecz w czym, powiedzcie, wywód Krafta może osłabić dążenie do ogólnoludzkiej sprawy? -

krzyczał nauczyciel (on jeden tylko krzyczał, pozostali mówili cicho). - Niech nawet Rosji sążone jest być drugorzędnym krajem; można przecież pracować nie dla jednej Rosji. I oprócz tego, jakże Kraft może być patriotą, jeśli przestał wierzyć w Rosję?

- A do tego jeszcze - Niemiec - dorzucił znowu ktoś.

52

- Jestem Rosjaninem - powiedział Kraft.

- Ten problem nie odnosi się wprost do sprawy - zauważył Diergaczow.

- Opuśćcie wąskie ramy waszej idei - nie słuchał nikogo Tichomirow. - Jeśli Rosja jest tylko surowcem dla bardziej szlachetnych plemion, dlaczego właśnie nie miałyby służyć jako ten surowiec? Jest to rola zupełnie jeszcze godziwa. Dlaczego nie skoncentrować się na tej idei z uwagi na rozszerzenie zadań? Ludzkość w przeddzień swego przeistoczenia się, które już się zaczęło. Czekające nas zadanie odrzucają tylko ślepcy. Zostawcie Rosję, jeśli przestaliście w nią wierzyć i pracujcie dla przyszłości - dla przyszłości jeszcze nieznanego narodu, lecz który wyłoni się jednak z całej ludzkości, bez rozróżniania plemion. I bez tego Rosja kiedyś by umarła. Narody nawet najzdolniejsze żyją wszystkiego po półtora, najwyżej po dwa tysiące lat, ale tu, czy to nie wszystko jedno: dwa tysiące, czy dwieście lat? Rzymianie nie przeżyli nawet półtora tysiąca lat w pełni żywotności... i obrócili się także w tworzywo. Dawno ich nie ma, ale pozostawili ideę i ona stała się elementem, tkwi nadal w losie ludzkości. Jakże można powiedzieć człowiekowi, że nie ma co robić? Nie mogę sobie wyobrazić sytuacji, żeby kiedykolwiek nie było nic do roboty! Pracujcie dla ludzkości, a o resztę nie troszczcie się! Pracy jest tak wiele, że życia nie wystarczy, jeśli się uważnie rozejrzeć.

- Należy żyć według prawa natury i prawdy - dorzuciła spoza drzwi pani Diergaczowa. Drzwi były odrobinę uchylone i widać było, jak stała, trzymając dziecko przy piersi, z piersią przykrytą i przysłuchiwała się gorliwie.

Kraft słuchał, uśmiechając się z lekka i wyrzekł na koniec, sprawiając przy tym wrażenie zmęczonego, z dużą szczerością:

- Nie rozumiem, jak można, będąc pod wpływem jakiegokolwiek panującej myśli, której podporządkowuje się całkowicie umysł nasz i serce, żyć jeszcze cokolwiek poza tą myślą?

- A gdyby nam udowodniono logicznie, matematycznie, że dowodzenie jest błędne, że cała myśl jest błędna, że nie mamy najmniejszego prawa wyłączać siebie z powszechnej pożytecznej działalności, dlatego tylko, że Rosja predestynowana jest do roli drugorzędnej, gdyby pokazano, że zamiast wąskiego horyzontu, otwiera się przed nami nieskończoność, że zamiast wąskiej idei patriotyzmu...

- E - spokojnie machnął ręką Kraft - przecież powiedziałem wam, że tu nie chodzi o patriotyzm.

53

- Tutaj oczywiście jest nieporozumienie - wtrącił się nagle Wasin. - Błąd polega na tym, że Kraft nie tylko przeprowadził wywód logiczny, ale że tak powiem, wywód ten stał się jego przeświadczeniem. Nie wszystkie natury są jednakowe. U wielu z nas logiczne dowodzenie przeobraża się niekiedy w bardzo silne uczucie, które ogarnia całą istotę i które bardzo trudno wyplenić lub przerobić. Żeby wyleczyć takiego człowieka trzeba w takim wypadku zmienić samo uczucie, co jest możliwe nie inaczej, jak zastępując je innym, równie silnym. To jest zawsze trudne, a w wielu wypadkach niemożliwe.

- Błąd! - wykrzyknął oponent. - Dowodzenie logiczne już jako takie niszczy uprzedzenia. Rozumne przeświadczenie rodzi także uczucie. Myśl wynika z uczucia i z kolei wszedłszy do psychiki człowieka tworzy nowe uczucie.

- Ludzie są bardzo wrażliwi. Jedni z łatwością zmieniają uczucia, inni z trudnością - odpowiedział

Wasin, jakby nie chcąc przedłużać sporu, ale ja byłem zachwycony tą jego myślą.

- Rzecz się ma właśnie tak, jak pan powiedział! - zwróciłem się nagle do niego, przełamując lody i zaczynając mówić. - Właśnie trzeba na miejsce uczucia dać inne, aby je zastąpić. W Moskwie...

cztery lata temu... pewien generał... Widzi pan, nie znałem go, ale... Być może, on sam nie wzbudzał szacunku... I przy tym sam fakt mógł wydać się nedorzecznym, ale... Zresztą, jemu, widzicie, umarło dziecko, to jest właściwie dwie dziewczynki, jedna za drugą na szkarlatynę. I cóż, tak go to nagle przybiło, że ciągle smucił się, smucił się tak, że nie można było nań patrzeć i skończyło się tym, że umarł blisko pół roku potem. Że z tego umarł, to fakt! Czym zdawałoby się, można go było wskrzesić? Odpowiedź - równie silnym uczuciem! Trzeba mu było wykopać z mogiły te dwie dziewczynki i dać mu; otóż i wszystko - to znaczy coś w tym rodzaju. No i umarł. A tymczasem można mu było przytoczyć świetne dowody, że życie jest niepewne, że wszyscy są śmiertelni, przed -stawić mu statystykę z kalendarza, ile dzieci umiera na szkarlatynę... Był emerytem...

Zatrzymałem się dysząc i rozglądając naokoło.

- To zupełnie nie to - odezwał się ktoś.

- Zacytowany przez pana fakt, chociaż nie jest jednorodny z danym przypadkiem, lecz mimo wszystko podobny i wyjaśnia sprawę - zwrócił się do mnie Wasin.

IV

Tu powinienem przyznać się, dlaczego zachwycił mnie argument Wasina na temat „idei-uczucia”, a razem z tym powinienem przyznać się do piekielnego wstydu. Tak, tchórzyłem przed pójściem do Diergaczowa, chociaż nie z tej przyczyny, jaką przypuszczał Jefim. Tchórzyłem dlatego, że jeszcze w Moskwie ich się obawiałem. Wiedziałem, że oni (to znaczy oni albo inni w tym rodzaju -

wszystko jedno) - to dialektycy; że są w stanie rozbić „moją ideę”. Twardo byłem przekonany, że idei mojej nie wydam i im nie powiem; lecz (znowu oni lub ktoś w ich rodzaju) mogli mi powiedzieć coś, co rozczarowałyby mnie do mojej idei, nawet im o niej nie mówiąc. W „mojej idei” były problemy przeze mnie nie rozwiązane, lecz nie chciałem, by ktokolwiek rozwiązywał je, oprócz mnie. W ciągu ostatnich dwóch lat przestałem nawet czytać książki, obawiając się, że natknę się na jakieś miejsce przeciwstawiające się „idei”, które by mną wstrząsnęło. I nagle Wasin rozwiązuje zadanie i uspokaja mnie w wyższym sensie. W samej rzeczy, czegoż to się tak obawiałem i co mogli mi zrobić jakąś, jaka by nie była, dialektyką? Być może tylko ja jeden tam pojąłem, co Wasin mówił o „idei-uczuciu”! To za mało, by obalić piękną ideę, należy ją ponadto zamienić na ideę o równorzędnej piękności. W przeciwnym wypadku, nie życząc sobie rozstania z uczuciem, obalę w moim sercu obalenie, nawet gwałtem. A cóż takiego mogli mi dać w zamian? I dlatego mogę być bardziej odważny, mam obowiązek bycia odważnym. Zachwycając się

poglądami Wasina poczułem wstyd, a sam poczułem się niegodnym dzieciakiem!

Tutaj jeszcze wylazł wstyd. Nie obrzydliwe uczucie pochwalenia się moim rozumem zmusiło mnie u nich do rozbicia lodu i przemówienia, lecz chęć „rzucić się na szyję”. Ta chęć rzucenia się na szyję, żeby uznali mnie za dobrego i zaczęli mnie tulić w objęciach lub coś w tym rodzaju (słowem, świństwo), uważam w sobie za najbardziej ohydne ze wszystkich moich wstydu.

Podejrzywałem to w sobie jeszcze dawno temu, i właśnie od kąta, w którym przytrzymałem siebie tyle lat. Pocieszało mnie tylko jedynie to, że mimo wszystko „idea” pozostała przy mnie, w poprzedniej tajemnicy i że jej im nie wydałem. Zamierając wyobrażałem sobie nieraz, że gdy wypowiem przed kimś moją ideę, wówczas nic mi już nie pozostanie, że będę podobny do wszystkich, a być może w ogóle porzucę ideę. Dlatego strzegłem jej i unikałem gadulstwa. I oto u Diergaczowa nie wytrzymałem pierwszego starcia; niczego nie wydałem, lecz

55

gadałem niedopuszczalnie; wyszedł wstyd. Wspomnienie obrzydliwe! Nie, nie wolno mi żyć z ludźmi, nawet teraz to myślę, czterdzieści lat naprzód to mówię. Moja idea - kątek.

Tylko mnie zdążył Wasin pochwalić, kiedy nagle nie do wytrzymania zachciało mi się mówić.

- Według mnie każdy ma prawo mieć swoje odczucia... jeśli zgodne z przekonaniem... z tym, żeby już nikt nie ganił go za nie - zwróciłem się do Wasina. Chociaż wymówiłem to energicznie, lecz jak gdyby nie ja; w ustach jak gdyby obracał się cudzy język.

- Czyżby? - natychmiast podchwycił z ironią ten sam głos, który przerywał Diergaczowowi i krzyknął

do Krafca, że jest Niemcem.

Uważając go za całkowitą nicość obróciłem się do nauczyciela, jak gdyby to on do mnie krzyknął.

- Moje przekonanie, że nikogo nie mam prawa sądzić - drżałem, czując, że polecę.

- Dlaczegoż to tak tajemniczo? - rozległ się znowu głos nicości.

- Każdy ma swoją ideę - patrzyłem twardo na nauczyciela, który, przeciwnie, milczał i przyglądał mi się z uśmiechem.

- I pan? - krzyknęła nicość.

- Długo by opowiadać... A częściowo moja idea właśnie na tym polega, aby mnie zostawiono w spokoju. Póki mam dwa ruble, chcę sam od nikogo nie zależeć (bądźcie spokojni, znam kontrargumenty) i nic nie robić - nawet dla tej wielkiej przyszłej ludzkości, do pracy, do której wzywano Krafca. Osobista swoboda to jest moja własna, na pierwszym planie, a więcej nic wiedzieć nie chcę.

Błąd polegał na tym, że się rozżłościłem.

- To znaczy, proponuje pan spokój sytej krowy?

- Niech będzie. Za krowę nie ma co się obrażać. Nikomu nic nie jestem winien, płacę społeczeństwu pieniądze w formie podatków skarbowych za to, żeby mnie nie okradli, nie obili i nie zabili, a więcej niech nikt nie śmie ode mnie wymagać. Mam być może także inne idee i zechcę służyć ludzkości, i będę, i może dziesięć razy więcej będę, niżeli apostołowie, ale chcę tylko, żeby tego nikt ode mnie nie śmiał wymagać, zmuszać mnie, jak Krafca. Moja wolna wola, jeżeli nawet palcem nie ruszę. A latać i wieszać się każdemu na szyi z miłości do

człowieczeństwa i płonąć łzami rozczulenia - to tylko moda.

56

I dlaczegoż mam koniecznie kochać mojego bliźniego, albo tę naszą przyszłą ludzkość, której nigdy nie zobaczę, która o mnie nic wiedzieć nie będzie i która ze swej strony spłonie bez śladu i wspomnienia (czas nic tu nie znaczy), kiedy ziemia obróci się z kolei w kamień lodowy i będzie latała w bez-powietrznej przestrzeni z niezliczonym mnóstwem takich samych lodowych kamieni!... Więcej, nic bardziej bezsensownego nie można sobie nawet wyobrazić! Oto wasza nauka! Powiedzcie, dlaczego ja koniecznie mam być wdzięczny, tym bardziej, skoro wszystko trwa jedną chwilkę...

- B-baL. - krzyknął głos.

Wyrzuciłem to wszystko z siebie nerwowo i ze złością, porwawszy wszystkie sznurki. Wiedziałem, że wpadam do jamy, ale się spieszyłem, obawiając się zaprzeczeń. Za dobrze czułem, że sypię niby

przez sito, bez związku, piąte przez dziesiąte moje myśli, ale spieszyłem się przekonać ich i zwyciężyć. To było dla mnie takie ważne. Trzy lata przygotowywałem się! Ale godne było uwagi, że nagle zamilkli, zupełnie nic nie mówili, wszyscy słuchali. Ciągnąłem dalej, stale zwracając się do nauczyciela:

- Właśnie. Pewien bardzo mądry człowiek mówił między innymi, że nie ma nic trudniejszego, jak odpowiedzieć na pytanie: „Dlaczego koniecznie trzeba być szlachetnym?” Widzicie, są trzy rodzaje łajdaków na świecie: łajdacy naiwni, to jest przekonani, że ich podłość jest wielką szlachetnością, łajdacy wstydliwi, to jest wstydzący się własnej podłości, ale ze stanowczym zamiarem trwania w niej i wreszcie po prostu łajdacy, łajdacy czystej krwi. Posłuchajcie, miałem kolegę, Lamberta, który mówił mi, mając szesnaście lat, że jak będzie bogaty, to największą jego przyjemnością będzie karmienie chlebem i mięsem psów, podczas gdy dzieci ubogich będą umierały z głodu; a kiedy ubodzy nie będą mieli czym palić, wówczas kupi cały skład drzewa, złoży na polu i ogrzeje pole, a biednym nie da ani polana. Oto jego uczucia!

Powiedzcie, co mogę odpowiedzieć temu czystej krwi łajdakowi na pytanie: „dlaczego on powinien być koniecznie szlachetny”? I w szczególności teraz, w naszych czasach, któreście tak przerobili, bo gorzej niż teraz, nigdy nie bywało. W naszym społeczeństwie bynajmniej nie jest rozkosznie, panowie. Przecież wy Boga negujecie, bohaterstwo negujecie, jakże więc, inercja głucha, ślepa, tępa, może zmusić, mnie, bym czynił tak, jeżeli korzystniej jest dla mnie inaczej?

Mówicie: „rozsądny stosunek do ludzkości jest także korzyścią dla mnie”; a jeżeli ja uważam wszystkie te mądrości za niemądre, wszystkie te koszary, falangi? Po diabła mi oni i cała przyszłość, skoro ja raz tylko żyję na świecie.

57

Pozwólcie mi samemu wiedzieć, co jest dla mnie korzystniejsze, tak jest weselej. Co mi do tego, co będzie za tysiąc lat z waszą ludzkością, jeżeli według waszego kodeksu nie mam ani miłości, ani życia przyszłego, ani uznania za moje bohaterstwo? Nie, jeśli tak, więc w najbardziej niegrzeczny sposób będę żyć tylko dla siebie, a tam niech się wszystko wali!

- Wspaniałe życzenie!

- Zresztą zawsze jestem gotów razem.

- Jeszcze lepiej! (Wciąż ten sam głos.)

Wszyscy pozostali milczeli, wszyscy patrzyli i przyglądali mi się; lecz po chwili z różnych końców pokoju zaczęło dobiegać chichotanie, jeszcze ciche, ale wszyscy chichotali mi prosto w oczy.

Tylko Wasin i Kraft nie chichotali. Ten z czarnymi bokobrodami też uśmiechał się, wpatrywał się we mnie i słuchał.

- Panowie - drżałem cały. - Za nic nie opowiem wam o mojej idei, lecz was z waszego punktu widzenia zapytam - nie myślcie, że z mojego punktu, ponieważ, być może, tysiąc razy bardziej

kocham ludzkość, niż wy wszyscy, razem wzięci! Powiedzcie-a teraz już macie obowiązek mi odpowiedzieć, ponieważ śmiejecie się - powiedzcie: czym olśnicie mnie, żebym szedł za wami?

Powiedzcie, czym udowodnicie mi, że u was będzie lepiej? Gdzie podziejecie protest mojej osoby w waszych koszarach? Dawno, panowie, chciałem się z wami spotkać! U was będą koszary, wspólne mieszkania, ateizm i wspólne żony bez dzieci - oto wasz finał, przecież wiem.

I za to wszystko, za tę maleńką cząstkę średniej wygody, którą mi zabezpieczy wasza rozumność, za kawałek chleba i ciepło, bierzecie w zamian całą moją osobę! Na przykład: uwiodą mi tam żonę, czy powstrzymacie moją osobę, żebym nie roztrzaskał głowy

przeciwnikowi? Powiecie, że wtedy sam zmądrzeję; ale co żona powie o takim rozumnym mężu, jeśli siebie cokolwiek ceni? Przecież to nienaturalne; wstyďte się!

-A pan jest specjalistą w kobiecej kwestii? - zapytała złośliwie miernota.

Przemknęła mi myśl, żeby rzucić się na niego i zacząć okładać pięściami. Był niewysokiego wzrostu, rudawy i piegowaty... zresztą, niech diabli wezmą jego powierzchowność!

- Niech się pan uspokoi, nigdy jeszcze nie znałem kobiety - odciąłem, obracając się do niego po raz pierwszy.

- Drogocenna informacja, która mogła być bardziej uprzejma, z uwagi na obecność dam!

Ale wszyscy nagle poruszyli się, zaczęli chwycić za kapelusze i chcieli wychodzić - oczywiście, nie z mego powodu, ponieważ nadszedł ich

58

czas; ale to milczące traktowanie przydusiło mnie wstydem. Także zerwałem się.

- Pozwoli pan poznać pańskie nazwisko? Wciąż pan patrzył na mnie - podszedł wtem do mnie nauczyciel z podłym uśmiechem.

- Dołgorukij.

- Książę Dołgorukij?

- Nie, po prostu Dołgorukij, syn byłego poddanego pańszczyźnianego Makara Dołgorukiego i nieślubny syn mojego dawnego dziedzica pana Wiersiłowa. Proszę się nie denerwować, panowie: nie powiedziałem tego, żebyście się rzucali mi na szyję i żebyście zawyli jak cielęta z rozczulenia!

Głośna i bezceremonialna salwa śmiechu sprawiła, że nawet śpiące za drzwiami dziecko obudziło się i zapiszczało. Drżałem z wściekłości. Wszyscy ściskali dłoń Diergaczowowi i wychodzili, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi.

- Pójdźmy - trącił mnie Kraft.

Podszedłem do Diergaczowa, z całej siły ścisnąłem mu dłoń i potrząsnąłem kilkakrotnie także z całej siły.

- Proszę wybaczyć, że was wciąż zaczepiał Kudriumow (to ten ryżawy) - powiedział Diergaczow.

Poszedłem za Kraftem. Niczego się nie wstydzilem.

VI

Oczywiście między mną dzisiejszym i mną ówczesnym - nieskończenie wielka różnica.

Kontynuując „niczego się nie wstydzić” jeszcze na schodach dopędziłem Wasina, zostawiając Krafta jako drugorzędność i z najnaturalniejszą miną, jakby nic się nie stało, zapytałem:

- Pan, zdaje się, zna mego ojca, to jest, chcę powiedzieć, Wiersiłowa?

- Osobiście nie - natychmiast odpowiedział Wasin (i bez najmniejszej tej obrażającej grzeczności, którą stosują ludzie delikatni, mówiąc z kimś, kto tylko co się skompromitował), ale go trochę znam: spotykałem i słyszałem go.

- Jeżeli pan go słyszał, to na pewno zna, bo pan - to pan! Co pan o nim sądzi? Niech mi pan wybaczy zuchwalstwo pytania, ale mnie to jest potrzebne. Mianowicie, co pan sądzi, właśnie pańskie zdanie jest niezbędne.

59

- Wiele ode mnie pan żąda. Zdaje mi się, że ten człowiek jest zdolny stawiać sobie ogromne wymagania i, być może, wypełnić je - ale nie chce odpowiadać przed nikim.

- To słuszne, to bardzo słuszne - to bardzo dumny człowiek! Ale czy to jest czysty człowiek?

Proszę posłuchać, co pan myśli o jego katolicyzmie? Zresztą zapomniałem, że może pan nie wie...

Jeżeli bym nie był tak wzburzony, to rozumie się, nie strzelałbym takimi pytaniami i to tak prosto z mostu, do człowieka, z którym nigdy nie rozmawiałem i tyłkom o nim słyszał. Dziwiło mnie, że Wasin jakby nie zauważał mego wariactwa.

- Słyszałem coś o tym, ale nie wiem, o ile to mogłoby być prawdą - odrzekł spokojnie, jak poprzednio.

- Nic a nic! To na niego nie wygląda! Czyżby pan sądził, że on może wierzyć w Boga?

- To bardzo dumny człowiek, jak tylko co sam pan powiedział, a wielu spośród bardzo dumnych ludzi lubi wierzyć w Boga, szczególnie ci, którzy nieco pogardzają ludźmi. U wielu ludzi silnych istnieje zdaje się jakaś naturalna potrzeba znalezienia kogokolwiek lub czegokolwiek -

przed czym mogliby się ukorzyć. Człowiekowi silnemu niekiedy bardzo trudno znieść swoją siłę.

- Wie pan, to chyba jest bardzo słuszne! - wykrzyknąłem znowu - tylko chciałbym zrozumieć...

- Przyczyna tego jest jasna: oni wybierają Boga, aby nie korzyć się przed ludźmi; rozumie się, nie wiedzą sami, co się w nich dzieje; ukorzyć się przed Bogiem nie jest tak przykre. Oni stają się niezwykle gorąco wierzącymi, ściślej mówiąc, gorąco pragnącymi wierzyć, ale pragnienie to biorą

za samą wiarę. Tacy to szczególnie często na koniec dochodzą do rozczarowania. O panu Wiersiłowie myślę, że są w nim też bardzo szczere rysy charakteru. I na ogół on mnie zaciekał.

- Wasin - krzyknąłem - sprawia mi pan radość. Dziwię się nie pańskiemu rozumowaniu, ale temu, jak może pan, człowiek tak uczciwy i tak bezmiernie wyżej ode mnie stojący, jak może iść ze mną i mówić tak po prostu i grzecznie, jak gdyby się nic nie stało!

Wasin uśmiechnął się.

- Przechwala mnie pan, a stało się przecież tylko to, że zbyt lubi pan abstrakcyjne rozmowy.

Prawdopodobnie, bardzo długo pan przedtem myślał.

- Trzy lata milczałem, trzy lata przygotowywałem się do mówienia... Nie mogłem się panu wydać głupcem, bo pan sam jest nadzwyczaj

60

mądry, chociaż głupiej ode mnie nie można było postępować, ale wydałem się panu łajdakiem!

- Łajdakiem?

- Tak, niewątpliwie! Powiedz pan, czy pan nie pogardza mną w głębi ducha za to, iż powiedziałem, że jestem nieprawym synem Wiersiłowa... i pochwaliłem się, że jestem synem sługi

dworskiego?

- Pan zbyt się zamęcza. Jeżeli znajduje pan, że coś źle powiedział, to należy tylko nie mówić tego na przyszyły raz. Ma pan przed sobą jeszcze przynajmniej pięćdziesiąt lat.

- O, wiem, że powinienem być bardziej milczący z ludźmi. Najpodlejsza ze wszystkich rozpusta, to rzucanie się na szyję, ja im to zaraz powiedziałem, a oto i panu się rzucam. Ale tu przecież jest różnica? Jeżeli pojął pan tę różnicę, jeśli był pan zdolny pojąć, to błogosławię tę chwilę.

Wasin znowu uśmiechnął się.

- Proszę przychodzić do mnie, kiedy tylko pan zechce - powiedział. - Mam teraz robotę i jestem zajęty, ale robi mi pan przyjemność.

- Ja osądziłem pana poprzednio z fizjonomii, że jest pan bardzo twardy i zamknięty w sobie.

- To jest bardzo, być może, słuszne. Poznałem pana siostrę, Jelizawietę Makarownę, przeszłego roku, w Ługu... Kraft zatrzymał się -zdaje się na pana czeka; on musi tu skręcić.

Silnie uścisnąłem rękę Wasina i pobiegłem do Krafta, który wciąż szedł naprzód, dopóki rozmawiałem z Wasinem. Milcząc doszliśmy do jego mieszkania. Nie chciałem i nie mogłem jeszcze rozmawiać z nim. Jednym z wybitniejszych rysów w charakterze Krafta była delikatność.

Kraft poprzednio gdzieś pracował w urzędzie, a jednocześnie pomagał nieboszczykowi Andronikowowi (za wynagrodzeniem) w prowadzeniu prywatnych spraw, którymi ten stale zajmował się oprócz swojej pracy państwowej. Ważne dla mnie było już to, że Kraft wskutek bliskości z Andronikowem, wiedział o wielu sprawach, które mnie interesowały. Lecz dowiedziałem się od Marii Iwanowny, żony Nikoiaja Siemionowicza, u którego przeżyłem tyle lat, kiedy ucześnie do gimnazjum - i która była siostrzenicą, wychowanicą i ulubienicą Andronikowa, że Kraft nawet otrzymał „zlecenie” przekazania mi czegoś. Czekałem już na niego cały miesiąc.

Mieszkał w malutkim mieszkanku, składającym się z dwóch pokoi, zupełnie samotnie, a w obecnej chwili, tuż po przyjeździe, nawet bez służącej. Walizka była otwarta, rzeczy walały się na krzesłach, a na stole, przed tapczanem, rozłożone były: sakwojaż, podróżna szkatułka, rewolwer itp. Kraft pogrążony był w zamyśleniu, jakby zapomniał o mnie zupełnie. Być może nawet nie zauważył, że nie rozmawiałem z nim po drodze. Od razu przystąpił do szukania czegoś, lecz, spojrzawszy mimochodem w lustro, zatrzymał się i całą minutę uważnie przyglądał się swojej twarzy. Zauważyłem tę osobliwość (a potem wszystko sobie z detalami przypomniałem), lecz byłem smutny i bardzo skrępowany. Nie mogłem się skupić. Przez moment chciało mi się po prostu wziąć co trzeba i wyjść, i w ten sposób zostawić wszystkie sprawy na zawsze. Czym właściwie były te wszystkie sprawy w istocie? Czy nie jedynie dodatkową troską? Chwytała mnie rozpacz, że tracę energię, być może na niegodne uwagi głupstwa, jedynie z cikliwości, podczas gdy stoi przede mną wymagające energii zadanie. Tym bardziej, że być może cechuje mnie niezdolność do poważnego czynu; z uwagi na to, co się stało u Diergaczowa.

62

- Kraft, pan do nich jeszcze będzie chodził? - zapytałem go nagle. Wolno obróci się do mnie, jakby źle mnie rozumiejąc. Siadłem na krzesło.

- Proszę im przebaczyć! - powiedział nagle Kraft.

Wydało mi się najpierw, że to kpina. Lecz przyjrząwszy się mu uważnie dostrzegłem w jego twarzy taką dziwną prostoduszność, że sam się zdziwiłem, iż tak poważnie poprosił mnie, żebym im „przebaczył”. Postawił krzesło i usiadł obok mnie.

- Sam wiem, że być może jestem zbieraniną wszelkich ambicji i więcej niczym - zacząłem. - Lecz nie proszę o przebaczenie.

- Przecież nie ma u kogo - przemówił cicho i poważnie. Cały czas mówił cicho i bardzo wolno.

- Niech będę winny wobec siebie... Lubię czuć winę wobec siebie... Kraft, proszę wybaczyć, że kłamię przed panem. Niech mi pan powie, czyżby pan też należał do tego kółka? O to chciałem zapytać.

- Oni nie są głępsi od innych i nie są mądrzejsi; są pomyleni, jak wszyscy.

- Czyżby wszyscy byli pomyleni? - obróciłem się do niego z ciekawością.

- Spośród ludzi najlepszych teraz wszyscy są pomyleni. Mocno pohukuje jedynie środek i beztalencie... Zresztą, to nie jest ważne.

Mówiąc patrzył jakoś w powietrze, zaczynał frazy i urywał. Zwłaszcza porażało jakieś przygnębienie w jego głosie.

- Czyżby nawet Wasin był z nimi? W Wasinie jest rozum, w Wasinie - moralna idea! -

zakrzyknąłem.

- Moralnych idei teraz zupełnie nie ma; nagle nie okazało się ani jednej i, co najważniejsze, tak jak gdyby ich nigdy nie było.

- Dawniej nie było?

- Lepiej zostawmy to - powiedział z wyraźnym zmęczeniem. Uderzyła mnie jego gorzka powaga!

Wstydząc się swego egoizmu zacząłem wpadać w jego ton.

- Obecne czasy - zaczął sam, pomilczawszy dwie minuty i ciągle patrząc gdzieś w przestrzeń -

obecne czasy, to czasy złotego środka i nieczułości, zamiłowania do nieuctwa, lenistwa, niezdolności do czynu i wymagania wszystkiego gotowego. Nikt się nie zastanawia, rzadko kto dorobiłby się swojej idei.

Znowu przerwał i pomilczał chwilę; słuchałem.

- Obecnie pustoszą Rosję, wyjaławiają w niej glebę, przekształcają ją w step i przygotowują ją dla Kałmuków. Jeśli się zjawi człowiek z wiarą

63

i posadzi drzewo - wszyscy się roześmieją: „Czyż ty do niego dożyjesz?” Z drugiej strony, pragnący dobra rozprawiają o tym, co będzie za tysiąc lat. Idea łącząca ludzi, zginęła zupełnie.

Wszyscy mieszkają jak gdyby w zajeździe i jutro wybierają się precz z Rosji, wszyscy żyją, byleby tylko przeżyć z dnia na dzień.

- Pozwól pan, panie Kraft, powiedział pan przecież: „troszczą się o to, co będzie za tysiąc lat”. No, a pańskie zwątpienie... o losie Rosji... czyż to nie troska w tym guście?

- To... to... najbardziej aktualne pytanie, jakie tylko istnieje - powiedział z rozdrażnieniem i szybko powstał z miejsca.

-Ach, tak! Zapomniałem - powiedział nagle zupełnie innym głosem, patrząc na mnie ze zdziwieniem.

- Ja pana wezwałem w interesie, a tymczasem... Niech pan wybaczy, na Boga.

Nagle, jakby się otrząsnął z jakiegoś snu, prawie się zawstydził, wyjął z portfela leżącego na stole list i podał mi.

- Oto co mam panu przekazać. To jest dokument, mający pewną wagę - wypowiedział to z namysłem, przybierając urzędową minę.

Jeszcze długo potem, wspominając, dziwiła mnie ta jego zdolność (w takim dla niego czasie!) do tak serdecznego i uważnego odnoszenia się do cudzej sprawy, do tak spokojnego i rzeczowego opowiedzenia jej.

- To jest list tego samego Stołbiejewa, po jego śmierci, z powodu testamentu wynikła cała sprawa Wiersiłowa i książąt Sokolskich. Sprawa ta obecnie rozstrzyga się w sądzie, jak się zdaje wygra Wiersiłow; za nim stoi prawo. Tymczasem w tym liście prywatnym, pisanym dwa lata temu, spadkodawca wyłącza swoją wolę, lepiej rzec - pragnienie, wyłącza raczej na korzyść książąt niż Wiersiłowa. Przede wszystkim punkty, na które powołują się książęta, kwestionując testament, zyskują w tym liście potwierdzenie. Przeciwnicy Wiersiłowa wiele by dali za ten dokument, mimo że nie ma on decydującego, prawnego znaczenia. Aleksiej Nikanorowicz (Andronikow), zajmujący się interesami Wiersiłowa, zatrzymał ten list u siebie i na krótko przed śmiercią przekazał go mnie, z poleceniem przechowania, może obawiał się o los tych papierów, przeczuwając śmierć. Nie chcę obecnie osądzać zamiarów Alek-sieja Nikanorowicza, choć muszę przyznać, że po jego śmierci znalazłem się w dość przykrej rozterce: co mam uczynić z tym dokumentem, szczególnie ze względu na bliskie rozstrzygnięcie tej sprawy w sądzie? Ale Maria Iwanowna, której Aleksiej Nikanorowicz, zdaje się, zwykł był zwierzać się za życia, wywiodła mnie z kłopotu. Napisała mi stanowczo trzy tygodnie temu, żebym przekazał ten dokument właśnie panu i że

64

to, zdaje się (jej wyrażenie) zgadzałoby się z wolą Andronikowa. A zatem - oto ten sławetny dokument i jestem bardzo rad, że mogę go wreszcie oddać.

- Niech pan posłucha - powiedziałem, zaskoczony taką nieoczekiwaną nowiną. - Cóż ja teraz z tym listem zrobię? Jak mam postąpić?

- To już według pańskiej woli.

- Niemożliwe, jestem w bardzo trudnym położeniu, sam pan wie o tym! Wiersiłow tak czekał na ten spadek... i, jak pan wie, zginie bez tej pomocy, a tu nagle istnieje taki dokument!

- On istnieje tylko tu, w tym pokoju.

- Czyżby? - spojrzałem nań uważnie.

- Jeśli w tym przypadku sam pan nie jest pewien, jak postąpić, cóż ja mogę panu poradzić?

- Lecz przekazać księciu Sokolskiemu także nie mogę: zniszczę wszelkie nadzieje Wiersiłowa i

oprócz tego będę w jego oczach zdrajcą... Z drugiej strony, przekazując list Wiersiłowowi, pogrążę niewinnych w nędzy, a Wiersiłowa postawię w sytuacji bez wyjścia: albo zrzec się spadku, albo zostać złodziejem.

- Pan nazbyt przesadza ze znaczeniem tego czynu.

- Proszę powiedzieć jedno: czy ten dokument ma charakter zdecydowany, ostateczny?

- Nie, nie ma. Niewiele się znam na prawie. Adwokat strony przeciwnej, rozumie się, wiedziałby, jak się tym dokumentem posłużyć i wyciągnąłby z niego cały pożytek; lecz Aleksiej

Nikanorowicz uważał, że ten list po okazaniu go nie miałby dużego prawnego znaczenia, tak, że Wiersiłow mógł wygrać sprawę. Prędzej ten dokument przedstawia, jak to się mówi, kwestię sumienia...

- Lecz to jest właśnie najważniejsze - przerwałem. - Właśnie dlatego Wiersiłow znajdzie się w sytuacji bez wyjścia.

- Jednakże może zniszczyć dokument i wtedy, przeciwnie, uratuje się od wszelkiego niebezpieczeństwa.

- Czy ma pan podstawy tak sądzić o nim, Kraft? Oto co chcę znać: po to do pana przyszedłem!

- Myślę, że każdy na jego miejscu tak by postąpił.

- I pan sam by tak postąpił?

- Nie otrzymuję spadku i dlatego nie wiem, jak bym się zachował.

- Dobrze - powiedziałem. - Ta sprawa na razie zakończona. Kraft, proszę posłuchać. Maria Iwanowna, która wiele spraw mi odsłoniła, powiedziała, że pan, i tylko jeden pan może mi przekazać prawdę o wy-65

darzeniu w Ems, półtora roku temu, o tym co zaszło między Wiersilowem a Achmakowymi.

Czekałem na pana, jak na słońce, które wszystko oświecili. Pan nie zna mego położenia, Kraft.

Błagam pana proszę powiedzieć całą prawdę. Chcę wiedzieć, jakim on jest człowiekiem, a teraz - teraz więcej niż kiedykolwiek!

- Dziwię się, że Maria Iwanowna nie przekazała panu wszystkiego. Mogła o wszystkim słyszeć od nieboszczyka Andronikowa i być może słyszała, i wie o wszystkim więcej ode mnie.

- Andronikow sam w tej sprawie się plątał, tak właśnie mówi Maria Iwanowna. Tej sprawy, jak się zdaje, nikt nie potrafi rozplatać. Tu diabeł nogi połamię! Wiem, że pan był wówczas w Ems...

- Wszystkiego nie zastałem, lecz co wiem, opowiem chętnie. Czy tylko zadowolę pana?

n

Nie przytaczam dosłownej opowieści, lecz przytoczę pokrótce istotę.

Półtora roku temu Wiersiłow, zostawszy poprzez starego księcia Sokolskiego przyjacielem domu Achmakowych (wszyscy wówczas znajdowali się za granicą, w Emsie), wywarł silne wrażenie, po pierwsze, na samego Achmakowa, generała i jeszcze niezbyt starego mężczyznę, który jednakże przegrał cały duży posąg żony, Katariny Nikołajewny, przez trzy lata związku małżeńskiego, w karty i z powodu niepohamowanego trybu życia będącego już po wylewie krwi do mózgu. Ocknął

się już i zdrowiał za granicą, a w Emsie przebywał dla swej córki z pierwszego małżeństwa. Była to chorowita dziewczyna, cierpiąca na rozstrój w piersi i, mówią, nadzwyczajnej urody, a razem z tym i fantazji. Posagu nie miała. Liczono, jak zwykle, na starego księcia. Katarina Nikołajewna była, mówią, dobrą macochą. Lecz dziewczyna przywiązała się zwłaszcza do Wiersiłowa. On nauczał wówczas „coś namiętnego”, według wyrażenia Krafta, jakieś nowe życie, „był w religijnym nastroju wyższego sensu” - według dziwnego, a być może ironicznego wyrażenia Andronikowa, które mi było przekazane. Lecz trzeba podkreślić, że szybko do niego wszyscy poczuli antypatię. Generał nawet bal się go; Kraft zupełnie nie odrzuca słuchów, że Wiersiłow zdążył umocnić w myśli chorego męża, iż Katarzynie Nikołajewnie nieobojętny jest młody książę Sokolski (który w owym czasie wyjechał z Ems do Paryża). Zrobił zaś to nie wprost, lecz „zgodnie ze swym zwyczajem” - napomknieniami, naprowadzaniem i wszelkiego rodzaju aluzjami, „w czym jest wielkim mistrzem”, jak się wyraził Kraft.

66

Powiem wprost, że Kraft uważał go i chciał uważać raczej za filuta i za urodzonego intryganta, niż za człowieka rzeczywiście przenikniętego czymś wyższym lub chociażby oryginalnym.

Wiedziałem i bez Krafta, że Wiersiłow, mając początkowo niezwykle wpływ na Katarzynę Nikołajewną, stopniowo doprowadził do zerwania z nią stosunków. Na czym polegała ta cała gra, nie mogłem wydobyć z Krafta, ale wszyscy potwierdzili, że po przyjaźni wynikła wzajemna nienawiść. Potem miało miejsce dziwne wydarzenie: chorowita pasierbica Katarzyny Nikołajewny widocznie zakochała się w Wiersiłowie, czy też zachwyciła się, czy dała się oczarować jego wymową, czy też już nie wiem co, ale wiadomo, że Wiersiłow przez pewien czas całe niemal dni spędzał u tej dziewczyny. Skończyło się na tym, że panna oświadczyła nagle ojcu, iż pragnie wyjść za mąż za Wiersiłowa. Że tak było rzeczywiście, potwierdzają wszyscy: i Kraft, i Andronikow, i Maria Iwanowna, i nawet raz wygadała się o tym przy mnie Tatiana Pawłowna. Zapewniali także, że Wiersiłow nie tylko sam pragnął, lecz nawet nalegał na małżeństwo z dziewczynką i że zgoda obu tych niejednorodnych przeciwieństw, starszej i młodszej, była obustronna.

Ale myśl ta przestraszyła ojca: w miarę nabierania wstrętu do Katarzyny Nikołajewny, którą przedtem bardzo kochał, zaczął niemal ubóstwiać swoją córkę, zwłaszcza po przebytej apopleksji.

Lecz największą przeciwniczką takiego małżeństwa okazała się sama Katarzyna Nikołajewna.

Doszło do wielu jakichś tajemniczych, bardzo nieprzyjemnych starć rodzinnych, sporów, zmartwień, jednym słowem wszelkich przykrości. Ojciec w końcu zaczął poddawać się, widząc upór zakochanej i „sfanatyzowanej” przez Wiersiłowa córki - wyrażenie Krafta. Ale Katarzyna Nikołajewna nadal przeciwstawiała się z nieprzebraną nienawiścią. I w tym miejscu zaczyna się płatanina, której nikt nie rozumie. A oto domysł Krafta na podstawie pewnych danych, jednakże tylko domysł.

Wiersiłow jakoby potrafił zasugerować po swojemu, subtelnie, nieodparcie młodej osobie, że Katarzyna Nikołajewna dlatego nie zgadza się na ślub, że sama jest w nim zakochana i już od dawna męczy go zazdrością, prześladuje, intryguje. Oświadczyła mu się już, a teraz gotowa spalić go żywcem za to, że pokochał inną, jednym słowem, coś w tym rodzaju. Najobrzydliwsze w tym jest to, że jakoby „napomknął” o tym ojcu, mężowi niewiernej żony, wyjaśniając, że księżę był tu tylko rozrywką. Naturalnie w rodzinie powstało całe piekło. Według innych wariantów Katarzyna Nikołajewna strasznie kochała swoją pasierbicę

67

i teraz, oczerniona przed nią, była w rozpacz, nie mówiąc już o sytuacji, w jakiej znalazła się wobec chorego męża.

I cóż, równoległe z tym istnieje drugi wariant, w który wierzył w zupełności, ku mojemu zmartwieniu, Kraft i w który ja sam wierzyłem (o tym wszystkim słyszałem już przedtem).

Zapewniano (Andronikow, jak mówią, słyszał od samej Katarzyny Nikołajewny), że wszystko było na odwrót. Wiersiłow jeszcze przedtem, to znaczy przed narodzinami uczuć młodej panny, proponował swoją miłość Katarzynie Nikołajew-nej i że ta, mimo że była jego przyjaciółką, nawet rozegzaltowaną z jego powodu przez czas jakiś, lecz stale mu niedowierzającą i sprzeciwiającą się - odpowiedziała na te oświadczenia Wiersiłowa z nadzwyczajną nienawiścią i jadowicie wyśmiała go. Wypędziła go zaś formalnie za to, że zaproponował jej wprost, by została jego żoną, gdyż przypuszczalnie niebawem mąż będzie miał drugi atak. Dlatego Katarzyna Nikołajewna musiała poczuć szczególną nienawiść do Wiersiłowa, kiedy ujrzała, że tak jawnie stara się o rękę jej pasierbicy.

Maria Iwanowna, opowiadając mi to wszystko w Moskwie, wierzyła w jeden i w drugi wariant, to znaczy we wszystko razem: twierdziła mianowicie, że wszystko to mogło mieć miejsce jednocześnie, że jest to coś w rodzaju „la haine dans l’amour”, obrażonej dumy miłosnej z obu stron itd., itd., jednym słowem, coś w rodzaju jakiejś subtelnej romansowej płataniny, niegodnej poważnego i zdrowo myślącego człowieka, a w dodatku wszystko to podszyte było podłością. Ale Maria Iwanowna, mimo dobrego charakteru, sama była naszpikowana romansami od wczesnego dzieciństwa i czytywała je dzień i noc. W rezultacie wychodziła na jaw oczywista podłość Wiersiłowa, kłamstwo i intryga, coś czarnego i wstrętnego, tym bardziej, że wszystko skończyło się rzeczywiście tragicznie: biedna rozplomieniona dziewczeczka otruła się, jak mówią, fosforowymi zapalkami; zresztą ja nawet i teraz nie wiem, czy ta ostatnia pogłoska jest prawdziwa. W każdym razie wszelkimi siłami postarano się całą sprawę zatuszować. Panna była chora przez dwa tygodnie i umarła. Zapalki okazały się więc wątpliwe, ale Kraft stanowczo w nie wierzył. Następnie umarł

wkrótce ojciec panny, jak mówią, z rozpaczy, która doprowadziła do drugiego ataku, jednakże młody książe Sokolski, który wrócił z Paryża do Ems, publicznie w ogrodzie spoliczkował

Wiersiłowa, a ten nie zareagował wyzwaniem na pojedynek „nienawiść w miłości”

przeciwnie, następnego dnia, jakby nigdy nic zjawił się na promenadzie. Wtedy wszyscy odwrócili się od niego, podobnie też w Petersburgu. Wprawdzie utrzymywał pewne stosunki, ale w zupełnie innej sferze. Wszyscy ze świetnego towarzystwa potępiali go, choć zresztą mało kto znał wszystkie szczegóły. Wiedzieli tylko o romantycznej śmierci młodej osoby i o policzku.

Najbardziej pełne informacje posiadały tylko dwie, trzy osoby, a najwięcej ze wszystkich wiedział nieboszczyk Andronikow, który prowadził już od dawna interesy z Achmakowymi, a w

szczegółności, w związku z pewnym wydarzeniem, z Katarzyną Nikołajewną. Ale zataił te sekrety nawet przed swoją rodziną, a wyjawiał nieco szczegółów jedynie Kraftowi i Marii Iwanownie, i to tylko z konieczności.

- Najważniejszą rzeczą - podsumował Kraft - jest obecnie pewien dokument, którego szczególnie obawia się pani Achmakowa. I oto co mi zakomunikował:

- Katarzyna Nikołajewną, kiedy stary książe, jej ojciec, zaczął za granicą powracać do zdrowia po swoim ataku, popełniła nieostrożność, pisząc w największym sekrecie do Andronikowa (ufała mu w zupełności) niezwykle kompromitujący list.

W tym czasie u powracającego do zdrowia księcia rozwinęła się, jak mówią, chęć tracenia i niemal wyrzucania na wiatr pieniędzy: zaczął kupować za granicą zupełnie zbyteczne, ale kosztowne rzeczy, obrazy, wazy; obdarowywał i ofiarowywał, na Bóg wie co, ogromne sumy, nawet na różne tamtejsze instytucje; o mało co nie kupił za ogromną kwotę od pewnego rosyjskiego utracjusza -

majątku zrujnowanego i obciążonego długami; wreszcie jakoby zaczął przemyśliwać o małżeństwie.

I oto, widząc to wszystko, Katarzyna Nikołajewną, która nie odchodziła od ojca w czasie choroby, wysłała do Andronikowa, jako prawnika i „starego przyjaciela” zapytanie: „Czy będzie możliwe zgodnie z prawem oddać księcia pod kuratelę, jako nieodpowiedzialnego, a jeżeli tak, to jak najdogodniej zrobić to bez skandalu, żeby nikt przy tym jej nie mógł obwiniać, żeby oszczędzić uczucia ojca itd., itd.” Andronikow, jak mówią, zaraz jej to wyperswadował i odradził; a kiedy książe zupełnie wyzdrowiał, nie można już było wrócić do tej myśli, ale list pozostał u Andronikowa. I oto Andronikow umiera; Katarzyna Nikołajewną zaraz przypomniała sobie list.

Gdyby go odnaleziono w papierach nieboszczyka i dostał się w ręce starego księcia, to ten niewątpliwie wypędziłby ją na zawsze, wydziedziczył i za życia nie dałby jej ani kopiejki. Myśl, że rodzona córka nie wierzy w przytomność jego umysłu

i nawet chciała go ogłosić za wariata, zamieniłaby to jagnię w dzikie zwierzę.

Tymczasem, owdowiawszy i zostawszy z łaski męża-gracza bez żadnych środków, na jednego tylko ojca mogła liczyć; spodziewała się na pewno otrzymać od niego nowy posag, równie wysoki jak pierwszy.

Kraft wiedział bardzo mało o losach tego listu, ale zauważył, że Andronikow „nigdy nie niszczył potrzebnych papierów” i prócz tego był człowiekiem jakkolwiek o szerokim rozumie, ale i o

„szerokim sumieniu” (zdziwiłem się nawet takiej nadzwyczajnej samodzielności poglądu Krafta, który przecież lubił i poważał Andronikowa). Ale Kraft był przekonany jednak, że kompromitujący dokument wpadł w ręce Wiersiłowa wskutek zbliżenia tego ostatniego z wdową i córkami Andronikowa; było już wiadomym, że od razu udostępniły Wiersiłowowi wszystkie papiery, jakie zostały po nieboszczyku. Kraft wiedział także, że i Katarzyna Nikołajewna wiedziała już, iż list ma Wiersiłow i że ona tego właśnie się boi, przypuszczając, iż Wiersiłow niebawem pójdzie z listem do starego księcia; że po powrocie z zagranicy już szukała listu w Petersburgu, była u Andronikowych i teraz ciągle szuka, ponieważ ma jednak nadzieję, iż list nie jest może u Wiersiłowa; i wreszcie, że jeździła do Moskwy jedynie w tym celu i błagała tam Marię Iwanownę o poszukanie w papierach, które przechowywane były u niej. O istnieniu Marii Iwanowny i o jej stosunku do nieboszczyka Andronikowa dowiedziała się dopiero niedawno, już po powrocie do Petersburga.

- Pan sądzi, że nie znalazła tego u Marii Iwanowny? - spytałem, mając pewną myśl.

- Jeżeli Maria Iwanowna nawet panu nic nie wyjawiała, to możliwe, że nic u niej nie ma.

- To znaczy, pan przypuszcza, że dokument ma Wiersiłow?

- Najprawdopodobniej tak. Zresztą nie wiem, wszystko być może - rzekł z widocznym zmęczeniem.

Przestałem wypytywać, bo i po co? Co najważniejsze dla mnie - wyjaśniło się. Mimo całej tej marnej gmatwaniny, wszystko, czego się obawiałem - potwierdziło się.

- Wszystko to jak sen i maligna - powiedziałem w głębokim smutku i wzięłem kapelusz.

- Bardzo panu jest drogi ten człowiek? - spytał Kraft, z widocznym dużym zainteresowaniem, które w tej chwili wyczytałem z jego twarzy.

70

.....- Przeczuwałem - rzekłem - że od pana jednak nie dowiem się wszystkiego. Pozostaje jedyna nadzieja w Achmakowej. Na nią właśnie liczyłem. Może pójdę do niej, a może i nie. Kraft popatrzył, nie rozumiejąc.

- Żegnam pana, panie Kraft. Po co pchać się do ludzi, którzy nas nie chcą? Czy nie lepiej ze

wszystkim zerwać - co? M' - A potem dokąd? - spytał jakoś poważnie, patrząc w ziemię. y; - Do siebie, do siebie! Wszystko zerwać i uciec do siebie! ' - Do Ameryki?

- Do Ameryki! Do siebie, do siebie jedynie! - Oto na czym polega cała „moja idea” panie Kraft - powiedziałem z zapałem. Z jakąś ciekawością spojrział na mnie.

- A pan ma to miejsce „u siebie”?

- Mam. Do widzenia, panie Kraft; dziękuję panu i żałuję, że pana trudził. Ja bym na pańskim miejscu, skoro taką ma pan Rosję w głowie, ja bym wszystkich posłał do diabła: wynoście się, intrygujcie, gryźcie się między sobą, co mi do tego!

- Niech pan jeszcze posiedzi - powiedział nagle, odprowadziwszy mnie już do drzwi wyjściowych.

Trochę się zdziwiłem, wróciłem i znowu usiadłem. Kraft siadł naprzeciwko mnie. Wymienialiśmy między sobą jakieś uśmiešky-wszystko to jakbym widział teraz. Doskonale pamiętam, że wydał mi się jakiś dziwny.

- Mnie się to w panu podoba, że pan jest takim uprzejmym człowiekiem - powiedziałem nagle.

-Tak?

- To dlatego, że sam rzadko potrafię być grzeczny, chociaż pragnę umieć... Ale cóż, może to i lepiej, że ludzie obrażają. To wybawia przynajmniej od nieszczęścia - kochania ich.

- Jaką porę dnia lubi pan najbardziej? - zapytał, najwidoczniej nie słuchając mnie.

- Porę? Nie wiem. Nie lubię zmierzchu.

- Tak? - powiedział z jakimś dziwnym zaciekawieniem, ale zaraz znów się zadumał.

- Pan znowu gdzieś wyjeżdża? -...: - Tak... wyjeżdżam. fi; -Prędko? i - Prędko.

71

- Czyż potrzebny jest rewolwer, ażeby dojechać do Wilna? - zapytałem zupełnie bez żadnej ubocznej myśli: nie było nawet żadnej myśli! Tak zapytałem, ponieważ mignął mi rewolwer i nie wiedziałem, co powiedzieć.

Obrócił się i popatrzył uważnie na rewolwer.

- Nie, ja tylko tak, z przyzwyczajenia.

- Gdybym miał rewolwer, chowałbym go pod zamek. Wie pan, jak Boga kocham, kusi! Być może nie wierzę w epidemię samobójstw, lecz jeśli sterczy to przed oczami - słowo daję, nadchodzą chwile, że kusi.

- Niech pan nie mówi o tym - powiedział i nagle podniósł się z krzesła.

- Ja nie o sobie - dodałem także wstając. - Nie skorzystam. Choćby trzy życia mi dajcie i tych mi będzie mało.

- Proszę żyć więcej - jakby wyrwało mu się.

Uśmiechnął się z roztargnieniem i dziwnie poszedł wprost do przedpokoju, jak gdyby sam chciał mnie wyprowadzić, rozumie się nie zauważając, co robi.

- Życzę panu wszelkiego powodzenia, Kraft - powiedziałem wychodząc na schody.

- To być może - odpowiedział twardo.

- Do widzenia!

- I to być może.

Pamiętam jego ostatnie na mnie spojrzenie.

—

A zatem oto człowiek, za którym tyle lat biło moje serce! I czego oczekiwałem po Krafcie, jakich to nowych wiadomości?

Wyszedłem od Krafta i mocno zachciało mi się jeść. Nadchodził wieczór, a jeszcze nie jadłem obiadu. Wszedłem niedaleko stąd, na Petersburskiej, przy Dużym Prospekcie, do niedużego szynku, z tym, żeby stracić dwadzieścia kopiejek, a nie więcej niż dwadzieścia pięć - na więcej wówczas nie pozwalałem sobie. Zamówiłem zupę i pamiętam, po zjedzeniu jej, zacząłem patrzeć w okno. W salce było dużo ludzi, pachniało przypalonym olejem, serwetami i tytoniem. Wstrętnie tu było. Nad moją głową niemy słowik stukał dziobem o dno swojej klatki, mroczny i zamyślony. W

sąsiedniej sali bilardowej szumiało, lecz siedziałem i mocno myślałem. Zachód słońca (dlaczego Kraft zdziwił się, że nie lubię zmierzchu?) wywołał we mnie jakieś nowe i nieoczekiwane doznania, zupełnie nie na miejscu. Wciąż mi się zwidywało ciche spojrze-72

nie mojej matki, jej mile oczy, które już cały miesiąc tak bojaźliwie mi się przyglądały. W ostatnim czasie w domu zachowywałem się bardzo ordynarnie, wobec niej głównie. Pragnąłem tak postępować wobec Wiersiłowa, lecz, nie odważywszy się wobec niego, w podły sposób męczyłem ją. Nawet zupełnie zastraszyłem: często takim błagalnym spojrzeniem patrzyła na mnie, kiedy wchodził Wiersiłow; obawiała się z mojej strony jakiegoś wyskoku... Bardzo dziwne było to, że teraz, w szynku, po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że Wiersiłow mówi do mnie przez „ty”, a ona - przez „pan”. Dziwiło mnie to już wcześniej i nie na jej korzyść, a tutaj jakoś to tak szczególnie pojąłem - i wszystkie dziwne myśli, jedna za drugą, lały mi do głowy. Długo siedziałem na miejscu, do pełnego zmroku. Myślałem i o siostrze...

Minuta dla mnie rozstrzygająca. Za wszelką cenę trzeba się zdecydować! Czyżbym nie był zdolny do podjęcia decyzji? Cóż trudnego w tym, żeby przerwać więzy, jeśli oni nawet mnie nie chcą?

Matka i siostra? Lecz ich właśnie w żadnym wypadku nie zostawię.

To prawda, że pojawienie się tego człowieka w moim życiu, tylko na moment, jeszcze we wczesnym dzieciństwie, było tym fatalnym impulsem, od którego poczęła się moja świadomość.

Gdybym nie spotkał go wtedy - mój umysł, mój zestaw myśli, mój los, z pewnością byłyby inne, nie zważając nawet na określony przez los mój charakter, którego bym mimo wszystko nie uniknął.

Lecz przecież okazuje się, że ten człowiek jest jedynie moim marzeniem, marzeniem z lat dzieciennych. Sam go takim wymyśliłem, a w rzeczywistości okazał się innym człowiekiem, niżej mojej fantazji. Przyjechałem do człowieka czystego, a nie do tego. Dlaczego pokochałem go, raz na zawsze, w tę małą chwilę, kiedy zobaczyłem go kiedyś, będąc dzieckiem?

To „na zawsze” powinno zniknąć. Kiedyś, jeśli znajdzie się miejsce, opiszę to pierwsze nasze spotkanie: jest to najbłahsza anegdota, z której nic nie wynika. Ale u mnie powstała cała piramida.

Rozpocząłem tę piramidę jeszcze dzieckiem, kiedy zasypiając pod kołdrą mogłem płakać i marzyć: o czym? - sam nie wiem. O tym, że mnie opuścili? O tym, że mnie dręczą? Ale prześladowano mnie tylko trochę, wszystkiego ledwie dwa lata w pensjonacie Tuszara, dokąd Wiersiłow mnie wtedy wsadził i odjechał na zawsze. Potem nikt mnie już nie prześladował; nawet odwrotnie, ja sam z dumą patrzyłem na kolegów. Nie mogę też znosić tego rozczulającego się nad sobą sieroctwa. Nie ma wstrętniejszej roli, niż kiedy sieroty, dzieci nieprawe, wszystkie te wyrzutki i w ogóle cała ta hołota, dla

73

której ja właśnie zupełnie nie mam litości, nagle triumfalnie staje przed publicznością i zaczyna żałośnie, ale i ostentacyjnie zawodzić: „oto, panie tego, jak z nami postępowano”! Wysmagałbym różgą te sieroty! Nikt z tej szkaradnej zbieraniny nie rozumie, że dziesięć razy przyzwoiciej byłoby przemilczeć, a nie wyć i nie skarżyć się. Ile żeś zasłużył, synku, tyle ci się miłości należy. Oto moja myśl!

Lecz nie to jest śmieszne, że marzyłem wtedy „pod kołdrą”, ale to, że przyjechałem tutaj dla niego, znów dla tego wymyślnego człowieka, zapomniawszy niemal o mych najważniejszych celach.

Jechałem pomóc mu w zmyciu potwarzy, w zgniecenia wrogów. Ów dokument, o którym mówił

Kraft, ów list tej kobiety do Andronikowa, list, którego ona tak się boi, który może zniszczyć jej los i wtrącić ją w ubóstwo, a co do którego przypuszcza, że znajduje się u Wiersiłowa - ten list nie był

u Wiersiłowa, lecz znajdował się zaszyty w mej bocznej kieszeni! Sam go zaszyłem i nikt na całym świecie nie wiedział jeszcze o tym. To, że romantyczna Maria Iwanowna, u której dokument był na przechowaniu, uznała za słuszne oddać go mnie, a nie komu innemu - był to jedynie jej pogląd i wola i wyjaśniać tego nie muszę, lecz może opowiem o tym przy innej okazji; ale tak nieoczekiwanie

uzbrojony nie mogłem nie ulec chęci zjawienia się w Petersburgu. Naturalnie zamierzałem pomóc temu człowiekowi nie inaczej, niż w sekrecie, nie wystawiając się i nie gorączkując, nie oczekując ani pochwał jego, ani jego uścisków. I nigdy, nigdy bym nie raczył

stawiać mu jakichkolwiek zarzutów.

Bo czyż to jest jego winą, że zakochałem się w nim i stworzyłem zeń fantastyczny ideał? Zresztą może nawet i wcale nie kochałem go. Jego oryginalny pomysł, jego ciekawy charakter, jakieś tam intrygi i przygody i to, że przy nim była moja matka - wszystko zdaje się nie mogłoby mnie zatrzymać; dość było tego, że moja urojona lalka została rozbita i że, być może, nie mogę go już więcej kochać. A zatem, co mnie zatrzymywało, w czym utknąłem? - oto pytanie. W rezultacie wychodziło na to, że tylko ja jestem głupi, nikt poza mną.

Ale żądając uczciwości od innych, niechże i ja będę uczciwy. Powinienem przyznać się, że zaszyty w kieszeni dokument wzbudzał we mnie nie samo tylko namiętne pragnienie śpieszenia na pomoc Wiersiłowowi. Obecnie jest to już dla mnie aż nazbyt jasne, ale wtedy rumieniłem się na samą myśl o tym. Majaczyła mi przed oczami kobieta, dumne stworzenie z wyższego towarzystwa, z którą spotkam się twarzą w twarz; będzie pogardzać mną, śmiać się ze mnie jak z myszy, nie podejrzewając nawet, że jestem władcą jej losu. Ta myśl upajała mnie

74

jeszcze w Moskwie, a szczególnie w wagonie, kiedy tu jechałem; już przedtem przyznałem się do tego. Tak, nienawidziłem tej kobiety, lecz już ją kochałem, jako moją ofiarę; i to wszystko prawda, tak było rzeczywiście. Ale to była taka dziecinada, jakiej nie spodziewałem się nawet ze strony takiego jak ja.

Opisuje ówczesne moje uczucia, to znaczy to, co mi przychodziło do głowy wtedy, kiedy siedziałem w knajpie pod słowikiem i kiedy zdecydowałem tegoż wieczora nieodwołałnie zerwać z nimi. Myśl o niedawnym spotkaniu z tą kobietą nagle zalała twarz moją rumieńcem wstydu.

Haniebne spotkanie! Haniebne i głupiutkie wrażenie i - co najważniejsze - wykazujące dobitniej niż wszystko inne, moją niezdolność do czynu! Dowodziło tylko tego, myślałem wówczas, że nie mam siły oprzeć się nawet najgłupszym przynętom, gdy tymczasem przed chwilą powiedziałem Kraftowi, że mam „swoje miejsce”, swoją sprawę i że gdybym miał trzy życia, to i one by mi nie wystarczyły. Powiedziałem to z dumą. To, że porzuciłem moją ideę i zaplątałem się w sprawy Wiersiłowa, to można było czymś usprawiedliwić, ale to, że jak zaskoczony zając miotam się tu i tam, i brnę w byle głupstwa, to już jest dziełem tylko mojej głupoty. Po jakie licho poszedłem do Diergaczowa i wyskoczyłem tam z moimi głupstwami, kiedy wiem od dawna, że nic nie potrafię opowiedzieć rozumnie i z sensem, i że najlepsze dla mnie jest milczenie? I jakiś tam Wasin poucza mnie, że mam jeszcze pięćdziesiąt lat życia przed sobą, a zatem nie ma się „czym martwić”, jego argument jest piękny, zgadzam się z tym, i przynosi honor jego niewątpliwemu rozumowi. Piękny już dlatego, że najprostszy, a najprostsze rozumie się zawsze dopiero na koniec, kiedy już wypróbowało się wszystkiego, co wymyślniejsze lub głupsze; ale ja znałem ten argument i dawnej bez Wasina; myśl tę miałem już przeszło trzy lata temu, nie dość tego, nawet w niej częściowo zawiera się „moja idea”. Oto o czym myślałem wówczas w szynku.

Złe mi było na duszy, kiedy zmęczony łażeniem i myślami dowlokłem się wieczorem, koło godziny ósmej do Siemionowskiego pułku. Było już zupełnie ciemno i pogoda zmieniła się; sucho było, ale zrywał się wstrętny petersburski wiatr, ostry i zjadliwy, dał mi w plecy i podnosił dokoła kurz i piasek. Ileż ponurych twarzy prostactwa powracającego od zajęć zarobkowych do swych nędznych kątów! Każdy ma na twarzy wypisaną swoją ponurą troskę i nie ma w tłumie żadnej wspólnej, jednoczącej myśli. Krafit ma rację: każdy w inną stronę.

Spotkałem małego chłopczyka, tak malutkiego, że aż dziwne, jak mógł o tej porze znaleźć się sam na ulicy; zdaje się, że zabłądził; jakaś

75

baba zatrzymała się chwile, by go wysłuchać, ale nic nie zrozumiała, rozłożyła ręce i poszła dalej, zostawiając go samego w ciemnościach. Podszedłem, ale on czegoś się mnie nagle przestraszył i pobiegł dalej. Podchodząc do domu, postanowiłem, że nigdy już do Wasina nie wrócę. Kiedy wstępowałem na schody, strasznie mi się chciało zastać moich bliskich, samych w domu, bez Wiersiłowa, abym zdążył przed jego nadejściem powiedzieć coś miłego matce lub mojej drogiej siostrze, z którą przez cały miesiąc nie wymówiłem prawie ani jednego słowa. Tak się też stało, nie było go w domu...

IV

A propos: wprowadzając w „notatkach” na scenę tę „nową osobę” (tj. mówię o Wiersiłowie), przekazuję w skrócie jego „wyciąg z ewidencji”, nie oznaczający niczego szczególnego. Robię to, by czytelnikowi było jaśniej, ponieważ nie widzę, gdzie mógłbym w dalszym ciągu opowiadania wetknąć ten życiorys.

Wiersiłow kształcił się na uniwersytecie, ale wstąpił do kawaleryjskiego pułku gwardii. Ożenił się z Fanariotówną i przeszedł do rezerwy. Podróżował za granicę i po powrocie zamieszkał w Moskwie, używając przyjemności światowych. Po śmierci żony przyjechał na wieś: tu epizod z moją matką. Potem mieszkał długo gdzieś na południu. W czasie wojny z Europą wstąpił znowu do wojska, ale na Krym nie trafił i front go ominął. Po zakończeniu wojny przeszedł znowu do rezerwy; następnie jeździł za granicę nawet z moją matką, którą zresztą zostawił w Królewcu.

Biedaczka opowiadała z przejęciem, kiwając głową, jak to przeżyła wtedy całe te pół roku, sama, samiuteńka, z malutką córeczką, nie znając miejscowego języka, zupełnie jak w lesie, a pod koniec i bez pieniędzy. Wtedy przyjechała po nią Tatiana Pawłowna i odwiozła z powrotem gdzieś do guberni Niżegorodzkiej. Potem Wiersiłow został rozjemcą pierwszej kategorii i mówią, że świetnie pełnił swój urząd, ale wkrótce porzucił go i zaczął się zajmować w Petersburgu prowadzeniem różnych prywatnych spraw. Andronikow zawsze wysoko cenił jego zdolności, bardzo go szanował

i mówił tylko, że nie rozumie jego charakteru. Potem Wiersiłow porzucił i to, i znowu wyjechał za granicę, już na dłuższy czas, na kilka lat. Potem zadzierzgnął bardzo bliskie więzi ze starym księciem Sokolskim. W ciągu tego całego czasu jego środki pieniężne

76

zmieniły się ze trzy razy radykalnie: to wpadał w zupełną biedę, to znów nagle bogacił się i podnosił.

A zresztą teraz, doprowadziwszy moje notatki właśnie do tego miejsca, decyduję się opowiedzieć o

„mojej idei”. Opiszę ją po raz pierwszy od jej narodzin. Decyduję się, że tak powiem, wyjawić ją czytelnikowi także dla jasności dalszego opowiadania. Bo nie tylko czytelnik, ale i ja sam, autor, zaczynam plątać się w trudnościach, by wyjaśnić moje postęпки, nie objaśniwszy najpierw, co prowadziło mnie i parło do nich. Wskutek tej „figury przemilczenia” wpadłem przez

nieumiejętność znowu w te „ozdóbki” literackie, które sam poprzednio wyśmiałem. Wchodząc przez drzwi mej petersburskiej powieści ze wszystkimi hańbiącymi mnie wydarzeniami, uważam tę przedmowę za nieodzowną. Ale nie „upiększenia” kusiły mnie, by przemilczać do tej pory, lecz istota, to znaczy trudność sprawy. Nawet teraz, gdy już wszystko przeszłe -przeszło, odczuwam nieprzewycięzoną trudność w opowiedzeniu tej „myśli”. Prócz tego, powinienem bez wątpienia wyłożyć ją w ówczesnej formie, to jest tak, jak ona powstała i „obmyślała się” we mnie wtedy, a nie obecnie, a to już stanowi nową trudność. Opowiadać o niektórych rzeczach jest prawie niemożliwe. Te właśnie idee, które są najprostsze, najjaśniejsze, właśnie te trudno jest pojąć.

Gdyby Kolumb przed odkryciem Ameryki zaczął opowiadać swoją ideę innym, jestem przekonany, że

strasznie długo nie rozumieliby go. I nie rozumieli przecież. Mówiąc to, wcale nie myślę równać się z Kolumbem, a jeżeli ktoś to wywnioskuje, to niech się zawstydzi i nic więcej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

I

Wzywam czytelnika do spokoju i powagi. Powtarzam: moja idea - to zostać Rotschildem, stać się tak bogatym jak Rotschild. Nie zwyczajnie bogatym, ale właśnie jak Rotschild. Po co, dlaczego, jakie mianowicie mam cele - o tym później. Naprzód tylko dowiodę, że osiągnięcie celu jest matematycznie pewne. Rzecz bardzo prosta, cały sekret w dwóch słowach: upór i ciągłość.

- Słyszeliśmy - powiedzą mi - to nie nowość; każdy fater w Niemczech powtarza to swoim dzieciom, a tymczasem pański Rotschild (to znaczy nieboszczyk James Rotschild - o nim mówię) był tylko jeden, a fatrów miliony!

Odpowiedziałbym:

-Zapewniacie, żeście słyszeli, a tymczasem nic nie słyszeliście. Prawda, w jednym macie słuszność; jeżeli powiedziałem, że to sprawa „bardzo prosta”, to zapomniałem dodać, że i bardzo trudna. Wszystkie religie i moralności świata sprowadzają się do jednego: „Należy kochać cnotę i unikać grzechów”. Cóż może być, zdaje się, prostszego? No więc, uczynicie coś cnotliwego i uniknijcie choćby jednej swej wady - spróbujcie, no?... Tak samo tutaj.

Oto dlaczego niezliczone wasze „fatry”, w ciągu niezliczonych wieków mogą powtarzać te zadziwiające dwa słowa, stanowiące cały sekret, a tymczasem Rotschild pozostaje jeden jedyny. To znaczy: to jest to, ale nie to, i fatry zupełnie nie tę myśl powtarzają.

O uporze i wytrwałości, bez wątpienia słyszeli i oni; ale dla osiągnięcia moich celów potrzebny jest nie fatrowski upór i nie fatrowska wytrwałość.

78

Już samo to, że on jest fatrem - mówię nie tylko o Niemcach - że posiada rodzinę, żyje, jak wszyscy, ma wydatki -jak wszyscy, obowiązki - jak wszyscy - w ten sposób nie można stać się Rotschildem, można jedynie zostać średnio umiarkowanym człowiekiem. Ja zaś jestem zupełnie przekonany, że zostawszy Rotschildem, a nawet tylko zapragnąwszy nim zostać, ale nie po fatrowsku, lecz na serio - już tym samym od razu wychodzę poza społeczeństwo.

Kilka lat temu przeczytałem w gazetach, że na Wołdze na jednym z parostatków umarł pewien biedak, wszystkim tam znany, który chodził w łachmanach i prosił o jałmużnę. Znaleźli u niego po śmierci zaszyte w jego szmatach około trzech tysięcy rubli w biletach kredytowych. W tych dniach znowu czytałem o pewnym biedaku, z dobrej rodziny, który chodził po restauracjach i wyciągał

rękę. Aresztowano go i znaleziono przy nim około pięciu tysięcy rubli. Stąd dwa proste wnioski: pierwszy, że upór w zbieraniu choćby drobnych sum daje w następstwie ogromne rezultaty (czas nie

tu nie znaczy), i drugi, że najzwyczajniejsza forma bogacenia się, byleby tylko ciągnęła, ma matematycznie zapewnione powodzenie.

Tymczasem żyje, być może, bardzo wielu ludzi szanowanych, rozumnych i umiarkowanych, którzy jednak (choć nie wiem jak o to się starają) nie mają ani trzech, ani pięciu tysięcy, a którzy jednak strasznie by chcieli je mieć. Dlaczego tak jest? Odpowiedź prosta: dlatego, że żaden z nich mimo całego ich pragnienia, jednak nie do tego stopnia chce, ażeby, na przykład, jeżeli już w żaden sposób nie można inaczej się wzbogacić, żeby zostać choćby żebrakiem; i nie do tego stopnia jest uparty, ażeby nawet zostawszy żebrakiem, nie stracić zaraz pierwszych otrzymanych kopiejek na zbyt długi kęs dla siebie lub swojej rodziny. Tymczasem przy tym systemie oszczędzania, to jest w żebractwie, ażeby zaoszczędzić takie pieniądze trzeba żyć się chlebem i solą, więcej niczym.

Tak ja przynajmniej rozumiem. Tak na pewno robili i dwaj wyżej wspomniani żebracy: to znaczy jedli tylko chleb, a mieszkali niemal pod gołym niebem. Nie ma wątpliwości, że postanowienia zostania Rotschildem nie mieli; to byli tylko Harpagonowie, albo Pliuszkinowie w najczystszej formie, nic więcej; lecz i przy świadomym bogaceniu się w innej już zupełnie formie, ale z celem stania się Rotschildem - trzeba mieć nie mniej chcenia i siły woli, niż ci dwaj żebracy. Fater nie okaże takiej siły. Na świecie występują siły różnorakie, w szczególności siły woli i chcenia. Istnieje temperatura wrzenia wody, istnieje też temperatura rozpalania się żelaza do czerwoności.

79

Tutaj ten sam klasztor, to samo bohaterstwo ascezy. To uczucie - a nie idea. Dlaczego? Po co? Czy to jest moralnie i czy to nie jest potworne chodzić w lachmanach i jeść chleb czarny przez całe życie, nosząc przy sobie takie pieniądze? Te pytania pozostawiam na potem, a teraz tylko o możliwości osiągnięcia celu. Kiedy wymyśliłem „moją ideę” (a polega ona właśnie na „rozpaleniu do czerwoności”) - zacząłem siebie wypróbować, czy nadaję się do klasztoru i do ascezy. W

tym celu cały pierwszy miesiąc jadłem tylko chleb z wodą. Chleba czarnego wychodziło nie więcej niż dwa i pół funta dziennie. Żeby tego dokonać musiałem okłamywać mądrego Mikołaja Siemionowicza, uparłem się, żeby mi obiad przynoszono do mego pokoju. Tam po prostu go wyrzucałem; zupę wylewałem przez okno w zielsko, albo w inne miejsce; pieczone - albo wyrzucałem przez okno psu, albo zawinąwszy w papier, kładłem do kieszeni i wynosiłem potem precz itp.

Ponieważ chleba do obiadu dawano grubo mniej niż dwa i pół funta, więc dokupywałem go sobie w sekrecie sam. Ten miesiąc wytrzymałem, może tylko nieco rozstroilem sobie żołądek; ale w następnym miesiącu dodałem do chleba zupę, a rano i wieczór po szklance herbaty - i zapewniam was, przeżyłem tak cały rok w zupełnym zdrowiu i zadowoleniu, a moralnie - w upojeniu i bezustannym tajemnym zachwyceniu. Nie tylko nie pragnąłem jedzenia, ale żyłem w uniesieniu.

Po roku, przekonawszy się, że jestem zdolny wytrzymać wszelki post, zacząłem jeść jak wszyscy i przeszedłem do jadania wspólnych obiadów. Nie zadowolony się tą próbą, zrobiłem drugą: na moje drobne wydatki, oprócz kosztów utrzymania, płaconych Mikołajowi Siemionowiczowi, było przewidziane pięć rubli miesięcznie. Postanowiłem wydawać z nich tylko połowę. Była to bardzo trudna próba, ale po przeszło dwóch latach, gdy przyjechałem do Petersburga, miałem w kieszeni

prócz innych pieniędzy siedemdziesiąt rubli, uzbieranych jedynie z tej oszczędności. Rezultat tych dwóch prób był dla mnie bardzo ważny: przekonałem się definitywnie, że potrafię chcieć na tyle, że osiągnę mój cel, a na tym, powtarzam, polega cała moja idea, reszta to głupstwo.

—

Jednak należy rozpatrzyć także głupstwa.

Opisałem moje dwa eksperymenty; w Petersburgu, jak wiadomo, zrobiłem trzeci - poszedłem na licytację i od razu zarobiłem siedem rubli dziewięćdziesiąt kopiejek. Naturalnie to nie było istotne doświadczenie, tylko gra, zabawa: zachciało mi się ukraść chwilkę z przyszłości i zobaczyć, jak będę chodzić i działać. Bowiem prawdziwe przystąpienie do dzieła odłożyłem już od początku w Moskwie, do czasu, aż będę zupełnie wolny; dobrze rozumiałem, że należało najpierw chociażby, na przykład, skończyć gimnazjum. (Uniwersytet, jak już wiadomo, opuściłem.) Bezsprzecznie jechałem do Petersburga z utajonym gniewem: tylko co skończyłem gimnazjum i po raz pierwszy stałem się wolny i zaraz zobaczyłem, że sprawy Wiersiłowa znowu odwloką mnie od czynu na czas nieokreślony! Ale chociaż jechałem gniewny, jednak byłem zupełnie spokojny o mój cel. Prawda, nie miałem praktyki, całe trzy lata z rzędu obmyślałem i nie mogłem mieć wątpliwości.

Wyobrażałem sobie tysiąc razy jak do tego przystąpię: nagle budzę się jakbym spadł z nieba w jednej z dwóch naszych stolic (wybrałem na początek nasze stolice, a mianowicie Petersburg, któremu ze względu na pewne wyrachowanie oddałem pierwszeństwo). Spadłem z nieba, ale jestem zupełnie wolny, od nikogo nie zależę, jestem zdrow i mam ukryte w kieszeni sto rubli na początek jako kapitał obrotowy. Bez stu rubli nie można rozpoczynać, bez nich nie ma mowy o uzyskaniu szybkiego powodzenia. Prócz stu rubli mam, jak już wiadomo, męstwo, upór, wytrwałość, całkowitą samotność i tajemnicę. Samotność jest najważniejsza: okropnie nie lubiłem żadnych układów i związków z ludźmi. Mówiąc ogólnie, postanowiłem rozpocząć dzieło sam, to sine qua*. Ludzie mi ciężą, byłbym niespokojny w duchu, a niepokój zaszkodzi w osiągnięciu celu.

Dotąd przez całe życie, we wszystkich moich marzeniach o tym, jak będę się kontaktować z ludźmi, wychodziło u mnie wszystko bardzo mądrze, ale w rzeczywistości zawsze bardzo głupio.

Przyznaję się do tego z oburzeniem i szczerze, słowa zwykle zdradzały mnie i zbyt się spieszyłem, dlatego zdecydowałem się wykluczyć ludzi. Jako wygrana -niezależność, spokój ducha, jasność celu.

Mimo strasznych cen petersburskich ustaliłem raz na zawsze, że nigdy nie wydam na jedzenie więcej niż piętnaście kopiejek i wiedziałem, że słowa dotrzymam. Tę kwestię wyżywienia obmyślałem długo i szczegółowo; założyłem na przykład, żeby niekiedy po dwa dni z rzędu jeść tylko chleb z solą, ale z tym, żeby na trzeci dzień wydać oszczędności zrobione przez dwa dni; wydało mi się, że to będzie lepsze dla zdrowia niż wieczny równy post na minimalnej stawce piętnastu kopiejek

* (łac.) bez tego.

albo schować się w zbyt już słotny dzień. Postanowiłem żyć na ulicy i w razie konieczności gotów byłem nocować w przytułkach, gdzie prócz noclegu dają kromkę chleba i kubek herbaty. O, doskonale potrafiłbym schować moje pieniądze, aby mi ich w moim kącie albo w przytułku nie ukradli, nie podejrzeliby nawet, ręczę! „Mnie coś ukradną? Przecie to ja sam boję się, żebym komu czego nie ukradł” - słyszałem raz to wesołe powiedzenie na ulicy od jakiegoś przechodnia.

Naturalnie dla siebie biorę z niego tylko chytrość i ostrożność, a kraść nie zamierzam. Mało tego: już w Moskwie, być może od pierwszego dnia „idei”, zdecydowałem, że ani pod zastaw, ani na procent pożyczyc nie będę; od tego są Żydzi i ci z Rosjan, co nie mają rozumu ani charakteru.

Zastaw i procent - to rzecz ordynarna.

Co się tyczy odzieży, postanowiłem mieć dwa ubrania: codzienne i porządne. Raz je sprawiwszy, byłem pewien, że ponoszę długo; dwa i pół roku umyślnie uczyłem się nosić ubranie i nawet odkryłem sekret: żeby ubranie zawsze wyglądało jak nowe i szybko się nie znaszało, trzeba je czyścić szczotką najczęściej jak tylko można, po pięć i sześć razy dziennie. Sukno szczotki się nie boi, mówię z całym przekonaniem, ale boi się kurzu i śmieci. Pył jest tym samym co kamienie, jeśli patrzeć przez mikroskop, a szczotka, mimo że twarda, zawsze jest tylko sierścią.

Jednocześnie nauczyłem się nosić trzewiki; sekret polega na tym, żeby stawiać nogi całą podeszwą i jak najrzadziej naciskać na boki. Można się tego nauczyć w dwa tygodnie; potem chodzi się już podświadomie. W ten sposób trzewiki noszą się średnio o jedną trzecią dłużej. Doświadczenie dwóch lat.

Potem zaczynała się już właściwa działalność.

Wyszedłem z następującego założenia: mam sto rubli. W Petersburgu odbywa się mnóstwo licytacji, wyprzedaży; jest wiele drobnych sklepików okazyjnych i ludzi w potrzebie, tak że zawsze musi trafić się okazja, by kupić rzecz za tyle i tyle, i sprzedać nieco drożej. Za album osiągnąłem siedem rubli dziewięćdziesiąt kopiejek zysku, na dwa ruble pięć kopiejek wydanego kapitału. Ten ogromny zysk uzyskałem prawie bez ryzyka: po oczach widziałem, że kupujący nie odstąpi.

Rozumie się, doskonale pojmuję, że to tylko przypadek; ale przecież takich przypadków właśnie szukam, dlatego też postanowiłem spędzić życie na ulicy. Lecz gdyby nawet te wypadki były bardzo rzadkie, nic to; główną moją zasadą będzie nie ryzykować, a po drugie, każdego dnia cośkolwiek

82

zarobić ponad minimum wydane na utrzymanie, tak, żeby oszczędzanie trwało bez przerwy.

Powiedzą mi: wszystko to marzenia; pan nie zna ulicy i nabiorą pana przy pierwszym kroku. Ale mam silną wolę i charakter, a nauka uliczna jest taką samą nauką, jak każda inna, poddaje się uporowi, uwadze i zdolnościom. Byłem w gimnazjum aż do siódmej klasy jednym z najlepszych uczniów, byłem bardzo mocny w matematyce. Czyż można tak bałwochwalczo przeceniać

doświadczenie i naukę uliczną, żeby z góry przepowiadać niepowodzenie? Ci tylko to mówią, którzy

nigdy żadnych prób nie podejmowali, żadnego życia nie zaczęli i wegetowali na gotowym. „Jeden rozbił sobie nos, to i drugi nieodzownie rozbije”. Nie, nie rozbije! Mam silny charakter, a będąc czujnym wszystkiego się nauczę. Przecież można wyobrazić sobie, że trwając w uporze, w nieprzerwanej bystrości spojrzenia i nieustannym obmyślaniu i obliczaniu, w nieustannym działaniu i bieganinie osiągnie się na koniec umiejętności, jak odłożyć codzienne czterdzieści kopiejek. Najważniejsze jest, zdecydowałem, by nigdy nie nastawiać się na maksimum zysku, lecz zawsze zachowywać umiar. Następnie, kiedy zarobię już jeden i drugi tysiąc naturalnie wyszedłbym poza faktorstwo i handelek uliczny. Zbyt mało jeszcze znam giełdę, akcje, sprawy bankierskie itp. Ale wiem doskonale, że wszystkie te giełdy i banki poznam, nauczę się tego w swoim czasie jak nikt inny i że tę naukę opanuję po prostu, dlatego tylko, że do tego dojrzeje sytuacja. Czy tu rzeczywiście potrzeba aż tak dużo rozumu? Cóż to za mądrość Salomonowa; byle tylko mieć odpowiedni charakter; umiejętność, zręczność, a wiadomości przyjdą same przez się.

Byle tylko nie przestawało się „chcieć”!

Najważniejsze - nie ryzykować, a to jest możliwe tylko wtedy, gdy się ma charakter. Niedawno, już podczas mojej bytności w Petersburgu ogłoszono subskrypcję na akcje kolejowe; ci, którym udało się podpisać, zarobili wiele. Jakiś czas akcje szły w górę. I oto wyobraźmy sobie, że nagle ktoś, kto nie zdążył podpisać, lub chciwy, widząc u mnie akcje proponuje, żeby mu je sprzedać za tyle to i tyle procent odstępnego. Cóż, natychmiast bym je sprzedał. Naturalnie śmiano by się ze mnie: gdybyś pan jeszcze trochę poczekał, mógłbyś pan wziąć nawet dziesięć razy tyle. Tak, ale mój zarobek jest pewniejszy, bo już w kieszeni, a wasz wciąż jeszcze fruwa. Można powiedzieć, że w ten sposób wiele się nie zarobi; przepraszam, na tym właśnie polega wasz błąd, błąd wszystkich naszych Kokoriewów, Polakowów, Gruboninów. Dowiedzcie się prawdy: ciągłość i upór

83

w zarabianiu i, co najważniejsze, w oszczędzaniu, jest skuteczniejszy od chwilowych korzyści i zysków choćby nawet stuprocentowych.

Na krótko przed rewolucją francuską pojawił się w Paryżu niejaki Law i wykombinował pewien genialny w założeniu projekt (który potem w praktyce pękł z wielkim hukiem). Cały Paryż był

poruszony: akcje Lawa rozchwytywano. Do domu, w którym rozpisano subskrypcję, sypały się pieniądze z całego Paryża jak z worka; ale i domu wkrótce nie starczyło: publiczność wszelkich zawodów, sfer i wieku tłoczyła się na ulicy: mieszczanie, szlachta, ich dzieci, hrabiny, markizy, kobiety publiczne - wszyscy zbili się w jedną roznamiętnioną, na wpół oszalałą masę, jak gdyby pokąsaną przez wściekłego psa; rangi, przesady rasy i dumy, nawet honor i dobre imię - wszystko zostało wdeptane we wspólne błoto. Wszyscy (nawet kobiety) poświęcali wszystko, aby dostać kilka akcji. Subskrypcja przeszła na koniec na ulicę, ale nie było gdzie pisać. Wtedy pewnemu garbusowi zaproponowano, by wynajął na pewien czas swój garb jako stół dla podpisywania na nim akcji. Garbus zgodził się - można sobie wyobrazić za jaką cenę! W jakiś czas potem (bardzo krótki) wszystko raptownie zbankrutowało, wszystko runęło, cały pomysł poszedł do diabła i akcje straciły jakąkolwiek wartość. Kto wygrał? Jeden tylko garbus, dlatego mianowicie, że nie brał

akcji, lecz luidory gotówką. Otóż ja jestem takim garbusem! Starczyło mi siły, żeby nie jeść i z

kopiejek zbierać siedemdziesiąt dwa ruble, starczy i na to, aby w największym wirze gorączki, co wszystkich opanuje, powstrzymać się i wybrać pewny zysk, zamiast większego lecz niepewnego.

Jestem drobiazgowy w drobiazgach, ale w wielkiej rzeczy - nie. Na małą cierpliwość często nie starczało mi charakteru, nawet i po narodzinach „idei”, ale na wielką - zawsze wystarczy. Kiedy matka podawała mi rano, gdym szedł do pracy, wystygłą kawę, złościłem się i byłem gru-biański wobec niej, a jednak byłem tym samym człowiekiem, który przeżył cały miesiąc o chlebie i wodzie.

Jednym słowem, nie zarabiać, nie nauczyć się zarabiać byłoby stanem nienormalnym. Nienormalne jest też, żeby bezustannie oszczędzając, utrzymując oględność, trzeźwość myśli i

wstrzeźliwość, przy ciągle wzrastającej energii, niemożliwe, powtarzam, abym nie został

milionerem. W jaki sposób żebrak zarobił swe pieniądze, jeśli nie dzięki fanatyzmowi charakteru i uporowi? Czyż jestem gorszy od żebraka? „A wreszcie niech do niczego nie dojdę, niech rachunek będzie fałszywy, niech pęknię i zginę - wszystko jedno! Idę! Idę dlatego, że tak chcę!” Oto co mówiłem już w Moskwie.

84

Powiedzą mi, że nie ma tu żadnej „idei” i nie ma tu zupełnie niczego nowego. A ja powiem już po raz ostatni, że jest tu nieskończenie dużo idei i bezmiernie wiele nowego.

O, ja przeczuwałem przecież, jak trywialne będą wszystkie zarzuty i jak trywialny będę ja sam, wykładając „moją ideę”: i cóż wypowiedziałem? Setnej części nie wypowiedziałem; czuję, że wypadło ordynarnie, powierzchownie i nawet jakoś zbyt młodzieńczo jak na mój wiek.

ii!

Pozostają odpowiedzi na „dlaczego” i „po co”, „moralnie czy nie” itd., itd. - obiecałem na to odpowiedzieć. Smutno mi, że od razu rozczaruję czytelnika, smutno mi i wesoło. Niech wiedzą, że akurat żadnego uczucia „zemsty” nie ma w całej mojej „idei”, nic byronowskiego -ani przekleństw, ani żalów sieroctwa, ani łez nieprawego dziecka, nic, nic. Jednym słowem, romantyczna dama, gdyby jej wpadły w rękę moje notatki, zaraz spuściłaby nos na kwintę. Jedyne cel mojej „idei” -

samotność.

- Ale przecież samotność można osiągnąć nie troszcząc się o bycie Rotschildem? Co ma do tego Rotschild?

- A po to, że oprócz samotności potrzebna mi jest także potęga.

Zrobię w tym miejscu wstęp: być może czytelnik zachnie się z powodu szczerości mojej spowiedzi i prostodusznie zapyta sam siebie: jakże to autor jak dotąd nawet się nie zarumienił? Odpowiem: nie piszę tego w celu szybkiego wydania; czytelnika prawdopodobnie mieć będę dopiero nie wcześniej niż za dziesięć lat, kiedy wszystko już do tego stopnia się ujawni, wykaże i spełni, że nie będzie już czego się rumienić. Dlatego, jeśli niekiedy zwracam się w moich zapiskach wprost do czytelnika, to

jest to tylko zwrot retoryczny. Mój czytelnik jest postacią fantastyczną.

Nie, to nie nieprawe urodzenie, którym tak mnie drażniono u Tusza-ra, nie smutne lata dziecięce, nie zemsta i nie prawo protestu stały się początkiem mej „idei”: przyczyną wszystkiego jest jedynie mój charakter. Od wieku dwunastu lat, jak sądzę, to jest prawie od przebudzenia się pełnej świadomości zacząłem nie lubić ludzi. Może nie to, że nie lubić, ale zaczęli mi ludzie jakoś ciążyć.

Nieraz było mi bardzo smutno samemu, w moich pięknych chwilach, tak, że w żaden sposób nie mogłem wszystkiego nawet bliskim ludziom wyznać, to jest mógłbym nawet, ale nie chcę, coś mnie powstrzymuje; jestem nieufny, ponury i nieskłonny

85

do zwierzeń. Mimo to, niemal od wczesnego dzieciństwa spostrzegam w sobie tę cechę, że zbyt często winię ludzi, że jestem zbyt skłonny do obwiniania innych, ale wraz z tą skłonnością bardzo często prześladowała mnie inna myśl, bardzo już dla mnie ciężka: „czy przypadkiem to nie ja sam jestem winien, a nie oni?” I jakże często obwinałem się ponad potrzebę! Aby nie rozstrzygać podobnych pytań, szukałem prawdziwego odosobnienia. Przy tym nie znajdowałem nic

pożytecznego w towarzystwie ludzi, jakkolwiek się starałem, a starałem się rzeczywiście. Na ogół

wszyscy moi rówieśnicy, wszyscy moi koledzy, wszyscy co do jednego okazywali się niżsi ode mnie pod względem umysłowym; nie pamiętam ani jednego wyjątku.

Tak, jestem ponury i bezustannie maskuję się. Często pragnę wyjść poza społeczeństwo. Być może będę ludziom czynił dobro, ale często nie widzę najmniejszej przyczyny by im czynić dobro. I ludzie zupełnie nie są tak piękni, ażeby się o nich tak troszczyć. Dlaczego nie podchodzą do mnie prosto i otwarcie i dlaczego to ja koniecznie jako pierwszy muszę do nich leżeć? Takie właśnie pytania mnie dręczyły. Jestem istotą, która potrafi się odwdzięczyć i dowiodłem tego już setką popełnionych głupstw. I natychmiast potrafiłbym odpowiedzieć człowiekowi otwartemu otwartością i natychmiast zacząłbym go lubić! Tak też robiłem: ale wszyscy zaraz mnie nabierali i kpinami zamykali się przede mną. Najbardziej otwarty ze wszystkich był Lambert, który w dzieciństwie bardzo mnie lubił, ale i ten -jest tylko otwartym draniem i rozbójnikiem, a i ta jego otwartość wynika jedynie z głupoty. Takie mniej więcej były moje myśli, gdy przyjechałem do Petersburga.

Wyszedłszy wtedy od Diergaczowa (do którego Bóg wie co mnie powlokło), poszedłem do Wasina i w porywie uniesienia zacząłem go wychwalać. I cóż? Tego samego wieczoru poczułem już, że o wiele mniej go lubię. Dlaczego? Dlatego właśnie, że wychwalając go, tym samym poniżyłem przed nim siebie. Tymczasem zdawałoby się powinno być odwrotnie: człowiek sprawiedliwy i wielkoduszny, taki co to innemu oddaje należny szacunek, nawet z poniżeniem siebie, taki człowiek jest niemal od każdego wyższy wewnętrznym dostojeniem.

I cóż, ja to rozumiałem, a jednak mniej lubiłem Wasina, nawet o wiele mniej lubiłem; naumyślnie biorę przykład już znany czytelnikowi. Nawet o Krafcie wspomniałem z gorzkim i kwaśnym uczuciem, ponieważ sam mnie wyprowadził do przedpokoju i tak było, aż do następnego dnia, kiedy wszystko co dotyczy Krafta już się wyjaśniło i nie można się było gniewać. Od najniższych klas

gimnazjum, jeśli tylko ktoś z towarzyszy wyprzedzał mnie albo w naukach, albo w dowcipnych odpowiedziach, albo w sile fizycznej - natychmiast przestawałem się z nim zadawać i rozmawiać. Nie o to chodzi, żebym go nienawidził, albo życzył mu niepowodzenia; po prostu odwracałem się, bo taki już mam charakter.

86

Tak, pożądałem potęgi przez całe moje życie, potęgi i samotności. Marzyłem o tym już w tym wieku, kiedy na pewno każdy roześmiałby mi się w oczy, gdyby domyślił się, co mi się roi pod czaszką. Oto dlaczego tak polubiłem tajemnicę. Tak marzyłem ze wszystkich sił, do tego stopnia, że brakowało mi czasu na rozmowy; wywnioskowano stąd, że jestem nietowarzyski, a z powodu mojego roztargnienia wyciągano jeszcze brzydsze wnioski na mój temat choć moje różowe policzki dowodziły czegoś przeciwnego.

Szczególnie szczęśliwy byłem, kiedy położywszy się spać i nakrywszy kołdrą, zaczynałem już sam, w zupełnym osamotnieniu, gdy nikt już wokół nie chodził i nie słyszałem jakiegokolwiek głosu, przetwarzać własne życie. Najbardziej jaskrawe marzycielstwo towarzyszyło mi aż do odkrycia „idei”, wówczas te wszystkie marzenia z głupich stały się naraz mądre i z marzycielskich form powieści przeszły w rozsądną formę rzeczywistości.

Wszystko stopiło się w jeden cel. Marzenia me zresztą przedtem też nie były już tak bardzo głupie, chociaż był ich legion legionów i tysiąc tysięcy. Ale były ukochane... zresztą, nie wyprowadzajmy ich tu!

Potęga! Jestem przekonany, że bardzo wielu uśmiełoby się serdecznie na wiadomość, że taka

„lichota” pretenduje do potęgi. Ale ja jeszcze bardziej zadziwię: być może od pierwszych moich marzeń to jest niemal od wczesnego dzieciństwa nie mogłem sobie siebie wyobrazić inaczej niż na pierwszym miejscu zawsze i we wszystkich sytuacjach życia. Dodam dziwne wyznanie: być może trwa to jeszcze aż do chwili obecnej. Chcę przy tym zauważyć, że nie proszę o przebaczenie.

Na tym właśnie polega moja „idea”, w tym jest jej siła, że pieniądze -to jedyny środek, który nawet takie nic stawia na „pierwszym miejscu”. Być może nie jestem nicością. Lecz niech bym miał

nawet na siedem piędzi rozumu w głowie, na pewno znajdzie się w towarzystwie człowiek mający rozum na osiem piędzi - i wówczas zginąłem. Tymczasem, gdybym był Rotschildem - czy ów mędrzec będzie cośkolwiek znaczył wobec mnie? Ależ, nawet mówić mu nie pozwolą w mojej obecności! Być może jestem dowcipny; lecz jeśli tylko jestem Rotschildem - gdzie są wtedy Piron i Talleyrand? Pieniądze naturalnie są despotyczną potęgą, lecz jednocześnie i największą równością i w tym leży ich najważniejsza siła.

87

Pieniądze wyrównują wszystkie nierówności. Wszystko to przemyślałem jeszcze w Moskwie.

Będziecie naturalnie widzieć w tej idei tylko zuchwalstwo, gwałt i tryumf miernoty nad talentami.

Zgadzam się, że ta myśl jest zuchwała (i dlatego słodka). Lecz niech tak będzie, niech będzie: czy myślicie, że wówczas pragnąłem potęgi, aby koniecznie gnieść, mścić się? Otóż w tym rzecz, że tak by postąpiła pospolitość. Więcej, jestem przekonany, że tysiące ludzi mądrych i utalentowanych, pełnych wzniosłości, gdyby naraz przywalić ich rotschildowskimi milionami, nie wytrzymają i zaczną postępować jak najmarniejsze ordynusy, a będą gnębić bardziej, niż ktokolwiek inny. Nie taka była moja idea. Nie boję się pieniędzy, nie przygniotą mnie i nie uczynią gnębicielem.

Nie potrzebuję pieniędzy lub raczej nie pieniądze mi są potrzebne, a nawet nie potęga. Potrzebne mi jest tylko to, co zdobywa się potęgą, a czego bez niej osiągnąć nie można: to znaczy samotne, spokojne poczucie siiiy! Oto najpełniejsze określenie wolności, nad którym świat się tak biedzi!

Wolność! Na koniec nakreśliłem to wielkie słowo. Tak, samotne poczucie siły jest upajające i przepiękne. Posiadam siłę - więc jestem spokojny. Jowisz gromy ma w rękę i cóż: jest spokojny; czy tak często słyszy się, żeby rzucał pioruny? Głupcowi wyda się, on śpi. -A gdyby na miejscu Jowisza zasiadł jakiś literat lub głupia wiejska baba

- ileż by rzucali gromów!

Gdybym miał tylko potęgę, rozmyślałem, nie używałbym jej zupełnie. Zapewniam, że sam z własnej woli potrafiłbym zadowolić się ostatnim miejscem. Gdybym był Rotschildem - chodziłbym w starym paletku i z parasolem. Co mnie obchodzi, że mnie popychają na ulicy, że muszę skakać po błocie, żeby mnie dorożkarze nie przejechali. Świadomość, że to jestem ja, sam Rotschild, nawet bawiłaby mnie w owej chwili. Wiem, że mogę mieć najlepszego na świecie kucharza i najlepszy obiad

- wystarczyłoby mi samo to, iż to wiem. Zjem kawałek chleba i wędliny i będę syty swoją świadomością. Nawet i teraz tak myślę.

Nie będę pchał się do arystokracji, lecz ona będzie się pchać do mnie, nie ja będę się uganiać za kobietami, lecz one napłyną jak woda. Te „marne” przyłecą po pieniądze, a mądre przyciągnie ciekawość wobec tej dziwnej, dumnej, skrytej i na wszystko obojętnej istoty. Będę uprzejmy i z jednymi, i z drugimi, i może dam im pieniądze, ale sam niczego od nich nie wezmę. Ciekawość rodzi namiętność: może też wywołam namiętność. Odejdą z niczym, zapewniam was - najwyżej z podarunkami. Stanę się dla nich tylko dwa razy ciekawszy.

88

„...wystarczy mi sama świadomość.”

Dziwne, że obrazkiem tym (zresztą prawdziwym) zachwycąłem się, mając siedemnaście lat.

Nie chcę i nie będę nikogo gnębić, ani prześladować; ale wiem, że gdybym zechciał zniszczyć kogoś, wroga mego, to nikt by mi w tym nie przeszkodził, a wszyscy by jeszcze służyli pomocą - i znowu - to mi wystarcza.

Na nikim bym się nawet nie chciał mścić. Dziwiłem się zawsze, że taki James Rotschild zgodził się zostać baronem! Po co, na co, kiedy i tak jest ponad wszystkimi na świecie? „O, niech mnie zelży na

popasie, gdzie czekamy obaj na konie - ten grubiański generał; gdyby wiedział, kim jestem, sam by pobiegł zaprzęgać konie i skoczyłby, żeby mnie podsadzić do mego skromnego tarantasu.

Pisano, że na wiedeńskiej kolei zagraniczny hrabia, czy baron, na oczach tłumu wkładał pewnemu tamtejszemu baronowi pantofle na nogi, a ów był tak ordynarny, że pozwolił na to. O, niechże ta straszna piękność (właśnie straszna, istnieją takie!), córka tej wyniosłej, znakomitej arystokratki, spotkawszy się przypadkowo ze mną na parostatku czy gdziekolwiek, boczy się na mnie i, zadzierając nosa, wyraża pogardliwe zdziwienie: jak śmiał dostać się na pierwsze miejsce obok niej ten skromny i plugawy człowieczyna z książką, czy gazetą w rękach! Lecz żeby tylko wiedziała, kto siedzi koło niej! I ona dowie się, dowie, i usiądzie koło mnie pokorna, trwożliwa, uprzejma, szukająca mego spojrzenia, radująca się moim uśmiechem.” Umyślnie wstawiam te obrazki, aby jaskrawiej wyrazić myśl; ale obrazki te są blade i, być może, trywialne. Sama tylko rzeczywistość wszystko usprawiedliwia.

Powiedzą, że głupio tak żyć; dlaczego nie mieć pałacu, otwartego domu, nie zbierać towarzystwa, nie mieć wpływów, nie ożenić się? Ale czym by stał się wtedy Rotschild? Stałby się takim jak wszyscy. Znikłby cały urok idei, cała jej siła moralna. Jeszcze w dzieciństwie nauczyłem się na pamięć monologu Skąpego Rycerza Puszkina: nic wyższego pod względem ideowym nigdy

Puszkina nie stworzył! I dziś jestem tego zdania.

„Ależ pański ideał zbyt jest przyziemny, powiedzą z pogardą - pieniądze, bogactwo! Gdzież tu pożytek społeczny, humanitaryzm?”

Ale skąd wiecie, jak użyję mego bogactwa? Dlaczego niemoralne i przyziemne ma być to, że z brudnych i złych rąk żydowskich te miliony spłyną do rąk trzeźwego i stanowczego ascety, bystro wpatrującego

89

się w świat? W ogóle te wszystkie marzenia o przyszłości, te wszystkie przepowiednie, to wszystko teraz jeszcze jest jak powieść i być może zbytecznie to piszę; niechby zostało tylko w głowie.

Wiem też, że może nikt nie przeczyta tych zdań, ale jeśli przeczyta, czy uwierzy, że być może, iż nie zniósłbym rotschildowskich milionów? Nie dlatego, żeby mnie miały przygnieść, lecz w innym sensie, odwrotnym. W moich marzeniach nieraz już chwyciłem tę chwilę w przyszłości, kiedy świadomość moja będzie już aż nadto zadowolona, a potęga wyda się zbyt mała.

Wówczas nie z nudów i nie na skutek bezcelowej tęsknoty, a dlatego, że bezgranicznie zapragnę czegoś większego - oddam moje miliony ludziom, niech tam społeczeństwo rozdzieli według potrzeb moje bogactwa, a ja znowu zmieszam się z nicością! Może nawet przemienię się w tego nędzarza, który umarł na parostatku, z tą różnicą, że w koszuli mej nie znajdą nic zaszytego. Sama świadomość tego, że w rękach miałem miliony i rzuciłem je w błoto jak kruk, karmiłaby mnie w mojej pustyni. I dziś też gotów jestem tak myśleć. Tak, moja idea - to ta forteca, w której zawsze i w każdym wypadku mogę schować się przed ludźmi, chociażbym był jak ów nędzarz, co umarł na parowcu. Oto mój poemat! I wiedzcie, że po to jedynie potrzebna mi jest cała moja grzeszna wola, abym mógł

dowieść sobie samemu, że mam siłę wyrzec się jej.

Niewątpliwie odpowiedzą mi, że to już jest poezja i że nigdy, jeżeli dostaną mi się miliony, nie wypuszczę ich z rąk, nie przeobrażę się w nędzarza. Być może nie oddam; nakreśliłem tylko ideał

mej myśli. Ale dodam już poważnie: gdybym doszedł w gromadzeniu bogactwa do takiej wielkości jak Rotschild, to faktycznie mogłoby się tym skończyć, że rzuciłbym majątek społeczeństwu.

(Zresztą przed osiągnięciem rotschildowskich sum trudno by to było zrealizować.) I nie połowę bym oddał, bo wówczas byłoby to zbyt pospolite: stałbym się tylko dwa razy biedniejszy i nic więcej, ale właśnie wszystko, co do grosza; zostawszy bowiem nędzarzem, od razu byłbym dwa razy bogatszy od Rotschilda! Jeśli kto tego nie rozumie - nie moja w tym wina, jaśniej tłumaczyć nie będę.

„Fakirstwo, poezja nicości i bezsilności! - stwierdzą ludzie - triumf beztalencia i przeciętności.”

Tak, przyznaję, częściowo triumf i beztalencia, i miernoty, ale przecież nie bezsilności. Ogromnie podobało mi się wyobrazić sobie właśnie stworzenie upośledzone i przeciętne, stojące w opozycji do świata i mówiące mu z uśmiechem: wy Galileusze i Koperniki, Karolowie Wielcy i Napoleony, wy Puszkiny i Szekspiry, wy feldmarszałkowie i marszałkowie dworów, a oto ja - beztalencie i nieprawość; a jednak stoję wyżej od was, bo samiście się temu podporządkowali.

90

Przyznaje, że fantazję tę doprowadzałem do takiej skrajności, że przekreśliłem nawet wykształcenie. Wydawało mi się, że będzie piękniej, jeśli ten człowiek będzie nawet ordynarnie niewykształcony. To egzaltowane marzenie wpłynęło nawet wówczas na moje postępy w siódmej klasie gimnazjalnej i przestałem się uczyć właśnie wskutek fanatyzmu. Brak wykształcenia jakoby dodawał piękna ideałowi. Obecnie zmieniłem swe przeświadczenie co do tego punktu:

wykształcenie nie zaszkodzi.

Panowie, czyżby niezależność myśli, choćby najmniejsza, była dla was tak wielkim ciężarem?

Błogosławiony, kto ma ideał piękna - choćby nawet błędny! Ale ja wierzę w mój ideał. Tylko źle go przedstawiłem, nieumiejętnie, jak abecadło. Za dziesięć lat naturalnie lepiej bym wyłożył. Ale to zachowam sobie na pamiątkę.

—

Skończyłem już o „idei”. Jeżeli opisałem ją bez smaku i powierzchownie, to wyłącznie moja wina, nie zaś „idei”. Uprzedziłem już, że im prostsza idea, tym pojąć ją trudniej. Teraz dodam, że i wyrazić ją trudniej, tym bardziej, że opisywałem „ideę” w jej pierwotnej postaci. Jest i odwrotne prawo dla idei: idee pospolite, łatwe, pojmowane są nadzwyczajnie szybko i obowiązkowo przez cały tłum, obowiązkowo przez całą ulicę. Nie dość tego, są uważane za największe i najgenialniejsze, ale - tylko w dniu pojawienia się. Rzecz tania nie jest trwała. Szybkie pojmowanie jest tylko oznaką pospolitości rzeczy pojmowanej. Idea Bismarcka stała się natychmiast genialna, a sam Bismarck - geniuszem; ale właśnie ta szybkość jest podejrzana. Ciekaw jestem Bismarcka za lat dziesięć, a

zobaczymy wtedy, co pozostanie z jego idei, a być może z samego pana kanclerza.

Tę w najwyższym stopniu marginesową i nie dotyczącą sprawy uwagę wstawiam naturalnie nie dla porównania, ale także dla zapamiętania. (Wyjaśnienie dla gruboskórnego czytelnika.) A teraz opowiem dwie anegdoty, żeby wreszcie skończyć z moją ideą zupełnie i tak, żeby już w niczym nie przeszkadzała w opowiadaniu.

Latem, w lipcu, na dwa miesiące przed wyjazdem do Petersburga, kiedy już stałem się zupełnie wolny, Maria Iwanowna poprosiła mnie, abym pojechał do Troickiego Posadu, do pewnej starej panny, tam zamieszkałej, z pewnym poleceniem, zbyt mało ważnym, aby o nim wspominać bardziej szczegółowo. Powracając tegoż dnia, spostrzegłem w wagonie jakiegoś nędznego, młodego człowieka, nieźle, ale brudno odzianego,

91

czarniawego, ciemno-smagłego bruneta. Wyróżniał się rym, że na każdej stacji, na każdym przystanku nieodzwrotnie wysiadał i pił wódkę. W końcu drogi utworzyło się wokół niego wesołe kółko, zresztą nędznych kompanów. Pewien kupiec, także nieco pijany, zachwycał się zdolnością młodego człowieka do bezustannego picia, przy jednoczesnym zachowaniu trzeźwości. Bardzo zadowolony był także jakiś młody drab, strasznie głupi i strasznie dużo mówiący, ubrany z niemiecka, od którego paskudnie pachniało, lokaj, jak się później dowiedziałem. Ten nawet pokumał się z tym młodym człowiekiem i przy każdym zatrzymaniu się pociągu zapraszał go.

„Teraz pora napić się wódki” i obaj wychodzili, objąwszy się. Młody człowiek pijący, prawie słowa nie mówił, a kompanów zbierało się koło niego coraz to więcej i więcej. Słuchał tylko wszystkich, uśmiechał się nieustannie, chichotał, śliniąc się i od czasu do czasu, ale zawsze nieoczekiwanie, wydawał jakiś dźwięk, coś w rodzaju „tiur-lur-lu”, przy czym tak jakoś karykaturalnie podnosił palec do swego nosa. To właśnie rozweselało i kupca, i lokaja, i wszystkich, i cała grupa nadzwyczaj głośno i bez żenady śmiała się. Nie można zrozumieć, czemu się ludzie niekiedy śmieją. Podeszedłem do nich i ja - właściwie nie rozumiem dlaczego, także mnie ten młody człowiek jakby się spodobał. Być może z powodu jaskrawego naruszania ogólnie przyjętych i usankcjonowanych obyczajów, słowem nie poznałem się na głupcu, natomiast przeszedłem z nim wkrótce na „ty” i wychodząc z wagonu dowiedziałem się od niego, że wieczorem, o godzinie dziewiątej przyjdzie na bulwar Twerski. Okazało się, że jest byłym studentem. Przyszedłem na bulwar i oto jakiej nauczył mnie sztuki: chodziliśmy we dwójkę po wszystkich bulwarach i kiedyśmy spotykali jakąś porządną kobietę, zwłaszcza gdy w pobliżu nie było innych przechodniów, przyczepialiśmy się do niej. Nie mówiąc do niej ani słowa, umieszczaliśmy się, on po jednej, a ja po drugiej jej stronie i najspokojniej w świecie, tak jakby jej zupełnie nie zauważając, zaczynaliśmy nieprzyzwoitą rozmowę. Nazywaliśmy rzeczy po imieniu z najspokojniejszą miną, jakby tak należało i zapuszczaliśmy się w szczegóły, objaśnialiśmy różne paskudztwa i świństwa, jakich najbrudniejsza wyobraźnia najbrudniejszego rozpustnika nie potrafiłaby wymyślić.

Naturalnie, wszystkie te wiadomości nabyłem jeszcze w szkołach, nawet przed szkołą, ale tylko w słowach, nie w czynie. Nagabnięta w ten sposób kobieta wpadała w przerażenie, próbowała jak najszybciej uciec, ale my też przyspieszaliśmy kroku i powtarzaliśmy swoje. Ofiara naturalnie nie mogła nic zrobić, nie mogła przecież krzyknąć, a w podobnej sytuacji trudno jakoś skarżyć się.

Na takich zabawach zeszło osiem dni i nie pojmuję, jak mi się to mogło podobać, a nawet nie podobało się, tylko tak jakoś... Naprzód wydawało mi się to postępkami oryginalnym, jakby występującym z ram konwencjonalnych zwyczajów i przy tym nie cierpiałem kobiet.

Powiedziałem raz studentowi, że Jean-Jacques Rousseau przyznaje się w swych „Wyznaniach”, że jako młodzieniec lubił po kryjomu wystawiać z kąta, obnażywszy je, części ciała zazwyczaj zakrywane i oczekiwał w tej pozycji na przechodzące kobiety. Student odpowiedział mi swoim „tiur-lur-lu”. Zauważyłem, że był strasznym ignorantem i dziwnie mało interesował się czymkolwiek. Żadnej ukrytej idei, jaką spodziewałem się w nim znaleźć. Zamiast oryginalności znalazłem jedynie przygniatającą jednostajność. Coraz bardziej i bardziej go nie lubiłem. Wreszcie wszystko skończyło się zupełnie nieoczekiwanie: przyczepiliśmy się razu pewnego, już zupełnie po ciemku, do jakiejś szybko i trwożnie przechodzącej przez bulwar dziewczynki, bardzo młodziutkiej, być może zaledwie mającej lat szesnaście lub może nawet mniej, bardzo czysto i skromnie odzianej, może zarabiającej na utrzymanie i powracającej do domu z pracy, do matki staruszki, biednej wdowy z dziećmi. Zresztą nie ma potrzeby wpadać w czułość. Dziewczynka jakiś czas słuchała i pospieszała, schyliwszy głowę i zakrywając się woalem, bojąc się i drżąc, ale nagle zatrzymała się, odrzuciła woal ze ślicznej, o ile pamiętam, ale chudziutkiej twarzy z błyszczącymi oczami i krzyknęła do nas:

- Ach, jakie z was łotry!

Być może za moment by się rozplakała, ale stało się coś innego - zamachnęła się i swą maleńką, wątlą ręką wlepiła studentowi taki policzek, jakiego zręczniejszy może nigdy dotąd mu nie wymierzono. Aż chla-snęło! Zaklął i chciał rzucić się na nią, ale go powstrzymałem i dziewczynka zdążyła uciec.

Zostawszy sami zaraz pokłóciliśmy się i wygarnąłem mu wszystko, co się we mnie przez cały czas gotowało. Powiedziałem mu, że jest litości godną kreaturą i pospolitością i że nigdy w nim nie było najmniejszego śladu idei. On mi nawymyślał... (pewnego razu wyjaśniłem mu coś na temat mego nieprawego urodzenia), po czym zerwaliśmy ze sobą i od tego czasu nigdy go już nie widziałem.

Tego wieczoru byłem bardzo zirytowany, na drugi dzień mniej, a trzeciego - zupełnie o wszystkim zapomniałem. I cóż, chociaż wspominałem niekiedy później tę dziewczynkę, ale przypadkiem, mimochodem. Dopiero po przyjeździe do Petersburga, po dwóch tygodniach przypomniałem sobie tę scenę - przypomniałem i zrobiło mi się nagle tak wstyd, że literalnie łzy wstydu

pociekły mi po policzkach. Przemęczyłem się cały wieczór, całą noc, po części męczę się i teraz. Z początku zrozumieć nie mogłem, jak było można tak nisko i haniebnie upaść, a głównie, zapomnieć o takim wypadku, nie wstydzic się go, nie odczuwać skruchy. Teraz dopiero rozumiałem, w czym rzecz: winna była „idea”. Krócej, wykladam wprost: mając umysł

opanowany przez coś nieruchomego, stałego, silnego, czym byłem okropnie zajęty, oddalałem się jakby tym samym od całego świata na pustynię i wszystko, co się zdarza, przechodziło niepostrzeżenie obok najważniejszego, istotnego. Nawet wrażenia odbierało się fałszywie. A poza

tym, główna rzecz, zawsze ma się wymówkę. Jak bardzo wymęczyłem matkę w tym czasie, jak haniebnie zaniedbywałem siostrę: „ech, ja mam ‘ideę’, a ta reszta to drobiazgi”! - oto co sobie niejako mówiłem. Mnie samego obrazili i to boleśnie - uciekałem obrażony i potem nagle mówiłem sobie: „Ech, nędzny jestem, a jednak mam swoją ideę, a oni o tym nie wiedzą”. „Idea” pocieszała w upokorzeniu i nikczemności, ale i wszystkie podłości moje, także jakby się kryły za moją ideą.

Idea ta, że tak powiem, wszystko łagodziła, ale i wszystko zasłaniała przede mną; ale tak niejasne pojmowanie wypadków i rzeczy szkodzić może nawet samej idei, nie mówiąc o czymś mniej ważnym.

Teraz inna anegdota.

Pierwszego kwietnia zeszłego roku były imieniny Marii Iwanowny. Wieczorem przyszło kilkoro gości, bardzo niewiele. Nagle wchodzi zadyszana Agraflena i powiada, że w sieni przed kuchnią piszczy podrzucone niemowlę i że ona nie wie co robić. Wiadomość poruszyła wszystkich, wszyscy wyszli i zobaczyli kobiałkę, w kobiałce trzy lub czterotygodniową kwilącą dziewczynkę.

Wziąłem koszyk, wniosłem do kuchni i zaraz znalazłem złożoną karteczkę: „Drodzy dobroczyńcy, okażcie litościwą pomoc ochrzczonej dziewczynce Arinie, a my z nią na zawsze będziemy zasylać za was łzy nasze do niebios i błogosławimy was - nieznanym wam ludziom”. Wtedy Mikołaj Siemionowicz, tak przeze mnie poważany, bardzo mnie zmartwił: zrobił bardzo poważną minę i zdecydował natychmiast odesłać dziewczynkę do przytułku. Zrobiło mi się ogromnie przykro. Oni żyli bardzo oszczędnie, ale nie mieli dzieci i Mikołaj Siemionowicz zawsze był z tego rad.

Ostrożnie wyjąłem z koszyka Arinkę i podniosłem ją za ramionka. Z koszyka czuć było jakimś kwaśnym i ostrym zapachem, jak to bywa z długo niemytym niemowlęciem. Posprzeczałyśmy się z Mikołajem Siemionowiczem. Oświadczyłem mu, że biorę dziewczynkę na swój rachunek. Zaczai się sprzeciwiać z pewną surowością, mimo swej miękkości, a choć zakończył żartem, lecz zamiaru co do przytułku nie zmienił.

94

Jednak stanęło na moim. Na tym samym podwórzu, ale w drugim skrzydle mieszkał bardzo biedny stolarz, człowiek już niemłody i lubiący wypić. Żonie jego, jeszcze zupełnie niestarej i zdrowej babie umarło dopiero co dziecko przy piersi, jedyne, które się urodziło po ośmiu latach bezpłodnego małżeństwa, także dziewczynka i na dziwne szczęście także Arinka. Mówię, na szczęście - ponieważ kiedyśmy się sprzeczały w kuchni, ta kobieta usłyszała o wypadku, przybiegła popatrzeć, a gdy się dowiedziała, że to Arinka - rozczuliła się. Miała jeszcze mleko, odsłoniła pierś i przyłożyła do piersi dziecko. Uczepiłem się jej i zacząłem prosić, żeby je zabrała do siebie i że będę płacił miesięcznie na utrzymanie. Bała się czy jej mąż pozwoli, ale wzięła je na noc. Rano mąż pozwolił za osiem rubli miesięcznie i natychmiast odliczyłem mu za pierwszy miesiąc z góry; zaraz zresztą przepił te pieniądze. Mikołaj Siemionowicz ciągle z dziwnym uśmiechem zgodził się poręczyć za mnie stolarzowi, że pieniądze po osiem rubli miesięcznie będę wnosił starannie.

Chciałem oddać Mikołajowi Siemionowiczowi moje sześćdziesiąt rubli, żeby zabezpieczyć regularną opłatę, ale nie wziął. Zresztą wiedział, że mam pieniądze i wierzył mi. Ta jego delikatność

zatarła naszą chwilową sprzeczkę. Maria Iwanowna nie mówiła nic, ale dziwiła się, jak mogę brać na siebie taki kłopot. Szczególnie cenilem ich delikatność polegającą na tym, że nie pozwolili sobie na najmniejszy żart ze mnie, a przeciwnie, zaczęli odnosić się do sprawy tak poważnie jak należało. Trzy razy na dzień biegałem do Darii Rodiwonówny, a w ciągu tygodnia dałem jej do ręki, osobiście, w sekrecie przed mężem, jeszcze trzy ruble. Za drugie trzy ruble sprawiłem kołderkę i pieluszki. Ale po dziesięciu dniach Arinka nagle zachorowała. Zaraz przywiozłem doktora, coś tam zapisał i czuwaliśmy całą noc, męcząc kruszynkę jego paskudnym lekarstwem, a na drugi dzień oświadczył, że jest już za późno, a na moje prośby, a zresztą, zdaje się i na wyrzuty, podał jako szlachetny wykręt: „Nie jestem Bogiem”. Języczek, wargi i całe usta dziewczynki pokryły się jakąś drobną wysypką i pod wieczór umarła, wlepiając we mnie duże, czarne oczka, jakby już wszystko rozumiała. Nie pojmuję, dlaczego nie przyszło mi na myśl, by z martwej zdjąć fotografię. Ale czy uwierzycie, że, nie to, żebym płakał, ale po prostu wyłem tego wieczora, na co poprzednio nigdy sobie nie pozwoliłem? Maria Iwanowna była zmuszona mnie pocieszać - i znowu bez kpinek i z jej, i z jego strony. Stolarz sam zrobił trumienkę. Maria Iwanowna obłożyła ją riuszką i położyła ładną poduszeczkę, a ja kupiłem kwiatów i obsypałem nimi dziecko. I tak to odwieźli moją biedną sierotkę, której,

95

wierzcie mi, do tej pory nie mogę zapomnieć. Niezadługo jednak potem to nagle wydarzenie skłoniło mnie do poważnego zastanowienia się. Arinka faktycznie niedrogo kosztowała - razem z trumienką, z pogrzebem, z doktorem, z kwiatami i z opłatą Darii Rodiwonownie - trzydzieści rubli.

Pieniądze te, wyjeżdżając z Petersburga, „rozmnożyłem” z przysłanych mi na wyjazd przez Wiersiłowa czterdziestu rubli i że sprzedaży jakichś gratów przed odjazdem, tak że cały mój

„kapitał” pozostał nienaruszony. Ale - pomyślałem - jeżeli będę wciąż tak zbaczał, to niedaleko zajdę. Z historii ze studentem wynikało, że „idea” może doprowadzić do niejasności wrażeń i odciągnąć od bieżącej rzeczywistości. Z historii z Arinka wynikało coś wręcz odwrotnego: żadna

„idea” nie jest w stanie zająć (przynajmniej mnie) do tego stopnia, żebym nie zatrzymał się nagle przed jakimś druzgocącym faktem i nie poświęcił dłoń od razu tego wszystkiego, co latami pracy zdziałiałem już dla „idei”. Mimo to obydwa dowody były słuszne.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nadzieje moje nie spełniły się całkowicie - nie zastałem ich samych. Chociaż Wiersiłowa nie było, ale u matki siedziała Tatiana Pawłówna - w każdym razie człowiek obcy. Połowa szlachetnego nastroju od razu uleciała. Zadziwiająco, jak jestem skory do przemiany w podobnych wypadkach: ziarenka piasku lub włoska wystarczy, żeby przegnać to co dobre i zamienić na złe. Kiedy wszedłem, wydało mi się, że matka zaraz przerwała szybko wątek swej, zdaje się, bardzo ożywionej rozmowy z Tatianą Pawłówną. Siostra wróciła z zajęć ledwie na chwilę przede mną i jeszcze nie opuściła swego pokoiku.

Mieszkanie to składało się z trzech pokoi. Ten, w którym wszyscy zazwyczaj siedzieli, pokój środkowy, czyli bawialnia, był dość duży i niemal przyzwoity. Stały w nim jeszcze miękkie czerwone sofy, bardzo zresztą wytarte (Wiersiłow nie cierpiał pokrowców), jakie takie dywany, stoły i

zbyteczne stoliki. Dalej na prawo znajdował się pokój Wiersiłowa, ciasny i wąski, o jednym oknie. Stał w nim nędzny stół, na którym walało się nieco nie czytanych książek i zapomnianych papierów, a przed stołem stał równie nędzny, miękki fotel ze złamaną i wylażącą na wierzch sprężyną, na którą często narzekał i kłął Wiersiłow. W tym też gabinecie na miękkiej i także zniszczonej sofie kładł się spać, ale nienawidził tego swego gabinetu i zdaje się nic w nim nie robił, lecz wolał siedzieć beczynnymi całymi godzinami w bawialni. Na lewo z bawialni prowadził taki sam pokój, w nim spała matka z siostrą. Do bawialni wchodziło się z korytarza, który kończył się wejściem do kuchni, gdzie mieszkała kucharka Łukieria. Kiedy coś pitrasiała, śmierdziało niemiłosiernie przysmażonym tłuszczem w całym mieszkaniu. Bywały chwile, kiedy Wiersiłow głośno przeklinał swoje życie i los z powodu tej kuchennej woni i w tej sprawie całkowicie mu współczułem. Ja także nienawidzę tych

97

zapachów, chociaż do mnie nie przenikały - mieszkałem na górze w facjatce pod dachem, dokąd wchodziło się po nadzwyczaj krętych i skrzypiących schodach. Miałem tam godne uwagi półokrągłe okno, bardzo niski strop, obity ceratą szezlong, na którym Łukieria na noc rozścielała mi prześcieradło i kładła poduszkę, a z innych mebli jedynie dwa sprzęty: najzwyklejszy stół i dziurawe plecione krzesło.

Zresztą jednak przechowywały się jeszcze u nas resztki niegdysiejszego komfortu, w bawialnym na przykład była zupełnie niezła porcelanowa lampa, a na ścianie wisiała wspaniała, duża grawiura dreźnieńskiej Madonny, podobnie na ścianie naprzeciwko wisiała duża fotografia ogromnych rozmiarów - kutych z brązu wrót katedry florenckiej. W tym także pokoju w kącie wisiała duża szafka ze starymi, od dawna przechowywanymi w rodzinie obrazami, z których na jednym (Wszystkich Świętych) była duża pozłacana srebrna koszulka, ta sama, którą chciano zastawiać, a na drugim (na obrazie Matki Bożej) sukienka aksamitna, wyszyta perłami. Przed obrazami wisiała lampka zapalana przed każdym świętem. Wiersiłow święte obrazy traktował oczywiście obojętnie, marszczył się tylko niekiedy i skarżył, że odbite od złoczonej koszulki światło lampki szkodzi mu na wzrok, ale mimo to nie przeszkadzał matce zapalać.

Wchodziłem zazwyczaj milczący i ponury, patrząc najczęściej w kąt, a niekiedy wchodząc nawet się nie witałem. Wracałem zaś zawsze wcześniej niż tego dnia i podawano mi obiad na górze.

Wchodząc teraz powiedziałem nagle: „dzień dobry, mamó”, czego nigdy przedtem nie robiłem, chociaż ze wstydlivosti nie mogłem i tym razem zmusić się do popatrzenia na nią i siadłem w przeciwległym kącie pokoju. Zmęczony byłem bardzo, ale nie myślałem o tym.

- Ten wasz nieuk nadal, tak jak i przedtem, wchodzi zawsze jak ordynus - zasyczała na mnie Tatiana Pawłowna.

Także dawniej pozwalała sobie na słowa obraźliwe i to już weszło między mną a nią w zwyczaj.

- Dzień dobry - odpowiedziała matka jakby zmieszana z powodu tego, że się przywitałem.

- Jedzenie dawno gotowe - dodała. - Nie wiem, czy tylko zupa nie wystygła, a kotlety zaraz każe...

Zaczęła spieszenie wstawać, żeby pójść do kuchni i po raz pierwszy może od miesiąca zrobiło mi się nagle wstyd, że mama zbyt skwapliwie skacze, żeby mi usługiwać mimo że dotąd sam tego wymagałem.

- Serdecznie dziękuję, mamó, jadłem już obiad, jeżeli nie przeszkodzę, odpocznę tutaj. -*'•'• i?

98

-Ach... skądże!... Cóż znowu, posiedź...

- Nie bój się mamó, już więcej nie będę ordynarny dla Andrieja Piotrowicza - wypaliłem od razu.

-Ach Boże, jakże szlachetnie z jego strony - krzyknęła Tatiana Pawłówna. - Goląbeczko Soniu, czy ty doprawdy mówisz mu ciągle przez „pan”? A cóż on za jeden, ażeby takie honory przyjmować i to jeszcze od rodzonyj matki!... Popatrz, przecież zawstydziałaś się cała z jego powodu, wstyd!

- Mnie samemu bardzo by było przyjemnie, gdybyś ty mamó mówiła mi „ty”.

-Ach... No, dobrze, no, ja będę... - zatroskała się matka. - Ja... ja przecież nie zawsze... tak... No... i od tej pory będę wiedziała...

Zaczerwieniła się cała. Stanowczo twarz jej bywała niezwykle pociągająca. Twarz ta była dobroduszna, lecz bynajmniej nie prostacka, nieco blada, małokrwista. Policzki były bardzo chude, nawet zapadnięte, a na czole zaczynały mnożyć się zmarszczki, lecz koło oczu nie było ich jeszcze, a oczy te dość duże i otwarte lśniły zawsze łagodnym i spokojnym blaskiem, który przywiązał mnie do niej od pierwszego dnia. Lubiłem również to, że w twarzy jej nie było bynajmniej czegoś specjalnie smutnego lub żalosego. Przeciwnie, wyraz jej byłby nawet wesoły, gdyby nie trwożyła się tak często, niejednokrotnie zupełnie bez powodu, lękając się i podrywając z miejsca, nieraz o nic, lub wsłuchiwała się z lękiem w czyjąś rozmowę na nowy temat, dopóki się nie przekonała, że wszystko jak dawniej jest dobrze. Dobrze dla niej było wtedy, jeśli właśnie „po dawnemu”. Byleby nic się nie zmieniło, byleby nic nowego nie zaszło, choćby nawet pomyslnego! Można było przypuszczać, że być może w dzieciństwie jakoś ją przestraszone. Oprócz oczu, podobał mi się owal jej pociągłej twarzy i, zdaje się, gdyby szczęki miała choć cokolwiek mniej szerokie, to nie tylko w młodości, lecz i teraz można by ją nazwać ładną kobietą. Obecnie nie miała więcej niż trzydzieści dziewięć lat, lecz w jej ciemno-miedzianych włosach już gęsto pokazywały się siwe nitki.

Tatiana Pawłówna spojrzała na nią ze zdecydowanym oburzeniem.

- Takiemu smarkaczowi! I tak drzeć przed nim! Śmieszna jesteś Soniu, irytujesz mnie, ot co!

- Ach, Tatiano Pawłowno, dlaczego pani z nim tak teraz!... A może pani żartuje sobie, co? - dodała matka, zauważywszy na twarzy Tatiany Pawłówny coś w rodzaju uśmiechu.

Gderania Tatiany Pawłówny doprawdy niekiedy nie można było brać na serio, lecz uśmiechnęła się (jeżeli można to nazwać uśmiechem) -

99

naturalnie tylko do matki, bo strasznie lubiła jej dobroć i niewątpliwie zauważyła, jak matka w owej minucie była szczęśliwa z powodu mojej pokory.

- Naturalnie - uznałem wreszcie za potrzebne zwrócić jej uwagę -nie mogę nie odczuć, jeśli pani sama rzuca się na ludzi, Tatiano Pawłowno i to właśnie wtedy, kiedy wszedłszy powiedziałem

„dzień dobry, mamol!” czego poprzednio nigdy nie robiłem.

- Patrzcie państwo - wybuchnęła natychmiast - on to uważa za bohaterstwo! Cóż to, może klękać trzeba przed tobą za to, że raz w życiu okazałeś się grzeczny? A czy to nawet jest grzeczność?

Dlaczego patrzysz w kąt wchodząc, alboż ja nie wiem, jak ty się do niej rzucasz i miotasz?!

Mógłbyś też i mnie powiedzieć: dzień dobry. Przecież to ja ciebie przewijałam, jestem twoją chrzestną matką!

Naturalnie nie raczyłem odpowiedzieć. Akurat w tej chwili weszła siostra i czym prędzej zwróciłem się do niej:

- Lizo, dzisiaj widziałem Wasina, pytał o ciebie. Czy znasz go?

- Tak, z Ługu, w zeszłym roku - odpowiedziała z prostotą, siadając koło mnie i popatrzywszy na mnie życzliwie.

Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że kiedy powiem o Wasinie, będzie zaskoczona.

Siostra była jasną blondynką, pod względem włosów nie poszła ani w ojca, ani w matkę, ale oczy, owal twarzy były niemal takie same jak matki; nos bardzo prosty, nieduży, regularny. Zresztą -

pewna osobliwość: małe piegi na twarzy, czego u matki zupełnie nie było. Z Wiersiłowa było w niej bardzo mało, chyba tylko cienkość w pasie, słuszny wzrost i coś tak zachwycającego wchodzie... Ze mną żadnego podobieństwa - dwa przeciwne bieguny.

- Utrzymywałam z nimi stosunki przez trzy miesiące - dodała Liza.

- Czy to o Wasinie mówisz: z nimi, Lizo? Trzeba mówić: z nim, a nie z nimi. Wybacz siostrze, że cię poprawiam, ale przykro mi, że zupełnie jak się zdaje zaniedbano twego wykształcenia.

- A zwracać na to uwagę przy matce jest nikczemnością z twojej strony! - wybuchnęła Tatiana Pawłowna. - I kłamiesz, bo wcale nie zaniedbano.

- Niczego o matce nie mówię - odpowiedziałem ostro. - Wiedz, mamol, że patrzę na Lizę, jak na drugą ciebie: zrobiłaś z niej taki sam skarb dobroci i charakteru, jakim na pewno byłaś sama i teraz jesteś, po dziś dzień, i zawsze będziesz... Mówię tylko o tym polorze zewnętrznym, o tych wszystkich światowych głupstwach, zresztą niezbędnych.

Oburzony jestem tylko na to, że Wiersiłow, gdyby usłyszał, że o Wasinie mówisz: z nimi, a nie z nim, na pewno nie poprawiłby cię zupełnie, do tego stopnia jest wyniosły i obojętny w stosunku do nas. Oto co mnie wścieka.

- Sam niedźwiadek, a innych chce oglądy uczyć! Nie waz się, mój panie, mówić przy matce

„Wiersiłow”, ani też w mojej obecności, nie ścierpię tego! - wypaliła Tatiana Pawłowna.

- Mamo, dostałem dzisiaj pensję, pięćdziesiąt rubli, proszę je wziąć, oto są! - podszedłem i podałem jej pieniądze. Zaraz się przestraszyła.

- Ach, nie mogę wziąć! - wyrzekła, jakby bojąc się dotknąć tych pieniędzy.

Nie rozumiałem.

- Zmiłuj się, mamo, jeżeli obie uważacie mnie za syna i brata w rodzinie, to...

- Ach, jestem winna wobec ciebie, Arkadiju, przyznałabym się do czegoś, ale się bardzo boję... - powiedziała to z nieśmiałym i miłym uśmiechem.

Znowu jej nie rozumiałem i przerwałem:

- A propos, czy wiesz mamo, że dziś w sądzie zdecydowała się sprawa Andrieja Piotrowicza i Sokolskich?

- Ach wiem! - wykrzyknęła, składając ze strachem dłonie (charakterystyczny jej gest).

- Dziś? - Tatiana Pawłowna drgnęła cała. - Ależ to niemożliwe, przecież by powiedział. Czy tobie coś mówił? - zwróciła się do matki.

- Ach, nie! Nie mówił, że dziś, a ja przez cały tydzień tak się boję. Choćby się i przegrało, pomodliłabym się jeszcze, byle już ta sprawa minęła i by znowu wszystko było po staremu.

- Więc i tobie mamo nie powiedział! - wykrzyknąłem. - Ot, jaki to człowiek! Oto przykład jego obojętności i wyniosłości! A co przed chwilą mówiłem?

- Wyrok? Jaki wyrok? Kto ci powiedział? - rzucała się Tatiana Pawłowna - Mówże!

- Otóż i on! Może opowie - oświadczyłem, usłyszawszy jego kroki w korytarzu i czym prędzej usiadłem koło Lizy.

- Braciszku, na miłość Boską, zlituj się nad matką i bądź cierpliwy z Andriejem Piotrowiczem - szepnęła do mnie siostra.

- Będę, będę, z tym przyszedłem - uściśnąłem jej rękę.

Liza z wielkim niedowierzaniem spojrzała na mnie i miała słusność.

II

Wszedł bardzo z siebie zadowolony. Tak zadowolony, że nie uznał za potrzebne ukrywać swego humoru. Zresztą w ostatnim czasie przywykł w naszej obecności być szczery bez najmniejszej ceremonii i to nie tylko w złym, lecz w śmiesznym, czego się przecież każdy boi; ponadto uświadamiał sobie, że zrozumiemy wszystko do ostatniego szczegółu. W ostatnim roku według spostrzeżenia Tatiany Pawłowny zaniedbał się bardzo w ubiorze. Ubrany był zawsze przyzwoicie, ale nie prosto z igły i niezbyt wykwintnie. Gotów był nosić bieliznę po dwa dni, co nawet sprawiało przykrość matce. Było to uważane przez nie za jego poświęcanie się i cała ta gromada oddanych mu kobiet widziała w tym po prostu bohaterstwo. Zawsze nosił kapelusze miękkie, czarne, o szerokich skrzydłach. Kiedy w drzwiach zdjął kapelusz, cały pukiel jego włosów bardzo gęstych, ale mocno szpakowatych stanął dęba na głowie. Lubiłem patrzeć na jego włosy, kiedy zdejmował kapelusz.

- Witajcie! Wszyscy już się zgromadzili, nawet on w tej liczbie? Słyszałem jego głos z przedpokoju. Zdaje się wymyślał mi.

Jedną z oznak jego wesołego usposobienia było to, że zaczynał żartować ze mnie. Naturalnie nie odpowiadałem. Weszła Łukieria z całą paką jakichś sprawunków i położyła je na stół.

- Zwycięstwo, Tatiano Pawłowno. W sądzie wygrałem, a ma się rozumieć książe nie zdecydują się na apelację. Wygrałem sprawę! Zaraz udało mi się pożyczyć tysiąc rubli. Sofio, odłóż robotę, nie męcz oczu. Lizo, już z pracy?

- Tak, papo - miło odpowiedziała Liza.

Nazywała go ojcem. Za nic nie chciałem się z tym pogodzić.

- Zmęczona jesteś?

- Zmęczona.

- Daj pokój pracy! Nie chodź jutro i porzuć ją zupełnie.

- Tak by mi było gorzej, tato.

- Proszę cię... Strasznie nie lubię, kiedy kobiety pracują, Tatiano Pawłowno.

- Jakże bez pracy? Jakże by kobieta mogła nie pracować?!

- Wiem, wiem, wszystko to piękne i słuszne i z góry się zgadzam, ale chodzi mi przede wszystkim o pracę ręczną. Wyobraźcie sobie, że tkwi to we mnie jako jedno z chorobliwych, czy raczej niewłaściwych wrażeń dzieciństwa. W smętnych wspomnieniach mego pięcio- sześćioletniego dzieciństwa przypominam sobie najczęściej, naturalnie z obrzydzeniem,

aeropag mądrych, poważnych i surowych kobiet dookoła okrągłego stołu, nożyce, materiał, formy i modny żurnal. Wszystkie radzą i rozprawiają z namaszczeniem i powoli, kiwając głowami,

przymierzając, obliczając i przygotowując się do krojenia. Wszystkie te łaskawe twarze, które mnie tak lubią, nagle stały się nieprzystępne; niechbym zaczął dokazywać, zaraz by mnie zabrano.

Nawet moja biedna niania, przytrzymując mnie ręką i nie odpowiadając na moje krzyki i wiercenie się zapatrzyła, zaszuchała, jak wobec rajskiego ptaka. Nawet i dziś męczy mnie wyobrażenie tej właśnie surowości i powagi mądrych twarzy przed rozpoczęciem kroju. Tatiano Pawłowno, pani bardzo lubi kroić! Choćby nie wiem jaki by to był arystokratyczny kaprys, ale wolę kobietę, która wcale nie pracuje. Nie bierz tego do siebie, Sofio... to nie do ciebie! Kobieta i bez tego ma wielką władzę. Sama to zresztą wiesz, Soniu. Jakie jest pańskie zdanie, Arkadiju Makarowiczu, na pewno zaprotestujesz?

- Nie, bynajmniej. Szczególnie trafne jest powiedzenie, że kobieta to wielka władza, chociaż nie rozumiem dlaczego pan łączy to z pracą? A że nie pracować nie można, kiedy nie ma pieniędzy, sam pan wie.

- Ale teraz wystarczy - zwrócił się do mateczki, która się aż rozpromieniła (kiedy zwracał się do mnie, cała zadrżała) - przynajmniej chociaż na początek, żebym nie musiał oglądać ręcznej pracy, proszę o to dla siebie. Ty Arkadiju, jako młodzian współczesny, na pewno jesteś nieco socjalistą. Lecz czy uwierzysz mi, przyjacielu, że najbardziej lubią nieróbstwo właśnie ci, co pochodzą spośród wiecznie pracującego ludu!

- Odpoczynek raczej, nie próżniactwo.

- Nie, właśnie próżniactwo, zupełne nieróbstwo, oto jest ideał! Znałem pewnego niezmordowanego pracownika, zresztą nie z ludu. Był człowiekiem dość rozgarniętym i można się było z nim porozumieć. Całe swoje życie, być może codziennie, marzył z rozkoszą i smakowicie o najdoskonalszym próżnowaniu, doprowadzając, że tak powiem, ideał do absolutu, do

niezależności nieskończonej, do wiecznej swobody marzenia i bezczynnej kontemplacji. Tak było ciągle, aż póki się nie załamał zupełnie w pracy. Uratować go już nie można było. Umarł w szpitalu. Czasami gotów jestem poważnie myśleć, że historie o przyjemnościach pracy wymyślili ludzie leniwi, zresztą cnotliwi. To jedna z „genewskich idei” końca zeszłego stulecia.

Tatiano Pawłowno, trzy dni temu wyciąłem z gazety ogłoszenie, oto ono (wyjął świstek z kieszeni kamizelki) - to należy do kategorii tych „wiecznych studentów”, znających języki klasyczne i matematykę, gotowych do wyjazdu, do

103

zamieszkiwania na strychu, i wszędzie. Posłuchajcie: „Nauczycielka przygotowuje do wszystkich rodzajów szkół (słyszycie, do wszystkich!) i daje lekcje arytmetyki” -jeden wiersz, ale klasyczny!

Przygotowuje do szkół, więc naturalnie i z arytmetyki? Ale nie, ona o tej arytmetyce osobno. To -

to już czysty głód, to już ostatni stopień nędzy. Wzruszająca jest tu właśnie ta niezręczność: i kto wie, czy w ogóle potrafi cegokolwiek nauczyć. Ale choć ty się utop, niesie ostatniego rubla do gazety i

ogłasza, że przygotowuje do wszystkich możliwych szkół i prócz tego daje lekcje arytmetyki. „Per tutto mundo e in altri siti”*

-Ach, Andrieju Piotrowiczu, trzeba by jej pomóc! Gdzie mieszka? - wykrzyknęła Tatiana Pawłowna.

- Ech, wielu jest takich! - wsunął adres do kieszeni. - W tym pakunku są podarunki: dla ciebie Lizo i dla pani, Tatiano Pawłowno, Sofia i ja nie lubimy słodczy. Przepraszam i dla ciebie, młody człowieku. Sam wszystko kupiłem u Jelisiejewa i u Ballego. Za długo siedzieliśmy „o głodzie” -

jak mówi Łukieria. (Nigdy nikt u nas nie siedział o głodzie.) Oto winogrona, cukierki, diuszesy i placek z poziomkami, wziąłem nawet doskonałej nalewki; orzechów także. Ciekawe, że od samego dzieciństwa do tej pory lubię orzechy i wie pani, Tatiano Pawłowno, te najzwyklejsze.

Liza we mnie poszła: ona też, jak wiewiórka, lubi orzechy chrupać. Nie ma nic

przyjemniejszego, Tatiano Pawłowno, jak czasem niechcący pomiędzy wspomnieniami z

dzieciństwa wpleść wyobrazenie siebie w lesie, w gąszczu, gdy się zrywa orzechy... Dni już prawie jesienne, ale jasne, niekiedy tak rześko... schowasz się w gęstwinię, za-brniesz w las, pachnie liśćmi... Widzę coś sympatycznego w twoim spoj -rzeniu, Arkadiju Makarowiczu?

- Pierwsze lata mojego dzieciństwa także minęły na wsi.

- Jak to, przecież zdaje się przebywałaś w Moskwie, jeśli się nie mylę.

- Był w Moskwie u Andronikowych wtedy, kiedy pan tu przyjechał, a do tego czasu zamieszkiwał u nieboszczki ciotki pańskiej, Warwary Stiepanowny, na wsi... -podchwyciła Tatiana Pawłowna.

- Sofio, oto pieniądze, schowaj. W tych dniach obiecali dać pięć tysięcy.

- To znaczy nie ma już żadnej nadziei dla książąt? - spytała Tatiana Pawłowna.

- Zupełnie żadnej, Tatiano Pawłowno.

* „Dla wszystkich i wszędzie” 104

-Zawsze panu współczułam, Andrieju Piotrowiczu i wszystkim pańskim bliskim, i byłam przyjacielem domu; ale chociaż książęta są mi obcy - mnie ich, jak Boga kocham, żal. Proszę się nie gniewać, Andrieju Piotrowiczu.

- Nie mam zamiaru dzielić się z nikim, Tatiano Pawłowno.

- Naturalnie, zna pan mój pogląd, Andrieju Piotrowiczu, oni zaniechaliby śledztwa, gdyby im pan był zaproponował udział po połowie, na samym początku. Teraz oczywiście - za późno, zresztą

- nie ośmielam się sądzić. Ja tylko dlatego, że nieboszczyk na pewno nie pominąłby ich w swoim

testamencie.

- Nie tylko nie pominął, ale na pewno im by wszystko zostawił, pominąłby zaś tylko mnie jednego, gdyby potrafił rzecz do końca doprowadzić i testament jak należy napisać, ale teraz - za mną jest prawo - i koniec. Dzielić się nie mogę i nie chcę, Tatiano Pawłowno i basta.

Wygłosił to nawet z irytacją, na co sobie rzadko pozwalał. Tatiana Pawłowna zamilkła. Matka jakoś smutnie spuściła oczy. Wiersiłow wiedział, że podziela zdanie Tatiany Pawłowny.

- „Tu wyłazi to spoliczkowanie z Ems!” - powiedziałem sam do siebie. Dokument dostarczony przez Krafta, a będący u mnie w kieszeni, miałby smutny los, gdyby mu wpadł w ręce.

Poczułem nagle, że wszystko to jeszcze jest na mojej głowie. Ta myśl w związku ze wszystkimi poprzednimi sprawami podziałała na mnie nieprzyjemnie.

- Arkadiju, życzyłbym sobie, żebyś się staranniej ubrał, mój drogi; jesteś nieźle odziany, ale ze względu na przyszłość mógłbym ci polecić pewnego dobrego Francuza, bardzo sumiennego i z gustem.

- Prosiłbym, żeby mi pan nigdy nie robił podobnych propozycji - wyrwało mi się.

- Czemuż to tak?

- Naturalnie, nie ma w tym nic poniżającego, ale wcale nie jesteśmy tak bardzo jednomyślni, przeciwnie, nawet różnimy się w poglądach; bo ja w tych dniach, nawet jutro, przestaję chodzić do księcia, ponieważ nie widzę tam dla siebie żadnego zajęcia...

- Ależ na tym właśnie, że tam chodzisz i siedzisz z nim, polega twoje zajęcie.

- To są myśli poniżające.

- Nie pojmuję, a zresztą, jeśliś taki drażliwy, to nie bierz od niego pieniędzy, tylko chodź. Okropnie go zmartwisz. On się już do ciebie przywiązał, wierz mi... Zresztą, jak chcesz...

Najwidoczniej było mu nieprzyjemnie.

105

- Mówi pan, żebym nie prosił o pieniądze, ale z pańskiej laski uczyniłem dzisiaj podłość. Pan mnie nie uprzedził i ja upomniałem się u niego o pensję za miesiąc.

- A więc już się rozporządziłeś. A ja przyznam się, myślałem, że nie poprosisz. Jacyście jednak teraz wszyscy zręczni. Nie ma obecnie młodzieży, Tatiano Pawłowno!

Okropnie się irytował, ja także bardzo się rozżłościłem.

- Musiałem porachować się z panem, to pan mnie do tego doprowadził... sam nie wiem teraz co

robić!...

- Do rzeczy, Sofio, oddaj natychmiast Arkadijowi jego sześćdziesiąt rubli... a ty, mój drogi, nie gniewaj się za skwapliwość rachunku. Zgaduję z twej twarzy, że masz w głowie jakieś przedsięwzięcie i że potrzebujesz... kapitału obrotowego... czy czegoś w tym rodzaju.

- Nie wiem, co wyraża moja twarz, ale w żadnym razie nie spodziewałem się po mamie, że opowie panu o tych pieniądzech, skoro ją tak prosiłem - spojrzałem na matkę, błyskając oczami. Nie sposób wyrazić, jak byłem dotknięty.

- Arkadiju, dziecko, przebacz na Boga... nie mogłam w żaden sposób nie powiedzieć...

- Mój drogi, nie sądź, że wyjawiała mi twoje sekrety - zwrócił się do mnie. - Przy tym miała dobre intencje, po prostu zachciało się matce pochwalić uczuciami syna. Ale uwierz mi, i bez tego byłbym odgadł, żeś ty kapitalista. Wszystkie tajemnice są wypisane na twojej uczciwej twarzy.

On ma... swoją „ideę”, Tatiano Pawłowno, mówiłem pani.

- Zostawmy moją uczciwą twarz - miotalem się dalej. - Wiem, że pan często widzi na wylot, chociaż czasami nie dalej kurzego dziobu, zawsze podziwiałem pańską przenikliwość. No tak, mam swoją „ideę”! To, że pan to tak wyraził, jest naturalnie przypadkiem, aleja się nie boję przyznać: mam „ideę”. Nie boję się i nie wstydzę.

- Najważniejsze - nie wstydzić się.

- A jednak, nigdy wam jej nie wyjawię.

- To jest, nie raczysz wyjawić. Nie trzeba mój drogi, ja i tak znam istotę twojej „idei” w każdym razie jest to: „Oddalam się na pustynię...” Tatiano Pawłowno!... Twierdzę, że on chce... zostać Rotschildem lub kimś w tym rodzaju i zamknąć się w swojej wielkości. Rozumie się, nam, wraz z panią, wspaniałomyślnie wyznaczy pensję - mnie być może nawet nie wyznaczy - ale w każdym razie, tyle go będziemy widzieć! On jest dla nas jak młody księżyc: ledwo się pokaże, już zachodzi.

106

Zadrzałem wewnątrz. Oczywiście był to przypadek, nic nie wiedział i mówił zupełnie o czym innym, jakkolwiek wspominał Rotschilda; ale jakim sposobem mógł tak prawdziwie określić moje uczucia: zerwać z nimi i oddalić się? Wszystko odgadł i z góry chciał zbrukać cynizmem tragicznym faktem. Nie było wątpliwości, że się okropnie złościł.

- Mamo, wybacz mi moje uniesienie, tym bardziej, że i tak nie można zataić nic przed Andriejem Piotrowiczem - zaśmiałem się sztucznie, starając się choć na chwilę obrócić wszystko w żart.

- Najlepsze w tym wszystkim jest to, żeś się roześmiał. Trudno wyrazić, ile tym człowiek wygrywa, nawet jeśli jest to tylko zewnętrzne. Mówię zupełnie poważnie. On zawsze tak wygląda, Tatiano Pawłowno, jakby miał na myśli coś tak ważnego, że nawet sam jest

zawstydzony tą okolicznością.

- Prosiłbym poważnie, Andrieju Piotrowiczu, by pan był bardziej powściągliwy.

- Masz rację, mój kochany; ale trzeba przecież wypowiedzieć to raz na zawsze, żeby już potem do tego wszystkiego nie wracać. Przyjechałeś do nas do Moskwy po to, by się jak najszybciej zbuntować - tyle nam dotąd wiadomo o celu twego przybycia. O tym, żeś przyjechał, aby nas czymś tam zadziwić, ma się rozumieć, nie wspominam. Dalej, cały miesiąc u nas na nas fukasz, gdy tymczasem jesteś, jak się zdaje, człowiekiem rozumnym i mógłbyś pozostawić takie fukanie tym, którzy nie mogą niczym innym zemścić się na ludziach za swą nicość. Ciągłe się zamykasz, podczas gdy twój uczciwy wygląd i różowe policzki świadczą jasno, że mógłbyś patrzeć wszystkim w oczy z całkowitą niewinnością. To hipochondryk, Tatiano Pawłowno. Nie pojmuję, czemu oni wszyscy teraz są hipochondrykami?

- Skoro pan nawet nie wiedział, gdzie dorastałem - skąd może pan wiedzieć, dlaczego człowiek jest hipochondrykiem?

- Otóż rozwiązanie: obraziłeś się, że mogłem zapomnieć, gdzie dorastałeś!

- Nie, bynajmniej, niech mi pan nie przypisuje głupstw. Mamo, Andriej Piotrowicz pochwalił mnie przed chwilą za to, że się roześmiałem; dalejże, śmiejmy się - po co tak sobie siedzieć! Jeśli chcecie, zacznę opowiadać anegdoty o sobie. Tym bardziej, że Andriej Piotrowicz nic zupełnie nie wie o moich przygodach.

Zagotowało się we mnie. Wiedziałem, że nigdy już nie będziemy tak jak teraz razem i że wyszedłszy z tego domu nigdy już doń nie powrócę, i dlatego w przeddzień tego wszystkiego nie mogłem wytrzymać. Sam sprowokował mnie do takiego finału.

107

- Będzie to naturalnie przemiłe, jeśli w samej rzeczy będzie zabawne - zauważył, wpatrując się we mnie przenikliwie. - Nabrałeś trochę grubiaństwa, przyjacielu, tam gdzie dorastałeś, a zresztą jesteś jednak jeszcze dość przyzwoity. On jest bardzo miły, Tatiano Pawłowno, i świetnie pani zrobiła, że rozwiązała na koniec ten pakunek.

Ale Tatiana Pawłowna była zachmurzona: nawet nie obejrzała się na jego słowa i dalej rozwiązywała pakunek i na podane talerzyki wykladała słodczyce. Matka siedziała nie wiedząc zupełnie o co chodzi, oczywiście rozumiała i przeczuwała, że między nami dzieje się coś niedobrego. Siostra trąciła mnie jeszcze raz w łokieć.

III

- Po prostu chcę wam opowiedzieć - zacząłem z jak najswobodniejszą miną - o tym, jak pewien ojciec po raz pierwszy spotkał się ze swym drogim synem; zdarzyło się to właśnie „tam gdzie dorastałeś”...

- Mój kochany... a nie będzie to... nudne? Wiesz: tous les genres...*

- Niech się pan nie chmurzy, Andrieju Piotrowiczu, ja zupełnie nie o tym, co pan myśli... Chcę właśnie, żeby się wszyscy śmieli.

- Bóg cię słyszy, chłopcze. Ja wiem, że ty kochasz nas wszystkich i... że nie zechcesz nam zepsuć wieczoru - mruknął z jakąś sztuczną nie-dbałością.

- Pan oczywiście także odgadł z twarzy, że pana kocham.

- Tak, częściowo z twarzy.

- No, a ja na przykład z twarzy Tatiany Pawłowny dawno odgadłem, że jest we mnie zakochana.

Niech pani na mnie nie patrzy tak wściekle, Tatiano Pawłowno, lepiej się śmiać! Lepiej się śmiać!

Nagle szybko się ku mnie obróciła i przesywała mnie wzrokiem z pół minuty.

- Uwważaj! - pogroziła mi palcem, ale tak poważnie, że to nie mogło się już odnosić do mego głupiego żartu, lecz było ostrzeżeniem dotyczącym czegoś innego: „czy przypadkiem nie zamierza już zaczynać?”

-Andrieju Piotrowiczu, czyż pan nie pamięta, jak ześmy się z panem spotkali po raz pierwszy w życiu?

- Mój Boże, zapomniałem, kochany, z głębi duszy przepraszam. Pamiętam tylko, że było to bardzo dawno i zdarzyło się gdzieś...

* wszystkie tragedie... 108

- Mamo, a ty, czy pamiętasz, jak byłaś na wsi, gdzie dorastałem, zdaje się, do szóstego, czy siódmego roku życia, co najważniejsze: czy byłaś istotnie kiedykolwiek w tej wsi, czy tak mi się we śnie majaczy, że pierwszy raz cię tam zobaczyłem? Dawno już chciałem się o to spytać, ale zwlekałem, teraz nadszedł czas.

- Jakże, Arkadiju, a jakże! Tak, gościłam tam u Warwary Stiepanowny trzy razy: pierwszy raz przyjechałam, kiedyś miał wszystkiego roczek; drugi raz, kiedy ci już czwarty roczek szedł; a potem, kiedy ci już sześć latek minęło.

- Ach, a ja cię cały miesiąc chciałem o to spytać. Matka aż oblała się pąsem od gwałtownego

przyływu wspomnień i z uczuciem spytała mnie.

- Więc naprawdę, Arkadiuszku, tyś mnie jeszcze tam zapamiętał?

- Nic nie pamiętam i nie wiem, tylko coś z twej twarzy zostało mi w sercu na całe życie, a prócz tego pozostała świadomość, że jesteś moją matką. Całą tę wieś widzę teraz jak we śnie i nawet swej niańki zapomniałem. Tę Warwarę Stiepanownę zapamiętałem odrobinę dlatego tylko, że wiecznie miała podwiązane zęby. Pamiętam jeszcze koło domu ogromne drzewa, lipy zdaje się, potem... ostre niekiedy światło słońca w otwartych oknach, grządkę z kwiatami, drózkę... a ciebie mam pamiętam wyraźnie tylko w jednym mgnieniu, kiedy mnie w tamtejszej cerkwi dopuścili do komunii i tyś mnie podniosła, żebym przyjął Najświętszy Sakrament i pocałował

kielich. Było to w lecie i gołąb przeleciał na przestrzał, pod kopułą z okna w okno...

- Boże, to właśnie tak było - klasnęła rękami matka. - I gołąbka tego pamiętam jak dziś! Tyś przed kielichem szarpnął się i krzyczysz: „gołąbek, gołąbek!”

- Twoja twarz lub coś z niej, jej wyraz, tak mi pozostał w pamięci, że pięć lat później w Moskwie od razu cię poznałem, chociaż mi nikt wtedy nie powiedział, że jesteś moją matką. A kiedy się spotkałem po raz pierwszy z Andriejem Piotrowiczem, to mnie odebrano od Andronikowych. U nich aż do tego spotkania spokojnie i wesoło spędziłem całe pięć lat. Pamiętam każdy szczegół

ich rządowego mieszkania i wszystkie te panie i panny, które tu teraz wszystkie tak się postarzały, i dom pełen ludzi, i samego Andronikowa, jak on całą prowizję, drób, ryby i prosięta sam z miasta w węzełkach przywoził, i za stołem zamiast żony, która ciągle kaprysiła, zupę nam rozlewał, i zawsześmy całym stołem z tego się śmieli, a on pierwszy. Tam panie nauczyły mnie po francusku, ale najlepiej lubiłem bajki Kryłowa i nauczyłem się ich mnóstwo na pamięć, i co-109

dziennie deklamowałem jedną bajkę Andronikowowi, wchodząc wprost do jego maleńkiego gabinetu, czy był zajęty czy nie. Ale przecież z powodu bajki także zapoznałem się z panem, Andrieju Piotrowiczu. Widzę, że zaczyna pan sobie przypominać.

- Coś przypominam sobie, mój drogi, mianowicie, tyś mi coś wtedy opowiedział... bajkę, czy fragment „Mądremu biada” zdaje się? Jakąż ty masz jednak pamięć!

- Pamięć? Jakże by nie! To jedno właśnie zapamiętałem na całe życie.

- Dobrze, dobrze mój drogi, zaciekawiasz mnie nawet. - Uśmiechnął się i zaraz naśladując go zaczęły uśmiechać się matka i siostra. Zaufanie powracało; ale Tatiana Pawłowna, rozstawiwszy na stole prezenty, usiadła w kącie i nie przestawała przeszywać mnie złym spojrzeniem.

- Tak się stało - ciągnąłem - że nagle pewnego pięknego ranka zjawiała się po mnie przyjaciółka mego dzieciństwa, Tatiana Pawłowna, która zawsze zjawiała się w moim życiu nieoczekiwanie, jak w teatrze; i powieźli mnie w karecie i zawieźli do pewnego pańskiego domu, do wspaniałego mieszkania. Pan zatrzymał się wtedy u Fanariotowowej, Andrieju Piotrowiczu, w jej pustym domu, który ona kiedyś od pana kupiła. Ona sama była wtedy za granicą. Ciągle jeszcze nosiłem kurteczki.

Tu nagle ubrano mnie w śliczny niebieski surducik i we wspaniałą bieliznę. Tatiana Pawłowna krzątała się koło mnie cały ten dzień i nakupowała mi wiele rzeczy, ja zaś wciąż chodziłem po wszystkich pustych pokojach i przeglądałem się we wszystkich lustrach. W taki to sposób, drugiego ranka, o godzinie dziesiątej, błędząc po mieszkaniu, zaszedłem nagle niechcący do pana do gabinetu. Już w przeddzień widziałem pana, kiedy mnie tylko co przywieźli, ale tylko przelotem, na schodach. Pan schodził ze schodów, aby wsiąść do karety i gdzieś jechać. Do Moskwy przybył pan wtedy sam, po bardzo długiej nieobecności i na krótki czas, tak że wszędzie pana rozchwytywali, i prawie pan nie mieszkał w domu. Spotkawszy nas z Tatianą Pawłowna pan powiedział tylko przeciągle: - „Aaa!”. I nawet się nie zatrzymał.

- Ze szczególnym zamiłowaniem wdaje się w opisy - zauważył Wiersiłow, obracając się ku Tatianie Pawłownie. Ta odwróciła się i nie odpowiedziała.

- Jak dziś widzę pana z owych czasów, kwitnącego i pięknego. Zdziwiająco zdążył pan się zestarzeć i zbrzydnąć przez te dziewięć lat, niech pan wybaczy tę otwartość. Zresztą i wtedy miał pan już trzydzieści siedem lat, ale ja na pana aż się zapatrzyłam; i jakież pan miał

zdziwiający włosy. Prawie zupełnie czarne. Z połyskiem. Bez najmniejszej siwizny.

110

Wąsy i baki wykonane jak przez jubilera - inaczej nie umiem określić. Twarz matowa, blada, nie tak chorobliwie blada, jak teraz, ale taka jaką teraz ma córka pana, Anna Andriejewna, którą miałem honor widzieć niedawno, gorejące i ciemne oczy i błyszczące zęby, szczególnie kiedy się pan śmiał. Pan się właśnie roześmiał przyjrząwszy mi się, gdym wszedł, mało co umiałem wtedy rozróżnić, od tego pańskiego uśmiechu tylko mi się serce rozradowało. Był pan tego ranka w ciemnoniebieskiej aksamitnej pidżamie, w szaliku na szyi koloru solferino, we wspaniałej koszuli z koronkami z AJengon.

Stał pan przed lustrem z zeszytem w ręku i opracowywał deklamując ostatni monolog Czackiego, a zwłaszcza ostatni krzyk:

„Karetę mi, karetę!”

- Ach, mój Boże - wykrzyknął Wiersiłow - on mówi prawdę! Zabrałem się wtedy, mimo krótkiego pobytu w Moskwie, podczas choroby Żylejko, do zagrania Czackiego na scenie domowej u Aleksandry Piotrowny Witowtowej!

- Czyżby pan zapomniał? - zaśmiała się Tatiana Pawłowna.

- On mi przypomniał! I, przyznaję, tamte kilka dni w Moskwie, były być może najlepszą chwilą całego mojego życia. Byliśmy wtedy wszyscy jeszcze tak młodzi!... i wszyscyśmy tak gorąco oczekiwali... Wtedy w Moskwie niespodziewanie spotkałem tyle... Ale, mów dalej mój drogi, bardzo dobrze zrobiłeś tym razem, żeś tak szczegółowo przypomniał...

- Stałem, patrzyłem na pana i nagle krzyknąłem: „Ach, jak doskonale, prawdziwy Czacki!”

- Pan nagle odwrócił się ku mnie i pyta: „Alboż ty znasz już Czackiego? - i siadł pan na kanapie, zabierając się do picia kawy w doskonałym humorze - że tylko ucałować. Wtedy opowiedziałem panu, że u Andronikowych wszyscy dużo czytają, a panny umieją wiele wierszy na pamięć i że rozgrywają między sobą sceny z „Mądremu biada” i że cały zeszły tydzień wszyscy czytawali wieczorami na głos: „Zapiski myśliwego” i że najlepiej lubię bajki Kryłowa i umiem na pamięć.

Pan wtedy kazał mi powiedzieć coś z pamięci i ja powiedziałem „Rozgarniętą narzeczoną”.

„Panienka na wydaniu myślała o kawalerze...”

- Właśnie, no właśnie, teraz przypominam sobie wszystko - krzyknął znowu Wiersiłow. - Ale mój drogi, ja sobie i ciebie wyraźnie przypominam, byłeś wtedy takim małym chłopczykiem, zręcznym chłopcem nawet i przysięgam ci, tyś również stracił przez te dziesięć lat.

111

W tym miejscu już wszyscy, nawet Tatiana Pawłowna, roześmieli się. Było jasne, że Andriej Piotrowicz raczył żartować i tą samą monetą „odpłacić” mi za moją uszczypliwą uwagę o tym, że się zestarzał. Wszyscy ożywili się. Powiedziane też to było świetnie.

- W miarę jak deklamowałem, pan się uśmiechał, ale i do połowy nie doszedłem, gdy pan zatrzymał mnie, zadzwonił, a wchodzącemu słudze kazał poprosić Tatianę Pawłownę, która natychmiast nadbiegła, z tak wesołą miną, że ja, mimo że ją widziałem w przeddzień, nieomal nie poznałem. Przy Tatianie Pawłownie zacząłem znowu „Narzeczoną-pannę” i zakończyłem doskonale, aż Tatiana Pawłowna uśmiechnęła się, a pan, Andrieju Piotrowiczu, pan krzyknął

„brawo!” i zauważył z zapalem, gorąco, że gdybym mówił „Konika polnego i mrówkę”, nic by jeszcze dziwnego nie było, że rozgarnięty chłopiec w moim wieku wypowie to inteligentnie, ale że tak trudną bajkę!...

„Panna na wydaniu myślała o konkurencie.

Nie ma w tym jeszcze grzechu.”

„Niech pani posłucha tylko, jak on wymawia: nie ma w tym jeszcze grzechu!...” Jednym słowem był pan zachwycony. Wtedy nagle zaczął pan mówić z Tatianą po francusku, a ona zaraz zachmurzyła się i zaczęła się spierać z panem, nawet się bardzo uniosła, ale ponieważ nie można sprzeciwić się Andriejowi Piotrowiczowi, jeśli ten raptem czegoś zapragnie, więc Tatiana Pawłowna odprowadziła mnie pośpiesznie do siebie. Tam znowu umyła mi twarz, ręce, zmieniono bieliznę, wypomadowano, nawet ufryzowano mi włosy. Potem pod wieczór Tatiana Pawłowna wystroiła się wspaniale, tak nawet jakem się nie spodziewał i powiozła mnie z sobą karetą.

Dostałem się po raz pierwszy w życiu do teatru na amatorskie przedstawienie u Witowtowej.

Świece, kandelabry, damy, wojskowi, generałowie, panny, kurtyna, rzędy foteli - niczego podobnego do tej pory nie widziałem. Tatiana Pawłowna zajęła skromniutkie miejsce w jednym z tylnych rzędów, a mnie posadziła obok. Były rozumie się i dzieci, jak ja, ale już na nic nie patrzyłem, tylko

czekałem z zamartwionym sercem na przedstawienie. Kiedy pan wyszedł, Andrieju Piotrowiczu, byłem zachwycony do łez -dlaczego, czemu - sam nie rozumiem. Po co te łzy zachwyty? Przez całe te dziewięć lat było mi dziko, gdy przypomiąłem to sobie. Z zapartym oddechem śledziłem tę komedię. Zrozumiałem z niej naturalnie to tylko, że ona go zdradziła, że śmieją się z niego ludzie głupi i nie warci palca u jego nogi. Kiedy deklamował na balu -

rozumiałem, że jest poniżony i obrażony, że obwinia tych wszystkich nędznych ludzi, lecz że jest wielki, wielki! Naturalnie, że przygotowanie u Andronikowa sprzyjało rozumieniu, ale i pańska 112

gra, Andrzeju Piotrowiczu! Po raz pierwszy widziałem tę scenę! Na koniec zaś, gdy Czacki krzyknął „karetę mi, karetę!” (a krzyknął pan zadziwiająco), porwałem się z krzesła i wraz z całą salą, która zagrzmiała oklaskami, uderzyłem w ręce krzycząc z całej siły „brawo!”. Doskonale pamiętam, jak dziś, jak szpilka wbiło się we mnie z tyłu „poniżej krzyża” rozwścieczone uszczypnięcie Tatiany Pawłowny, ale nie zwróciłem na to uwagi.

Naturalnie natychmiast po „Mądrym biada” Tatiana Pawłowna zabrała mnie do domu: „Nie zostaniesz przecież na tańcach, przez ciebie tylko i ja nie mogę zostać” - syczała mi pani w ucho, Tatiano Pawłow-no, przez całą drogę w karecie. Całą noc byłem w malignie, a na drugi dzień o godzinie dziesiątej stałem już przed gabinetem, ale gabinet był zamknięty. Siedzieli u pana jacyś ludzie, a pan zajmował się z nimi interesami. Potem nagle wyjechał pan na cały dzień, aż do późnej nocy -nie zobaczyłem pana! Co takiego chciałem wtedy panu powiedzieć -już zapomniałem. I wtedy nie wiedziałem, ale gorąco pragnąłem zobaczyć pana, jak można najprędzej. A nazajutrz rankiem, już o ósmej -pan raczył udać się do Sierpuchowa. Pan wtedy tylko co sprzedał swoją tuską posiadłość, żeby spłacić dłużników, ale w każdym razie zostawał w pańskich rękach apetyczny kąsek - oto dlaczego się pan wtedy pofatygował do Moskwy, do której nie mógł pan do tego czasu zajrzeć, bojąc się dłużników. I oto jeden tylko, ten sierpuchowski gbur, jedyny ze wszystkich dłużników nie zgadzał się wziąć połowy długu, zamiast całego. Tatiana Pawłowna na moje pytania nawet nie odpowiadała. „Nic ci do tego, a pojutrze odwiozę cię do pensjonatu, przygotuj się, weź swoje zeszyty, doprowadź książki do porządku i przyzwyczajaj się sam pakować kuferek, nie ty będziesz rósł na paniczyka, mój panie”... a to to, a to tamto, bębniła mi pani przez te trzy dni, Tatiano Pawłowno!

Skończyło się na tym, że do pensjonatu Tuszara odwieziono mnie, Andrieju Piotrowiczu, zakochanego w panu. I niech nawet to całe spotkanie będzie najbłahszym przypadkiem, lecz czy pan wierzy, że pół roku potem chciałem od Tuszara uciekać do pana!

- Prześlizgniesz to opowiedział i wszystko mi tak żywo przypomniał -z naciskiem powiedział

Wiersiłow. -Ale głównie uderza mnie w twoim opowiadaniu bogactwo niektórych dziwnych drobiazgów - o moich długach na przykład. Nie mówiąc już o pewnej niestosowności takich szczegółów, nie pojmuję nawet, jak żeś ty się o nich mógł dowiedzieć?

- Szczegóły? Jakem się dowiedział? Powtarzam przecież, że tym tylko zajmowałem się, że zbierałem wszystkie szczegóły o panu przez całe te dziewięć lat.

- Dziwne wyznanie i dziwne spędzanie czasu! Poruszył się, pólleżąc w fotelu i nawet lekko ziewnął
- umyślnie, czy nie, nie wiem.
- Cóż, ciągnąć mam dalej o tym, jak chciałem uciekać do pana od Tuszara?
- Niech mu pan zabroni, Andrieju Piotrowiczu, niech go pan poskromi i wypędzi precz! - skoczyła Tatiana Pawłowna.
- Nie można, Tatiano Pawłowno - z naciskiem odpowiedział Wiersiłow - Arkadij najwidoczniej coś sobie umyślił i należy koniecznie pozwolić mu skończyć. No, niech tam! Opowie i zrzuci z serca ciężar, dla niego to najważniejsze właśnie, żeby zrzucić ciężar z serca. Zaczynaj mój drogi, swoją nową historię, to jest ja tylko mówię: nową, nie bój się
- znam jej koniec.

IV

- Uciekałem, to jest chciałem do pana uciekać zupełnie zwyczajnie. Tatiano Pawłowno, czy pamięta pani, jak w dwa tygodnie po moim zainstalowaniu Tuszar napisał do pani list - nie? A mnie potem ten list pokazywała Maria Iwanowna, także znalazł się w papierach nieboszczyka Andronikowa. Tuszar rychło spostrzegł się, że wziął za mało pieniędzy: „z godnością”

zakomunikował pani w swoim liście, że w jego zakładzie wychowują się książęta i dzieci senatorskie, i że uważa za poniżające dla swego zakładu trzymać wychowanka o takim pochodzeniu, jak ja, jeśli nie otrzyma dodatku.

-Mon cher*, mógłbyś...

- Oh, nie, nie... - przerwałem - jeszcze tylko trochę o Tuszarze. Pani, Tatiano Pawłowno, odpowiedziała mi już z powiatu, po dwóch tygodniach i ostro odmówiła. Przypominam sobie, kiedy on cały pąsowy wszedł wtedy do naszego pokoju lekcyjnego. Był to malutki i bardzo pulchniutki Francuzik, lat czterdziestu pięciu, i faktycznie pochodzenia paryskiego, naturalnie z szewców, ale już od niepamiętnych czasów urzędujący w Moskwie, na państwowej posadzie, jako wykładowca języka francuskiego, mający nawet tytuły, którymi nadzwyczaj się chlubił

- człowiek wybitnie nieokrzesany. A nas wychowanków było u niego wszystkiego sześciu: pośród nich istotnie jakiś krewniak senatora z Moskwy mój drogi

i wszyscy mieszkaliśmy u niego zupełnie w warunkach rodziny, pod dozorem jego żony, bardzo zmanierowanej damy, córki jakiegoś rosyjskiego urzędnika.

114

Przez te dwa tygodnie ogromnie pyszniłem się przed swymi towarzyszami; szczyliłem się niebieskim surducikiem i tatusiem moim, Andrie-jem Płotrowiczem, a ich pytania, dlaczegoż to jestem Dołgorukij, a nie Wiersiłow, zupełnie mnie nie przejmowały, ponieważ sam nie wiedziałem, czemu tak jest.

- Andrieju Piotrowiczu - krzyknęła Tatiana Pawłowna groźnym głosem. Natomiast mamusia bezustannie obserwowала mnie i widocznie pragnęła, żebym ciągnął dalej.

- Ten Tuszar... istotnie przypominam sobie teraz, że był taki maleńki i ruchliwy - wycedził

Wiersiłow. - Ale mi go wtedy rekomendowano z najlepszej strony.

- Ten Tuszar wszedł z listem w rękę, podszedł do naszego dużego dębowego stołu, za którym cała szóstka coś tam wkuwała, silnie schwycił mnie za ramię, podniósł z krzesła, kazał zabrać ze sobą zeszyty.

- Twoje miejsce nie tutaj, lecz tam - wskazał mi maleńki pokoik na lewo z przedpokoju, gdzie stał

zwyczajny stół, plecione krzesło i ceratowa kanapa - kropla w kroplę jak teraz u mnie na górze, w facjatce. Przeszedłem zdziwiony i bardzo przelękły. Nigdy jeszcze nie obchodzono się ze mną brutalnie. Po półgodzinie, kiedy Tuszar wyszedł z pokoju lekcyjnego, zacząłem zerkać do towarzyszy i wymieniać z nimi uśmieszki; oni naturalnie śmiali się ze mnie, a ja się tego nie domyślałem i sądziłem, że śmiejemy się, bo nam wesoło. Wtedy akurat wpadł Tuszar, schwyił

mnie za czuprynę i dalejże ciągnąć.

- Nie waż się siadać z dziećmi szlacheckimi! Jesteś niskiego pochodzenia, to samo co lokaj!

I boleśnie uderzył mnie w mój pulchny, rumiany policzek. Zaraz mu

się to spodobało i uderzył mnie po raz drugi i trzeci. Zanosilem się od

płaczu, byłem okropnie zdziwiony. Cały czas siedziałem, zakrywając się

rękami i płakałem, płakałem. Zaszło coś takiego, czego ani rusz nie

mogłem zrozumieć. Nie pojmuję, jak mógł człowiek przecież nie zły,

obcokrajowiec i nawet tak się cieszący z oswobodzenia włościan, jak

Tuszar - bić takie głupie dziecko jak ja. Zresztą, byłem tylko zdziwiony,

a nie obrażony. Nie umiałem się jeszcze obrażać. Wydawało mi się, że

coś spsociłem; ale kiedy się poprawię, to mi przebaczą i znowu wszyscy

będziemy weseli, pójdziemy bawić się na podwórze i będziemy żyć, jak

najlepiej

115

- Mój drogi, gdybym był tylko wiedział... - rzeki przeciągle Wiersilow z nonszalanckim uśmieszkiem człowieka cokolwiek znużonego. - Jakiż to jednak niegodziwiec ten Tuszar!

Zresztą ja nie tracę jeszcze ciągle nadziei, że jakoś zbierzesz siły i wszystko nam na koniec przebacysz i znów będziemy żyli jak najlepiej.

W sposób widoczny ziewnął.

- Ja przecież nie obwiniam, zupełnie nie. Wiercie, nie skarżę się na Tuszara! - krzyknąłem nieco zbity z tropu. - I bił mnie on przez jakieś dwa miesiące. Pamiętam, że ciągle chciałem go czymś rozbroić, rzucałem się całować jego ręce i całowałem je, i ciągle płakałem, płakałem!... Koledzy śmiali się ze mnie, pogardzali mną, ponieważ Tuszar zaczął niekiedy wzywać mnie jako posługacza, kazał podawać sobie ubranie, kiedy się ubierał. Wtedy moje lokajstwo przydało mi się.

Instynktownie starałem się ze wszystkich sił dogodzić, nigdy się nie obrażałem, ponieważ nic jeszcze nie rozumiałem i dotąd się sobie dziwię, że byłem wtedy taki głupi, iż nie mogłem pojąć, że nie jestem im wszystkim równy. Prawda, koledzy już mi wtedy wiele wyjaśnili: szkoła była dobra. Tuszar w końcu wolał raczej kopać mnie z tyłu kolanem, niż bić po twarzy, a po upływie pół roku nawet zaczął mnie niekiedy pieścić, jednak przynajmniej raz w miesiącu na pewno łoł mi skórę, dla przypomnienia, żebym się nie zapominał. Wkrótce też posadzono mnie znów razem z dziećmi i pozwalano się bawić, ale ani razu przez całe dwa i pół roku Tuszar nie zapomniał różnicy w naszym socjalnym położeniu i choć już mniej, ale stale wzywał mnie do posług. Myślę, że właśnie po to, by mi przypomnieć.

Uciekałem zaś, to jest chciałem uciec już w pięć miesięcy po tych pierwszych dwóch miesiącach.

W ogóle przez całe życie ciężko mi przychodziło podejmowanie decyzji. Kiedy kładłem się do łóżka i nakrywałem kołdrą, zaraz zaczynałem marzyć o panu, Andrieju Piotrowiczu, tylko o panu, nie wiem zupełnie dlaczego tak się działo. Pan mi się nawet we śnie pojawiał. Co najważniejsze ciągle gorąco marzyłem, że pan wejdzie nagle, ja rzucę się do pana i pan wyprowadzi mnie z tego miejsca, i wywiezie do siebie, do tego gabinetu i znowu pójdziemy do teatru, no i temu podobne.

Najważniejsze, że nie rozstaniemy się - oto co było najważniejsze! Ale kiedy rano przychodziło się obudzić, zaczynało się znowu wyśmiewanie i pogarda chłopców. Jeden z nich wprost zaczął mnie bić i zmuszał podawać obuwie; lżył mnie najobrzydliwszymi wyrazami, specjalnie starając się wyjaśnić moje pochodzenie, ku uciesze wszystkich słuchaczy. Kiedy wreszcie pojawiał się sam Tuszar, zaczynało mi się w duszy dziać coś nieznośnego. Czulem, że mi tu nigdy nie przebaczą - o, zacząłem już po troszeczkę rozumieć, czego

116

mianowicie nie przebaczą i czym mianowicie zawiniłem! I o to w końcu postanowiłem uciekać.

Marzyłem o tym przez całe dwa miesiące, na koniec zdecydowałem się. Był wtedy wrzesień.

Odczekałem, kiedy wszyscy koledzy rozjechali się z soboty na niedzielę, a ja tymczasem po kryjomu starannie związałem sobie węzełek najpotrzebniejszych rzeczy; miałem zaoszczędzone dwa ruble. Chciałem poczekać, aż zapadnie zmierzch: zejdę wtedy po schodach i wyjdę, a potem pójdę... Dokąd? Wiedziałem, że Andronikowa przeniesiono już do Petersburga i zdecydowałem, że odszukam dom Fanariotowej przy Arbacie. „Noc przechodzę lub przesiedzę na podwórzu domu, a rano wypytam kogoś, gdzie jest teraz Andriej Piotrowicz; a jeśli nie w Moskwie, to w jakim mieście, bądź państwie? Na pewno powiedzą. Odejdę, a potem w innym miejscu kogoś spytam: na które rogatki trzeba iść do takiego, a takiego miasta? No i wyjdę, i pójdę, pójdę... ciągle będę iść; nocować będę gdziekolwiek, pod krzakami; a jeść będę tylko chleb, a chleba za dwa ruble wystarczy mi na bardzo długo”. W sobotę jednak ani rusz nie udało się uciec. Trzeba było czekać następnego dnia. I jakby naumyślnie Tuszar z żoną gdzieś w niedzielę wyjechali; zostałem w całym domu ja i Agafia. Czekałem nocy z okropną niecierpliwością, pamiętam: siedziałem w naszej klasie pod oknem i patrzyłem na zakurzoną ulicę z drewnianymi domkami, i na rzadkich o tej porze przechodniów.

Tuszar mieszkał na krańcach miasta i z okna widać było rogatki: czy to nie te? -roiłem sobie.

Słońce zachodziło takie czerwone, niebo było takie zimne i wiatr ostry, kropla w kroplę, jak dzisiaj, podnosił piasek. Ściemniło się nareszcie zupełnie; stanąłem przed obrazem i zacząłem się modlić, tylko szybko, szybko - spieszyłem się, chwyciłem węzełek i na palcach zszedłem ze skrzypiących schodów, strasznie się bojąc, aby mnie nie usłyszała z kuchni Agafia. Drzwi były zamknięte na klucz: otworzyłem i nagle - ciemniuteńka noc zaczerniała przede mną, jakby nieskończona, niebezpieczna, niewiadoma otchłań; a wiatr zerwał mi z głowy czapkę. Wyszedłem. Po tamtej stronie trotuaru rozległ się zachrypły, pijacki ryk wymyślającego przechodnia. Postąłem, popatrzyłem, po cichu wróciłem, wszedłem na górę, cicho rozebrałem się, rozpakowałem węzełek i położyłem się na wznak, bez łez i bez myśli. I oto od tej chwili zacząłem myśleć! Tak, Andrieju Piotrowiczu, od tej chwili, kiedy uświadomiłem sobie, że prócz tego, że jestem lokajem, jestem na dodatek tchórzem - rozpoczął się mój rzeczywisty, prawidłowy rozwój!

-A oto, od tej właśnie chwili, teraz ciebie raz na zawsze rozgryzłam! -skoczyła nagle z miejsca Tatiana Pawłowna; i tak nawet nieoczekiwanie, że zupełnie nie byłem na to przygotowany. - Ale mało tego, że byłeś wtedy lokajem, teraz nim jesteś, duszę masz lokajską!

117

A cóż by szkodziło Andriejowi Piotrowiczowi oddać cię na naukę do szewca? Dobrodziejstwo by ci wyświadczył, gdyby cię rzemiosła wyuczył. Któżby od niego więcej dla ciebie prosił, lub żądał?

Ojciec twój Makar Iwanowicz nie to, że prosił, ale niemal żądał, aby was, jego dzieci, nie wyprowadzać ze sfer niższych. Nie, ty nie cenisz tego, że on ciebie doprowadził do uniwersytetu, że dzięki niemu uzyskałeś wszelkie prawa. Widzicie go, chłopcy mu dokuczali, więc przysiągł zemstę ludzkości... Bydlę jesteś!

Przyznaję, byłem zaskoczony tą napaścią. Wstałem i przez pewien czas patrzyłem nie wiedząc co powiedzieć.

- A rzeczywiście. Tatiana Pawłowna powiedziała mi nową rzecz - zwróciłem się w końcu stanowczo do Wiersiłowa. - Przecież istotnie jestem na tyle lokajem, że zupełnie nie mogę zadowolić się tym tylko, że Wiersiłow nie oddał mnie na szewca. Nawet „prawa” nie ułagodziły mnie, a dajcie mi, proszę państwa, całego Wiersiłowa, dajcie mi ojca!... Oto czego zażądałem!

No i czyż nie jestem lokajem? Mamo, mam na sumieniu już od ośmiu lat to, jak cię przyjąłem, kiedy przysłaś do mnie sama do Tuszara odwiedzić mnie, ale teraz nie ma czasu mówić o tym, Tatiana Pawłowna nie pozwoli opowiedzieć. Do jutra, mam, być może z tobą jeszcze się zobaczę. Tatiano Pawłowno! No i cóż, jeśli znów do tego stopnia jestem lokajem, że nie mogę w żaden sposób przypuścić nawet, aby mając jedną żonę żywą, można było się po raz drugi żenić?

A przecież omal się to nie stało w Ems, z Andriejem Piotrowiczem! Mamo, jeśli nie chcesz pozostawać z mężem, który choćby jutro gotów żenić się z inną, to przypomnij sobie, że masz syna, który przyrzeka sobie na wieki być dobrym synem; przypomnij sobie i pójdziemy, ale tylko z tym, że „albo on, albo ja!...” Chcesz? Ja nie proszę o odpowiedź zaraz: wiem, że na takie pytania nie można dać odpowiedzi natychmiast...

Ale nie mogłem dokończyć, po pierwsze dlatego, że rozgorączkowałem się i zgubiłem wątek.

Matka cała zbladła i jakby jej głos odjęło, nie mogła ani słowa wymówić.

Tatiana Pawłowna mówiła coś bardzo głośno i dużo, tak, że nie mogłem zrozumieć i dwa razy uderzyła mnie pięścią po ramieniu. Zapamiętałem tylko, że wykrzyknęła, iż moje słowa są

„podsunięte przez kogoś, wyhodowane w duszy marnej i wysane z palca”. Wiersiłow siedział

nieruchomy i poważny, nie uśmiechał się. Ostatnie spojrzenie, które mi towarzyszyło przy wyjściu z pokoju było to spojrzenie siostry, z wyrzutem kiwała za mną głową.

118

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Opisuję te sceny, nie oszczędzając siebie, żeby wszystko wyraźnie przypomnieć i zrekonstruować wrażenie. Wszedłszy do siebie na górę, nie wiedziałem zupełnie, czy powinienem się wstydzić, czy triumfować; jako ten, który wykonał swoją powinność. Gdybym był choć odrobinę bardziej doświadczony, domyśliłbym się, że najmniejszą wątpliwość w takiej sprawie należy traktować jako zły znak. Ale zbijała mnie z tropu inna okoliczność: nie wiem, dlaczego byłem zadowolony, ale byłem ogromnie rad. Mimo że domyśliłem się i jasno uświadomiłem sobie, że tam na dole ściałem się. Nawet to, że Tatiana Pawłowna z taką złością nawymyślała mi, śmieszyło mnie tylko i bawiło, a bynajmniej nie irytowało. Prawdopodobnie wszystko dlatego, że bądź co bądź zerwałem kajdany i po raz pierwszy czułem się swobodny.

Czułem też, że popsułem swoją sytuację: miałem jeszcze więcej wątpliwości, jak mam postąpić z listem w sprawie spadku. Teraz niewątpliwie przyjmą to jako chęć zemsty na Wiersiowie. Ale jeszcze na dole planowałem sobie w czasie tych wszystkich debat, żeby sprawę listu, dotyczącego spadku, poddać pod osąd osoby trzeciej i zwrócić się jako do sędziego do Wasina; a jeżeli się nie uda do Wasina, to do pewnej innej osoby, już wiedziałem do kogo. Raz jeden tylko pójdę do Wasina, myślałem sobie, a potem, potem zniknę dla wszystkich na długo, na wiele miesięcy, a szczególnie zniknę dla Wasina. Tylko z matką i siostrą, być może, będę się z rzadka widywał.

Wszystko to nie było w porządku, czułem, że coś zrobiłem, ale nie tak, jak trzeba i - byłem zadowolony; powtarzam, mimo wszystko byłem z czegoś rad.

Planowałem sobie położyć się wcześniej spać, przewidując nazajutrz dużo chodzenia. Oprócz wynajmu mieszkania i przeprowadzki, powziąłem pewne postanowienie, które zamierzałem zrealizować tak czy inaczej. Ale nie udało się zakończyć wieczoru bez niespodzianek i Wiersiłow bądź co bądź potrafił mnie jeszcze zadziwić. Na moje poddasze absolutnie nigdy nie wchodził i nagle, nie spędziłem jeszcze godziny u siebie, kiedy usłyszałem jego kroki na schodach: zawołał, żebym mu poświecił. Wyniosłem świecę i wyciągnąwszy w dół rękę, którą schwycił, pomogłem mu wspiąć się na górę.

- Merci*, kochany, ani razu jeszcze się tu nie wgramoliłem, nawet kiedy wynajmowałem mieszkanie.

Przeczuwałem coś podobnego, ale jednak nie przypuszczałem, że to taka nora... -

Staął na środku mej kajutki z ciekawością rozglądając się dookoła. - Ależ to trumna, istna trumna!

Rzeczywiście było pewne podobieństwo z wnętrzem trumny i zdumiałem się, jak trafnie od pierwszego słowa to określił. Komórka była wąska i długa; na wysokości mojego ramienia ściana stykała się z dachem, do najwyższego punktu którego mogłem sięgnąć dłonią. Wiersiłow w pierwszej chwili instynktownie zgarbił się, bojąc się zaczepić głową o sufit. Jednakże nie zaczepił i ostatecznie dość spokojnie usiadł na otomanie, na której była już posłana pościel. Co do mnie, nie siadałem i patrzyłem na niego z największym zdumieniem.

- Matka powiada, że nie wiedziała, czy brać od ciebie pieniądze, które niedawno zaproponowałeś jej za miesiąc utrzymania. Z takiej trumny nie tylko nie należy brać, lecz przeciwnie, powinniśmy ci dopłacić! Nigdy tutaj nie byłem i... nie mogę sobie wyobrazić, żeby tu można było mieszkać.

- Przywykłem. Ale nie mogę przywyknąć, że po tym wszystkim, co zaszło na dole, widzę pana u siebie.

- O, tak, zachowałeś się wybitnie ordynarnie na dole, ale... ja też mam swoje specjalne cele, które ci wyjaśnię, choć zresztą w moim przyjsciu nie ma nic nadzwyczajnego, nawet to co zaszło na dole, to wszystko jest w normalnym porządku rzeczy; ale wytłumacz mi, na Chrystusa: tam na dole, to co opowiadałeś i do czego nas tak uroczyście przygotowałeś, czyżby to było wszystko, z czego chciałeś się zwierzyć i zakomunikować, i nic więcej nie miałeś do powiedzenia?

- Wszystko. To znaczy, przypuścmy, że wszystko.

- To niewiele, mój drogi. Przyznam ci się, że sądząc z twego zagajenia i z tego, jak żeś nas zapraszał, żebyśmy się śmieli, jednym słowem widząc, jak ci się chciało opowiadać -

oczekiwałem czegoś więcej.

* Dziękuję 120

- A czy panu nie wszystko jedno?

- Ale ja właściwie ze względu na poczucie miary. Nie było to warte tyle hałasu i umiar został naruszony. Cały miesiąc milczałeś, przygotowywałeś się i raptem - nic!

- Chciałem długo opowiadać, ale wstydzę się, że nawet to opowiedziałem. Nie wszystko da się wyrazić słowami, czegoś innego lepiej w ogóle nie opowiadać! Dostatecznie dużo przekazałem, a pan przecież nie zrozumiał.

- A! Więc ty także nieraz cierpisz, że myśli nie da się przyoblec w słowa! To jest szlachetne cierpienie i dane jest tylko wybranym. Głupiec zawsze jest zadowolony z tego, co powiedział, a przy tym zawsze powie więcej niż trzeba.

- Jak ja na przykład na dole; więcej powiedziałem niż trzeba: zażądałem „całego Wiersiłowa”, a to jest o wiele więcej niż trzeba; Wiersiłowa wcale nie potrzebuję.

- Mój drogi, widzę, że chcesz nadrobić to, co przegrałeś na dole. Widocznie pokajałeś się, a pokajając się, znaczy u nas natychmiast znów rzucić się na kogoś, więc nie chcesz po raz drugi chybić. Przyszedłem wcześniej i tyś jeszcze nie ostygł, a przy tym z trudnością znosisz krytykę.

Ale siadaj, na miłość Boską, przyszedłem ci coś zakomunikować; dziękuję, ot tak; z tego, co wychodząc powiedziałeś matce na dole, aż nazbyt jasno wynika, że w każdym razie lepiej by było dla nas rozstać się. Przyszedłem, aby cię skłonić, żebyś zrobił to możliwie delikatnie i bez skandalu, żeby jeszcze bardziej nie wystraszyć i nie sprawić przykrości twej matce. Nawet to, że tutaj przyszedłem, już ją ośmieliło: ona tak jakoś wierzy, że nam się uda pogodzić i że wszystko będzie po staremu. Myślę, że gdybyśmy tutaj z tobą teraz raz, czy dwa razy głośniej się roześmieli, to byśmy sprawili ogromną radość ich lękliwym sercom. To nic, że są to serca proste, ale kochające głęboko i szczerze - dlaczego przy okazji nie pocieszyć ich? A więc, to pierwszy punkt. Drugi: czy musimy koniecznie rozstawać się dysząc rządzą zemsty, ze zgrzytaniem zębów, z przysięgami itd.? Niewątpliwie, nie musimy wieszać się sobie na szyję, ale można rozstać się, że tak powiem, poważając się wzajemnie, nieprawdaż?

- To wszystko bzdury! Obiecuję, że wyjdę bez wywoływania skandalu i dosyć! To pan tak ze względu na matkę zadaje sobie tyle trudu? A mnie się wydaje, że spokój matki jest tu rzeczą zupełnie obojętną i pan tylko tak mówi.

- Nie wierzysz?

121

- Pan ze mną rozmawia jak z dzieckiem!

- Mój drogi, gotów jestem tysiąc razy prosić cię o przebaczenie za to wszystko, coś mi wyliczył, za te wszystkie lata twego dzieciństwa i tak dalej, ale cher enfant*, co z tego wyniknie? Masz tyle rozumu, że sam nie zechcesz znaleźć się w takim głupim położeniu. Nie mówiąc o tym, że nawet w tej chwili nie rozumiem zupełnie charakteru twoich zarzutów: o co właściwie tak naprawdę mnie obwiniasz? O to, że nie urodziłeś się Wiersiłowem, czyż nie? Ba, śmiejesz się pogardliwie i machasz rękami, znaczy - nie?

- Proszę mi wierzyć, że nie. Proszę wierzyć, żaden to dla mnie honor, żeby się nazywać Wiersiłow.

- Zostawmy na razie honor; przy tym twoja odpowiedź powinna być niewątpliwie demokratyczna.

Ale jeśli tak, to o cóż mnie właściwie oskarżasz?

- Tatiana Pawłowna przed chwilą powiedziała wszystko, czego powinienem był się dowiedzieć i czego bez niej nie mogłem zrozumieć: to mianowicie, że przecież nie oddał mnie pan na szewca, a zatem powinienem był być wdzięczny. Nie mogę zrozumieć, dlaczego jestem niewdzięczny i teraz nawet, kiedy mnie już pouczone. Czyż to nie pańska dumna krew przemawia, Andrieju Piotrowiczu?

- Prawdopodobnie nie. A oprócz tego, zgódź się, że wszystkie twoje wyskoki na dole, zamiast trafić we mnie, jak zamierzałeś, tyranizowały i raniły ją jedynie, twoją matkę. Tymczasem, wydaje mi się, nie do ciebie należy sądzenie jej. I w ogóle na czym polega jej wina wobec ciebie? Wyjaśnij mi też, a propos, mój drogi: dlaczego i w jakim celu rozpowiadałeś i w szkole, i w gimnazjum, i przez całe swoje życie, i nawet pierwszemu lepszemu, kogo spotkałeś, o ile słyszałem - o swoim nieprawym urodzeniu? Słyszałem, że robiłeś to ze specjalną ochotą. A tymczasem to wszystko brednie i nędzna obmowa: jesteś prawnie urodzony Dołgo-rukij, syn Makara Iwanycza Dołgorukowa, człowieka szanowanego; o wybitnych cechach umysłu i

charakteru. Jeżeli otrzymałeś wyższe wykształcenie, to rzeczywiście dzięki twemu byłemu dziadkowi Włers-siłowowi, ale co z tego wynika? Co ważniejsze, opowiadając o swym nieprawym urodzeniu, co samo przez się już jest obmową, tym samym obnażałeś tajemnicę twojej matki i z fałszywej dumy matkę swoją ciągnąłeś na sąd przed pierwszym lepszym napotkanym brudem. Mój drogi chłopcze, to bardzo nieszlachetnie, tym więcej, że twoja matka osobiście zupełnie nie jest winna, to jest bardzo czysty charakter; a jeżeli nie jest Wiersiłowową, to jedynie dlatego, że do tej pory jest zamężna.

122

Dosyć! Zupełnie się z panem zgadzam! I na tyle wierzę w pański rozum, że jestem pewny, iż pan przestanie mnie strofować. Pan tak lubi umiar, a tymczasem we wszystkim trzeba zachować miarę, nawet w pańskiej nagłej miłości do mojej matki. Lepiej ot co: skoro pan zdecydował się przyjść do mnie i przesiedzieć u mnie kwadrans, czy pół godziny (dotąd jeszcze nie wiem, po co; no, przypuśćmy, że dla uspokojenia matki) i prócz tego tak chętnie ze mną rozmawia, mimo tego, co zaszło na dole, to raczej proszę mi opowiedzieć o tym Makarze Iwanyczu, pielgrzymie.

Chciałbym właśnie usłyszeć od pana o nim. Już dawno zamierzałem pana o to zapytać.

Rozstając się, być może na długo, chciałbym bardzo od pana otrzymać też odpowiedź na pytanie: czy przez te całe dwadzieścia lat nie mógł pan podziałać na przesady mojej matki, a obecnie także i siostry tak, żeby swoim cywilizującym wpływem rozwiać pierwotny urok otaczającego ją środowiska? O, ja nie mówię o jej czystości! Ona i tak zawsze stała nieskończenie wyżej pod względem moralnym od pana, proszę mi wybaczyć, ale... to jest tylko nieskończenie wyższy nieboszczyk. Żyje jedynie Wiersiłow, a wszystko inne wokół niego i wszystko z nim związane, wegetuje pod tym nieodzownym warunkiem, żeby mieć honor karmić go swoimi siłami, swymi sokami życiowymi. Ale przecież i ona kiedyś była żywa? Przecież pan coś w niej pokochał? Przecież i ona była kiedyś kobietą?!

- Mój drogi, jeśli tak bardzo chcesz - nigdy nie była - odpowiedział mi, zbacząc od razu do ówczesnej, pierwotnej swojej maniery w stosunku do mnie, tak dla mnie pamiętnej i która mnie tak złościła; to znaczy na pozór wydawał się być najszczerzą prostotą, a przypatrzeć się -

wszystko było tylko najgłębszą drwiną; tak, że niejednokrotnie zupełnie nie mogłem odgadnąć jego oblicza. - Nigdy nie była! Rosjanka nigdy nie bywa kobietą!

- A Polka lub Francuzka bywa? Albo Włoszka, namiętna Włoszka, oto, co może pociągnąć

cywilizowanego Rosjanina z wyższej sfery w rodzaju Wiersiowa?

- No, no, czy mogłem oczekiwać, że spotkam się ze słowianofilem? - roześmiał się Wiersiów.

Przypominam sobie słowo w słowo jego opowieść: zaczął mówić bardzo nawet chętnie i z widocznym zadowoleniem. Było dla mnie nazbyt jasne, że przyszedł do mnie nie na pogawędkę i zupełnie nie po to, żeby uspokoić matkę, lecz na pewno mając na widoku inne cele.

- Te całe nasze dwadzieścia lat z twoją matką - zaczął swoją pogawędkę w dużym stopniu sztucznie i nienaturalnie - przeżyliśmy milcząc i wszystko, co między nami zaszło, stało się w milczeniu. Główną cechą charakterystyczną całego dwudziestolecia naszego związku było milczenie. Myślę, że nawet ani razu nie pokłóciliśmy się. Prawda, że często odłączałem się i zostawiałem ją samą, ale kończyło się tym, że zawsze wracałem. Nous revenons toujours... * I to już jest taka zasadnicza cecha mężczyzn; bierze się to u nich ze wspaniałomyślności. Gdyby sprawa małżeństwa zależała tylko od kobiet, żadne małżeństwo nie utrzymałoby się. Spokój, wstrzeźliwość w słowie, pokora, a przy tym stanowczość i siła, prawdziwa siła - oto charakter twojej matki. Weź pod uwagę, że to jest najlepsza ze wszystkich kobiet w świecie, jakie spotkałem. A że jest w niej siła, mogę to zaświadczyć. Widziałem przecież, jak ta siła żywiła ją. Tam, gdzie sprawa dotyczy, nie powiem że przekonam, nie może tu być słusznych przekonań, ale tego, co oni uważają za przekonania, a zatem według nich za świętość, tam po prostu gotowi są choćby na męki. No, a sam możesz osądzić: czy wyglądam na dręczyciela? Oto dlaczego wolałem niemal wszystko przemilczeć, a nie tylko dlatego, że to łatwiej - i przyznam się, nie żałuję tego. W ten sposób wszystko potoczyło się liberalnie i humanitarnie tak, że sobie nawet nie przypisuję żadnej zasługi. Dodam nawiasem, że z pewnych względów podejrzewam, iż nigdy nie wierzyła w moją humanitarność: dlatego zawsze lękała się, ale drżąc nie poddała się wpływowi żadnej kultury. Oni potrafią żyć nadal po swojemu w najbardziej nienaturalnych dla siebie sytuacjach i w najbardziej nie swoich sytuacjach pozostawać zawsze sobą. My tak nie potrafimy.

- Kto to są ci oni? Ja pana nie bardzo rozumiem.

- Lud, mój drogi. Mówię o ludzkiej, który wykazał tę wielką żywotną siłę i historyczną wielkość zarówno pod względem moralnym jak i politycznym. Ale powracając do naszego tematu

zauważę, jeśli chodzi o twoją matkę, że przecież nie zawsze milczy. Twoja matka czasami coś powie, ale powie tak, że od razu można zorientować się, że tylko się czas traciło mówiąc, chociaż przez pięć lat stopniowo się ją przygotowywało. Przy tym kontrargumenty najbardziej nieoczekiwane.

* Stara miłość...

124

Zauważ jednak, że bynajmniej nie nazywam jej głupią; przeciwnie, w tym jest pewnego rodzaju rozum: a nawet bardzo godny uwagi rozum. Zresztą być może w rozum nie uwierzysz...

- Dlaczego nie? Ja tylko w to nie wierzę, że pan sam wierzy rzeczywiście w jej rozum, a nie udaje.

- Tak? Ty mnie uważasz za takiego kameleona? Mój drogi, ja ci nieco za dużo pozwalam... jak rozpieszczonemu synowi. Ale niech zresztą tak będzie.

- Proszę mi opowiedzieć o moim ojcu, jeśli pan może, najprawdziwszą prawdę.

- O Makarze Iwanowiczu? Makar Iwanowicz, to, jak ty już wiesz, sługa dworski, który, że tak

powiem, zapragnął pewnego rodzaju sławy...

- Założyłbym się, że w tej chwili pan mu czegoś zazdrości!

- Przeciwnie, mój drogi, przeciwnie, jeśli chcesz, to bardzo rad jestem, że widzę cię w takim niezwykłym usposobieniu. Przysięgam, że właśnie teraz jestem w nastroju przepełnionym skruchą i właśnie teraz w tej chwili po raz tysięczny może żałuję wszystkiego, co się stało dwadzieścia lat temu. Przy tym Bóg widzi, że to wszystko stało się w dużym stopniu niechcący... No, a potem, o ile to było w mojej możliwości - także humanitarnie, przynajmniej tak, jak wówczas sobie wyobrażałem czyn humanitarny. O, my wówczas wszyscy pałaliśmy żądzą czynienia dobra, służenia obywatelskim celom, wyższym ideom; potępialiśmy tytuły, nasze dziedziczne prawa, wsie i nawet lombardy, przynajmniej niektórzy z nas... Przysięgam ci.

Było nas niewielu, ale mówiliśmy pięknie i zapewniam cię, nawet postępowaliśmy czasem pięknie.

- Czy wtedy, kiedy to pan płakał oparty na ramieniu?

- Mój drogi, z góry zgadzam się z tobą na wszystko. Co prawda o tym ramieniu słyszałeś ode mnie, a zatem w tej chwili wyzyskujesz na moją niekorzyść moją szczerłość i zaufanie; ale zgódź się, że ta historia z ramieniem nie była tak naprawdę brzydka, jak się na pierwszy rzut oka wydaje, szczególnie w owej epoce; przecież wówczas myśmy dopiero rozpoczynali. Ja naturalnie grałem komedię, ale przecież wtedy nie wiedziałem, że udaję. Czy ty naprawdę nigdy nie grasz komedii w realnych sytuacjach?

- Przed chwilą na dole nieco się roztkliwiłem i gdy wszedłem tutaj, zrobiło mi się wstyd na myśl, że pan sobie wyobrazi, że udawałem. To prawda: w niektórych wypadkach, chociaż odczuwa się szczerze, mimo to jednocześnie robi się przedstawienie; przysięgam, że teraz na dole wszystko było szczerze.

125

-Właśnie tak jest; bardzo trafnie określiłeś to jednym słowem: „choć odczuwa się szczerze, to jednak gra się komedię”. Otóż tak samo było ze mną: chociaż udawałem, ale płakałem zupełnie szczerze. Nie przeczę, że Makar Iwanowicz, gdyby był bardziej złośliwy, mógłby to wziąć za spotęgowanie drwin, ale uczciwość jego przeszkadzała wówczas przenikliwości. Nie wiem tylko, czy on mnie wówczas żałował, czy nie, pamiętam, że bardzo tego chciałem.

- Wie pan - przerwałem mu - teraz też mówiąc to pan sobie kpi. I w ogóle, cały czas, kiedy rozmawialiśmy, przez cały ten miesiąc pan drwił sobie. Dlaczego pan to zawsze robił, gdy pan ze mną rozmawiał?

- Tak myślisz? - odpowiedział łagodnie. - Za bardzo jesteś podejrzliwy, zresztą, jeżeli ja i żartuję sobie, to nie z ciebie, albo przynajmniej nie tylko z ciebie, bądź pewny. Ale teraz nie drwię, a wówczas... jednym słowem zrobiłem wówczas wszystko, co mogłem i, wierz mi, nie na swoją korzyść. My, piękni ludzie, w przeciwieństwie do ludu, nie umieliśmy zupełnie wtedy działać na swoją korzyść: przeciwnie, zawsześmy sobie bruździli, ile tylko można, a podejrzewam, że to było u

nas wówczas uważane za jakąś „korzyść wyższą dla nas samych”, naturalnie w wyższym tego słowa znaczeniu. Obecne pokolenie ludzi przodujących jest o wiele bardziej zaborcze niż my. Wówczas, jeszcze przed grzechem, wszystko objaśniłem Makarowi Iwanowiczowi z

niezwykłą prostotą. Zgadza się obecnie, że wielu z tych rzeczy nie należało zupełnie wyjaśniać w ogóle, a tym mniej z taką szczerością: nie mówiąc już o humanitaryzmie, byłoby to nawet grzecznie, ale niech no ktoś spróbuje powstrzymać się, kiedy roztańczywszy się zechce zrobić piękne pas? A może rzeczywiście takie są wymagania piękna i wzniosłości; przez całe moje życie nie mogłem tego rozstrzygnąć. Zresztą, to jest zbyt głęboki temat dla naszej powierzchownej rozmowy, ale przysięgam ci, że obecnie, wspominając to czasami, konam ze wstydu. Zaproponowałem mu wówczas trzy tysiące rubli i pamiętam, że on ciągle milczał, a ja tylko mówiłem. Wyobraź sobie, wydało mi się, że on się mnie boi, to jest boi się mego prawa pańszczyźnianego, i pamiętam, że wszystkimi siłami starałem się ośmielić, namawiałem go, aby niczego się nie lękając wypowiedział wszystkie swe żądania i nawet z wszelkimi uwagami krytycznymi. Jako gwarancję dawałem mu słowo, że jeśli zechce przyjąć moje warunki, to ma trzy tysiące, uwolnienie z pańszczyzny (dla niego i żony rozumie się) i zezwolenie na podróż we wszystkie cztery strony świata (bez żony, rozumie się) - a jak nie, to niech powie po prostu, i zaraz dam mu wolność, oddam mu żonę, nagrodzę ich oboje, zdaje się tymi samymi trzema tysiącami i już nie oni ode mnie odejdą w cztery światy strony, ale ja sam odejdę

od nich na trzy lata do Wioch sam, samiuteńki. Mon ami*, nie wziąłbym ze sobą do Wioch mademoiselle** Sapożkowówny, bądź przekonany, byłem niezwykle czysty w owe chwile. I cóż, ten Makar doskonale rozumiał, że tak bym zrobił, jak mówiłem, lecz milczał w dalszym ciągu i dopiero, kiedy po raz trzeci chciałem do niego przystąpić, odsunął się, machnął ręką i wyszedł

dosyć bezceremonialnie. Zapewniam cię, to nawet mnie wtedy zdziwiło. Wówczas przelotnie zobaczyłem siebie w lustrze; nie mogę tego zapomnieć. W ogóle najgorzej jest, kiedy oni nic nie mówią. A to był charakter mrukliwy i przyznaję się, nie tylko nie dowierzałem mu, wzywając go do gabinetu, ale nawet bardzo się obawiałem: w tym środowisku bywają, nawet i to bardzo często, charaktery, które, że tak powiem, są syntezą wszelkiej nieprzyzwoitości, a tego można obawiać się więcej niż bicia. I jak ja ryzykowałem, jak ryzykowałem! No cóż, gdyby rozkrzyczał się na całe podwórko, zawył, ten prowincjonalny Uriasz, cóżby było wtedy ze mną, z taką małą imitacją Dawida i co ja bym wówczas mógł zrobić? Oto dlaczego powiedziałem przede wszystkim o tych trzech tysiącach, to było instynktowne; ale na szczęście omyliłem się: ten Makar Iwanowicz był

jakimś zupełnie czymś innym...

- Niech pan powie, czy grzech już był? Pan powiedział przed chwilą, że wezwał męża jeszcze przed grzechem?

- To znaczy... widzisz, jak by to rozumieć...

- To znaczy, że był. Pan powiedział przed chwilą, że pan się co do Makara omylił, że to było coś zupełnie innego. Co więc innego?

- Co mianowicie nie wiem dotąd, ale coś innego i, wiesz, nawet bardzo przyzwoitego; wnioskuje z tego, że pod koniec zrobiło mi się w jego obecności trzy razy lepiej na sumieniu. Zaraz nazajutrz

zgodził się na podróż, rozumie się bez słowa, nie zapominając przy tym ani o jednej z zaproponowanych mu przeze mnie nagród.

- Pieniądze wziął?

- Jeszcze jak! I wiesz, mój drogi, w tym punkcie nawet mnie bardzo zdziwił. Trzech tysięcy wtedy naturalnie w kieszeni nie miałem, ale wyjąłem siedemset rubli i wręczyłem mu na początek. I cóż? Zażądał ode mnie pozostałych dwóch tysięcy trzysta w formie pisemnego rewersu, dla pewności na nazwisko pewnego kupca. Dwa lata potem, na podstawie tego pisma zażądał ode mnie pieniędzy już przez sąd i z procentami, tak, że mnie znowu zadziwił; tym bardziej, że dosłownie poszedł zbierać na budowę świątyni bożej i od tego czasu już dwadzieścia lat pielgrzymuje. Nie rozumiem, po co pielgrzymowi tyle własnych pieniędzy... Pieniądze, taka doczesna rzecz... Naturalnie w owej chwili ofiarowałem je jeszcze szczerze i, że tak powiem, z pierwszego odruchu, ale potem, po przejściu tak wielu chwil mogłem rzeczywiście rozmyślić się... i liczyłem na to przynajmniej, że mnie oszczędzi... albo, że tak powiem, oszczędzi nas: mnie z nią, że przynajmniej poczeka... Ale jednakże nie poczekał.

(Zrobię tu niezbędną uwagę: gdyby się zdarzyło, że matka przeżyła pana Wiersiłowa, to pozostałaby zupełnie bez grosza na stare lata, gdyby nie te trzy tysiące Makara Iwanowicza, podwojone ponadto przez odsetki, a które w zeszłym roku testamentem zapisał jej w całości co do jednego rubla. On przeczuł, kim jest Wiersiłow, jeszcze w owym czasie.)

- Pan mówił pewnego razu, że Makar Iwanowicz przychodził do was niejednokrotnie na dłuższy pobyt i zawsze zatrzymywał się w mieszkaniu mamusi?

- Tak, mój drogi; przyznaję, że początkowo strasznie się bałem tych odwiedzin. Przez ten cały okres, przez dwadzieścia lat przychodził wszystkiego sześć, czy siedem razy i początkowo, jeśli byłem w domu - ukrywałem się. Nie rozumiałem nawet na początku, co to znaczy, po co przychodzi, ale potem po pewnych oznakach wydało mi się, że bynajmniej nie było to tak głupie z jego strony. Później postanowiłem zainteresować się tym i wyszedłem popatrzeć na niego; i zapewniam cię, że odniosłem niezwykle oryginalne wrażenie. To były już trzecie, czy czwarte jego odwiedziny w tej mianowicie epoce, kiedy miałem zostać rozjemcą w sądzie ziemskim i kiedy naturalnie wszelkimi siłami starałem się poznać Rosję. Usłyszałem od niego nawet bardzo dużo nowego. Prócz tego znalazłem w nim właśnie to, czego się zupełnie nie spodziewałem: jakąś pogodę ducha, równość usposobienia i co najdziwniejsze - niemalże wesołość.

Najmniejszego napomknięcia o tym (tu comprends?*) i umiejętność sensownego mówienia w wysokim stopniu, i świetnego mówienia, to znaczy bez ich głupiej fornalskiej głębokomyślności

- której, przyznam ci się, nie znoszę, mimo całego mego demokratyzmu, i bez przesadnej rosyjskości, którą się popisują u nas w powieściach i na scenie „prawdziwi Rosjanie”. Przy tym niezwykle mało o religii, jeżeli tylko nie zaczynało się mówić o klasztorach i klasztornym życiu, jeżeli kogoś to interesowało. A co najważniejsze, godność, ta skromna godność, ta właśnie godność, która jest niezbędna dla wyższej równości i więcej, bez której moim zdaniem nie można nawet osiągnąć doskonałości. Tu właśnie, przez brak najmniejszej nawet

pyszałkowatości osiąga się wyższy stopień przyzwoitości i ukazuje się człowiek niewątpliwie

szanujący siebie właśnie w swoim położeniu, jakiegokolwiek by ono nie było! Jakakolwiek byłaby jego dola. Ta umiejętność szanowania siebie właśnie w swej sytuacji jest niezwykle rzadka na świecie, przynajmniej tak rzadka, jak i rzeczywista godność własna... Sam się o tym przekonasz, jak pożyjesz. Ale ponad wszystko zdumiało mnie potem, i właśnie potem, a nie na początku -

dodał Wiersiłow - to, że ten Makar jest niezwykle okazałym mężczyzną i, zapewniam cię, niezwykle przystojnym. Prawda, że stary, ale: „smagły, wysoki i prosty”, prostoduszny i poważny. Nawet zdziwiłem się, jak moja biedna Sofia mogła wtedy wybrać mnie; miał wtedy pięćdziesiąt lat, ale zawsze był takim zuchem, a ja w porównaniu z nim takim wiercipiętą.

Zresztą pamiętam, że i wtedy był już siwy, zatem już jako taki siwy z nią się ożenił... Być może to miało wpływ.

Ten Wiersiłow objawiał nieraz podłą manierę, należącą niby do dobrego tonu: powiedziawszy (kiedy nie można było inaczej) kilka bardzo mądrych i pięknych rzeczy, kończył naraz umyślnie jakimś głupstwem, w rodzaju tego domysłu co do siwizny Makara Iwanowicza i jej wpływu na matkę. Robił to umyślnie i prawdopodobnie sam nie wiedział po co. Był to skutek głupiego światowego przyzwyczajenia. Jeśli się go słuchało - wydaje się, że mówi bardzo poważnie, a w gruncie rzeczy błaznuje i kpi.

Nie rozumiem, dlaczego wtedy nagle wpadłem w straszną złość. W ogóle z wielkim

niezadowoleniem wspominam moje niektóre wypadki; wstałem nagle z krzesła:

- Wie pan - powiedziałem - pan mówi, że przyszedł przede wszystkim po to, żeby matka pomyślała, żeśmy się pogodzili. Dostyc już czasu przeszło, żeby sobie to pomyślała, czy nie zechciałby mnie pan zostawić samego?

Zaczerwienił się z lekka i wstał.

- Mój kochany, zupełnie się ze mną nie ceregielisz, zresztą, do widzenia, przemocą nie sprawia się przyjemności. Pozwolę sobie tylko na jedno pytanie: czy rzeczywiście chcesz opuścić księcia?

129

-Aha! Wiedziałem, że pan ma jakieś specjalne zamiary...

- To znaczy podejrzewasz, że przyszedłem namawiać cię, żebyś pozostał u księcia, mając na widoku jakieś swoje korzyści. A może sądzisz, mój kochany, że sprowadziłem cię z Moskwy mając na celu jakąś swoją korzyść? Och, jakiś ty podejrzliwy! } a przeciwnie, pragnę dla ciebie właśnie samego dobra. I nawet teraz właśnie, kiedy się tak poprawiły moje finanse, pragnąłbym, żebyś choć czasami pozwalał mi z matką pomagać ci.

- Nie lubię pana, panie Wiersiłow.

-I nawet „Wiersiłow”. Ja bardzo ubolewam, że nie mogłem przekazać ci tego nazwiska, bo w rzeczywistości na tym tylko polega cała moja wina; jeśli już istnieje wina, nieprawdaż? Ale przecież

nie mogłem ożenić się z zamężną, sam osądz!

- Oto dlaczego prawdopodobnie chciał się pan ożenić z niezamężną. Lekki skurcz przeszedł mu przez twarz.

- To aluzja do Ems. Słuchaj Arkadiju, na dole pozwoliłeś sobie na taki sam wyskok, wytykając mnie palcem przy matce. Wiedz, że w tym właśnie spudłowałeś. Z historii z nieboszczką Lidią Achmakową zupełnie nic ci nie jest wiadome. Nie wiesz nawet, w jakim stopniu w sprawie tej brała udział twoja matka, właśnie tak, mimo że jej tam ze mną nie było; i jeśli kiedykolwiek widziałem dobrą kobietę, to wówczas, patrząc na twoją matkę. Ale dosyć! To wszystko jest na razie tajemnicą - a ty, ty mówisz nie wiadomo co i z cudzego podpuszczenia.

- Książę właśnie dzisiaj mówił, że pan jest amatorem nieopierzonych dziewczynek.

- To książę mówił!

- Tak; niech pan posłucha, ja panu powiem dokładnie, po co pan do mnie teraz przyszedł. Przez ten cały czas siedziałem i zapytywałem się, na czym polega sekret tej wizyty i na koniec, zdaje się, odgadłem.

Miał już wychodzić, ale zatrzymał się i zwrócił ku mnie głowę w oczekiwaniu.

- Niedawno wygadałem się mimochodem, że list Tuszara do Tatiany Pawłowny, który zawieruszył się między papierami Andronikowa, zna lażł się po jego śmierci w Moskwie u Marii Iwanowny.

Zauważyłem, jak panu coś drgnęło w twarzy i teraz dopiero domyśliłem się, kiedy przed chwilą raz jeszcze znowu tak samo coś drgnęło panu w twarzy. Wtedy na dole przyszło panu na myśl, że jeśli jeden list Andronikowa już zna lażł się u Marii Iwanowny, to dlaczegoż nie miałby się znaleźć także inny? A po Andronikowie mogły pozostać bardzo ważne pisma, co?

Nieprawdaż?

. . . .

130

- A ja przychodząc do ciebie chciałem sprawić, żebyś się z czymś wygadał!?

- Sam pan wie.

Bardzo zbladł. fit

- Tyś się tego sam nie domyślił; tu jest wpływ kobiety, ileż nienawiści w twoich słowach, w twoim brutalnym domyśle!

- Kobiety? A ja tę kobietę akurat dziś widziałem! A może pan właśnie chce po to mnie zostawić u

księcia, żebym ją szpiegował?

- Widzę jednak, że bardzo daleko zajdziesz na swojej nowej drodze, czy to czasem nie ta twoja

„idea”? Kontynuuj mój drogi, masz niewątpliwe zdolności śledcze. Masz talent, więc trzeba go doskonalić.

Zatrzymał się, by odetchnąć.

- Wiersiłow, niech się pan strzeże, niech mnie pan nie robi swoim wrogiem.

- Mój drogi, nawet w takich wypadkach nikt swoich ostatnich myśli nie wypowiada, lecz zachowuje dla siebie. A poza tym... proszę cię, poświęć mi. Chociaż jesteś moim wrogiem, lecz zapewne nie do tego stopnia, żeby mi życzyć skręcenia karku. Tiens, mon ami*, wyobraź sobie -

mówił dalej schodząc - że przecież ja przez ten cały miesiąc miałem ciebie za poczciwca. Tak pragniesz żyć, tak pożądasz życia, że, jak się zdaje, gdyby ci dać trzy życia, nawet tego ci będzie za mało: masz to wypisane na twarzy. No, a tacy są ponoć po większej części dobrzy. I oto jak się omyliłem!

-

Nie potrafię wyrazić, jak mi się serce ścisnęło, kiedy zostałem sam: jak gdybym odciął żywcem kawałek własnego ciała! Dlaczego tak nagle roziościłem się i dlaczego tak go obraziłem - tak mocno i naumyślnie. Nie potrafię tego powiedzieć, ani teraz, ani wtedy. I jakże on zbladł! I cóż: ta bladość była być może wyrazem najszczerzego i najczystszej uczucia, najgłębszego bólu, a nie złości, czy urazy. Zawsze mi się wydawało, że bywały chwile, kiedy mnie bardzo kochał.

Dlaczegoż, dlaczegoż nie mam wierzyć w to teraz, tym bardziej, że tak dużo rzeczy zupełnie się wyjaśniło?

A rozzłościłem się nagle i wygnałem go rzeczywiście, może wskutek nagłego domysłu, że przyszedł do mnie z nadzieją dowiedzenia się, czy u Marii Iwanowny nie pozostały jeszcze jakieś listy Andronikowa? Że on musi szukać tych listów i że ich szuka - o tym wiedziałem. Ale kto wie, może wtedy właśnie, w owej chwili, popełniłem wielką omyłkę! I kto wie, może właśnie tą samą omyłką wprowadziłem go w rezultacie na myśl o Marii Iwanownie i możliwości znajdowania się u niej listów? I na koniec, dziwna rzecz: on znowu powtarzał słowo w słowo moją myśl (o trzech życiach), którą niedawno wypowiedziałem Kraftowi, co najważniejsze, dosłownie. Zbieżność słów jest znowu przypadkiem, ale jakże on zna istotę mojej natury; jaka przenikliwość, jakie wycucie!

Ale jeśli tak jedno rozumie, dlaczego zupełnie nie rozumie czego innego? I czy nie grał komedii, czy rzeczywiście nie był w stanie domysleć się, że mnie nie Wiersiłowowskie szlachectwo było potrzebne, nie urodzenia mego nie mogę mu przebaczyć, lecz że mi przez całe życie potrzeba było Wiersiłowa, samego Wiersiłowa, całego, człowieka, ojca, i że ta myśl weszła mi już w krew? I czyż taki subtelny człowiek był na tyle tępy i gruboskórny? A jeżeli nie, to dlaczego mnie tak złości, dlaczego udaje?!

i

R

ankiem postarałem się wstać jak najwcześniej. Zwykle wstawano u nas około ósmej, to znaczy: ja, matka i siostra, Wiersiłow wylegiwał się do wpół do dziesiątej. Punktualnie o wpół do dziewiątej matka przynosiła mi kawę. Ale tym razem nie doczekawszy się kawy uciekłem z domu punktualnie o ósmej. Jeszcze wieczorem ułożyłem ogólny plan działania. W tym planie, mimo całego namiętnego zdecydowania, by natychmiast przystąpić do wypełnienia, czułem już, że było za dużo niepewności i nieokreślenia w najważniejszych punktach. Oto dlaczego przez całą niemal noc byłem pogrążony jak gdyby w półśnie, w malignie, miałem bardzo dużo snów i niemal ani razu nie zasnąłem jak należy. Mimo to wstałem może żwawszy i rzeźwiejszy niż kiedykolwiek. Szczególnie z matką nie chciałem się spotkać. Nie mogłem zacząć z nią rozmowy innej, niż na wiadomy temat i bałem się, żeby nie odciągnąć siebie od powziętych zamiarów przez jakieś nowe, nieoczekiwane wrażenia.

Ranek był chłodny i wszędzie leżała wilgotna, mlecznobiała mgła. Nie wiem dlaczego, ale wczesny petersburski ranek dnia pracy, mimo swego brzydkiego wyglądu, zawsze mi się podoba i cały ten spieszący się do swoich spraw, egoistyczny i zawsze zamyślony tłum, ma dla mnie o ósmej rano coś szczególnie pociągającego. Zwłaszcza lubię idąc, gdy się spieszę, zapytać kogoś o coś, albo odpowiadać, jeśli mnie ktoś o coś zapyta: i pytania, i odpowiedzi zawsze są krótkie, jasne, z sensem, zadawane są bez zatrzymywania się i niemal zawsze uprzejme, a gotowość do odpowiedzi największa z całego dnia. Mieszkaniec Petersburga w południe lub pod wieczór staje się mniej rozmowny i o byle co gotów nawymyślać lub wyśmiać; zupełnie inaczej wczesnym rankiem przed pracą, w najtrzeźwiejszej i najpoważniejszej porze. Zaobserwowałem to. :”

133

Znowu udałem się na Petersburską. Ponieważ około dwunastej musiałem koniecznie być z powrotem u Wasina na Fontance (najłatwiej można go było zastać w domu o dwunastej), więc pędziłem, nie zatrzymując się, mimo silnej chętki wypicia kawy. Przy tym koniecznie też było trzeba zastać w domu fefima Zwieriewa. Znowu szedłem do niego i o mało nie spóźniłem się; dopijał swoją kawę i przygotowywał się do wyjścia.

- Co cię tu tak często nosi? - przywitał mnie nie wstając z miejsca.

- Zaraz ci wytłumaczę.

Każdy wczesny ranek, również i petersburski, działa orzeźwiająco na naturę ludzka. Niejedno płomiennie marzenie nocne ulatnia się wraz z chwilą pojawienia się porannego światła i chłodu, i mnie samemu zdarzało się niejednokrotnie wspominać rankiem z wyrzutem i wstydem niektóre swe nocne, tylko co prześnione urojenia, a czasem i postęпки. Zacznę jednak mimochodem, że petersburski ranek, zdawałoby się najbardziej prozaiczny na całej kuli ziemskiej, uważam też za najbardziej fantastyczny w świecie. To mój osobisty pogląd lub mówiąc ściślej -wrażenie, ale podtrzymuję go. W taki petersburski, zgniły, wilgotny i mglisty poranek dzikie marzenia jakiegoś

puszkinowskiego Hermana z „Pikowej damy” (świetna postać, niezwykle, zupełnie petersburski typ - typ z petersburskiego okresu!) - muszą moim zdaniem jeszcze się wzmocnić. Sto razy wśród tej mgły nasuwała mi się dziwaczna, lecz natrętna myśl: „A cóż, kiedy rozwieje się ta mgła i pójdzie w górę, czy nie zniknie wraz z nią całe to zgniłe, wilgotne miasto, czy nie podniesie się wraz z mgłą, nie zginie jak dym, a pozostanie tylko dawne fińskie mokradło, a pośród niego, może dla ozdoby, spiżowy jeździec na ciężko dyszącym, zgonionym koniu?” Jednym słowem nie mogę wyrazić swoich wrażeń, bo to wszystko fantazja, wreszcie poezja, a zatem - bzdura; niemniej jednak częstokroć zadawałem sobie i zadaję jedno już zupełnie bezsensowne pytanie: „Oto wszyscy rzucają się i miotają na wszystkie strony, a kto wie, być może to wszystko jest czymś snem; nie ma tu ani jednego prawdziwego człowieka, ani jednego realnego zdarzenia? Ten ktoś - komu to się śni, obudzi się nagle i wszystko na raz zniknie”.

Ale odbiegłem od tematu.

Powiem zawczasu: bywają zamiary i marzenia w każdym życiu do tego stopnia ekscentryczne, że na pierwszy rzut oka można je wziąć niechybnie za obłąd. Z jedną z takich fantazji przyszedłem właśnie tego ranka do Zwieriewa - do Zwieriewa, ponieważ nikogo innego w Petersburgu nie miałem, do kogo mógłbym się tym razem zwrócić. A tymczasem Jefim był właśnie osobą, do której, gdybym mógł wybierać, zwróciłbym się z taką propozycją na samym końcu. Kiedy usadowiłem się naprzeciw niego, wydało mi się, że jestem wcieleniem maligny i gorączki.

Usiadłem zaś naprzeciwko wcielonemu złotemu środka i prozy. Ale po mojej stronie była idea i szczere uczucie, po jego zaś jedynie praktyczne dowodzenie, że tak się nigdy nie robi. Streszczając się - objaśniłem mu krótko i jasno, że prócz niego nie mam w Petersburgu zupełnie nikogo, kogo bym mógł posłać jako sekundanta w niezwyklej sprawie honorowej; że jest moim dawnym kolegą i dlatego odmówić nie ma nawet prawa, że wyzwąć pragnę porucznika gwardii księcia Sokolskiego; za to, że przeszło rok temu w Ems uderzył w twarz ojca mojego, Wiersiłowa. Zaznaczę przy tym, że Jefim nawet bardzo szczegółowo znał wszystkie moje rodzinne warunki, stosunek mój do Wiersiłowa i prawie wszystko, co wiedziałem z historii Wiersiłowa. W różnym czasie opowiedziałem mu to sam, oprócz naturalnie pewnych sekretów. Siedział więc i słuchał, swoim zwyczajem nastroszony jak wróbel w klatce, milczący i poważny, nadęty, ze swymi wzburzonymi białymi włosami. Nieruchomy, drwiący uśmiech nie schodził z jego warg. Uśmiech ten był tym wstrętnej[szy], że najzupełniej nieumyślny i mimowolny; było widoczne, że Jefim rzeczywiście uważał siebie w tej chwili za o wiele wyższego ode mnie umysłem i charakterem. Podejrzywałem też, że mną przy tym pogardza za wczorajszą scenę u Diergaczowa, tak być musiało: Jefim to tłum, to ulica, a ta zawsze ulega tylko sukcesowi. - A Wiersiłow wie o tym? - zapytał.

- Naturalnie, nie.

- Więc jakież ty masz prawo wtrącać się do jego spraw? To po pierwsze, a po drugie, co chcesz przez to dowieść?

Przewidywałem kontrargumenty i zaraz mu wyjaśniłem, że to wcale nie takie głupie, jak twierdzi.

Po pierwsze aroganckiemu księciu udowodni się, że są jeszcze ludzie rozumiejący honor także w naszej warstwie, a po drugie Wiersiłow będzie zawstydzony i otrzyma lekcję. A po trzecie, co

najważniejsze, jeśli nawet Wiersiłow miał rację ze względu na jakieś tam swoje przekonania, nie wyzwiał księcia i zdecydował się znieść policzek, to przynajmniej zobaczy, że jest istota do tego stopnia zdolna odczuć jego obrazę, że przyjmuje ją za swoją i gotowa oddać za jego sprawy nawet życie... mimo że się z nim na wieki rozstaje.

- Stój, nie krzycz tak, ciotka tego nie lubi. Powiedz mi, przecież z tym samym księciem Sokolskim Wiersiłow procesuje się o spadek?

135

W takim razie to już będzie zupełnie nowy i oryginalny sposób wygrywania procesu: zabijając przeciwnika w pojedynku.

Wyjaśniłem mu en toutes lettres*, że jest po prostu głupcem i chamem. A jeśli drwiący jego uśmiech powiększa się coraz bardziej, dowodzi to tylko jego zarozumiałstwa i pospolitości. Czyż nie można przypuścić, iż myśl o procesie powstała także w mojej głowie i to od samego początku, a nie, że raczyła nawiedzić tylko jego pomysłową głowę.

Potem wyłożyłem mu, że sprawa już wygrana, a przy tym Wiersiłow procesował się nie z księciem Sokolskim, ale z książętami Sokolskimi, tak że jeśli jeden zostanie zabity, to pozostają inni; ale że niewątpliwie trzeba będzie odłożyć wezwanie do terminu apelacji (choć książęta nie będą apelować), lecz tylko dla przyzwoitości. Po upływie tego terminu dojdzie dopiero do pojedynku, a ja teraz z tym przyszedłem. Pojedynek nie odbędzie się natychmiast, ale trzeba mi się było upewnić, bo nie mam sekundantów, praktycznie żadnych znajomości, więc żeby móc zdążyć znaleźć przynajmniej do tego czasu, jeśli on, Jefim, odmówi. Oto dlaczego, właściwie, przyszedłem.

- No więc tak od razu gadaj, a to walisz ogródkami, piąte przez dziesiąte - wstał i wziął czapkę.

- A wtedy pójdziesz?

- Nie, nie pójdę, ma się rozumieć.

- Dlaczego?

- A choćby już dlatego nie pójdę, że gdybym się zgodził, że pójdę, ty przez ten cały czas przed apelacją będziesz codziennie do mnie laził. A co najważniejsze - wszystko to bzdura - i tyle!

Mam z twego powodu łamać sobie karierę? A jeśli książę nagle zapyta:

„- Kto pana przysłał?” - „Dołgorukij”. „- A co ma Dołgorukij do Wiersiłowa?” Więc będę musiał mu wyjawiać cały twój rodowód, czy tak? Przecież on się roześmieje!

- To mu daj w gębę!

- No, to są bajki!

- Boisz się? Tyś taki wysoki... byłeś najsilniejszy w gimnazjum.

- Boję się, oczywiście, że się boję. A książę choćby dlatego bić się nie będzie, że biją się wyłącznie równi z równymi.

- Jestem również dżentelmenem z wychowania, posiadam wszelkie prawa, jestem mu równy...

przeciwnie, to on mi nie dorównuje.

* bez ogródek

136

- Nie, jesteś malutki.

- Jak to malutki?

- Tak, mały; myśmy obaj mali, a on dorosły.

- Głupi jesteś! Przecież ja już od roku zgodnie z prawem mogę się żenić.

- No, to się żeń, a w każdym razie jesteś szczeniak, rośniesz jeszcze!

Naturalnie zrozumiałem, że postanowił kpić ze mnie. Bez wątpienia, można było całej tej głupiej anegdoty nie opowiadać i nawet lepiej, gdyby zaginęła w niepamięci, przy tym jest obrzydliwa ze względu na liczne szczegóły, w zasadzie zbyteczne - jakkolwiek miała następstwa dość poważne.

Jednak, by ukarać się jeszcze bardziej, dopowiem ją do końca. Spostrzegłszy, że fefim wyśmiewa się ze mnie, pozwoliłem sobie trącić go w ramię prawą ręką. Albo lepiej powiedziawszy prawą pięścią. Wtedy wziął mnie za ramiona, obrócił twarzą do wyjścia i - dowiódł czynem, że jest istotnie najsilniejszy z gimnazjum.

—

Czytelnik pomyśli oczywiście, że byłem w strasznym nastroju wyszedłszy od Jefima, jednak omyli się. Doskonale zrozumiałem, że zaszedł wypadek sztubacki, ale powaga sprawy pozostaje nienaruszona. Napiłem się kawy już na wyspie Wasiliewskiej, umyślnie minąwszy wczorajszą restaurację na Petersburskiej; i restauracja ta, i słowik stały się dla mnie podwójnie nienawistne.

Dziwna właściwość: jestem zdolny nienawidzić miejsca i przedmioty, zupełnie jak ludzi. Mam natomiast w Petersburgu kilka miejsc szczęśliwych, to znaczy takich, gdzie bywałem z jakichś powodów szczęśliwy. I cóż - oszczędzam te miejsca i nie zachodzę tam jak można najdłużej, naumyślnie; aby potem, kiedy będę już zupełnie sam i nieszczęśliwy zajść, by potęsknić i powspominać.

Przy kawie oddałem pełną sprawiedliwość Jefimowi i jego zdrowemu rozsądkowi: tak, był ode mnie praktyczniejszy, ale niekoniecznie realniejszy. Realizm, ograniczający się końca swego nosa jest

bardziej niebezpieczny niż najbardziej szalona fantazja, ponieważ jest ślepy. Ale, oddając sprawiedliwość fefimowi (który prawdopodobnie myślał w tej chwili, że idę ulicą i klnę) - jednak nie odstąpiłem od swoich przekonań, jak nie odstąpię i teraz. Widywałem takich, co po pierwszym wiadrze zimnej wody nie tylko wyrzekają się swych postępów, ale nawet idei i sami zaczynają się śmiać z tego wszystkiego, co godzinę temu

137

uważali za święte; o jak się to u nich łatwo odbywa! Niech by Jefim nawet w istocie rzeczy miał słuszość, a niech bym był głupszy od najgłupszego głupca i tylko udawał coś, ale przecież na samym dnie sprawy był taki punkt, opierając się na którym i ja miałem rację: nieco słuszości było także po mojej stronie; a co najważniejsze, coś, czego oni nigdy nie mogli zrozumieć.

U Wasina, na Fontance, koło Siemionowskiego mostu, znalazłem się niemal punktualnie o dwunastej, ale nie zastałem go w domu. Miejsce jego zajęć było na wyspie Wasiliewskiej, a do domu przychodził w ściśle określonych godzinach, między innymi zawsze przed dwunastą.

Ponieważ prócz tego było jakieś święto, więc przypuszczałem, że zastanę go na pewno: nie zastawszy, postanowiłem czekać, mimo że po raz pierwszy zjawiłem się u niego.

Rozumowałem w ten sposób: sprawa listu dotyczącego spadku jest kwestią sumienia, więc wybierając Wasina na sędziego tym samym wykazuję mu całą głębię mojego szacunku, co naturalnie powinno było mu pochlebiać. Rozumie się, rzeczywiście byłem zakłopotany tym listem i faktycznie przekonany o konieczności decyzji osoby trzeciej, podejrzewam jednak, że już wtedy mógłbym wydobyć się z kłopotu bez postronnej pomocy, a co najważniejsze, sam o tym wiedziałem; mianowicie trzeba było po prostu przekazać list samemu Wiersiłowowi z ręki do ręki i niech robi z nim co zechce - ot i rozwiązanie kwestii. Ustanawiać zaś siebie samego sędzią i instancją decydującą w tego rodzaju sprawie, było nawet zupełnie niewłaściwe. Wycofując swoją osobę przez przekazanie listu z rąk do rąk i właśnie bez słowa, od razu wygrałbym, stawiając się w lepszej sytuacji niż Wiersiłow, albowiem zrzekłszy się wszelkich korzyści ze spadku (ponieważ mnie, jako synowi Wiersiłowa coś z tych pieniędzy przypadłoby niezawodnie, jeśli nie zaraz, to potem), zachowałbym dla siebie na zawsze sytuację moralnej wyższości wobec przyszłego postępu Wiersiłowa. Nikt też by nie mógł uczynić zarzutu, że działałem na zgubę książąt, ponieważ dokument nie miał decydującego prawnego znaczenia. Wszystko to przemyślałem i do końca wyjaśniłem, siedząc w pustym pokoju Wasina. I nagle przyszło mi do głowy, że niby pragnąc tak bardzo jego rady, przyszedłem do Wasina jedynie w tym celu, żeby przy tej sposobności zobaczyć, jakimże jestem szlachetnym i bezinteresownym człowiekiem, a zatem też zemścić się na nim za wczorajsze wobec niego poniżenie.

Uświadomiwszy sobie to wszystko byłem bardzo niezadowolony. Niemniej jednak nie odszedłem, lecz zostałem, choć wiedziałem na pewno, że irytacja moja wzrastać będzie z minuty na minutę.

138

Przede wszystkim zaczął mi się ogromnie nie podobać pokój Wasina „pokaż mi swój pokój, a ja

poznam twój charakter”, doprawdy tak by można powiedzieć. Wasin mieszkał w pokoju

umeblowanym, odnajmowanym widocznie u lokatorów ubogich i w ten sposób dorabiających, mających jeszcze innych sublokatorów prócz niego. Znane mi są te pokoiki wąskie, zagracone meblami, jednakże z pretensją do pozorów komfortu. Zawsze tam musi być miękka kanapa z rynku tandety, którą niebezpiecznie jest poruszać; umywalka i łóżko żelazne za parawanem. Wasin był

widocznie najlepszym i najbardziej godnym zaufania mieszkańcem; taki najlepszy lokator zawsze bywa u gospodyni jeden i za to szczególnie mu dogadzają: w jego pokoju sprzątają i zamiatają starannie, nad kanapą wieszają jakąś fotografię, pod stół podkładają suchotniczy dywanik. Ludzie lubiący taki zatechły porządek, a w szczególności usłużne poważanie gospodyni - są najbardziej podejrzani. Przekonany byłem, że miano najlepszego lokatora schlebiali Wasinowi. Nie wiem dlaczego, ale widok tych dwóch zawałonych książkami stołów zaczął mnie po trochu irytować.

Książki, papiery, kałamarz - wszystko było w antypatycznym porządku, którego ideał zgadzał się z światopoglądem gospodyni Niemki i jej pokojowej. Książek było sporo. Nie czasopism, ale prawdziwych książek. Widocznie je czytał i prawdopodobnie siadał do czytania, lub zaczynał pisać z niezwykle poważną i pedantyczną miną. Nie wiem, ale wolę, kiedy książki są rozrzucone w nieporządku, przynajmniej z pracy nie robi się celebrowania. Na pewno ten Wasin jest niezmiernie grzeczny wobec odwiedzającego, ale niewątpliwie każdy jego gest mówi: „Ot, posiedzę z tobą z półtorej godzinki, a potem, kiedy pójdiesz sobie, zajmę się poważną robotą”. Niewątpliwie można z nim prowadzić niezwykle ciekawą rozmowę i usłyszeć coś nowego, ale - „my tak sobie teraz z tobą pogadamy i ja ciebie bardzo zainteresuję, a kiedy odejdziesz, to wezmę się wtedy do rzeczy najciekawszej”... A jednak nie odchodziłem, siedziałem.

O tym, że zupełnie nie potrzebuję jego rady, przekonałem się ostatecznie. Czekałem już godzinę, a może i więcej, siedziałem przy oknie na jednym z dwóch wyplatanych krzeseł przystawionych do okna. To również wściekało mnie, że czas uchodził, a do wieczora musiałem jeszcze znaleźć mieszkanie. Z nudów chciałem wziąć jakąś książkę, ale nie wziąłem: od samej myśli rozerwania się robiło mi się w dwójnasób wstrętne. Przeszło godzinę trwała nadzwyczajna cisza i oto nagle gdzieś blisko, za drzwiami, które zasłaniała kanapa, mimo woli i stopniowo zacząłem rozróżniać coraz donośniejszy szept. Mówiły dwa głosy, widocznie żeńskie,

139

to było słyhać, ale zrozumieć słów zupełnie nie było można; jednakże z nudów zacząłem zwracać na to uwagę.

Było jasne, że rozmawiano z ożywieniem i namiętnością, i że kwestia nie dotyczyła kroju sukienek: umawiano się, czy też kłócono, a może jeden głos przekonywał i prosił, a drugi zaprzeczał i odmawiał. Widocznie jacyś inni sublokatorzy. Wkrótce znudziło mi się to i ucho przywykło tak, że chociaż słuchałem, lecz zupełnie mechanicznie, a czasem zapomniałem, że słucham. Nagle zaszło coś nadzwyczajnego, jak gdyby ktoś zeskoczył z krzesła na obie nogi, albo raptem skoczył z miejsca i zatupał; potem rozległ się jęk i naraz krzyk, a nawet nie krzyk, lecz wycie: zwierzęce, rozżłoszczone, niezważające, czy obcy słyszą, czy nie. Skoczyłem do drzwi i otworzyłem; jednocześnie z moimi otworzyły się inne drzwi, na końcu korytarza, jak się później dowiedziałem -

od gospodyni - skąd wyjrzały dwie zaciekawione głowy. Krzyk jednak nagle ucichł; gdy wtem otworzyły się drzwi obok moich sąsiadek i młoda, jak mi się wydało, kobieta, wyskoczyła i pobiegła w dół po schodach. Druga podstarzała kobieta chciała ją zatrzymać. Ale nie mogła i tylko jęknęła w ślad za nią:

- Ola, Ola, dokąd? Och!

Ale zobaczywszy nasze otwarte drzwi szybko zamknęła swoje, pozostawiwszy szparkę, przez którą przysłuchiwała się, póki nie zamilkły zupełnie na schodach kroki Oli. Wróciłem do mego okna, wszystko ucichło. Wypadek był bez znaczenia, a być może nawet śmieszny i przestałem o nim myśleć. Mniej więcej kwadrans później przed samymi drzwiami Wasina rozległ się głośny, swobodny, męski głos. Ktoś schwycił za klamkę drzwi i otworzył je na tyle, że można było rozpoznać w korytarzu jakiegoś mężczyznę wysokiego wzrostu, który widocznie mnie zobaczył i nawet już obejrzał, ale nie wchodził jeszcze do pokoju, lecz w dalszym ciągu przez cały korytarz rozmawiał z gospodynią, trzymając się za klamkę. Gospodyni rozmawiała z nim cichutkim i wesolutkim głosikiem, i już po głosie można było poznać, że odwiedzający jest jej od dawna znany, szanowany przez nią i ceniony, zarówno jako solidny gość, jak też jako wesoły pan. Wesoły jegomość krzyczał i dowcipkował, ale chodziło tylko o to, że Wasina nie ma w domu, że on go w żaden sposób nie może zastać, że widocznie takie już jego przeznaczenie; i że on znowu tak jak wtedy poczeka, a to wszystko niewątpliwie wydawało się gospodyni szczytem dowcipu. Na koniec gość wszedł, otworzywszy drzwi na oścież.

Był to jegomość dobrze ubrany, widocznie u lepszego krawca, po pańsku, jak to się mówi, lecz tej pańskości było w nim najmniej, mimo

140

zdaje się wybitnego pragnienia posiadania jej. Był nie tyle nonszalancki, ile naturalnie natrętny, to znaczy zachowywał się mniej obraźliwie, niż natręt, który wystudiował gesty przed lustrem. Włosy jego ciemnorude z siwymi nitkami, czarne brwi, duża broda i duże oczy nie tylko nie uwydatniały jego indywidualności, lecz przeciwnie, jak gdyby dodawały mu czegoś pospolitego,

upodabniającego do wszystkich. Taki człowiek śmieje się i gotów się śmiać, ale nigdy nikomu z nim nie jest wesoło. Ze śmiesznego tonu przechodził szybko do poważnego, od poważnego do żartobliwego lub porozumiewawczego, ale to wszystko jakieś rozrzucone i bezprzyczynowe...

Zresztą nie ma po co opisywać z góry. Tego jegomościa poznałem później o wiele lepiej i bliżej, i dlatego z konieczności przedstawiam go teraz jako lepiej poznanego, niż był dla mnie wówczas, kiedy otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Jednakże i teraz trudno by mi było powiedzieć o nim coś ścisłego i określonego, ponieważ w tych ludziach najważniejszą rzeczą właśnie jest ich niewykończenie, rozproszenie i nieokreśloność.

Nie zdążył jeszcze usiąść, kiedy wydało mi się, że to jest prawdopodobnie ojczym Wasina, niejaki Stiebielkow, o którym już coś słyszałem, lecz do tego stopnia przelotnie, że nie mógłbym powiedzieć, co właśnie: pamiętałem tylko, że coś niedobrego. Wiedziałem, że Wasin długo był

sierotą pod jego opieką, lecz że dawno już uwolnił się spod jego wpływu, że i cele, i interesy ich są rozbieżne i że mieszkają zupełnie oddzielnie nie utrzymując bliższych kontaktów. Zapamiętałem także, że ten Stiebielkow obraca sporym kapitałem i że jest jakimś spekulantem i spryciarzem.

Jednym słowem, być może wiedziałem coś niecoś na jego temat, ale wypadło mi z pamięci.

Zmierzył mnie spojrzeniem, nie przywitawszy się zresztą, postawił swój kapelusz-cylinder na stół przed tapczanem, stół władczo odsunął nogą i nie to, że siadł, a wprost rozwalił się na tapczanie, na którym nie śmiałem sięść, tak, że ten zatrzeszczał, zwiesił nogi i wysoko podniósłszy prawy czubek lakierowanego buta, zaczął nim się zachwycać. Oczywiście, szybko obrócił się ku mnie i znowu zmierzył mnie swymi dużymi, nieruchomymi oczami.

- Nie mogę zastać! - kiwnął mi lekko głową. Zmilczałem.

- Nieporządny! Własne poglądy na sprawę. Z Petersburskiej strony?

- To jest, pan przyszedł z Petersburskiej? - zapytałem.

- Nie, to ja pana pytam.

- } a... ja przyszedłem z Petersburskiej, tylko dlaczego pan się domyślił?

141

‘,- Dlaczego? Hm - mrugnął do mnie, lecz nie raczył wyjaśnić.

- To znaczy, nie mieszkam na Petersburskiej, lecz teraz tam byłem i stamtąd tu przyszedłem.

Dalej uśmiechał się jakimś porozumiewawczym uśmiechem, który niezwykle mi się nie podobał.

Także w tym mruganiu było coś głupiego.

- U pana Diergaczowa? - przemówił w końcu.

- Co u Diergaczowa? - otwarłem oczy. Zwycięsko patrzył na mnie.

- Nie znam go.

-Hm.

- Jak pan chce - odpowiedziałem. Poczulem do niego wstręt.

- Hm, tak. Nie, proszę posłuchać; pan kupuje w sklepie rzecz, w innym sklepie obok inny kupujący kupuje inną rzecz, jaką pan myśli? Pieniądze, u kupca którego nazywają lichwiarzem... Dlatego, że pieniądze są także rzeczą, a lichwiarz jest także kupcem... Czy pan nadaża za mną?

- Niech będzie, nadażam.

- Przechodzi trzeci kupujący i wskazując na jeden ze sklepów mówi: „To jest solidne”, a wskazując na drugi sklep mówi: „To niesolidne”. Co mogę wywnioskować na temat tego kupującego?

- Skąd mam wiedzieć?

- Nie, proszę posłuchać. Na przykład ja - dobrym przykładem człowiek żyje - idę Newskim prospektem i zauważam, że po drugiej stronie ulicy, po trotuarze, idzie pan, którego charakter chciałbym określić. Dochodzimy różnymi stronami aż do zakrętu w Morską i właśnie tam, gdzie angielski sklep, zauważamy trzeciego pana, którego tylko co koń rozduślił. Teraz proszę wniknąć: przechodzi czwarty pan i pragnie określić charakter wszystkich nas trzech, razem z rozduuszonym, w sensie praktyczności i solidności... Czy pan nadaża?

- Proszę wybaczyć, ale z wielkim trudem.

- Dobrze, tak myślałem. Zmienię temat. Jestem u wód w Niemczech, na mineralnych wodach, jak bywałem niejednokrotnie, na jakich -wszystko jedno. Chodzę po tych wodach i widzę

Anglików. Z Anglikiem, jak pan wie, ciężko nawiązać znajomość; lecz oto po dwóch

miesiącach, na zakończeniu turnusu, wszyscy wędrujemy po górach, wchodzimy całą kompanią, z ostro zakończonymi pałkami, na górę, tę czy inną, bez znaczenia. Na zakręcie, to znaczy na etapie szlaku i właśnie tam, gdzie mnisi wódkę chartreuse produkują, proszę zauważyć, spotykam tubylca, stojącego samotnie, patrzącego w milczeniu. Pragnę

142

poznać go gruntownie: jak pan myśli, czy mógłbym zwrócić się o konkluzję do tłumu Anglików, z którymi maszeruję jedynie dlatego, że nie potrafiłem rozmówić się z nimi na wodach?

- Skąd mam wiedzieć. Proszę wybaczyć, ale bardzo trudno jest mi śledzić za biegiem pańskiej myśli.

- Trudno?

- Tak, pan mnie męczy.

- Hm... Mrugnął i zrobił ręką jakiś gest, który miał prawdopodobnie oznaczać coś bardzo tryumfującego i zwycięskiego; potem bardzo solidnie i spokojnie wyjął z kieszeni gazetę, widocznie tylko co kupioną, rozwinął i zaczął czytać na ostatniej stronie, zostawiwszy mnie widocznie w zupełnym spokoju. Przez pięć minut nie patrzył na mnie.

- Ale Brzesko-Grajewskie akcje nie spadły przecież, co? Przecież poszły, przecież idą! Wielu znam, którzy na tym wpadli. Z całej duszy spojrzał na mnie.

- Na razie mało z tej giełdy rozumiem - odpowiedziałem.

- Neguje pan?

- Co?

-Pieniądze.

!

- Nie ignoruję pieniędzy, ale... ale zdaje mi się, że najpierw idea, a później pieniądze.

- To znaczy, pozwoli pan... Oto człowiek pozostaje, jak to się mówi, przy własnym kapitale...

- Najpierw wyższa idea, a potem pieniądze, a bez wyższej idei z samymi pieniędzmi społeczeństwo przepadnie.

Nie wiem dlaczego zacząłem się unosić. Popatrzył na mnie trochę tępo, jak gdyby stracił wątek, lecz nagle na twarzy jego pojawił się chytry uśmiech.

- A ten Wiersiłow, co? Przecież nachapał się jednak, nachapał! Przysądzili mu wczoraj, co?

Nagle i niespodziewanie dla siebie zrozumiałem, że gość od dawna wie, kto ja jestem i być może jeszcze wie znacznie więcej. Nie rozumiem tylko, dlaczego nagle zarumieniłem się i najgłupiej w świecie patrzałem nie spuszczając zeń oczu. Rzeczywiście triumfował, patrzył na mnie wesoło, jak gdyby w jakiś bardzo chytry sposób przyłapał mnie na czymś.

- Nie - podniósł w górę obydwie brwi - Niech pan mnie raczej zapyta o imię Wiersiłowa! Co ja panu mówiłem przed chwilą odnośnie zasad! Półtora roku temu z powodu tego dziecka mógł

doskonale sprawę załatwić - a spudłował, tak.

143

- Z powodu jakiego dziecka?

- Przez to niemowlę, które i teraz w tajemnicy karmią, tylko że na tym nie zarobi... bo...

- Jakie niemowlę? Co takiego?

- Oczywiście jego dziecko, jego własne z mademoiselle Lidią Ach-makową... „Przepiękna dziewczica pieściła mnie” ... Fosforowe zapalniczki -co?

- Co za brednie, co za głupstwa! On nigdy nie miał dziecka z Achmakową!

- Ale! A ja gdzie byłem? Przecież jestem i doktorem, i akuszerem. Moje nazwisko Stiebielkow, nie słyszał pan? Co prawda wtedy już nie praktykowałem od dawna, ale zawsze mogłem dać praktyczną radę . w praktycznej sprawie.

- Pan jest akuszerem...? Pan przyjmował dziecko Achmakowej?

- Nie, ja niczego nie przyjmowałem od Achmakowej. Tam na przedmieściu był doktor Granz, obarczony rodziną, po pół talara mu płacili, taka tam u nich sytuacja doktorów, a przy tym na dodatek nikt go nie znał, więc on był zamiast mnie... f a zaś mu doradziłem, żeby nic nie wyrzało z mroku tajemnicy. Czy pan postępuje za biegiem moich myśli? Dałem tylko jedną praktyczną radę w sprawie Wiersiowa, Andrieja Piotrowicza, w sprawie najtajniejszej, w cztery oczy. Ale Andriej Piotrowicz wolał dwa zające.

Słuchałem w najgłębszym zdumieniu.

- Jeżeli pobiegiesz za dwoma zającami, żadnego nie złapiesz, mówi narodowe, albo ściślej, ludowe przysłowie. A ja mówię tak: wyjątki powtarzające się bez przerwy stają się w końcu ogólną regułą. Za drugim zającym; to jest w przekładzie na język rosyjski - za druga damą poleciał - i żadnych rezultatów. Jeżeli już coś złapałeś, to się tego trzymaj. Gdzie trzeba przyspieszyć sprawę, on marudzi. Wiersiów - to przecież „babski prorok”, ot, jak go wtedy przy mnie młody książę Sokolski pięknie określił. Niech pan do mnie przyjdzie. Jeśli chce pan o Wiersiowie dowiedzieć się wielu rzeczy, niech pan do mnie zachodzi.

Widocznie cieszył się widokiem moich otwartych ze zdziwienia ust. Nigdy i nic nie słyszałem do tej pory o niemowlęciu. I oto w tej chwili nagle stuknęły drzwi u sąsiadki i ktoś szybko wszedł do jej pokoju.

- Wiersiów mieszka w Siemionowskim pułku przy ulicy Możajskiej, w domu Litwinowowej numer siedemnaście, byłem w biurze adresowym - dał się słyszeć donośny, poirytowany kobiecy głos.

Słyszeliśmy każde słowo. Stiebielkow poruszył brwiami i podniósł palec nad głową.

144

- My o nim tutaj, a on już tam... Oto te ciągle się powtarzające wyjątki! Quand on parle d'un corde...* szybkim podskokiem przysiadł na kanapie i zaczął się przysłuchiwać przez drzwi, do których kanapa była przystawiona. Byłem ogromnie zdumiony. Zrozumiałem, że

prawdopodobnie wykrzyknęła ta sama kobieta, która niedawno wybiegła z takim oburzeniem.

Ale jakim sposobem i tu Wiersiów? Nagle znowu rozległo się nieludzkie wycie człowieka zezwierzonego z gniewu; człowieka, któremu czegoś nie dają lub którego od czegoś powstrzymują. Słysząc było walkę, jakieś słowa częste, szybkie: „nie chcę, nie chcę, proszę mi oddać, proszę natychmiast oddać!” - albo coś w tym rodzaju - dziś już nie przypomnę.

Następnie, jak niedawno, ktoś pospiesznie rzucił się do drzwi i otworzył je. Obie sąsiadki wyskoczyły na korytarz, jedna, jak poprzednio, powstrzymywała drugą. Stiebielkow, który już dawno zeskoczył z kanapy, z rozkoszą przysłuchiwał się. Potem rzucił się do drzwi i od razu wyskoczył na korytarz prosto do sąsiadek.

Naturalnie ja także pobiegłem do drzwi. Ale jego zjawienie się na korytarzu było kubłem zimnej wody: sąsiadki szybko schowały się, z hałasem zatrzęsły drzwi. Stiebielkow podskoczył za nimi,

ale zatrzymał się z podniesionym palcem, uśmiechając się i namyślając; tym razem dojrzałem w jego uśmiechu coś niezmiernie brzydkiego, ciemnego i złowieszczonego. Ujrzawszy gospodynię, stojącą znowu przy swoich drzwiach, szybko na palcach podbiegł do niej przez korytarz; poszeptał

z nią ze dwie minuty i, naturalnie uzyskawszy informacje, śmiało i zdecydowanie wrócił do pokoju, wziął ze stołu swój cylinder, mimochodem spojrzął w lustro, podgarnął włosy i z zarozumiałą godnością, nie spojrzawszy na mnie, udał się do sąsiadek. Chwilkę podsłuchiwał pod drzwiami przyłożywszy ucho i zwycięsko mrugając przez korytarz do gospodyni, która groziła mu palcem i kiwała głową, jakby mówiła: „och, figlarz, figlarz!”. Na koniec przybrawszy delikatną minę, nawet jakby się zgarbił dla okazania delikatności, zastukał knykциями palców do sąsiadek.

Dał się słyszeć głos:

- Kto tam?

- Czy pani pozwoli wejść w ważnej sprawie? - głośno i uroczyście powiedział Stiebielkow.

Poczekwały chwilę, ale jednak otworzyły, najpierw troszeczkę, ledwie na ćwierć: ale Stiebielkow zaraz uchwycił silnie za klamkę i już nie

* W domu powieszzonego...

145

pozwoił zamknąć. Zaczęła się rozmowa. Stiebielkow zagadał głośno, ciągle usiłując wepchać się do pokoju. Nie pamiętam słów, ale mówił o Wiersiłowie, że może poinformować, wyjaśnić wszystko: „nie, niech mnie pani spyta”, „nie, niech pani do mnie przyjdzie” - w tym guście. Bardzo prędko wpuszczono go. Wróciłem do kanapy i zacząłem podsłuchiwać, ale nie mogłem

wszystkiego wyłapać. Słyszałem tylko, że często wspominali Wiersiłowa. Z intonacji głosu domyśliłem się, że Stiebielkow zapanował już nad rozmową; mówił już nie przymilnie, lecz władczo, podobnie jak niedawno ze mną: „czy pani śledzi za mną...” „teraz proszę wnikać...” itp.

Zresztą z kobietami powinien był postępować nad wyraz uprzejmie. Już dwa razy rozległ się jego głośny chichot i na pewno zupełnie nie na miejscu, bo jednocześnie z jego głosem, a niekiedy i przewyciężając go, rozlegały się głosy obu kobiet, zupełnie nie wyrażające wesołości, a w szczególności głos młodej kobiety, tej która dopiero co wyła; mówiła dużo, nerwowo, prędko, widocznie kogoś demaskując i oskarżając się, szukając sądu i sędziów. Ale Stiebielkow nie rezygnował, podnosił głos coraz bardziej i bardziej, chichotał coraz częściej i częściej; tacy ludzie nie umieją słuchać innych. Odszedłem szybko od kanapy, ponieważ wydało mi się nieprzyzwoitym podsłuchiwać i przeniosłem się na moje dawne miejsce koło okna na wyplatanym krześle. Byłem pewien, że Wasin ma tego pana Stiebielkowa za nic, ale, gdybym to ja wyraził taką opinię, zapewne z poważną miną ująłby się za nim i pedagogicznie by zauważył, że to „człowiek praktyczny, należący do dzisiejszych ludzi czynu, którego nie można sądzić według naszych ogólnych i oderwanych punktów widzenia”. W tym momencie zresztą byłem, pamiętam, jak gdyby cały rozbity moralnie, serce mi biło i niewątpliwie czegoś oczekiwałem. Przeszło z dziesięć minut i nagle w samym środku

wybuchu śmiechu, ktoś, podobnie jak niedawno, zerwał się z krzesła, potem rozległy się krzyki obu kobiet, słyhać było także jak skoczył Stiebielkow, jak coś powiedział już innym głosem, jak gdyby się usprawiedliwiał, jak gdyby upraszał, aby go dosłuchano... Ale go nie wysłuchano do końca, rozległy się gniewne krzyki: „Won! Pan jest niegodziwiec, bezwstydnik”... Jednym słowem było jasne, że go wyrzucają. Otworzyłem drzwi akurat w tej chwili, gdy wypadł na korytarz od sąsiadek i to zdaje się, dosłownie, to jest ich ręce go wypchnęły. Ujrzawszy mnie krzyknął nagle pokazując na mnie:

- Oto syn Wiersiłowa! Jeżeli mi nie wierzycie, to jest tu jego syn, jego własny syn! Proszę bardzo - władczo chwycił mnie za rękę. - Oto jego syn, rodzony syn! - powtórzył, podprowadzając mnie do pań i nie dodając zresztą nic więcej w celu wyjaśnienia.

146

Młoda kobieta stała w korytarzu, starsza o krok za nią w drzwiach. Zapamiętałem tylko, że ta biedna dziewczyna była niebrzydka, lat około dwudziestu, ale chuda i o chorobliwym wyglądzie, rudawa, i z twarzy jakby nieco podobna do mojej siostry. Ten szczegół mignął mi i utrwalił się w pamięci. Tyle że Liza nie bywała i stanowczo nigdy nie mogła być w takim gniewnym uniesieniu, w jakim stała przede mną ta osoba: wargi jej były białe, jasnoszare oczy skrzyły się, cała drżała z oburzenia. Pamiętani także, że sam byłem w nadzwyczaj głupim i niewłaściwym położeniu, z łaski tego natręta, bo faktycznie nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Cóż z tego, że syn! Jeżeli jest z panem, to na pewno taki sam niegodziwiec. Jeżeli pan jest synem Wiersiłowa - zwróciła się nagle do mnie - to powiedz pan ode mnie swojemu ojcu, że jest niegodziwcem, że jest podłym bezwstydnikiem, że nie potrzebuję jego pieniędzy... Weźcie, weźcie, weźcie, przekaz pan zaraz te pieniądze!

Szybko wyrwała z kieszeni kilka banknotów, ale starsza (to jest jej matka, jak się później okazało), schwyciła ją za rękę:

- Ola, przecież to może być nieprawda, przecież może to nie jego syn!

Ola szybko spojrzała na nią, zrozumiała, popatrzyła na mnie pogardliwie i cofnęła się z powrotem do pokoju, ale zanim zatrzasnęła drzwi, jeszcze raz stojąc w progu wykrzyknęła w pasji do Stiebielkowa:

-Won!

I nawet tupnęła na niego nogą. Potem drzwi się zatrzasnęły i zamknęły już na klucz.

Stiebielkow wciąż jeszcze trzymając mnie za ramię, podniósł palec i, rozciągnąwszy usta w szeroki, pełen zamyślenia uśmiech, wpił się we mnie pytającym spojrzeniem.

- Uważam pański postępek ze mną za śmieszny i nieprzyzwoity - wybełkotałem z oburzeniem.

Ale on nie słuchał mnie, choć nie spuszczał ze mnie oczu.

- To by należało zbadać! - wymówił z namysłem.

- Ale jak pan śmiał mnie wyciągnąć? Kto to taki? Co to za kobieta? Pan mnie chwycił za ramię i poprowadził. Co to jest?

- Ech, do diabła! Pozbawiona niewinności jakaś „często powtarzający się wyjątek...” - pan uważa?

I dotknął mnie palcem w pierś.

- Ech, do diabła! - odepchnąłem jego palce.

Ale nagle i zupełnie nieoczekiwanie zaśmiał się cicho, niemal niedosłyszalnie, długo i wesoło. Na koniec włożył kapelusz i z szybko zmienioną, już ponurą miną, zauważył, zmarszczywszy brwi: 147

-A gospodynie należało by pouczyć... trzeba by je wypędzić z mieszkania-ot co; i to jak można najprędzej, bo one tutaj... Ot, zobaczy pan! Wspomni pan moje słowo, jeszcze zobaczy! Ech, do diabła! - rozweselił się nagle znowu. - Pan się przecież doczeka Griszy?

- Nie, nie doczekam - odpowiedziałem stanowczo.

- No, to wszystko jedno...

I nie dodawszy więcej ani sylaby, odwrócił się, wyszedł i skierował się w dół po schodach, nie racząc nawet spojrzeć na gospodynię. Także wzięłem kapelusz i poprosiwszy gospodynię, by zawiadomiła, że byłem tu ja, Dołgorukij, zbiegłem po schodach.

—

Straciłem tylko czas. Po wyjściu natychmiast ruszyłem na poszukiwanie mieszkania; ale byłem roztargniony, przełaziłem kilka godzin po ulicach i choć zaszedłem do pięciu czy sześciu mieszkań, jestem pewien, że ze dwadzieścia przeoczyłem. Ku jeszcze większemu memu niezadowoleniu okazało się, iż nie wyobrażałem sobie nawet, że tak trudno jest wynająć mieszkanie. Wszędzie pokoje podobne do wasinowego, i nawet o wiele gorsze, a ceny ogromne, powyżej moich oczekiwań. Potrzebowałem po prostu kąta, żeby móc się obrócić, a na to pogardliwie dawano mi do zrozumienia, że w takim razie powinienem iść do przytułku. Prócz tego wszędzie pełno dziwnych mieszkańców, z którymi już z powodu ich wyglądu nie mógłbym mieszkać razem - nawet zapłaciłbym, żeby nie mieszkać. Jacyś jegomoście bez surdutów, w samych kamizelkach, z rozczochranymi brodami, bezceremonialni i ciekawi. W jednym maleńkim pokoiku siedziało dziesięciu takich nad kartami i piwem, a obok proponowano mi pokój. Winnych miejscach ja sam na wypytywanie gospodarzy odpowiadałem tak nedorzecznie, że patrzono na mnie ze

zdziwieniem, a w jednym mieszkaniu aż się posprzeczałem. Zresztą nie ma co opisywać tych wszystkich drobiazgów; chcę tylko powiedzieć, że bardzo zmęczony zjadłem byle co w jakiejś jadłodajni, a tymczasem już zapadał zmierzch. Postanowiłem ostatecznie, że pójdę i oddam zaraz Wiersiłowowi list o spadku (bez żadnych wyjaśnień), po czym zabiorę z góry moje rzeczy, zapakuję w walizkę i w węzełek, po czym przejadę na noc choćby do hotelu.

Wiedziałem, że przy końcu prospektu Obuchowskiego, koło Bramy Triumfalnej, są zajazdy, gdzie można dostać nawet osobny pokój za trzydzieści kopiejek; na jedną noc zdecydowałem się poświęcić, byleby

148

tylko nie nocować u Wiersilowa. I oto, gdy przechodziłem koło Instytutu Technologicznego, nagle przysła mi do głowy myśl, by zejść do Tatiany Pawłowny, która mieszkała tuż naprzeciw Instytutu. Właściwie pretekstem do wstąpienia był nadal ten list o spadku, ale ten mój nieprzewyciężony impuls miał naturalnie inne przyczyny, których zresztą nie potrafię i teraz wyjaśnić. Był tam jakiś chaos w myśleniu: „niemowlę”, „wyjątki tworzące ogólną zasadę”. Czy chciałem opowiedzieć, czy popisać się, czy posprzeczać się, czy nawet zapłakać, nie wiem, ale poszedłem do Tatiany Pawłowny. Byłem u niej dotychczas tylko jeden raz, wkrótce po przyjeździe z Moskwy, z jakimś poleceniem od matki; pamiętam, że zaszedłem, szybko załatwiłem polecenie i uciekłem po minucie, nawet nie siadłszy, a ona też nie zaprosiła.

Zadzwoniłem; zaraz otworzyła mi kucharka i milcząc wpuściła do pokoju. Potrzebne są te wszystkie szczegóły, aby można było zrozumieć, w jaki sposób doszło do takiego szalonego wydarzenia, które w rezultacie wywarło ogromny wpływ na wszystko, co nastąpiło później.

Naprzód o kucharce. Była to zła i kurnosa czuchonka, zdaje się nienawidząca swojej pani, Tatiany Pawłowny, gdy ta przeciwnie, rozstać się z nią nie mogła z powodu jakiegoś przywiązania, w tym rodzaju, jak mają stare panny do starych mopsów z mokrymi nosami, lub starych, wiecznie śpiących kotek. Czuchonka albo złościła się i klęła, albo, pokłócona, milczała tygodniami, chcąc ukarać panią. Musiałem trafić na taki dzień milczenia, bo nawet na moje pytanie: „Czy pani w domu?”, które dobrze pamiętam, że jej zadałem, nie odpowiedziała i przeszła do swojej kuchni.

Wobec tego oczywiście przekonany, że pani jest w domu, przeszedłem do pokoju i nie znalazłszy nikogo, zacząłem czekać, sądząc, że Tatiana Pawłowna zaraz wyjdzie z sypialni; inaczej po cóż by mnie kucharka wpuściła? Nie siadałem i czekałem dwie, trzy minuty; już zmierzchało; ciemne mieszkanko Tatiany Pawłowny wydawało się jeszcze mniej sympatyczne wskutek wszędzie porozwieszanego kretonu. Dwa słowa o tym brzydkim lokaliku, aby można było zdać sobie sprawę z miejsca, gdzie rzecz się dzieła. Tatiana Pawłowna z powodu swego charakteru upartego i despotycznego, i z powodu starych pańszczyźnianych przyzwyczajzeń nie potrafiłaby wytrzymać w pokoju meblowanym z lokatorami i wynajmowała tę parodię mieszkania, aby tylko mieszkać osobno i być sama sobie panią. Te dwa pokoiki były dosłownie, jak dwie klatki dla kanarka: jeden do drugiego przystawiony, jeden od drugiego mniejszy, na drugim piętrze, z oknami na podwórze.

Wchodząc do mieszkania, wchodziło się wprost

149

do wąskiego korytarzyka, szerokiego na półtora arszyna; na lewo wyżej wspomniane dwie ptasie klatki, a prosto z korytarzyka w głębi wejście do małej kuchni. Półtora sążnia sześciennego powietrza, nieodzownego dla człowieka na dwanaście godzin oddychania, może i było w tych pokojkach, ale chyba nie więcej.

Były one nieprawdopodobnie niskie, ale co najgorsze, to, że okna, drzwi, meble - wszystko było obwieszane, albo przybrane kretonem, pięknym francuskim kretonem i ozdobione frędzelkami; skutkiem tego pokój wydawał się jeszcze dwa razy ciemniejszy i upodabniał się do wnętrza podróźnej karety. W tym pokoju, w którym czekałem, można jeszcze było się obrócić, chociaż wszystko było zavalone meblami, mówiąc nawiasem, zupełnie niebrzydkiemi: były tu różne stoliki z inkrustacją, z ozdobami brązowymi, szkatułkami, wykwinna, a nawet bogata toaletka. Ale następny pokój, skąd oczekiwałem jej wyjścia, sypialnia, szczelnie oddzielona od tego pokoju zasłoną, dosłownie wypełniona była jednym łóżkiem. Wszystkie te drobiazgi są konieczne, aby zrozumieć to głupstwo, które zrobiłem.

Czekałem tak i ani się spostrzegłem, gdy rozległ się dzwonek. Słyszałem, jak niespiesznym krokiem przeszła przez korytarz kucharka i milcząc wpuściła wchodzących, akurat tak, jak dopiero co mnie. Były to dwie panie, obie rozmawiały głośno, ale jakież było moje zdumienie, kiedy poznałem po głosie w jednej z nich Tatianę Pawłownę, a w drugiej, właśnie tę kobietę, którą najmniej byłem przygotowany spotkać teraz, i to jeszcze w takich okolicznościach! Nie mogłem się mylić: słyszałem ten dźwięczny, silny, metaliczny głos wczoraj, prawda, że tylko przez trzy minuty, ale utkwił głęboko w mojej duszy. Tak, to była „wczorajsza kobieta”. Co miałem począć?

Wcale nie czytelnikowi zadaję to pytanie, tylko odtwarzam sobie tamtą chwilę; i zupełnie nie jestem w stanie nawet teraz wyjaśnić, jak to się stało, że nagle rzuciłem się za zasłonę i znalazłem się w sypialni Tatiany Pawłowny. Zwięźlej mówiąc, schowałem się; i ledwo zdążyłem uskoczyć, gdy weszły. Dlaczego nie wyszedłem na ich spotkanie, lecz schowałem się - nie wiem; wszystko to stało się niechcący i w najwyższym stopniu nieświadomie.

Skoczyłem do sypialni. Natknąwszy się na łóżko zaraz zauważyłem, że istnieją drzwi do kuchni, to znaczy, że było wyjście z kłopotu i można było uciec niepostrzeżenie, ale - o zgrozo! Drzwi były zamknięte, a klucza nie było. W rozpaczę usiadłem na łóżku; jasno sobie zdałem sprawę, że zatem teraz będę podsłuchiwać, a już z pierwszych zdań, z pierwszych sylab rozmowy, domyśliłem się, że rozmowa jest sekretna

150

i o wysoce drażliwej treści. Och, oczywiście uczciwy i szlachetny człowiek powinien był wstać nawet teraz, wyjść i powiedzieć głośno: „Poczekajcie, jestem tutaj!” i pomimo swego śmiesznego położenia przejść obok nich, ale nie wstałem i nie wyszedłem; nie odważyłem się i stchórzyłem w najokropniejszy sposób.

- Droga moja Katierino Nikołajewno, pani mnie głęboko zasmuca -perswadowała Tatiana Pawłowna. - Niech się pani uspokoi raz na zawsze, to nawet nie licuje z pani charakterem.

Wszędzie, gdzie pani, tam i radość, i nagle teraz... - Ale chyba we mnie jeszcze pani wierzy w dalszym ciągu: przecież wie pani, jak jej jestem oddana. Przecież nie mniej niż Andriejowi Piotrowiczowi, dla którego wiecznego oddania nie ukrywam. Więc niech pani wierzy, klnę się na honor, on nie ma w rękach tego dokumentu, a być może zupełnie nikt go nie ma; przecież on nawet nie jest zdolny do takiej nikczemności, grzech go nawet podejrzewać. Sami-ście tylko oboje wymyślili tę wrogość...

- Dokument istnieje, a on jest zdolny do wszystkiego, I cóż, wchodzę wczoraj i pierwsze spotkanie
- ce petit espion*, którego Wiersiłow księciu podsunął.
- Ech, ce petit espion*. Po pierwsze wcale nie espion**, ponieważ to ja, ja nastawiałam, żeby go u księcia umieścić, bo by w Moskwie zbzikował, albo umarł z głodu, taką tam miał opinię; co ważniejsze, to ordynarne chłopczysko jest nawet zupełnym głupkiem, gdzież mu być szpiegiem?
- Rzeczywiście, to jakiś głuptas, co mu zresztą nie przeszkadza stać się szubrawcem. Umarłabym wczoraj ze śmiechu, gdyby nie to, że byłam poirowana: zbladł, podbiegł, kłania się, po francusku zaczął mówić. A w Moskwie Maria Iwanowna zapewniała mnie, że to geniusz. Ze nieszczęsny list zachował się i jest gdzieś w niebezpiecznym miejscu -wynioskowałam to z twarzy tej Marii Iwanowny.
- Piękna moja! Przecież sama pani mówiła, że nie ma u niej niczego!
- Tak to właśnie na pozór wygląda: ona tylko łąże i jakaż to jest, powiem pani, mistrzyni! Jeszcze przed Moskwą wciąż jeszcze miałam nadzieję, że nie zostały żadne papiery, lecz tu, tu...
- Ach, miła, przeciwnie, to jest, mówią, dobra i rozsądna istota, nieboszczyk najwyżej ją ze wszystkich krewnych cenił. Prawda, nie znam jej zbyt dobrze, lecz pani by ją urzekła, moja piękna! Przecież zwyciężyć nic pani nie znaczy, jestem starucha - zakochana w pani i zaraz panią ucałuję... Cóż by kosztowało pani ją urzec!
- Staralam się, Tatiano Pawłowna, próbowałam, do zachwyty ją nawet doprowadziłam, lecz chytra jest bardzo... Nie, tu cały charakter, i w dodatku szczególny, moskiewski... Proszę sobie wyobrazić, poradziła mi zwrócić się do pewnego Krafta, byłego pomocnika u Androni-kowa, a nuż coś wie. Na temat tego Krafta mam już własny pogląd i nawet trochę go pamiętam; lecz gdy tylko powiedziała mi o tym Kraf-cie, nabrałam przekonania, że nie tylko wie, lecz że łąże i doskonale wie wszystko.

151

- Ależ dlaczego, dlaczego? A właściwie można u niego zasięgnąć informacji! Ten Niemiec, Kraft, wcale nie plotkarz, pamiętam, niezwykle uczciwy - faktycznie, wypytać by go! Tylko że, zdaje się, nie ma go teraz w Petersburgu...
- O, wrócił jeszcze wczoraj, byłam przed chwilą u niego... Dlatego przyszedłam do Pani w takiej trwodze, ręce, nogi drżą, chciałam panią poprosić, aniele mój, Tatiano Pawłowno, ponieważ pani zna wszystkich, czy nie można dowiedzieć się czego o papierach jego, ponieważ na pewno teraz po nim pozostały papiery, więc do kogo teraz od niego pójdą? Jeszcze trafią w czyjeś niebezpieczne ręce. Przybiegłam zapytać o pani poradę.
- O jakie znowu papiery pani chodzi? - nie rozumiała Tatiana Pawłowna. - Przecież pani mówi, że sama przed chwilą była u Krafta?
- Byłam, byłam, teraz byłam, lecz on zastrzelił się! Jeszcze wczoraj wieczorem.

Zeskoczyłem z łóżka. Mogłem wysiedzieć, kiedy mnie nazywano szpiegiem i idiotą; i im dalej wchodziły w swoją rozmowę, tym mniej możliwe stawało się, żeby im się pokazać. To by było niewyobrażalne! Zdecydowałem w duszy, że wysiedzę, zamarłszy, póki Tatiana Pawłowna wyprowadzi gościa (jeśli na moje szczęście sama nie wejdzie wcześniej do sypialni), a potem, kiedy wyjdzie Achmakowa, niech nawet wówczas pobijemy się z Tatianą Pawłowna!.. Ale teraz, kiedy, usłyszawszy o Krafcie, zeskoczyłem z pościeli, całego mnie chwyciły jakby konwulsje. Nie myśląc o niczym, nie roztrząsając i nie wyobrażając, stąpiłem, podniosłem portierę i znalazłem się przed nimi. Jeszcze było dostatecznie jasno, żeby mogły mnie rozpoznać, bladego i drżącego...

Obie krzyknęły. Jakże tu nie krzyknąć?

- Kraft? - wybełkotałem zwracając się do Achmakowej. - Zastrzelił się? Wczoraj? O zachodzie słońca?

152

- Gdzie byłeś? Skąd się tu wzięłeś? - zapiszczała Tatiana Pawłowna i wczepiła mi się w ramię. -

Szpiegowaleś? Podśluchiwałeś?

-A nie mówiłam?-podniosła się z tapczanu Katierina Nikołajewna wskazując na mnie.

Wyszedłem z siebie.

- Kłamstwo, bzdury! - przerwałem w zapamiętaniu. - Pani teraz nazywała mnie szpiegiem, o Boże!

Czy warto nie tylko szpiegować, ale nawet żyć na świecie obok takich jak wy?! Wielkoduszny człowiek kończy samobójstwem, Kraft zastrzelił się dla idei, dla Hekuby... Zresztą, co możecie wiedzieć o Hekubie!.. Atu - żyj wśród waszych intryg, waszych łgarstw, oszustw, podkopów...

Dosyć!

- Niech pani mu da w policzek! Dajcie mu w policzek! - krzyknęła Tatiana Pawłowna, a ponieważ Katierina Nikołajewna, mimo że patrzyła na mnie (pamiętam wszystko dokładnie) nie

odwracając oczu, nie ruszała się z miejsca, to Tatiana Pawłowna za moment sama by

zrealizowała swoją radę. Dlatego mimowolnie podniosłem rękę, żeby osłonić twarz; z powodu tego ruchu wydało się jej, że zamachnąłem się, żeby uderzyć.

- No uderz, uderz! Udowodnij, żeś cham z urodzenia! Jesteś silniejszy od kobiet, dlaczego masz się certolić?!

- Wystarczy oszczerstw, wystarczy! - krzyknąłem. - Nigdy nie podnosiłem ręki na kobietę! Pani nie ma wstydu, Tatiano Pawłowno, zawsze mną pani pogardzała. Czyżby ludzi należy traktować bez szacunku?! Pani zapewne drwi, Katierino Nikołajewno, z mojej figury; tak, Bóg mi nie dał

figury jak u pani adiutantów. I mimo to czuję się nie poniżonym przed panią, lecz przeciwnie, podniesionym... Wszystko jedno jakbym się nie wyraził, lecz nie jestem winny! Trafiłem tu niechcący, Tatiano Pawłowno; winna jest wszystkiemu pani służąca albo, lepiej powiedzieć, pani stosunek do niej: dlaczego na moje pytanie nie odpowiedziała i prosto mnie tu przyprowadziła? A potem, przyzna to pani sama, wyskoczyć z sypialni kobiety wydało mi się do tego stopnia monstualnym, że zdecydowałem się w milczeniu znieść wasze obelgi i nie pokazywać się... Pani znowu się śmieje, Katierino Nikołajewna?

- Poszedł won, poszedł won, idź won! - krzyczała Tatiana Pawłowna, prawie mnie popychając. -

Niech pani nie słucha jego łągarstw, Katierino Nikołajewno! Czy nie mówiłam pani, że tam go jako pomieszanego zaopiniowali?!

- Za pomieszanego? Tam? Któż to taki i skąd? Nic to, wystarczy. Katierino Nikołajewno!

Przysięgam pani na wszystko, co jest święte, że ta rozmowa i to, co usłyszałem, pozostanie między nami... Czym jestem

153

winny, że poznałem wasze sekrety? Tym bardziej, że kończę zajęcia z pani ojcem już jutro, tak, że co do dokumentu, którego pani poszukuje, może pani być spokojna!

- Co to? O jakim dokumencie pan mówi? - zmieszała się Katierina Nikołajewna i nawet pobladła, być może, tak mi się tylko wydało. Pojąłem, że powiedziałem już za dużo.

Szybko wyszedłem; w milczeniu odprowadzały mnie wzrokiem i niezmierne zdziwienie było w ich spojrzeniu. Jednym słowem, zadałem im zagadkę...

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Spieszyłem się do domu i - jakże to dziwne - byłem bardzo z siebie zadowolony. Tak oczywiście nie rozmawia się z kobietami, tym bardziej z takimi kobietami, ściślej mówiąc, z taką kobietą, dlatego że Tatiany Pawłownej nie brałem w rachubę. Być może nie wolno powiedzieć w twarz kobiecie takiej kategorii: „Pluję na wasze intrygi”, lecz powiedziałem to i z tego właśnie byłem zadowolony. Przynajmniej byłem przekonany, że tonem tym zatarłem całą śmieszność, jaka wiązała się z moją sytuacją. Lecz za dużo myśleć o tym nie mogłem: w głowie mojej tkwił Kraft.

Nie to, żeby mnie za bardzo męczył, lecz mimo wszystko byłem wstrząśnięty do głębi. Nawet to, że zwyczajne ludzkie uczucie pewnego zadowolenia z cudzego nieszczęścia, to znaczy gdy ktoś złamie nogę, utraci honor, straci kochaną istotę itp., nawet zwyczajne uczucie podłej satysfakcji bez śladu ustąpiło we mnie innemu, nadzwyczajnie silnemu doznaniu nieszczęścia, właśnie żalu po Krafcie. Nie wiem, czy żalu, lecz jakiemuś silnemu i dobremu uczuciu. I z tego także byłem zadowolony. Zadziwiające, jak dużo postronnych myśli zdolnych jest przemknąć w umyśle, właśnie wtedy, kiedy jest wstrząśnięty jakąś kolosalną wiadomością, która, zdawałoby się, powinna zdusić inne odczucia i rozpędzić wszystkie postronne myśli, zwłaszcza te drobne; a drobne, przeciwnie, właśnie włązą.

Pamiętam jeszcze, że całego mnie opanowało wyraźnie odczuwalne nerwowe drżenie, które trwało kilka minut i nawet cały czas, póki byłem w domu i prowadziłem rozmowę z Wiersiłowem. Rozmowa ta odbyła się w dziwnych i niezwykłych okolicznościach.

Wspomniałem już, że mieszkaliśmy w ostatniej oficynie w podwórzu; lokal ten był oznaczony numerem trzynastym. Nie zdążyłem jeszcze wejść do bramy, kiedy usłyszałem głos kobiety, pytający kogoś głośno, niecierpliwie i z irytacją: „gdzie jest mieszkanie numer trzynasty?” Py-155

tała o to jakaś pani tuż obok bramy, otworzywszy drzwi do sklepiku. Ale tam zdaje się nic jej nie odpowiedzieli, albo nawet przepędzili; schodziła z ganku nerwowo i ze złością.

- Gdzie tu jest dozorca? -wykrzyknęła, tupnąwszy nogą. Dawno już poznałem ten głos.

- Ja idę do mieszkania numer trzynasty - podszedłem do niej. -Kogo pani potrzebuje?

- Już od godziny szukam stróża, wszystkich się pytam, chodziłam na wszystkie schody.

- To w podwórzu. Czy pani mnie nie poznaje? Ale ona już mnie poznała.

- Pani do Wiersiłowa, pani ma do niego interes i ja także - ciągnąłem dalej. - Przeszedłem pożegnać się z nim na wieki. Chodźmy.

- Pan jest jego synem?

- To nic nie znaczy. Zresztą, przypuśćmy, że jestem synem, chociaż nazywam się Dołgorukij.

Jestem nieprawie urodzony. Ten pan ma masę nieprawych dzieci. Kiedy sumienie i uczciwość wymagają tego, nawet rodzony syn opuszcza dom. To jeszcze w Biblii powiedziano. Przy tym on otrzymał spadek, a ja nie chcę brać w nim udziału, lecz chcę iść o własnych siłach. Kiedy trzeba, szlachetny człowiek składa ofiarę nawet z życia. Kraft się zastrzelił. Kraft z powodu idei, niech pani sobie wyobrazi, młody człowiek z takimi zdolnościami... Tędy, tędy! Mieszkamy w osobnej oficynie. A to jeszcze w Biblii jest powiedziane, że dzieci odchodzą od ojców i zakładają własne gniazda... Jeśli idea ciągnie... jeżeli jest idea! Najważniejsze, to idea, w idei wszystko...

Plotłem jej w tym guście, przez cały czas, kiedyśmy szli. Czytelnik prawdopodobnie zauważy, że niezbyt siebie oszczędzam i dokładnie, gdzie trzeba, oceniam: chcę się nauczyć mówienia prawdy.

Wiersiłow był w domu. Wszedłem, nie zdejmując palta; ona również.

Strasznie lichy była ubrana: na ciemnej sukieneczynie telepał się z wierzchu jakiś łachmanek, który miał wyobrażać płaszcz czy mantylkę; na głowie miała stary, odrapany kapelusik marynarskiego fasonu, który nie nazbyt ją zdobił. Kiedyśmy weszli do bawialni, matka siedziała przy pracy na swym zwykłym miejscu, a siostra wyszła ze swego pokoju popatrzeć i zatrzymała się w drzwiach.

Wiersiłow jak zwykle nic nie robił i wstał na nasze powitanie; wpił się we mnie surowym, pytającym spojrzeniem.

- Ja z tym nie mam nic wspólnego - pokwapiłem się odsunąć od siebie podejrzenie i stanąłem z boku.
- Spotkałem tę osobę dopiero

156

przy bramie: szukała pana i nikt jej nie mógł wskazać drogi. Przyszedłem zaś w swojej sprawie, którą będę chciał wyłuszczyć po tej pani. Mimo to Wiersiłow w dalszym ciągu przyglądał mi się z ciekawością.

- Pozwoli pan - niecierpliwie zaczęła panienka. Wiersiłow obrócił się do niej.

- Długo myślałam, dlaczego przysłał panu fantazja zostawić u mnie wczoraj pieniądze... Ja...

jednym słowem... Oto pańskie pieniądze! - wrzasnęła niemal jak wtedy i rzuciła paczkę banknotów na stół. - Musiałam szukać pana w biurze adresowym, bo byłabym wcześniej odniosła... Niech pani słucha! - zwróciła się nagle do matki, która pobladła: - Nie chcę pani obrażać, pani wygląda uczciwie i, być może, tu jest nawet pani córka. Nie wiem, czy pani jest jego żoną, ale niech pani się dowie, że ten jegomość wycina z gazet ogłoszenia, gdzie za ostatnie pieniądze ogłaszają się guwernantki i nauczycielki, i chodzi po tych nieszczęśliwych, poszukując haniebnej zdobyczy, wciągając je pieniędzmi w nieszczęście. Nie rozumiem, jak mogłam wziąć wczoraj od niego pieniądze; tak uczciwie wyglądał wczoraj!... Precz, ani słowa!

Pan jest niegodziwcem, mój panie! Gdyby pan nawet przyszedł z uczciwymi zamiarami, to i tak nie chcę pańskiej jałmużny. Ani słowa, ani słowa więcej! O, jaka jestem zadowolona, że zdemaskowałam teraz pana przed pańskimi kobietami! Niech pan będzie przeklęty!

Szybko wybiegła, ale od progu zawróciła na chwilę, żeby krzyknąć tylko:

- Powiadają, że pan dostał spadek!

Po czym znikła jak cień. Przypominam raz jeszcze, że była w furii. Na Wiersiłowie scena ta zrobiła głębokie wrażenie. Stał jak gdyby zamyślony i coś analizował, na koniec zwrócił się do mnie:

- Ty jej zupełnie nie znasz?

- Przypadkowo niedawno widziałem ją jak szalała w korytarzu u Wasina. Wrzeszczała i przeklinała pana; w rozmowę z nią nie wdawałem się i nic ponadto nie wiem. A teraz spotkałem ją przy bramie. Prawdopodobnie to ta sama wczorajsza nauczycielka, „dająca lekcje arytmetyki”?

- Tak, ta sama. Raz w życiu zrobiłem dobry uczynek... A, zresztą, co u ciebie?

- Proszę, oto list - odpowiedziałem. - Uważam za zbyteczne wyjaśnienia: pochodzi od Krafta, do którego dostał się od nieboszczyka Andronikowa. Dowie się pan z treści. Dodam, że nikt na całym świecie prócz mnie nie wie obecnie o tym liście, bo Kraft, przekazawszy mi go wczoraj, zaraz po moim odejściu zastrzelił się.

157

Podczas gdy mówiłem z pośpiechem i zacinając się, Wersiłow wziął list, i trzymając go w lewej ręce z dala od siebie, uważnie mnie obserwował. Kiedy powiedziałem o samobójstwie Krafta, ze specjalną uwagą wpatrywałem się w jego twarz, aby zobaczyć efekt. I cóż? Wiadomość ta nie wywarła nań nawet najmniejszego wrażenia: żeby choć podniósł brwi. Przeciwnie, widząc, że zatrzymałem się, wyjął binokle, które miał zawsze przy sobie zawieszane na czarnym sznurku, podniósł list do światy i, spojrzawszy na podpis, zaczął go uważnie czytać. Nie potrafię wyrazić, jak byłem wprost obrażony tą wyniosłą niewrażliwością. On musiał bardzo dobrze znać Krafta, przy tym, bądź co bądź, taka niezwykła wiadomość! Wreszcie, oczywiście chciałem, aby wywołała efekt. Poczekalem blisko pół minuty, lecz widząc, że list jest długi, odwróciłem się i wyszedłem.

Waliza moja była już od dawna gotowa, pozostawało tylko spakować parę rzeczy w węzełek.

Myślałem i o matce, i o tym, że nawet nie podszedłem do niej. Dziesięć minut potem, kiedy byłem zupełnie gotowy i chciałem iść po dorożkę, do izdebki weszła moja siostra.

- Mama przesyła ci twoje sześćdziesiąt rubli i jeszcze raz prosi o przebaczenie, że powiedziała o nich Andriejowi Piotrowiczowi i jeszcze dwadzieścia rubli... Dałeś wczoraj za swoje utrzymanie pięćdziesiąt; mama mówi, że więcej jak trzydzieści w żaden sposób nie może wziąć, bo pięćdziesiąt rubli nie rozeszło się, więc dwadzieścia rubli przysyła jako resztę.

- Dziękuję, jeżeli tylko mówi prawdę. Zegnaj siostrze, odjeżdżam!

- Dokąd ty teraz?

- Tymczasem do zajazdu, żeby tylko nie nocować w tym domu. Powiedz mamie, że ją kocham.

- Ona wie o tym. Wie też, że i Andrieja Piotrowicza także kochasz. Jak ci nie wstyd, żeś ty tę nieszczęśliwą przyprowadził!

- Przysięgam ci, że nie ja: spotkałem ją przy bramie.

- Nie, to ty ją przyprowadziłeś.

- Zapewniam cię...

- Pomyśl, zapytaj się sam siebie i przekonasz się, że ty byłeś właśnie przyczyną.

- Jestem tylko bardzo zadowolony, że Wersiłow został skompromitowany. Wyobraź sobie, że on ma niemowlę po Lidii Achmakowej... Zresztą, cóż ja ci gadam...

- On? Niemowlę? Ależ to nie jego dziecko! Gdzieś ty słyszał takie kłamstwo?

158

- Ech, skąd ty możesz wiedzieć.

- Ja mam nie wiedzieć? Przecież ja niańczyłam to dziecko w Ługu. Słuchaj, bracie, już od dawna

widzę, że zupełnie nic o niczym nie wiesz, a tymczasem obrażasz Andrieja Piotrowicza, no i mamę też.

- Jeżeli on ma słuszość, to moja wina, ot i wszystko. A was tym niemniej kocham. Dlaczego, siostrze, tak się zarumieniłaś? A teraz jeszcze więcej! No dobrze, a jednak to książętko wyzwę na pojedynek za spoliczkowanie Wiersiłowa w Ems. Jeżeli Wiersiłow wobec Achmakowej był

uczciwy, to tym bardziej.

- Braciszku, opamiętaj się, co ty mówisz?

- Dobrze, że się sprawa w sądzie skończyła... No, teraz znowu zbladłaś.

- Ależ książę nie będzie się z tobą pojedynkował - przewyciężając przestrach uśmiechnęła się blade Liza.

- Wówczas ja go publicznie znieważę. Co ci, Lizo? Zbladła do tego stopnia, że nie mogła ustać na nogach i niemal padła na kanapę.

- Lizo! - dało się słyszeć z dołu wołanie matki. Opanowała się i wstała; uśmiechnęła się do mnie życzliwie.

- Braciszku, daj spokój tym głupstwom, albo poczekaj do czasu, kiedy wiele rzeczy się dowiesz; strach, jak ty mało wiesz.

- Będę pamiętał, Lizo, żeś pobladła, kiedy usłyszałaś, że będę się pojedynkował.

- Tak, tak! Przypomnij sobie i o tym! - uśmiechnęła się raz jeszcze na pożegnanie i zeszła na dół.

Zawezwałem dorożkarza i z jego pomocą wyniosłem z mieszkania moje rzeczy. Nikt z domowych nie sprzeciwił mi się i nie zatrzymywał. Nie poszedłem pożegnać się z matką, żeby nie spotkać Wiersiłowa. Kiedy usiadłem już w dorożce, nagle błysnęła mi myśl.

- Na Fontankę, do Siemionowskiego mostu - wydałem polecenie i udałem się znowu do Wasina.

n

Przyszło mi nagle do głowy, że Wasin wie już o Krafcie i być może sto razy więcej niż ja. Tak też i było. Wasin zaraz mi naturalnie zakomunikował wszystkie szczegóły, zresztą bez wielkiego zapалу; doszedłem do wniosku, że się zmęczył i bodaj tak było. Był rano u Krafta. Kraft zastrzelił

się z rewolweru (z tego samego!) wczoraj, już o zmroku, co

159

wynikało z jego dziennika. Ostatnia notatka zrobiona była w dzienniku tuż przed samym wystrzałem. Stwierdził w niej, że pisze niemal po ciemku, zaledwie rozróżniając litery: świecy zaś nie chce

zapalić bojąc się zostawić po sobie pożar. „A zapalać, żeby potem przed wystrzałem znowu zgasić, podobnie jak moje życie, nie chcę” - dodał dziwnie, w ostatnim wierszu. Ten przedśmiertelny pamiętnik umyślił przed trzema dniami, zaraz po powrocie do Petersburga, jeszcze przed wizytą u Diergaczowa; po moim zaś odejściu pisał w nim co kwadrans, a najistotniejsze uwagi wpisywał co pięć minut. Głośno zdziwiłem się, że Wasin mając ten dziennik tyle czasu przed oczami (pozwolono mu go przeczytać), nie skopiował go, tym bardziej, że wszystkiego nie było więcej niż arkusz i wszystkie uwagi były krótkie, - „choćby ostatnią stroniczkę!” Wasin z uśmiechem zauważył, że i tak wszystko pamięta; przy tym uwagi były nie usystematyzowane, o wszystkim, co na myśl przyjdzie. Zacząłem go przekonywać, że to w danym wypadku jest właśnie cenne, ale dałem spokój i zacząłem prosić, żeby sobie coś przypomniał, więc powtórzył parę wierszy napisanych mniej więcej godzinę przed wystrzałem, o tym, „że ma dreszcze”; „że aby ogrzać się, chciał wypić kieliszek, ale myśl, że od tego bodaj zwiększy się wylew krwi, zatrzymała go”. Wszystkie niemal w tym rodzaju, zakończył Wasin.

- Więc to pan nazywa głupstwami! - wykrzyknąłem.

- Kiedy tak nazwałem? Ja tylko nie robiłem odpisu. Ale chociaż to nie są głupstwa, lecz dziennik rzeczywiście dość zwykły, albo ściślej, naturalny, to znaczy właśnie taki, jaki powinien być w tym wypadku...

- Ale przecież ostatnie myśli, ostatnie myśli!

- Ostatnie myśli bywają niejednokrotnie nadzwyczaj błahe. Jeden taki samobójca

skarży się właśnie w takim swoim dzienniku, żeby chociaż w tak poważnej godzinie nawiedziła go choć jedna „wyższa myśl”, a tu przeciwnie, same takie drobne i puste.

- I o tym, że dreszcze ma, to też pusta myśl?

- To znaczy, pan właściwie o dreszczach, czy o wylewie krwi? Jednakże znany jest fakt, że bardzo wielu z tych, którzy mają siłę myśleć o swojej bliskiej śmierci, dobrowolnej lub nie, bardzo często skłonni są troszczyć się o przyzwoity wygląd pozostałego po nich trupa. Podobnie i Kraft obawiał się nadmiernego wylewu krwi.

- Nie wiem, czy to jest znany fakt i czy to tak jest rzeczywiście - mruknąłem. - Ale dziwię się, że uważa pan to wszystko za naturalne; a tymczasem, czy to tak dawno było, jak Kraft rozmawiał, gorączkował się, siedział między nami... czy panu go nawet nie żal?

160

- O, naturalnie żal, ale to zupełnie inna sprawa, w każdym razie Kraft wyobraził sobie swoją śmierć w formie logicznego wyводу. Okazuje się, że wszystko, co mówiono o nim wczoraj u

Diergaczowa, było słuszne. Został po nim ogromny kajet wywodów naukowych o tym, że Rosjanie są drugorzędnym gatunkiem ludzi, w oparciu o zasady freno-logii, kranilogii, a nawet matematyki; że będąc Rosjaninem zupełnie nie warto żyć. Jeśli pan chce, najbardziej charakterystyczne w tym

wszystkim jest to, że można wyprowadzić dowolny wniosek logiczny, ale w konsekwencji takiego wywodu zastrzelić się - to faktycznie nie zawsze się dzieje.

- Przynajmniej trzeba oddać cześć takiemu charakterowi.

- Być może, nie tylko temu - wymijająco zauważył Wasin, ale było jasne, że w domyśle miał moją głupotę, albo słaby rozsądek. To wszystko mnie drażniło.

- Sam pan mówił wczoraj o uczuciach, Wasin.

- I teraz nie neguję; ale wobec zaistniałego faktu, coś wydaje się w nim tak dalece błędem, że surowe spojrzenie na sprawę mimo woli zagłusza nawet żal.

- Wie pan co. Już przed chwilą domyśliłem się z pańskich oczu, że zgani pan Krafta i, żeby nie słyszeć słów nagany, zamierzałem nie wypytywać o pański pogląd, ale sam pan wypowiedział; mimo woli zmuszony jestem zgodzić się z panem, a jednak nie jestem z pana zadowolony! Żal mi Krafta.

- Wie pan, daleko zaszliśmy...

- Tak, tak - przerwałem. - Ale pocieszające przynajmniej jest to, że zawsze w takich wypadkach pozostali przy życiu sędziowie mogą spokojnie powiedzieć: „aczkolwiek zastrzelił się człowiek godzin żalu i pobłażania, jednakże pozostaliśmy my, a zatem nie ma powodu, by się za bardzo martwić”.

- Tak, naturalnie, jeżeli z takiego punktu... Ach, przecież pan, zdaje się, zażartował! Bardzo dowcipne. Ja o tej porze zwykle pijam herbatę, więc zaraz zadysponuję. Zapewne pan mi będzie towarzyszyć?

Wyszedł, zmierzwszy okiem moją walizkę i węzełek.

Rzeczywiście zachciało mi się powiedzieć coś złośliwego, żeby się zemścić za Krafta; więc powiedziałem, jak mi się udało. Ale, co ciekawe, Wasin początkowo moją myśl o tym, że „zostali tacy, jak my”, wziął na serio. Tak czy inaczej zawsze musiał mieć we wszystkim więcej słuszności niż ja, nawet w uczuciach. Uświadomiłem to sobie bez niezadowolenia, ale poczułem wyraźnie, że go nie lubię.

161

Kiedy przyniesiono herbatę, wyjaśniłem mu, że poproszę go o gościnę, zresztą tylko na jedną noc, i że jeśli nie można, niech powie wyraźnie, a ja przeniosę się do zajazdu. Potem krótko wyłożyłem powody, wyjawiając po prostu, że ostatecznie pokłóciłem się z Wiersiłowem; opuściłem przy tym zbyteczne szczegóły. W ogóle odpowiadał tylko na pytania, chociaż odpowiadał chętnie i dość wyczerpująco. O liście, z którym niedawno przychodziłem do niego prosić o radę, zamilczałem zupełnie, a moje poprzednie przyjście wyjaśniłem jako zwykłą wizytę. Dając słowo Wiersiłowowi, że list ten nie będzie znany nikomu oprócz mnie, uznałem, że nie mam prawa o nim mówić.

Szczególnie przykre było dla mnie mówić Wasinowi o niektórych sprawach. O niektórych, ale nie o

wszystkich: udało mi się bądź co bądź zainteresować go opowiadaniem o niedawnych scenach na korytarzu u sąsiadek i o zakończeniu w mieszkaniu Wiersiłowa. Wysłuchał bardzo uważnie, szczególnie o Stiebielkowie. O tym, że Stiebielkow wypytywał o Diergaczowa, kazał sobie powtórzyć dwa razy i nawet zamyślił się, zresztą jednak pod koniec się uśmiechnął. W tej chwili wydało mi się, że Wasina nic nigdy nie może wprowadzić w zakłopotanie; zresztą pierwsza myśl o tym, pamiętam, skryształizowała się w bardzo pochlebnej dla niego formie.

- W ogóle nie mogłem wiele wywnioskować z tego, co mówił pan Stiebielkow - zakończyłem. -

Jakoś tak wszystko gmatwa mówiąc... I jakby było w nim coś tak lekkomyślnego...

Wasin zaraz zrobił poważną minę.

- On rzeczywiście nie ma daru słowa, ale tylko na pierwszy rzut oka; zdarzyło mu się czynić bardzo trafne uwagi; i w ogóle to są bardziej ludzie czynu, ludzie interesu, aniżeli myśli syntetycznej.

Należy ich oceniać z tego punktu widzenia...

Dokładnie tak jak niedawno zgadywałem.

- Jednakże narobił straszego zamieszania u pańskich sąsiadek i Bóg wie, czym by się to mogło skończyć.

O sąsiadkach Wasin zakomunikował mi, że mieszkają tutaj już ze trzy tygodnie, a przyjechały skądś z prowincji; że pokoik mają maleńki i ze wszystkiego widać, że są bardzo biedne; że siedzą i na coś czekają. Nie wiedział, że młoda ogłasza się w gazetach jako nauczycielka, ale słyszał, że przychodził do nich Wiersiłow. Było to podczas jego nieobecności, lecz powiedziała mu o tym gospodyni. W ostatnich dniach także on zaczął zauważać, że rzeczywiście coś tam u nich niedobrze, ale takich scen jak dziś dotychczas nie było. Te wszystkie nasze rozmowy o sąsiadkach wspominam ze względu na późniejsze fakty; natomiast

162

u sąsiadek za drzwiami panowała w tym czasie śmiertelna cisza. Ze szczególnym

zainteresowaniem wysłuchał Wasin tego, że Stiebielkow uważał za konieczne pomówić o sąsiadkach z gospodynią i że powtórzył dwa razy „Ot zobaczy pani, ot zobaczy pani!”.

-1 zobaczy pan - dodał Wasin - że nie na próżno przyszło mu to do głowy; w tych sprawach ma on szczególnego nosa.

- Cóż, pańskim zdaniem należałoby poradzić gospodyni, żeby je wypędziła?

- Nie, ja nie myślę o tym, żeby wypędzać, lecz oby nie wydarzyła się jakaś brzydka historia...

Zresztą, takie sprawy kończą się tak czy inaczej... Dajmy temu spokój!

Co do odwiedzin Wiersiłowa u sąsiadek uchylił się stanowczo od wyrokowania.

- Wszystko możliwe, człowiek poczuł w kieszeni pieniądze... Zresztą prawdopodobnie po prostu dał jałmużnę; to leży w jego tradycjach, a być może i w skłonnościach.

Opowiedziałem, co Stiebielkow plótł dziś o „niemowlęciu”.

- Stiebielkow w tym wypadku zupełnie się myli - ze szczególną powagą i ze specjalnym naciskiem oświadczył Wasin (doskonale to sobie zapamiętałem).

- Stiebielkow - ciągnął dalej - nazbyt wierzy czasem swojemu praktycznemu zdrowemu rozsądkowi i dlatego pośpiesznie wyciąga wniosek, zgodnie ze swą logiką niejednokrotnie bardzo przenikliwą. Wydarzenie tymczasem może mieć w rzeczywistości o wiele bardziej fantastyczny i niespodziewany koloryt, biorąc pod uwagę osoby działające. Tak zdarzyło się i w tym wypadku: znając jedynie częściowo sprawę wywnioskował, że dziecko należy do

Wiersiłowa, a jednak dziecko to nie pochodzi od Wiersiłowa.

Uczepiłem się go i oto czego się dowiedziałem ku memu wielkiemu zdziwieniu: ojcem dziecka był

książę Siergiej Sokolski. Lidia Achmakowa, czy to wskutek choroby, czy po prostu wskutek fantastycznego usposobienia postępowała czasami jak wariatka. Zakochała się w księciu jeszcze przed Wiersiłowem, a książe „nie czynił trudności w przyjęciu jej miłości”, jak się wyraził Wasin.

Związek utrzymał się jedynie przez mgnienie: para, jak wiadomo, pokłóciła się i Lidia przegnała księcia, „z czego ów zdaje się być zadowolony”.

- To było bardzo dziwna dziewczyna - dodał Wasin. - Bardzo też być może, że nie zawsze była przy zdrowych zmysłach. Ale wyjeżdżając do Paryża książe zupełnie nie wiedział, w jakim położeniu zostawił swoją

163

ofiare; nie wiedział aż do samego końca, do swego powrotu. Wiersiłow, kiedy został przyjacielem młodej osoby, zaproponował jej małżeństwo ze sobą, właśnie ze względu na wyżej podaną okoliczność (której zdaje się nawet rodzice nie podejrzewali niemal do końca). Zakochana dziewczyna była zachwycona i w oświadczeniach Wiersiłowa „widziała nie tylko ofiarę”, którą również poza tym ceniła. „Zresztą, oczywiście, potrafił to zrobić”, dodał Wasin. Dziecko (dziewczynka) urodziło się miesiąc, czy też sześć tygodni przed terminem; zostało umieszczone gdzieś w Niemczech, ale potem Wiersiłow wziął je z powrotem i teraz jest gdzieś w Rosji, może nawet w Petersburgu.

- A fosforowe zapalniczki?

- O tym nic nie wiem - oświadczył Wasin. - Lidia Achmakowa umarła dwa tygodnie po

rozwiązaniu: co się tam stało - nie wiem. Książę dopiero gdy wrócił z Paryża, dowiedział się, że było dziecko i początkowo zdaje się nie uwierzył, że to przez niego... W ogóle tę historię nawet dotąd wszyscy trzymają w tajemnicy.

- Co za człowiek ten książę! - krzyknąłem z oburzeniem. - Jak można tak postępować z chorą dziewczyną?!

- Nie była jeszcze wtedy taka chora... Przy tym sama go przegnała... Prawda, być może zbyt szybko postanowił z tego skorzystać.

- Pan usprawiedliwia takiego łotra?

- Nie, ja tylko nie nazywam go łotrem. Tutaj jest wiele innych spraw, oprócz zwykłego łotrostwa.

W ogóle jest to sprawa dość zwyczajna.

- Proszę powiedzieć, Wasin, czy pan znał go krótko? Chciałbym poznać pana pogląd z uwagi na dotyczącą mnie pewną okoliczność.

Lecz tutaj Wasin odpowiadał jakoś zbyt już wstrzeźliwie. Księcia znał, lecz w jakich okolicznościach go poznał - świadomie przemilczał. Następnie zakomunikował, że księcia z uwagi na pewne cechy charakteru należałoby traktować łagodnie, „fest pełen uczciwych skłonności i wrażliwy, lecz nie posiada ani rozsądku, ani siły woli, żeby w dostatecznym stopniu kierować swoimi pragnieniami.” Jest to człowiek niewykształcony; do wielu idei i zjawisk nie dorósł, a tymczasem on się na nie rzuca. Na przykład potrafi natarczywie twierdzić coś w rodzaju: „Jestem księciem i pochodzę od Ruryka; lecz dlaczego nie mógłbym być czeladnikiem u szewca, jeśli trzeba zapracować na chleb, a do innych zajęć nie mam zdolności? Na szyldzie będzie: Szewc książę taki a taki -nawet to brzmi szlachetnie.” „Powie tak i zrobi, to jest najważniejsze -dodał

Wasin. - A tymczasem nie jest to siła przekonań, a jedynie lekkomyślna wrażliwość. Potem z pewnością przyjdzie skrucha i wtedy gotów

164

jest do jakiejś zupełnie przeciwstawnej skrajności; w tym całe jego życie. W naszym wieku wielu ludzi wdepnęło w taki sposób - podsumował Wasin. - Dlatego właśnie, że urodzili się w naszych czasach.” Mimowolnie zamyśliłem się.

- Czy to prawda, że wcześniej książę był wyrzucony z pułku? - poinformowałem się.

- Nie wiem, czy był wyrzucony, lecz pozostawił służbę w pułku istotnie w nieprzyjemnych okolicznościach. Czy wie pan, że zeszłego roku jesienią, właśnie po zdymisjonowaniu, dwa lub trzy miesiące spędził w Łudzę?

- Ja... ja wiem, że pan wówczas mieszkał w Łudzę.

- Tak, przez pewien czas także ja. Książę także nawiązał znajomość z Lizawietą Makarowną.

- Tak? Nie wiedziałem. Przyznaję, tak mało rozmawiałem z siostrą... Lecz czyżby był przyjmowany w domu mojej matki? - krzyknąłem.

- O nie: poznał pańską siostrę poprzez trzeci dom.

- Lecz pamiętam, co mi mówiła siostra o tym dziecku. Czyżby dziecko też było w Łudzę?

- Przez pewien czas.

- A teraz gdzie ono jest?

- Z pewnością w Petersburgu.

- Nigdy w życiu nie uwierzę - krzyknąłem w nadzwyczajnym wzburzeniu. - Żeby moja matka brała udział w tej historii z tą Lidią!

- W tej historii, oprócz wszystkich tych intryg, których nie mam zamiaru analizować, rola Wiersiłowa nie miała w sobie niczego szczególnie naganego - zauważył Wasin z pobłażliwym uśmiechem. Jak się zdaje, stawało mu się ciężko ze mną rozmawiać, lecz nie pokazywał tego po sobie.

- Nigdy, nigdy nie uwierzę, żeby kobieta - krzyknąłem znowu - mogła ustąpić swego męża innej kobiecie, nie uwierzę w to!.. Przysięgam, że moja matka w tym nie brała udziału!

- Jednak nie sprzeciwiała się, jak się zdaje?

- Ja z poczucia dumy nie sprzeciwiałbym się na jej miejscu!

- Z mojej strony odmawiam osądzania w takiej sprawie - zakończył Wasin.

Rzeczywiście, Wasin mimo całego swego rozumu być może niczego nie pojmował w kwestiach kobiecych, dlatego cały cykl idei i zjawisk był mu nieznany. Zamilkłem. Wasin czasowo pracował

w pewnym towarzystwie akcyjnym i wiedziałem, że często brał prace do domu. Na moje 165

natarczywe pytanie przyznał się, że ma zajęcie - rachunki i z żarem poprosiłem, żeby się moją obecnością nie przejmował. To, jak się zdaje, przyjął z zadowoleniem; lecz zanim zabrał się za papiery przygotował mi na tapczanie pościel. Początkowo chciał ustąpić mi łóżko, lecz nie zgodziłem się i zdaje się z tego także był zadowolony. U gospodyni dostaliśmy poduszkę i kołdrę.

Wasin był nadzwyczaj uprzejmy i miły, lecz jakoś ciężko mi było patrzeć, że tak z mego powodu się krząta. Bardziej mi się podobało, kiedy pewnego razu, ze trzy tygodnie temu, zanocowałem niechcący na Petersburskiej u fefima. Pamiętam, jak przygotowywał mi wtedy pościel, też na tapczanie i w tajemnicy przed ciotką, przypuszczając nie wiedzieć czemu, że ta rozgniewa się, dowiedziawszy się, że do niego chodzą nocować koledzy. Śmialiśmy się, zamiast prześcieradła posłaliśmy koszulę, a zamiast poduszki złożyliśmy palto. Pamiętam, jak Zwieriew skończył pracę, klepnął miłośnie po tapczanie i powiedział:

- Vous dormirez comme un petit roi. *

I głupia wesołość jego, i francuska fraza, która pasowała do niego jak krowie siodło, być może spowodowały to, że z dużą przyjemnością wyspałem się wtedy u tego wesołka. Co do Wasina, byłem niezmiernie rad, kiedy zasiadł wreszcie do swej pracy. Rozwaliłem się na tapczanie i patrząc mu w plecy myślałem długo i o wielu sprawach.

Miałem o czym myśleć. Na duszy czułem się rozbity, lecz niektóre doznania wylaniały się w sposób bardzo określony, ale z powodu ich mnogości żadne nie pochłaniało mnie całkowicie.

Wszystko jakoś przemykało bez związku i nie po kolei, a mnie samemu, pamiętam, zupełnie nie chciało się zatrzymywać na czymś lub organizować porządku. Nawet idea o Krafcie

niezauważalnie zeszła na drugi plan. Najbardziej poruszało mnie moje osobiste położenie, że oto już „porwałem więzi” i że walizka moja jest już przy mnie, i nie jestem w domu, i zacząłem zupełnie coś nowego. Tak jakby dotąd wszystkie moje zamiary i przygotowania były żartem, a tylko „teraz nagle wszystko zaczęło się już naprawdę”. Ta idea pokrzepiała mnie i mimo że w duszy czułem ogromne pomieszanie, weseliła mnie. Lecz... lecz były także inne doznania. Jedno z nich zwłaszcza chciało wydzielić się

* Będziecie spać po królewsku 166

przed pozostałe i o władnąć moją duszą, i dziwne, ale doznanie to także pokrzepiało mnie, jakby zapowiadało coś strasznie wesołego. A zaczęło się, jednakże, ze strachu; obawiałem się już dawno, że w gorączce i w zaskoczeniu wygadałem się zbyt przed Achmakową o dokumencie. „Tak, zbyt dużo powiedziałem - myślałem. - I one domyśla się... nieszczęście! Rozumie się, nie pozostawią mnie w spokoju, jeśli zaczną podejrzewać, lecz... niech tam! Być może nie znajdą mnie

- schowam się! A co, jeśli rzeczywiście zaczną za mną biegać?..” I oto zaczęło mi się przypominać, i czułem narastające zadowolenie, jak to stałem niedawno przed Katieriną Nikołajewną i jak jej zuchwałe, lecz okropnie zdziwione oczy patrzyły wprost na mnie. Wychodząc pozostawiłem ją w tym zdziwieniu, przypominałem sobie; „oczy jej, jednakże, nie do końca czarne... tylko rzęsy bardzo czarne, stąd oczy wydają się tak ciemne...”

I nagle, pamiętam, poczułem obrzydzenie do tych wspomnień... Zrobiło mi się i przykro, i mdło, i na nich, i na siebie. W czymś winiłem siebie i starałem się myśleć o czymś innym. „Dlaczego nie ma we mnie żadnego oburzenia na Wiersiłowa za historię z sąsiadką?” - przyszło mi nagle do głowy. Byłem twardo przekonany, że odegrał tu miłosną rolę i przychodził z tym, żeby rozerwać się, lecz to właśnie nie oburzało mnie. Wydawało mi się nawet, że inaczej go nawet wyobrazić sobie nie można. I chociaż byłem rad, że okrył wstydem, lecz nie winiłem go. Nie to mi było ważne; ważne mi było to, że on z taką złością popatrzył na mnie, kiedy wszedłem z sąsiadką, tak popatrzył jak nigdy. „W końcu i on popatrzył na mnie poważnie!” - pomyślałem z zamierającym sercem. O, gdybym nie kochał go tak, nie ucieszyła by mnie tak jego nienawiść!

Na koniec zdrzemnąłem się i zupełnie zasnąłem. Pamiętam przez sen, że Wasin, skończywszy robotę, skrupulatnie złożył ją i, spojrzawszy uważnie na moją kanapę, rozebrał się i zgasił świecę.

Była pierwsza po północy.

—

Prawie dwie godziny później zerwałem się półprzytomny ze snu i usiadłem na kanapie. Zza drzwi sąsiadek rozległy się straszne krzyki, płacz i wycie. Nasze drzwi były otwarte na oścież, a w korytarzu już oświetlonym krzyczeli i biegali ludzie. Zawołałem początkowo na Wasi-na, ale domyśliłem się, że go już dawno nie było na łóżku. Nie wiedząc, gdzie znaleźć zapalki, namacałem ubranie i zacząłem spiesznie ubierać się w ciemności. Do sąsiadek oczywiście przybiegła gospodyni, a może

167

również i lokatorzy. Zawodził zresztą jeden tylko głos, mianowicie starszej sąsiadki, a wczorajszy młody głos, który bardzo dobrze zapamiętałem - zupełnie milczał; pamiętam, że mi to wtedy z pierwszą myślą przyszło do głowy. Nie zdążyłem się jeszcze ubrać, kiedy pospiesznie wszedł

Wasin; szybko przyzwyczajoną ręką odszukał zapalki i oświecił pokój. Był tylko w bieliźnie, w szlafroku i w pantoflach i zaraz zaczął się ubierać.

- Co się stało? - krzyknąłem.

- Wielce nieprzyjemna i wielce kłopotliwa sprawa! - odpowiedział prawie ze złością. - Ta młoda sąsiadka, o której pan opowiadał, powiesiła się u siebie w pokoju.

Aż krzyknąłem. Nie potrafię wyrazić, jaki ból wtedy odczułem w duszy! Wybiegliśmy na korytarz.

Przyznaję, że nie śmiałem wejść do sąsiadek i dopiero potem zobaczyłem nieszczęśliwą, kiedy ją już zdjęto; a i wtedy, co prawda z pewnej odległości, okrytą prześcieradłem, spod którego wystawały dwie wążutkie podeszwy jej pantofli. Tak, że lękałem się nawet spojrzeć jej w twarz.

Matka była w strasznym stanie; przy niej uwijała się nasza gospodyni, niezbyt zresztą przestraszona. Wszyscy lokatorzy tłoczyli się tu także. Było ich niewielu; marynarz w starszym wieku, zawsze zrzędcący i wymagający, który jednak teraz zupełnie przycichł i jacyś przyjezdni z guberni twerskiej, staruszek i staruszka, mąż i żona, ludzie dosyć przyzwoici i na stanowisku.

Nie będę opisywać całej reszty tej nocy, kłopotów a potem oficjalnych oględzin. Aż do samego świtu dosłownie trzęsły mną dreszcze i uważałem za obowiązek nie kłaść się, choć, zresztą, nic nie robiłem. Ale też i wszyscy mieli rześki wygląd, nawet jakoś specjalnie byli podnieceni. Wasin nawet jeździł gdzieś tam. Gospodyni okazała się zacną kobietą, o wiele lepszą niż przypuszczałem.

Przekonałem ją (i to sobie poczytuję za zasługę), że matki nie można zostawić samej z trupem córki i żeby przynajmniej do jutra przetrzymała ją w swoim pokoju. Zgodziła się szybko i jakkolwiek matka opierała się i płakała, odmawiając pozostawienia trupa, jednakże na koniec przeszła do gospodyni, która zaraz też poleciła nastawić samowar. Potem także lokatorzy rozeszli się po swoich pokojach i zamknęli się. Mimo to nie położyłem się i długo jeszcze siedziałem u gospodyni, która był nawet rada z obecności jednego człowieka więcej, a przy tym mogącego ze swej strony coś niecoś dodać w tej

sprawie. Samowar przydał się bardzo i w ogóle samowar jest najnieodzowniejszym rosyjskim sprzętem, szczególnie we wszelkich katastrofach i nieszczęściach, szczególnie strasznych, nagłych i ekscentrycznych.

168

Nawet matka wypłała dwie filiżanki, naturalnie ulegając nadzwyczajnym prośbom i prawie pod przymusem. Mimo to, mówię szczerze, nigdy nie widziałem bardziej okrutnego i bezpośredniego nieszczęścia niż patrząc na tę nieszczęśliwą kobietę. Po pierwszych wybuchach płaczu i spazmów, chętnie nawet zaczęła mówić i opowiadania jej wysłuchałem chciwie. Są nieszczęśliwi, szczególnie kobiety, którym należy pozwolić jak najwięcej mówić w takich wypadkach, jest to nawet nieodzowne. Prócz tego są charaktery, że tak powiem, zbyt już obyte z nieszczęściem, całe życie cierpiące, które wycierpiały nadzwyczaj dużo-i wielkich nieszczęść i nieustannych drobiazgów -

których już niczym nie można zdziwić, żadnymi niespodziewanymi katastrofami i, co ważniejsze, które nawet nad trumną najukochańszej istoty nie zapomną ani jednego z tak drogo okupionych prawideł wyszukanego obchodzenia się z ludźmi. Ja tego nie potępiam; to nie nikczemność egoizmu i nie brak kultury, w tych sercach być może znajdzie się nawet więcej złota, niż u najszlachetniejszych na pozór bohaterów, ale przyzwyczajenie długiego poniżenia, instynkt samozachowawczy, długotrwałe załęknięcie i przygnębienie dokonuje na koniec swego. Biedna samobójczyni nie była w tym podobna do mamusi. Z twarzy zresztą były, zdaje się, podobne, chociaż nieboszczka była stanowczo przystojniejsza. Matka zaś była jeszcze niezbyt starą kobietą, lat około pięćdziesięciu, taką samą jasną blondynką, ale z zapadniętymi oczami i policzkami, i żółtymi, dużymi, nierównymi zębami. I wszystko w niej przebijało jakąś żółtością: skóra na twarzy i rękach była podobna do pergaminu, ciemne jej ubranie od znoszenia także zupełnie pożółkło i jeden paznokieć na wskazującym palcu prawej ręki był nie wiem czemu szczelnie i dokładnie zalepiony żółtym woskiem

Opowiadanie biednej kobiety było miejscami rozkojarzone. Opowiem, jak sam zrozumiałem i jak zapamiętałem.

Przyjechały z Moskwy. Matka już dawno jest wdową, „jednakże nadworną radczynią”, mąż służył w urzędzie i nic prawie nie zostawił „oprócz jednak dwustu rubli emerytury. Ale cóż to jest dwieście rubli? Odchowała jednak Olę i wykształciła w gimnazjum... I jak się córeczka uczyła, jak się uczyła!... Srebrny medal na koniec dostała!” (Tu, rozumie się, długie szlochy). Nieboszczyk mąż miał utracony kapitał u pewnego tutejszego petersburskiego kupca, prawie cztery tysiące. Otóż ten kupiec znowu się wzbogacił, „mam dokumenty, zaczęłam się radzić,

169

mówią: niech się pani stara, niezawodnie wszystko pani otrzyma...” „Zacząłam więc, kupiec zaczął się zgadzać; niech pani jedzie sama, mówią. Wybrałyśmy się z Olą. Przyjechałyśmy miesiąc temu.

Jakież miałyśmy środki? Wzięłyśmy ten pokoik, bo najmniejszy ze wszystkich i w uczciwym, same widzimy, domu, a to dla nas najważniejsze; kobiety jesteśmy niedoświadczone, każdy nas może skrzywdzić. A więc wpłaciłyśmy za jeden miesiąc, to, owo - Petersburg drogi - a nasz kupiec wypiera się zupełnie. „Nie znam was, o niczym nie wiem!” , a dokument mój nieformalny, sama rozumiem. Ot i radzą mi: niech pani zajdzie do znakomitego adwokata; profesor, niezwykle adwokat, ale jurysta, tak, żeby na pewno powiedział, co robić. Zniosłam mu ostatnie piętnaście rubli. Wyszedł adwokat i nawet trzech minut mnie nie słuchał: „Widzę, mówi, wiem, mówi, zechce kupiec - to odda, mówi, nie zechce - nie odda, a jeśli pani zacznie sprawę, sama pani może jeszcze dołożyć do tego; najlepiej się pogodzić”. Jeszcze wtedy z Ewangelii żartem dodał cytat: „Gódźcie się, powiada, póki czas, zanim nie wydacie ostatniego grosza”; odprowadza mnie, śmieje się.

Przepadły moje piętnaście rubli! Przychodzę do Oli, siedzimy jedna naprzeciw drugiej, zapłakałam.

Ona nie płacze, siedzi taka dumna, oburza się. I zawsze taka była, przez całe życie, nawet jako malutka, nigdy to nie narzekało, nigdy nie płakało, lecz siedzi, patrzy groźnie, aż mnie nieswojo patrzeć na nią. I czy uwierzycie, ja się jej bałam, kompletnie bałam, od dawna się bałam i niejednym raz chcę zapłakać - i nie odważę się przy niej! Poszłam do kupca po raz ostatni, napłakałam się u niego do woli: „Dobrze, mówi - nawet nie słucha. Tymczasem muszę się przyznać, że ponieważ na długi czas nie liczyliśmy, już dawno jesteśmy bez pieniędzy. Zacząłam coś z odzieży po trochu zastawiać; co zastawimy, tym i żyjemy. Wszystko, co można była, zastawiłyśmy; zaczęła mi swoją ostatnią bieliznę oddawać, zapłakałam wtedy gorzkimi łzami. Tupnęła nogą, zerwała się, pobiegła sama do kupca. Jest wdowcem; pomówił z nią: „niech pani przyjdzie, mówi, pojutrze o piątej, może coś podpowiem”. Przyszła, poweselała, „ot, mówi, może i co powie”. No cóż, ja też okazuję zadowolenie, tylko coś jakby mnie w sercu ukłuło: coś może będzie, myślę, a nie śmiem jej wypytywać. Na trzeci dzień wraca od kupca: blada, drży cała, rzuciła się na łóżko - zrozumiałam wszystko i nie śmiałam pytać. Cóż myślicie: wyniósł jej ten rozbójnik piętnaście rubli, a jak

„mówi, znajdę pełną cnotę, to czterdzieści rubli jeszcze dołożę”. Tak jej w oczy powiedział, nie powstydział się. Rzuciła się wtedy - opowiadała mi - na niego, ale odepchnął ją i w drugim pokoju aż na klucz się przed nią zamknął.

A tymczasem u nas, przyznam się pani szczerze, nie było co jeść. Zniosłyśmy kubraczek na zajęczym futerku, sprzedałyśmy; poszła do gazety, ogłosiła się: przygotowuje ze wszystkich przedmiotów i z arytmetyki - „niech choć po trzydzieści kopiejek, mówi, zapłacą”. No i pod sam koniec zaczęła mnie aż przerażać: nic ze mną nie rozmawia, siedzi całymi godzinami przy oknie, patrzy na dach domu z przeciwka i nagle zakrzyknie: „niechby nawet bieliznę prać, niechby ziemię kopać!” Tylko takie jedno jakieś zdanie krzyknie i tupnie nogą. I nikogo tu ze znajomych nie miałyśmy - nie było do kogo pójść... „Co się z nami stanie? -myślę”. Ale z nią ciągle boję się mówić. Kiedyś, śpi w ciągu dnia,

przebudziła się, otworzyła oczy, patrzy na mnie; ja siedzę na kufrze, też na nią patrzę. Wstała, milcząc podeszła do mnie, objęła mnie mocno, mocno, i wtedyśmy obie nie wytrzymały, i zapłakały; siedzimy i płacemy a jedna drugiej z objęć nie puszcza. Pierwszy raz tak się z nią stało przez całe jej życie. Właśnie tak siedzimy razem, gdy wchodzi pani służąca Nastasja i mówi: „Jakaś tam pani o was rozpytuje”. Było to zaledwie cztery dni temu. Wchodzi dama. Widzimy, ubrana bardzo pięknie, mówi po rosyjsku, ale z wymową jak gdyby niemiecką: „Pani, mówi, ogłaszała się w gazecie, że daje lekcje?”. Tak nas uradowała wtedy, posadziłyśmy ją, a ona śmieje się uprzejmie: „nie do mnie, mówi, tylko u mojej krewnej są małe dzieci; jeżeli zgoda, niech pani pozwoli do nas, tam się umówimy”. Dała adres koło Wozniesieńskiego mostu, taki, a taki numer, i mieszkania tyle i tyle. Poszła. Wybrała się Oleczka tegoż dnia, pobiegła; cóż, wróciła po dwóch godzinach, miota się w spazmach. Opowiedziała potem: „Pytam u stróża: gdzie mieszkanie numer ten i ten? Stróż, mówi, popatrzył na mnie: a czego pani, mówi, w tym mieszkaniu potrzeba? Tak to dziwnie powiedział, tak, że już wtedy można było się połapać. Ale ona grzeczności nie znosiła. Niech pani idzie, mówi, pokazał jej palcem na schody, a sam odwrócił się, poszedł do swojej komórki. I cóż myślicie? Ona wchodzi, pyta; zbiegły się kobiety, śmieją się, rzuciły się do niej, uróżowane, wstrętne, grają na fortepianach, ciągną;

„chciałam od nich uciec, mówi - ale już nie puszczają”. Przeraziła się wtedy, nogi się pod nią ugięły: nie puszczają, tylko uprzejmie namawiają, porter odkorkowały, podają, częstują. Skoczyła, krzyczy błagalnym tonem, drży: „puśćcie, puśćcie!”. Rzuciła się ku drzwiom - drzwi trzymają. Ola krzyczy; wtedy podskoczyła ta, co przychodziła do nas, uderzyła moją Olę dwa razy w policzek i wypchnęła za drzwi: „nie warta jesteś, mówi, ty szmato, być w porządnym domu!”. A inna krzyczy w ślad za nią: „Sama do nas wpraszałaś się, że nie masz

171

co jeść, a my na taką maszkarę nawet patrzeć nie chciały!”. Całą tę noc przeleżała w gorączce, bredziła w malignie, a rano oczy jej błyszczą, wstaje, chodzi: „Do sądu na nią, mówi, do sądu!”.

Milczę: no cóż, myślę, podać ją do sądu, a jak udowodnić? Chodzi, ręce łamie, łyzy jej ciekną, a usta zacięła. I cała twarz jej pociemniała od tej chwili, i tak została, aż do samego końca. Na trzeci dzień lżej się jej zrobiło; milczy, jakby się uspokoiła. Wtedy to, o czwartej po południu, pofatygował się do nas pan Wiersiłow.

I powiem wprost: nie mogę pojąć do tej pory, jakim sposobem wtedy Ola, taka nieufna, od pierwszego prawie słowa zaczęła go słuchać? Najbardziej pociągnęło nas to, że miał taki poważny, surowy nawet wygląd. Mówił cicho, rzeczowo i zawsze tak grzecznie, nie tylko grzecznie - z szacunkiem nawet. A jednocześnie żadnego jakiegoś narzucania się po nim nie widać: po prostu przyszedł człowiek kierujący się dobrym sercem. „Przeczytałem, mówi, pani ogłoszenie w gazecie, pani je nie tak, mówi, napisała, jak należy, w ten sposób nawet zaszkodzić sobie pani może”. I zaczął wyjaśniać, i przyznaję, że nie rozumiałam: coś o arytmetyce. Tylko Ola zaczerwieniła się i cała jakby się ożywiła; słucha, w rozmowę tak się chętnie wciągnęła (a mądry to musi być człowiek!), słyszę, nawet mu dziękuje. Wypytywał o wszystko, tak rzeczowo i widać, że w Moskwie długo mieszkał i dyrektorkę gimnazjum, okazało się, zna osobiście... Lekcje, mówi, znajdę pani niezawodnie, bo mam tu wiele znajomych, i wiele nawet wpływowych osób mogę poprosić. Jeśli pani nawet zechce stałego miejsca, to także można mieć na widoku... A tymczasem, niech mi pani wybaczy, mówi, jedno

pytanie prosto z mostu: czy nie mógłbym teraz pani w czymś pomóc? Nie ja pani, mówi, ale przeciwnie, pani robi mi przyjemność, jeżeli pani pozwoli okazać sobie jakąś pomoc. Niech to będzie, mówi, dług pani i jak tylko otrzyma pani miejsce, to w najkrótszym czasie może się pani ze mną rozliczyć! Sam przecież, na honor, niech mi pani wierzy, gdybym kiedyś później potrzebował pomocy, a pani przeciwnie, opływała w dostatek,

przyszedłbym prosto do pani po małą pomoc, żonę moją i córkę bym przysłał”.

Nie pamiętam wszystkich słów, ale wtedy rozplakałam się i widzę, że Oli zadrgały z wdzięczności usta: „Jeśli nawet przyjmuję, odpowiada mu, - to dlatego, że ufam szlachetnemu i humanitarnemu człowiekowi, który mógłby być moim ojcem...” Tak mu to pięknie powiedziała: krótko i z godnością: „humanitarnemu, mówi, człowiekowi”. Zaraz wstał. „Niezawodnie, niezawodnie, mówi, załatwię pani lekcję i miejsce, od dziś zaraz

172

się tym zajmę, bo pani ma zupełnie wystarczające świadectwa...” A zapomniałam powiedzieć, że od początku, jak tylko wszedł, wszystkie jej dokumenty z gimnazjum obejrzał, pokazała mu i sam ją z różnych przedmiotów przeegzaminował...” Przecież on mnie, mamusiu, ze wszystkich przedmiotów egzaminował, mówi mi potem Ola; a jaki on, mówi, mądry, jak rzadko zdarza się rozmawiać z takim dojrzałym i wykształconym człowiekiem...” A cała aż promienieje.

Sześćdziesiąt rubli leży na stole; „weź, mówi, mamusiu, jak posadę dostaniemy, jako pierwszy dług, jak można najprędzej oddamy, pokażemy, żeśmy uczciwe, a żeśmy delikatne, to już widział”.

Potem pomilczała, widzę, że oddycha głęboko. Wiesz, mówi nagle, mamusiu, gdybyśmy byli gruboskórne, to byśmy może od niego przez dumę nie przyjęły, a żeśmy teraz przyjęły, to tym samym dowiodłyśmy mu tylko naszej delikatności; że mu we wszystkim dowierzamy jako godnemu, siwemu człowiekowi, czy nie prawda?”

Z początku nie bardzo zrozumiałam, więc mówię: „Dlaczego, Olu, od szlachetnego i bogatego człowieka nie przyjmując dobrodziejstwa, jeśli ponadto jest człowiekiem o dobrej duszy?”

Nachmurzyła się: „nie, mówi, mamusiu, to nie to, dobrodziejstwo nie jest potrzebne, ale jego

‘humanitarność’ jest cenna, mówi. A pieniędzy nawet lepiej zupełnie nie brać, mamusiu: skoro już obiecał dać posadę, to powinno wystarczyć... chociaż jesteśmy w potrzebie”. - Wiesz, mówię, Olu, nasze potrzeby są już takie, że nie możemy odmówić” - uśmiechnęłam się nawet. Nawet zadowolona byłam z siebie, ale ona mi godzinę później zapowiada: „Ty, mówi, mamusiu, z wydawaniem pieniędzy na razie się wstrzymaj”. Tak stanowczo powiedziała. - „Cóż to? - mówię”.

- „Tak”, powiada, urwała i umilkła. Cały wieczór milczała, w nocy, koło drugiej już było, budzę się i słyszę, Ola przewraca się na łóżku: „Nie śpisz, mamusiu?” - „Nie, mówię, nie śpię”, - „Wiesz, mówi, przecież on mnie chciał znieważyć...” - „Coś ty, co ty? Mówię.” - „Z pewnością, powiada, tak: to podły człowiek, nie waż się, powiada, ani jednej kopiejki z jego pieniędzy wydać”.

Zacząłam z nią rozmawiać, rozplakałam się nawet w łóżku - odwróciła się do ściany: „Nie mów nic, powiada, daj mi spać!”.

Rano patrzę na nią, chodzi, niepodobna do siebie. Wierzcie mi lub nie, ale nawet przed bożym sądem powiem: była wtedy niespełna rozumu! Już po tym, kiedy ją w tym podłym domu

znieważyli, zmaćło jej się serce... I rozum... Patrzę na nią tego ranka zdumiona. Straszno mi: nie będę, myślę, przeczyć jej ani jednym słowem. „On, mówi, mamusiu, adresu jednak swego nie zostawił”. Grzech to, mówię, Olu! Sama go wczoraj słyszałaś, sama potem chwaliłaś, sama łzami wdzięczności gotowa byłaś się rozplakać.

173

Ledwom to powiedziała, rozwrzeszczała się na mnie, tupnęła: „Jesteś kobietą niskich uczuć, mówi, starego, dawnego wychowania pańszczyźnianego!”. I czegoż to jeszcze nie nagadała! Chwyliła kapelusik i wybiegła. Wołałam w ślad za nią: co się z nią stało, myślę, gdzie pobiegła? A ona biegała do biura adresowego, dowiedziała się, gdzie mieszka pan Wiersiłow, przyszła: „Dziś jeszcze, mówi, natychmiast odniosę mu pieniądze i w twarz cisnę. Chciał mnie obrazić jak Safronow (to ten nasz kupiec): tylko że Safronow obraził jak ordynarny chłop, a ten, jak chytry jezuita!” Aż tu nagle, jak na nieszczęście, zastukał ten wczorajszy pan. „Słyszę, że mówią o Wiersiłowie, służę informacjami”. Jak usłyszała o Wiersiłowie, skoczyła do niego, w zapamiętaniu gada, gada. Patrzę na nią i dziwię się: zawsze taka milcząca, z nikim nie rozmawiała, a tu z zupełnie nieznanym człowiekiem? Policzki jej się rozpalily, oczy błyszczą... A ten, jakby naumyślnie: „zupelną ma pani rację, droga pani, Wiersiłow, powiada, to kubek w kubek jak ci tutejsi generałowie, których w gazetach opisują: wystroi się generał we wszystkie orderzy i pójdzie po wszystkich guwernantkach, co się ogłaszają w gazetach, chodzi i znajduje, co trzeba; a jeżeli nie znajdzie tego, co trzeba, posiedzi, pogada, naobiecuje złotych gór i pójdzie sobie - zawsze przecież sprawił sobie rozrywkę”. Ola nawet roześmiała się, ale tak ze złością. A ten pan, patrzę, bierze ją za rękę i rękę do serca przyciąga: „Ja sam, powiada, moja pani, utrzymuję się z własnego kapitału i mógłbym przepięknej pannie zrobić propozycję, ale lepiej, powiada, przedtem pocałuję jej maleńką rączkę”... I widzę, ciągnie, żeby w rękę pocałować. Jak ona się zerwie; ale wtedy również ja razem z nią i wyгнаłyśmy go obydwie. Pod wieczór wyrwała mi Ola pieniądze, pobiegła, wraca: „Ja, powiada, mamusiu, zemściłam się na bezwstydnym człowieku!” „Ach, Olu, Olu, mówię, może szczęścia swojego pozbawiłaś się, szlachetnego, czynnego człowieka obraziłaś!” - Zapłakałam z irytacji na nią, nie wytrzymałam. Krzyczy na mnie: „Nie chcę! Niech będzie najuczciwszym człowiekiem, to i tak nie chcę jego jałmużny! Żeby nawet użalał się ktoś nade mną, tego też nie chcę!”. Położyłam się spać i niczego nie podejrzewałam. Ile razy przyglądałam się temu gwoździowi u pani w ścianie, co został po lustrze; nie przypuściłabym, zupełnie bym nie przypuściła, ani wczoraj, ani dawniej, nie myślałam o tym, nie przeczuwałam zupełnie i po Oli nie spodziewałam się zupełnie. Śpię zazwyczaj twardo. Chrapię: to krew mi tak do głowy uderza; a kiedy indziej podejdzie do serca i krzyczę we śnie, tak że Ola w nocy budzi mnie: „cóż to, powiada, maleńko, tak mocno śpisz, że cię rozbudzić nie można, kiedy trzeba?”

174

„Oj mocno, mówię, Olu , oj mocno”

. Pewnie kiedy zachrapałam wczoraj, tylko na to czekała i bez obawy wstała. Ten długi rzemień od walizy ciągle na oczach się przewracał, przez cały miesiąc; jeszcze wczoraj rano myślałam: trzeba go w końcu schować, żeby się nie plątał”. A krzesło widocznie nogą potem odepchnęła. Z boku podłożyła swoją sukienkę, żeby nie stuknęło. I widać długo, długo potem, po godzinie, albo i więcej, obudziłam się: „Ola! Wołam. Ola!” - Zaraz coś mnie tknęło, że zawołałam ją. Czy, że nie usłyszałam jej oddechu, czy w ciemności dojrzałam bodaj, że łóżko jakby puste - dość że wstałam nagle i pac ręką: nie ma nikogo na łóżku i poduszka zimna. Serce mi zamarło, stoję w miejscu jak zdrętwiała, w głowie zamęt. „Wyszła”, myślę - zrobiłam krok i oto przy łóżku, patrzę na nią, a ona z ciemności tak samo, jakby patrzyła na mnie, i ani drgnie... „Ale po co, myślę, weszła na krzesło?”

- „Ola - szepczę. -Ola, słyszysz?” Ale nagle, jakby mnie coś olśniło, podchodzę do niej, objęłam rękami, a ona mi się w rękach kołysze. Chwyciłam, a ona się chybocze; rozumiem już wszystko - i nie chcę rozumieć. Chcę krzyknąć, a głosu mi brak. „Ach, myślę - upadłam na podłogę i wtedy zaczęłam krzyczeć...”

- Wasin - powiedziałem rano, już około szóstej. - Gdyby nie ten pański Stiebielkow, być może nie wydarzyło by się to wszystko.

- Kto wie, pewnie by się jednak zdarzyło. Tego nie można tak sądzić, to i bez tego było gotowe...

Prawda, że ten Stiebielkow czasami...

Nie dopowiedział i bardzo nieprzyjemnie się zmarszczył. Przed siódmą znowu pojechał; wciąż był zajęty. Zostałem w końcu sam, samiuteńki. Już świtało. W głowie mi się z lekka kręciło. Zwidywał mi się Wiersiłow: opowieść tej pani przedstawiała go w zupełnie innym świetle. Żeby wygodniej wszystko przemyśleć położyłem się na pościeli Wasina, tak jak byłem ubrany i w butach, na chwilę, zupełnie bez zamiaru spania; i nagle zasnąłem, nie pamiętam nawet jak się to stało.

Przespałem prawie cztery godziny, nikt mnie nie obudził.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Obudziłem się około wpół do jedenastej i długo nie wierzyłem moim oczom: na kanapie, na której wczoraj zasnąłem, siedziała moja matka, a bok niej nieszczęśliwa sąsiadka, matka samobójczyni.

Trzymały się za ręce, rozmawiały szeptem, prawdopodobnie, żeby mnie nie obudzić; i obie płakały. Podniosłem się i od razu rzuciłem się ucałować mamę. Rozpromieniła się cała, pocałowała mnie i przeżegnała trzy razy prawą ręką. Nie zdążyliśmy jeszcze słowa powiedzieć, kiedy otworzyły się drzwi i weszli Wiersiłow i Wasin. Mama zaraz wstała i wyprowadziła sąsiadkę.

Wasin podał mi rękę, a Wiersiłow nie powiedział do mnie ani słowa i usiadł na fotelu. Widocznie on i mama byli tu już od pewnego czasu. Twarz jego była zachmurzona i zatroskana.

- Najbardziej żałuję - mówił z namysłem do Wasina, widocznie kontynuując zaczęłą rozmowę - że nie zdążyłem urządzić tego wszystkiego jeszcze wczoraj wieczorem, na pewno nie stałaby się wtedy

ta straszna rzecz! A przecież miałem czasu pod dostatkiem: jeszcze nie było ósmej.

Ledwie wczoraj od nas uciekła, zaraz postanowiłem w myśli iść za nią tutaj i wyperswadować jej, ale ta nieprzewidziana i nie cierpiąca zwłoki sprawa, którą zresztą doskonale mogłem odłożyć do dziś... a nawet na tydzień; ta irytująca sprawa przeszkodziła wszystkiemu i wszystko zepsuła. Że też się tak wydarzyło!

- Może i nie zdołałby pan jej przekonać: tu i bez pana wystarczająco dużo, zdaje się, nawarzyło się i nagotowało - wtrącił nawiasem Wasin.

- Nie, zdołałbym, na pewno bym zdołał! A przecież przyszła mi do głowy myśl, żeby posłać zamiast siebie Sofię Andriejewnę, ale ta myśl tylko mi przemknęła. Sofia Andriejewna, tylko ona jedna, z pewnością by ją przekonała i nieszczęsna zostałaaby przy życiu. Nie, nigdy już więcej nie wyskoczę... z dobrymi uczynkami... A przecież dopiero pierwszy

176

raz w życiu wyskoczyłem! Myślałem, że nie pozostaje w tyle za młodym pokoleniem i rozumiem współczesną młodzież. Tak, starsi starzeją się wcześniej niż dojrzeją. Nawiasem mówiąc strasznie dużo jest dziś ludzi, którzy z przyzwyczajenia ciągle jeszcze uważają się za młode pokolenie, ponieważ jeszcze wczoraj należeli do niego, a tymczasem nie zauważają, że są już poza barierą.

- Tu zdarzyło się nieporozumienie i nazbyt jasne nieporozumienie - rozsądnie zauważył Wasin. - Jej matka mówi, że po owym okrutnym ubliżeniu jej w domu publicznym, jak gdyby straciła rozsądek. Niech pan doda uwarunkowanie... poprzednią obelgę ze strony kupca... Wszystko to mogło się wydarzyć podobnie w dawnych czasach i bynajmniej nie charakteryzuje specjalnie terażniejszej młodzieży.

- Nieco zbyt niecierpliwa ta współczesna młodzież, jeśli dodamy ponadto małe zrozumienie rzeczywistości, co może jest właściwie wszelkiej młodzieży wszystkich czasów, ale jakoś osobliwie tej naszej, współczesnej. Niech pan powie, co tu nawyczyniał imć Stiebielkow?

- Imć Stiebielkow - wtrąciłem się nagle - jest przyczyną wszystkiego. Gdyby go nie było, nic by się nie stało; dołał tylko oliwy do ognia. Wiersiłow wysłuchał, ale nie spojrzał na mnie, Wasin zachmurzył się.

- Wyrzucam sobie również pewną śmieszoną okoliczność - mówił dalej Wiersiłow nie śpiesząc się i jak przedtem rozciągając wyrazy. - Zdaje się, swoim brzydkim zwyczajem, pozwoliłem sobie wtedy z nią na pewnego rodzaju żartobliwość, na pewien lekkomyślny uśmiech. Jednym słowem byłem niedostatecznie ostry, suchy i ponury: trzy cechy, które, zdaje się, są bardzo cenione przez współczesne młode pokolenie. Jednym słowem dałem jej powód do wzięcia mnie za wędrownego uwodziciela.

- Zupełnie przeciwnie - ostro wtrąciłem się znowu. - Jej matka zapewnia, że pan zrobił wspaniałe wrażenie, właśnie powagą, surowością nawet, szczerością - to jej własne słowa. Nieboszczka też chwaliła pana za to, gdy pan wyszedł.

- Tak? - wycedził Wiersiłow spojrzawszy przelotnie na mnie. - Niech pan weźmie tę karteczkę, jest przecież konieczna do sprawy - wyciągnął do Wasina maleńki świstek.

Ten wziął i widząc, że patrzę z ciekawością, podał mi do przeczytania. Była to notatka: dwie nierówne linijki nabazgrane ołówkiem i być może po ciemku:

„Mamusi droga, przebacz mi, że przerwałam swój życiowy debiut. Zasmucająca cię Ola”.

- Znalaziono to dopiero rankiem - wyjaśnił Wasin.

177

- Jaka dziwna notatka! - wykrzyknąłem w zdumieniu.

- Dlaczego dziwna? - zapytał Wasin.

- Czyż można w takiej chwili pisać humorystycznymi zwrotami? Wasin patrzył pytająco

- A i humor dziwny - ciągnąłem - sztubacki, umówiony język między kolegami z gimnazjum... No, któż może w takiej chwili i w takiej notatce do nieszczęsnej matki, a matkę przecież, jak się okazuje, kochała - napisać: „mój życiowy debiut”.

- Dlaczego nie można napisać? - ciągle jeszcze nie rozumiał Wasin.

- Nie ma tutaj też zupełnie żadnego humoru - zauważył na koniec Wiersiłow. - Wyrażenie oczywiście nieodpowiednie, nie we właściwym tonie i faktycznie mogło powstać w sztubackim, czy jakimś tam umownym, koleżeńskim języku, jak powiedziałaś, albo w felietonowym, ale nieboszczka użyła go w tej notatce zupełnie naiwnie i na serio.

- To być nie może, ona skończyła szkołę i opuściła ją ze srebrnym medalem.

- Srebrny medal nic tu nie znaczy. Obecnie wielu tak kończy szkołę.

- Znowu na młodzież - uśmiechnął się Wasin.

- Bynajmniej - odpowiedział mu Wiersiłow, wstając z miejsca i biorąc kapelusz. - Jeżeli obecne pokolenie nie posiada dosyć kultury literackiej, to bez wątpienia posiada inne zalety - dodał z nadzwyczajną powagą. - Przy tym „wielu” to nie „wszyscy” i pana na przykład nie oskarżam o niedostateczną kulturę literacką, a pan także jest jeszcze młodzieńcem

- Przecież i Wasin nie znalazł nic złego w „debiucie”! - nie wytrzymałem, by nie zauważyć.

Wiersiłow milcząc wyciągnął rękę do Wasina; ten także schwycił czapkę, aby razem w nim wyjść i zawołał: „Do widzenia.” Wiersiłow wyszedł nie zauważając mnie. Ja także nie miałem po co tracić czasu: powinienem był bezzwłocznie iść, żeby szukać mieszkania, teraz bardziej było potrzebne niż kiedykolwiek. Mamy mojej już nie było u gospodyni, wyszła i zabrała ze sobą sąsiadkę.

Wyszedłem na ulicę jakoś szczególnie dziarsko... Jakieś nowe i wielkie uczucie budziło się w mej duszy. Przy tym, jakby naumyślnie, wszystko temu sprzyjało: nadzwyczaj prędko znalazłem mieszkanie zupełnie odpowiednie; o tym mieszkaniu później, a teraz kończę o rzeczy głównej.

Była zaledwie godzina druga, gdy wróciłem do Wasina po walizkę, akurat znowu zastałem go w domu. Zobaczywszy mnie wykrzyknął ze szczerze uradowaną miną:

178

- Jak jestem rad, że pan mnie zastał; za chwilę miałem wychodzić. Mogę panu zakomunikować pewien fakt, który zdaje się bardzo pana zainteresuje.

- Wierzę z góry! - wykrzyknąłem.

- Ba! Jak pan dziarsko wygląda! Proszę mi powiedzieć, czy nic pan nie wiedział o pewnym liście, który Kraft przechowywał, a który otrzymał wczoraj Wiersiłow; coś mianowicie w sprawie wygranego przez niego procesu? W liście tym spadkodawca wyjaśnia swą wolę w sensie odwrotnym do wczorajszej decyzji sądu. List był napisany już dawno. Jednym słowem, nie wiem dokładnie, o co chodzi, ale czy pan nie wie czegoś przypadkiem?

- Jakże mam nie wiedzieć. Kraft po to właśnie zaprowadził mnie do siebie trzy dni temu... od tych panów... żeby oddać mi ten list; a ja wczoraj przekazałem go Wiersiłowowi.

- Tak? Tak właśnie myślałem. Proszę sobie wyobrazić, ta sprawa, o której niedawno tu mówił

Wiersiłow, że przeszkodziła mu wczoraj przyjść tutaj, żeby przekonać tę dziewczynę, - ta sprawa wynikła właśnie przez ten list. Wiersiłow po prostu jeszcze wczoraj wieczorem udał się do adwokata księcia Sokolskiego, przekazał mu ten list i zrzekł się całego wygranego przez siebie spadku. W chwili obecnej to zrzeczenie jest już ujęte w formę prawną. Wiersiłow nie przekazuje w formie darowizny, ale uznaje pełne prawo księżąt do spadku.

Oślupiałem, ale byłem zachwycony. Faktycznie byłem zupełnie przekonany, że Wiersiłow zniszczy list; mało tego, choć mówiłem Kraftowi, że byłby to czyn nieszlachetny, choć sam sobie powtarzałem w restauracji, „że przyjechałem do czystego człowieka, a nie do tego”, ale w samej głębi duszy uważałem, że inaczej chyba postąpić nie można, niż zlekceważyć zupełnie ten dokument. To znaczy uważałem to za najzwyczajszą rzecz. Gdybym później winił Wiersiłowa, to tylko dla pozoru, to znaczy dla zachowania wobec niego mojej silniejszej pozycji. Ale usłyszawszy teraz o bohaterskim czynie Wiersiłowa, wpadłem w szczerzy zachwyt, pełny, ze skrucą i wstydem osądzając mój cynizm i obojętność wobec cnoty i od razu wywyższyłem Wiersiłowa nieskończenie ponad siebie. O mało też nie uściskałem Wasina.

- Co za człowiek! Co za człowiek! Kto by coś podobnego uczynił? - wykrzyknąłem w upojeniu.

-Zgadza się z panem, że wielu nie zrobiłoby tego... i że, bezsprzecznie, postępek ten jest nadzwyczaj bezinteresowny...

-Ale?... proszę dopowiedzieć, Wasin. Jest jakieś „ale”?

- Tak, naturalnie, że jest „ale”. Postępek Wiersiłowa według mnie jest nieco zbyt prędko i niezupełnie tak prostoduszny - uśmiechnął się Wasin.

- Nie jest prostoduszny?

- Tak. Jest tu pewien jakby „piedestał”. Ponieważ, w każdym razie, można było zrobić to samo nie krzywdząc siebie. Jeżeli nie połowa, to w każdym razie niewątpliwie pewna część spadku mogłaby nawet teraz przypaść Wiersiłowowi, nawet przyjmując najbardziej wnikliwe spojrzenie na sprawę; tym bardziej, że dokument nie miał decydującego znaczenia i proces był już wygrany. Tego zdania jest nawet adwokat strony przeciwnej; tylko co z nim rozmawiałem.

Postępek pozostałby niemniej piękny, ale z powodu dumnej zachcianki stało się inaczej.

Najważniejsze, że pan Wiersiłow postąpił zbyt impulsywnie, zbyt się pospieszył: przecież sam powiedział dopiero co, że mógłby odłożyć to na cały tydzień...

- Wie pan co, Wasin? Nie mogę nie zgodzić się z panem, ale... ja tak wolę, mnie się tak bardziej podoba!

- Zresztą, to rzecz gustu. Sam pan to ze mnie wyciągnął, ja byłbym przemilczał.

- Nawet jeżeli tu jest jakiś „piedestał”, to mimo to jest lepiej - ciągnąłem. - Piedestał, choć to piedestał, ale nawet jako taki to bardzo cenna rzecz. Ten „piedestał” przecież to wciąż tenże

„ideał” i wątpliwe, czy to lepiej, że w niejednej współczesnej duszy go nie ma. Choćby z maleńką nawet przesadą, ale niech będzie! I zapewne, pan sam tak myśli, Wasin, mój złoty Wasin, drogi mój Wasin! Jednym słowem, oczywiście zagadałem się, ale pan przecież mnie rozumie. Od tego pan przecież jest, Wasin. I w każdym razie ściskam pana i całuję, Wasin!

- Z radości?

- Z ogromnej radości! Albowiem ten człowiek „był martwy i ożył, zginął i odnalazł się”! Wasin, jestem nędznym wyrostkiem i nie jestem pana wart. Dlatego się przyznaję, że bywają chwile, kiedy jestem zupełnie inny: wyższy i głębszy. Za to, że trzy dni temu wychwalałem pana w oczy, (a wychwalałem tylko dlatego, że mnie poniżono i przyduszo-no), za to pana całe dwa dni nienawidziłem. Dałem słowo tejże nocy nie chodzić do pana nigdy i przyszedłem do pana wczoraj rano tylko ze złości, rozumie pan: ze złości. Siedziałem tu na krześle sam jeden i krytykowałem pański pokój, pana, i każdą pańską książkę, i pańską gospodynię. Starłem się pana poniżyć i śmiać się z pana.

- Tego nie należałoby mówić...

- Wczoraj wieczorem, wywnioskowawszy z jednego pańskiego zdania, że pan nie rozumie kobiety, byłem zadowolony, że mogę pana na tym przyłapać! Dziś schwytałem pana na „debiucie”, znów byłem ogromnie zadowolony i to wszystko za to, że wówczas sam pana chwaliłem...

- Jakże by nie! -wykrzyknął w końcu Wasin (w dalszym ciągu uśmiechał się, zupełnie mi się nie dziwiąc). - Ale przecież tak bywa prawie zawsze, ze wszystkimi; tylko że nikt się do tego nie przyznaje, a i zupełnie nie warto przyznawać się, bo zawsze to przechodzi i nic z tego nie wynika.

- Czy doprawdy ze wszystkimi tak bywa? I wszyscy są tacy? I pan mówiąc to jest spokojny?

Przecież z takimi poglądami nie można żyć!

- A według pana: „Mroki prawd niskich droższe mi niżli podniosłe oszukaństwo”?

- Ale przecież to jest prawda! - krzyknąłem - w tych dwóch wierszach jest święty aksjomat!

- Nie wiem. Nie podejmuję się decydować, czy te dwa wiersze są słuszne, czy nie.

Prawdopodobnie prawda, jak zawsze, tkwi gdzieś pośrodku: to znaczy w jednym wypadku święta rzeczywistość, a w drugim - kłamstwo. Wiem na pewno tylko jedno: że jeszcze długo myśl ta pozostanie jednym z najważniejszych spornych punktów między ludźmi. W każdym razie zauważam, że panu teraz chce się tańczyć!... Cóż, proszę potańczyć: ruch jest pożyteczny, a na mnie akurat dziś rano nawalono strasznie dużo roboty... no i spóźnię się przez pana!

- Jadę, już jadę, zabieram się stąd! Tylko jedno słowo jeszcze! -krzyknąłem chwyciwszy już walizkę. - Jeżeli przed chwilą znowu „rzuciłem się panu na szyję”, to jedynie dlatego, że kiedy wszedłem, pan z takim szczerym zadowoleniem zakomunikował mi ten fakt i... „uradował się”, że zdążyłem pana zastać, i to po niedawnym „debiucie”; tym rzeczywistym zadowoleniem od razu przeciągnął pan znowu moje „młode serce” na pańską stronę. A więc żegnam pana, żegnam, postaram się nie przychodzić jak można najdłużej, wiem, że to panu sprawi dużą przyjemność, widzę to nawet w pańskich oczach, a dla nas obu to będzie nawet korzystne...

Paplając tak i prawie że zachłystując się radosną gadaniną wyciągnąłem walizę i udałem się z nią do nowego mieszkania. Podobało mi się przede wszystkim to, że Wiersiłow niewątpliwie dziś się na mnie gniewał, nie chciał rozmawiać i patrzeć na mnie. Przywiózłszy walizę, natychmiast pobiegłem do mego staruszka księcia. Przyznaję, że przez te

dwa dni było mi nawet trochę ciężko bez niego, przy tym o Wiersiłowie musiał już na pewno słyszeć.

Domyślałem się, że bardzo ucieszy go moja wizyta i przysięgam, że i bez Wiersiłowa wystąpiłbym doń tego dnia. Wczoraj i trochę wcześniej lękała mnie tylko myśl, że a nuż spotkam Katierinę Nikołajewną; ale teraz już się niczego nie bałem.

Z radości zaczął mnie ścisnąć.

- Wiersiłow! Słyszał pan? - zacząłem od razu od najważniejszej sprawy.

- Cher enfant*, mój kochany, to jest tak wzniosłe, tak szlachetne. Jednym słowem, nawet na Kiliana (tego urzędnika z dołu) wywarło wstrząsające wrażenie. To niezbyt rozsądne z jego strony, ale to splendor, to czyn bohaterski! Ideał trzeba cenić!

- Nieprawdaż, nieprawdaż? W tym z panem zawsze byliśmy zgodni...

- Mój kochany, ja z tobą zawsze się zgadzałem. A gdzieżeś ty był? Chciałem koniecznie sam do ciebie pojechać, ale nie wiedziałem, gdzie cię znaleźć... Bo wszakże nie mogłem do Wiersiłowa... chociaż teraz, po tym wszystkim... Wiesz, mój kochany: zdaje mi się, że właśnie takimi, takimi właśnie rysami charakteru podbijał on kobiety, to niewątpliwe...

- A propos, żebym nie zapomniał; specjalnie dla pana chowałem. Wczoraj pewien najzwyczajniejszy błazen, wymyślając na Wiersiłowa w mojej obecności, wyraził się o nim, że jest to „babski prorok”. No, jak pan widzi to określenie, samo określenie? Ja dla pana je specjalnie chowałem.

- „Babski prorok” - mais c'est charmant. Ha, ha, ale to tak do niego pasuje, to znaczy zupełnie nie pasuje - tfu! Ale to takie trafne, to znaczy zupełnie nie trafne, ale...

-Ależ nie, nie, niech się pan nie wstydzi, niech pan to traktuje tylko jako bon mot**!

-Bon mot wspaniałe i wiesz, ma ono bardzo głęboki sens... zupełnie słuszna myśl, to znaczy, czy uwierzysz... jednym słowem zakomuni-

* Drogi chłopcze ** słusznie prawisz 182

kuję ci jeden maleńki sekret. Czy zauważyłeś wtedy tę Olimpiadę? Czy uwierzysz, że ją po Andrieju Piotrowiczu serce nieco boli i to do tego stopnia, że zdaje się nawet żywi coś...

- Żywi! A nie zechce tego? - krzyknąłem z oburzeniem pokazując figę.

- Mon cher*, nie krzycz! Niewątpliwie ty masz bodaj rację ze swego punktu widzenia. Ale, ale mój drogi! Cóż to się z tobą stało przeszłym razem w obecności Katieriny Nikołajewny? Zataczałeś się, myślałem, że upadniesz i chciałem rzucić się, by cię podtrzymać...

- Nie mówmy teraz o tym, no, jednym słowem po prostu zawstydziłem się z pewnego powodu...

- Ty i teraz też się zarumieniłeś.

- No, a pan musi zaraz to rozwałkowaływać. Pan wie przecież, że ona jest we wrogich stosunkach z Wiersiłowem, i tam to wszystko... więc się zmieszałem. I ech, dajmy temu spokój! Później o tym!

- No więc zostawmy to, zostawmy, sam wolę nie mówić o tym... Jednym słowem, czuję się bardzo wobec niej winny i pamiętasz, nawet wtedy przy tobie narzekałem... zapomnij o tym, mój drogi.

Ona też zmieni swoje zdanie o tobie, przeczuwam to doskonale. A oto i księżę Sierioża!

Wszedł młody, przystojny oficer. Spojrzałem na niego badawczo, nigdy go dotąd nie widziałem.

Mówię o nim przystojny, tak jak wszyscy o nim mówią, ale było w tej młodej ładnej twarzy coś niezbyt pociągającego. Notuję to właśnie jako wrażenie pierwszego momentu, pierwszego mego spojrzenia, które to wrażenie zostało mi na zawsze. Był szczupły, pięknego wzrostu, włosy miał

ciemnokasztanowate, cerę świeżą, zresztą nieco żółtawą, spojrzenie zdecydowane. Jego piękne, ciemne oczy patrzyły nieco surowo, nawet i wtedy, kiedy był zupełnie spokojny, ale jego zdecydowane spojrzenie właśnie dlatego było odpychające, że jakoś, z jakiegoś powodu czuło się, iż to zdecydowanie niezbyt wiele go kosztowało. Zresztą nie potrafię się wyrazić... Naturalnie wyraz jego twarzy zdolny był zmieniać się nagle z surowego na dziwnie uprzejmy, serdeczny i miły i co najważniejsze, była to niewątpliwie szczerą przemianą. Właśnie ta prostota pociągała.

Dodam jeszcze rys charakterystyczny: mimo serdeczności i szczerości, twarz ta nigdy nie stawała się wesoła, nawet kiedy księżę śmiał się z całej duszy, zawsze

* Drogi chłopcze

183

jednak czuło się, że prawdziwej, jasnej, lekkiej wesołości, jakby nigdy nie było w jego sercu...

zresztą niezwykle trudno jest tak opisywać twarz. Nie umiem tego zupełnie.

Stary księżę swoim głupim zwyczajem pospieszył zaznajomić nas.

- To mój młody przyjaciel Arkadij Andriejewicz (znowu ten Andriejewicz!) Dołgorukij.

Młody księżę zaraz odwrócił się ku mnie z podwójnie grzecznym wyrazem twarzy, ale było widać, że nazwisko moje jest mu zupełnie nieznanie.

- To... krewniak Andrieja Piotrowicza, wybąkał mój nieznośny księżę. (Jacy irytujący bywają czasami ci staruszkowie ze swymi przyzwyczajeniami!) Młody księżę zaraz się domyślił.

- Ach, ja już dawno słyszałem - przemówił szybko. - Miałem nadzwyczajną przyjemność zaznajomić się w roku zeszłym w Ługu z siostrą pańską, Lizawietą Makarowną... Ona też mówiła mi o panu.

Aż się zdziwiłem: na jego twarzy błyszczało wyraźnie szczere zadowolenie.

- Pozwoli książę - wybelkotałem, chowając za sobą obie ręce - powinienem panu powiedzieć to szczerze i rad jestem, że mówię przy naszym kochanym księciu, że ja nawet chciałem spotkać się z panem i jeszcze niedawno, bo wczoraj, pragnąłem tego, ale z zupełnie innymi zamiarami.

Mówię to po prostu, jakkolwiek by to pana zdziwiło. Krócej mówiąc, chciałem pana wyzwąć na pojedynek za obelgę, której pan się dopuścił półtora roku temu w Ems, wobec Wiersiłowa. I chociaż pan, być może, nie przyjąłby mego wyzwania, dlatego, że jestem tylko gimnazjalistą i niepełnoletnim młodzikim, jednakże wysłałbym wyzwanie, nie patrząc na to, jak by je pan przyjął, i cokolwiek by pan zrobił... I przyznaję się, nawet i teraz mam te same zamiary.

Stary książę powtarzał mi później, że udało mi się wypowiedzieć to z niezwykłą godnością. Na twarzy księcia odmalowała się szczerza przykrość.

- Pan mi nie dał dopowiedzieć - odrzekł z naciskiem. - Jeżeli się zwróciłem do pana z serdecznymi słowami, to przyczyną tego były właśnie obecne prawdziwe moje uczucia w stosunku do Andrieja Piotrowicza. Żał mi, że nie mogę zaraz zaznajomić pana ze wszystkimi

okolicznościami, a ręczę panu moim honorem, że już od dawna z najgłębszą skruczą patrzę na mój nieszczęsny postępek w Ems. Wybierając się do Petersburga decydowałem się dać

184

Andriejowi Piotrowiczowi wszelką możliwą satysfakcję, to znaczy po prostu prosić go o przebaczenie w tej formie, jaką on sam wyznaczy. Wyższe i potężniejsze wpływy były przyczyną zmiany mego poglądu. To, że procesowaliśmy się nie wpłynęło zupełnie na moją decyzję. Wczorajszy zaś jego postępek ze mną, wstrząsnął, że tak powiem, moją duszą i nawet w tej chwili, czy uwierzy pan, jak gdybym jeszcze nie przyszedł do siebie. I oto muszę panu zakomunikować, że właśnie do księcia po to przyjechałem, żeby mu donieść o pewnym niezwykłym wydarzeniu: trzy godziny temu, to jest akurat w tym czasie, kiedy on sam z adwokatem układał ten akt zjawił się do mnie pełnomocnik Andrieja Piotrowicza i wręczył mi jego wyzwanie, formalne wyzwanie z powodu historii w Etns...

- On pana wyzwiał? - krzyknąłem i poczułem, że oczy moje zapłonęły i krew zalała mi twarz.

- Tak, wyzwiał; natychmiast przyjąłem wyzwanie, ale zdecydowałem jeszcze przed spotkaniem posłać mu list, w którym wykładam cały mój pogląd i całą moją skrucę wobec tej strasznej omyłki... bo to była tylko omyłka - nieszczęsna, fatalna omyłka! Zwrócę pańską uwagę na to, że moja sytuacja w pułku czyniła taki mój krok ryzykownym: za taki list przed starciem narażałem się opinii powszechnej... pan rozumie? Aż nawet, mimo to, decydowałem się i nie zdążyłem jeszcze wysłać listu gdyż w godzinę od wyzwania znów otrzymałem od niego bilecik, w którym prosi, żebym wybaczył mu, że niepokoił, i żebym zapomniał o wy. zwaniu. I dodaje, że żałuje swego „chwilowego porywu małoduszności i egoizmu” - jego własne słowa. W ten sposób zupełnie mi już teraz ułatwia wysłanie listu. Nie odesłałem go jeszcze, ale właśnie przyjechałem powiedzieć o tym księciu. I proszę mi wierzyć, sam wycierpiałem wskutek wyrzutów sumienia o wiele więcej, niż być może

ktokolwiek Czy to wyjaśnienie wystarczy panu, Arkadiju Makarowiczu, przynajmniej teraz, na razie? Czy zechce pan łaskawie uwierzyć całkowicie w moją szczerłość?

Byłem zupełnie przekonany. Widziałem niewątpliwą bezpośredniość której w żadnym razie nie spodziewałem się. Zamruczałem coś w odpowiedzi i wyciągnąłem ku niemu obie ręce. On z radością uściśnął je w swoich dłoniach. Następnie odciągnął księcia i koło pięciu minut roz. mawiał z nim w jego sypialni.

- Jeżeliby pan zechciał zrobić mi szczególną przyjemność - zwróci} się do mnie głosem donośnym i urywanym, wychodząc od księcia, to pojedźmy natychmiast i ja panu pokażę list, który zaraz wysyłam do Andrieja Piotrowicza, a jednocześnie i jego list do mnie.

185

Zgodziłem się bardzo chętnie. Mój książę pospieszy} się, by mnie odprowadzić i także poprosił mnie na chwilę do swojej sypialni.

- Mon ami*, jak się cieszę, jak się cieszę... O tym wszystkim pomówimy później. A propos, tutaj w portfelu ma dwa listy: jeden trzeba zanieść i porozumieć się osobiście, drugi do banku, i tam również... -i zaraz polecił mi dwie sprawy, jakoby nie cierpiące zwłoki, i wymagające nadzwyczajnej uwagi i wysiłku. Należało pojechać i rzeczywiście oddać, pokwitować itd.

-Ach, jaki chytry z pana człowiek! - wykrzyknąłem przyjmując listy. - Mogę przysiąc, że to wszystko blaga, nie ma tu żadnej sprawy, a te dwa polecenia umyślnie pan wykombinował, aby mnie przekonać, iż pracuję, a nie biorę darmo pieniędzy.

- Mon enfant**, przysięgam ci, że co do tego mylisz się; to są dwa absolutnie nie cierpiące zwłoki interesy... Cher enfant!*** - krzyknął nagle strasznie rozczulony. - Mój kochany chłopcze!

(położył mi obie ręce na głowie). Błogosławię cię i twój los... bądźmy zawsze czysti sercem, jak dziś... dobrzy i piękni jak można najwięcej. Kochajmy wszystko co piękne we wszystkich jego różnorodnych formach... Enfm... enfin rendons grace... et je te benis...****

Nie skończył i załkał nad moją głową. Przyznaję, że i ja prawie zapłakałem. W każdym razie szczerze i z satysfakcją uściśnąłem mojego dziwaka. Pocałowaliśmy się serdecznie.

Książę Sierioża (to jest książę Siergiej Piotrowicz, tak go będę nazywać) zawiózł mnie eleganckim wolantem do swego mieszkania i przede wszystkim zdziwiła mnie wspaniałość jego apartamentu.

To jest nie tylko wspaniałość, lecz to, że mieszkanie to było jak u „porządnych ludzi”: wysokie, duże, jasne pokoje (widziałem dwa, pozostałe były przymknięte i nie umeblowane), meble znów, choć nie Bóg wie jaki Wersal czy Renaissance, ale miękkie, komfortowe, obfite, na najszerszą stopę; dywany, rzeźby z drzewa i statuetki. Tymczasem wszyscy o jego

* Przyjacielu

** Mój chłopcze

*** Drogi chłopcze!

**** Głośmy chwałę... a ja cię błogosławię...

186

rodzinie mówili, że jest biedna, że absolutnie nie ma nic. Słyszałem jednak mimochodem, że ten książę wszędzie zadawał szyku, gdzie tylko mógł: i tu, i w Moskwie, i poprzednio w pułku, i w Paryżu; że jest nawet hazardzistą i ma długi. Miałem na sobie pomięty surdut i w dodatku cały w pierzu, bo spałem nie rozbierając się; a koszula miała już czwarty dzień. Zresztą surdut mój był jeszcze nie najgorszy, ale znalazłszy się u księcia, przypomniałem sobie propozycję Wiersiłowa, żebym sobie uszył ubranie.

- Niech pan sobie wyobrazi, z przyczyny pewnej samobójczyni całą noc przespałem w ubraniu -

zauważyłem z roztargnioną miną, a ponieważ zaraz okazał zainteresowanie, więc

opowiedziałem pokrótce. Ale jego widocznie najbardziej zajmował list. Co najważniejsze, było mi głupio, że nie tylko nie uśmiechnął się, ale nawet najmniejszej ku temu nie okazał

skłonności, kiedy dopiero co wprost oznajmiłem, że chciałem go wyzwać na pojedynek.

Chociaż potrafiłbym go zmusić, by się nie śmiał, ale w każdym razie było to dziwne u człowieka tego rodzaju.

Usiedliśmy naprzeciwko siebie, pośrodku pokoju, za jego ogromnym biurkiem i dał mi do przejrzania, już gotowy i przepisany na czysto, swój list do Wiersiłowa. Dokument ten bardzo przypominał to wszystko, co mi dopiero co przekazał u mego księcia; napisany był nawet gorąco.

Prawda, nie wiedziałem jeszcze, jak ostatecznie przyjąć tę jego widoczną prostoduszność i gotowość do wszystkiego dobrego, ale zacząłem już poddawać się jej, bo i czemu w istocie miałbym nie

wierzyć?

Jakimkolwiek był człowiekiem i cokolwiek by o nim mówiono, mógł jednak mieć dobre

skłonności. Popatrzyłem także na ostatnią notatkę Wiersiłowa - na siedem linijek - odstąpienie od wyzwania. Chociaż faktycznie napisał w niej o swojej „małoduszności” i o swoim „egoizmie”, ale w całości notatka ta odznaczała się jakby wyniosłością - lub raczej w całym tym postępku uwydatniało się jakieś lekceważenie. Zresztą tego nie wypowiedziałem.

- Jak pan jednak patrzy na to wycofanie się? - spytałem. - Przecież nie przypuszcza pan, że stchórzył?

- Oczywiście nie - uśmiechnął się książę, ale jakimś takim poważnym uśmiechem i w ogóle stawał

się coraz bardziej i bardziej zatroskany. - Wiem aż nazbyt dobrze, że ten człowiek jest mężny. To naturalnie jest specjalny punkt widzenia... jego własny system idei...

- Bez wątpienia - przerwałem gorąco. - Niejaki Wasin mówi, że w jego postępku z tym listem i z wyrzeczeniem się spadku zawiera się

187

„piedestał”. Według mnie takich rzeczy nie robi się na pokaz, ale odpowiadają one czemuś wewnętrznemu, zasadniczemu.

- Znam bardzo dobrze pana Wasina - zauważył książę.

- Ach tak, pan powinien był go widzieć w Ługu.

Nagle spojrzeliśmy na siebie i pamiętam, że zdaje się odrobinę poczerwieniałem. Przynajmniej on przerwał rozmowę. Zresztą bardzo mi się chciało porozmawiać. Myśl o pewnym moim

wczorajszym spotkaniu kusiła mnie, by mu zadać pytanie, tylko nie wiedziałem, jak do tego przystąpić. I w ogóle byłem jakiś nieswój. Uderzyło mnie też jego zadziwiające dobre wychowanie, grzeczność i niewymuszoność manier, jednym słowem cały ten blask ich wyższego tonu, którego nabierają niemal od kolebki. W liście jego znalazłem dwa poważne błędy gramatyczne. W ogóle w podobnych spotkaniach nigdy się nie poniżam, lecz robię się rozmyślnie ostry, co niekiedy być może jest złe. Ale w danym wypadku specjalnie temu sprzyjała jeszcze myśl, że jestem cały w pierzu, tak, że się cokolwiek nawet speszyłem i wpadłem w familiarność. Spostrzegłem, że książę niekiedy bardzo uważnie mi się przygląda.

- Niech pan powie - wyskoczyłem nagle z pytaniem. - Czy w głębi siebie nie uważa pan za śmieszne, że ja, taki jeszcze „młokos”, chciałem wyzwać na pojedynek pana, i to jeszcze za cudzą obrazę?

- Za obrazę ojca bardzo się można obrazić. Nie uważam tego za śmieszne.

-A mnie się wydaje, że to strasznie śmieszne... z pewnego punktu widzenia... To znaczy nie z mego osobistego. Tym bardziej, że jestem Dolgorukij, a nie Wiersiłow. A jeśli pan mi mówi nieprawdę,

albo chce załagodzić, ze względu na grzeczność świątowca, to być może pan mnie także we wszystkim pozostałym oszukuje?

- Nie, nie uważam tego za śmieszne - powtórzył bardzo poważnie. - Nie może pan przecież nie czuć w sobie krwi swego ojca?... Prawda, pan jest jeszcze młody, bo... ja nie wiem... zdaje się, że niepełnoletniemu nie wolno się bić, i nie wolno od niego przyjmować wyzwania... zgodnie z przepisami... Ale jeśli panu o to chodzi, tu może być tylko jeden poważny zarzut: skoro pan wyzywa bez wiedzy obrażonego, o obrazę którego pan wyzywa, to tym samym wyraża pan, jakby pewien swoisty brak szacunku dla niego, czyż nieprawda?

Rozmowę naszą przerwał lokaj, który wszedł coś zameldować. Ujrawszy go, ksiązę, który zdaje się oczekiwał go, wstał nie skończywszy przemowy i szybko podszedł do niego, tak że ten zameldował już półgłosem, i ja naturalnie nie dosłyszałem co.

188

- Przepraszam pana - zwrócił się do mnie ksiązę - za chwilę będę z powrotem.

I wyszedł. Zostałem sam; chodziłem po pokoju i myślałem. To dziwne, on mi się jednocześnie podobał i strasznie nie podobał. Było to coś takiego, czego i ja sam nie potrafiłem nazwać, ale coś odpychającego. „Jeżeli on ani odrobiny nie kpi ze mnie, to bez wątpienia jest ogromnie prostoduszny; ale gdyby ze mnie kpił, to... być może, wydałby mi się wtedy mądrzejszy” -

pomyślałem sobie, jakoś dziwnie. Podszedłem do stołu i raz jeszcze przeczytałem list od Wiersiłowa. Zająwszy się zapomniałem nawet o czasie i kiedy się ocknąłem, spostrzegłem nagle, że chwilka księcia niewątpliwie przedłużyła się już w cały kwadrans. To mnie nieco wzburzyło.

Jeszcze raz przeszedłem się tam i z powrotem, w końcu wziąłem kapelusz i, pamiętam, zdecydowałem się wyjść, z tym, żeby spotkawszy kogokolwiek posłać go po księcia; a gdy ten przyjdzie, po prostu pożegnać się z nim, zapewniając, że mam interesy i nie mogę dłużej czekać.

Wydawało mi się, że tak będzie najprzyzwoiciej, ponieważ odrobinę dokuczała mi myśl, że zostawiając mnie tu na tak długo, postępuje ze mną lekceważąco.

Oboje zamknięte drzwi w tym pokoju znajdowały się po obu końcach tej samej ściany.

Zapomniawszy przez które drzwi weszliśmy, a bardziej z roztargnienia, otworzyłem jedne z nich i nagle w długim i wąskim pokoju zobaczyłem siedząc na kanapie siostrę moją - Lizę. Prócz niej nie było nikogo, widocznie na kogoś czekała, ale nie zdążyłem się nawet zdziwić, gdy wtem usłyszałem głos księcia, z kimś głośno rozmawiającego i powracającego do gabinetu. Szybko przykniąłem drzwi i wchodzący z drugich drzwi ksiązę tego nie zauważył. Pamiętam, że zaczął się usprawiedliwiać i coś powiedział o jakiejś Annie Fiodorownie... Ale byłem tak zmieszany i oszołomiony, że nic prawie nie zrozumiałem i wyjąkałem tylko, że muszę iść do domu, po czym skwapliwie i szybko wyszedłem. Dobrze wychowany ksiązę naturalnie z ciekawością musiał

patrzeć na moje maniery. Odprowadził mnie do samego przedpokoju i ciągle mówił, a ja nie

odpowiadałem i nie patrzyłem na niego.

IV

Wyszedszy na ulicę skręciłem w lewo i szedłem, gdzie oczy poniosły. W głowie wszystko mi się mąciło. Szedłem powoli i zdaje się przeszedłem bardzo dużo, z pięćset kroków, gdy poczułem lekkie uderzenie w ramię. Obejrzałem się i zobaczyłem Lizę; dopędzała mnie z lekka uderzyła parasolką. Coś ogromnie wesołego, a też troszkę filuternego było w jej rozpromienionym spojrzeniu.

- Ach, jakaż jestem rada, żeś w tę stronę poszedł, bo bym cię dziś nie spotkała! - Zadyszała się nieco od szybkiego marszu.

- Jakżeś ty się zadyszała.

- Strasznie biegłam, goniłam cię.

- Liza, przecież to ciebie tylko co spotkałem?

- Gdzie?

- U księcia... Sokolskiego...

- Nie, nie mnie, mnie nie spotkałeś...

Zamilkłem i przeszliśmy z dziesięć kroków. Liza okropnie się roześmiała.

- Mnie, mnie, oczywiście, że mnie! Posłuchaj, przecież tyś mnie sam widział, przecież tyś mi sam w oczy patrzył i ja ci w oczy patrzyłam, więc jak możesz pytać, czy to mnie spotkałeś? No i charakterek! A wiesz, ogromnie chciałam się roześmiać, kiedyś ty mi tam w oczy patrzył.

Strasznie śmiesznie patrzyłeś.

Okropnie chichotała. Poczułem, jak całe zmartwienie opuściło moje serce.

- Więc powiedz, jak ty się tam znalazłaś?

- Byłam u Anny Fiodorowny.

- U jakiej Anny Fiodorowny?

- U Stołbiejewej. Kiedyśmy mieszkali w Ługu, siadywałam u niej po całych dniach, ona i mamę u siebie przyjmowała i nawet do nas przychodziła. A prawie do nikogo tam nie chodziła. Jest daleką krewną Andrieja Piotrowicza i także księżat Sokolskich krewną: jest jakąś tam babką księcia.

- Więc ona u księcia mieszka?

- Nie, księżę u niej mieszka.

- Więc czyje jest to mieszkanie?

- Jej mieszkanie; całe mieszkanie należy do niej już od roku. Książę, gdy tylko przyjechał, zatrzymał się u niej. A ona dopiero od czterech dni jest w Petersburgu.

190

- No, no... wiesz co, Lizo. Bóg z nią, z mieszkaniem i z nią samą!...

- Nie, ono jest prześliczne...

- A niech sobie będzie, jakie chce! My sami jesteśmy prześliczni! Patrz, co za dzień, patrz, jak pięknie! Jakaś ty ładna dzisiaj, Lizo. A zresztą tyś straszny dzieciak!

- Arkadiju, powiedz, ta dziewczyna wczorajsza...

- Ach, jaka szkoda, Lizo, ach, jaki żal!

- Ach, jaka szkoda! Co za los! Wiesz, to nawet grzech, że idziemy tacy weseli, a jej dusza ulatuje gdzieś teraz w mroku, w jakiejś bezdennej ciemności, z grzechem i ze swą krzywdą. Arkadiju, kto jest winny jej grzechowi? Ach, jakie to straszne! Czy ty myślisz kiedy o tej ciemności? Ach, jak ja się boję śmierci, a jakie to grzeszne! Nie lubię ciemności, wolę słońce! Mama mówi, że to grzech bać się... Arkadiju, czy ty znasz dobrze mamę?

- Jeszcze mało, Lizo, mało znam.

- Ach, cóż to za istota! Powinieneś ją lepiej poznać! Ją trzeba specjalnie rozumieć...

- Przecież i ciebie też nie znałem, a przecież znam teraz całą. Całą w jednej chwili poznałem! Ty, Lizo, chociaż się boisz śmierci, ale jesteś ambitna, śmiała, mężna. Lepsza ode mnie! Ja cię okropnie kocham, Lizo. Ach, Lizo! Niech śmierć przyjdzie kiedy trzeba, a tymczasem -żyć, żyć!

Użalamy się nad tą nieszczęśliwą, ale życie jednak błogosławimy - czy tak? Tak? Ja mam

„ideę”, Lizo. Lizo, ty przecież wiesz, że Wiersiłow zrzekł się spadku?

- Oczywiście, że wiem! Już całowałyśmy się z mamą.

- Ty nie znasz mojej duszy, Lizo, ty nie wiesz, co dla mnie znaczył ten człowiek...

- No, jakże nie wiedzieć, wszystko wiem.

- Wszystko wiesz? Ależ tak! Tyś mądra; mądrzejsza od Wasina, ty i mamusia macie oczy przenikające, miłosierne, to jest wzrok, a nie oczy, znowu kłamię... Jestem niedobry w wielu sprawach, Lizo.

- Tobą trzeba odpowiednio pokierować, ot i wszystko!

- Pokieruj, Lizo. Jak dobrze patrzeć na ciebie dzisiaj... Czy wiesz, że jesteś ładniutka? Nigdy jeszcze

nie widziałem twoich oczu... Dopiero teraz po raz pierwszy zobaczyłem... Skąd wzięłaś je dzisiaj, Lizo? Gdzieś kupiła? Ileś zapłaciła? Lizo, nie miałem przyjaciela i patrzę na tę myśl, jak na brednię; ale z tobą, to nie jest brednia... Chcesz, zostaniemy przyjaciółmi? Rozumiesz, co chcę powiedzieć?...

- Doskonale rozumiem.

f.- i;

191

- I wiesz, bez umowy, bez kontraktu - po prostu bądźmy przyjaciółmi!

- Tak po prostu, po prostu, lecz tylko jedna umowa: jeżeli kiedykolwiek oskarżymy się nawzajem, jeżeli będziemy z czegoś niezadowoleni, jeżeli sami staniemy się zli, głupi, jeżeli nawet zapomnimy o tym wszystkim, to nie zapomnijmy nigdy tego dnia i tej godziny! Dajmy sobie takie słowo. Dajmy sobie słowo, że na zawsze zapamiętamy ten dzień, kiedyśmy szli z tobą ręką w rękę i tak żeśmy się śmieli i tak nam było wesoło... Tak? Przecież tak?

- Tak, Lizo, tak, przysięgam!... Ale, Lizo, ja jakbym cię po raz pierwszy słyszał... Lizo, tyś wiele czytała?

- Dotychczas jeszcze nie zapytała! Za ledwie wczoraj po raz pierwszy, kiedy mi się język pośliznął, raczył zwrócić uwagę jaśnie pan, pan mędrzec.

- A czemu żeś sama do mnie nie zagadywała, skoro byłem takim głupcem!

- A ja ciągle czekałam, aż zmądrzejesz. Odgadłam cię od samego początku, Arkadiju

Makarowiczu, a kiedy odgadłam, to zaczęłam myśleć: „Przecież on jednak przyjdzie, przecież na pewno skończy na tym, że przyjdzie”. - No i zdecydowałam, że lepiej tobie pozostawić ten honor, abyś to ty zrobił pierwszy krok: „Nie, myślę, pochodź teraz ty za mną!”

- Ach, ty kokietko! No, Lizo przyznaj się wprost: śmiałaś się ze mnie przez ten miesiąc, czy nie?

- Och, jesteś bardzo śmieszny, okropnie śmieszny, Arkadiju! I wiesz, może dlatego coraz bardziej cię kochałam przez ten miesiąc, żeś taki cudak! Aleś ty w wielu rzeczach także niedobry cudak -

to po to, żebyś nie wbił się w dumę. A wiesz, kto jeszcze śmiał się z ciebie? Mama się śmiała, mama wraz ze mną. „Ależ, szepcze, cudak, co za cudak!” A ty siedzisz i myślisz w tym czasie, że siedzimy i przed tobą drżymy.

- Lizo, co myślisz o Wiersiłowie?

- Bardzo wiele o nim myślę; ale wiesz, nie będziemy teraz o nim mówić. Nie trzeba dziś o nim; czyż nie tak?

- Zupełna racja! Nie, tyś straszliwie rozumna, Lizo! Zdecydowanie mądrzejsza ode mnie. Ot,

poczekaj, Lizo, skończę to wszystko i wtedy być może coś więcej ci powiem...

- Dlaczegoś się zachmurzył?

- Nie, nie zachmurzyłem się, Lizo, tylko tak... Widzisz, Lizo, lepiej powiem wprost: mam taką właściwość... że nie lubię, kiedy do czegoś

192

drażliwego w duszy ktoś dotyka palcami... Albo lepiej powiedziawszy: jeżeli się często niektóre uczucia uzewnętrznia, żeby wszyscy podziwiali, to przecież wstyd, prawda? Dlatego niekiedy wolę zachmurzyć się i milczeć: tyś mądra, powinnaś rozumieć.

- Mało tego: sama jestem taka; zrozumiałam cię do końca. Czy wiesz, że mama jest taka sama?

- Ach, Lizo! Byle tylko dłużej pożyć na świecie! Coś ty powiedziała?

- Nie, nic nie powiedziałam.

- Patrzysz?

- Przecież i ty patrzysz. Patrę na ciebie i kocham cię. Doprowadziłem ją prawie do domu i dałem mój adres. Żegnając się pocałowałem ją po raz pierwszy w życiu...

I wszystko byłoby dobrze, tylko jedno nie było dobrze: jedna ciężka idea tłukła się we mnie od samej nocy i nie wychodziła z głowy. To, że kiedy spotkałem wczoraj wieczorem przy naszej bramie tą nieszczęśliwą, powiedziałem jej, że sam uciekam z domu, z gniazda; że ucieka się od złych i zakłada swoje gniazdo i że Wiersiłow ma dużo dzieci nieprawych. Takie słowa syna o ojcu naturalnie utwierdziło w niej wszystkie podejrzenia o Wiersiowie i to, że ją znieważył.

Obwinałem Stiebielkowa, a przecież możliwe, że to ja przede wszystkim dolałem oliwy do ognia...

Ta myśl straszna, straszna i teraz... Ale wtedy, tego ranka, chociaż już zaczynałem się męczyć, ale ciągle jednak zdawało mi się, że to głupstwo: „Ech, tu beze mnie nawarzyło się i nagotowało”-

powtarzałem od czasu do czasu. - „Ech, nic, to przejdzie! Poprawię się! Ja to czymś nadrobię, jakimś dobrym uczynkiem... Mam jeszcze pięćdziesiąt lat przed sobą!”

Lecz idea jednak ciągle się tłukła.

Część druga

ROZDZIAŁ PIERWSZY 1

Przeskakuję okres niemal dwumiesięczny; niech czytelnik będzie spokojny: wszystko będzie zrozumiałe dzięki późniejszym wyjaśnieniom. Specjalnie podkreślam dzień piętnastego listopada -

dzień z wielu powodów aż nazbyt pamiętny dla mnie. Więc po pierwsze nie poznałby mnie nikt, kto mnie widział dwa miesiące wcześniej; przynajmniej - zewnętrznie, a choćby i poznał - nie zrozumiałby. Jestem ubrany jak elegant - to pierwsza rzecz. Ów „Francuz sumienny i z dobrym smakiem”, którego kiedyś chciał mi polecić Wiersiłow, nie tylko uszył mi garnitur, ale nawet go zdyskwalifikowałem. Szyją teraz dla mnie inni krawcy, wyższej klasy, pierwszorzędni; mam nawet u nich otwarty rachunek. Mam też rachunek w pewnej znanej restauracji, ale jeszcze się boję, i jak tylko dostanę pieniądze - zaraz płacę; chociaż wiem, że to jest w złym tonie i że się tym kompromituję. Na Newskim prospekcie fryzjer Francuz jest ze mną na bliskiej stopie i kiedy się u niego czeszę - opowiada mi anegdoty. Przyznam się, że wprawiam się z nim we francuskim. Bo choć znam język, nawet porządnie, ale w większym towarzystwie boję się jakoś zacząć rozmawiać; a i akcent mój prawdopodobnie bynajmniej nie jest paryski. Mam na swe usługi, gdy tylko zażądam, eleganckiego dorożkarza Matwieja z rysakiem. Koń jest jasnogniady (nie lubię myszaty). Są też zresztą pewne nieporządki: piętnasty listopada, od trzech dni zima, a ja mam stare, szopowe futro, donaszone po Wiersiłowie: gdybym chciał sprzedać, warte najwyżej dwadzieścia pięć rubli. Trzeba sprawić nowe, a tu kieszenie puste, a ponadto - muszę na dziś wieczór zdobyć pieniądze, i to za wszelką cenę, bo jeżeli nie - będę „nieszczęśliwy i zginąłem”; to moje własne, ówczesne powiedzenie. O nikczemność! Cóż to, skąd nagle te tysiące rubli, te rysaki i Borele? Jak mogłem tak nagle wszystko zapomnieć i tak się zmienić? Hańba! Czytelniku, rozpoczynam teraz historię mojego wstydu i hańby i nic w życiu nie może być dla mnie bardziej upokarzające od tych wspomnień.

194

Mówię jak sędzia i wiem, że jestem winien. Chociaż w owym wirze, w którym dostałem zawrotu głowy, byłem sam, bez kierującej ręki i bez doradcy; ale przysięgam, że już wówczas zdawałem sobie sprawę z mego upadku i dlatego nie mam usprawiedliwienia. A mimo to, przez te dwa miesiące byłem prawie szczęśliwy, dlaczego prawie? Byłem zbyt szczęśliwy. I do tego stopnia, że przebłykająca chwilami (były to częste chwile) świadomość hańby, od której wzdragała się dusza, ta świadomość, czy uwierzycie? - upajała mnie jeszcze bardziej: „Cóż, jeśli upadać, to upadać; ale nie upadnę, wygrzebię się! Mam dobrą gwiazdę”.

Stąpałem po cienkiej, słabej kładce bez poręczy nad przepaścią i wesoło mi było, że tak idę; nawet zaglądałem w przepaść. Było ryzyko i było wesoło.

A „idea”? „Idea” - potem, idea czekała; to wszystko „było tylko odchyleniem”: „dlaczegóż nie zabawić się?” Dlatego właśnie powtarzam raz jeszcze: „moja idea” jest zła, bo umożliwia wszelkie odchylenia; gdyby nie była taka stanowcza i radykalna, to bym być może nie decydował się na odchylenia.

Tymczasem w dalszym ciągu zajmowałem moje mieszkanko, zajmowałem je - lecz nie mieszkałem w nim; tam stał mój kufer, waliza i inne rzeczy. Główna moja rezydencja natomiast była u księcia Siergieja Sokolskiego. Siedziałem u niego i sypiałem i to nawet całymi tygodniami... Jak to się stało, o tym za chwilę, a tymczasem powiem o tym moim mieszkanku. Było mi już drogie: tam przyszedł do mnie Wiersiłow -z własnej inicjatywy, po raz pierwszy w po owej kłótni i potem przychodził wiele razy.

Powtarzam, ów okres był straszną hańbą, ale też i ogromnym szczęściem... I wszystko przy tym wtedy

tak się udawało i uśmiechało! „I po cóż te wszystkie poprzednie zachmurzenia - myślałem w niektórych upajających chwilach. - Po co te stare, bolesne szarpaniny, moje samotne i ponure dzieciństwo; i głupie marzenia pod kołdrą, przysięgi, plany, a nawet »idea«. Wszystko to sobie stworzyłem i wymyśliłem, a okazuje się, że na świecie jest zupełnie inaczej. Ot, jak mi lekko i radośnie: mam ojca - Wiersiłowa, mam przyjaciela - księcia Sieriożę, znam też jeszcze”... Ale nie mówmy o jeszcze. Niestety wszystko robiło się w imię miłości, wspaniałomyślności, honoru, a potem wszystko okazało się potworne, bezczelne, bezecne. Dość.

Przyszedł do mnie po raz pierwszy trzeciego dnia po naszym zerwaniu. Nie było mnie w domu -

więc zaczekał. Kiedy wszedłem do mej izdebki, to, mimo że czekałem na niego całe trzy dni, jak gdyby mgła przysłoniła mi oczy, a serce tak drgnęło, że aż się zatrzymałem w drzwiach. Na szczęście siedział z moim gospodarzem, który, żeby gościowi nie nudziło się czekać, uznał za wskazane zapoznać się i zaczął mu o czymś z zapalem opowiadać. Był to radca tytularny w wieku około czterdziestki, bardzo piegowaty, bardzo biedny, obarczony żoną, chorą na gruźlicę z chorym dzieckiem; miał usposobienie towarzyskie i skromne, jak zresztą dosyć delikatne. Uradowała mnie jego obecność; była mi pomocą, bo cóż bym powiedział Wiersiłowowi? Wiedziałem, na pewno wiedziałem przez te pierwsze trzy dni, że Wiersiłow sam przyjdzie do mnie pierwszy. Tak właśnie jak chciałem, bo ja bym za nic w świecie pierwszy do niego nie poszedł; i nie przez krnąbrność, lecz właśnie ze względu na miłość. Ze względu na jakąś zazdrość o miłość do niego - nie potrafię tego wyrazić. I w ogóle elokwencji czytelnik u mnie nie znajdzie. I mimo że go oczekiwałem przez całe trzy dni i ciągle niemal widziałem w myśli, jak będzie wchodził, jednak zupełnie nie mogłem wyobrazić sobie z góry, choć wszelkimi siłami chciałem to sobie przedstawić, o czym z nim zacznę mówić po tym wszystkim, co zaszło.

-A, otóż jesteś - wyciągnął do mnie rękę po przyjacielsku, nie wstając z miejsca. - Przysiądź się do nas; Piotr Ippolitowicz opowiada arcyciekawą historię o tym kamieniu koło koszar

Pawłowskich... czy też gdzieś tu...

- Tak znam ten kamień - odpowiedziałem czym prędzej, siadając na krześle obok nich. Siedzieli przy stole. Pokój mierzył akurat dwa sążnie wzdłuż i wszerz. Oddychałem ciężko.

Iskra zadowolenia błysnęła w oczach Wiersiłowa: zdaje się, niepokoił się i myślał, że będę chciał robić sceny. Uspokoił się.

- Niechże pan rozpocznie od początku, Piotrze Ippolitowiczu, Już się zwracali do siebie po imieniu z dodaniem imienia ojca.

196

- Wydarzyło się to jeszcze za nieboszczyka cara - zwrócił się do mnie Piotr Ippolitowicz, nerwowo i z pewną męką w głosie, jakby zawczasu bolejąc nad powodzeniem puenty. - Przecież pan zna ten kamień, głupi kamień na ulicy; po co, na co, tylko przeszkadza, czy nie tak? Na koniec nie spodobało się najjaśniejszemu panu, i rzeczywiście, istna góra, góra stoi na ulicy, psuje ulicę:

„Żeby mi kamienia nie było!” Powiedział, żeby nie było, rozumie pan, co to znaczy: „żeby nie było”? Pamięta pan nieboszczyka cara? Co zrobić z kamieniem? Wszyscy potracili głowy, zebrała się дума, a najbardziej, nie pamiętam już kto mianowicie, ale jeden z najpierwszych ówczesnych dostojników, któremu to zlecono. Otóż ten dostojnik słucha: będzie kosztować, powiada, piętnaście tysięcy, ni mniej ni więcej i to w srebrze (bo asygnaty dopiero za nieboszczyka cesarza zastąpiono srebrem).

„Co, piętnaście tysięcy? Dziki pomysł!” Początkowo Anglicy chcieli ułożyć szyny, postawić na nie platformę i odwieźć za pomocą pary: ale ileż by to kosztowało? Dróg żelaznych jeszcze wtedy nie było, tylko do Carskiego Sioła linia funkcjonowała...

- No, przecież można było rozpiłować - zacząłem chmurzyć się: byłem zły i wstyd mi było przed Wiersiłowem, lecz ten słuchał z widocznym zadowoleniem. Rozumiałem, że i on był rad gospodarzowi, bo czuł się skrupowany ze mną, widziałem to; pamiętam, że wydało mi się to wzruszające z jego strony.

- Właśnie, rozpiłować, właśnie na ten pomysł też wpadli, a mianowicie Monferrant, on przecież wówczas budował Isaakijewski sobór. Rozciąć, powiada, a potem po kawałku wywieźć. Tak, ale ile to będzie kosztować?

- Nic nie kosztuje, po prostu rozpiłować i wywieźć.

- No nie, niech pan pomyśli, przecież trzeba ustawić parową maszynę, a przy tym dokąd wywieźć?

A przy tym taką górę? Dziesięć tysięcy, mówią, mniej nie będzie, dziesięć lub dwanaście tysięcy.

- Niech pan posłucha, Piotrze Ippolitowiczu, przecież to brednie, to nie tak było... - Ale w tej chwili Wiersiłow nieznacznie mrugnął na mnie, a w tym mruganiu ujrzałem takie delikatne

współczucie dla gospodarza, nawet cierpienie z jego powodu, że to mi się niezmiernie spodobało i roześmiałem się.

- No, właśnie, właśnie - ucieszył się gospodarz, niczego nie zauważywszy i w obawie, jak zwykle u takich gawędziarzy, że będą mu przeszkadzać pytaniami. - Aż tu podchodzi pewien

mieszczanin, młody jeszcze, no wie pan, Rosjanin, bródka w klin, w kaftanie z długimi połami, i bodaj czy nie troszkę podpity... zresztą nie, nie podpity. Otóż

197

więc stoi sobie ten mieszczanin, kiedy ci rozprawiają - Anglicy i Mon-ferrant; a ten wielmoża, któremu to zlecono, podjechał tam powozikiem, słucha i gniewa się. Jakże to tak, decydują i nie mogą zdecydować. I nagle zauważa w oddaleniu, że ów łyczek stoi i fałszywie się uśmiecha, to jest nie fałszywie, nie to chciałem powiedzieć, tylko jakby tak...

- Kpiąco - ostrożnie podsunął Wiersiłow.

- Kpiąco, to jest z lekka kpiąco, taki dobry uśmiech rosyjski, wie pan, wielmoża naturalnie zirytowany: „Czego tu szukasz, brodaczu? Coś za jeden?”

- „A, ot, powiada, patrzę na kamyk, jaśnie panie”. Tak, zdaje się, jaśnie panie; bodaj czy to nie był

książę Suworow-Italski; potomek wodza. Zresztą, nie, nie Suworow, i jaka szkoda, że zapomniałem, kto mianowicie, chociaż jaśnie pan, ale czysty rosyjski człowiek, taki rosyjski typ, patriota, otwarte

rosyjskie serce; a więc domyślił się: „Cóż ty, powiada, może kamień wywieziesz: czego się uśmiechasz?” - „Z Anglików przeważnie, jaśnie oświecony panie, że nadmierną cenę ustalili, bo rosyjska kiesa gruba, a w domu nie mają co jeść. Sto rubelków wasza jasność wyznaczy, a jutro do wieczora kamyczek usuniemy.” Możecie wyobrazić sobie taką propozycję. Anglicy naturalnie chętnie by go zjedli; Monferrant śmieje się; ale ten jaśnie oświecony, przecie rosyjskie serce. „Dać mu, powiada, sto rubli! Ale czy aby na pewno usuniesz?” - „Do jutra wieczora damy radę, damy radę, jaśnie oświecony panie”. - „A jak to zrobisz?” - „To już z przeproszeniem waszej jasności mój sekret” powiada; wie pan, tak jakoś, po rosyjsku to zabrzmiało. Spodobało się: „Ej tam, dać mu wszystkiego, czego zażąda!”. No i pozostawiono go; jak panowie myślicie - co on zrobił?

Gospodarz zatrzymał się i spoglądał na nas rozczulonym okiem.

- Nie wiem - uśmiechnął się Wiersiłow. Ja zaś zachmurzyłem się bardzo.

- A oto jak zrobił - wyrzekł gospodarz z takim triumfem, jak gdyby zrobił to sam. - Wynajął

chłopów z łopatami, takich zwykłych, prostych Rosjan i zaczął kopać jamę, przy kamieniu, przy samym jego brzegu; całą noc kopali, wykopali ogromną jamę, odpowiadającą głębokością kamieniowi, tylko jeszcze o werszek głębiej. A kiedy już wykopali, kazał po maleńku i ostrożnie podkopywać ziemię już spod samego kamienia. Naturalnie, gdy podkopali, kamień nie miał na czym stać, równowaga się nie utrzymała. Wtedy oni z drugiej strony, tak na hurra, po rosyjsku, rękami podepchnęli i kamień - buch do dołu! Zaraz łopatami zasypali, ubili ziemię, drobnymi kamieniami zabrukowali, równo, gładko - kamyczek znikł.

198

- No, wyobraźcie sobie! - rzeki Wiersiłow.

- Ludzi, ludzi zbiegło się niezliczone mnóstwo; Anglicy ci tutaj, domyślili się szybko - wściekli.

Przyjechał Monferrant: to zbyt po prostu, powiada, po chłopsku zrobione. A przecież w tym cała sztuka, że po prostu, a wyście na ten pomysł nie wpadli, wy głupcy! To powiem panom, że ten naczelnik, ten dygnitarz państwowy, objął go i pocałował: „A skąd żeś taki się wziął?” - „A z Jarosławskiej guberni, jaśnie oświecony panie, po fachu to właściwie jestem krawiec, a latem przyjeżdżam do stolicy warzywami handlować”. Władze się dowiedziały i kazały udekorować go medalem; no i chodził z medalem na szyi, ale powiadają, że się potem rozpił; wiecie, panowie, Rosjanin, nie powstrzyma się! Dlatego też do dziś dnia cudzoziemcy nas gniotą tak, tak!

- Tak, ma się rozumieć, rosyjski rozum... - zaczął Wiersiłow. Lecz w tej chwili na szczęście chora gospodyni zawołała opowiadającego, więc wybiegł, bo już bym nie wytrzymał. Wiersiłow śmiał się.

- Mój kochany, bawił mnie całą godzinę przed twoim przyjściem. Ten kamień... to coś najbardziej patriotycznie-bałaganiarskiego wśród tego rodzaju opowiadań, ale jak miałem mu przerwać?

Przecież widziałeś - rozplywa się z zadowolenia. Poza tym, zdaje się, ten kamień i teraz stoi i, jeśli

się nie myślę, wcale nie zakopany.

- Ach, mój Boże! - krzyknąłem. - Faktycznie stoi. Jak on śmiał...!

- Coś ty? Zdaje się rzeczywiście jesteś oburzony, daj spokój. A on faktycznie poplątał; słyszałem jeszcze w dzieciństwie opowiadania w tym rodzaju o kamieniu, tylko rozumie się, nie tej treści i nie o tym głazie. Zlituj się: „doszło do wiadomości władz wyższych”. Przecież w owej chwili cała jego dusza była w ekstazie, kiedy „doszedł do władz wyższych”. W tej godnej pożalowania sferze nie można żyć bez takich anegdot. Opowiadają ich mnóstwo, przede wszystkim z powodu nieumiarkowania. Niczego się nie nauczyli, niczego porządnie nie umieją, a czasem zechce się poza kartami i awansami pomówić o czymś ogólnoludzkim, poetyckim... Kim jest, co za jeden ten Piotr Ippolitowicz?

- Bardzo biedne stworzenie, więcej - nieszczęśliwy człowiek.

- No widzisz, może nawet w karty nie grywa? Powtarzam, opowiadając tę bzdurę czynił zadość swej miłości bliźniego: przecież chciał nas uszczęśliwić. Uczucie patriotyzmu również zostało zaspokojone. Mają też na przykład anegdotę o tym, że Zawiałowowi Anglicy dawali milion po to tylko, żeby nie przystawiał marki fabrycznej na swoje wyroby.

- Ach, mój Boże, tę anegdotę też słyszałem.

199

- Któż tego nie słyszał. Taki opowiadając doskonale wie, że na pewno znasz, mimo to opowiada, umyślnie wmawiając w siebie, żeś nie słyszał. Widzenie króla szwedzkiego zdaje się już u nich wyszło z mody, ale w mojej młodości z lubością to powtarzali i tajemniczym szeptem; tak samo jak o tym, że na początku tego stulecia ktoś tam jakoby klęczał w senacie przed senatorami. O

komendancie Baszuckim też było dużo anegdot, gdy wywieziono pomnik. Ogromnie lubią dworskie anegdoty; na przykład opowiadania o ministrze Czernyszewie z czasów poprzedniego panowania, jak to on, siedemdziesięcioletni staruszek tak się charakteryzował, że wyglądał na trzydziestoletniego, aż nieboszczyk car dziwił się.

- I to słyszałem.

- Któż nie słyszał? Te wszystkie anegdoty to szczyt niedorzeczności, ale wiedz, że ten typ blagi jest o wiele głębszy i bardziej rozpowszechniony niż przypuszczamy. Pragnienie zełgania celem uszczęśliwienia bliźniego spotkasz nawet w naszym najprzyzwoitszym towarzystwie, bo wszyscy cierpimy na tę naszą niepowściągliwość serc. Tylko że u nas opowiadania są innego rodzaju: co u nas opowiadają o samej tylko Ameryce, coś niesamowitego, i to nawet mężowie stanu! Ja sam nawet się przyznaję, że należę do tego typu nieporządnych ludzi i całe życie boleję nad tym.

- O Czernyszewie sam opowiedziałem kilka razy.

- Nawet sam opowiadałeś?

- Mieszka tu oprócz mnie jeszcze jeden lokator, urzędnik, również piegowaty, i już starzec, ale ten to straszny prozaik i ledwie Piotr Ippo-litowicz zacznie mówić, zaraz go prostuje i zaprzecza. I doprowadził do tego, że tamten służy mu jak niewolnik i we wszystkim dogadza, byleby ten go słuchał.

-A to już inny typ nieporządnego człowieka i być może nawet wstrętniejszy od pierwszego.

Pierwszy - to czysty entuzjizm! „Pozwól tylko zełgać. Zobaczysz, jak ładnie wyjdzie”. Drugi -

to sama chandra i proza: „Nie dam zełgać, gdzie, kiedy, w którym roku?” -jednym słowem człowiek bez serca. Mój kochany, pozwól człowiekowi trochę skłamać - to niewinna rzecz.

Nawet pozwól skłamać dużo... Po pierwsze, to wykaże twoją delikatność, a po drugie, w zamian tobie pozwolą zełgać - dwa ogromne zyski naraz. Que diable!* trzeba lubić bliźniego. Ale czas na

* Do diabła! 200

mnie. Nieźle urządziłeś się - dodał, podnosząc się z krzesła. - Opowiem Sofii Andriejewnie i twojej siostrze, że wstąpiłem i zastałem cię w dobrym zdrowiu. Do widzenia, mój kochany.

Czyżby to było wszystko? Ależ wcale nie tego chciałem; oczekiwałem czegoś innego,

najważniejszego, choć doskonale rozumiałem, że nie można było inaczej. Zacząłem go odprowadzać ze świecą na schody; podskoczył gospodarz, ale chwyciłem go z całej siły za rękę, tak, że Wiersiłow nie zauważył i brutalnie odepchnąłem. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem, ale natychmiast pohamował się.

- Te schody - cedził Wiersiłow, rozciągające słowa widocznie po to, żeby cokolwiek powiedzieć, a widocznie bojąc się, żebym ja czegoś nie powiedział. - Te schody, - zupełnie odwykłem, a ty na drugim piętrze, a zresztą, znajdę już teraz drogę... Nie trudź się, mój kochany, jeszcze się zaziębisz.

Nie odchodziłem jednak. Schodziliśmy już z drugiego półpiętra...

- Czekałem na pana przez całe trzy dni - wyrwało mi się nagle jakby samo przez się, dyszałem ciężko.

- Dziękuję ci, mój kochany.

- Wiedziałem, że pan na pewno przyjdzie.

- A ja wiedziałem, że ty wiesz, iż ja na pewno przyjdę. Dziękuję ci, mój kochany.

Zamilkł. Doszliśmy do drzwi wyjściowych, a ja ciągle szedłem za nim. Otworzył drzwi; wiatr wpadł raptownie i zgasił świecę. Wtedy zniemacka chwyciłem Wiersiłowa za rękę, było kompletnie ciemno. Drgnął, lecz milczał. Przypadłem do jego ręki i nagle zacząłem ją chciwie całować, wiele, wiele razy.

- Mój drogi chłopcze, za cóż ty mnie tak kochasz - przemówił, ale już zupełnie innym głosem. Głos jego drżał, coś zupełnie nowego w nim zadźwięczało, jak gdyby ktoś inny mówił.

Chciałem coś odpowiedzieć, ale nie mogłem i pobiegłem na górę. On zaś czekał jeszcze ciągle w miejscu i dopiero, gdy dobiegłem do mieszkania, usłyszałem, jak drzwi wyjściowe na dole otworzyły się i głośno zamknęły. Przemknąłem obok gospodarza, który znowu nawinął się nie wiadomo po co, do mojego pokoju, zamknąłem się na zasuwkę nie zapalając świecy, rzuciłem się na łóżko twarzą do poduszki i płakałem. Zapłakałem po raz pierwszy od czasów Tuszara! Z wielką siłą wyrywały mi się z piersi łkania i tak byłem szczęśliwy... ale co tu opisywać!

Zapisałem to teraz nie wstydząc się, bo, być może, mimo całej niedorzeczności, wszystko to było dobre.

No, ale dostało mu się za to ode mnie! Stałem się strasznym despotą. Naturalnie, nie wspominaliśmy potem zupełnie o tej scenie. Przeciwnie, na trzeci dzień spotkaliśmy się jakby nigdy nic - mało tego: byłem brutalny tego drugiego wieczoru, a on również był jakiś jakby oschły.

Wydarzyło się to znowu u mnie. Nie chodziłem do niego mimo pragnienia ujrzenia matki.

Przez cały czas, to jest całe dwa miesiące, rozmawialiśmy tylko o najbardziej abstrakcyjnych rzeczach, i to mnie właśnie dziwi: nic innego nie robiliśmy, tylko rozmawialiśmy o zagadnieniach oderwanych, lecz zupełnie bez związku z otaczającą nas rzeczywistością. Tymczasem bardzo wiele z tej rzeczywistości trzeba było ustalić i wyjaśnić i to pilnie, lecz właśnie o tym milczeliśmy. Nie mówiłem nawet nic o matce, ani o Lizie, ani... wreszcie o sobie samym, o całej mojej historii. Nie wiem, czy spowodował to wstyd, czy jakaś młodzięcza głupota. Przypuszczam, że głupota, bo wstyd jednak można było przezwyciężyć. A tyranizowałem go ogromnie i nawet dochodziłem czasami do arogancji, nawet wbrew woli własnej. Wszystko to robiło się jakoś samo przez się, niepowstrzymanie, sam nie mogłem się opanować. Jego ton natomiast był po dawnemu lekko drwiący, choć zawsze mimo wszystko uprzejmy. Dziwiło mnie też, że wołał sam przychodzić do mnie, tak, iż w rezultacie bardzo rzadko przychodziłem do mamy, nie częściej, niż raz na tydzień, szczególnie w ostatnim czasie, kiedy już zupełnie zakręciło mi się w głowie.

Przychodził do mnie zawsze wieczorem, siedział, gawędził. Lubił też gawędzić z gospodarzem; wściekał mnie ten objaw u takiego jak on człowieka. Przychodziło mi do głowy: czyżby nie miał

do kogo chodzić oprócz mnie? Ale wiedziałem na pewno, że ma znajomości, w ostatnim czasie wznowił nawet dawne stosunki w sferze towarzyskiej, które zaniedbał poprzedniego roku. Zdaje się jednak, że niezbyt go one kusily i wiele z nich wznowił tylko formalnie, a wołał chodzić do mnie. Wzruszało mnie bardzo niekiedy, że wchodząc wieczorem, niemal za każdym razem, gdy otwierał drzwi, robił się nieśmiały i w pierwszej chwili z dziwnym niepokojem zaglądał mi w oczy:

„czy czasem nie przeszkodzę? Powiedz, to sobie pójdę sobie”... Czasami nawet to mówił.

Raz na przykład, właśnie w ostatnim czasie, wszedł, kiedy byłem już zupełnie ubrany w tylko co przysłany od krawca garnitur i chciałem jechać do „księcia Sierioży”, aby z nim udać się, gdzie trzeba (dokąd miano-202

wicie - wyjaśnię później). Wiersiłow wszedł, usiadł, prawdopodobnie nie zauważył, że gdzieś się wybieram; chwilami podlegał niezwykłemu roztargnieniu. Jakby naumyślnie zaczął mówić o gospodarzu; uniosłem się:

- Do diabła z gospodarzem!

- Ach, mój kochany - powstał nagle z miejsca. - Ależ ty, zdaje się, wybierasz się gdzieś, a ja ci przeszkodziłem... Przebacz, proszę.

I pokornie pospieszył do wyjścia. Ta właśnie pokora wobec mnie ze strony takiego człowieka,

człowieka światowego i niezależnego, który był tak jaskrawą indywidualnością, wskrzeszała w moim sercu wielką miłość dla niego i zaufanie. Ale jeśli tak mnie kocha, czemu nie powstrzymał mnie wtedy, w czasie mojej hańby? Niechby powiedział wówczas choć jedno słowo -

może bym się powstrzymał. Zresztą, może i nie. Ale przecież widział tę przesadną elegancję, tę fanfaronadę, tego Matwieja (raz nawet chciałem go podwieźć na saniach, ale nie wsiadł; nawet zdarzyło się parokrotnie, że nie chciał usiąść), przecież widział, jak sypią się u mnie pieniądze - i ani słowa, nie zaciekawilo go to! Dziwi mnie to do tej pory, nawet dzisiaj. A ja, naturalnie, w jego obecności zachowywałem się bezceremonialnie, z niczym się nie kryłem, choć, ma się rozumieć, niczego nawet słowem nie wyjaśniłem. Nie pytał o nic, a ja, nie pytany, nie odpowiadałem.

Zresztą dwa, trzy razy jak gdybyśmy zaczęli rozmawiać o sprawach aktualnych. Spytałem go raz na początku, wkrótce po zrzeczeniu się spadku: z czego teraz będzie żył?

- Jakoś tam będzie, mój drogi - odrzekł z niezwykłym spokojem.

Wiem teraz, że nawet małeńki, około pięciu tysięcy, kapitał Tatiany Pawłowny w ciągu tych ostatnich dwóch lat został do połowy wydany na Wiersiowa.

Innym razem zaczęliśmy jakoś rozmawiać o mamie:

- Mój kochany - powiedział nagle smutno. - Często mówiłam Sofii Andriejewnie na początku trwania naszego związku; zresztą i z początku, i w środku, i w końcu: „Miła moja, męczę cię i zamęczam, i nie czuję żalu, póki jesteś ze mną; a przecież, gdybyś umarła, to wiem, że zamęczyłbym się na śmierć pokutą”.

Zresztą pamiętam, że tego wieczoru był wyjątkowo szczery:

- Żebym chociaż był zerem o słabym charakterze i cierpiał z powodu świadomości tego.

Tymczasem nie, wiem przecież, że siły mam nie wyczerpane i jak myślisz, dzięki czemu?

Właśnie dzięki tej bezpośredniej sile i możliwości przystosowania się do wszystkiego, a to jest charakterystyczne wszystkim mądrym Rosjanom naszej generacji. Niczym mnie się nie

zniszczy, niczym nie wytępi, niczym nie zadziwi. Jestem

203

odporny jak pies podwórzowy. Mogę jak najlepiej odczuwać jednocześnie dwa sprzeczne uczucia, naturalnie bez udziału mojej woli. Mimo to wiem, że to nieuczciwe, przede wszystkim dlatego, że nazbyt rozsądne. Dożyłem prawie do pięćdziesięciu lat i do dziś nie wiem: czy to dobrze, że dożyłem, czy źle. Naturalnie lubię życie, wynika to wprost z samego faktu; ale podłością jest, żeby taki jak ja lubił życie. W ostatnich czasach zaczęło się coś nowego. Nawet Kraftowie nie mogą pogodzić się z życiem i strzelają do siebie. Ale przecież jest jasne, że Kraftowie są głupi; no a my mądrzy - zatem nie można tu przeprowadzać analogii, a pytanie pozostaje bez odpowiedzi. I czyżby ziemia istniała tylko dla takich jak my? Najprawdopodobniej tak, ale idea ta byłaby zbyt

beznadziejna. A zresztą... zresztą problem pozostaje otwarty.

Mówił ze smutkiem, a jednak nie wiedziałem, czy szczerze, czy nie? Zawsze pozostawała w nim jakaś skrytka, której za nic nie chciał otworzyć.

IV

W owym czasie zasypywałem go pytaniami, rzucałem się na niego jak głodny na chleb. Zawsze odpowiadał mi chętnie i z prostotą, ale na koniec zawsze wyprowadzał najbardziej ogólnikowe aforyzmy, tak, że w rzeczywistości nic nie zostawało. Tymczasem te wszystkie zagadnienia trwożyły mnie przez całe życie i przyznaję się szczerze, jeszcze w Moskwie odkładałem ich rozwiązanie właśnie do naszego spotkania w Petersburgu. Nawet po prostu zakomunikowałem mu to, a on nie wyśmiał mnie, lecz przeciwnie, pamiętam, że uściśnął mi rękę. W dziedzinie ogólnej polityki i zagadnień społecznych niczego prawie nie mogłem z niego wydobyć, a ta właśnie problematyka najbardziej mnie niepokoiła, ze względu na moją „ideę”. O takich jak Diergaczew wyrwała mu się raz uwaga, że „są niżej wszelkiej krytyki”, lecz jednocześnie dodał, że „zastrzega sobie prawo nieprzywiązywania żadnego znaczenia do swej opinii”. O tym, jaki koniec czeka współczesne państwa i świat, czym będzie się odznaczać odnowiony świat społeczny -nie chciał

mówić; ale w końcu raz wymęczyłem z niego kilka słów.

- Myślę, że wszystko to odbędzie się jakoś nadzwyczaj ordynarnie -rzekł. - Ot, po prostu, wszystkie państwa mimo osiągnięcia równowagi w budżetach i „brak deficytu”, un beau matin* zapłaczą się ostatecznie

* pewnego pięknego ranka.

204 Co dopuścić

i wszystkie co do jednego nie mogły odnowić się sem cały konserwatywny przecież będzie echem bankructwa. Wtedy oczywiście wejdą, na ich miejsce, Jak” akcjonariusze a może i nie.

Prawdopodobnie również ‘

- O, naturalnie, wziąłem tylko jeden kąt obrazu, ale przecież ten kącik związany jest z innymi nierozzerwalnymi węzełkami.

- Cóż więc robić?

- Mój Boże, nie spiesz się: to wszystko nie tak prędko nastąpi. W ogóle najlepiej nic nie robić, przynajmniej człowiek ma spokojne sumienie, że w niczym nie brał udziału.

- Dość tego, niech pan mówi do rzeczy. Chcę wiedzieć, co mam robić i jak żyć?

- Co masz robić, mój drogi? Bądź uczciwy, nigdy nie kłam, nie pożądaj domu bliźniego twego.

Jednym słowem, przeczytaj dziesięcioro przykazań - tam to powiedziane raz na zawsze.

- Niech pan da spokój, to wszystko takie stare, a przy tym - same słowa, a potrzebny jest czyn.

- No, a jeśli już bardzo nuda cię owładnie, postaraj się pokochać kogoś lub coś lub po prostu

przywiązać się do czegoś.

- Drwi pan tylko! A przy tym, cóż ja sam jeden zdrałam z pańskim dziesięciorgiem przykazań?
- Wypełnij je tylko, mimo wszystkich twych pytań i wątpliwości, a będziesz wielkim człowiekiem.
- Nikomu nieznanym.
- Nie ma nic tajnego, co by nie stało się jawnym.

- Pan wyraźnie drwi!

- No, jeżeli tak to bierzesz do serca, to najlepiej postaraj się czym prędzej zdobyć fach, zajmij się budownictwem lub adwokaturą, a wtedy, zajmąwszy się prawdziwą, poważną działalnością, uspokoisz się i zapomnisz o głupstwach.

Zmilczałem; ale co z tego można było odnieść do siebie? A jednak, po każdej rozmowie w tym rodzaju jeszcze bardziej byłem wzburzony niż poprzednio. Prócz tego widziałem wyraźnie, że w nim wciąż jak gdyby pozostawała jakaś tajemnica i to mnie coraz bardziej i bardziej przyciągało do niego.

- Niech pan posłucha - przerwałem mu pewnego razu. - Zawsze podejrzewałem, że pan to wszystko tak mówi ze złości i z bólu, a w tajemnicy, w głębi duszy pan jest właśnie fanatykiem jakiejś wyższej idei i tylko zataja ją, lub wstydzi się przyznać.

- Dziękuję ci, mój kochany.

- Niech pan słucha, nie ma nic bardziej wzniosłego niż być pożytecznym. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób w tej chwili mogę być najbardziej pożyteczny? Wiem, że pan tego nie może rozwiązać; ale chcę tylko znać pańską opinię: pan powie, i tak jak pan powie, tak postąpię, przysięgam! No więc, na czym polega wielka myśl?

- Ot, przemienić kamienie w chleby - oto wielka myśl.

- Największa? Nie, naprawdę, pan pokazał całą drogę; proszę powiedzieć: największa?

- Bardzo wielka, mój drogi, bardzo, lecz nie największa; wielka, lecz drugorzędna, a wielka tylko w danej chwili: człowiek naje się i już nie wspomni; przeciwnie, zaraz powie: „No więc najadłem się, co teraz mam robić?” Problem na wieki pozostaje otwarty.

- Pan pewnego razu mówił o „genewskich ideach”. Ja nie zrozumiałem, co to takiego - owe „genewskie idee”?

- Genewskie idee, to cnota bez Chrystusa, mój drogi, współczesne idee, lub lepiej powiedzieć - idea całej współczesnej cywilizacji. Jednym słowem - to jedna z tych długich historii, które bardzo nudno zaczynać i o wiele lepiej będzie, jeżeli pomówimy o czym innym, a jeszcze lepiej, jeśli pomilczymy o czymś innym.

- Pan to by ciągle tylko milczał.

- Pamiętaj, mój drogi, że milczeć jest dobrze, bezpiecznie i pięknie.

- Pięknie?

- Oczywiście. Milczenie zawsze jest piękne, a milczący zawsze piękniejszy od mówiącego.

206

- Ależ tak rozmawiać, jak ja z panem - to to samo co milczeć. Do diabła z takim pięknem, a nade wszystko do diabła z taką wygodą!

- Mój kochany - powiedział nagle, zmieniając nieco ton, a nawet z uczuciem i jakimś specjalnym naleganiem. - Mój kochany, nie chcę bynajmniej olśnić cię jakąś burżuazyjną cnotą, zamiast twoich ideałów, nie zmuszam cię do przyjęcia twierdzenia, że „szczęście lepsze od

bohaterstwa”; przeciwnie, bohaterstwo jest wyższe ponad wszelkie szczęście i sama zdolność do bohaterstwa już stanowi szczęście. W ten sposób kwestia zostaje między nami rozwiązana. Ja właśnie za to cię szanuję, żeś potrafił w naszej przegniłej epoce stworzyć w duszy jakąś tam

„swoją ideę” (nie bój się, dobrze zapamiętałem). Ale w każdym razie nie można nie pomyśleć o pewnym umiarkowaniu, bo widzę, że pragniesz teraz donośnego życia; podpalić coś, skruszyć, stanąć ponad całą Rosją, przelecieć chmurą z piorunami i zostawić wszystkich w strachu i zachwycie; a samemu skryć się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Przecież, chyba, coś w tym rodzaju jest w twojej duszy, a dlatego uważam za potrzebne ostrzec cię, bo cię szczerze pokochałem, mój drogi.

Co mogłem z tego zaczerpnąć dla siebie? Był w tym niepokój o mnie, o mój byt materialny.

Wypowiada się ojciec ze swymi prozaicznymi, choć dobrymi uczuciami; ale czyż to mi było potrzebne jako idea, za którą każdy ojciec winien był posłać syna swego choćby na śmierć, jak starożytny Horacjusz swych synów za ideę Rzymu?

Często czepiałem się go w kwestii religii, ale tu najwięcej było mgławicy. Na pytanie: co mam robić w tym względzie? - odpowiadał w sposób najgłupszy, jak malcowi: „Trzeba wierzyć w Boga, mój miły”.

-A jeśli nie wierzę w to wszystko? - zakrzyknąłem w rozdrażnieniu.

- To doskonale, mój kochany.

- Jak to, doskonale?

- Najlepszy objaw drogi; nawet najbardziej prawomyślny. Bo nasz rosyjski ateista, jeżeli naprawdę jest ateistą i ma choć cokolwiek rozumu - to najlepszy człowiek na całym świecie i zawsze skłonny jest przytulić Boga; bo zawsze jest dobry, a dobry dlatego, że jest bezmiernie zadowolony, iż jest ateistą. Nasi ateści to ludzie godni szacunku i w wyższym stopniu prawomyślni, rzecz można - podpora ojczyzny...

To, oczywiście, było już czymś sensownym, ale nie tego chciałem. Pewnego razu wypowiedział się, ale tak jakoś dziwnie, że przede wszystkim zdumiał mnie, szczególnie w związku z tymi

wszystkimi katolicy-zmami i ascetyzmami, o których słyszałem w odniesieniu do niego.

207

- Mój kochany - powiedział pewnego razu, nie w domu, lecz jakoś na ulicy, po długiej rozmowie; odprowadzałem go. - Mój drogi, kochać ludzi takimi, jakimi są, jest niemożliwe. A jednak trzeba. Dlatego czyn im dobro, trzymając na uwięzi swoje uczucia, zatykając nos i zamykając oczy (ostatnie jest niezbędne). Znoś zło z ich strony, nie gniewaj się na nich o ile to możliwe,

„wspomnij, żeś i ty człowiek”. Ma się rozumieć - winieneś być surowy w stosunku do nich, jeżeli dano ci być cokolwiek mądrzejszym ponad przeciętność. Ludzie z natury swej są nikczemni i lubią kochać ze strachu; nie zgadzaj się na taką miłość i nie przestawaj pogardzać.

Gdzieś w Koranie Allah każe prorokowi spojrzeć również na „krnąbrnych” jak na myszy, czynić im dobrze i przechodzić mimo nich - nieco wyniośle, lecz pewnie. Umiej pogardzać nawet i wtedy, kiedy są dobrzy, bo najczęściej w tym właśnie są wstrętni. Mój kochany, powiedziałem to sądząc po sobie! Kto tylko choć trochę ma rozumu, nie może żyć i nie gardzić sobą, wszystko jedno, czy jest uczciwy, czy nie. Nie można kochać bliźniego i nie pogardzać nim. Według mnie człowiek został stworzony z fizyczną niemożliwością kochania bliźniego. Tu zaszła jakaś słowna omyłka, już od początku, a „miłość do ludzkości” należy rozumieć jedynie w odniesieniu do tej ludzkości, którą sam sobie stworzyłeś w swej duszy (innymi słowy stworzyłeś sam sobie i miłość do samego siebie), a której nigdy w rzeczywistości nie będzie.

- Nigdy nie będzie?

- Mój drogi, przyznaję, że byłoby to głupkowate, ale to nie moja wina: a ponieważ przy stworzeniu świata nie radzono się mnie, rezerwuję sobie prawo posiadania na ten temat własnego poglądu.

- Jakże wobec tego mogę pana nazwać chrześcijaninem - wykrzyknąłem - mnichem we włosiennicy, kaznodzieją? Nie rozumiem!

- A kto mnie tak nazywa?

Opowiedziałem mu: wysłuchał bardzo uważnie, ale zakończył rozmowę.

Nie mogę sobie zupełnie przypomnieć, z jakiego powodu wynikła między nami ta rozmowa; on w każdym razie irytował się nawet, co mu się prawie nigdy nie zdarzało. Mówił z namiętnością i bez drwiny, jak gdyby nie mnie to przekazywał. Znowu jednak nie uwierzyłem mu: nie mógł przecież z takim jak ja o takich rzeczach rozmawiać poważnie!

208

ROZDZIAŁ DRUGI

Owego ranka, piętnastego listopada, zastałem go właśnie u „księcia Sierioży”. Właśnie ja zetknąłem Wiersiłowa z księciem, ale i beze mnie mieli dość punktów zbieżnych (mówię o tych dawnych

historiach za granicą itp.). Prócz tego książę dał słowo, że wydzieli mu ze spadku co najmniej jedną trzecią, co stanowiłoby ze dwadzieścia tysięcy na pewno. Pamiętam, dziwiło mnie bardzo, że wydziela tylko jedną trzecią, a nie całą połowę, ale milczałem. Z tą obietnicą podziału książę wystąpił z własnej inicjatywy, Wiersiłow zaś nawet półsłówkiem nie wtrącił się, nie zająknął. Książę wystąpił sam, a Wiersiłow tylko milcząc to zaakceptował i ani razu później, ani nie wspomniał, ani nawet nie pokazał po sobie, że cokolwiek pamięta o obietnicy. Zauważę przy tym, że książę z początku był nim zdecydowanie oczarowany, w szczególności rozmowami z nim, nawet wpadał w entuzjazm, z czego niejednokrotnie zdawał mi relacje.

Niekiedy w mojej obecności wykrzykiwał o sobie niemal z rozpaczą, że jest: „taki niewykształcony i na tak fałszywej drodze!...” O, wtedy byliśmy jeszcze takimi przyjaciółmi!... I Wiersiłowowi też starałem się mówić same dobre rzeczy o księciu, broniłem jego niedostatków, chociaż je doskonale widziałem; ale Wiersiłow zbywał mnie wtedy milczeniem lub uśmiechał się.

- Jeżeli ma braki, to ma przynajmniej tyleż zalet, ile wad! - wykrzyknąłem kiedyś będąc sam na sam z Wiersiłowem.

- Boże, jak ty mu pochlebiasz - zaśmiał się.

- Czym pochlebiam? - nie rozumiałem na razie.

- Tyleż zalet! Świętym zostanie, jeżeli ma tyle samo zalet, co braków!

Ale to oczywiście nie był pogląd. W ogóle unikał wówczas rozmów

o księciu, jak i na ogół o wszystkim co aktualne - ale szczególnie o księciu.

209

Już wtedy podejrzewałem, że i bez mnie chodzi do księcia i że między nimi istnieją specjalne stosunki, ale akceptowałem to. Nie byłem także zazdrosny i o to, że rozmawiał z nim, jak gdyby poważniej niż ze mną, bardziej, że tak powiem, pozytywnie i mniej kpił. Byłem wówczas tak szczęśliwy, że to mi się nawet podobało. Usprawiedliwiałem go też z tego względu, że książę był

nieco ograniczony i dlatego lubił dokładność w rozmowie, a niektórych dowcipów nawet w ogóle nie chwycił. I oto w ostatnim czasie zaczął się jakoś emancypować. Uczucia jego w stosunku do Wiersiłowa jak gdyby zaczęły się nawet zmieniać. Wrażliwy Wiersiłow zauważył to. Uprzedzę też, że równocześnie książę zmienił się i w stosunku do mnie, nawet aż nadto widocznie. Pozostawały tylko jakieś martwe formy naszej początkowej niemal gorącej przyjaźni. Mimo to nadal bywałem u niego; zresztą, jakże bym mógł nie chodzić, wciągnąwszy się w to wszystko. O, jakiż byłem wówczas nieporadny i czyż sama głupota serca może doprowadzić człowieka do takiej

niezdarności i poniżenia? Brałem od niego pieniądze i myślałem, że to nic, że tak trzeba. Zresztą, to nieprawda: i wtedy wiedziałem, że tak nie trzeba, lecz po prostu mało o tym myślałem. Nie po pieniądze przychodziłem, chociaż strasznie mi one były potrzebne. Wiedziałem, że nie dla pieniędzy chodzę, ale rozumiałem, że co dzień przychodzić brać pieniądze. Ale byłem w oszołomieniu, a prócz

tego wszystkiego coś zupełnie innego było w mej duszy - śpiewało w mej duszy!

Kiedy wszedłem około jedenastej rano, zastałem Wiersiłowa, kończącego już jakąś długą tyradę i ksiązę słuchał, chodząc po pokoju, a Wiersiłow siedział. Ksiązę, jak się zdawało, był nieco wzburzony. Wiersiłow niemal zawsze potrafił go przyprawić o wzburzenie. Ksiązę był wrażliwy aż do naiwności, która w wielu wypadkach skłaniała mnie do patrzenia nań z góry. Ale, powtarzam, w ostatnich dniach pojawiła się w nim jakaś szczerząca zęby złość. Zatrzymał się na mój widok i jakiś kurcz wykrzywił mu twarz. Wiadome mi było, czemu wytłumaczyć ten cień owego ranka, ale nie spodziewałem się, że tak bardzo wykrzywi się jego twarz. Wiedziałem, że zebrało się sporo różnych kłopotów, ale to było wstrętne, że znalazłem ledwie dziesiątą część - reszta była wówczas dla mnie głęboką tajemnicą. Dlatego było to wstrętne i głupie, że często narzucałem mu się z pocieszaniem, z radami, a nawet wyniośle śmiałem się z jego słabości; że nie panuje nad sobą na skutek „takich głupstw”. Milczał, lecz niemożliwe było, żeby mnie w owych chwilach nie nienawidził. Byłem w nazbyt fałszywym położeniu i nawet tego nie podejrzewałem. Bóg mi świadkiem, że nie podejrzewałem rzeczy najważniejszej.

210

Jednakże ksiązę grzecznie podał mi rękę. Wiersiłow kiwnął głową nie przerywając rozmowy.

Rozwaliłem się na kanapie. A jakież pozy wówczas przyjmowałem, co za maniery! Jego znajomych traktowałem jak swoich... Och, gdyby można było to wszystko odrobić, gdybym mógł

zachowywać się inaczej!

Dwa słowa, żeby nie zapomnieć: ksiązę mieszkał wówczas w tym samym mieszkaniu, lecz zajmował go już niemal w całości sam, gospodyni mieszkania, Stołbiejewa, zabawiła ledwie miesiąc i znowu gdzieś wyjechała.

H

Rozmawiali o szlachectwie. Zauważę, że kwestia ta niekiedy bardzo poruszała księcia, mimo całej jego postępowości, a podejrzewam nawet, że wiele złego w jego życiu wydarzyło się i rozpoczęło od tej idei: ceniąc swój książęcy tytuł, a będąc ubogi, całe życie szastał pieniędzmi przez fałszywą dumę i popadł w długi. Wiersiłow niejednokrotnie dawał mu do zrozumienia, że nie na tym polega książęćość i chciał mu wlać do serca szlachetniejsze myśli: ale książę pod koniec jak gdyby zaczął się obrażać, że jest pouczany. Widocznie coś w tym rodzaju rozgrywało się także tego ranka, ale nie zdążyłem na początek. Słowa Wiersiłowa wydały mi się początkowo zacofanymi, ale potem poprawił się.

- Słowo „honor” oznacza obowiązek - mówił (powtarzam tylko ogólny sens i tyle, ile zapamiętałem).
- Kiedy w państwie panuje warstwa przewodnia, wówczas kraj jest silny.

Warstwa przewodnia zawsze ma swój honor i swoje własne traktowanie honoru, które może być nawet niewłaściwe, ale prawie zawsze służy jako więź i wzmacnia kraj; pożyteczne jest pod względem etycznym, ale jeszcze bardziej - pod politycznym. Tymczasem cierpią niewolnicy, to jest nie należący do kasty. Aby nie cierpieli - zostają zrównani w prawach. Tak też i u nas zrobiono i to jest piękne. Ale według dotychczasowych doświadczeń wszędzie (tj. w Europie) wraz ze zrównaniem praw miało miejsce obniżenie poczucia honoru, a zatem i obowiązku.

Egoizm zastępował poprzednią zespalającą ideę i wszystko rozpadało się na wolność

indywidualną. Oswobodzeni, pozostając bez zespalającej myśli, do tego stopnia w końcu tracili wszelką więź, że przestawali nawet bronić uzyskanej wolności. Lecz rosyjski typ szlachty nigdy nie był podobny do europejskiego. Nasza szlachta i teraz jeszcze, utraciwszy prawa, mogłaby wciąż być najwyższą warstwą, jako strażnik

211

honoru, kultury, nauki i wyższych ideałów; i co najważniejsze, nie stanowiąc zamkniętej kasty, co byłoby śmiercią dla idei. Przeciwnie, wrota do tej warstwy otwarte są u nas już od dawna; teraz nadszedł czas, by otworzyć je całkowicie. Niech każdy wybitny czyn honoru, nauki i dzielności da u nas każdemu prawo przynależenia do najwyższego rzędu ludzi. W ten sposób klasa sama przez się stanie się zbiorowiskiem najlepszych ludzi w dosłownym i właściwym sensie, a nie w dawniejszym znaczeniu uprzywilejowanej kasty. W tej nowej lub odnowionej formie warstwa mogłaby się utrzymać. Książę wyszczerzył zęby:

- Cóż to wtedy będzie za szlachta? Pan projektuje jakąś lożę masońską, a nie szlachtę.

Powtarzam, książę był mocno niedokształcony. Aż poruszyłem się z irytacji na tapczanie, choć niezupełnie zgadzałem się z Wiersiłowem. Wiersiłow aż nadto dobrze rozumiał, że książę pokazuje zęby:

- Nie wiem w jakim sensie wspomniał pan o masonerii - odpowiedział. - Zresztą, jeżeli rosyjski książę odżegnuje się od takiej idei, to oczywiście nie nadszedł jeszcze jej czas. Idea honoru i

oświecenia, jako przykazania dla każdego, kto chce przyłączyć się do stanu nie zamkniętego i ciągle odnawialnego jest oczywiście utopią, ale dlaczego niemożliwą? Jeżeli ta myśl żyje choć w nielicznych głowach, to znaczy, że jeszcze nie zginęła; świeci jak ognisty punkt w głębokiej ciemności...

- Pan lubi używać wyrazów: „wyższa myśl”, „wielka myśl”, „wzmacniająca idea” i inne, chciałbym wiedzieć, co właściwie rozumie pan pod określeniem „wielka myśl”?

- Doprawdy, nie wiem, jak panu odpowiedzieć na to, mój kochany książę - uśmiechnął się z finezją Wiersiłow. - Najśluszniej będzie, jeśli przyznam się, że sam nie umiem odpowiedzieć. Wielka myśl - to najczęściej uczucie, które częstokroć zbyt długo pozostaje bez określenia. Wiem tylko, że było to zawsze to, skąd wypływało żywe życie, to jest nie mózgowe i nie wymyślone, lecz przeciwnie, zajmujące i wesołe; tak, że wyższa idea, z której ono się wywodzi, jest, ku powszechnemu niezadowoleniu, ma się rozumieć, koniecznie potrzebne.

- Dlaczego ku niezadowoleniu?

- Dlatego, że żyć z ideami nudno, a bez idei zawsze wesoło. Książę połknął pigułkę.

- A czymże jest według pana to żywe życie? (Irytacja jego była widoczna.)

212

- Też nie wiem, książę. Wiem tylko, że to musi być coś bardzo prostego, bardzo zwykłego i rzucającego się w oczy, codziennego. Coś spotykanego co chwilę i nieskomplikowanego, do tego stopnia, że nie możemy uwierzyć, aby było takie proste i faktycznie przechodzimy obok tego już od wielu tysięcy lat, nie zauważając i nie poznając.

- Chciałem tylko powiedzieć, że pańska idea szlachectwa jest jednocześnie zaprzeczeniem szlachty

- rzekł książę.

- Jeśli pan koniecznie chce, to być może, że szlachta w ogóle nigdy u nas nie istniała.

-Wszystko to jest strasznie ciemne i niezrozumiałe. Jeśli się mówi, to według mnie należałoby rozwinąć...

Książę zmarszczył czoło i przelotnie spojrzął na zegar ścienny. Wiersiłow wstał i chwycił swój kapelusz.

- Rozwinąć! - rzekł. - Nie, lepiej już nie rozwijać, a przy tym namiętnością moją jest mówić bez rozwijania tematu. Tak właśnie jest. I jeszcze dziwna rzecz: niech się zdarzy, że zacznę rozwijać myśl, w którą wierzę - niemal zawsze dzieje się tak, że w końcu referowania sam przestaję wierzyć w to, co mówię: boję się, by i teraz to się nie wydarzyło. Do widzenia drogi książę: u pana zawsze niewybaczalnie się rozgadam.

Wyszedł. Książę grzecznie go odprowadził, ale poczułem się dotknięty.

- Czemu pan się tak nasrożył? - wypalił nagle ksiązę nie patrząc; przeszedł obok mnie do sekretarzyka.

- Dlatego nasrożyłem się - zacząłem z drzeniem w głosie - że znajdując u pana taką dziwną zmianę tonu w stosunku do mnie, a nawet do Wiersiłowa, ja... Oczywiście, Wiersiłow zaczął może nieco reakcyjnie, ale potem poprawił się i... być może, w jego słowach była zawarta głęboka myśl, ale pan jej po prostu nie zrozumiał i...

- Ja po prostu nie chcę, żeby się wyrywano do mnie z pouczeniami i żeby mnie traktowano jak smarkacza! - odciął niemal z gniewem.

- Ksiązę, takie słowa...

- Proszę tylko bez teatralnych gestów, jeśli łaska. Wiem, że to, co robię, jest podłe, że jestem rozrzutnik, karciarz, może nawet złodziej... tak, złodziej, bo przegrywam pieniądze rodziny, ale wcale nie życzę sobie sędziów. Nie chcę i nie pozwalam. Sam dla siebie jestem sądem. I po co dwuznaczniki? Jeśli chciał mi coś powiedzieć, niechby mówił wprost, a nie prawił mglistych bzdur. Ale żeby mi to powiedzieć, mieć prawo do tego, trzeba samemu być uczciwym...

213

- Po pierwsze, nie byłem od początku i nie wiem o czym rozmawialiście, a po drugie, jeśli pan pozwoli, w czymże to Wiersiłow okazał się nieuczciwy?

- Dość tego, proszę, dosyć. Pan wczoraj prosił o trzysta rubli, oto one... - Położył przede mną na stole pieniądze, sam usiadł w fotelu, nerwowo oparł się o tylne oparcie i zarzucił nogę na nogę.

Zatrzymałem się zmieszany.

- Nie wiem... - wybąkałem. - Chociaż prosiłem... i chociaż pieniądze bardzo mi teraz potrzebne, ale wobec takiego tonu...

- Niech pan da spokój tonowi. Jeżeli powiedziałem coś ostrego, proszę mi wybaczyć. Zapewniam pana, nie mogę teraz myśleć. Proszę posłuchać, jak się rzeczy mają: oto otrzymałem list z Moskwy; mój brat Sasza, wie pan, dziecko jeszcze, umarł cztery dni temu. Ojciec, jak panu też wiadomo, od dwóch lat jest sparaliżowany; a teraz, jak piszą, gorzej mu: słowa wymówić nie może i nie poznaje ludzi. Ucieszyli się tam ze spadku, chcą go wywieźć za granicę, ale do mnie doktor pisze, że wątpliwe, czy ojciec ze dwa tygodnie jeszcze pożyje. Zatem zostajemy: matka, siostra i ja, czyli prawie że ja sam... Jednym słowem, ja jeden... Ten spadek... Ten spadek - o, może lepiej by było, żeby wcale nie przyszedł! Ale oto co mianowicie chciałem panu zakomunikować. Obiecałem Andriejowi Pio-trowiczowi z tego spadku minimum dwadzieścia tysięcy. A tymczasem niech pan sobie wyobrazi, wskutek nie załatwionych formalności do tego czasu nic nie można było zrobić. Ja nawet... to znaczy my... to jest - ojciec jeszcze nawet nie jest wprowadzony w posiadanie majątku. Tymczasem w ciągu ostatnich trzech tygodni straciłem tyle pieniędzy, a ten łotr Stie-bielkow bierze takie wysokie procenty... Oddałem panu przed chwilą niemal ostatnie...

- O książkę, jeżeli tak...

- Nie dlatego mówię, nie dlatego. Stiebielkow dziś na pewno przyniesie; wystarczy na tymczasem, ale diabeł wie tego Stiebielkova! Błagałem, żeby dostarczył mi dziesięć tysięcy, abym choć dziesięć tysięcy mógł oddać Andriejowi Piotrowiczowi. Moja obietnica wydzielenia mu trzeciej części, męczy mnie, torturuje. Dałem słowo i muszę dotrzymać. I przysięgam, rwę się do oswobodzenia się od zobowiązań chociaż z tej strony. Ciężkie są dla mnie, nieznośnie ciężkie!

Ta przygniatająca mnie więź... nie mogę widywać Andrieja Piotrowicza, bo nie mogę patrzeć mu prosto w oczy... Dlaczego on to wykorzystuje?

- W jaki sposób wykorzystuje, książkę? - stanąłem przed nim zdumiony. - Czy on kiedy chociażby napomknął?

214

- O nie i cenię to, ale ja sam sobie napomykam. I w końcu coraz bardziej się wciągam... Ten Stiebielkow...

- Niech pan posłucha, książkę, proszę się uspokoić. Widzę, że im dalej, tym bardziej pan się przejmuje, a tymczasem być może, to wszystko jest tylko mirażem. O, ja sam wciągnąłem się w sposób niewybaczalny, nikczemny; ale przecież wiem, że bo tylko chwilowe... Żebym tylko odegrał pewną sumę, a wówczas... Niech pan powie, winien jestem z tymi trzema setkami, około dwu tysięcy pięćset; czy tak?

- Zdaje się, że nie żądam teraz ich od pana - warknął nagle książkę.

- Pan mówi: dla Wiersiłowa dziesięć tysięcy. Jeżeli biorę teraz u pana, to naturalnie te pieniądze pójdą na rachunek dwudziestu tysięcy Wiersiłowa; inaczej nie zgadzam się. Ale... ale ja na pewno oddam. Czyż jednak pan myśli, że Wiersiłow przychodzi do pana po pieniądze?

- Lżej by mi było, żeby zachodził do mnie po pieniądze - rzekł zagadkowo książkę.

- Mówi pan o jakimś uciążliwym związku... Jeżeli to z Wiersiłowem i ze mną, to jak Boga kochani, to jest krzywdzące. I w końcu, pan mówi: dlaczego on sam nie jest taki, jakim być naucza - oto pańska logika. Pozwoli pan to sobie zakomunikować, że to wcale nie logika; gdyby nawet nie był taki, to mimo wszystko może głosić prawdę... I w końcu, cóż to za powiedzenie „głosi”? Pan mówi „prorok”? Niech pan powie, czy to pan go nazwał w Niemczech „babskim prorokiem”?

- Nie, nie ja.

- Mnie Stiebielkow mówił, że pan.

- Zełgał. Nie celuję w nadawaniu ośmieszających przezwisk. Ale ktoś, kto propaguje honor, niech sam będzie człowiekiem honoru - oto moje rozumowanie. A jeżeli nawet nie jest logicznie poprawne, to wszystko jedno. Ja chcę, żeby tak było, i tak będzie. I nikomu nie wolno przychodzić do mnie do domu i sądzić mnie i traktować jak niemowlaka! Dostyc! - krzyknął

machnąwszy na mnie ręką, żebym nie kontynuował... -Ach, nareszcie!

Otworzyły się drzwi i wszedł Stiebielkow.

—
Był zawsze taki sam: tak samo elegancko wystrojony, tak samo wypinał pierś do przodu, tak samo głupio spoglądał w oczy, tak samo wyobrażał sobie, że jest bardzo przebiegły i był niezmiernie z siebie zadowolony. Tym razem wchodząc spojrzął dokoła w jakiś dziwny

215

sposób; coś szczególnie ostrożnego i przenikliwego było w jego spojrzeniu, jak gdyby chciał odgadnąć coś z naszych twarzy. Natychmiast zresztą uspokoił się i uśmiech pewności siebie zawitał na jego wargach, ten „pobłażliwie - bezczelny” uśmiech, który zawsze był dla mnie niewymownie wstrętny.

Wiedziałem od dawna, że bardzo daje się we znaki księciu. Już raz czy dwa razy przychodził przy mnie. Ja... ja również w ostatnim miesiącu miałem z nim pewną sprawę, ale z pewnego względu zdziwiłem się tym razem, że przyszedł.

- Zaraz - rzekł doń książę, nie witając go i obróciwszy się do nas plecami, zaczął wyjmować z sekretarzyka potrzebne papiery i rachunki. Co do mnie, czułem się dotkliwie obrażony ostatnimi słowami księcia; aluzja do nieuczciwości Wiersiłowa była tak wyraźna (i tak zdumiewająca!), że nie można było pozostawić jej bez radykalnego wyjaśnienia. Ale przy Stiebielkowie nie można było. Rozwaliłem się znowu na kanapie i rozłożyłem leżącą przede mną książkę.

- Bieliński, druga część! A to nowina. Chce pan się oświecić? -zawołałem do księcia, jak się zdaje tonem bardzo sztucznym.

Książę był bardzo zajęty i śpieszył się, ale na moje słowa nagle obejrzał się:

- Niech pan zostawi tę książkę w spokoju - rzekł ostro.

To przechodziło już wszelkie granice. Co najważniejsze, że przy Stiebielkowie! Jakby naumyślnie.

Stiebielkow chytrze a obrzydliwie wyszczerzył się w uśmiechu i ukradkiem wskazał porozumiewawczo na księcia. Odwróciłem się od tego głupca.

- Niech się pan nie gniewa, książę; odstępuję pana najważniejszej osobie, a na razie mityguję się...

Zdecydowałem się na dezynwolturę.

-To ja jestem najważniejszą osobą? - podchwycił Stiebielkow wesoło, wskazując na siebie palcem.

- Tak, pan; pan jest najważniejszą osobą i pan sam o tym dobrze wie!

- Przepraszam, nie. Wszędzie na świecie jest się drugim człowiekiem. I ja jestem drugim człowiekiem. Jest jeden człowiek i jest drugi człowiek. Pierwszy coś robi, a drugi weźmie.

Zatem drugi staje się pierwszą osobą, a pierwszy drugą osobą. Tak czy nie?

- Być może, że tak, tylko że jak zwykle nie rozumiem pana.

- Niech pan pozwoli. We Francji była rewolucja i wszystkich gilotynowano. Przyszedł Napoleon i wszystkim zawładnął. Rewolucja - to

216

był pierwszy człowiek, a Napoleon - drugi, a w rezultacie - Napoleon stał się pierwszą osobą, a rewolucja - drugą. Tak czy nie?

Zauważę nawiasem, że w tym, iż Stiebielkow rozmawiał ze mną o rewolucji francuskiej, poznałem jego podstęp, który mnie bardzo ubawił. On nadal uważał mnie za jakiegoś rewolucjonistę i za każdym razem, gdy mnie spotykał, uważał za konieczne mówić o czymś w tym rodzaju.

- Chodźmy - rzekł książę i wyszli obaj do drugiego pokoju. Zostawszy sam postanowiłem ostatecznie oddać mu jego trzysta rubli, gdy tylko odejdzie Stiebielkow. Te pieniądze były mi w najwyższym stopniu niezbędne, ale zdecydowałem się.

Około dziesięciu minut nie było ich zupełnie słychać, gdy nagle zaczęli głośno rozmawiać. Zaczęli mówić obaj, ale książę krzyknął nagle, jakby w silnym rozdrażnieniu, dochodzącym do wściekłości. Niejednokrotnie bywał bardzo popędliwy, tak, że nawet ja mu ustępowałem. Ale w tej chwili wszedł lokaj z jakąś wiadomością; wskazałem mu na ich pokój i momentalnie tam ucichło.

Książę wyszedł pośpiesznie z zatroskaną twarzą, ale uśmiechnął się; lokaj pobiegł i za jakieś pół minuty wszedł do księcia gość.

Był to jakiś ważny gość z akselbantami i monogramem, pan w wieku nie wyżej niż trzydzieści lat, o powierzchowności wielkoświatowej i poważnej. Uprzedzę czytelnika, że książę Siergiej Piotrowicz mimo swego gorącego pragnienia (wiedziałem o tym pragnieniu), nie należał faktycznie do wyższego towarzystwa petersburskiego i dlatego musiał cenić sobie niezmiernie taką wizytę.

Znajomość ta tylko co była zawarta po wielkich staraniach ze strony księcia. Gość składał właśnie rewizytę, ale na nieszczęście zaskoczył gospodarza zniecka. Ujrzałem, z jaką męką i błędnym spojrzeniem obrócił się książę na moment ku Stiebielkowowi; ale Stiebielkow zniósł to spojrzenie, jakby nigdy nic i bynajmniej wcale nie myślał, żeby się usunąć. Swobodnie rozwalił się na kanapie i zaczął ręką mierzwić sobie włosy, prawdopodobnie na znak niezależności. Zrobił przy tym uroczystą minę, słowem był zupełnie niemożliwy. Co do mnie, już i wtedy, rozumie się, umiałem zachować się właściwie i naturalnie nikomu nie chciałem przynieść wstydu; ale jakież było moje zdumienie, gdy schwytałem skierowane na mnie to samo błędne, żalosne i niezadowolone spojrzenie księcia. Wstydził się zatem nas obydwu i stawiał mnie na równi ze Stiebielkowem. Ta myśl doprowadziła

mnie do wściekłości; rozwaliłem się jeszcze bardziej i zacząłem przerzucać książkę, udając, że mnie nie obchodzi.

217

Stiebielkow, przeciwnie, wytrzeszczył oczy, pochylił się naprzód i zaczął przysłuchiwać się ich rozmowie, sądząc prawdopodobnie, że to i grzecznie, i uprzejmie. Gość raz i drugi spojrzął na Stiebielkowa, zresztą również i na mnie.

Zaczęli mówić o nowinach rodzinnych; ów pan znał niegdyś matkę księcia, pochodzącą ze znacznej rodziny. O ile mogłem wywnioskować gość, mimo uprzejmości i pewnej prostoty tonu, był bardzo zarozumiały i oczywiście cenił siebie na tyle, że wizytę swoją uważał za wielki zaszczyt dla każdego. Jestem przekonany, że gdyby książę był sam, to jest bez nas, zachowywałby się z większą godnością i pomysłowością; w owej chwili natomiast zdradzało go coś szczególnie niepewnego w uśmiechu, może już zbyt uprzejmym i jakieś dziwne roztargnienie.

Nie siedzieli nawet pięciu minut, gdy nagle przybył nowy gość i jak na złość - również kompromitujący. Znałem go dobrze i dużo o nim słyszałem, choć on mnie nie znał zupełnie. Był to bardzo jeszcze młody człowiek, dwudziestotrzyletni, doskonale ubrany, z dobrego domu, ładniutki, ale obracający się w bezwzględnie złym towarzystwie. W zeszłym jeszcze roku służył w jednym z wybitniejszych pułków kawaleryjskich gwardii, ale zmuszony był podać się do dymisji dla ogólnie znanych powodów. Krewni publikowali nawet o nim w gazetach, że nie odpowiada za jego długi; ale jeszcze teraz kontynuował swoje hulanki, pożyczając pieniądze na dziesięć procent miesięcznie, uprawiał nałogowo wręcz hazard w domach gry i rujnował się na pewną znaną Francuzką.

Rzecz w tym, że tydzień temu udało mu się wygrać jednego wieczora dwanaście tysięcy, więc triumfował. Z księciem był na stopie przyjacielskiej. Często grywali razem i na spółkę; ale książę aż drgnął, ujrawszy go, jak to zauważyłem z mego miejsca: ten chłopiec wszędzie czuł się jak u siebie w domu, mówił głośno i wesoło, co ślina na język przyniosła, nie krępując się niczym i ma się rozumieć, do głowy mu nie mogło nawet przyjść, że nasz gospodarz tak się wstydzi swego towarzystwa przed ważnym gościem.

Wszedł, przerwał ich rozmowę i zaraz zaczął opowiadać o wczorajszej grze, nawet nie siadając.

- Pan też był, zdaje się - zwrócił się do ważnego gościa, biorąc go za kogoś ze swoich, lecz przyjrawszy się zaraz wykrzyknął: - Ach, przepraszam, wziąłem pana również za kogoś z wczorajszych!

-Aleksiej Władimirowicz Darzan, Ippolit Aleksandrowicz Naszczo-kin - pospiesznie zapoznał ich książę. Tego młodzieńca można było

218

wszakże przedstawić: rodzina dobra i znana, ale nas na przykład nie przedstawił i nadal siedzieliśmy każdy w swoim kącie. Ja stanowczo nie chciałem wtrącać się do nich; ale Stiebielkow na widok młodzieńca zaczął radośnie uśmiechać się i widocznie groził nawiązać rozmowę.

Wszystko to zaczynało być dla mnie nawet zabawne.

- W zeszłym roku spotykałem pana często u hrabiny Wieriginej - rzekł Darzan.
- Pamiętam pana, ale pan wtedy, zdaje się, był w mundurze - uprzejmie odpowiedział Naszczokim.
- Tak, w mundurze, lecz dzięki... A, Stiebielkow już tutaj? Jakim sposobem tu się dostał? Właśnie dzięki takim oto jegomościom nie chodzę w mundurze - wskazał wprost na Stiebielkowa i zaśmiał się.

Stiebielkow również roześmiał się radośnie, prawdopodobnie biorąc to za komplement. Księżę zarumienił się i czym prędzej zwrócił się do Naszczokina z jakimś pytaniem, a Darzan, podszedłszy do Stiebielkowa, zaczął z nim o czymś rozmawiać gorąco, lecz już półgłosem.

- Pan zdaje się, za granicą poznał bliżej Katierinę Nikołajewną Ach-makową? - zapytał gość księcia.
- O, tak, znałem...
- Zdaje się, że tu wyniknie wkrótce pewna nowość. Powiadają, że ona wychodzi za barona Bjoringa.
- To prawda! - zawołał Darzan.
- Pan... wie to na pewno? - zapytał księżę Naszczokina z widocznym podnieceniem i ze szczególnym naciskiem wypowiadając pytanie.

- Mówiono mi; zresztą o tym, zdaje się, już się mówi; zresztą nie wiem na pewno.

- O, na pewno! - zbliżył się do nich Darzan. - Mówił mi to wczoraj Dubasow: on zawsze pierwszy zna takie nowiny. A i księżę powinien był wiedzieć...

Naszczokin przeczekał, aż Darzan skończy i znów zwrócił się do księcia:

- Ona rzadko obecnie bywa w towarzystwie.
- W ostatnim miesiącu jej ojciec był chory - sucho zauważył księżę.
- Zdaje się, że to dama z przeszłością! - wypalił nagle Darzan. Podniosłem głowę i wyprostowałem się.
- Mam przyjemność znać osobiście Katierinę Nikołajewną i uważam za swój obowiązek

oświadczyć, że wszystkie skandaliczne pogłoski - to jedno bezwstydnie łgarstwo... A zostały wymyślone przez tych... którzy zalecali się, ale im się nie powiodło. *f•.. \Ł1,,,: 219

Urwałem głupio i zamilkłem, patrząc na wszystkich wyprostowany i z wypiekami na twarzy.

Wszyscy obrócili się ku mnie, ale wtem Stie-bielkow zachichotał; wyszczerzył się też i porażony

początkowo Darzan.

- Arkadij Makarowicz Dołgorukij - wskazał mnie księżę Darzanowi.

- Proszę mi wierzyć, księżę - szczerze i dobrodusznie zwrócił się do mnie Darzan - Nie mówię w swoim imieniu; jeśli były nawet jakieś plotki, to nie ja je rozpuściłem.

- Och, ja nie do pana! - odpowiedziałem pośpiesznie, ale tymczasem Stiebielkow roześmiał się w niedopuszczalny sposób i właśnie, jak się później wyjaśniło, z tego, że Darzan nazwał mnie księciem. Moje piekielne nazwisko i tu zaszkodziło. I dziś nawet rumienię się na myśl, że w owej chwili powstydzilem się tego wyjaśnić i nie oświadczyłem na głos, że nazywam się po prostu Dołgorukij.

Zdarzyło mi się to po raz pierwszy w życiu. Darzan nic nie rozumiejąc, spoglądał na mnie i na śmiejącego się Stiebielkowa.

- Ach, tak! Co to za ładniutką panienkę przed chwilą spotkałem u pana na schodach, fertyczną blondyneczkę? - spytał księcia.

- Doprawdy, nie wiem, kto to mógł być... - odpowiedział ten szybko, zarumieniwszy się.

- A któż ma wiedzieć? - zaśmiał się Darzan.

- Zresztą, to... to mogła być... - zmieszał się jakoś księżę.

- To... właśnie tego pana siostra była, Lizawieta Makarowna! - Wskazał nagle na mnie Stiebielkow.

- Bo ja też ją przed chwilą spotkałem...

- Ach, rzeczywiście! - podchwycił księżę, lecz tym razem z niezwykle solidną i poważną miną. -

To prawdopodobnie była Lizawieta Makarowna, bliska znajoma Anny Fiodorowny

Stołbiejewej, u której mieszkam obecnie. Na pewno odwiedziła dziś Darię Onisimownę, też bliską znajomą Anny Fiodorowny, która pod jej opieką zostawiła dom, wyjeżdżając...

Tak było rzeczywiście. Ta Daria Onisimowna była matką biednej samobójczyni Oli, o której już opowiadałem; Tatiana Pawłowna w końcu umieściła ją u Stołbiejewej. Wiedziałem bardzo dobrze, że Liza bywała Stołbiejewej i czasami odwiedzała też biedną Darię Onisimownę, którą zresztą wszyscy u nas polubili. Ale wtedy, po owym zresztą bardzo rzeczowym wyjaśnieniu księcia, a szczególnie po głupim wyrwaniu się Stiebielkowa, a być może dlatego, że przed chwilą nazwano mnie księciem - nagle z tego wszystkiego cały się zarumieniłem. Na szczęście w tej samej chwili Naszczokin wstał, zbierając się do wyjścia;

wskazał mi palcem Darzana, który stał w drzwiach, obrócony do nas plecami; pogroziłem Stiebielkowowi pięścią.

Za niespełna minutę zaczął zbierać się także Darzan. Umówił się z księciem na jutro w jakimś znanym im miejscu - w domu gry ma się rozumieć. Wychodząc krzyknął coś do Stiebielkowa, lekko też uklonił się mnie. Ledwie wyszedł, Stiebielkow zerwał się z miejsca i stanął pośrodku pokoju, podniósłszy palec do góry:

- Ten paniczyk następujący kawał odwalił zeszłego tygodnia: dał weksel i sfalszował na blankiecie podpis Awierianowa. Otóż weksel w tym stanie istnieje, ale to jest nie do przyjęcia! Kryminalna sprawa. Osiem tysięcy.

- I na pewno pan ma ten weksel? - spojrzałem na niego z dziką nienawiścią.

- Ja mam bank, ja mam mont de piętę* a nie weksel. Słyszał pan, co to takiego mont de piętę w Paryżu? Chleb i dobrodziejstwo dla ubogich;

mam mont de piętę czyli lombard... x-f «»<

Księżę brutalnie i ze złością powstrzymał go: siu

- Pan tu czego? Po co pan tu siedział?

^ ri;

- A! - zamrugał Stiebielkow. - A to? Czyż nie to?

- Nie, nie, nie, nie to - wykrzyknął księżę i tupnął nogą. - Powiedzia łem już!

; w

- No cóż, jeśli tak... to tak. Tylko że to - nie jest tak...

Raptownie odwrócił się i pochyliwszy głowę, i wyginając plecy, prędko wyszedł.

Księżę krzyknął w ślad za nim, kiedy ten był już w drzwiach. - Niech pan wie, że się pana zupełnie nie boję.

Ogromnie był rozdrażniony, chciał usiąść, ale spojrzawszy na mnie, nie usiadł. Spojrzenie jego jak gdyby i do mnie mówiło: „A ty po co tu sterczysz?”

- }a, księżę... - zacząłem.

- Doprawdy, nie mam czasu, Arkadiju Makarowiczu, zaraz muszę jechać.

- Jedna chwilka, księżę, jest to dla mnie mam bardzo ważne. Przede wszystkim proszę przyjąć z powrotem pańskie trzysta rubli.

- A to cóż znowu? - chodził, lecz zatrzymał się.

* potoczna nazwa lombardu

221

- A to, że po tym, co było... i co pan mówił o Wiersilowie, że jest niehonorowy i w końcu, pański ton przez cały ten czas... Jednym słowem, nie mogę przyjąć.

- Jednakże, przyjmował pan przez cały miesiąc. Usiadł nagle na krześle. Stałem przy stole, jedną ręką przewracałem książkę Bielińskiego, a w drugiej trzymałem kapelusz.

- Były inne uczucia, książę... I w końcu nigdy bym nie doprowadził do pewnej sumy... Ta gra...

Jednym słowem, nie mogę!

- Pan po prostu niczym się nie popisał i dlatego się złości. Bardzo bym pana prosił o pozostawienie tej książki w spokoju.

- Co to ma znaczyć: „nie popisał się”? I na koniec pan wobec swych gości potraktował mnie na równi ze Stiebielkowem.

- Ach, oto rozwiązanie! - uśmiechnął się jadownicie. -A do tego pan się zawstydził, że Darzan nazwał pana księciem. Zaśmiał się ze złością. Wybuchnąłem:

- Nie rozumiem nawet... Pańskiego tytułu książęcego nie wziąłbym nawet za darmo.

- Znam pana charakterek. Jak śmiesznie pan krzyknął w obronie Achmakowej... Proszę zostawić książkę!

- Co to znaczy? I - zawołałem i ja.

- Nie-ruszać książki!- zawył nagle prostując się w fotelu, jakby gotów był rzucić się na mnie.

- To przechodzi już wszelkie granice - rzekłem i wyszedłem szybko z pokoju. Ale nie doszedłem jeszcze do końca sali, gdy krzyknął za mną od drzwi gabinetu:

- Arkadiju Makarowiczu, niech pan wraca! Wracaj! Wracaj pan zaraz!

Nie słyszałem i szedłem. Szybkimi krokami dogonił mnie, chwycił za rękę i pociągnął z powrotem do gabinetu. Nie opierałem się.

- Niech pan bierze! - mówił blady ze wzruszenia, podając rzucone przeze mnie trzysta rubli. - Bierz pan koniecznie... inaczej my... koniecznie!

- Jakże ja mogę wziąć, książę?

- Ja pana proszę o przebaczenie, chce pan? No, niech mi pan przebaczy!...

- Książę, ja pana zawsze lubiłem i jeżeli pan mnie również?...

- Ja również, niech pan weźmie... Wziąłem. Wargi mu drżały.

222

- Rozumiem, książę, że pana rozwścieczył ten łajdak... ale nie wezmę inaczej, jeśli nie uściskamy się jak po poprzednich niesnaskach... Mówiąc to również drżałem.

- Ach te czułości - mruknął książę, uśmiechając się ze zmieszaniem, ale pochylił się i pocałował mnie w policzek. Drgnąłem, w jego twarzy w chwili pocałunku wyczytałem wyraźny wstręt.

- Przyniósł panu przynajmniej pieniądze?

- Et, wszystko jedno.

- Mnie o pana przecież chodzi...

- Przyniósł, przyniósł...

- Książę, byliśmy przyjaciółmi... i w końcu Wiersiłow...

- Ależ tak, tak, dobrze!

- I ostatecznie, naprawdę nie wiem, te trzysta... Trzymałem je w ręku.

- Bierz pan, bierz pan - uśmiechnął się znowu, ale w jego uśmiechu było coś bardzo niedobrego.

Wziąłem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wziąłem dlatego, że go kochałem. Kto nie uwierzy, temu odpowiem, że przynajmniej w owej chwili, kiedy brałem od niego te pieniądze, byłem mocno przekonany, że gdybym chciał, to przecież jeszcze więcej mógłbym otrzymać z innego źródła. A zatem nie z ostateczności wziąłem, lecz przez delikatność, żeby go nie urazić! Niestety, tak wówczas rozumowałem! Jednakże było mi bardzo przykro, gdy od niego wychodziłem: widziałem jego niezwykłą zmianę w stosunku do mnie tego ranka; nigdy dotąd nie użył takiego tonu, a to, że wystąpił przeciwko Wiersiłowowi, to był już kompletny bunt. Oczywiście Stiebielkow też czymś tam mu przed chwilą dopiekł, ale zaczął jeszcze przed przyjściem Stiebielkowa. Raz jeszcze powtórzę: zmianę w porównaniu z poprzednimi stosunkami można było zauważyć już w ciągu ostatnich dni, ale nie taką jak dziś, nie do tego stopnia - oto co było najważniejsze.

Mogła też wpłynąć i głupia wiadomość o tym adiutancie dworu, baronie Bjoringu... Ja również

wyszedłem poruszony, ale... Otóż to właśnie, że wówczas prześwitywało coś innego, a ja wiele rzeczy lekkomyślnie przeoczyłem: starałem się omijać, odpędzałem wszystko co ciemne, a zwracałem się do jaśniejszego.

Jeszcze nie było pierwszej po południu. Od księcia z moim Matwiejem udałem się prosto - czy uwierzycie do kogo? - do Stiebielkowa! Otóż to właśnie, że zadziwił mnie nie tyle swym przyjściem do księcia (bo obiecywał mu wizytę), ile tym, że chociaż swoim głupim zwyczajem mrugał na mnie, lecz nie w związku z tym, czego się spodziewałem. Poprzedniego dnia wieczorem otrzymałem od niego pocztą miejską dość zagadkowy dla mnie bilecik, w którym prosił mnie bardzo o przybycie do niego właśnie dziś o drugiej i „że może zakomunikować mi pewne niespodziewane rzeczy”. I o tym właśnie liście tam u księcia

224

żadnym znakiem nie przypomniał. Jakie sekrety mogły być między mną i Stiebielkowem? Taka idea nawet była śmieszna; ale wobec tego wszystkiego, co zaszło, udając się do niego byłem nieco podekscytowany. Oczywiście zwracałem się do niego dwa tygodnie temu o pieniądze i on miał mi je dać, ale z jakiegoś powodu poróżniliśmy się wówczas i nie wziąłem. Wtedy bąknął coś niewyraźnie swoim zwyczajem i wydało mi się, że chciał mi coś zaproponować, jakieś szczególne warunki; a ponieważ, ilekroć spotkałem go u księcia, traktowałem go w sposób zdecydowanie wyniosły, dumnie odrzuciłem wszelką myśl o specjalnych warunkach i wyszedłem, mimo że gonił

mnie aż do drzwi; wówczas pożyczyłem od księcia.

Stiebielkow mieszkał zupełnie samotnie, ale zamożnie: mieszkanie z czterech pięknych pokoiów złożone, ładne meble, służba męska i żeńska, i jakaś gospodyni, zresztą dość podstarzała.

Wszedłem rozgniewany.

- Słuchajcie no, ojczulku - zacząłem już od drzwi. - Co znaczy przede wszystkim ten bilecik? Nie dopuszczam możliwości korespondencji między nami. I dlaczego przed chwilą u księcia nie powiedział pan wprost, czego chce? Byłem do pańskich usług.

- A dlaczego pan wtedy też milczał i nie zapytał? - otworzył usta w uśmiechu pełnym zadowolenia z siebie.

- Dlaczego, że nie ja do pana mam interes, lecz pan do mnie - krzyknąłem, uniósłszy się nagle.

- A dlaczego pan do mnie przybył, jeżeli tak? - niemal że podskoczył na miejscu z zadowolenia.

Momentalnie odwróciłem się i chciałem wyjść, ale chwycił mnie za ramię.

- Nie, nie - ja żartowałem. Sprawa ważna, sam pan się przekona. Usiadłem. Przyznaję, że byłem ciekaw. Usiedliśmy przy dużym biurku naprzeciwko siebie. Uśmiechnął się chytrze i podniósł palec.

- Prosiłbym bez pańskich chytrych, bez palców i bez wszelkich alegorii - prosto do rzeczy, bo jak nie, zaraz wyjdę! - wykrzyknąłem znowu rozgniewany.

- Pan... dumny! - wyrzekł z jakimś głupim wyrzutem, pochyliwszy się ku mnie z fotela i ściągnął do góry wszystkie zmarszczki na czole.

- Z panem tak właśnie trzeba!

- Pan... wziął dziś od księcia pieniądze, trzysta rubli. Ja mam pieniądze. Moje pieniądze są lepsze.

- Skąd pan wie, że brałem? - zdziwiłem się ogromnie. - On sam panu o tym powiedział?

225

- Powiedział; niech pan będzie spokojny, to tylko mimochodem wyszło z jednego tylko słowa, nieumyślnie. Powiedział mi. A można było nie brać od niego. Tak czy nie?

- Ale słyszałem, że pan zdiera niemożliwe procenty.

- Prowadzę mont de piętę*, ale nie zdieram. Mam go tylko dla przyjaciół, a innym nie daję. Dla innych mont de piętę...

Ów mont de piętę było to najzwyczajniejsze pożyczanie pod zastaw, na inne nazwisko, w innym mieszkaniu, ale kwitujące.

- A przyjaciołom daję większe kwoty.

- Cóż, czyż książę jest takim pana przyjacielem?

- Przy-ja-ciel; ale... bzdury opowiada. A jemu nie wolno robić głupstw.

- Cóż to, tak go pan ma w ręku? Dużo winien?

- No... dużo winien.

- Zapłaci panu, ma spadek.

- To nie jego spadek; winien jest pieniądze i coś innego jeszcze. Spadek nie wystarcza. Ja panu dam bez procentów.

- Też jako „przyjacielowi”? Czymże na to zasłużyłem? - roześmiałem się.

- Pan zasłuży - znowu przybliżył się do mnie całym ciałem i podniósł palec.

- Stiebielkow! Bez palców, bo wyjdę.

- Niech pan posłucha... on może się ożenić z Anną Andriejewną! -i po diabelsku przymrużył lewe

oko.

- Słuchaj pan, Stiebielkow, nasza rozmowa zaczyna nabierać skandalicznego charakteru... jak pan śmie wspominać imię Anny Andriejewny?

- Niech się pan nie gniewa.

- Z trudem tylko mogę słuchać, bo widzę tu jakąś sztuczkę i chcę się dowiedzieć... Ale mogę nie wytrzymać, panie Stiebielkow!

- Niech się pan nie gniewa, niech się pan nie wbija w dumę. Tylko trochę niech pan spuści z dumy i wysłucha, a potem znowu niech się pan pyszni. Przecież wie pan o Annie Andriejewnie?

Przecież o tym, że ksiązę może się ożenić - pan wie?

- Słyszałem o tym pomyśle, oczywiście, że wiem wszystko; ale nigdy o tej idei nie rozmawiałem z księciem. Wiem tylko, że pomysł ten zrodził się w głowie starego księcia Sokolskiego, który i teraz jest jeszcze chory; nigdy jednak o tym nic nie mówiłem i nie brałem w tym udziału.

Oświadczając to panu jedynie dla wyjaśnienia, pozwolę sobie zapytać, po pierwsze, dlaczego ze mną pan zaczął o tym mówić? A po drugie - czy ksiązę z panem o takich rzeczach rozmawia?

- On ze mną nie rozmawia, nie chce ze mną mówić. Ja z nim mówię, a on nie chce słuchać. Tym razem krzyczał.

- Tak należy! Pochwalam go za to.

- Staruszek, ksiązę Sokolski, da duży posag za Annę Andriejewnę; spodobała mu się. Wtedy nowożeniec ksiązę Sokolski odda mi całą należność. I dług niepieniężny też odda. Na pewno odda. A teraz nie ma z czego oddać.

- Ale ja, ja na co panu jestem potrzebny?

- Do najważniejszej kwestii: pan jest znajomy, pan wszystkich tam zna. Może pan się wszystkiego dowiedzieć!

- Ach, do diabła... czego dowiedzieć się?

- Czy ksiązę tego chce, czy Anna Andriejewna chce, czy stary ksiązę chce? Dowiedzieć się na pewno.

- I pan śmie proponować mi, żebym był pańskim szpiegiem i to za pieniądze! - skoczyłem z oburzenia.

- Niech się pan nie pyszni, niech się pan nie pyszni. Jeszcze tylko trochę niech pan nie będzie dumny, tylko pięć minut.

Znowu mnie posadził. Widocznie nie bał się mych gestów i okrzyków, ale zdecydowałem się wysłuchać do końca.

- Muszę prędko się dowiedzieć, prędko, bo być może wkrótce będzie za późno. Widział pan dzisiaj, jak mu nie w smak poszło, kiedy officer zaczął mówić o baronie i Achmakowej?

Niewątpliwie ponizalem się, słuchając dalej, lecz ciekawość moja zmusiła mnie do pozostania.

- Słuchaj pan... nędznik pan jesteś! - powiedziałem stanowczo. - Jeżeli siedzę tu i słucham, i pozwalałem mówić o tych osobach... i nawet sam opowiadam, to bynajmniej nie dlatego, że przyznaję panu do tego prawo. Po prostu widzę w tym jakieś łajdactwo... A przede wszystkim, jakie nadzieje może mieć książę wobec Katieriny Nikołajewny?

- Żadnych, ale złości się.

- To nieprawda!

- Wścieka się. Teraz, rzecz jasna, co do Achmakowej - pas. Tu partie przegra! Teraz została mu tylko Anna Andriejewna. Dam panu dwa tysiące... bez procentów i weksli.

227

Powiedziawszy to, w sposób poważny i zdecydowany odchylił się na oparcie fotela i wytrzeszczył na mnie oczy. Ja również wpatrywałem się w niego.

- Pan nosi ubranie z ulicy Dużej Milionowej; potrzebne są na to pieniądze, bardzo potrzebne, a moje pieniądze są lepsze niż jego. Dam więcej niż dwa tysiące...

- Ale za co? Za co, do diabła?

Tupnąłem nogą. Pochylił się ku mnie i rzekł wyraźnie:

- Za to, żeby pan nie przeszkadzał.

- Ależ ja i bez tego nie wtrącam się - wykrzyknąłem.

- Wiem, że pan milczy, to dobrze.

- Nie potrzebuję pańskich pochwał. Sam tego bardzo pragnę ze swej strony, ale uważam, że to nie moja rzecz i że mi nawet nie wypada.

- Otóż to, otóż właśnie, nie wypada! - podniósł palec do góry.

- Co za: otóż to?

- Nie wypada!... Hę!... - i zaśmiał się nagle. - Ja rozumiem, rozumiem, że panu nie wypada, ale...

przeszkadzać pan nie będzie? - mrugnął znowu. Ale w tym mruganiu było już coś tak

natrętnego, nawet drwiącego! Widocznie przypuszczał we mnie jakąś nikczemność i liczył na tę nikczemność... To było wyraźne, ale zupełnie nie mogłem zrozumieć, w czym rzecz.

- Anna Andriejewna - też pańska siostra - rzekł z naciskiem.

- O tym niech się pan nie waży mówić. I w ogóle niech pan nie waży się mówić o Annie Andriejewnie.

- Niech pan nie pyszni się jeszcze tylko przez momencik! Niech pan słucha: kiedy on otrzyma pieniądze, to wszystkich zabezpieczy - z naciskiem rzekł Stiebielkow. -Wszystkich, wszystkich, pan śledzi za mną?

- Więc pan myśli, że wezmę od niego pieniądze?

- No, a teraz pan przecież bierze? ii; - Biorę swoje! m - Jakie swoje?

- To - pieniądze wiersiłowskie; on winien jest Wiersiłowowi dwadzieścia tysięcy.

- To Wiersiłowowi, a nie panu.

- Wiersiłow jest moim ojcem.

- Nie, pan jest Dołgorukij - a nie Wiersiłow.

- To wszystko jedno!

Rzeczywiście wówczas mogłem tak rozumować! Wiedziałem, że nie wszystko jedno, nie byłem taki głupi, a jednak, znowu przez „delikatność”, tak wtedy rozumowałem.

228

- Dość! - krzyknąłem - Nic zgoła nie rozumiem. I jak pan śmiał wzywać mnie dla takich głupstw.

- Czy doprawdy pan nie rozumie? Czy pan tak naumyślnie, czy nie? - powoli zaczął mówić Stiebielkow, przeszywając mnie wzrokiem z jakimś niedowierzającym uśmiechem.

- Przysięgam, że nic nie rozumiem!

- Ja powiadam: on może wszystkich zabezpieczyć, wszystkich; tylko niech pan nie przeszkadza i nie odmawia...

- Pan widocznie zwariował! Dlaczego pan wyjeżdża z tym „wszystkich”? Czy on Wiersiłowa zabezpieczy, czy jak?

- fest nie tylko pan i nie tylko Wiersiłow... tu są inni jeszcze. A Anna Andriejewna jest dla pana taką

samą siostrą, jak i Lizawietą Makarowną!

Patrzyłem wytrzeszczywszy oczy. Nagle coś jakby politowanie błysnęło w jego wstrętnym spojrzeniu.

- Nie rozumie pan - tym lepiej. To dobrze, bardzo dobrze, że pan nie rozumie. To nawet chwalebne... Rozwścieczyło to mnie zupełnie.

- Do diabła z panem, pan jest obłąkany! - krzyknąłem chwytając za kapelusz.

- To nie są głupstwa! Więc odchodzi pan. A wie pan, że pan wróci?

- Nie - odciąłem w progę.

- Przyjdzie pan i wtedy... wtedy będzie inna rozmowa. Będzie zasadnicza rozmowa. Dwa tysiące, niech pan pamięta!

ii

Wywarł na mnie takie brudne i mętne wrażenie, że po wyjściu starałem się nie myśleć i tylko spluwałem. Myśl, że książkę mógł z nim mówić o mnie i o tych pieniądzach, ukłuła mnie jak szpilka. „Wygram i dziś jeszcze zwrócę” - pomyślałem stanowczo.

Mimo całej głupoty i niezręczności w wysławianiu się Stiebielkowa -widziałem w nim jaskrawego łajdaka, w całym jego blasku; a co najważniejsze, musiała tu się ukrywać jakaś intryga.

Tylko że nie miałem czasu wtedy wnikać w jakiegokolwiek intrygi i to było główną przyczyną mej kurzej ślepoty!

Z niepokojem spojrzełem na zegarek, ale nie było jeszcze drugiej; więc można było jeszcze załatwić jedną wizytę; bez tego umarłbym z niepokojem do trzeciej godziny.

229

Pojechałem do mojej siostry Anny Andriejewny Wiersiłowej. Zbliżyłem się z nią już od dawna u mojego staruszka księcia, jeszcze za czasów jego choroby. Idea, że już trzy, czy cztery dni go nie widziałem, męczyła moje sumienie; ale właśnie Anna Andriejewna wyręczyła mnie. Książę niezwykle się do niej przywiązał i nawet, mówiąc do mnie, nazywał ją swoim aniołem stróżem. A propos: pomysł wydania jej za księcia Siergieja Piotrowicza rzeczywiście powstał w głowie mego staruszka i nieraz mówił mi o tym, oczywiście w sekrecie. Przekazałem tę ideę Wiersiłowowi, zauważywszy już wcześniej, że ze wszystkich rzeczy aktualnych, które były dlań tak obojętne, Wiersiłow interesował się najbardziej tym, kiedy mu coś komunikowałem o spotkaniach z Anną Andriejewną. Wiersiłow mruknął wtedy, że Anna Andriejewna jest mądra i może obejść się bez rad osób postronnych w tak drażliwej sprawie. Rozumie się, że Stiebielkow miał rację, iż staruszek wyznaczy jej posag, ale jakże śmiało spodziewać się jakiegoś zysku dla siebie? Niedawno młody książę krzyknął za nim, że go się wcale nie boi: może rzeczywiście Stiebielkow rozmawiał z nim w gabinecie o Annie Andriejewnie; wyobrażam sobie, jaki byłbym wściekły na jego miejscu.

U Anny Andriejewny w ostatnim czasie bywałem nawet dość często. Zawsze jednak zdarzała się pewna osobliwość: mimo że zawsze prosiła, żebym przyjechał i na pewno oczekiwała mnie, lecz ledwie wchodziłem -za każdym razem robiła minę, jak gdybym wszedł nieoczekiwanie i niespodziewanie. Zauważyłem w niej tę osobliwość, niemniej jednak przywiązałem się do niej.

Mieszkała ona u Fanariotowej, swej babki, naturalnie jako jej wychowanica (Wiersiłow nic nie dawał na ich utrzymanie), lecz bynajmniej nie w tej roli, w jakiej opisują zazwyczaj wychowanie w domach wielkich dam, jak u Puszkina, na przykład w „Damie Pikowej” -wychowanica starej hrabiny. Anna Andriejewna sama była kimś w rodzaju hrabiny. Mieszkała w tym domu zupełnie osobno, to znaczy chociaż na tym samym piętrze, w tym samym mieszkaniu, co Fanariotowowie, ale w oddzielnych dwóch pokojach, tak, że na przykład wchodząc i wychodząc, ani razu nie spotkałem nikogo z Fanariotowów. Miała prawo przyjmować u siebie kogo chciała i spędzać czas jak się jej podobało. Co prawda, miała już dwudziesty trzeci rok. W ostatnim roku przestała niemal zupełnie bywać w świecie, mimo że Fanariotowa nie skąpiła na wydatki swej wnuczki, którą jak słyszałem, bardzo kochała.

Mnie zaś właśnie bardzo się to w Annie Andriejewnie podobało, że spotykałem ją zawsze w takich skromnych sukniach, zawsze przy jakimś zajęciu: z książką lub robótką. W wyglądzie jej było coś klasztornego, niemal

230

mnisiego i to mi się podobało. Nie była wielomówna, ale zawsze słowa jej miały wagę, a przy tym wspaniale umiała słuchać, czego ja nigdy nie potrafiłem. Gdy mówiłem jej, że nie mając z nim żadnego wspólnego rysu, niezwykle jednak przypomina mi Wiersiłowa, zawsze nieco rumieniła się. Rumieniła się często i szybko, ale zawsze tylko troszkę, a ja bardzo polubiłem tę właściwość jej twarzy. Nigdy u niej nie nazywałem Wiersiłowa po nazwisku, lecz zawsze Andriejem Piotrowiczem, jakoś to się już tak samo robiło. Zauważyłem bardzo dobrze, że widocznie u Fanariotowów wstydzono się Wiersiłowa; zrobiłem zresztą to spostrzeżenie tylko na podstawie obserwacji Anny Andriejewny, choć nie wiem, czy można tu użyć wyrazu „wstydzono się”. Było jednak coś w tym rodzaju. Rozmawiałem też z nią o księciu Siergieju Piotrowiczu, a ona słuchała bardzo uważnie i, jak mi się zdawało, interesowała się tymi wiadomościami; ale zawsze tak się zdarzało, że sam je komunikowałem, a ona nigdy nie wypytywała. O możliwości małżeństwa między nimi, nigdy nie ważyłem się z nią rozmawiać; choć pragnąłem tego, bo i mnie samemu pomysł ten podobał się częściowo.

Ale w jej pokoju jakoś nie odważyłem się bardzo mówić o wielu rzeczach, choć z drugiej strony - bardzo mi tam było dobrze. Podobało mi się też, że jest ogromnie wykształcona i dużo czyta, a nawet poważne książki. Była o wiele więcej odczytana niż ja.

Po raz pierwszy sama mnie do siebie wezwała. Rozumiałem już wówczas, że być może liczyła, iż dowie się czasami o czymś ode mnie.

O, w owym czasie wielu ludzi mogło bardzo wiele wyciągnąć ze mnie! „Więc cóż z tego, myślałem, przecież nie tylko dlatego mnie przyjmuje”; jednym słowem nawet byłem zadowolony, że mogę jej

być pożyteczny i... i kiedy byłem u niej, zawsze mi się wydawało, że to moja siostra siedzi obok mnie, chociaż o naszym pokrewieństwie ani razu z nią nie rozmawialiśmy - ani słowem, ani aluzją nie napomknęliśmy, jak gdyby tego zupełnie nie było. Gdy byłem u niej, zdawało mi się zupełnie nie do pomyślenia, żeby mówić o tym i doprawdy, gdym patrzył na nią -

przychodziło mi do głowy niedorzeczne przypuszczenie: że ona być może, nie wie nic o tym pokrewieństwie, do tego stopnia dyskretne było jej zachowanie wobec mnie.

—

Wszedłszy zastałem u niej niespodziewanie Lizę. Uderzyło mnie to niemal. Wiedziałem bardzo dobrze, że poznały się już dawniej; doszło do tego jeszcze przy „niemowlęciu”. O tej fantazji dumnej i wstydlivej Anny

231

Andriejewny, żeby zobaczyć to dziecko, i o spotkaniu tam z Liżą, może opowiem później, jeżeli będzie miejsce. W każdym razie nie spodziewałem się, żeby Anna Andriejewna kiedykolwiek zaprosiła Lizę do siebie. Zdumiało mnie to w sposób przyjemny. Nie zdradzając się z tym, po przywitaniu z Anną Andriejewna i serdecznie uściskawszy rękę Lizy, usiadłem obok niej. Obie panny zajęte były pracą: na stole i na kolanach miały drogą suknię wizytową Anny Andriejewny.

Suknia była stara, to jest wielokrotnie już użyta przez właścicielkę, która chciała ją jakoś przerobić.

Liza była mistrzynią w tej dziedzinie i miała gust, a przeto odbywała się uroczysta narada

„mądrych niewiast”. Przypomni mi się Wiersiłow i roześmiałem się; w ogóle zresztą byłem w doskonałym nastroju.

- Pan dziś bardzo wesoły, to bardzo miłe - rzekła Anna Andriejewna z powagą i dobitnie wymawiając wyrazy. Głos miała pełny, dźwięczny, kontraltowy, ale mówiła zawsze spokojnie i cicho, zawsze opuszczając nieco swoje długie rzęsy i z ledwie prześwitującym uśmiechem na bladej twarzy.

- Liza wie, jaki potrafię być niemiły, gdy nie jestem wesoły - odpowiedziałem żartobliwie.

-A może i Anna Andriejewna wie o tym - ukuła mnie figlarnie Liza. Kochana! Gdybym to wiedział, co się wtedy w jej w duszy działo!

- Czym się pan teraz zajmuje? - zapytała Anna Andriejewna (zwracam uwagę, że właśnie specjalnie prosiła mnie, żebym był u niej tego dnia).

- Obecnie siedzę tu i pytam siebie: dlaczego zawsze przyjemniej mi znaleźć panią przy książce, niż przy ręcznej robocie? Nie, doprawdy, z pracą ręczną niekoniecznie jest pani do twarzy. Pod tym względem jestem podobny Andrieja Piotrowicza.

- Nie zdecydował się pan jeszcze wstąpić na uniwersytet?

- Wielce wdzięczny jestem za to, że pani nie zapomina naszych rozmów: znaczy to, że czasami pani o mnie myśli, ale... co do uniwersytetu, nie wyrobiłem sobie jeszcze zdania, a przy tym mam swoje cele.

- To znaczy, ma swój sekret - zauważyła Liza.

- Daj spokój żartom, Lizo. Pewien mądry człowiek powiedział w tych dniach, że w całym tym naszym postępowym ruchu przez ostatnie dwudziestolecie - dowiedliśmy przede wszystkim, że jesteśmy niechlujnie niedokształceni. Oczywiście stosowało się to też do naszego świata uniwersyteckiego.

- No, to na pewno tatuś powiedział; strasznie często powtarzasz jego myśli - zauważyła Liza.

232

- Doprawdy Lizo, mówisz tak, jakbyś sądziła, że nie mam własnego rozumu.

- W naszych czasach pożytecznie jest przysłuchiwać się słowom ludzi mądrych i zapamiętywać je - z lekka ujęła się za mną Anna Andriejewna.

- Właśnie tak, Anno Andriejewno - podchwyciłem gorąco. - Kto nie myśli o sytuacji Rosji w chwili obecnej, ten nie jest obywatelem! Patrząc na Rosję być może z dziwnego punktu widzenia; przeżyliśmy najście tatarskie, potem dwuwiekowe niewolnictwo, a to drugie już oczywiście dlatego, że nam przypadło do smaku. Teraz dano nam wolność i trzeba tę wolność unieść: czy potrafimy? Czy również do smaku przypadnie nam wolność? Oto pytanie.

Liza szybko spojrzała na Annę Andriejewnę, a ta pochyliła głowę i zaczęła czegoś szukać wkoło siebie; widziałem, że Liza z całej siły powstrzymywała się, ale nagle spojrzenia nasze spotkały się i parsknęła śmiechem; wybuchnąłem:

- Lizo, jesteś niepojęta!

- Przebacz mi - powiedziała nagle przestawszy się śmiać i prawie ze smutkiem. - Bóg wie, co mi chodzi po głowie.

I jak gdyby łzy zadrżały nagle w jej głosie. Zrobiło mi się strasznie wstyd: wziąłem jej rękę i mocno pocałowałem.

- Bardzo pan jest dobry - miękko zauważyła Anna Andriejewna, ujrawszy, że całuję rękę Lizy.

- Najbardziej jestem rad, Lizo, że tym razem spotykam cię śmiejącą się - powiedziałem. - Czy uwierzy pani, Anno Andriejewno: w ostatnich dniach za każdym razem Liza witała mnie jakimś dziwnym spojrzeniem, a w spojrzeniu jakby pytaniem: „Co, czy przypadkiem nie dowiedział się czego? Czy wszystko przebiega pomyślnie?” Doprawdy, z nią jest coś w tym rodzaju.

Anna Andriejewna powoli, przenikliwie popatrzyła na nią, Liza pochyliła głowę. Zresztą widziałem

bardzo dobrze, że znają się więcej i bliżej, aniżeli mogłem przypuszczać, wchodząc przed chwilą; myśl ta sprawiła mi przyjemność.

- Pani powiedziała przed chwilą, że jestem dobry; nie uwierzy pani, jak się cały czas na lepsze zmieniam i jak mi przyjemnie być u pani, Anno Andriejewno - powiedziałem z uczuciem.

- A ja jestem bardzo zadowolona, że pan właśnie teraz tak mówi - odpowiedziała mi znacząco.

Muszę powiedzieć, że nigdy nie zaczynała rozmów ze mną o moim nieporządnym życiu i o odmęcie, w którym się

233

zanurzyłem, choć, wiedziałem, że o tym wszystkim nie tylko wiedziała, lecz nawet rozpytywała na stronie. Także teraz to było czymś w rodzaju pierwszej aluzji i - serce moje jeszcze bardziej zwróciło się ku niej.

- Jak nasz chory? - zapytałem.

- O, jest mu znacznie lepiej: chodzi, a wczoraj i dziś już jeździł dorożką. A czyżby pan nie zachodził do niego dzisiaj? On na pana bardzo czeka.

- Czuję się winny przed nim, ale teraz pani go odwiedza i mnie w zupełności zastąpiła: wielki zdrajca z niego i mnie na panią zamienił.

Zrobiła poważną minę, bardzo być może, że mój żart odebrała jako trywialny. - Byłem niedawno u księcia Siergieja Piotrowicza - wybełkotałem. - I ja... Nawiasem mówiąc, Lizo, przecież zachodziłaś niedawno do Darii Onisimownej?

- Tak, byłam - jakoś krótko odpowiedziała nie podnosząc głowy. - Lecz przecież ty, zdaje się, codziennie chodzisz do chorego księcia? - zapytała jakoś tak nagle, zapewne żeby coś powiedzieć.

- Tak, chodzę do niego, lecz nie dochodzę - uśmiechnąłem się. - Wchodzę i skręcam w lewo.

- Nawet księżę zauważył, że pan bardzo często zachodzi do Katieri-ny Nikołajewny. Wczoraj mówił to i śmiał się - powiedziała Anna Andriejewna.

- Dlaczego, dlaczego śmiał się?

- Żartował, sam pan wie. Mówił, że na odwrót, młoda i piękna kobieta młodego człowieka w pańskim wieku zawsze oburza i gniewa... - zaśmiała się raptem Anna Andriejewna.

- Proszę posłuchać... Wie pani, niezwykle celnie to powiedział - krzyknąłem. - Zapewne to nie on, a pani mu to powiedziała?

- Ależ dlaczego? Nie, to on.

- A jeśli ta piękna kobieta zwróci na niego uwagę, mimo że jest tak nędzny z wyglądu, stoi w kącie i złości się, bo jest „malutki” i nagle wybierze go z całego tłumu otaczających ją adoratorów, co wtedy? -zapytałem śmiało i wyzywająco. Serce mi zastukało.

- Wtedy przypadniesz tu przed nią - zaśmiała się Liza.

- Przepadnę? - krzyknąłem. - Nie, nie przepadnę. Wydaje mi się, że nie przepadnę. Jeśli kobieta stanie w poprzek mej drogi, wtedy musi iść za mną. Mojej drogi nie można przeciąć bezkarnie...

Liza mówiła mi pewnego razu mimochodem, wspominając już długo potem, że wypowiedziałem tę frazę dziwnie, poważnie i jakby po namyśle; lecz w tym samym czasie „tak śmiesznie, że nie było możliwości wytrzymać”, rzeczywiście, Anna Andriejewna znowu roześmiała się.

234

- Śmiejcie się, śmiejcie się nade mną! - wykrzyknąłem w upojeniu, ponieważ cała ta rozmowa i jej kierunek bardzo mi się spodobały. -Z waszej strony to jest tylko czysta przyjemność. Kocham pani śmiech, Anno Andriejewna! Ma pani taką cechę: milczy pani i nagle roześmieje się, w jeden moment, tak że za moment nikt się nawet nie domyśli z wyrazu twarzy. Znałem w Moskwie pewną damę, z oddalenia, patrzyłem z kąta: była tak wspaniałą osobą jak pani, lecz nie umiała tak śmiać się i twarz jej, tak samo pociągająca jak u pani - traciła cały powab; u pani zaś bardzo pociąga... właśnie tą właściwością... Dawno chciałem to pani powiedzieć.

Kiedy powiedziałem o damie, że „była tak wspaniałą osobą jak pani”, użyłem fortelu: udałem, że wyrwało mi się to niechcący, tak jakbym tego nie zauważył; dobrze wiedziałem, że taką pochwałą, która się „wyrwała”, kobieta oceni wyżej niż jakikolwiek wymyślony komplement. Anna Andriejewna zaczerwieniła się, wiedziałem, że jest jej przyjemnie. Także tę damę wymyśliłem: nie znałem żadnej w Moskwie; wymyśliłem ją, żeby pochwalić Annę Andriejewna i zrobić jej przyjemność.

- Naprawdę można pomyśleć - miło uśmiechnęła się - że w ostatnie dni znajdował się pan pod wpływem jakiejś pięknej kobiety.

Tak jakbym leciał gdzieś... Chciało mi się nawet przed nią się odsłonić... lecz powstrzymałem się.

- A tak nawiasem mówiąc, niedawno jeszcze wyrażał się pan o Ka-tierinie Nikołajewnie zupełnie wrogo.

- Jeśli wyrażałem się niedobrze - błysnąłem oczami - to winą było monstrualne oszczerstwo, że ona jest wrogiem Andrieja Piotrowicza; oszczerstwo też w tym, że niby kochał ją, składał jej propozycje i temu podobne niedorzeczności. Ta idea jest tak potworna, jak i drugie oszczerstwo na nią, że niby jeszcze za życia męża obiecała księciu Siergiejowi Piotrowiczowi wyjść za niego, kiedy owdowieje, a potem nie dotrzymała słowa. Lecz wiem z pierwszej ręki, że to wszystko nie tak, że to był tylko żart. Z pierwszej ręki to wiem. Pewnego razu za granicą w pewnej chwili rzeczywiście powiedziała księciu żartem: „być może” w przyszłości; lecz cóż to mogło znaczyć oprócz lekkiego słowa? Zbyt dobrze wiem, że księżę ze swej strony żadnego znaczenia nie przywiązuje do takiej obietnicy, a

nawet nie zamierza - dodałem spostrzegłszy się.

- Ma, zdaje się, zupełnie inne idee - wtrąciłem chytrze. - Niedawno u niego Naszczokin mówił, że niby Katierina Nikołajewna wychodzi za mąż za barona Bjoringa. Proszę mi wierzyć, że ta wiadomość nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

235

- Był u niego Naszczokin? - nagle, dobitnie i jakby ze zdziwieniem, zapytała Anna Andriejewna.

- O tak; zdaje się należy do porządnych ludzi...

- I Naszczokin rozmawiał z nim o ślubie z Bjoringiem? - bardzo zainteresowała się nagle Anna Andriejewna.

- Nie o ślubie, a tak, o możliwości, jako słuch; mówił że w towarzystwie niby takie słuchy się pojawiły; jeśli o mnie chodzi, jestem pewny, że to bzdura.

Anna Andriejewna pomyślała i pochyliła się nad swoim szyciem.

- Lubię księcia Siergieja Piotrowicza - dodałem nagle z żarem. - Ma liczne niedostatki, bezspornie, mówiłem już, właśnie jakieś przywiązanie do jednej idei... Lecz i niedostatki świadczą także o szlachetności duszy, nieprawdaż? Dziś, na przykład, omal nie pokłóciliśmy się o pewną ideę: jego przekonanie, że jeśli mówi się o szlachetności, to trzeba samemu być szlachetnym, jeśli nie, to wszystko, co się mówi - to kłamstwo. Czy to logiczne? A przecież to świadczy o wysokich wymaganiach co do honoru w jego duszy, co do obowiązku, sprawiedliwości, czyż nie

prawda?... Ach, mój Boże, która godzina? - nagle krzyknąłem niechcący spojrzawszy na cyferblat zegara na kominku.

- Za dziesięć trzecia - spokojnie powiedziała, spojrzawszy na zegar. Przez cały czas, kiedy mówiłem o księciu, słuchała mnie ze spuszczonego wzrokiem, z jakimś chytrym, ale miłym uśmiechem: wiedziała, dlaczego tak go chwali. Liza słuchała, skłoniwszy głowę nad robótką i dawno już nie włączała się do rozmowy. Podskoczyłem jak oparzony.

- Pan spóźnił się gdzieś?

- Tak... Nie... Zresztą spóźniłem się, lecz zaraz. Jedno tylko słówko, Anno Andriejewno - zacząłem wzburzony. - Nie mogę nie powiedzieć pani tego dzisiaj! Chcę się pani przyznać, że już wiele razy błogosławiłem pani dobroć i tę delikatność, z którą pani zaprosiła mnie do bywania u pani... Na mnie znajomość z panią wywarła niezwykle silny wpływ. W pani pokoju jakbym oczyszczał swoją duszę i wychodzę od pani lepszym niż jestem. To prawda. Kiedy siedzę obok pani, nie tylko nie mogę mówić o czymś niedobrym, lecz i złych myśli mieć nie mogę; znikają przy pani. Wspominając mimochodem o czymś złym w pani obecności natychmiast wstydzę się tego niedobrego, lękam się i czerwienieję w duszy. I wie pani, szczególnie przyjemnie było mi spotkać u pani dziś moją siostrę... To świadczy o takiej pani szlachetności... o takim pięknym stosun-236

ku... Jednym słowem wypowiedziała pani coś tak „braterskiego”, jeśli już pozwoli pani rozbić ten lód, że ja...

Kiedy mówiłem, podnosiła się z fotela i coraz bardziej i bardziej czerwieniała. Lecz nagle jakby przestraszyła się czegoś, jakiejś linii, której nie należy przeskakiwać i szybko przerwała mi:

- Proszę mi wierzyć, że będę umiała ocenić całym sercem pańskie uczucia... Nawet bez słów pojęłam... i już dawno...

Nagle zatrzymała się zakłopotana ściskając moją rękę. Wtem Liza nieznacznie pociągnęła mnie za rękaw. Pożegnałem się i wyszedłem, ale już w drugim pokoju dogoniła mnie Liza.

W

- Dlaczegoś mnie pociągnęła za rękaw, Lizo? - zapytałem.

- Ona jest wstrętna, chytra, nie jest warta... toleruje cię, żeby od ciebie wyciągnąć informacje - szybko i ze złością szepnęła mi. Nigdy nie widziałem u niej takiego wyrazu twarzy. >

- Bóg z tobą, Lizo, to taka zachwycająca dziewczyna!

r

- No więc, to ja jestem wstrętna!

-

- Co ci jest?

- Jestem bardzo niedobra. Być może ona jest najlepszą dziewczyną, a ja złą. Dostyc, daj temu spokój. Słuchaj, mama prosi cię o to, „o czym sama nie śmie powiedzieć” - tak się wyraziła.

Najdroższy, Arkadiju! Przestań grać, kochany, błagam cię... i mama także...

- Lizo, ja sam nie wiem, ale... wiem, że to jest marna małoduszność, lecz... to głupstwo i nic więcej! Widzisz, zadłużyłem się jak głupiec i chcę wygrać po to tylko, żeby oddać; wygrać można, bo dotychczas grałem bez ścisłych wyliczeń, jak głupiec, a teraz będę trząsł się nad każdym rublem... Nie będę sobą, jeśli nie wygram! Nie jestem zaślepiony namiętnością; to nie jest dla mnie najważniejsze, to tylko przejściowe, zapewniam cię! Jestem dość silny, aby przerwać, kiedy zechcę. Oddam pieniądze i wtedy będę wasz całkowicie i powiedz mamie, że nie wyjdę od was...

- Ileż cię dziś kosztowały te trzysta rubli!

- Skąd wiesz? - drgnąłem.

- Daria Onisimowna wszystko słyszała...

Ale w tej chwili Liza raptem popchnęła mnie za portierę i oboje znaleźliśmy się za zasłoną, w tak zwanej „latarni”, to jest w małym okrą-

237

głym pokoiku składającym się z samych okien. Nie zdążyłem się opamiętać, gdy usłyszałem znajomy głos, dźwięk ostrogi i znajome kroki.

- Księżę Sierioża - wyszeptałem.

- On - szepnęła.

- Czegoś się tak przelęła?
- Za nic nie chcę, żeby mnie spotkał...
- Tiens! Czy on przypadkiem nie łązi za tobą? - uśmiechnąłem się. - Pokazałbym mu! Dokąd ty?
- Wyjdziemy, ja z tobą.
- Czy się już tam pożegnałaś?
- Pożegnałam się, moje palto jest w przedpokoju.

Wyszliśmy. Na schodach uderzyła mnie jedna idea:

- Wiesz, Lizo, on być może przyjechał oświadczyć się jej!
- N-nie... on się nie oświadczy... - z naciskiem i powoli powiedziała cichym głosem.
- Nie, wiesz Lizo, chociaż się z nim dzisiaj pokłóciłem, skoro już ci o tym powiedziano, ale, jak Boga kocham, szczerze go kocham i życzę mu tu powodzenia... Pogodziliśmy się przed chwilą.

Kiedy jesteśmy szczęśliwi, wtedy jest nam tak dobrze... Widzisz, on ma dużo pięknych skłonności i humanitaryzm w nim jest... przynajmniej zadatki. A w rękach takiej stanowczej i rozumnej dziewczyny, jak Wiersiłowa ustatkowałby się zupełnie i byłby szczęśliwy. Szkoda, że nie ma czasu... ale podejźmy trochę razem, opowiedziałbym ci coś niecoś...

- Nie, jedź sam, mnie tędy nie po drodze. Czy przyjdiesz na obiad?
- Przyjdę, przyjdę, jak obiecałem. Słuchaj, Lizo: pewna kanalia -jednym słowem pewne najpodlejsze stworzenie, no, Stiebielkow, jeśli go znasz, ma dziwny wpływ na sprawy księcia...

weksle... No, jednym słowem, trzyma go w rękach i do tego stopnia go przyparł, a ten do tego stopnia poniżył się, że obydwaj nie widzą innego wyjścia, niż oświadczenie się Annie Andriejewnie. W obecnej sytuacji należałoby ją uprzedzić, zresztą głupstwo! Ona sama później wyprostuje wszystkie sprawy. A jak myślisz, czy ona mu odmówi?

- Zegnaj, nie mam czasu - urwała Liza i w jej przelotnym spojrzeniu ujrzałem nagle tyle nienawiści, że od razu krzyknąłem w przerażeniu:
- Lizo, kochana, za co?
- Nie na ciebie, tylko nie graj...
- Ach, ty o grze, dobrze, nie będę.

- Przed chwilą powiedziałeś: „kiedy jesteśmy w szczęściu”. Więc jesteś bardzo szczęśliwy?

- Strasznie, Lizo, strasznie, ogromnie! Mój Boże, ale to już trzecia, więcej niż trzecia!... Zegnaj, Lizo. Lizeczko kochana, powiedz, czy można kazać kobiecie czekać na siebie? Czy to jest dozwolone?

-To znaczy przy rendez-vous* * schadzka, czy jak? -ledwie uśmiechnęła się Liza, jakimś zamierającym, drżącym uśmiechem.

- Daj swoją rękę, na szczęście!

- Na szczęście? Moją rękę? Za nic nie dam!

I szybko oddaliła się. Lecz co najważniejsze, tak poważnie zawołała. Rzuciłem się do moich sanek.

Tak, tak, to właśnie „szczęście” było wówczas główną przyczyną tego, że jak ślepy kret niczego oprócz siebie nie rozumiałem i nie widziałem!

ROZDZIAŁ CZWARTY

i

T

eraz nawet boję się opowiadać. Wszystko to było dawno; ale i teraz wszystko to wydaje się jak miraż. Jak mogła taka kobieta wyznaczyć spotkanie takiemu smarkaczowi, jakim byłem wówczas?

Oto co rzucało się od razu w oczy. Kiedy pozostawiwszy Lizę popędziłem i serce mi drżało, pomyślałem po prostu, że zwariowałem: pomysł umówionego spotkania wydał mi się nagle tak jaskrawą nedorzecznnością, że nie można było w nią uwierzyć. I cóż, zupełnie nie miałem wątpliwości; a nawet im jaskrawsza wydawała się nedorzecznność, tym bardziej wierzyłem.

Niepokoilo mnie, że wybiła już trzecia; jeśli wyznaczono mi spotkanie, to jakże się mogę spóźnić na rendez-vous? - myślałem. Przychodziły mi też na myśl głupie pytania, w rodzaju: „co teraz dla mnie lepsze, odwaga czy nieśmiałość?” Ale były to wszystko tylko chwilowe przebłyski, bo najważniejsze było w sercu i to coś takiego, czego nie mogłem określić. Wczoraj powiedziano tak:

- „Jutro o trzeciej będę u Tatiany Pawłowny” - to wszystko. Ale po pierwsze: u niej, w jej pokoju zawsze byłem przyjmowany sam, i mogła mi powiedzieć wszystko, co chciała, nie przenosząc się do Tatiany Pawłowny. Zatem po co było wyznaczać inne miejsce, u Tatiany Pawłowny? I znowu pytanie: czy Tatiana Pawłowna będzie w domu, czy nie? Jeżeli to jest rendez-vous, to znaczy, że Tatiany nie będzie w domu. Ale jak to sprawdzić, nie wytłumaczywszy uprzednio wszystkiego Tatianie Pawłownie? Czy to ma znaczyć, że Tatiana Pawłowna jest dopuszczona do sekretu? Ta myśl wydała mi się dzika i jakaś mało subtelna, niemal ordynarna.

I wreszcie, najprościej w świecie; być może zechciała odwiedzić Tatianę Pawłownę i zakomunikowała mi to bez żadnego zamiaru, a ja nie zrozumiałem. A przy tym powiedziane to było tak mimochodem, lekko i spokojnie -

nie, i po bardzo nudnym seansie; bo przez cały czas, który u niej spędziłem wczoraj, byłem nie wiedzieć czemu jakby zbity z tropu: siedziałem, mamrotałem i nie wiedziałem, co powiedzieć.

Złościłem się, trwożyłem ogromnie, a ona, jak się potem okazało, wybierała się gdzieś, i było widać, że jest rada, kiedy zbierałem się do wyjścia. Te wszystkie rozmyślania kłębiły się w mojej głowie. Zdecydowałem w końcu, że „wejdę, zadzwonię, otworzy kucharka i zapytam: czy Tatiana Pawłowna w domu?” Jeśli nie ma jej w domu, to znaczy jest to rendez-vous. Ale nie wątpiłem, nie wątpiłem!

Wbiegłem po schodach i przed drzwiami cały mój strach znikł. „No niech tam, byleby tylko prędeży!” Kucharka otworzyła i ze swą gnuśną flegmą wymamrotała, że Tatiany nie ma. „A czy nie ma kogo innego, czy nie oczekuje kto na Tatianę Pawłownę?” chciałem początkowo zapytać, ale nie zapytałem: „lepiej sam zobaczę”, mruknąwszy kucharce, że poczekam, zrzuciłem futro i otworzyłem drzwi.

Katierina Nikołajewna siedziała przy oknie i „czekała na Tatianę Pawłownę”.

- Nie ma jej? - zapytała mnie nagle, jak tylko mnie zobaczyła, jak gdyby zatroskana i niezadowolona. I głos jej, i twarz do tego stopnia nie odpowiadały moim oczekiwaniom, że po prostu uwięzłem w progu.

- Kogo nie ma? - bąknąłem.

- Tatiany Pawłowny! Przecież pana wczoraj prosiłam, żeby ją zawiadomić, że będę u niej o trzeciej?

- Ja... ja jej wcale nie widziałem.

- Zapomniał pan?

Usiadłem jak zabity. Tak więc oto co się okazało! I co najważniejsze, wszystko było takie proste, jak dwa razy dwa. A ja ciągle jeszcze uporczywie wierzyłem.

- Nie pamiętam nawet, że pani prosiła, żebym jej to zakomunikował. Ale pani nie prosiła: pani po prostu powiedziała, że będzie o trzeciej - uciałem niecierpliwie.

Nie patrzyłem na nią.

- Ach! - krzyknęła nagle. - Więc jeśli pan zapomniał powiedzieć, a wiedział, że będę tutaj, to po co pan tutaj przyjechał?

Podniosłem głowę: ani drwiny, ani gniewu nie było na jej twarzy, a jedynie jasny, wesoły uśmiech i jakaś figlarność w wyrazie twarzy, zresztą niemal dziecięca: „Ot, widzisz, przyłapałam cię; no, co teraz powiesz?”, jak gdyby mówiło jej całe oblicze.

Nie chciałem odpowiadać i znów pochyliłem głowę. Milczenie trwało blisko pół minuty.

- Czy pan przyjeżdża od papy? - zapytała nagle. , , ;

- Nie, od Anny Andriejewny, a u księcia Mikołaja Iwanowicza wcale nie byłem, i pani to wiedziała - dodałem nagle.

- Nic się z panem nie stało u Anny Andriejewny?

- To znaczy, że wyglądam na szalonego? Nie, ja i przed bytnością u Anny Andriejewny wyglądałem na wariata.

- I u niej pan nie zmądrzał?

- Nie, nie zmądrzałem. Prócz tego słyszałem, że pani wychodzi za mąż za Bjoringa.

- Czy to ona panu powiedziała? - zaciekała się nagle.

- Nie, to ja jej zakomunikowałem, a słyszałem jak dziś mówił Naszczokin, będący z wizytą u księcia Siergieja Piotrowicza.

Ciągle nie podnosiłem na nią oczu. Patrząc na nią znaczyłoby to samo, co skąpać się w blasku, w radości, w szczęściu, a ja nie chciałem być szczęśliwy. Żądło oburzenia wbiło się w moje serce i w jednej chwili powziąłem wielką decyzję.

Potem zacząłem nagle mówić, sam nie pamiętam o czym. Brakowało mi tchu: bełkotałem, ale patrzyłem już śmiało. Serce mi biło. Zacząłem mówić o czymś, nie mającym z niczym związku, zresztą być może dość składnie. Początkowo słuchała ze swym spokojnym, cierpliwym

uśmiechem, który nigdy nie schodził z jej twarzy, ale stopniowo zdziwienie a potem - trwoga, błysnęły w jej uważnym spojrzeniu. Uśmiech ciągle jej nie opuszczał, ale i ten uśmiech, jak gdyby chwilami drgał.

- Co się z panią dzieje? - zapytałem nagle, zauważywszy, że cała drgnęła.

- Boję się pana - odpowiedziała niemal trwożnie.

- Dlaczego pani nie odjeżdża? Skoro teraz Tatiany Pawłówny nie ma i pani wie, że nie będzie, to powinna pani wstać i odjechać?

- Chciałam poczekać, ale teraz... rzeczywiście... - powstała.

- Nie, nie, niech pani siądzie - zatrzymałem ją. - O, znów pani drgnęła, ale pani nawet i w strachu uśmiecha się... Pani zawsze ma uśmiech na ustach. O, teraz pani zupełnie się uśmiechnęła.

- Pan jest w malignie?

- Tak, w malignie.

- Boję się... - szepnęła znowu.

- Czego?

- Że pan zacznie rozwalać ścianę... - uśmiechnęła się znowu, ale już rzeczywiście z lękiem.

- Ja nie mogę znieść pani uśmiechu!

242

I znowu zacząłem mówić. Jak gdybym cały leciał gdzieś. Jak gdyby mnie coś pchało. Nigdy tak z nią mówiłem, zawsze byłem onieśmielony. I teraz strasznie lękałem się, ale mówiłem i pamiętam, zacząłem mówić o jej twarzy.

- Nie mogę dłużej znieść pani uśmiechu! - krzyknąłem nagle. - Dlaczego jeszcze w Moskwie wyobrażałem sobie panią groźną, wspaniałą i z jadowitymi, światowymi słówkami? Tak, w Moskwie: rozmawialiśmy tam o pani jeszcze z Marią Iwanowną i wyobrażaliśmy sobie, jaka pani powinna być... Pamięta pani Marię Iwanownę? Pani była u niej. Kiedy jechałem tutaj, pani mi się śniła całą noc w wagonie. Tutaj przed pani przyjazdem przez cały miesiąc patrzyłem na pani portret w gabinecie u pani ojca i niczego nie odgadłem. Wyrazem pani oblicza jest dziecinna figlarność i nieskończona prostota, ot co! Dziwiłem się temu ogromnie przez cały ten czas, gdy do pani chodziłem. O, i pani umie patrzeć dumnie i miażdżyć spojrzeniem, i pamiętam, jak pani na inne patrzyła u swego ojca, kiedy pani przyjechała z Moskwy...

Widziałem wtedy panią, a tymczasem, gdyby mnie wtedy spytano, gdy wyszedłem, jaka pani jest? - nie potrafiłbym powiedzieć. Nie określiłbym nawet pani wzrostu. Kiedy panią zobaczyłem

- ośleplę. Portret pani zupełnie jest do pani niepodobny: oczy pani ma nie ciemne, lecz jasne i tylko od długich rzęs wydają się ciemne. Pani jest postawna, średniego wzrostu, ale pani figura jest jędrna, lekka, niczym u zdrowej, wiejskiej młódki. Ale i twarz pani jest zupełnie wiejska: to twarz wiejskiej piękności - niech się pani nie obraża, przecież to dobrze, to lepiej

- okrągła, rumiana, jasna i śmiała, śmiejąca się i wstydliva twarz. Słowo honoru, wstydliva.

Wstydliva jest twarz Katieriny Nikołajewny Achmakowej! Wstydliva i skromna. Przysięgam!

Więcej niż skromna, dziecinna! -Oto pani twarz. Przez cały czas byłem olśniony i przez cały czas zapytywałem siebie: czy to ta kobieta? Początkowo myślałem, że pani jest niezbyt mądra.

Pani ma rozum wesoły, ale bez wszelkich upiększeń... Lubię też, że uśmiech nie schodzi pani z twarzy: to mój raj! Lubię też pani spokój, łagodność i to, że pani wymawia słowa płynnie, spokojnie i niemal leniwie -właśnie tę leniwość lubię. Zdaje się, że gdyby się pod panią zламаł

most, pani wtedy powiedziała by coś płynnie i z umiarkowaniem... Wyobrażałem sobie panią, jako szczyt dumy i namiętności, a przez te dwa miesiące pani rozmawiała ze mną, jak student ze studentem.

Nigdy nie wyobrażałem sobie, że pani ma takie czoło; ono jest cokolwiek niskie, jak u posągu, ale białe i delikatne, jak marmur, pod wspaniałymi włosami. Pani ma pierś wysoką, chód lekki, pani jest niezwykle piękna, a nie ma żadnej dumy. Dopiero teraz uwierzyłem!

243

Słuchała tej całej tyrady z szeroko otwartymi oczami i widziała, że sam drzę. Parokrotnie miłym, trwożliwym gestem podnosiła rączkę okrytą rękawiczką, aby mnie powstrzymać, ale za każdym razem cofała ją pełna lęku i nie rozumiejąc mnie. Czasami nawet szybko usuwała się cała do tyłu.

Dwa, trzy razy uśmiech znowu przeświecał na jej twarzy; w pewnej chwili zaczerwieniła się, ale pod koniec ostatecznie się przełękała i pobladła.

Zaledwie zatrzymałem się, wyciągnęła rękę i jak gdyby proszącym ale równym głosem rzekła:

- Tak nie można mówić... tak nie wolno mówić... I nagle podniosła się bez pośpiechu, biorąc swój szalik i sobolową mufkę.

- Pani odchodzi? - zawołałem.

- Ja się stanowczo pana boję... pan nadużywa... - przeciągnęła jakby z żalem i wyrzutem.

- Niech pani poczeka, jak Boga kocham, nie będę przecież ścian wywalał.

- Kiedy pan już zaczał - nie wytrzymała i uśmiechnęła się. - Nie wiem nawet, czy pan mi pozwoli wyjść?

I zdaje się rzeczywiście bała się, że jej nie puszcze.

- Sam pani drzwi otworzę, niech pani idzie. Ale niech pani wie, że powziąłem pewną ważną decyzję. Jeżeli pani zechce wpuścić światła do mojej duszy, to niech pani wróci, usiądzie i wysłucha tylko dwóch słów. Ale jeśli pani nie zechce, to proszę iść, a ja pani drzwi otworzę!

Popatrzyła na mnie i usiadła na miejscu.

- Z jakimże oburzeniem inna by wyszła, a pani usiadła! - zawołałem w upojeniu.

- Nigdy pan dawniej nie pozwalał sobie tak mówić.

- Dawniej zawsze byłem onieśmielony. I teraz wszedłem nie wiedząc co mówić. Czy pani myśli, że teraz nie tchórzę? Boję się. Ale nagle powziąłem wielką decyzję i czuję, że tego dokonam. A kiedy powziąłem tę decyzję, zaraz oszalałem i zacząłem mówić to wszystko... Proszę wysłuchać, oto moje dwa słowa: czy jestem pani szpiegiem, czy nie? Proszę mi odpowiedzieć, to jest pytanie!

Rumieniec szybko zalał jej twarz.

- Niech pani nie odpowiada jeszcze, Katierino Nikołajewno, lecz wysłucha wszystkiego i potem

powie całą prawdę.

Przełamałem od razu wszystkie płoty i poleciałem w przestrzeń.

244

II

- Dwa miesiące temu stałem tutaj za portierą, pani wie... a pani rozmawiała z Tatianą Pawłowną o liście. Wskoczyłem, i nie panując nad sobą, wygadałem się. Pani od razu zrozumiała, że ja coś wiem... Pani nie mogła nic zrozumieć... Pani szukała ważnego dokumentu i bała się o niego...

Niech pani poczeka, Katierino Nikołajewno, niech pani powstrzyma się jeszcze od mówienia.

Oświadczam, że pani podejrzenia były słuszne! Ten dokument istnieje... to znaczy był, ja go widziałem; to jest pani list do Andronikowa, czy tak?

- Pan widział ten list? - szybko zapytała zmieszana i podniecona. -Gdzie go pan widział?

- Widziałem... widziałem u Krafta..., u tego, który się zastrzelił...

- Doprawdy? Pan sam widział? Co się z nim stało?

- Kraft go podarł.

- Przy panu, pan to widział?

- Przy mnie. Podarł go prawdopodobnie przed śmiercią... przecież nie wiedziałem wtedy, że się zastrzeli...

-Więc jest zniszczony, dzięki Bogu! -powiedziała wolno, westchnęła i przeżegnała się.

Nie skłamałem jej. Właściwie skłamałem, bo dokument był u mnie, a nigdy u Krafta, ale to był

tylko drobiazg, a w sprawie najważniejszej nie skłamałem, ponieważ w tej chwili, kiedy mówiłem nieprawdę, dałem sobie słowo spalić ten list jeszcze tego samego wieczoru. Przysięgam, gdybym go miał w owej chwili w kieszeni, wyjąłbym i oddałbym je; ale przy sobie nie miałem, bo zostawiłem w mieszkaniu. Zresztą, być może, nie oddałbym, bo by mi było bardzo wstyd w owej chwili przyznać się, że mam go u siebie i że go przechowywałem tak długo, czekałem i nie oddawałem. Wszystko jedno, spaliłbym w domu, w każdym razie nie skłamałem! Przysięgam, że w owej chwili byłem czysty.

- A skoro tak - ciągnąłem, zupełnie nie panując nad sobą. - To proszę mi powiedzieć, że dlatego mnie pani przyjmowała, przyciągała, kokietowała, ponieważ podejrzewała, iż mam wiadomości o dokumentach? Niech pani zaczeka, Katierino Nikołajewno, jeszcze chwilkę niech pani nie mówi, a pozwoli mi wszystko dokończyć. Przez cały czas, kiedy u pani bywałem, przez cały ten czas podejrzewałem, że pani tylko dlatego była dla mnie uprzejma, żeby ze mnie wyciągnąć coś o tym liście, doprowadzić do tego, żebym się przyznał... Niech pani poczeka jeszcze momencik: podejrzewałem, ale cierpiałem. Dwulicowość ze strony pani była dla mnie nieznośna, bo... bo znalazłem w pani najszlachetniejszą istotę! Mówię wprost: byłem dla pani wrogiem, lecz znalazłem w pani najszlachetniejszą istotę! Wszystko od razu zostało przezwyciężone. Ale dwulicowość, to jest podejrzenie o dwulicowość, męczyło mnie... Teraz wszystko powinno się rozwiązać, wszystko

wyjaśnić, nadeszła taka chwila. Ale niech pani poczeka jeszcze chwilkę, niech pani nic nie mówi, niech pani dowie się, jak się teraz właśnie na to zapatruję. Mówię wprost: jeżeli nawet tak było, to nie zapieram się, to jest, chciałem powiedzieć, nie obrażę, dlatego, że to jest zupełnie naturalne. Przecież to rozumiem. Cóż tu może być nienaturalnego i złego? Panią trapi dokument, podejrzewa pani, że taki a taki wie wszystko, cóż, pani zupełnie naturalnie mogła pragnąć, aby ten a ten wygadał się... Tu nie ma nic złego, zupełnie nic, mówię szczerze. Jednakże trzeba, żeby teraz pani mi cokolwiek powiedziała... przyznała się (proszę przebaczyć mi to słowo). Potrzebuję prawdy, tak trzeba z pewnych powodów! A więc niech pani powie: czy po to mi pani okazała życzliwość, Katierino Nikołajewno, żeby wywiedzieć się u mnie o dokumencie?

Mówiłem, jak gdybym upadał, głowa mi płonęła. Słuchała mnie już bez trwogi, przeciwnie w twarzy jej było uczucie; ale patrzyła jakoś nieśmiało, jakby wstydząc się.

- Właśnie po to - powiedziała wolno półgłosem. - Proszę mi przebaczyć, zawiniłam - dodała nagle, na wpół wyciągając ku mnie rękę. Zupełnie tego nie oczekiwałem. Spodziewałem się

wszystkiego, ale nie tych dwóch słów, nawet ze strony tej, którą już znałem.

- I pani mówi do mnie „zawiniłam”! Tak po prostu, zawiniłam? -zawołałem.

- O, ja już dawno czułam, że zawiniłam wobec pana... I nawet teraz jestem zadowolona, że to się wyjaśniło...

- Od dawna pani to czuła? Dlaczego pani przedtem nie powiedziała?

- Kiedy ja nie wiedziałam, jak powiedzieć - uśmiechnęła się. - To znaczy, może i potrafiłabym -

uśmiechnęła się znowu. - Ale jakoś sumienie nie dawało mi spokoju, bo ja rzeczywiście początkowo tylko dlatego pana „przyciągałam”, jak się pan wyraził, no, a potem bardzo prędko zrobiło mi się nieprzyjemnie i znudziło mnie to całe udawanie, zapewniam pana - dodała z gorzkim uczuciem. - I wszystkie te kłopoty też!

- I dlaczego, dlaczego pani wtedy nie zapytała w najprostszy sposób? Powiedziałbym pani tylko:

„przecież ty wiesz o liście, dlaczego udajesz?” I ja bym pani zaraz wszystko powiedział, zaraz bym się przyznał!

246

- Kiedy ja... pana... bałam się trochę. Przyznaję się, że również i nie dowierzałam panu. I doprawdy, jeżeli kręciłam, to przecież i pan też -dodała uśmiechnąwszy się.

- Tak, tak, byłem niegodzien! - krzyknąłem wzruszony. - O, pani nie zna jeszcze wszystkich otchłani mojego upadku.

- I znowu otchłanie! Poznaję pański styl - uśmiechnęła się łagodnie. - Ten list - dodała smutno - był

najbardziej godnym pożałowania i najlekkomyślniejszym postępkim mego życia. Świadomość tego postępkim była dla mnie wiecznym wyrzutem. Pod wpływem okoliczności i obaw zwątpiłam w mojego szlachetnego, kochanego ojca. Wiedząc, że list ten mógł się dostać... w ręce złych ludzi... mając zupełne podstawy, żeby tak myśleć (powiedziała z ogniem), drżałam, że skorzystają z niego, pokażą papie... a na niego mogło to wyrzucić nadzwyczajne wrażenie... w jego położeniu... Tak - dodała, patrząc mi śmiało w oczy, przechwyciwszy prawdopodobnie w locie coś w moim spojrzeniu. - Tak, bałam się również o mój los, bałam się, że on... pod wpływem swojej choroby, mógłby wyrzucić mnie ze swej łaskawości... To uczucie też wchodziło w grę. Ale w tym wypadku na pewno znowu wobec niego zawiniłam: on jest tak dobry,

wspaniałomyślny, że niewątpliwie darowałby mi. Oto i wszystko, co było. A, że tak postąpiłam z panem, to naturalnie nie było właściwe - kończyła znowu zawstydzony się. - Pan mnie zawstydził.

- Nie, pani nie ma się czego wstydzić! - zawołałam.

- Rzeczywiście, liczyłam na pańską... żarliwość... I przyznaję się do tego - powiedziała, pochyliwszy głowę.

- Katierino Nikołajewno! Kto, kto, niech pani powie, zmusza panią do czynienia na głos takich wyznań? - wykrzyknąłem jak pijany. - No, cóż to panią kosztowało, żeby wstać i

najwyszukańszymi zwrotami, w najbardziej subtelny sposób pokazać mi, jak dwa razy dwa, że chociaż tak było, a jednak niczego nie było - rozumie pani, tak jak zwykle, u was, w waszej sferze umieją obchodzić się z prawdą. Przecież jestem głupi i gruboskórny - zaraz bym pani uwierzył. We wszystko bym uwierzył, cokolwiek by pani powiedziała! Przecież panią nic by nie kosztowało tak postąpić? Przecież w rzeczywistości pani się mnie nie boi? Jak pani mogła tak dobrowolnie się poniżyć przed takim parweniuszem, przed godnym pożałowania młodzikim?

- W tym przynajmniej nie poniżyłam się przed panem - rzekła z niezwykłą godnością, widocznie nie zrozumiawszy mego okrzyku.

- Oj, przeciwnie, przeciwnie! Ja właśnie to krzyczę!

247

- Ach, to było tak złe i tak lekkomyślne z mej strony - wykrzyknęła, podnosząc do twarzy swej rękę i jak gdyby starając się zakryć tą ręką. - Jeszcze wczoraj wstyd mi było i dlatego byłam taka nieswoja, kiedy pan u mnie przebywał... Cała prawda leży w tym - dodała - że teraz okoliczności tak się złożyły, że niezbędną rzeczą dla mnie było dowiedzieć się na koniec całej prawdy o losie tego nieszczęsnego listu, bo tymczasem zaczęłam już o nim zapominać... Ponieważ bynajmniej nie tylko dlatego przyjmowałam pana u siebie - dodała nagle.

Serce mi zadrgało.

- Oczywiście, nie - uśmiechnęła się subtelnie. - Oczywiście nie! Ja... bardzo słusznie pan przed chwilą zauważył, Arkadiju Makarowiczu, że często rozmawialiśmy jak student ze studentem.

Zapewniam pana, że niejednokrotnie nudzę się bardzo wśród ludzi; szczególnie dzieje się to po powrocie z zagranicy i po tych wszystkich rodzinnych nieszczęściach... Bardzo mało obecnie bywam i nie tylko z lenistwa. Nieraz chciałabym wyjechać na wieś. Przeczytałabym tam moje ukochane książki, które od dawna odłożyłam na bok i ciągle nie mogę się zebrać, by je przeczytać. Mówiłam już panu o tym, pamięta pan, że czytuję wszystkie gazety, dwie gazety dziennie? Pan się śmiał...

- Nie śmiałem się...

- Naturalnie dlatego, że i pana to także przejmowało, a ja panu od dawna się przyznałam: jestem Rosjanką i kocham Rosję. Pamięta pan, czytaliśmy z panem „fakty”, jak pan to nazywa (uśmiechnęła się). Chociaż pan bardzo często bywa jakiś... dziwny, ale niekiedy tak się pan ożywiał, że zawsze umiał pan powiedzieć trafne słowo i interesował się właśnie tym, co i mnie interesowało. Kiedy pan jest „studentem”, bywa pan naprawdę miły i oryginalny. Ot, inne role, mało zdają się nadawać dla pana - dodała ze ślicznym, przebiegłym uśmiechem. - Pamięta pan, niekiedy całymi godzinami rozmawialiśmy tylko o samych cyfrach: liczyliśmy i porównywali, troskali się o to, ile mamy szkół, w jakim kierunku idzie oświata. Liczyliśmy zabójstwa i sprawy karne, porównywali z dobrymi wiadomościami. Chcieliśmy wiedzieć, dokąd to wszystko zdąży i co w końcu z nami będzie. Znalazłam u pana szczerą. W dobrym towarzystwie, z nami, kobietami nigdy tak nie mówią. Zeszłego tygodnia zaczęłam rozmawiać z księciem -owym o Bismarcku i proszę sobie wyobrazić, usiadł obok mnie i począł mi opowiadać nawet bardzo szczegółowo, ale ciągle z ironią i z tą właśnie nieznośną dla mnie łaskawością, z jaką zwykle

„wielcy ludzie” rozmawiają z nami, kobietami, jeżeli te wtrącają się do „nie swoich spraw”... A czy pamięta pan, jakeśmy się z panem o mało nie pokłócili o Bismarcka? Pan mi dowodził, że ma swoją ideę „bardziej czystą od bismarckowej” - zaśmiała się nagle. - Dwóch tylko ludzi spotkałam w życiu, którzy rozmawiali ze mną zupełnie poważnie: nieboszczyka męża, bardzo, bardzo mądrego i szlachetnego człowieka - rzekła z naciskiem - I prócz tego... pan sam wie kogo...

248

- Wiersiłowa! - zawołałem. Każde jej słowo zapierało mi dech.

- Tak, bardzo lubiłam go słuchać, w końcu byłam z nim zupełnie... nazbyt, być może, szczerą. Ale wtedy on mi nie uwierzył!

- Nie uwierzył?

- Tak, przecież nikt mi nie wierzył.

- Ale Wiersiłow, Wiersiłow!

- On nie to, że po prostu nie uwierzył - rzekła opuściwszy oczy i uśmiechnąwszy się jakoś dziwnie.

- Ale uznał, że we mnie są „wszystkie wady”.

- Których pani nie ma ani jednej.

- Nie. I ja mam pewne wady.

- Wiersiłow nie kochał pani i dlatego pani nie zrozumiał - wykrzyknąłem błyskając oczami. Coś wykrzywiło jej twarz.

- Niech pan to zostawi i nigdy nie mówi mi o... tym człowieku... -dodała gorąco i z silnym naciskiem.
- Ale dosyć, na mnie już czas (wstała, żeby odejść). - Cóż, czy przebacza mi pan, czy nie? - powiedziała, patrząc na mnie jasnym wzrokiem.

- To mnie... musi pani... przebaczyć! Niech pani posłucha Katierino Nikołajewno i nie rozgniewa się. Czy to prawda, że pani wychodzi za mąż?

- Jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji - powiedziała, jak gdyby przełękłszy się czegoś, zmieszana.

- Czy to dobry człowiek? Niech mi pani wybaczy, niech mi pani wybaczy to pytanie!

- Tak, bardzo dobry...

- Niech pani nie odpowiada więcej, niech pani nie zaszczyca mnie odpowiedzią! Ja przecież wiem, że takie pytania z mojej strony są niedopuszczalne. Chciałem tylko wiedzieć, czy jest godzin, czy nie, ale sam się o niego dowiem.

- Ach, co pan mówi! - powiedziała z trwogą.

- Nie, nie będę, nie będę. Nie będę się wtrącał... Ale powiem tylko: niech pani Bóg da wszelkiego szczęścia, jakie tylko pani sama sobie wybierze... za to, że pani sama dała mi tyle szczęścia przez tę jedną

249

godzinę! Obraz pani wyrył się w mej duszy na wieki. Zdobyłem skarb: myśl o pani doskonałości.

Podejrzywałem przewrotność, ordynarną kokieterię i byłem nieszczęśliwy... bo nie mogłem tej myśli skojarzyć z panią... W ostatnich dniach myślałem o tym dzień i noc... I nagle wszystko stało jasne jak w dzień! Wchodząc tu pomyślałem, że wyniosę stąd jezuityzm, przebiegłość, szpiegującą żmiję, a znalazłem honor, sławę, studenta! Pani się śmieje? Niech tam, niech tam! Przecież pani jest święta, pani nie może śmiać się z rzeczy świętych...

- O, nie, ja z tego tylko, że pan używa takich okropnych wyrażeń... Cóż to jest takiego „szpiegująca żmija?” - zaśmiała się.

- Wyrwało się pani dzisiaj jedno drogocenne słowo - ciągnąłem w zachwycie. - Jak pani to mogła powiedzieć przy mnie, że stawiała na moją żarliwość. No, niech tak będzie: pani jest święta i przyznaje się do tego; bo wyobrażała sobie jakąś winę i chce siebie ukarać... Choć zresztą żadnej winy nie było; jeśli nawet była, to wszystko, co od pani pochodzi, jest święte! A jednak, pani mogła nie powiedzieć właśnie tego słowa, tego wyrażenia!... Taka nienaturalna szczerłość wykazuje jedynie

pani wyższą czystość, poważanie dla mnie, wiarę we mnie

- wykrzykiwałem bez związku. - O, niech się pani nie czerwieni, niech się pani nie czerwieni!... I ktoś, kto mógł oczerniać i mówić, że pani jest namiętną kobietą? O, niech pani wybaczy swawolnemu młodzikowi jego niezdarne słowa! Bo i czyż słowa, czyż wyrażenia są teraz istotą rzeczy? Czy pani nie jest powyżej wszystkich wyrażień?... Wiersiłow powiedział pewnego razu, że Otello nie za to zabił Desdemonę, a potem siebie, że zazdrościł, ale że mu odebrano jego ideał... Zrozumiałem to, bo mnie dziś przywrócono mój ideał!

- Pan mnie nadmiernie wychwala: nie jestem warta tego - wyrzekła z uczuciem. - Czy pan pamięta, co mówiłam panu o pańskich oczach?

- dodała żartobliwie.

- Że mam nie oczy, ale zamiast oczu dwa mikroskopy, tak, że każdą muchę przekształcam w wielbłąda! O nie, tutaj to nie wielbłąd!... Jak to, pani już odchodzi?

- Nie, poczekam, aż pan wyjdzie i sama wyjdę potem. Napiszę jeszcze dwa słowa do Tatiany Pawłowny.

- Zaraz odejdę, zaraz, tylko jeszcze raz... niech pani będzie szczęśliwa, sama lub z tym kogo pani wybierze i daj pani Boże wszystkiego najlepszego! A mnie - mnie potrzebny tylko ideał!

- Miły, dobry Arkadiju Makarowiczu, niech mi pan wierzy, że ja o panu... ojciec mój mówił zawsze o panu „miły, dobry chłopiec!” Niech

250

mi pan wierzy, będę wspominać zawsze pańskie opowiadania o biednym chłopczyku

pozostawionym u obcych i o jego samotnych marzeniach. Zbyt dobrze rozumiem, jak się uformowała pańska dusza... Ale teraz, chociaż jesteśmy studentami - dodała z proszącym, wstydliwym uśmiechem, ściskając moją rękę - ale nie możemy się już dłużej widywać jak dawniej i, i... na pewno pan rozumie?

- Nie można?

- Nie można, długo nie można... temu już ja jestem winna... Widzę, że teraz zupełnie to jest niemożliwe... będziemy się czasem spotykać u papy...

- Pani się boi „żarliwości” moich uczuć, pani mi nie wierzy? - chciałem wykrzyknąć, ale nagle tak się mnie zawstydziła, że moje słowa same się nie wypowiedziały.

- Niech pan powie - zatrzymała mnie nagle, już zupełnie przy drzwiach. - Czy pan sam widział, że... list został podarty, pan to dobrze pamięta? Po czym pan wtedy poznał, że to był ten sam list od Andronikowa?

- Kraft mi opowiedział jego treść i nawet mi go pokazał... Zegnam! Kiedy bywałem u pani w gabinecie, to głupiałem przy pani, a kiedy pani odchodziła, gotów byłem rzucić się i całować to miejsce na podłodze, gdzie stała noga pani... - rzekłem półświadomie, sam nie wiedząc, jak i po co, i nie patrząc na nią szybko wyszedłem.

Pobiegłem do domu; duszę moją wypełniał zachwyty. Wszystko migotało mi w umyśle jak wicher, a serce było wypełnione. Podjeżdżając do domu mamy przypomniałem sobie nagle o

niewdzięczności Lizy wobec Anny Andriejewny, o jej niedawnym okrutnym, potwornym słowie i nagle zboleło mi serce o nich wszystkich! „Ileż okrucieństwa w ich sercach! Liza, co z nią jest?” - pomyślałem wchodząc na ganek.

Odprawiłem Matwieja i kazałem przyjechać po siebie o dziesiątej.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spóźniłem się na obiad, ale oni jeszcze nie siadali i czekali na mnie. Dlatego być może, że na ogół

rzadko jadałem u nich obiad, były nawet przyrządzone jakieś specjalne przystawki: zjawiły się na zakąskę sardynki itp. Ale ku mojemu zdziwieniu i nieszczęściu zastałem wszystkich jakby zatroskanych, zachmurzonych. Liza ledwie się uśmiechnęła na mój widok, a mama najwidoczniej niepokoiła się; Wiersiłow uśmiechnął się, ale z przymusem... „Czy się może pokłócili?” -

pomyślało mi się. Zresztą z początku wszystko szło dobrze: Wiersiłow tylko skrzywił się nieco na zupę z zacierkami i bardzo grymasił, gdy podano zrazy.

- Wystarczy tylko uprzedzić, że mój żołądek takiego jedzenia nie znosi, żeby zaraz na drugi dzień się pojawiło - wyrwało mu się z irytacją.

- Więc cóż, Andrieju Piotrowiczu, wymyślić? W żaden sposób nie wymyśli się żadnej nowej potrawy - nieśmiało odpowiedziała mama.

- Twoja matka to zupełnie przeciwieństwo pewnych naszych gazet, w których wszystko co nowe oznacza dobre - chciał zadowcipkować bardziej żartobliwie i przyjaźnie, ale jakoś mu się to nie udało i tylko bardziej wystraszył mamę, która naturalnie nic nie pojęła z porównania z gazetami i oglądała się, nic nie rozumiejąc.

W tej chwili weszła Tatiana Pawłowna i oznajmiwszy, że już jadła obiad, siadła obok mamy na kanapie.

Nadal nie zdołałem jeszcze pozyskać życzliwości tej osoby; nawet przeciwnie, jeszcze bardziej zaczęła na mnie napadać dosłownie za wszystko. Szczególnie powiększyło się jej niezadowolenie ze mnie w ostatnim czasie: patrzeć nie mogła na moje szykowne ubrania, a Liza opowiedziała mi, że prawie dostała ataku, kiedy dowiedziała się, że utrzymuję stałą dorożkę. Skończyło się tym, że o ile to możliwe zacząłem unikać spotkania z nią.

Dwa miesiące temu po oddaniu spadku zaszedłem do niej porozmawiać o postępku Wiersiłowa, ale nie znalazłem u niej najmniejszego oddźwięku: przeciwnie, była bardzo rozzłoszczona i bardzo jej się nie podobało, że oddano wszystko, a nie połowę; mnie zaś wtedy ostro zwróciła uwagę:

- Założę się, że jesteś pewny, że on i pieniądze oddał i na pojedynek wyzwał, jedynie po to, żeby podnieść się w oczach Arkadija Makarowicza.

A przecież niemalże odgadła: w istocie, coś w tym rodzaju wtedy odczuwałem.

Zaraz pojąłem, gdy tylko weszła, że się niezawodnie na mnie rzuci. Nawet przypuszczałem, że specjalnie po to przyszła i dlatego stałem się nagle nadzwyczaj swobodny i nic mnie to nie kosztowało, bo ciągle jeszcze nie przestawałem być radosny i promieniejący. Zauważę raz na zawsze, że nonszalanca nigdy w życiu nie pasowała do mnie, to jest nie była mi do twarzy; przeciwnie, zawsze okrywała mnie wstydem. Tak się stało i teraz. Wnet zaplątałem się w kłamstwo: bez żadnej złej myśli i z czystej lekkomyślności. Zauważywszy, że Liza jest bardzo smutna, palnąłem nagle, nawet nie pomyślawszy, co mówię.

- Raz na rok przychodzę tu na obiad, a ty, Lizo, jakby naumyślnie, taka jesteś nudna!

- Głowa mnie boli! - powiedziała Liza.

- Ach, mój Boże - przyczepiła się Tatiana Pawłowna. - To cóż, żeś chora? Arkadij Makarowicz raczył przyjechać na obiad, powinnaś więc tańczyć i weselić się.

- Pani jest stanowczo - nieszczęściem mego życia, Tatiano Pawłowno; nigdy przy pani nie będę tu przyjeżdżać! - i ze szczerą irytacją uderzyłem dłonią w stół. Mama drgnęła, a Wiersiłow dziwnie popatrzył na mnie. Nagle roześmiałem się i przeprosiłem.

- Tatiano Pawłowno, cofam powiedzenie o nieszczęściu - zwróciłem się do niej, w dalszym ciągu nonszalancko.

- Nie, nie - odcięła. - O wiele bardziej pochlebne dla mnie jest być twoim nieszczęściem, niż odwrotnie, bądź tego pewny.

- Mój drogi, trzeba umieć znosić maluteńkie nieszczęścia w życiu - wycedził uśmiechając się Wiersiłow. - Bez nieszczęść żyć nie warto.

- Wie pan, pan czasami jest strasznie zacofany! - wykrzyknąłem, śmiejąc się nerwowo.

- To głupstwo, mój drogi.

- Nie, nie głupstwo! Dlaczego pan nie mówi osłu wprost, jeśli jest osłem?

- Czy ty przypadkiem nie o sobie? Po pierwsze sędzić nikogo nie chcę i nie mogę.

- Dlaczego pan nie chce, dlaczego nie może?

- Nie chcę, i nie mam prawa. Pewna mądra kobieta powiedziała mi kiedyś, że nie mam prawa sędzić innych, ponieważ „nie umiem cierpieć”. A żeby stać się sędzią innych, należy sobie wycierpieć prawo sądu. Nieco górnolotnie, ale w zastosowaniu do mnie, być może to prawda, tak, że ja nawet chętnie poddałem się temu wyrokowi.

- Czy to nie Tatiana Pawłowna powiedziała panu? - wykrzyknąłem.

- A tyś po czym poznał? - z pewnym zdziwieniem spojrzał Wiersiłow.

- Ja tak z twarzy Tatiany Pawłowny odgadłem: ona nagle drgnęła.

Odgadłem przypadkowo. Zdanie to rzeczywiście, jak się później okazało, wypowiedziane było przez Tatianę Pawłownę w przeddzień, podczas gorącej rozmowy. A i w ogóle, powtarzam, wpadłem na nich ze swymi radościami i z ekspansywnością zupełnie nie w porę; każde z nich miało swój smutek i to bardzo ciężki.

- Nie rozumiem, bo to wszystko jest takie oderwane. To bardzo charakterystyczne: jakże pan lubi abstrakcyjnie rozmawiać, Andrieju Piotrowiczu; to jest cecha egoistyczna. Abstrakcyjnie lubią rozmawiać tylko egoiści.

- Niegłupio powiedziane, ale przestań się czepiać.

- Nie, za pozwoleniem - pchałem się z ekspansywnością. - Co to znaczy: „wycierpieć prawo sądu”.

Kto jest uczciwy - ten sędzia. Oto moja myśl.

- Niewielu w takim razie zbierzesz sędziów.

- Jednego już znam.

- Kogóż to?

- Siedzi teraz i rozmawia ze mną.

Wiersiłow uśmiechnął się, nachylił się do mego ucha i wzięwszy mnie za ramię, wyszeptał: „On ci wciąż kłamie”.

Dotąd nie pojmuję, co to była za myśl, ale oczywiście w tym momencie był w jakiejś nadzwyczajnej trwodze (skutkiem pewnej wiadomości, jak uświadomiłem sobie potem). Ale to wyrażenie („on ci wciąż kłamie”) było tak nieoczekiwane i tak poważnie powiedziane i z takim dziwnym, zupełnie niezartobliwym wyrazem twarzy, że cały nerwowo zadrgałem, niemal przestraszyłem się i dziko nań spojrzałem; ale Wiersiłow zaraz roześmiał się.

- No, dzięki Bogu - powiedziała mama, przestraszywszy się tego, że mi szeptał do ucha. - A ja już pomyślałam... Ty Arkadiuszku nie gniewaj

254

się na nas, rozumnych ludzi i bez nas znajdziesz. Ale kto ciebie będzie kochał, jak nie będziemy się mieć nawzajem?

- Przez to właśnie miłość rodzinna jest niemoralna, że niezasłużona, mamusiu. Na miłość trzeba zasłużyć.

- Tymczasem tutaj kochają cię za nic i bez zasługi. Wszyscy nagle roześmiali się.

- Oj, mam, może i nie chciałaś strzelić, aleś trafiła ptaka! - zawołałem również roześmiewszy się.

- A ty wyobraziłeś sobie, że ciebie jest za co kochać - skoczyła znowu Tatiana Pawłowna. - To nie dosyć, że cię kochają niezasłużenie, oni kochają cię mimo wstrętu do ciebie!

- O, to, to nie - zawołałem wesoło. - Czy wiecie państwo, kto powiedział mi dziś, że mnie lubi?

- Śmiejąc się z ciebie powiedział! - nagle jakoś z niezwykłą złością podchwyciła Tatiana Pawłowna, jak gdyby właśnie oczekując ode mnie tych słów. - Człowiek subtelny, a w szczególności kobieta, odczuje obrzydzenie, już chociażby tylko wobec twego moralnego brudu.

Masz przedziałek na głowie, cienką bieliznę, garnitur zrobiony u Francuza, a przecież to wszystko błoto! Kto cię ubrał, kto cię karmił, kto ci daje pieniądze, żebyś grał w ruletkę?

Przypomnij sobie, od kogo nie wstydzisz się brać.

Mama do tego stopnia się zmieszała, że nigdy nie widziałem na jej twarzy takiego zawstydzenia.

- Jeżeli tracę, to tracę swoje pieniądze i nikomu nie jestem obowiązany zdawać rachunków -

odciąłem poczerwieniawszy.

- Czyje swoje, jakie swoje?

- Jeżeli nie moje, to Andrieja Piotrowicza. On mi nie odmówi... brałem od księcia, na rachunek jego długu u Andrieja Piotrowicza.

- Mój drogi - powiedział nagle z naciskiem Wiersiłow. - Tam nie ma ani kopiejki moich pieniędzy.

Zdanie było niezwykle znaczące. Od razu zapomniałem języka w gębie. Ma się rozumieć, wobec mego ówczesnego paradoksalnego i nieokiełzanego nastroju, wykręciłbym się naturalnie, jakimkolwiek „szlachetniejszym” porywem, albo dobrze brzmiącym słówkiem, lub czymkolwiek bądź, ale nagle zauważyłem w zachmurzonej twarzy Lizy jakiś zły, oskarżający wyraz, wyraz niesprawiedliwy, niemal drwinę. I jakby mnie diabeł podkusił.

- Łaskawa pani - zwróciłem się do niej. - Zdaje się, że często odwiedza pani Darię Onisimownę, w mieszkaniu księcia? Czy nie zechce

255

pani wobec tego oddać księciu tych oto trzystu rubli, z powodu których już mnie pani dziś tak piłowała!

Wyjąłem pieniądze i podałem jej. I czy ktoś uwierzy, ale te podłe słowa były powiedziane wtedy bez wszelkiego zamiaru, to znaczy bez jakiegokolwiek aluzji do czegokolwiek. A i nie mogło być aluzji, bo w owej chwili zupełnie o niczym nie wiedziałem. Być może chciałem tylko ukłuć ją czymkolwiek stosunkowo bardzo niewinnym, w rodzaju: panienka, a nie do swoich spraw się miesza, więc skoro koniecznie chce się wtrącić, to może zechce sama spotkać się z tym księciem, z tym młodzieńcem, z petersburskim oficerem i osobiście mu oddać, „skoro już tak zapragnęła mieszać się do spraw młodych mężczyzn”. Jakież jednak było moje zdumienie, gdy nagle mama zerwała się i grożąc mi podniesionym palcem, krzyknęła:

- Nie waż się! Nie waż się!

Nie mogłem wyobrazić sobie niczego podobnego z jej strony i sam zerwałem się z miejsca, nie tyle przestraszony, ile z jakimś cierpieniem, z jakąś męczącą raną w sercu, domyśliwszy się nagle, że wydarzyło się coś poważnego. Ale mama niedługo wytrzymała. Zakrywszy twarz rękami szybko wyszła z pokoju. Liza nie spojrzawszy nawet w moją stronę wyszła w ślad za nią. Tatiana Pawłowna blisko pół minuty patrzyła na mnie milcząc.

- Czyżbyś faktycznie chciał coś zmalować? - wykrzyknęła zagadkowo, patrząc na mnie z wielkim zdziwieniem, ale nie doczekawszy się odpowiedzi pobiegła do nich. Wiersiłow z nieprzyjemną, niemal złą miną wstał od stołu i wziął swój kapelusz.

- Przypuszczam, że bynajmniej nie jesteś taki głupi, lecz tylko naiwny - wycodził drwiąco. - Jeżeli przyjdą z powrotem, powiedz, żeby na mnie nie czekali z deserem: przejdę się trochę.

Zostałem sam. Początkowo było mi dziwnie, potem poczułem się obrażony, a wreszcie jasno zrozumiałem, że jestem winny. Zresztą nie wiedziałem, na czym właściwie polega moja wina, lecz tylko czułem coś. Siedziałem przy oknie i czekałem. Poczekawszy z dziesięć minut, wziąłem tak samo kapelusz i poszedłem na górę do mojej dawnej facjat-ki. Wiedziałem, że tam są, to znaczy mama i Liza i że Tatiana Pawłowna już wyszła. Znalazłem je obydwie, szepczące coś na mojej sofie. Gdy się zjawiłem, obie natychmiast przestały szeptać. Ku mojemu zdziwieniu nie gniewały się na mnie, przynajmniej mama uśmiechnęła się do mnie.

- Zawiniłem, mamó... - zacząłem.

- No, no... głupstwo - przerwała mama. - Kochajcie się tylko wzajemnie i nie kłóćcie się nigdy, to i pan Bóg da szczęście.

256

- On nigdy mnie nie skrzywdzi, mamó, ja ci to mówię! - z przekonaniem i z uczuciem powiedziała Liza.

- Żeby nie ta Tatiana Pawłowna, nic by się nie stało - zawołałem. - Ona jest wstrętna!

- Widzi mama, słyszy? - pokazała na mnie Liza.

- Oto, co wam obydwu powiem: jeśli jest coś paskudnego na świecie, to tylko ja jeden, a wszystko pozostałe - jest śliczne!

- Arkadiju, nie rozgniewaj się, kochanie, ale żebyś ty naprawdę przestał...

- Grać, co? Grać? Przestaną, mamó: dziś po raz ostatni jadę, wobec tego, że Andriej Piotrowicz sam głośno oświadczył, że tam nie ma ani grosza jego pieniędzy. Mama nie uwierzy, jak się rumienię... Zresztą muszę z nim się porozumieć... Mamó kochana, przeszłym razem

powiedziałem tu... niezręczne słowo... kłamałem, mamusi: ja szczerze chcę wierzyć i tylko udawałem, a przecież bardzo kocham Chrystusa...

Rzeczywiście, poprzednim razem wywiązała się rozmowa w tym guście; mama była bardzo zmartwiona i przerażona. Teraz wysłuchawszy mnie, uśmiechnęła się, jak do dziecka.

- Chrystus, Arkadiuszku, wszystko przebaczy: i bluźnierstwa twoje przebaczy, i nawet gorsze rzeczy. Chrystus - to ojciec. Chrystus nie potrzebuje i świecić będzie nawet w najgłębszych ciemnościach...

Pożegnałem się z nimi i wyszedłem, myśląc o szansach zobaczenia się dziś z Wiersiłowem. Trzeba mi było koniecznie pomówić z nim, a przed chwilą nie można było. Podejrzewałem mocno, że oczekuje mnie w moim mieszkaniu! Poszedłem piechotą; po ciepłe zaczął się lekki mroźnik i bardzo przyjemnie było się przejść.

n

Mieszkałem koło Woźniesieńskiego mostu, w ogromnym domu, w podwórzu. Niemal wchodząc w bramę, natknąłem się na wychodzącego ode mnie Wiersiłowa.

- Swoim zwyczajem doszedłem spacerkiem do twojego mieszkania i nawet czekałem na ciebie u Piotra Ippolitowicza, ale znudziłem się. Oni tam ciągle się kłócą, a dziś żona nawet trochę płacze. Popatrzyłem i poszedłem.

Zirytowałem się czemuś:

- Pan pewno tylko do mnie jednego chodzi i prócz mnie i Piotra Ippolitowicza, nikogo nie zna w całym Petersburgu?

257

- Mój drogi... to przecież wszystko jedno.

- Dokądże teraz?
 - Nie, do ciebie już nie wrócę. Jeśli chcesz, przejdziemy się, śliczny wieczór.
 - Gdyby zamiast oderwanych roztrząsań zaczął pan ze mną mówić po ludzku, na przykład, choćby tylko napomknął mi o tej przeklętej grze, nie wciągnąłbym się być może jak głupiec - powiedziałem nagle.
 - Żałujesz? To dobrze - odpowiedział, cedząc wyrazy. - Zawsze podejrzewałem, że dla ciebie gra nie jest najważniejszą rzeczą, lecz tylko chwilowym zboczeniem z drogi... Masz rację, mój drogi, hazard to świństwo, a przy tym można dużo przegrać.
 - I cudze pieniądze przegrywać.
 - A ty i cudze przegrałeś?
 - Pańskie przegrałem. Brałem u księcia na pański rachunek. Naturalnie, to straszny absurd i głupota z mojej strony... uważać pańskie pieniądze za swoje, ale ciągle chciałem się odegrać.
 - Uprzedzam cię jeszcze raz, mój kochany, że tam nie ma moich pieniędzy. Wiem, że ten młodzieniec sam jest w kłopotach i, mimo jego obietnic, zupełnie nań nie liczę.
 - W takim razie, jestem w dwa razy gorszej sytuacji... i to w komicznej sytuacji! I z jakiej racji wobec tego on mi daje, a ja od niego biorę?
 - To już twoja sprawa... A rzeczywiście, z jakiego tytułu bierzesz od niego pieniądze, co?
 - Prócz koleżeństwa...
 - Nie ma nic, poza koleżeństwem? Czy nie ma czegoś takiego, dla czego uważałbyś za możliwe brać od niego? No, z jakichś innych racji?
 - Z jakich znowu racji? Nie rozumiem.
 - Tym lepiej, że nie rozumiesz i przyznaję się, mój drogi, że byłem tego pewny. Brisonsla, mon cher* i jakoś postaraj się nie grać.
 - Gdyby pan mi to wcześniej powiedział! Pan i teraz mówi mi, jakby cedząc po kropelce.
 - Gdybym powiedział wcześniej, to byśmy się tylko pogniewali i nie tak chętnie byś mnie przyjmował u siebie wieczorami. I wiedz, mój kochany, że te wszystkie zbawcze rady to tylko wdarcie się na cudze konto do cudzego sumienia. Dość już włąziłem w cudze sumienie i koniec
- * Skończ z tym 258

końców uzyskałem tylko prztyczki i drwiny. Naturalnie pluję na drwiny, prztyczki i kpiny, ale

najważniejsze jest to, że tym manewrem niczego się nie osiągnie. Jakbyś się nie wdzierał, nikt cię nie posłucha... a tylko wszyscy przestaną cię lubić.

-•Rad jestem, że zaczął pan ze mną mówić o rzeczach oderwanych. Dawno już chciałem zapytać pana o jedno, ale zawsze jakoś nie można było z panem. Dobrze, że jesteśmy na ulicy. Czy pamięta pan ten wieczór u was, ostatni wieczór, dwa miesiące temu, kiedy siedziałem z panem w mojej

„trumnie” i wypytywałem o mamę i Makara Iwanowicza - czy pamięta pan, jaki wtedy byłem

„swobodny”? Czy można było pozwolić szczeniakowi synowi mówić takimi słowami o rodzonej matce? I cóż? Pan ani słówkiem nie dał po sobie poznać. Przeciwnie, sam pan sobie pozwolił i mnie tym samym jeszcze bardziej rozpuścił.

- Mój drogi, bardzo przyjemnie mi słyszeć od ciebie... takie uczucia... Tak, pamiętam dobrze, oczekiwałem wtedy ukazania się rumieńca na twojej twarzy i jeśli sam popychałem cię, to być może właśnie dlatego, żeby cię doprowadzić do kresu...

- A tylko oszukał mnie pan wtedy i jeszcze bardziej zmacił czyste źródło w mojej duszy! Tak, jestem marnym młodzikem i chwilami sam nie wiem, co jest złe, a co dobre. Gdyby pan wtedy pokazał mi choć skrawek drogi, domyśliłbym się i zaraz bym poszedł właściwym traktem, ale pan mnie wtedy tylko rozżłościł.

- Cherenfant*, zawsze przeczuwałem, że tak czy inaczej pogodzę się z tobą, ten rumieniec na twojej twarzy zjawiał się teraz sam przez się, bez moich wskazówek, a przysięgam ci, że to dla ciebie lepiej... Zauważyłem, mój kochany, że w ostatnim czasie dużo zyskałeś... Czyżby w towarzystwie tego książątka?

- Niech pan mnie nie chwali, ja tego nie lubię. Niech pan nie zostawia w mym sercu przykrego podejrzenia, że pan mnie chwali, żeby mi się nadal podobać. A w ostatnich czasach wie pan...

bywałem u kobiet, jestem mile widziany, na przykład u Anny Andriejewny, wie pan?

- Wiem o tym od niej samej, mój drogi. Tak, ona jest przemiła i mądra. Mais brisons-la, mon cher.**
Dziś jakoś dziwnie niemiło - melancholia, czy co? Przypisuję to hemoroidom. Co słychać w domu?
Nic?

* Drogi chłopcze ** Skończ z tyra 259

Ty tam naturalnie pogodziłeś się i były uściski. Cela va sans dire* Smutno jakoś bywa czasem powracać do nich nawet po najgorszym spacerze. Doprawdy, nieraz zrobię po deszczu zbyteczne okrążenie, byle tylko dłużej nie wracać do tych pieleszy... I nuda, nuda, o Boże! Mama... twoja matka jest najdoskonalszą i najpiękniejszą istotą, mais**... jednym słowem, prawdopodobnie nie jestem ich wart. A propos, co tam dziś z nimi? W ostatnich dniach wszystkie one bez wyjątku jakieś takie... Ja, wiesz, zawsze staram się ignorować, ale dziś tam u nich coś się wydarzyło... Ty nic nie zauważyłeś?

- Nie, zupełnie nie wiem i nawet nie zauważyłbym zupełnie, żeby nie ta przeklęta Tatiana Pawłowna, która nie może nie wyskoczyć z gębą! Pan ma rację, tam coś jest. Dziś zastałem Lizę u Anny

Andriejewny, już i tam ona była jakaś taka... aż mnie zdziwiła. Przecież pan wie, że ona bywa u Anny Andriejewny?

- Wiem, mój drogi. A ty... kiedy byłeś dzisiaj u Anny Andriejewny, to znaczy o której godzinie? To mi potrzebne, ze względu na pewien fakt.

- Od drugiej do trzeciej. I proszę sobie wyobrazić, kiedy wychodziłem, przyjechał książę.

Zaraz opowiedziałem mu cały przebieg mojej wizyty z największymi szczegółami. Wysłuchał

wszystkiego w milczeniu. O możliwości starania się księcia o Annę Andriejewną nie wyrzekł ani słowa: na moje pełne zachwytu pochwały Anny Andriejewny wycedził znowu, że „ona jest miła”.

- Niezmiernie udało mi się zadziwić ją dzisiaj, zakomunikowawszy najnowszą towarzyską nowinę o tym, że Katierina Nikołajewna Ach-makowa wychodzi za barona Bjoringa - powiedziałem nagle, jak gdyby coś się we mnie zerwało.

- Tak? Wyobraź sobie, że ona mi tę samą „nowinę” zakomunikowała jeszcze dziś przed południem, to znaczy o wiele wcześniej, zanim ją mogłeś zadziwić.

- Co pan? - aż się zatrzymałem w miejscu. -A skądże ona mogła się dowiedzieć przede mną? Ale przecież, niech pan sobie wyobrazi, wysłuchiwała tego de mnie jak zupełnej nowiny! Zresztą...

zresztą, no cóż? Niech żyje liberalizm! Trzeba uznawać różne charaktery, nieprawdaż? Ja na przykład, zaraz bym wszystko rozgadał, a ona zamyka do skrytki... A niech tam, niech tam!

Niemniej jednak, ona jest najbardziej zachwycającą istotą i najlepszym charakterem.

- O, niewątpliwie, każdy na swój sposób! Ale co jest najbardziej oryginalne; te najlepsze charaktery potrafią czasami niezwykle zaskoczyć. Wyobraź sobie: Anna Andriejewna zaskakuje mnie nagle dzisiaj pytaniem: „Czy kocham Katierinę Nikołajewną Achmakową, czy nie?”

- Jakież dzikie i nieprawdopodobne pytanie - zawołałem, znowu oszołomiony. Aż mi pociemniało w oczach. Nigdy jeszcze nie potrzebowałem mówić z nim na ten temat i oto on sam...

- Czymże ona motywowała to pytanie?

- Niczym, mój drogi, zupełnie niczym; skrytka zaraz zatrzęsnęła się jeszcze lepiej, a co najważniejsze - zauważył - nigdy nie dopuszczałem możliwości podobnych rozmów ze mną, ani ona... Zresztą ty sam mówisz, że ją znasz, a zatem możesz sobie wyobrazić, jak do niej pasuje takie pytanie... Może coś przypadkiem wiesz?

- Jestem tak samo zaskoczony, jak i pan. Ciekawość jakaś, może żart?

- O, bynajmniej, jak najpoważniejsze pytanie i nie pytanie, a niemal, że tak powiem wymaganie i widocznie dla nadzwyczajnych i decydujących przyczyn. Czy nie będziesz u niej? Nie dowiedziałbyś się czegoś? Ja bym cię nawet prosił, uważasz...

- Ale możliwość, co ważniejsze, sama możliwość przypuszczenia miłości pana do Katieriny Nikołajewny! Daruje pan, nie mogę wciąż wyjść z osłupienia. Nigdy, nigdy nie pozwalałem sobie mówić z panem na ten lub podobny temat...

- I rozsądnie robiłeś, kochany.

- Pańskie dawne stosunki i intrygi - naturalnie temat ten pomiędzy nami jest niewłaściwy, a nawet głupio to było z mojej strony; ale właśnie w ostatnim czasie, w ostatnich dniach, niejednokrotnie zapytywałem sam siebie: a gdyby pan kochał kiedykolwiek tę kobietę, chociaż przez chwilę?

O, nigdy by pan nie popełnił takiej strasznej omyłki w swoim mniemaniu o niej, jak ta, która później wylaża! O tym co zaszło - wiem: o waszej wzajemnej nieprzyjaźni i o waszym, że tak powiem wzajemnym wstręcie; wiem, słyszałem, aż nadto słyszałem. Jeszcze w Moskwie; ale przecież właśnie tutaj przede wszystkim wypływa na wierzch fakt zacieklego obrzydzenia, srogiej nieprzyjaźni, właśnie nie miłości, a Anna Andriejewna nagle pyta: „czy pan kocha”?

Czyżby tak źle poinformowana? Coś dziwnego w tym! Żartowała, zapewniam pana, żartowała!

261

- Ale ja uważam, mój kochany - dało się słyszeć coś nerwowego i głębokiego, przenikającego aż do serca w jego głosie, co bardzo rzadko mu się zdarzało. - Uważam, że ty sam zbyt gorąco mówisz o tym. Powiedziałeś przed chwilą, że bywasz u kobiet... naturalnie wypytywać mi cię jakoś... na ten temat... jak wyraziłeś się... Ale czy i „ta kobieta” nie należy do grona twoich nowych przyjaciół?

- Ta kobieta... - zadrżał nagle mój głos. - Niech pan posłucha, Andrieju Piotrowiczu, niech pan słucha: ta kobieta jest tym, co pan dziś u księcia mówił o „żywym życiu”, pamięta pan? Pan mówił, że to żywe życie jest czymś do tego stopnia prostym i naturalnym, do tego stopnia bezpośrednio na nas patrzącym, że właśnie wskutek tej bezpośredniości i jasności nie możemy uwierzyć, żeby to było właśnie tym samym, czego przez całe życie z takim trudem szukamy...

Oto, z takim poglądem spotkał pan ideał kobiety i w doskonałości, w ideale uznał pan

„wszystkie wady”! Tak to wygląda!

Czytelnik może osądzić w jakim byłem uniesieniu.

- „Wszystkie wady”! Oho! Znam tę frazę - wykrzyknął Wiersiłow. -I skoro doszło już do tego, że takie zdanie zostało ci zakomunikowane, to czy nie należało by ci powinszować? To wskazuje na taką intymność między wami, że może trzeba będzie nawet pochwalić cię za skromność i dyskrecję, do jakiej mało który młodzieniec jest zdolny... W głosie jego drżał miły, przyjacielski, pieszczotliwy śmiech... Coś wyzywającego i miłego było w jego słowach i jego jasnej twarzy, o ile mogłem zauważyć w nocy. Był dziwnie podniecony. Byłem poruszony.

- Skromność, dyskrecja! O, nie, nie! - wołałem, czerwieniejąc i jednocześnie ściskając jego rękę, którą jakoś zdołałem uchwycić i nie zauważając tego, nie wypuszczałem jej. - Nie, za nic!...

Jednym słowem, nie ma mi czego wieszować i tu nigdy nic się nie może wydarzyć - brakowało mi tchu i leciałem dalej. I tak mi się chciało lecieć, takie mi to było przyjemne. - Wie pan, niech już raz tak będzie, jeden maleńki razik! Widzisz najdroższy, kochany mój tato - niech mi pan pozwoli nazwać się tatą - nie tylko ojciec z synem, ale w ogóle nikt nie powinien z trzecią osobą rozmawiać o swoich chociażby najbardziej czystych stosunkach z kobietą! I nawet, im bardziej czyste, tym większy powinien być zakaz! To jest niedozwolone, to ordynarne, jednym słowem, konfident jest niedopuszczalny! Ale przecież jeśli nie ma nic, zupełnie nic, to przecież wtedy można mówić, można?

- Jak serce każe.

262

- Nieprzyzwoite, bardzo nieprzyzwoite zapytanie: przecież pan w swoim życiu znalazł kobiety, utrzymywał związki? Ja w ogóle, w ogóle, nic szczególnego!... zarumieniłem się i zachłystywałem z uniesienia.

- Przypuśćmy, że zdarzały się grzeszki.

- Tak więc oto zdarzenie. Niech mi je pan wyjaśni, jako bardziej doświadczony człowiek: zegnając się z panem kobieta mówi niechętnie patrząc w bok: „Jutro o trzeciej będę tam a tam...” No, przypuśćmy u Tatiany Pawłowny - urwałem i zagalopowałem się ostatecznie. Serce uderzyło mi i zatrzymało się; nie mogłem mówić; zatrzymałem się, nie mogłem mówić. Słuchał chciwie.

- I oto nazajutrz o trzeciej, u Tatiany Pawłowny, wchodzę i myślę tak: jeśli kucharka otworzy - pan zna jej kucharkę - zapytam najpierw, czy Tatiana Pawłowna jest w domu? I jeśli kucharka odpowie, że nie ma Tatiany Pawłowny w domu i że jakaś pani siedzi i czeka na nią, to co ja w takim razie powinienem wywnioskować? Proszę powiedzieć, jeżeli pan... jednym słowem, jeżeli pan...

- Najprościej w świecie: wyznaczono ci rendez-vous. Ale czy było tak? I to dzisiaj? Czy tak?

- O nie, nie, nic! Nic, nic! To było, ale nie to; spotkanie, ale nie dlatego... I ja przede wszystkim o tym mówię, żeby nie być podłym, było ale...

- Mój drogi, to wszystko zaczyna być tak ciekawe, że proponuję...

- Ja w swoim czasie dawałem prosiącym po dziesięć i po dwadzieścia pięć. Choć cokolwiek! Tylko o kilka kopiejek błaga porucznik, prosi były porucznik! - zagroziła nam nagle drogą wysoka figura żebrzącego, może rzeczywiście dymisjonowanego porucznika. Najciekawsze, że był nawet dobrze ubrany jak na swój fach; a jednak żebrał.

Umyślnie nie opuszczam tej mizernej anegdoty o marnym poruczniku, ponieważ cały Wiersiów przypomina mi się teraz ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami w ówczesnej fatalnej dla niego chwili. Fatalnej, a ja tego nie wiedziałem!

- Jeśli się pan nie odczepi, dobrodzieju, to zaraz zawołam policję -nagle jakoś nienaturalnie podniósł

głos Wiersiłow. Nigdy bym nie przypuszczał, że będę świadkiem takiego gniewu ze strony tego filozofa i to dla tak marnego powodu. I proszę zauważyć, że przerwaliśmy rozmowę, jak sam stwierdził, w najciekawszym miejscu.

263

- Więc nie mam pan nawet piętnastu kopiejek? - wykrzyknął ochryple porucznik machnąwszy ręką.

- Jaka teraz kanalia ma drobniaki! Dranie, łajdacy! W bobrach chodzi, a z piętnastu kopiejek robi państwowe zagadnienie!

- Stójkowy! - krzyknął Wiersiłow.

Ale nie trzeba było nawet krzyczeć: stójkowy akurat stał na rogu ulicy i słyszał wymyślanie porucznika.

- Proszę być świadkiem obrażenia mnie, a pana proszę do cyrkułu - rzekł Wiersiłow.

- E tam, mnie jest wszystko jedno, ale pan niczego nie udowodni! Nade wszystko nie udowodni pan rozumu!

- Stójkowy, proszę go zatrzymać i odprowadzić nas - stanowczo zakonkludował Wiersiłow.

- Czyżbyśmy mieli iść do cyrkułu? Do diabła z nim! - szepnął mu.

- Koniecznie, mój kochany. Ten nieład na naszych ulicach zaczyna dopiekać do żywego; gdyby każdy spełniał swój obowiązek, to byłoby dla wszystkich z korzyścią. C'est comique, mais c'est que nous ferons!*

Przez jakieś sto kroków porucznik bardzo się unosił, nadymał się, robił z siebie śmiałego i odważnego; zapewniał, że „tak nie można, że tu z piętnastu kopiejek” itd., i itd. Ale na koniec zaczął coś szeptać stójkowemu. Policjant, człowiek rozsądny i widocznie wróg ulicznych niesnasek, był zdaje się po jego stronie, lecz tylko do pewnego stopnia. Odmrukiwał półgłosem na jego pytania, że teraz już nie można, że „sprawa się zaczęła i że gdyby na przykład pan porucznik przeprosił, a ten pan zgodziłby się przyjąć przeprosiny, to wtedy może...”

- Niech pan po-słu-cha mój panie, dokąd idziemy? Pytam pana: dokąd tak zdążamy i gdzie tu dowcip? - głośno zakrzyknął porucznik. - Jeżeli nieszczęśliwy w swych niepowodzeniach człowiek zgadza się przeprosić... Jeżeli w końcu pan potrzebuje jego ponizenia... Do diabła, przecież nie jesteśmy w salonie, lecz na ulicy! Dla ulicy wystarczą i takie przeprosiny...

Wiersiłow stanął i nagle roześmiał się. Pomyślałem nawet, że całą tę historię urządził dla zabawy, ale to nie było tak.

- Ostatecznie pana przepraszam, panie oficerze, i zapewniam, że ma pan zdolności. Niech pan postępuje tak samo i w salonie - wkrótce i dla

salonu to będzie zupełnie wystarczające. A tymczasem oto pańskie czterdzieści kopiejek, niech pan sobie wypije i zakąsi; przepraszam, stójkowy, że niepokoiłem, podziękowałbym i panu za fatygę, ale wy teraz jesteście na tak honorowym miejscu... Mój drogi - zwrócił się do mnie

- jest tu blisko pewna jadłodajnia, w istocie straszna kloaka, ale można się tam napić herbaty i ja ci proponuję... o tu, zaraz, chodźmy!

Powtarzam, że nigdy go nie widziałem tak podnieconego, mimo że twarz miał wesołą i rozjaśnioną; ale zauważyłem, że kiedy wyjmował z portmonetki czterdzieści kopiejek, żeby dać oficerowi, ręce mu drżały i palce odmawiały posłuszeństwa, tak że w końcu poprosił mnie, ażebym wyjął i dał porucznikowi; nie mogę tego zapomnieć.

Zaprowadził mnie do małej restauracyjki w dole nad kanałem. Gości było mało. Grały rozstrojone organy, pachniało brudnymi serwetkami; siedliśmy w kącie.

- Może ty nie wiesz? Lubię niekiedy z nudów... z okropnych nudów duszy... zachodzić do różnych takich nor. To otoczenie, ta zacinająca się aria z „Łucji”, ta obsługa w strojach do nieprzyzwoitości rosyjskich, ta machorka, te krzyki z sali bilardowej - wszystko to jest do tego stopnia pospolite i prozaiczne, że niemal graniczy z fantazją. No więc cóż, mój drogi? Ten syn Marsa przerwał nam zdaje się w najbardziej interesującym miejscu... A oto i herbata; lubię tutejszą herbatę... Wyobraź sobie, Piotr Ippolitowicz niedawno nagle zaczął zapewniać tego drugiego dziobatego lokatora, że w parlamencie angielskim w zeszłym stuleciu wyznaczono komisję składającą się z prawników, do rozpatrzenia całego procesu Chrystusa przed kapłanami i Piłatem jedynie po to, żeby się dowiedzieć, jak to byłoby teraz zgodnie z naszym prawodawstwem i że wszystko przeprowadzono uroczyście, z adwokatami i itp... no i że przysięgli zmuszeni byli wydać wyrok skazujący... Coś zadziwiającego! Ten głupiec lokator zaczął się sprzeciwiać, rozżłościł się, pokłócił i oznajmił, że jutro... wyprowadza się. Gospodyni rozplakała się, bo traci dochód... Maispassons. * W tych restauracjach bywają czasami słowiki.

Czy znasz moskiewską anegdotę, a la Piotr Ippolitowicz? W restauracji moskiewskiej śpiewa słowik, wchodzi kupiec, taki co to „nie sprzeciwiaj się nigdy jemu życzeniu”: ile kosztuje słowik? - Sto rubli. - Upiec i podać!

- Upiekli i podali. - Odkrajać za dziesięć kopiejek. Opowiadałem to teraz Piotrowi Ippolitowiczowi, ale nie uwierzył i był nawet zgorszony.

* Ale nie mówmy o tym.

Dużo jeszcze mówił Wiersiłow. Przytaczam te urywki dla przykładu. Bezustannie przerywał mi, zaledwie otwierał usta, aby zacząć moje opowiadanie i zaczynał mówić pierwsze lepsze głupstwo, zupełnie bez związku; mówił z przejęciem, wesoło; śmiał się. Bóg wie czego, i nawet chichotał, czego u niego nigdy nie widywałem. Duszką wypił szklankę herbaty i nalał nową.

Teraz rozumiem: podobny był wtedy do człowieka, który otrzymał cenny, ciekawy i długo oczekiwany list i który tenże list położył przed sobą i umyślnie nie otwiera, lecz przeciwnie, długo obraca w rękach, ogląda kopertę, pieczęć, idzie coś zarządzić do drugiego pokoju; odsuwa jednym słowem interesującą chwilę, wiedząc, że w żaden sposób mu nie ucieknie, a wszystko to dla większej pełni delektowania się.

Rozumie się, opowiedziałem mu wszystko, wszystko od samego początku i opowiadałem może z godzinę. A i jakże mogło być inaczej; już od pewnego czasu pragnąłem mówić. Zacząłem od naszego pierwszego spotkania, wtedy u księcia, po jej przyjeździe z Moskwy; potem

opowiedziałem, jak wszystko to przebiegało stopniowo. Nie opuściłem nic, a i nie mogłem opuścić: on sam naprowadzał, odgadywał, podpowiadał. Chwilami zdawało mi się, że dzieje się coś fantastycznego, że on tam gdzieś siedział, lub stał za drzwiami za każdym razem przez całe te dwa miesiące; znał naprzód każdy mój gest, każde moje uczucie. Odczuwałem niewypowiedzianą rozkosz w tym spowiadaniu się, ponieważ widziałem w nim taką samą miękkość, taką głęboką psychologiczną subtelność, taką zadziwiającą zdolność odgadywania z pierwszych sylab.

Wysłuchiwał delikatnie jak kobieta. Co najważniejsze, potrafił uczynić to, że się niczego nie wstydziłem; niekiedy nagle zatrzymywał mnie przy jakimś szczególe; często zatrzymywał i nerwowo powtarzał: „nie zapominaj o drobiazgach, to najważniejsze - nie zapominaj o drobiazgach: im drobniejszy rys, tym częstokroć ważniejszy”. W ten sposób przerwał mi kilka razy. Naturalnie zacząłem z początku mówić o niej z góry, z wyższością, ale szybko sprowadził

mnie do istoty. Gorąco opowiadałem mu, że gotów byłem całować to miejsce, gdzie stała jej noga.

Najpiękniej -sze, najjaśniejsze było to, że doskonale pojął, że „można cierpieć ze strachu o dokument”, a jednocześnie pozostawać istotą czystą i bez zarzutu, jaka. dziś okazała się wobec mnie. Doskonale zrozumiał słowo „student”. Ale kiedy już skończyłem, zauważyłem, że poprzez jego dobry uśmiech zaczęło chwilami przeblyskiwać w jego oczach coś zupełnie niecierpliwego, coś jakby roztargnionego i ostrego. Kiedy doszedłem do dokumentu, pomyślałem sobie:

„powiedzieć mu całkowitą prawdę, czy nie powie-

266

dzieć?” - i nie powiedziałem, bez względu na cały mój zachwyty. Zaznaczam to tutaj dla pamięci na całe moje życie. Wyjaśniłem całą rzecz tak, jak i jej, to jest za pomocą Krafta. Jego oczy zapłonęły, dziwna zmarszczka pojawiła się na czole, bardzo ponura zmarszczka.

- Dobrze pamiętasz, mój drogi, ten list, który Kraft spalił nad świecą? Nie mylisz się?

- Nie myślę się - potwierdziłem.

- Rzecz w tym, że to pisemko jest dla niej bardzo ważne i niechby tylko było dziś w twoich rękach, ty byś jeszcze dziś mógł... - ale co „mógłbym”, nie odpowiedział. - Ale nie masz go teraz w swoich rękach?

Cały zadrżałem wewnątrz, ale nie na zewnątrz. Zewnątrz niczym się nie zdradziłem, nie mrugnąłem; ale ciągle jeszcze nie chciałem wierzyć w to pytanie:

- Jak to, nie mam go w swoich rękach? Teraz w rękach? Przecież skoro Kraft je wtedy spalił?

-Tak? -wpił we mnie rozognione, nieruchome spojrzenie, pamiętne dla mnie spojrzenie.

Zresztą uśmiechał się, ale cała jego dobroduszość, cała kobiecość wyrazu, którą miał dotąd, znikła nagle. Stało się coś nieokreślonego i nijakiego; stawał cię coraz bardziej i bardziej roztargniony.

Gdyby panował nad sobą bardziej, tak jak do tej chwili panował, nie zadałby mi tego pytania o dokument. Jeżeli zadał, to na pewno dlatego, że sam był w szale; zresztą mówię to dopiero teraz; ale wtedy nie tak szybko wnikałem w przemianę, która w nim zaszła; ciągle jeszcze nie przestawałem bujać w obłokach, a w duszy miałem ciągle tę samą muzykę. Ale opowiadanie było skończone; patrzyłem na niego.

- Zadziwiająca rzecz - wymówił nagle, kiedy opowiedziałem już wszystko do ostatniego przecinka.

- Przedziwna rzecz, mój miły; mówisz, że byłeś tam od trzeciej do czwartej i że Tatiany Pawłowny nie było w domu?

- Dokładnie od trzeciej do wpół do piątej.

- No więc wyobraź sobie, że zachodziłem do Tatiany Pawłowny punktualnie o wpół do czwartej, co do minuty i przyjęła mnie w kuchni; ja przecież prawie zawsze wchodzę do niej kuchennymi schodami.

- Jak to przyjęła pana w kuchni? - wykrzyknąłem, cofnąwszy się ze zdziwienia.

- Tak. I powiedziała mi, że nie może mnie przyjąć; pobyłem u niej ze dwie minuty, a wstąpiłem tylko zaprosić ją na obiad.

267

- Może tylko właśnie wróciła?

- Nie wiem, zresztą na pewno nie. Była w domowej bluzce. Było to akurat wpół do czwartej.

-Ale... Tatiana Pawłowna nie mówiła panu, że tam jestem?

- Nie, nie powiedziała mi, że tam jesteś... W przeciwnym razie wiedziałbym i ciebie bym o to nie pytał.

- Wie pan, to jest bardzo ważne...

- Tak... zależy z jakiego punktu widzenia; a tyś aż pobladł, mój drogi... a zresztą cóż w tym aż tak ważnego?

- Wyśmiali mnie jak dzieciaka!

- Po prostu „przestraszyła się twojej zapalczywości”, jak ci sama określiła - no i zabezpieczyła się obecnością Tatiany Pawłowny.

- Ależ, mój Boże, jakaż to była sprawka z ich strony! Niech pan posłucha, ona mi pozwoliła to wszystko wypowiedzieć przy trzeciej osobie... przy Tatianie Pawłownie; ta naturalnie słyszała wszystko, co wtedy mówiłem! To... wprost okropne nawet wyobrazić sobie!

- C'est selon, mon cher* A przy tym sam przecież wspominałeś niedawno o tolerancyjności poglądu na kobietę w ogóle i wykrzyknąłeś: „Niech żyje tolerancja!”

- Gdybym był Otellem, a pan Jagiem, to nie mógłby pan lepiej... zresztą ja się śmieję! Nie może być żadnego Otella, bo nie ma żadnych podobnych sytuacji. I jakże tu się nie śmiać! Niech tam!

Pomimo wszystko wierzę w to, co jest nieskończenie wyższe ode mnie i nie tracę mego ideału!... Jeżeli to żart z jej strony, to przebaczam. Żart ze śmiesznego wyrostka - niech tam!

Przecież nie drapowałem się w nic, a student -student jednakże był i pozostał mimo wszystko; był w jej duszy, w jej sercu był, istnieje i będzie istnieć! Dostyc! Jak pan myśli? Czy mam pojechać do niej zaraz, żeby dowiedzieć się całej prawdy, czy nie?

- Cóż, jedź, mój przyjacielu, jeśli chcesz.

- Tak jakbym duszę ubrudził sobie przez to, że panu to wszystko opowiedziałem. Niech się pan nie gniewa, gołąbeczku, ale o kobiecie, powtarzam, o kobiecie nie wolno zwierzać się trzeciej osobie; powiernik nie zrozumie. Anioł nawet nie zrozumie. Jeśli szanujesz kobietę -nie bierz powiernika! Jeśli szanujesz siebie - nie bierz powiernika. Ja siebie teraz nie szanuję. Do widzenia, nie daruję sobie...

- Daj spokój, mój drogi, przesadzasz. Sam przecież mówisz, że „nic nie było”.

* To zależy, mój drogi. 268

Wyszliśmy nad kanał i zaczęliśmy się żegnać.

- Czyż doprawdy nie pocałujesz mnie serdecznie, jak dziecko, jak syn ojca? - powiedział z dziwnym drżeniem w głosie. Gorąco ucałowałem go.

- Kochany... bądź zawsze tak czysty duszą jak teraz. Nigdy w życiu jeszcze go nie całowałem, nigdy sobie nie mogłem wyobrazić, że sam tego zechce.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rozumie się, trzeba jechać! -zdecydowałem, pospieszając do domu. -Natychmiast jechać. Bardzo prawdopodobne, że zastanę ją w domu samą; samą, czy z kimkolwiek - wszystko jedno: można wywołać. Przyjmie mnie; zdziwi się, ale przyjmie. A jeśli nie przyjmie, to będę nalegał, aby

przyjęła, posłę służącą powiedzieć, że to bardzo ważne. Pomyśli, że to coś w sprawie dokumentu i przyjmie. I dowiem się wszystkiego o Tatianie. A tam... a tam cóż? Jeżeli nie mam racji, to jej wynagrodzę, a jeżeli mam, a ona jest winna, to przecież wtedy już koniec wszystkiego! I cóż przegrywam? Nic nie przegrywam. Jechać, jechać!”

I otóż nigdy nie zapomnę i z dumą wspominam to, że nie pojechałem! To nie będzie wiadome nikomu i tak przypadnie, ale dosyć i tego, że jest to wiadome mnie i że w takiej chwili byłem zdolny do bardzo szlachetnego prześwytu. „To pokusa, ale ominę ją! - zdecydowałem na koniec, rozmyśliwszy się. - Straszono mnie faktem, ale ja nie uwierzyłem i nie straciłem wiary w jej czystość! I po cóż jechać, o co się dowiadywać? Dlaczego tak koniecznie powinna wierzyć we mnie jak ja w nią, w moją „czystość”, nie zląknąć się „zapalczywości” i nie zabezpieczyć się Tatianą? Nie zasłużyłem jeszcze na to w jej oczach. Niech tam, niech nie wie, że zasługuję, że nie ulegam pokusom, że nie wierzę złym plotkom o niej: sam za to wiem o tym i będę się za to szanować. Szanować swoje uczucie. O tak, pozwoliła mi wypowiedzieć się przy Tatianie, wiedziała, że tam siedzi i podsłuchuje Tatiana (bo ta nie mogła nie podsłuchiwać), wiedziała, że ta się ze mnie śmieje - to okropne, okropne! Ale... ale przecież - jeżeli nie można było tego uniknąć?

Cóż mogła zrobić w owym położeniu i jakże ją za to winić?

Przecież sam jej dopiero co nakłamałem o Krafcie, przecież i ja ją oszukałem, ponieważ także nie można było tego uniknąć i bezwolnie,

270

niewinnie nakłamałem. Boże mój! -wykrzyknąłem nagle rumieniąc się. - A sam co, co w tej chwili zrobiłem? Czy nie pociągnąłem jej przed taką samą Tatianę, czy nie opowiedziałem zaraz wszystkiego Wiersiłowowi? Zresztą, cóż ja? Tutaj jest różnica. Tutaj mówiłem tylko o dokumencie, bo i nie było o czym więcej opowiadać i nie mogło być. Czy ja pierwszy nie uprzedziłem go i nie wołałem, że „nie mogło być”? Jest to człowiek, który rozumie. Hm!... Ale jakaż jest jednak nienawiść w jego sercu do tej kobiety. I jakiż dramat musiał zajść wtedy między nimi i o co? Na pewno skutek egoizmu! „Wiersilow do żadnego uczucia, prócz bezgranicznego egoizmu, nie może być zdolny!”

Tak, ta ostatnia myśl wyrwała mi się wtedy i nawet jej nie zauważyłem. Oto jakie myśli jedna za drugą przeszły wtedy przez moją głowę, a byłem wówczas szczerzy ze sobą! Nie kręciłem, nie oszukiwałem sam siebie; i jeżeli czegoś nie uświadomiłem sobie w owej chwili, to dlatego tylko, że zabrakło mi rozumu, ale nie z perfidii wobec samego siebie.

Wróciłem do domu strasznie podniecony i, nie wiem czemu, w ogromnie wesołym nastroju, chociaż ogromnie roztrzęsiony. Ale bałem się analizować siebie i wszelkimi siłami starałem się rozerwać. Zaraz też poszedłem do gospodyni: rzeczywiście pomiędzy mężem a nią była okropna kłótnia. Gospodyni, żona urzędnika, była bardzo zaawansowaną suchotnicą, może dobrą kobietą, ale jak wszystkie suchotnice nadzwyczaj kapryśną. Zaraz zacząłem ich godzić. Poszedłem do lokatora, bardzo ordynarnego, dziobatego głupca, niezwykle samolubnego urzędnika, który pracował w pewnym banku, Czerwiakowa, którego bardzo nie lubiłem, ale z którym jednakże żyłem w zgodzie, ponieważ razem z nim dopuszczałem się niesmacznych kpinek z Piotra Ippolitowicza. Zaraz go namówiłem, by się nie wyprowadzał, choć on sam pewnie nie zdecydowałby się na przeprowadzkę.

Skończyło się tym, że uspokoilem gospodynię ostatecznie i ponadto doskonale poprawilem jej pod głową poduszkę: „Nigdy tak nie potrafił Piotr Ippolitowicz” złośliwie podsumowała. Potem pokręciłem się w kuchni przy jej kata-plazmach i sam własnoręcznie przygotowałem dwa doskonałe okłady.

Biedny Piotr Ippolitowicz patrzył tylko na mnie z zazdrością, ale nie dałem mu się do niczego dotknąć i zostałem wynagrodzony przez nią dosłownie łzami wdzięczności. I pamiętam, iż raptem wszystko to mi się sprzykrzyło, i naraz odgadłem, że bynajmniej nie z dobroci otaczałem staraniami chorą, ale tylko dla czegoś, dla czegoś zupełnie innego.

Nerwowo oczekiwałem na Matwieja: tego wieczoru zdecydowałem się po raz ostatni spróbować szczęścia i... prócz szczęścia odczuwałem

271

straszną potrzebę gry. Inaczej bym nie wytrzymał. Gdybym nigdzie nie jechał, być może nie wytrzymałbym i pojechał do niej. Matwiej powinien był wkrótce się zjawić, ale nagle otworzyły się drzwi i wszedł nieoczekiwany gość - Daria Onisimowna. Zmarszczyłem się i zdziwiłem; wiedziała, gdzie mieszkam, bo raz już kiedyś z polecenia mamy przychodziła do mnie. Poprosiłem, żeby usiadła i zacząłem patrzeć na nią pytająco. Nic nie mówiła, tylko patrzyła mi prosto w oczy i uśmiechała się pokornie.

- Czy pani nie przychodzi od Lizy?

- Nie, ja tak tylko.

Upредиłam ją, że zaraz odjeżdżam. Znowu odpowiedziała, że ona tylko tak i zaraz sobie pójdzie.

Zrobiło mi się jej nagle żal. Zauważę, że od nas wszystkich, ze strony mamy i szczególnie Tatiany Pawłowny doznawała wiele współczucia, ale po umieszczeniu jej u Stołbiejewej wszyscy zaczęliśmy jakoś o niej zapominać, z wyjątkiem chyba Lizy, która ją często odwiedzała. Powodem tego była, jak się zdaje, ona sama, bo miała zdolność oddalania się i odsuwania na drugi plan, niezależnie od swej uniżoności i przymilnych uśmiechów. Osobiście bardzo mi się nie podobały te jej uśmiechy i to, że zawsze miała maskę na twarzy i raz nawet pomyślałem o niej, że niedługo smuciła się po swojej Oli. Ale tym razem zrobiło mi się jej czegoś żal.

I oto nagle, nie mówiąc ani słowa, pochyliła się, i wyrzuciwszy obie ręce w przód, objęła mnie w pół, a twarzą pochyliła się do moich kolan. Chwyciła moją rękę, pomyślałem, że chce całować, ale przyłożyła ją do swoich oczu i oblała gorącym strumieniem łez. Trzęsła się cała od łkania, ale płakała cicho. Ścisnęło mi się serce, mimo że jednocześnie zacząłem się irytować. Ale ona obejmowała mnie z pełnym zaufaniem, nie bojąc się wcale, że się rozgniewam, mimo iż przed chwilą tak bojaźliwie i niewolniczo się uśmiechała. Zacząłem prosić, żeby się uspokoiła.

- Kochanie, gołąbku, nie wiem, co z sobą robić. Jak się ściemni, to już nie mogę wytrzymać.

Ciągnie mnie zaraz na ulicę, w ciemności. I co ważniejsze, ciągnie mnie marzenie. Takie mi się w

głowie marzenie wylęgło, że niech no tylko wyjdę, to ją na ulicy spotkam. Chodzę tak jakbym ją widziała. To znaczy inne chodzą, a ja idę z tyłu i myślę: czy to przypadkiem nie ona, czy to nie moja Ola? I myślę, i myślę. Głupieję pod koniec i tylko ludzi potrącam: źle mi. Zataczam się jak pijana, niektórzy przechodnie wymyślają mi. Ukrywam to i do nikogo nie chodzę. Ale gdzie bym nie poszła - jeszcze gorzej. Przechodziłam teraz koło pana, pomyślałam: „Ot, wstąpię do niego, jest najlepszy ze wszystkich i wtedy był przy tym”. Serdeńko, przebac mi,

bezużytecznej, odejdę zaraz i pójdę sobie...

Wstała nagle i zaczęła zbierać się do wyjścia. Akurat przyjechał Matwiej; wziąłem ją ze sobą do sań i po drodze odwoziłem ją do niej, do mieszkania Stołbiejewej.

W ostatnim czasie zacząłem jeździć na ruletkę do Zierszczykowa. Dotąd jeździłem do trzech domów, zawsze z księciem, który mnie „wprowadzał” do tych lokali. W jednym z tych domów grano przeważnie w faraona i na bardzo poważne sumy. Ale tam mi się nie podobało: widziałem, że tam dobrze traktują tylko gości z grubszymi pieniędzmi, a oprócz tego przyjeżdżało tam nazbyt wielu bezczelnych ludzi i „hucznej” młodzieży z wyższego towarzystwa. Księżę to właśnie lubił, lubił i grać, ale lubił też zawierać znajomość z tymi urwipołciami. Zauważyłem, że chociaż wchodził czasem razem ze mną, jednakże w ciągu wieczora oddalał się jakoś i z nikim „ze swoich”

mnie nie zapoznawał. Ja zaś wyglądałem na zupełnego dzikusa, a czasami nawet do tego stopnia, że zwracałem tym na siebie powszechną uwagę. Przy stole gry zdarzało mi się nawet czasami rozmawiać z tym lub owym; ale pewnego razu spróbowałem następnego dnia w tych samych salach zamienić ukłon z jednym paniczem, z którym poprzedniego dnia siedząc obok nie tylko rozmawiałem, lecz i śmiałem się, a nawet odgadłem dla niego dwie karty. I cóż - zupełnie mnie nie poznał. Jeszcze gorzej: popatrzył jak gdyby z udanym zdziwieniem i minął mnie z uśmiechem.

Dlatego wkrótce rzuciłem tamten lokal i zapaliłem się do jeżdżenia do pewnej kloaki, inaczej nie umiem tego nazwać. Była to dość nędzna ruletka, prowadzona przez pewną utrzymankę, która zresztą na sali sama się nie pokazywała. Towarzystwo zachowywało się tam ogromnie

bezceremonialnie, chociaż bywali i oficerowie, i bogaci kupcy, ale czuło się domieszkę jakiegoś błotka, co zresztą wielu właśnie przyciągało. Prócz tego, często mi się tam wiodło. Ale i ten lokal rzuciłem po pewnym wstrętym zajściu, które wydarzyło się w trakcie gry, a skończyło bójką jakichś dwóch graczy i zacząłem jeździć do Zierszczykowa, do którego wprowadził mnie także księżę. Zierszczykow był dymisjonowanym rotmistrzem i styl jego wieczorów był zupełnie znośny, wojskowy, bardzo skrupulatny co do utrzymywania form honorowych, nierozwlekły i rzeczowy.

Żartownisie i wielcy hulacy tam się nie pojawiali. Grało się w bank i w ruletkę. Do tego 273

wieczora, piętnastego listopada byłem tam wszystkiego dwa razy i Zierszczykow, zdaje się, znał

mnie już z widzenia; ale znajomych nie miałem tam jeszcze zupełnie. Jakby umyślnie, również księżę z Darzanem pojawili się tego wieczoru dopiero około północy, wrócili z towarzystwa, który porzuciłem wcześniej. Ostatecznie u Zierszczykowa byłem jak nieznajomy w obcym tłumie.

Gdybym miał czytelnika, który by przeczytał to wszystko, co już napisałem o moich przygodach, niewątpliwie nie trzeba by mu było wyjaśnić, że zupełnie nie jestem stworzony dla jakiegokolwiek towarzystwa. Co najważniejsze, nie potrafię zupełnie zachować się w towarzystwie. Kiedy wchodzę tam, gdzie jest dużo ludzi, zawsze mam uczucie, że wszystkie spojrzenia elektryzują mnie. Zaczynam wypaczać się, wypaczać się fizycznie, nawet w takich miejscach jak teatr, nie mówiąc już o domach prywatnych. Na tych wszystkich ruletkach i zebraniach nie potrafiłem znaleźć sobie odpowiedniej postawy: to siedzę i robię sobie wyrzuty za zbyt dużą miękkość i grzeczność, to nagle wstanę i wyczynię jakieś grubiaństwo. A tymczasem jacyś niegodziwcy potrafili tam zachowywać się z zadziwiającą godnością. I to właśnie złościło mnie ponad wszystko, tak, że coraz bardziej traciłem zimną krew. Powiem wprost, że nie tylko teraz, ale i wtedy całe to towarzystwo, a nawet sama wygrana, stały się dla mnie wstrętne i męczące. Kompletnie nieznośne!

Naturalnie odczuwałem niezwykłą przyjemność, ale przyjemność ta przechodziła przez cierpienie; wszystko to, to znaczy: ci ludzie, gra i co najważniejsze - ja sam z nimi - wydawało mi się strasznie brudne! „Gdy tylko wygram, od razu plunę na to wszystko!” mówiłem sobie za każdym razem, zasypiając po nocnej grze o świcie u siebie w mieszkaniu. I znowu ta wygrana, a trzeba wziąć pod uwagę, że bynajmniej nie kochałem się w pieniądzu. To znaczy nie będę powtarzał głupich bredni, zwykłych przy takich wyjaśnieniach, że grałem, pan rozumie, dla samej gry, dla wrażenia, dla przyjemności, ryzyka, hazardu itd., a bynajmniej nie dla zysku. Pieniądze były mi strasznie potrzebne i chociaż nie była to moja droga, ani moja idea, ale tak czy inaczej wtedy postanowiłem spróbować tytułem eksperymentu także tej drogi. Wciąż jednak zbijała mnie z tropu jedna silna myśl: „Przecież już wywiodeś, że milionerem możesz zostać jedynie mając odpowiednio silny charakter; przecież robiłeś próby charakteru; więc pokaż się i tutaj: czyż przy ruletce trzeba więcej charakteru niż dla twojej idei?” - oto co sobie powtarzałem. A ponieważ jestem przekonany, że w grze hazardowej, zachowując zupełny spokój, całą subtelność umysłu i wyrachowania, 274

nie można nie przewyciężyć brutalności ślepego przypadku i nie wygrać, to naturalnie musiałem coraz bardziej i bardziej rozdrażniać się, widząc, że co chwila nie wytrzymuje i unoszę się jak zupełny smarkacz. „Ja, który mogłem wytrzymać głód, nie potrafię utrzymać się w korbach przy takich głupstwach” - oto co mnie drażniło. Przy tym świadomość, że u mnie, we mnie, jakkolwiek bym się wydawał śmieszny i nędzny - znajduje się ten skarb siły, który zmusi ich wszystkich do zmiany mniemania o mnie, ta świadomość, poczynając od moich poniżeń jeszcze w dzieciennym niemal wieku - stanowiła wówczas jedyne źródło mego życia, moje światło i moją godność, moją broń i moją pociechę, bez której być może zabiłbym się jeszcze jako dziecko. A zatem, czy mogłem nie być zirytowany na siebie, widząc w jak nędzne stworzenie przeobrażam się przy stole gry? Oto dlaczego nie mogłem oderwać się od tej gry: teraz widzę to wyraźnie. Prócz tego najważniejszego cierpiała również miłość własna. Przegrana poniżała mnie wobec księcia, wobec Wiersiłowa, chociaż ten ostatni nie raczył nic mówić, wobec wszystkich, nawet wobec Tatiany -

tak mi się wydawało, tak czułem. W końcu zrobię jeszcze jedno wyznanie: byłem już wtedy bardzo zepsuty, trudno mi było odmówić sobie obiadu z siedmiu dań w restauracji, Matwieja, angielskiego sklepu, opinii mego drogisty, i tego tam wszystkiego. Uświadomiłem sobie już wtedy, ale machałem na to ręką; dziś pisząc rumienię się.

Przyjechałem sam i znalazłem się w nieznanym tłumie; początkowo przysiadłem w rogu stołu i grałem małymi stawkami. Przesiedziałem tak nie ruszając się ze dwie godziny. W tym czasie sytuacja moja była nieokreślona; ni to, ni owo. Przegapiałem zdumiewające okazje i starałem się nie złościć, lecz opanować sytuację zimną krwią i pewnością siebie. Skończyło się na tym, że przez te całe dwie godziny nie przegrałem i nie wygrałem. Z trzystu rubli przegrałem około dziesięciu, piętnastu. Ten marny rezultat rozzłościł mnie, a przy tym wydarzyła się obrzydliwa historia. Wiem, że przy tych ruletkach trafiają się czasami złodzieje. Nie tacy z ulicy, ale po prostu niektórzy znani gracze. Jestem na przykład przekonany, że znany gracz Afierdow jest złodziejem; teraz jeszcze paraduje po mieście; jeszcze niedawno widziałem go z parą jego własnych kucyków, niemniej jednak jest złodziejem i okradł mnie. Ale o tym zdarzeniu później. Tego wieczoru wydarzyło się tylko preludium: siedziałem przez te

275

I

ii

dwie godziny w rogu stołu, a obok mnie z lewej strony tkwił przez cały czas mały, zgniły elegancik, jak przypuszczam z Żydków, zresztą do czegoś tam należy, nawet coś pisze i drukuje. W

ostatniej chwili wygrałem nagle dwadzieścia rubli. Dwa czerwone banknoty leżały przede mną i nagle widzę, jak ten mały Żydek wyciąga rękę i najspokojniej zabiera jeden mój banknot.

Próbowałem powstrzymać go, ale z najbezczelniejszą miną i nie podnosząc zupełnie głosu oświadczył, że przed chwilą sam postawił i wygrał. Nie raczył nawet ciągnąć dalej rozmowy i odwrócił się. Jakby naumyślnie byłem w tym momencie w arcygłupim stanie ducha: obmyślałem wielki plan i splunąwszy na to wstałem i odszedłem, nie chcąc wszczynać kłótni. Podarowałem mu więc czerwony banknot. Co prawda trudno byłoby prowadzić tę sprawę z beczelnym

złodziejaskiem, bo straciłem na czasie: gra już poszła naprzód. I to właśnie było moim wielkim błędem, który pociągnął za sobą fatalne następstwa: trzech, czterech graczy koło nas zauważyło sprzeczkę i widząc, że tak łatwo wycofałem się, prawdopodobnie wzięli właśnie mnie za kogoś podejrzanego. Była akurat dwunasta. Przeszedłem do następnego pokoju, pomyślałem o nowym planie i wróciwszy rozmieniłem w banku moje banknoty na półimperiały. Otrzymałem ich przeszło czterdzieści sztuk. Podzieliłem je na dziesięć części i zdecydowałem się postawić dziesięć stawek z rzędu jedna za drugą na zero, każda po cztery półimperiały, „Wygram - moje szczęście, przegram -

tym lepiej; już więcej grać nie będę.” Zauważyłem, że przez te całe dwie godziny zero ani razu nie wychodziło, tak, że w końcu nikt już na zero nie stawiał.

Rzucąłem pieniądze milcząc, zachmurzony i ze ściśniętymi zębami. Przy trzeciej stawce Zierszczykow głośno obwieścił zero, które przez cały dzień nie wychodziło. Odliczono mi sto czterdzieści rubli w złocie. Pozostawało mi jeszcze siedem stawek, ciągnąłem dalej, a tymczasem dookoła mnie wszystko zakręciło się i zatańczyło.

- Niech pan tu przejdzie! - zawołałem przez cały stół do gracza, obok którego przed chwilą siedziałem, do siwego wásacza z purpurową twarzą i we fraku, który przez kilka godzin z niesłychaną cierpliwością grał maleńkimi stawkami i przegrywał je jedna za drugą. - Niech pan tu przyjdzie! Tu wraca szczęście!

- Czy pan do mnie? - z jakimś groźnym zdziwieniem wykrzyknął wásacz z końca stołu.

- Tak, do pana! Tam pan wszystko przegra!

- To nie pańska rzecz i proszę mi nie przeszkadzać!

276

Ale już zupełnie nie mogłem wytrzymać. Naprzeciwko mnie, przez stół, siedział jakiś starszy oficer. Patrząc na moją sumkę mruknął do swego sąsiada:

- Dziwna rzecz - zero. Nie, ja się na zero nie zdecyduję.

- Niech pan się zdecyduje, pułkowniku - zawołałem kładąc nową stawkę.

- Proszę i mnie zostawić w spokoju, bez pańskich rad! - odciął mi ostro. - Pan coś za bardzo krzyczy!

- Daję panu dobrą radę: załóżmy się, że zaraz znowu wyjdzie zero. Stawiam oto dziesięć półimperiałów. Zgoda? I postawiłem dziesięć sztuk złota.

- Zakład o dziesięć sztuk złota? Mogę - wyrzekł surowo i cicho. - Trzymam przeciw panu, że zero nie wyjdzie.

- Dziesięć luidorów, pułkowniku.

- Jakie znów dziesięć luidorów?

- Dziesięć półimperiałów, pułkowniku, a mówiąc wyższym stylem, luidorów.

- To niech pan mówi, że półimperiałów, a nie pozwala sobie na żarty ze mną!

Naturalnie nie miałem nadziei, żeby wygrać zakład: było trzydzieści sześć szans przeciw jednej, że zero nie wyjdzie; ale zaproponowałem je po pierwsze dlatego, że wyzwiałem los, a po drugie dlatego, że chciałem czymś zwrócić na siebie uwagę wszystkich. Zbyt dobrze widziałem, że mnie tu czemuś nikt nie lubi i ze szczególnym zadowoleniem dają mi to odczuć. Ruletka zakręciła się i jakież było powszechne zdziwienie, kiedy znowu wyszło zero! Nawet rozległ się powszechny krzyk. Chwała wygranej zupełnie mnie otumaniała. Znowu mi odliczono sto czterdzieści półimperiałów. Zierszczykow zapytał mnie, czy nie zechcę części wziąć w banknotach, ale mruknąłem mu coś, bo dosłownie nie mogłem już spokojnie i rzeczowo mówić. W głowie mi się kręciło i nogi osłabły. Poczulem nagle, że zaraz zacznę strasznie ryzykować; prócz tego chciało mi się jeszcze coś przedsięwziąć, zaproponować jeszcze jakiś zakład, odliczyć komuś parę tysięcy.

Machinalnie zgarnąłem kupkę banknotów i złotych monet i nie mogłem zabrać się do ich przeliczenia. W tej chwili zauważyłem za mną z tyłu księcia i Darzana. Tylko co wrócili ze swego faraona i, jak się potem dowiedziałem, zgrali się tam do nitki.

- A, Darzan - krzyknąłem do niego - oto, gdzie szczęście! Niech pan stawia na zero.

277

- Przegrałem, nie mam pieniędzy - odpowiedział sucho. Księżę zaś, jak gdyby mnie nie zauważył i nie poznał.

- Oto pieniądze - zawołałem, pokazując na swoją kupkę złota. - Ile trzeba?

- Do diabła! - wykrzyknął Darzan, poczerwieniawszy - zdaje się, nie prosiłem pana o pieniądze!

- Wołają pana - pociągnął mnie za rękaw Zierszczykow. Wzywał mnie już kilkakrotnie, prawie z wyzwiskami, pułkownik, który przegrał ze mną zakład o dziesięć półimperiałów.

- Może raczy pan przyjąć! - zawołał cały purpurowy z gniewu. - Nie mam obowiązku stać nad panem, a później pan powie, że nie dostał! Proszę przeliczyć.

- Wierzę, wierzę, pułkowniku, wierzę bez liczenia; tylko proszę tak na mnie nie krzyczeć i nie gniewać się - i zagarnąłem ręką jego kupkę złota.

- Łaskawy panie, niech się pan ze swymi zachwykami pcha do kogo innego, a nie do mnie! - ostro zakrzyknął pułkownik. - Ja z panem świń nie pasłem!

- Dziwna rzecz, wpuszczać takich, kto to taki, jakiś młodzieniaszek - rozległy się przyciszone okrzyki.

Ale nie słuchałem, stawiałem na oślepie i już nie na zero. Postawiłem całą paczkę tęczówek na osiemnaście pierwszych.

- Jedźmy, Darzan - dał się słyszeć z tyłu głos księcia.

- Do domu? - zwróciłem się ku nim. - Poczekajcie na mnie, wyjdziemy razem, ja - szlus!

Moja stawka wygrała. To była gruba wygrana.

- Basta! - krzyknąłem i drżącymi rękami zacząłem zgarniać i sypać złoto do kieszeni, nie licząc i jakoś niezdarnie, ugniatając palcami paczki banknotów, które wszystkie razem chciałem wsunąć do bocznej kieszeni. Wtem pulchna ręka z sygnetem Afierdowa, siedzącego tuż obok mnie na prawo i grającego również dużymi stawkami, położyła się na moich trzech banknotach i nakryła je dłonią.

- Pozwoli pan, to nie pańskie - surowo i rozdzielając wyrazy oświadczył, zresztą dosyć niepewnym głosem.

Otóż to było preludium, które kilka dni potem miało mieć takie następstwa. Teraz zaś, przysięgam na

honor, że te trzy sturublówki były moje, ale na mą złą dolę, chociaż byłem wtedy przekonany, że są moje, jednakże pozostawała mi jedna dziesiąta wątpliwości. A dla uczciwego człowieka to dosyć, a jestem człowiekiem uczciwym. Co najważniejsze, nie wiedziałem wtedy jeszcze na pewno, że Afierdow jest złodziejem:

278

wtedy nie znałem jeszcze jego nazwiska, tak, że w tej minucie rzeczywiście mogłem pomyśleć, że pomyliłem się i że te trzy sturublówki nie pochodziły z liczby tych, które mi przed chwilą odliczono. Przez cały czas nie przeliczałem mojej gromadki pieniędzy, lecz tylko zgarniałem rękami, a przed Afierdowem również przez cały czas leżały pieniądze i akurat tuż koło moich, ale poukładane porządnie i przeliczone. Na koniec Afierdow był znany tu, uważano go za bogacza, zwracano się z poważaniem: wszystko to na mnie wpłynęło i znowu nie protestowałem. Straszny błąd! Główne świństwo polegało na tym, że byłem w radosnym uniesieniu.

- Ogromna szkoda, że dokładnie nie pamiętam, ale wydaje mi się, że to moje - powiedziałem drżącymi z oburzenia wargami. Słowa te zaraz też wywołały szemranie.

- Aby mówić takie rzeczy, należy pamiętać dokładnie, a pan sam pozwolił sobie utrzymywać, że pamięta niedokładnie - powiedział nie do wytrzymania wyniośle Afierdow.

- A któż to taki? I jak można na to pozwalać? - rozległo się kilka okrzyków.

- To z nim nie po raz pierwszy; niedawno zdarzyła się tam także z Rechbergiem historia o dziesięciorublówkę - rozległ się obok czyjś podły głos.

- No dosyć już, dosyć! - wykrzyknąłem. - Nie protestuję, niech pan bierze! Książę... gdzie książę i Darzan? Wyszli? Panowie nie widzieli, gdzie wyszedł książę i Darzan? - Zebrawszy na koniec wszystkie swoje pieniądze, a kilku półimperiałów nie zdążyłem nawet wsunąć do kieszeni, lecz trzymałem je w garści, rzuciłem się w pogoń za księciem i Darzanem. Czytelnik, zdaje się widzi, że nie oszczędzam siebie i przypominam obecnie całego siebie ówczesnego, do ostatniej ohydy, ażeby było zrozumiałe to, co potem mogło się stać.

Książę i Darzan zeszli już ze schodów, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje wołania i krzyki.

Już ich dogoniłem, ale zatrzymałem się na chwilę przy szwajcarze i wsunąłem mu w rękę trzy półimperiały, diabeł wie po co; popatrzył na mnie osłupiały i nawet nie podziękował. Ale było mi wszystko jedno i gdyby tu był Matwiej, to bym mu na pewno wpakował całą garść złota. Tak też zdaje się chciałem zrobić, ale wybiegłszy na ganek, nagle przypomniałem sobie, że go dopiero co puściłem do domu. W tej chwili podjechał rysak księcia i książę wsiadł do sani.

- Ja z panem, książę i do pana! - krzyknąłem, chwyciłem derkę i odrzuciłem ją, aby wleźć do sani; ale wtem tuż koło mnie do sań wskoczył Darzan, a stangret, wyrwawszy mi derkę otulił panów.

279

- Do diabła! - krzyknąłem w furii. Wyszło na to, jakbym specjalnie dla Darzana odciągał derkę, jak

lokaj.

- Do domu! - krzyknął ksiązę.

- Stój! - zaryczałem chwytając za sanie, ale koń szarpnął i potoczyłem się w śnieg. Wydało mi się nawet, że roześmieli się. Podniósłszy się, chwyciłem dorożkę, która się nawinęła i popędziłem za księciem, poganiając co sekundę moją klacz.

Jakby umyślnie, klacz ciągnęła nieprawdopodobnie wolno, jakkolwiek obiecałem całego rubla.

Furman chlastał batem i naturalnie wy-chlastał ją za rubla. Serce mi zastygło: zagadywałem coś do furmana, ale nawet słowa nie wymawiały mi się, bełkotałem jakieś brednie. Oto w jakim stanie wbiegłem do księcia. Tylko co wrócił; odwiózł Darzana i był sam. Błady i zły chodził po gabinecie. Powtarzam jeszcze raz: strasznie się zgrał.

Popatrzył na mnie z jakimś roztargnionym osłupieniem.

- Pan znowu! - wymówił, zmarszczywszy się.

- Aby z panem skończyć, łaskawy panie! - powiedziałem ciężko dysząc. - Jak pan śmiał tak ze mną postąpić? Patrzył na mnie pytającym wzrokiem.

- Jeżeli pan jechał z Darzanem, można było mi to powiedzieć, że pan jedzie z Darzanem, ale pan szarpnął konie i ja...

- Ach, tak, pan zdaje się upadł w śnieg - zaśmiał mi się w oczy.

- Na to odpowiada się wyzwaniem na pojedynek i dlatego naprzód skończmy rachunki...

I drżącą ręką zacząłem wyjmować pieniądze i kłaść je na kanapę, na stół marmurowy i nawet na jakąś otwartą książkę, kupkami, garściami, paczkami, kilka monet nawet potoczyło się pod dywan.

- Ach tak, pan zdaje się wygrał. Można to teraz zauważyć po pańskim tonie.

Nigdy jeszcze nie mówił ze mną tak bezczelnie. Byłem bardzo blady.

- Tu jest... nie wiem ile... trzeba by policzyć... Jestem panu winien koło trzech tysięcy... czy ile?...

Więcej, czy mniej?

- Ja, zdaje się, nie zmuszam pana do spłaty.

-Nie, ja sam chce zapłacić, a pan powinien wiedzieć, dlaczego. Wiem, że w tej paczce tęczówek jest tysiąc rubli, proszę! - I zacząłem liczyć, ale zaniechałem. - Wszystko jedno, wiem, że tysiąc.

No wiec, ten oto

280

tysiąc biorę sobie, a całą resztę, te paczki proszę wziąć sobie za dług, za część długu; tu jest jak sądzę koło dwóch tysięcy, lub więcej.

- Ale tysiąc to jednak pan sobie zostawia? - wyszczerzył zęby książkę.

-A panu trzeba? W takim razie... chciałem... przypuszczałem, że pan nie zechce... ale skoro trzeba, to proszę...

- Nie, nie trzeba - pogardliwie odwrócił się ode mnie i znowu zaczął chodzić po pokoju. -1 diabeł wie, czemu panu przyszło do głowy oddawać? - zwrócił się nagle do mnie ze strasznie wyzywającą miną.

- Oddaję, aby zażądać od pana satysfakcji! - zawyłem z kolei.

- Wynoś się pan precz, z pańskimi wiecznymi słowami i gestami! -zatupał nagle na mnie jakby w furii. - Obu was dawno chciałem wypędzić, pana i pańskiego Wiersiłowa.

- Zwariował pan! - krzyknąłem. A i wyglądał na szalonego.

- Zmęczyliście mnie obaj waszymi frazesami i zawsze frazesami, frazesami, frazesami! O honorze na przykład! TfuL. Dawno chciałem zerwać... Jestem rad, że nadeszła chwila. Uważałem się za związanego i rumieniłem się, że jestem zmuszony przyjmować was... obu! Ale teraz nie uważam się za związanego niczym, niczym, wiedz pan to! Pański Wiersiłow podbechtywał mnie, bym napadł na Achmakową i skompromitował ją... Nie ważcie się po tym mówić u mnie o honorze.

Bo jesteście ludźmi bez czci... obaj, obaj; a pan, alboż pan się nie wstydził brać ode mnie pieniędzy?

W oczach mi pociemniało.

- Brałem od pana jak towarzysz - zacząłem okropnie cicho. - Pan mi sam zaproponował i wierzyłem w pańską przychyłność...

- Nie jestem pana towarzyszem! Dawałem panu, ale nie dla tego, a pan sam wie dlaczego.

- Brałem na rachunek Wiersiłowa; naturalnie to głupie... ale ja...

- Nie mógł pan brać na rachunek Wiersiłowa bez jego pozwolenia i ja nie mogłem panu dawać jego pieniędzy bez jego pozwolenia... swoje panu dawałem; pan wiedział; wiedział i brał; a ja znosiłem wstrętną komedię w swoim domu!

- Co ja takiego wiedziałem? Jaka komedia? Za cóż pan mi dawał?

- Pour vos beawc yeux, mon cousin!* - zachichotał mi prosto w oczy.

- Do diabła! - ryknąłem. - Weź pan wszystko, ma pan i ten tysiąc! Teraz - kwita, a jutro...

* Na piękne oczy, kuzynku!

prosto w kamizelkę i klapnęła na podłogę. Szybko, ogromnymi trzema krokami zbliżył się do mnie:

- Czy pan waży się powiedzieć? - dziko i rozdzielając jakby wyrazy na sylaby, wymówił - że biorąc ode mnie pieniądze przez cały miesiąc, nie wiedział pan, że pańska siostra jest ze mną brzemienna?

- Co? Jak! - krzyknąłem. Nagle nogi mi osłabły i bez sił upadłem na kanapę.

Sam mówił mi potem, że zbladłem dosłownie jak płótno. Rozum mi się poplątał. Pamiętam, że patrzyliśmy milcząc sobie w twarz, jakby przestrach przeszedł przez jego twarz. Pochyliłem się, schwycił mnie za ramię i zaczął mnie podtrzymywać. Doskonale pamiętam jego nieruchomy uśmiech; było w nim niedowierzenie i zdziwienie. Tak, nie oczekiwał takiego rezultatu swych słów; był przekonany o mojej winie.

Zemdlałem, ale na jedną tylko minutę; przyszedłem do siebie, stanąłem na nogach, popatrzyłem na niego, zbierałem myśli i nagle - cała prawda ukazała się memu umysłowi - tak długo śpiącemu!

Gdyby mi powiedziano wcześniej i spytano: „co bym zrobił z nim w tej chwili”, na pewno bym powiedział, że rozerwałbym go na sztuki. Ale stało się zupełnie inaczej i zupełnie nie z mojej woli: nagle zakryłem twarz obiema rękami i gorzko na głos zapłakałem. Samo tak się stało! W

młodzińcu odezwało się nagle małe dziecko. To znaczy, że małe dziecko żyło jeszcze wtedy w mej duszy i stanowiło jej całą połowę. Upadłem na kanapę i szlochałem. „Liza, Liza! Biedna, nieszczęśliwa!” Książę w tym momencie już zupełnie uwierzył.

- Boże, jakże jestem winny wobec pana! - wykrzyknął z głęboką boleścią. - O, jak podle myślałem o panu, podejrzewając... Niech mi pan przebaczy, Arkadiju Makarowiczu!

Skoczyłem nagle, chciałem mu coś powiedzieć, stanąłem przed nim, ale nie powiedziałem nic, wybiegłem z pokoju i z mieszkania. Dobrnąłem do domu piechotą i ledwie pamiętam jaką drogą.

Rzuciłem się na łóżko twarzą do poduszki, po ciemku i myślałem. W takich chwilach nigdy nie myśli się porządnie i składnie; umysł mój i wyobraźnia, jak gdyby urywały się z nitki, i pamiętam, zaczynałem nawet myśleć o zupełnie postronnych rzeczach i nawet Bóg wie o czym. Ale nieszczęście i bieda nagle znowu przypomniały się z bólem i z ćmieniem i znowu płakałem. Nie pamiętam, kiedy zasnąłem, ale spałem mocno, głęboko.

282

ROZDZIAŁ SIÓDMY

i

O

budziłem się rano, o ósmej, migiem zamknąłem drzwi, siadłem koło okna i zacząłem myśleć.

Przesiedziałem tak do dziesiątej. Służąca dwa razy do mnie pukała, ale ją odpędziłem. Wreszcie, już

o jedenastej, znów zastukano. Zakrzyczałem znowu, ale to była Liza. Weszła z nią służąca, przyniosła mi kawę i rozłożyła się z rozpalaniem pieca. Wypędzić służącą było niemożliwe i cały czas, kiedy Fiokła nakładała drzewa i rozdmuchiwała ogień, chodziłem ciągle wielkimi krokami po moim maleńkim pokoiku, nie zaczynając rozmowy i nawet starając się nie patrzeć na Lizę. Służąca pracowała niezwykle powoli i naumyślnie, jak wszystkie służące w wypadkach, gdy zauważą, że przeszkadzają państwu w rozmowie. Liza siedziała na krześle koło okna i obserwowała mnie.

- Kawa ci wystygnie - powiedziała nagle.

Popatrzyłem na nią: żadnego zmieszania, zupełny spokój, a na ustach nawet uśmiech.

- Ot, kobiety! - nie wytrzymałem i wzruszyłem ramionami. Na koniec służąca napaliła w piecu i zaczęła sprzątać, ale żywo wypędziłem ją i nareszcie zamknąłem drzwi.

- Powiedz mi, proszę, dlaczego znowu zamknąłeś drzwi? - spytała Liza.

Stałem przed nią.

- Lizo, czy mogłem przypuścić, że tak mnie oszukasz?! - wykrzyknąłem nagle, nawet zupełnie nie pomyślawszy, że tak zacznę i nie łyż tym razem, ale jakieś uczucie złości zakłuło mnie nagle w sercu, tak, że nawet sam tego nie oczekiwałem.

Liza poczerwieniała, ale nie odpowiedziała, tylko nie przestawała mi

patrzeć prosto w oczy.

283

- Poczekaj Lizo, poczekaj, o jakże byłem głupi! Ale czyż głupi? Wszystkie aluzje zesły się dopiero wczoraj do kupy, a do tego czasu, skąd mogłem wiedzieć? Z tego, żeś ty chodziła do Stołbiejewej i do tej... Darii Onisimowny i jakże mi mogło przyjść cokolwiek do głowy?

Pamiętasz, jak cię spotkałem wtedy, dwa miesiące temu, u niego w mieszkaniu i jak z tobą wtedy szliśmy w słońcu i radowali się... wtedy, to już było? Było?

Odpowiedziała twierdzącym skinieniem głowy.

- Więc tyś już i wtedy mnie oszukiwała! Tu nie moja głupota, Lizo, to raczej mój egoizm, a nie głupota są przyczyną, egoizm mojego serce i... i bodaj, wiara w świętość. O, zawsze byłem przekonany, że wszystkie jesteście bezgranicznie wyższe ode mnie i - ot! Wreszcie wczoraj w przeciagu jednego dnia nie zdążyłem nawet sobie uświadomić, pomimo wszystkich aluzji... przy tym zupełnie czym innym byłem wczoraj zajęty!

Tu nagle przypomniała mi się Katierina Nikołajewna i znowu coś męczącego, jakby szpilką ukłuło mnie w serce i cały poczerwieniałem... Faktycznie nie mogłem być w tej chwili dobry.

- Z czego się usprawiedliwiasz? Zdaje się Arkadiju, że śpieszysz się, by się z czegoś

usprawiedliwić, ale z czego? - spytała Liza cicho i łagodnie, lecz bardzo pewnym głosem.

- Jak to czego? A cóż mam teraz robić? Ot, choćby to pytanie! A ty mówisz: „z czego”? Ja nie wiem jak postąpić! Nie wiem, jak w takich wypadkach postępują bracia... Wiem, że zmuszają do ożenku z pistoletem w ręku... Postąpię, jak wypada uczciwemu człowiekowi! A ja nie wiem nawet, jak powinien postąpić honorowy człowiek!... Dlaczego? Dlatego, że nie jesteśmy szlachtą, a on jest księżę i robi tam swoją karierę. On nas, chociaż uczciwych ludzi, nawet słuchać nie będzie. Nawet nie jesteśmy rodzeństwem, ty i ja, lecz nieprawymi dziećmi, bez rodziny, dzieci parobka... A czyż księżęta żenią się z dziećmi parobków? O, ohydo! A ty siedzisz i dziwisz mi się teraz!

- Wierzę, że się męczysz - zaczerwieniła się znowu Liza. - Ale ty się gorączkujesz i sam siebie zamęczasz.

- Gorączkujesz się? Czy według ciebie nie dość się spóźniłem? I to ty, ty Lizo tak mi mówisz? -

uniosłem się ostatecznie oburzeniem. - A ileż zniosłem hańby i jak ten księżę musiał mną pogardzać! O, teraz jest wszystko jasne i cały ten obraz mam przed sobą: on na pewno wyobraził sobie, że już dawno domyśliłem się jego związku z tobą, ale milczę, lub nawet zadzieram nosa i chwale się „honorem” - oto co

284

nawet mógł o mnie sądzić! I za siostrę, za hańbę siostry biorę pieniądze! Oto co mu obmierzle i ja go najzupełniej usprawiedliwiam. Codziennie widzieć i przyjmować łajdaka, ponieważ jest -jej bratem, a jeszcze i gada o honorze... To serce może zaschnąć, chociażby jego serce. A tyś do tego wszystkiego dopuściła, tyś mnie nie uprzedziła! Do tego stopnia mną pogardzał, że mówił o mnie do Stiebielkowa i sam mi powiedział wczoraj, że chciał nas obu z Wiersiłowem przepędzić. A Stiebielkow znowu: „Przecież Anna Andriejewna tak samo jest pańską siostrą, jak i Lizawieta Makarowna!” I jeszcze krzyczy za mną: „Moje pieniądze lepsze”. I znowu bezczelnie rozwaliałem się u niego na kanapach i lażłem jak równy do jego znajomych, niech ich diabli wezmą! I ty do tego wszystkiego dopuściłaś! Bodaj i Darzan już teraz wie, sądząc przynajmniej z jego tonu wczoraj wieczorem... Wszyscy, wszyscy wiedzą, prócz mnie!

- Nikt niczego nie wie, nikomu ze znajomych nie mówił i nie mógł powiedzieć - przerwała mi Liza.

- A o tym Stiebielkowie wiem tylko tyle, że Stiebielkow go męczy i najwyżej może się domyślać... A o tobie mówiłam mu wiele razy i wierzył mi, że nic ci nie wiadomo, i nie wiem tylko, dlaczego i jak to wczoraj między wami zaszło.

- Och, wczoraj przynajmniej zwróciłem mu pieniądze i chociaż to spadło mi z serca! Lizo, czy mama wie? Ależ, jak może nie wiedzieć: przecież wczoraj, wczoraj uniosła się! Ach, Lizo! Czy ty doprawdy uważasz, że jesteś zupełnie w porządku, zupełnie nic sobie nie wyrzucasz? Nie wiem, jak na to zapatrują się po teraźniejszymu i co ty myślisz, to znaczy na temat mnie, mamy, ojca... Czy Wiersiłow wie?

- Mama nic mu nie mówiła: on nie pyta, prawdopodobnie nie chce pytać.

- Wie, ale nie chce wiedzieć: to tak jest, to na niego wygląda! Lecz przypuśćmy, że ty wyśmiewasz rolę brata, głupiego brata, kiedy mówi o pistoletach, ale matka, matka? Czy nie pomyślałaś, Lizo, że to jest wyrzut dla mamy? Całą noc z tego powodu męczyłem się; teraz pierwszą myślą mamy będzie: „to dla tego, że ja też zawiniłam, a jaka matka -taka córka!”

- Och, jak ty to okrutnie i ze złością powiedziałeś! - krzyknęła Liza ze łzami, które popłynęły jej z oczu, wstała i szybko poszła ku drzwiom.

- Stój, stój! - objąłem ją, posadziłem z powrotem, usiadłem obok niej, nie puszczając z ramion.

- Przewidywałam idąc tu, że tak właśnie będzie i że tobie będzie niezbędnie potrzebne, żebym koniecznie sama oskarżała się i przyznała do winy. I owszem, oskarżam się. Przed chwilą milczałam tylko z du-285

my, nie mówiłam, a mnie bardziej żal was i mamy, niż siebie samej... -nie dopowiedziała do końca i nagle gorąco zapłakała.

- Daj spokój, Lizo, nie trzeba, nic nie trzeba. Nie jestem twoim sędzią. Lizo, co mama? Powiedz, czy dawno wie?

- Sądzę, że od dawna; ale ja sama powiedziałam jej niedawno, kiedy to się wydarzyło - powiedziała cicho, opuściwszy oczy.

- Cóż ona na to?

- Powiedziała: „noś!” - jeszcze ciszej rzekła Liza.

- Ach tak, Lizo, „noś!” Nie zrób sobie czego, niech cię Bóg ma w swojej opiece!

- Nie zrobię - odpowiedziała stanowczo i znowu podniosła na mnie oczy. - Bądź spokojny - dodała

- tu zupełnie nie chodzi o to.

- Lizo, miła, widzę tylko, że tu nic nie wiem, lecz dopiero teraz dowiedziałem się, jak ciebie kocham. Jednego tylko nie rozumiem, Lizo. Wszystko jest jasne, jednego tylko pojąć nie mogę: za co go pokochałaś? Jak mogłaś takiego pokochać? Oto pytanie!

- I na pewno także z tego powodu męczyłeś się w nocy? - cicho uśmiechnęła się Liza.

- Stój, Lizo, to jest głupie pytanie i ty się śmiejesz; śmiej się, ale przecież nie można nie dziwić się: ty i on - takie przeciwieństwa! On - zbadalem go - on jest mroczny, podejrzliwy, być może nawet dobry, ale w wyższym stopniu skłonny przede wszystkim we wszystkim widzieć zło (w tym zresztą podobnie jak ja!). Bardzo ceni szlachetność - dopuszczam to, widzę to, lecz tylko, jak się zdaje, w ideale. O, skłonny jest do wyrażania skruchy, całe życie nieustannie osądza siebie i kaja się, lecz nigdy nie poprawia się, zresztą, to także, być może jak ja. Tysiąc przesądów i fałszywych myśli - i żadnych myśli. Szuka wielkiego czynu i paskudzi w drobiazgach. Wybacz, Lizo, jestem zresztą głupi: mówiąc to krzywdzę cię i wiem o tym, rozumiem to...

- Portret jakby podobny - uśmiechnęła się Liza. - Lecz jesteś za bardzo zły na niego z mego powodu, dlatego nic w tym obrazie nie jest prawdziwe. On z samego początku nie ufał ci i nie mogłeś widzieć go całego, a ze mną jeszcze z Ługi... Widział tylko mnie, z samej Ługi. Tak, jest podejrzliwy i chorobliwy, i beze mnie by zwariował; i jeśli mnie zostawi, na pewno zwariuje lub się zastrzeli; zdaje się, zrozumiał to i wie - dorzuciła Liza jakby do siebie i w zamyśleniu. - Tak, jest słaby bezustannie, lecz tacy słabeusze zdolni są nawet do niezwykle silnego czynu... Jak dziwnie powiedziałaś o pistolecie, Arkadij: nic tu nie trzeba i sama wiem, co ma być. Nie ja za nim chodzę, ale on za mną. Mama

286

plącze, mówi: „Jeśli za niego wyjdiesz, nieszczęśliwa będziesz, kochać przestanie.” Nie wierzę w to; nieszczęśliwa, być może, będę, ale kochać mnie nie przestanie. Nie dlatego nie dawałam mu zgody, lecz z innej przyczyny. Już dwa miesiące mu nie daję zgody, lecz dziś powiedziałam: tak, wyjdę za ciebie. Arkadij, wiesz, wczoraj (oczy jej zalśniły i nagle objęła mnie obiema rękami za szyję) - wczoraj przyjechał do Anny Andriejewny i wprost, zupełnie otwarcie powiedział jej, że nie może jej kochać... Tak, wyjaśnił wszystko i ta myśl teraz już skończona! On nigdy w tej myśli nie brał udziału, to wszystko wymarzył ksiązę Nikołaj Iwanowicz, a napierali na niego ci dręczyciele, Stiebielkow i drugi taki jeden... A więc powiedziałam mu za to dziś: tak. Miły Arkadiju, on bardzo chce cię widzieć i nie gniewaj się za wczorajsze: dziś nie jest zbyt zdrowy i przez cały dzień będzie w domu. Naprawdę jest niezdrów, Arkadij: nie myśl, że to wymówka. Specjalnie mnie przysłał i prosił przekazać, że potrzebuje ciebie, że dużo musi ci powiedzieć, a u ciebie tu, w tym mieszkaniu, będzie niezręcznie. A więc żegnaj! Ach, Arkadij, wstyd mi o tym mówić, lecz szłam tutaj i strasznie się bałam, żeś mnie przestał kochać, wciąż czyniłam znak krzyża po drodze, a ty -

taki dobry, miły! Nie zapomnę ci tego nigdy! Idę do mamy. A ty go choć troszkę zacznij lubić, dobrze?

Objąłem ją gorąco i powiedziałem:

- Myślę, Lizo, że masz silny charakter. Tak, wierzę, że nie ty za nim chodzisz, ale on za tobą, ale mimo wszystko...

- Tylko mimo wszystko „za co go pokochałaś - oto pytanie!” -podchwyciła z figlarnym uśmiechem jak przedtem i bardzo podobnie do mnie wymówiła „oto pytanie!” I przy tym, zupełnie jak ja czynię przy tej frazie, podniosła wskazujący palec przed oczami. Pocałowaliśmy się, lecz, kiedy wyszła, znowu poczułem ucisk w sercu.

Zaznaczę tu tylko dla siebie: były na przykład chwile po wyjściu Lizy, kiedy nieoczekiwane myśli całym tłumem przychodziły mi do głowy i byłem z nich bardzo zadowolony. I po co tym wszystkim się zajmuję? - myślałem. - Cóż mi po tym? U wszystkich podobnie albo u prawie wszystkich. Cóż takiego, że to zdarzyło się z Lizą? Czyż powinienem ratować „honor rodziny”?

Odnotowuję wszystkie te podłości, żeby pokazać, do jakiego stopnia nie byłem jeszcze ukształtowany w rozumieniu dobra i zła. Ratowało jedynie uczucie: wiedziałem, że Liza 287

jest nieszczęśliwa, że mama nieszczęśliwa i znałem to uczuciem, kiedy wspominałem o nich, a dlatego czułem, że wszystko, co się stało, powinno być niedobre.

Teraz uprzedzę, że wydarzenia od tego dnia do samej katastrofy mej choroby potoczyły się z taką szybkością, że sam, przypominając to, dziwię się, jak mogłem wytrwać, jak nie udusił mnie los.

Oslabiły mój rozum i nawet odczucia i gdybym pod koniec nie wytrwał, gdybym popełnił przestępstwo (a do przestępstwa niewiele brakowało), być może przysięgli uniewinnili by mnie.

Lecz postaram się opisać w ścisłym porządku, choć uprzedzam, że wówczas w myślach moich mało było porządku. Zdarzenia natarły jak wiatr i myśli moje zawirowały w umyśle jak jesienne, suche liście. Ponieważ cały składałem się z cudzych myśli, skąd miałem wziąć własne, kiedy potrzebne były do samodzielnej decyzji? Kierującego natomiast zupełnie nie było.

Do księcia postanowiłem pójść wieczorem, żeby wszystko omówić z pełną swobodą, a do wieczora miał pozostawać w domu. Lecz o zmierzchu otrzymałem przez miejską pocztę zapiskę od Stiebielkowa, trzy linijki, z kategoryczną prośbą odwiedzić go jutro rano około jedenastej dla „niezwykle ważnych spraw i sam pan zobaczy, co za sprawy”. Przemyślawszy, postanowiłem postąpić zgodnie z okolicznościami, ponieważ do jutra było jeszcze daleko.

Była już ósma; dawno już bym wyszedł, lecz wciąż oczekiwałem Wiersiłowa: pragnąłem wiele mu przekazać i serce mi płonęło. Lecz Wiersiłow nie przychodził i nie przyszedł. U mamy i u Lizy nie mogłem się na razie pokazywać, także Wiersiłowa, miałem przecucie, na pewno cały dzień tam nie było. Udałem się piechotą i już po drodze przyszło mi do głowy zajrzeć do wczorajszego szynku nad kanałem. Akurat Wiersiłow siedział na wczorajszym swym miejscu.

- Tak i myślałem, że tu przyjdiesz - powiedział z dziwnym uśmiechem i dziwnie na mnie patrząc.

Uśmiech jego był niedobry i takiego już dawno nie widziałem na jego twarzy.

Dosiadłem się do stolika i opowiedziałem mu najpierw wszystkie fakty o księciu i Lizie, i o wczorajszej scenie mojej u księcia po ruletce; nie zapomniałem i o wygranej w ruletkę. Wysłuchał bardzo uważnie i jeszcze raz zapytał o decyzji księcia, żeby ożenić się z Lizą.

-Pauvre enfant*, być może ona nic tym nie wygra. Lecz zapewne nie dojdzie do tego... Choć on jest zdolny...

* Nieszczęsny chłopcze 288

- Proszę mi powiedzieć jak przyjacielowi: przecież pan to wiedział, przeczuwał?

- Mój przyjacielu, cóż ja mogłem? Wszystko to jest sprawą uczucia i cudzego sumienia, choćby ze strony tej biednej dziewczyny. Powtórzę ci: dostatecznie w swoim czasie wskakiwałem w sumienie innych - najbardziej niezręczny manewr! Pomóc w nieszczęściu nie odmówię, na ile sił

starczy i jeśli sam rozpatrzę. A ty, mój drogi, przez cały czas niczego nawet nie podejrzewałeś?

- Lecz jak pan mógł?! - wykrzyknąłem. - Jak pan mógł, podejrzewając choćby kropelkę, że wiem o związku Lizy z księciem i widząc, że mimo to biorę od księcia pieniądze, jak pan mógł mówić ze mną, siedzieć ze mną, wyciągać do mnie rękę, do mnie, którego pan powinien uważać za łajdaka, dlatego, że idę o zakład, pan na pewno podejrzewał, że wszystko wiem i biorę u księcia pieniądze za siostrę wiedząc!

- Znowu jest to sprawa sumienia - uśmiechnął się. - I skąd wiesz? - dodał z jakimś zagadkowym uczuciem. - Skąd wiesz, czy nie bałem się także ja, podobnie jak ty przy innej okazji, swój

„ideał” utracić i zamiast mego uczuciowego i uczciwego chłopca, łajdaka spotkać? Obawiając się, oddalałem od siebie tę chwilę. Dlaczego nie miałbyś przypuścić we mnie coś bardziej niewinnego, choćby nawet głupiego, lecz szlachetnego. Que diable!* Zbyt często bywam głupi i bez szlachetności. Jaką miałbym korzyść z ciebie, gdyby w tobie były takie skłonności?

Namawiać i naprawiać w takich wypadkach byłoby niskie; utraciłbyś w moich oczach wszelką cenę, choćby nawet i poprawiony...

- A czy Lizy panu nie szkoda, nie szkoda?

- Bardzo mi jej szkoda, mój miły. Z czego wywnioskowałeś, że taki jestem nieczuły? Przeciwnie, postaram się wszelkimi siłami... No, a jak ty, jak twoje sprawy?

- Zostawmy moje sprawy; nie ma u mnie teraz moich spraw. Proszę posłuchać, dlaczego pan wątpi, że księżę się ożeni? Był wczoraj u Anny Andriejewny i ostatecznie odmówił... To znaczy, wzięło się to z tej głupiej myśli... co narodziła się u księcia Nikołaja Iwanowicza - żeby ich wyswatać. Odmówił kategorycznie.

- Tak? Kiedy to było? I od kogo słyszałeś o tym? - zainteresował się tym wyraźnie. Opowiedziałem wszystko, co wiedziałem.

- Hm... - powiedział z zadumą i jakby rozważając coś sobie. - To znaczy, że doszło do tego jakąś godzinę przed... pewną inną objaśniającą rozmową.

‘ Do diabła!

289

Hm... no tak, oczywiście do podobnego wyjaśnienia mogło dojść... choć wiem o tym, że tam dotychczas nic nigdy nie było powiedziane lub uczynione ani z jednej, ani z drugiej strony... Tak, oczywiście, wystarczą dwa słowa, żeby wszystko wyjaśnić. Ale jest inna rzecz - nagle dziwnie się uśmiechnął. - Zainteresuje cię inną nadzwyczajną wiadomością: gdyby nawet twój młody księżę nawet poprosił wczoraj Annę Andriejewną o rękę (do czego, podejrzewając o Lizie, wszystkimi siłami bym nie dopuścił), to Anna Andriejewna z pewnością natychmiast kategorycznie by mu odmówiła. Ty zdaje się bardzo lubisz Annę Andriejewną i cenisz ją? To bardzo miło z twojej strony, dlatego, jak sądzę, ucieszycie to: ona, mój drogi, wychodzi za mąż i sądząc po jej charakterze, zdaje

się wyjdzie na pewno, a ja, no cóż, oczywiście dam swoje błogosławieństwo.

- Wychodzi za mąż? Za kogo? - krzyknąłem niezwykle zdziwiony.

- Zgadnij. Mężyc nie będę: za księcia Nikołaja Iwanowicza, za twego miłego staruszka.

Patrzyłem szeroko otwartymi oczami.

- Zapewne dawno już nosiła się z tą ideą i oczywiście artystycznie opracowała ją z każdej strony -

leniwie kontynuował. - Przypuszczam, że wydarzyło się to równo godzinę po wizycie księcia Sierioży. Po prostu przyszła do księcia Nikołaja Iwanowicza i zrobiła mu propozycję.

- Jak to „zrobiła mu propozycję”? To znaczy on jej zrobił propozycję?

-Ale gdzież tam! Ona, sama. A staruszek w pełni zachwyty. Mówią, siedzi teraz i wciąż się dziwi, jak mu to samemu nie przyszło do głowy. Słyszałem, że nawet troszkę się rozchorował... także z zachwyty.

- Proszę posłuchać, pan tak mówi ironicznie... Prawie nie mogę uwierzyć. Jakże tak mogła się oświadczyć? Co powiedziała?

- Bądź pewny, mój drogi, że cieszę się autentycznie - odpowiedział z nagle poważną miną. -

Oczywiście jest stary, ale żenić się może, zgodnie ze wszystkimi prawami i obyczajami, a ona -

tu znowu sprawa cudzego sumienia, to, co już ci powtarzałem, mój drogi. Zresztą, ona jest zbyt kompetentna, żeby mieć swój pogląd i swoją decyzję. A o szczegółach i jakimi słowami się wyraziła, nie będę umiał ci przekazać, mój drogi. Oczywiście ona to potrafiła. Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że tu o żadnym skandalu nie może być mowy, wszystko tres comme il faut” w oczach towarzystwa. Oczywiście, aż nazbyt jasne, że chciała poprawić swoje położenie w świecie, ale przecież warta jest tego.

* absolutnie jak należy 290

Wszystko to, mój drogi, rzecz światowa. A zaproponowała, zapewne, wspaniale i wytwornie. Jest to surowy typ, dziewczyna-mniszka, jak to pewnego razu ją określiłeś, „spokojna panna”, jak ją dawno już nazywam. Jest przecież prawie jego wychowanką, jak wiesz, i już nie raz jeden odczuła jego dobroć wobec siebie. Zapewniała mnie już dawno, że go „tak szanuje i tak ceni, tak mu współczuje i sympatyzuje z nim” i cała reszta, tak że po części byłem przygotowany. O wszystkim tym zawiadomił mnie dziś rano, w jej imieniu i na jej prośbę syn mój, a jej brat Andriej Andriejewicz, którego, zdaje się, nie znasz i którego widuję dokładnie raz na pół roku. On zdecydowanie aprobuje jej krok.

- Czyżby to było już sprawą publiczną? Boże, jak jestem zdumiony!

- Nie, to zupełnie nie jest jeszcze publiczne, do pewnego czasu... Ja tam nie wiem, w ogóle zupełnie się do tego nie mieszam. Lecz wszystko to jest prawda.

- Lecz pozostaje Katierina Nikołajewna... Jak pan myśli, ta zakąska nie spodoba się Bjoringowi?

- Tego to już nie wiem... co może podobać się lub nie, Bjoringowi. Lecz uwierz, że Anna Andriejewna i w tym sensie - w najwyższym stopniu porządny człowiek. Co za człowiek jednakże! Właśnie poinformowała się u mnie wczoraj rano: „Kocham czy nie kocham panią wdowę Achmakową?” Pamiętasz, ze zdziwieniem wczoraj ci przekazałem: nie wolno by jej było wyjść za ojca, gdybym ożenił się z córką? Rozumiesz teraz?

- Ach, rzeczywiście! - krzyknąłem. - Lecz czyżby istotnie Anna Andriejewna mogła przypuszczać, że pan... mógł pragnąć ożenku z Katierina Nikołajewna?

- Widocznie tak, mój miły, a w ogóle... a w ogóle pora ci tam, dokąd chcesz iść. Widzisz, wciąż boli mnie głowa. Zamówię „Łucję”. Lubię podniosłość nudy, a w ogóle, już ci o tym mówiłem...

Powtarzam się niewybaczalnie... Zresztą, być może pójdę stąd. Lubię cię, mój miły, lecz żegnaj; kiedy boli mnie głowa lub zęby, zawsze pragnę samotności.

Na twarzy jego pokazała się jakaś męcząca bruzda; wierzę teraz, że bolała go wtedy głowa, zwłaszcza głowa...

- Do jutra - powiedziałem.

- Co znaczy do jutra i co będzie jutro? - uśmiechnął się krzywo.

- Przyjdę do pana albo pan do mnie.

- Nie, nie przyjdę do ciebie, lecz ty do mnie przybiegniesz... W jego twarzy było już coś bardzo niedobrego, lecz nie było mi już do tego: takie wydarzenie!

Książę był rzeczywiście niezdrów i siedział w domu sam jeden z obwiązaną mokrym ręcznikiem głową. Bardzo na mnie czekał; lecz nie tylko głowa go bolała, a szybciej cały był chory moralnie.

Uprzedzam znowu: w ostatnim czasie aż do katastrofy wypadło mi jakoś spotykać się wyłącznie z ludźmi tak pobudzonymi, że wszyscy byli niemal pomieszani, tak że sam mimowolnie tak jakbym się zaraził. Przyznaję się, przyszedłem ze złymi uczuciami, a także wstyd mi było bardzo, że wczoraj rozplakałem się przed nim. Ponadto tak sprytnie on i Liza potrafili mnie oszukać, że nie mogłem nie widzieć w sobie głupca. Słowem, kiedy wszedłem do niego, w duszy mej dźwięczały fałszywe struny. Lecz wszystko sztuczne i fałszywe szybko zeskokczyło. Powiniennem mu oddać sprawiedliwość: szybko rozpadała się jego nieufność i przemijała do końca. Wychodziły cechy prawie dziecięcej łagodności, zaufania i miłości. Ze łzami w oczach ucałował mnie i natychmiast zaczął mówić o sprawie... Tak, rzeczywiście byłem mu potrzebny. W słowach jego i w nurcie jego idei panował zbyt duży nieporządek.

Zupełnie twardo obwieścił mi o swym zamiarze ożenku z Lizą i to jak można najszybciej. „To, że nie jest szlachcianką, nie peszyło mnie ani minuty - powiedział mi. - Mój dziad ożenił się z dziewczyną, śpiewaczką z pańszczyźnianego teatru pewnego sąsiada - dziedzica. Oczywiście, moja rodzina żywiła na mój temat pewne nadzieje, lecz przyjdzie im teraz ustąpić, a i walki żadnej nie będzie. Jak zechcę zerwać, to zerwę ze wszystkim obecnym ostatecznie! Wszystko inne, wszystko od nowa. Nie rozumiem, za co pokochała mnie pańska siostra; ale ja bez niej na pewno nie żyłbym już teraz na świecie. Klnę się panu z głębi duszy, że patrzę teraz na spotkanie z nią w Ługu, jako na palec opatrności. Sądzę, że pokochała mnie za „beźmiar mego upadku”... zresztą, czy pan to zrozumie, Arkadiju Makarowiczu?

- Najzupełniej! - wymówiłem w najwyższym stopniu przekonany. Siedziałem w fotelu przy stole, a on chodził po pokoju.

- Muszę opowiedzieć panu cały ten fakt naszego spotkania, bez tajemnic. Zaczęło się od tajemnicy mojej duszy, którą ona jedna tylko poznała, bo jej tylko jednej zdecydowałem się zwierzyć. I nikt jej do tej pory nie zna. Znalazłem się wtedy w Ługu z rozterką w duszy i mieszkałem u Stołbiejewej, nie wiem po co, może szukałem jak największej samotności. Tylko co wtedy rzuciłem służbę w pułku. Do tego pułku wstąpiłem wróciwszy z zagranicy, po tym spotkaniu za granicą z Andriejem Piotrowiczem

Miałem wtedy pieniądze, w pułku rzucałem pieniędzmi, żyłem szeroko; ale koledzy oficerowie nie lubili mnie, chociaż starałem się ich nie obrażać. I przyznam się panu, że mnie nikt nigdy nie lubił.

Był tam pewien kornet, jakiś Stiepanow, jakiś przyznam się panu nadzwyczaj pusty, nijaki i nawet jak gdyby zahukany; jednym słowem niczym się nie odznaczający. Zresztą niewątpliwie uczciwy.

Zaczął zachodzić do mnie, ja się z nim nie ceremoniowałem, przesiadywał u mnie w kącie po całych dniach, milcząc, ale z godnością, chociaż zupełnie mi nie przeszkadzał. Raz opowiedziałem mu

pewną aktualną anegdotkę, do której doczepiłem dużo głupstw o tym, że nie jestem obojętny córce pułkownika i że pułkownik, licząc na mnie, niewątpliwie zrobi wszystko, czego zechcę...

Jednym słowem opuszczam szczegóły, ale z tego wszystkiego wyszła ogromnie skomplikowana i nędzna plotka. Wyszła ona nie od Stiepanowa, ale od mojego ordynansa, który wszystko podsłuchał i zapamiętał, ponieważ była tam śmieszna anegdota, kompromitująca młodą osobę.

Otóż ten ordynans na śledztwie, kiedy plotka wyszła na jaw, wskazał na Stiepanowa, to znaczy, że ja temu Stiepanowowi opowiadałem. Stiepanow znajdował się w takim położeniu, że w żaden sposób nie mógł zaprzeczyć, iż słyszał, to była sprawa honoru. A ponieważ ja dwie trzecie w tej anegdocie nakłamałem, więc oficerowie byli wzburzeni, a dowódca pułku zebrawszy nas u siebie musiał wyjaśnić kwestię. Wówczas to przy wszystkich zadano Stiepanowowi pytanie: czy słyszał, czy nie? I ów zeznał całą prawdę. No i cóż, co wtedy zrobiłem, ja, książę od tysiąca lat? Zaparłem się i w oczy Stiepanowowi powiedziałem w grzeczny sposób, że skłamał, to znaczy w tym sensie, iż „nie tak zrozumiał” itd... Znowu opuszczam szczegóły, ale miałem o tyle korzystną sytuację, że ponieważ Stiepanow bywał u mnie często, mogłem sprawę przedstawić w takim świetle, iż on jakoby porozumiał się z moim ordynansem dla pewnych korzyści. Stiepanow milcząco tylko popatrzył na mnie i wzruszył ramionami. Pamiętam jego spojrzenie i nigdy go nie zapomnę.

Następnie natychmiast podał się do dymisji, ale, jak pan myśli, cóż się stało? Oficerowie wszyscy co do jednego razem złożyli mu wizytę i namówili, żeby się nie podawał. W ciągu dwóch tygodni i ja wystąpiłem z pułku: nikt mnie nie wyganiał, nikt nie wzywał do opuszczenia, podałem dla dymisji powód rodzinny, na tym się sprawa zakończyła. Początkowo czułem się niezłe i nawet się na nich złościłem. Mieszkałem w Ługu, poznałem się z Lizawietą Makarowną, ale jeszcze miesiąc później spoglądałem na rewolwer i myślałem o śmierci. Na każdą sprawę patrzę ponuro, Arkadiju Makarowiczu. Przygotowałem list do pułku dowódcy i kolegów z pełnym wyznaniem mego 293

kłamstwa, przywracający honor Stiepanowa. Napisawszy list postawiłem przed sobą problem: „czy posiać i żyć, czy posiać i umrzeć”? Nie potrafiłbym rozwiązać tego problemu. Przypadek, ślepy przypadek po pewnej krótkiej i dziwnej rozmowie z Lizawietą Makarowną nagle zbliżył mnie z nią. A przedtem ona bywała u Stołbiejewej, spotykaliśmy się, kłaniali i nawet rzadko rozmawiali.

Nagle wszystko jej wyznałem. Wówczas to podała mi pomocną dłoń.

- Jakżeż ona rozwiązała kwestię?

- Nie posłałem listu. Tak zdecydowała. Żeby nie posyłać. Motywowała to tak: jeżeli pošlę list, to naturalnie spełnię szlachetny postępek, wystarczający, żeby zmyć całe błoto i nawet o wiele więcej, ale czy sam go wytrzymam? Jej zdaniem nikt by tego nie wytrzymał, dlatego że cała przyszłość przepadła i odrodzenie do nowego życia jest niemożliwe. A przy tym, gdyby Stiepanow ucierpiał, ale on przecież i bez tego został niewinny, przez społeczność oficerów.

Jednym słowem - paradoks; ale powstrzymała mnie i ja podporządkowałem się jej w zupełności.

- Ona zdecydowała po jezuicku, ale jak kobieta! - wykrzyknąłem. - Ona już wtedy pana kochała!

- To mnie właśnie odrodziło do nowego życia. Dałem słowo zmienić się, przełamać życie, zasłużyć się przed sobą i przed nią, i oto czym się skończyło! Skończyło się tym, że my tu z panem jeździliśmy na ruletkę, graliśmy w faraona; nie wytrzymałem historii ze spadkiem, cieszyłem się karierą, tymi wszystkimi ludźmi, rysakami... Męczyłem Lizę - hańba!

Potał czoło ręką i przeszedł się po pokoju.

- Nas z panem dosięgło wspólnie rosyjskie fatum, Arkadiju Makarowiczu: pan nie wie, co robić, i ja nie wiem, co robić. Niech Rosjanin choć trochę wypadnie z pospolitej, uprawnionej dla niego obyczajem koleiny i od razu nie wie, co robić. W koleinie wszystko jest jasne: dochody, ranga, stanowisko w świecie, karetka, wizyty, służba, żona; niech no tylko coś się wydarzy... i czymże jestem? Liściem miotanym przez wiatr. Nie wiem, co robić! Przez te dwa miesiące starałem się utrzymać w koleinie, polubiłem utarty szlak, wciągnąłem się weń. Pan nie zna jeszcze głębokości mojego tutejszego upadku: kochałem Lizę, szczerze kochałem - i jednocześnie myślałem o Achmakowej!

- Czy to możliwe? - zawołałem z bólem. - A propos, książę, co pan powiedział mi wczoraj o Wiersiłowie, że on podburzał pana do jakiejś podłości wobec Katieriny Nikołajewny?

- Być może przesadziłem i tak samo zawiniłem przez mą podejrzliwość wobec niego, jak wobec pana. Dajmy temu spokój. Czy doprawdy

294

myśli pan, że przez ten cały czas, od samego jeszcze Ługu, nie pielęgnowałem wysokiego ideału życia? Przysięgam panu, że nie porzuciłem go, miałem go zawsze przed sobą i w duszy mej nie stracił on nic ze swego piękna. Pamiętam o przysiędze złożonej Lizawiecie Makarow-nie, że się odrodzę. Mój ideał jest ściśle określony: parę dziesiątków dziesięcin ziemi (i tylko parę dziesiątków, ponieważ nie pozostało mi już nic prawie ze spadku); dalej zupełne, najzupełniejsze zerwanie ze światem i z karierą; dom wiejski, rodzina, i ja sam, jako oracz lub coś w tym rodzaju.

O, w naszym rodzie, to nie nowina: brat mego ojca własnoręcznie orał, dziad również. Jesteśmy od tysiąca lat książętami i jesteśmy szlachtą taką jak Rohanowie, ale jesteśmy nędzarcami! I tego bym uczył moje dzieci: „Pamiętaj przez całe życie, że jesteś szlachcicem, że w żyłach twoich płynie święta krew rosyjskich książąt; ale nie wstydz się tego, że twój ojciec sam orał ziemię: on to robił

po książęcemu”. Nie zostawiłbym im majątku, prócz tego kawałka ziemi, ale za to dałbym im wyższe wykształcenie, poczuwałbym się do obowiązku. O, tu pomogłaby Liza. Liza, dzieci, praca, o jak myśmy marzyli z nią o tym wszystkim, tu marzyliśmy w tych pokojach... I cóż?... W tym samym czasie myślałem o Achmakowej, mimo że nie kocham zupełnie tej osoby i o możliwości bogatego małżeństwa w wyższych sferach! I dopiero wczoraj po przywiezieniu przez Naszczokina wiadomości o tym Bjoringu zdecydowałem udać się do Anny Andriejewny.

- Ależ przecież pan jeździł odmówić? Przecież to już, myślę, jest postępuk ucziwy?

- Pan tak myśli? - zatrzymał się przede mną. - Nie, pan nie zna jeszcze mojej natury! Albo... albo ja

sam czegoś tutaj nie wiem: dlatego że tutaj prawdopodobnie nie tylko natura. Kocham pana szczerze, Arkadiju Makarowiczu, a oprócz tego bardzo zawiniłem wobec was, przez te dwa miesiące i dlatego chcę, żeby pan, jako brat Lizy, dowiedział się wszystkiego: jeździłem do Anny Andriejewny, żeby się jej oświadczyć, a nie zrzec się jej.

- Czy być może? Ależ Liza mówiła...

- Oszukałem Lizę.

- Niech pani pozwoli: pan złożył formalne oświadczenia i Anna Andriejewna odmówiła panu? Czy tak? Czy tak? Szczegóły te są dla mnie bardzo ważne, książę.

- Nie, nie oświadczyłem się, ale tylko dlatego, że nie zdążyłem, ona sama mnie uprzedziła. Nie wprost, naturalnie, jednakże w dostatecznej

295

1

przejrzystych i jasnych wyrazach dała mi „delikatnie” do zrozumienia, że pomysł ten jest niemożliwy do zrealizowania.

- Znaczy to, że pan nie oświadczył się i duma pańska nie ucierpiała.

- Czyż może pan tak rozumować! A sąd własnego sumienia? A Liza, którą oszukałem i... zatem chciałem porzucić? A obietnica dana sobie i całemu rodowi moich przodków, że się odrodzę i odkupię wszystkie poprzednie moje podłości! Błagam pana, niech pan nie mówi jej o tym! Być może, że tego jednego nie potrafiłaby mi przebaczyć! Po wczorajszym jestem chory! A co najważniejsze, zdaje się, że teraz wszystko skończone i ostatni z książąt Sokolskich trafi na katorgę. Biedna Liza! Przez cały dzień z niecierpliwością oczekiwałem pana, Arkadiju Makarowiczu, żeby wyjaśnić panu, jako bratu Lizy, to, czego ona jeszcze nie wie. Jestem przestępcą kryminalnym i współnikiem w podrabianiu fałszywych akcji N-skiej kolei żelaznej.

- A to co znowu jeszcze! Jak to, na katorgę? - podskoczyłem, patrząc na niego w przerażeniu.

Twarz jego wyrażała najgłębszą, mroczną, beznadziejną rozpacz.

- Niech pan siada - rzekł i sam usiadł w fotelu naprzeciwko. - Po pierwsze, niech pan dowie się o fakcie: przeszło rok temu tego samego lata, co Ems, Lidia i Katierina Nikołajewna, a potem Paryż. Właśnie w tym czasie, kiedy udałem się na dwa miesiące do Paryża, zabrakło mi tam, ma się rozumieć, pieniędzy. Akurat nawinął się Stiebielkow, którego zresztą znałem i dawniej. Dał

mi pieniądze i chciał dać jeszcze, ale prosił, żebym mu ze swej strony też pomógł: potrzebny mu był artysta, rysownik, grawer, litograf, itd. chemik, i technik - w określonych celach. O celach wypowiadał się nawet od pierwszego razu zupełnie przejrzyście. I cóż? Znał mój charakter -

mnie to wszystko tylko rozśmieszyło. Rzecz w tym, że znałem jeszcze ze szkolnej ławy pewnego

mieszkającego gdzieś w Hamburgu rosyjskiego emigranta, zresztą nierosyjskiego pochodzenia. W Rosji był on już raz zamieszany w pewne historie z podrabianiem dokumentów.

Otóż na tego właśnie człowieka Stiebielkow liczył, ale potrzebna mu była rekomendacja od niego, więc zwrócił się do mnie. Napisałem mu kilka słów i od razu zapomniałem o tym. Potem on jeszcze i jeszcze raz spotkał się ze mną i dostałem wtedy od niego około trzech tysięcy. O

całej tej sprawie dosłownie zapomniałem. Tutaj brałem u niego cały czas pieniądze na weksle i pod zastaw i on skakał koło mnie jak niewolnik, a wczoraj nagle dowiaduję się po raz pierwszy od niego, że jestem kryminalnym przestępcą.

- Kiedy, wczoraj?

296

- Otóż wczoraj, kiedy z nim rano krzyczeliśmy w gabinecie przed przyjazdem Naszczokina.

Stiebielkow po raz pierwszy i zupełnie już wyraźnie ośmielił się mówić ze mną o Annie Andriejewnie. Podniosłem rękę, żeby go uderzyć, ale wstał nagle i oświadczył mi, iż jestem z nim związany, i żebym pamiętał, że jestem jego współnikiem i takim samym złodziejem jak on.

Jednym słowem, chociaż nie tymi słowami, ale ta sama myśl.

- Co za brednie! Przecież to czysta fantazja!

- Nie, to nie fantazja. Był dziś u mnie i wyjaśnił bardziej szczegółowo. Te akcje są już od dawna w obiegu i jeszcze będą dalej puszczane, ale zdaje się, że już gdzieś zaczęły być kwestionowane.

Naturalnie, mnie to nie dotyczy, ale: „przecież jednak pan wówczas raczył dać ten liścik” - oto, co mi powiedział Stiebielkow.

- Przecież pan nie wiedział po co, czy wiedział?

- Wiedziałem - odpowiedział cicho książę i spuścił oczy. - To znaczy, widzi pan, i wiedziałem, i nie wiedziałem. Śmiałem się, było mi wesoło. O niczym wtedy nie myślałem, tym bardziej, że nie potrzebowałem zupełnie fałszywych akcji i nie zamierzałem ich produkować. Jednakże tych trzech tysięcy, które mi wtedy dał, nie uwzględnił nawet w rozrachunku, a ja dopuściłem do tego. A zresztą, skąd pan wie, może i ja byłem fałszerzem? Nie mogłem nie wiedzieć, nie jestem dzieckiem; wiedziałem, ale było mi wesoło, i pomogłem łotrom, zbrodniarzom... I pomogłem za pieniądze!... A zatem i ja jestem fałszerzem!

- Och, pan przesadza; pan winien, ale pan przesadza!

- Co najważniejsze, jest tu niejaki Żybielski, młody jeszcze człowiek, z sądownictwa, ktoś w rodzaju pomocnika adwokackiego. W tych akcjach także miał jakiś udział, jeździł potem od tego jegomościa z Hamburga do mnie, naturalnie z głupstwami, i nie wiedziałem nawet po co - o akcjach nie było nawet wzmianki. Jednakże w rękach jego zachowały się dwa dokumenty, pisane moją ręką, także karteczki

po dwa wiersze, ale i one też świadczą przeciwko mnie; dobrze to dziś zrozumiałem. Stiebielkow powiada, że ten Żybielski we wszystkim przeszkadza; coś zamierza jeszcze ukraść, a potem wyemigrować; więc potrzebuje ośmiu tysięcy, nie mniej, tytułem zapomogi na emigrację. Moja część spadku zadowala Stiebielkowa, ale powiada, że trzeba też zaspokoić Żybielskiego... Jednym słowem rzec się mojej części spadku i jeszcze dodatkowo dziesięć tysięcy - oto ich ostatnie słowo. I wtedy zwrócić mi moje dwie karteczki.

Oni są w spółce - to jasne.

- Wyrażna niedorzeczność! Przecież, jeśli doniosą na pana, to siebie wydadzą! Za nic w świecie nie zadenuncjują. -^ -ni'

297

- Rozumiem to. Bynajmniej też nie grożą, że doniosą, a mówią tylko „my naturalnie nie zadenuncjujemy, ale na wypadek, jeśli rzecz się wykryje, to”... Oto co mi mówią, to wszystko, ale myślę, że wystarczająco dużo! Nie w tym rzecz: cokolwiek się wydarzy i chociażbym w tej chwili miał te karteczki w kieszeni - ale być solidarnym z tymi złodziejami, być ich towarzyszem na zawsze, na zawsze! Kłamać Rosji, kłamać dzieciom, kłamać Lizie, kłamać swemu sumieniu!...

- Liza wie?

- Nie, wszystkiego nie wie. Nie wytrzymałaby tego w swoim stanie. Noszę teraz mundur mojego pułku i przy spotkaniu z każdym żołnierzem tego pułku, w każdej chwili uświadamiam sobie, że nie powinienem nosić tego munduru.

- Niech pan posłucha - krzyknąłem nagle. - Tu nie ma co rozmawiać; pan ma jedną, jedyną drogę ratunku: niech pan idzie do księcia Nikołaja Iwanowicza, weźmie od niego dziesięć tysięcy, niech pan poprosi, nie wyjawiając niczego - niech pan zawezwie potem tych dwóch

szubrawców, niech się pan załatwi z nimi ostatecznie i wykupi swoje karteczki... i sprawa skończona! Cała rzecz skończona, może pan iść orać! Precz z fantazją i niech pan zaufa życiu!

- Myślałem o tym - powiedział stanowczo. - Cały dzień decydowałem się i na koniec

zdecydowałem: czekałem tylko na pana, pojedę. Wie pan, że ja nigdy w moim życiu nie wziąłem ani kopiejki od księcia Nikołaja Iwanowicza. On jest dobry dla naszej rodziny i nawet...

pomagał, ale specjalnie ja, ja osobiście nigdy nie brałem pieniędzy. Ale teraz zdecydowałem się.

Niech pan zauważy, że nasz ród Sokolskich jest starszy od rodu księcia Nikołaja Iwanowicza; oni są młodszą linią, nawet poboczną, prawie sporną... Nasi przodkowie byli w waśni. Na początku reform Piotra Wielkiego mój pradziad, tak samo Piotr, był i pozostał raskolnikiem i tułał się po kostromskich lasach. Ten książę Piotr po raz drugi był żonaty, również nie ze szlachcianką... Wtedy właśnie wysunęli się ci inni Sokolscy, aleja... o czym to mówię?...

Bardzo był zmęczony i jak gdyby nie zdawał sobie sprawy z tego, co mówi.

- Niech się pan uspokoi - wstałem, biorąc kapelusz. - Po pierwsze, niech się pan położy spać; a książę Nikołaj Iwanowicz na pewno nie odmówi, szczególnie teraz, kiedy jest w radosnym stanie. Czy pan zna tę historię? Czyżby nie? Słyszałem dziką rzecz, że żeni się; jest to sekret, ale naturalnie nie przed panem.

298

I opowiedziałem mu wszystko, stojąc już z kapeluszem w ręku. Nic nie wiedział. Szybko dowiedział się o szczegóły, nade wszystko o czas, miejsce i stopień wiarygodności. Naturalnie nie zataiłem przed nim, że według opowiadań zdarzyło się to zaraz po jego wczorajszej wizycie u Anny Andriejewny. Nie potrafię wyrazić, jakie chorobliwe wrażenie wywarła na nim ta wiadomość; twarz jego zmieniła się, jakby wykrzywiła, krzywy uśmiech spazmatycznie ściągnął

wargi; pod koniec strasznie zbladł i głęboko zamyślił się, opuściwszy oczy. Wtedy nazbyt jasno zrozumiałem, że jego miłość własna została strasznie dotknięta wczorajszą odmową Anny Andriejewny. Być może, przy swym chorobliwym nastroju nazbyt jaskrawo wyobraził sobie w tej chwili swoją śmieszna i poniżającą rolę wczoraj wobec tej panny, której zgody, jak się teraz okazało, był przez cały czas tak spokojnie pewny. I na koniec, może myślał, że popełnił taką podłość wobec Lizy i tak na darmo! Ciekawe, za kogo siebie nawzajem mają ci światowcy i na jakiej podstawie mogą się wzajemnie szanować. Przecież ten książę mógł przypuścić, że Anna Andriejewna wie już o jego związku z Lizą, w rzeczywistości z jej siostrą, a jeżeli nie wie, to kiedyś na pewno się dowie; a ten oto „nie wątpił o jej decyzji”!

- I czyż pan mógł pomyśleć - dumnie i wyniośle rzucił na mnie wzrokiem - że zdolny byłbym teraz, po takiej wiadomości, jechać do księcia Nikołaja Iwanowicza i prosić go o pieniądze! Jego, którego narzeczona dopiero co mi odmówiła! Jakaż nędza, jakież lokajstwo! Nie, teraz wszystko przepadło i jeżeli pomoc tego staruszka była moja ostatnią nadzieją, to niech i ta nadzieja zginie!

W głębi ducha zgodziłem się z nim, ale na rzeczywistość trzeba było patrzeć mimo wszystko szerzej: czyż staruszek książę był mężczyzną, narzeczonym? Zakotłowało mi się w głowie kilka pomysłów. Już przedtem niezależnie od tego zdecydowałem, że jutro odwiedzę staruszkę. Teraz starałem się osłabić wrażenie i zmusić do snu biednego księcia. „Niech się pan wyśpi, a myśli będą jaśniejsze, sam pan zobaczy!” Gorąco uściśnął moją rękę, ale już nie ucałował. Dałem mu słowo, że przyjdę nazajutrz wieczorem i „pomówimy, pomówimy: zbyt dużo się nazbierało rzeczy do powiedzenia”. Na te moje słowa uśmiechnął się jakoś z rezygnacją.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Całą tę noc śniła mi się ruletka, gra, złoto, rachunki. Ciągle coś liczyłem; jakby za stołem gry, jakąś stawkę, szansę i to mnie dławilo jak koszmar całą noc. Powiem prawdę, że cały poprzedni dzień niezależnie od wszystkich moich nadzwyczajnych wrażeń co chwila wspominałem wygraną u Zierszczykowa. Starałem się przydusić te myśli, ale uczucia nie mogłem zdusić i drżałem na to jedno wspomnienie. Ta wygrana ugryzła mnie w serce. Czyżbym się urodził na gracza? W każdym razie - na pewno z cechami gracza. Nawet i teraz, kiedy to wszystko piszę, lubię mówić o grze!

Zdarza mi się niekiedy spędzić całe godziny, siedząc w milczeniu i obliczając w myśli, marząc jak to

wszystko przebiega, gdy obstawiam i biorę. Tak, jest we mnie dużo różnych „jakości” i dusza moja jest niespokojna.

O dziesiątej zamierzałem udać się na piechotę do Stiebielkowa. Matwieja odprawiłem do domu, gdy tylko się zjawił. Pijąc kawę starałem się wszystko obmyślić. Byłem nie wiedzieć czego zadowolony; wejrzałem momentalnie w siebie i domyśliłem się, że zadowolony jestem głównie z tego, że „będę dziś w domu księcia Nikołaja Iwanowicza”. Ale dzień ten był w mym życiu fatalny i pełen niespodzianek i od razu zaczął się niespodzianką.

Akurat o dziesiątej otworzyły się drzwi i wpadła Tatiana Pawłowna. Wszystkiego mogłem oczekiwać, tylko nie jej odwiedzin; zerwałem się przestraszony. Twarz jej była rozszrota, ruchy błędne i, gdyby jej zapytać, sama być może nie potrafiła powiedzieć, po co wpadła do mnie.

Uprzedzę zawczasu: tylko co otrzymała pewną nadzwyczajną, przytłaczającą wiadomość i była pod jej pierwszym wrażeniem. A wiadomość dotyczyła także mnie. Zresztą spędziła u mnie pół minuty, no, przypuśćmy, że całą minutę, ale już nie więcej. Od razu wczepiła się we mnie.

300

.- To ty tak! - stanęła przede mną, cała zgięta do przodu. - Ach ty, szczeniaku, coś ty narobił? To jeszcze nie wiesz? Kawę sobie pije! Ach ty paplo, ach ty pleciugo, ach ty papierowy kochanku!...

Takich różgami trzeba bić, różgami, różgami!

- Tatiano Pawłowno, co się stało? Co się stało? Mama?...

- Dowiesz się! - groźnie krzyknęła i wybiegła z pokoju. Tyłem ją widział. Naturalnie pobiegłem za nią, ale zatrzymała mnie pewna myśl, nawet nie myśl, lecz jakiś niejasny niepokój: przeczuwałem, że papierowy kochanek był w jej krzykach głównym słowem. Naturalnie nie odgadłbym sam, ale szybko wyszedłem, aby jak najprędzej skończyć ze Stiebielkowem, po czym udać się do Nikołaja Iwanowicza. „Tam -klucz do wszystkiego!” - pomyślałem

instynktownie.

Zadziwiająco, ale Stiebielkow wiedział już wszystko o Annie Andriejewnie i nawet ze szczegółami; nie opisuję jego rozmów i gestów, ale był w zachwycie, w szale zachwytu nad

„artystycznością czynu”.

- Oto - osoba! Nie, to jest właśnie osoba! - wykrzykiwał. - Nie, to nie po naszymu, my oto siedzimy i nic, a tu zachciało się napić wody w prawdziwym źródle - i wypiła. To... to - starożytny posąg!

To starożytny posąg Minewry, tylko że chodzi i współczesne ubranie nosi!

Poprosiłem go, by przeszedł do rzeczy. Cała rzecz, w zupełności tak jak odgadywałem, polegała na tym, ażeby skłonić i namówić młodego księcia, by pojechał poprosić pomocy u księcia Nikołaja Iwanowicza. „Jeśli nie, to przecież może z nim być bardzo źle i już niezależnie ode mnie, tak, czy nie

tak?”

Zaglądał mi w oczy, ale zdaje się nie przypuszczał, że mi coś więcej wiadomo niż wczoraj. A też nie mógł przypuszczać, bo samo przez się zrozumiałe, że ani słowem, ani aluzją nie zdradziłem, że wiem o „akcjach”. Porozumiewaliśmy się niedługo; zaczął mi obiecywać pieniądze: „i dużo, dużo, tylko niech pan współdziała, żeby księżę pojechał. Sprawa pilna, bardzo pilna, o to właśnie chodzi, że zbyt już pilna!”

Sprzeczać się i spierać jak wczoraj nie chciało mi się i wstałem, by wyjść, na wszelki wypadek rzuciwszy, że się „postaram”. Ale nagle zadziwił mnie niewymownie: już się skierowałem do drzwi, kiedy niespodziewanie serdecznie objął mnie w talii i zaczął mi mówić... niezrozumiałe rzeczy.

Opuszczam szczegóły i nie przytaczam całego ciągu rozmowy, aby nie męczyć. Rzecz w tym, że zrobił mi propozycję „zaznajomienia go z panem Diergaczowem, ponieważ pan tam bywa!”

301

Momentalnie przycichłem, wszelkimi siłami starając się nie zdradzić się jakimkolwiek ruchem.

Zaraz zresztą odpowiedziałem, że wcale nie jestem jego znajomym, a byłem tam wszystkiego jeden raz, przypadkowo.

- No, jeżeli był pan dopuszczony raz, to już może pan przyjść po raz drugi, czy nie?

Wprost, ale z zupełnie zimną krwią spytałem, po co jest mu to potrzebne? I do tej pory nie mogę pojąć, do jakiego stopnia może dojść naiwność człowieka, oczywiście niegłupiego, „człowieka interesu”, jak go określił Wasin? Zupełnie po prostu objaśnił mi, że u Diergaczowa, według jego podejrzeń „na pewno dzieje się coś zakazanego, surowo zakazanego i dlatego, wysłedziwszy to, mógłbym zapewnić sobie pewną korzyść”. I uśmiechnął się, mrugnawszy na mnie lewym okiem.

Nie odpowiedziałem do końca twierdząco, ale udałem, że się namyślałem i „obiecałem pomyśleć”; zaraz potem pospiesznie wyszedłem. Sprawy zaczęły się komplikować. Pobiegłem do Wasina i akurat zastałem go w domu.

- A i pan także! - zagadkowo odezwał się, zobaczywszy mnie.

Nie podchwytyjąc jego zdania przystąpiłem do rzeczy i opowiedziałem. Był widocznie wstrząśnięty, chociaż nie stracił zimnej krwi. Wypytał o wszystko szczegółowo.

- Być może pan nie do końca zrozumiał?

- Nie, bardzo dobrze zrozumiałem, sens był zupełnie wyraźny.

- W każdym razie nadzwyczaj jestem panu wdzięczny - dodał szczerze. - Tak, istotnie, jeśli tak wszystko było, on przypuszczał, że pan nie potrafi się oprzeć wobec określonej sumy.

- A przy tym doskonale zna moja sytuację: wciąż grałem i źle się prowadziłem, Wasin.

- Słyszałem o tym.

- Najbardziej dla mnie zagadkowe, że on wie o panu, że i pan tam bywa.

- Zbyt dobrze wie - zupełnie prosto odpowiedział Wasin - że nie mam z tym nic wspólnego. A cała ta młodzież - raczej gaduły i nic więcej! Pan zresztą sam to dobrze pamięta.

Wydało mi się, jakby mi w czymś nie dowierzał.

- Słyszałem, że interesy pana Stiebielkowa nieco się popsuły - spróbowałem jeszcze zapytać. -

Przynajmniej słyszałem o pewnych akcjach...

- O jakich akcjach pan słyszał?

Umyślnie wspomniałem o akcjach, ale nie po to, rozumie się, żeby mu opowiedzieć wczorajszy sekret księcia. Zachciało mi się tylko zrobić

302

aluzję i zbadać z wyrazu twarzy, czy cokolwiek wie. I osiągnąłem cel: po nieuchwytnym i trwającym jedno mgnienie ruchu twarzy domyśliłem się, że chyba i o tym coś wie. Nie odpowiedziałem na jego pytanie: „jakie akcje”, lecz ciągnąłem dalej, a on, rzecz ciekawa, nie kontynuował tego tematu.

- Jak zdrowie Lizawieyty Makarowny? - dowiadywał się z zainteresowaniem.

- Zdrowa. Siostra moja zawsze pana ceniła... Zadowolenie błysnęło w jego oczach: dawno już domyśliłem się, że nie był obojętny wobec Lizy.

- Kilka dni temu był u mnie książę Siergiej Piotrowicz - nagle zakomunikował mi.

- Kiedy? - krzyknąłem.

- Równy cztery dni temu.

- Nie wczoraj?

- Nie, nie wczoraj - popatrzał na mnie pytająco.

- Potem, być może, poinformuję pana dokładniej o tym naszym spotkaniu, lecz teraz widzę potrzebę ostrzec pana - zagadkowo powiedział Wasin. - Wydał mi się wtedy w nienormalnym stanie ducha i... umysłu nawet. Zresztą, miałem jeszcze jedną wizytę - uśmiechnął się. - Zaraz przed panem i także zmuszony byłem przypuścić o nie całkiem normalnym stanie gościa.

- Książę był przed chwilą?

- Nie, nie książę, teraz nie mówię o księciu. Był u mnie teraz Andriej Piotrowicz Wiersiłow i... pan o

niczym nie wie? Nie stało się z nim nic takiego?

- Być może coś się stało, lecz co właściwie u pana się stało? - zapytałem pospiesznie.

- Oczywiście, powinienem właściwie zachować w sekrecie... Jakoś dziwnie rozmawiamy z panem, za bardzo sekretnie - znowu uśmiechnął się. - Andriej Piotrowicz, zresztą, nie zabraniał mi sekretu. Lecz pan jest jego synem i ponieważ znam pana uczucia do niego, to tym razem nawet, zdaje się, dobrze uczynię, jeśli pana ostrzegę. Proszę sobie wyobrazić, przyszedł do mnie z pytaniem: „Gdyby na wypadek, za kilka dni, bardzo szybko, potrzebował walczyć w pojedynku, czy zgodziłbym się wziąć rolę jego sekundanta?” Oczywiście, zdecydowanie mu odmówiłem.

Byłem bezgranicznie zdumiony; ta nowość była bardziej niepokojąca od innych: coś wyszło, coś się zdarzyło, coś się na pewno stało, o czym nie wiem! Nagle błysnęło mi wspomnienie, jak Wiersiłow wypowiedział

303

wczoraj: „Nie ja do ciebie przyjdę, lecz ty do mnie przybiegniesz”. Popędziłem do księcia Nikołaja Iwanowicza, przeczuwając, że tam znajdę rozwiązanie zagadki. Wasin na pożegnanie jeszcze raz mi podziękował.

ii

Staruszek książę siedział przed kominkiem z nogami otulonymi pledem. Powitał mnie jakimś pytającym spojrzeniem, jak gdyby dziwiąc się, że przyszedłem, a przecież sam, niemal co dnia, przysyłał po mnie. Zresztą, powitał mnie życzliwie, lecz na pierwsze moje pytania odpowiadał

jakby z odrazą i z jakimś roztargnieniem. Od czasu do czasu jakby coś rozważał i uważnie wpatrywał się we mnie, jakby czegoś zapomniał i przypominał coś takiego, co powinno odnosić się do mnie. Życzliwy i dobry uśmiech niezwłocznie pokazał się na jego ustach i ożywił się; ostrożność i podejrzliwość razem zeskoczyły, tak jakby zapomniał o nich. Zresztą oczywiście zapomniał.

- Przyjacielu mój miły, wiedziałem, że przyjdiesz pierwszy i wiesz, wczoraj jeszcze o tobie pomyślałem: „Kto się ucieszy? On się ucieszy.” No, a więcej nikt; ale to nic. Ludzie - złe języki, ale to marność... Cher enfant*, wszystko to jest tak wzniosłe i tak urocze... Ale przecież znasz ją sam zbyt dobrze. A o tobie Anna Andriejewna nawet ma dobre zdanie. To - to jest poważna i cudowna osoba, osoba z angielskiej pamiętki. To najcudowniejsza angielska grawiura, jaka tylko może być... Trzy lata temu miałem całą kolekcję tych grawiur... Zawsze, zawsze miałem ten zamiar, zawsze; dziwię się tylko, że o tym nigdy nie myślałem.

- Pan, o ile pamiętam, zawsze tak lubił i wyróżniał Annę Andriejewnę.

- Przyjacielu, nikomu nie chcemy szkodzić. Życie z przyjaciółmi, z krewnymi, z miłymi sercu - to raj. Wszyscy - poeci... Jednym słowem jeszcze z prehistorycznych czasów jest to wiadome.

Wiesz, latem początkowo w Soden, a potem w Bad-Gaschtein. Lecz jak dawno, jednakowoż nie byłeś u mnie, mój przyjacielu; co z tobą? Oczekiwałem ciebie. I czyż nie prawda, jak wiele, wiele

zdarzyło się w tym czasie. Żał tylko, że jestem niespokojny; kiedy tylko zostaję sam, czuję się niespokojnie. Dlatego nie wolno mi zostawać w samotności, czyż nie tak? To jest jak dwa razy dwa. Natychmiast pojąłem to z pierwszych jej słów. O przyjacielu mój, powiedziała jedynie dwa słowa, lecz to... to było coś w rodzaju najpiękniejszego

* Drogi chłopcze 304

wiersza. A tak na marginesie, przecież jesteś jej bratem, prawie bratem nieprawdaż? Mój miły, nie na darmo tak cię lubiłem! Przysięgam, wszystko to przeczulem. Pocałowałem jej rączkę i zapłakałem.

Wyciągnął chusteczkę, jakby znowu zbierało mu się na płacz. Był mocno wstrząśnięty i zdaje się, znajdował się w jednym ze swych najgorszych „stanów”, w jakich mogłem zapamiętać go przez cały czas naszej znajomości. Zazwyczaj i nawet prawie zawsze bywał bardziej świeży i rześki.

- Ja bym wszystkim mógł przebaczyć, przyjacielu - bełkotał dalej. _ Chce mi się wszystkim przebaczyć i dawno już nie gniewam się na nikogo. Sztuka, la poesie dans la vie*, wspomnienie nieszczęśliwym i ona, biblijna piękność. Quelle charmante personne, a? Les chants de Salomon... non, ce n'est pas Salomon, c'est David qui mettait une jeune belle dans son lit pour se chauffer dans sa vieille. Enfin David, Salomon**, wszystko to kręci mi się w głowie -

rozgardiasz jakiś. Każda rzecz, cher enfant***, może być wspaniała i w tym samym czasie śmieszna. Cette jeune belle de la vieille de David - c'est tout un poeme, a u Paul de Kocka****, wyszła by z tego jakaś scena de bassinoire i wszyscy byśmy się śmiali. U Paul de Kocka nie ma ani miary, ani smaku, chociaż ma talent... Katierina Nikolajewna uśmiecha się...

Powiedziałem, że nie będziemy przeszkadzać. Zaczęliśmy naszą powieść i niech nam po_ zwoła ją dokończyć. Niech to będzie marzenie, lecz niech nam nie zabierają tego marzenia.

- To znaczy jak to marzenie?

- Marzenie? Jak marzenie? Niech będzie marzenie, tylko niech nam pozwolą umrzeć z tym marzeniem.

- O książkę, dlaczego umierać? Żyć, teraz tylko żyć!

- A ja o czym mówię? Tylko to twierdzą. Zdecydowanie nie rozumiem, dlaczego życie jest takie krótkie. Żeby nie zanudzić, oczywiście bowiem życie jest także artystycznym dziełem samego twórcy, w ostatecznej i nieskazitelnej formie wiersza Puszkina. Lapidarność jest pierw-

* poezja wśród szarzyzny

** - Cóż za czarująca osoba? - Pieśni Salomona, nie... pieśni Dawida. To Dawid przyjmował nałożnicę, by ogrzewała jego starcze łóżko. Wreszcie Dawid...

*** **drogi chłopcze**

**** To piękna nałożnica, towarzysza wiekowego Dawida... istny poemat, a u Paula de Kocka wyszłaby z tego jakaś balkonowa scena i wszyscy by się śmiali

305

szym warunkiem artystyczności. Lecz jeśli komuś nie jest nudno, temu powinno się dać pożyć dłużej.

- Proszę powiedzieć, książę, czy to już wiadomość publiczna?

- Nie! Mój miły, wcale nie; tak umówiliśmy się. To jest rzecz rodzinna, rodzinna, rodzinna. Na razie odsłoniłem się przed córką Katieriną Nikołajewną, ponieważ uważam się przed nią winny.

O, Katieriną Ni-kolajewna - anioł, ona jest aniołem!

- Tak, tak!

- Tak? I ty - „tak”? A ja sądziłem, że jesteś jej wrogiem. Ach tak, nawiasem mówiąc, przecież prosiła mnie, żebym cię więcej nie przyjmował. I wyobraź sobie, kiedy wszedłeś, zapomniałem o tym.

- Co pan mówi? - zerwałem się. - Za co? Kiedy? (Przecucie mnie nie oszukało; tak, właśnie coś w tym rodzaju przeczułem po wizycie u mnie Tatiany!)

- Wczoraj, mój miły, wczoraj, nawet nie rozumiem, jak teraz wszedłeś, bowiem podjęte zostały odpowiednie środki. Jak tu wszedłeś?

- Po prostu wszedłem.

- Najpewniej tak było. Gdybyś chytrze próbował wejść, z pewnością by cię złowili, a ponieważ wszedłeś po prostu, więc cię przepuścili. Prostota, mon cher*, to w istocie najwyższa chytrość.

- Nic nie rozumiem, czy to znaczy, że i pan zdecydował się mnie nie przyjmować?

- Nie, mój przyjacielu, powiedziałem, że jestem z boku... To znaczy dałem na to pełną zgodę. I bądź pewny, mój miły chłopcze, że cię bardzo lubię. Lecz Katieriną Nikołajewną bardzo, bardzo, nalegała...

W tej chwili nagle pokazała się w drzwiach Katieriną Nikołajewną. Była ubrana jak do wyjścia i, jak to i dawniej bywało, wstąpiła do ojca, by go pocałować. Zobaczywszy mnie, zatrzymała się, zmieszana, szybko odwróciła się i wyszła.

Voilà!** - wykrzyknął porażony i bardzo wzburzony książę.

- To nieporozumienie! - wykrzyknąłem. - To jakaś... na chwileczkę... ja... zaraz wrócę do pana, książę!...

I wybiegłem w ślad za Katieriną Nikołajewną. Wszystko, co potem nastąpiło, odbyło się tak szybko,

że nie tylko nie mogłem się zorientować, ale nawet i jako tako przygotować się, jak się zachować. Gdybym mógł się

* niech to ** Proszę bardzo! 306

przygotować, na pewno zachowałbym się inaczej! Ale zgubiłem się jak małe dziecko. Pobiegnę na jej pokoje, ale lokaj na drodze powiedział mi, że Katierina Nikołajewna już wyszła i właśnie siada do karety. Rzuciłem się na złamanie karku do głównych schodów. Katierina Nikołajewna schodziła na dół w futrze, a razem z nią szedł albo, lepiej powiedzieć, prowadził ją wysoki, wspaniały oficer, w mundurze, bez płaszcza, z szablą; płaszcz niósł za nim lokaj. To był baron, pułkownik, lat trzydzieści pięć, elegancki typ oficera, chudawy, z nieco przydługą twarzą, z ryżawymi wąsami i nawet rzęsami. Twarz jego, choć była zupełnie nieładna, miała ostry i wyzywający wyraz. Opisuję naprędce to, co zauważyłem w tej minucie. Przedtem nigdy go nie widziałem. Biegłem za nimi po schodach bez kapelusza i bez futra. Katierina Nikołajewna spostrzegła mnie pierwsza i szybko zaszepotała coś do swego towarzysza. Odwrócił głowę, ale zaraz kiwnął na sługę i szwajcara. Sługa postąpił ku mnie przy samych drzwiach wejściowych, ale odsunąłem go ręką i wyskoczyłem w ślad za nimi na ganek. Bjoring sadzał Katierinę Nikołajewną do karety.

- Katierino Nikołajewno! Katierino Nikołajewno! - wykrzyknąłem bezsensownie - (Jak dureń! Jak dureń! O, wszystko sobie przypominam; byłem bez kapelusza!).

Bjoring ze złością zwrócił się znowu do służącego i coś mu głośno krzyknął, jedno lub dwa słowa, nie dosłyszałem. Poczułem, że ktoś chwycił mnie za łokieć. W tej chwili kareta ruszyła; krzyknąłem znowu i skoczyłem za kareta. Katierina Nikołajewna, widziałem to, wyglądała przez okna karety i zdaje się była bardzo niespokojna. Ale w szybkim moim ruchu, kiedy rzuciłem się, zupełnie nie myśląc o tym, trąciłem silnie Bjo-ringa, i zdaje się bardzo boleśnie nastąpiłem mu na nogę. Krzyknął z lekka, zazgrzytał zębami i silną ręką chwyciwszy mnie za ramię, ze złością odepchnął tak, że odleciałem ze trzy kroki. W tej chwili podano mi płaszcz, narzucił go i siadł do sań, a z sań jeszcze raz groźnie krzyknął, ukazując mnie lokajom i szwajcarowi. Wtedy chwycili mnie i przytrzymali: jeden służący narzucił na mnie futro, drugi podał kapelusz i już nie pamiętam, co wtedy mówili; mówili coś, a ja stałem i słuchałem, nic nie rozumiejąc. Ale nagle odepchnąłem ich i pobiegłem.

Nic nie kojarząc i potracając ludzi, dobiegłem na koniec do mieszkania Tatiany Pawłowny, nawet nie domyśliwszy się, by wziąć po drodze dorożkę. Bjoring odepchnął mnie na jej oczach!

Naturalnie, nadeptałem

307

mu na nogę i odtrącił mnie instynktownie, jak człowiek, któremu nastąpiono na odcisk (a może rzeczywiście rozgniotłem mu odcisk!). Ale ona widziała i widziała, że mnie chwytają słudzy, i to wszystko przy niej, przy niej! Kiedy wbiegłem do Tatiany Pawłowny, w pierwszej chwili nie mogłem nic mówić, a dola szczęka trzęsa mi się jak w febrze. Tak, byłem w gorączce i ponadto płakałem... O, byłem tak obrażony!

-A cóż? Wygnali? I słusznie, i słusznie! - odezwała się Tatiana Paw-}owna.

Milcząc opadłem na kanapę i patrzyłem na nią.

- No, cóż mu jest? - obejrzała mnie uważnie. - Masz, wypij kubek, wypij wody, wypij! Mów, coś ty tam jeszcze zmalował?

Wybełkotałem, że mnie wygnali i że Bjoring popchnął mnie na ulicy.

- Możesz już cokolwiek zrozumieć, czy może jeszcze nie? Masz, przeczytaj, rozkoszuj się!

Wzięła ze stołu kartkę, podała mi ją, a sama stanęła przede mną w oczekiwaniu. Zaraz poznałem rękę Wiersiłowa, wszystkiego było kilka wierszy: była to kartka do Katieriny Nikołajewny.

Drgnąłem i świadomość momentalnie wróciła mi w całej pełni. Oto treść tej okropnej, potwornej, niedorzecznej kartki, słowo w słowo:

„Łaskawa Pani, Katieńno Nikołajewno!

Jakkolwiek jest pani rozpustnicą i z natury, i z artyzmu swego, sądziłem jeszcze ciągle, że powstrzyma pani swoje namiętności i nie będzie pani nastawać przynajmniej na to dziecko. Ale pani i tego się niepowstydzila. Zawiadamiam panią, że wiadomy jej dokument na pewno nie jest spalony nad świecą i nigdy nie był u Krafta, także nic tu pani nie wygra. A więc niech pani na próżno nie wciąga w rozpustę młodzieńca. Oszczędź go, pani; jest jeszcze niepełnoletni, prawie dziecko, nierozwinięty i umy-słowo, i fizycznie, jakąż może pani z niego mieć korzyść? Obchodzi mnie on i dlatego zaryzykowałem napisać do pani, mimo że nie spodziewam się powodzenia. Mam honor uprzedzić, że kopię tego listu posyłam jednocześnie do barona Bjoringa.

A. Wiersilow”

Błądłem czytając, ale potem wybuchnąłem i wargi mi się zatrzęsły z oburzenia!

- To on tak o mnie! To o tym, co mu wyznałem trzy dni temu! -wykrzyknąłem w pasji.

- Oto właśnie chodzi, żeś wyznał! - wyrwała mi kartkę Tatiana Pawłowa.

308

- Ale... ja nie to, zupełnie nie to mówiłem! O, Boże, co ona może sobie teraz o mnie pomyśleć!

Ależ to wariat! Przecież to wariat... ja go wczoraj widziałem... Kiedy list był wysłany?

- Wczoraj wysłany był w dzień, wieczorem przyszedł, a dzisiaj osobiście oddała mi go.

- Ależ ja go widziałem wczoraj, to wariat! Tak nie mógł pisać Wier-siłow, to wariat pisał! Kto tak może pisać do kobiety?

- Otóż tak tacy wariaci piszą w pasji, kiedy z zazdrości i złości oślepną i ogłuchną, a krew zamienia im się w truciznę, w arsenik... A tyś jeszcze nie wiedział, jaki on jest! Ot, teraz go za to trzasną tak,

że tylko mokre miejsce zostanie! Sam pod topór lezie! Lepiej poszedłby nocą na kolej Nikołajewską, położyłby głowę na szyny i odcięliby mu, skoro zaciążyła! A co cię ukąsiło, żeby mu mówić? A co cię ukąsiło, żeby go drażnić? Zachciało ci się pochwalić?

- Ale cóż za nienawiść! Co za nienawiść! - uderzyłem się ręką po głowie. - I za co, za co? Do kobiety? Co ona mu takiego zrobiła? Co w ich stosunkach było takiego, żeby takie listy pisać?

- Nie-na-wiść! - ze wściekłą drwiną przedrzeźniała mnie Tatiana Pawłowna.

Krew uderzyła mi znowu do twarzy; nagle jakbym pojał coś zupełnie nowego; patrzyłem na nią pytająco ze wszystkich sił.

- Wynoś się ode mnie! - wrzasnęła, szybko odwróciła się i machnęła na mnie ręką. - Dość miałam kłopotu z wami wszystkimi! Dosyć teraz! Zapadnijcie się nawet pod ziemię!... Tylko jednej jeszcze twojej matki szkoda...

Rozumie się, pobiegłem do Wiersiłowa. Ale taka przewrotność! Taka przewrotność!

—

Wiersiłow nie był sam. Wyjaśnię z góry: wysławszy wieczorem list do Katieriny Nikołajewny i rzeczywiście (Bóg jeden wie po co) posławszy jego kopię baronowi Bjoringowi, faktycznie dziś w ciągu dnia powinien był oczekiwać „następstw” swego postępu i dlatego to poczynił odpowiednie kroki: rankiem już przeniósł mamę i Lizę (która, jak się potem dowiedziałem, rozchorowała się jeszcze rano i leżała w łóżku) na górę „do trumny”, a pokoje, a specjalnie nasz bawialny, były starannie sprzątnięte i wymiecione. I rzeczywiście o drugiej po południu zjawił się u niego niejaki baron R., pułkownik, pan w wieku czterdziestu lat, pochodzenia

309

niemieckiego, wysoki, chudy, z wyglądu bardzo silny fizycznie człowiek, także rudawy, jak i Bjoring, tylko nieco łysy. Był to jeden z tych baronów R., których jest dużo na służbie wojskowej w Rosji; wszystko są to ludzie z silnie rozwiniętym baronowskim honorem, zupełnie bez majątku, żyjący z samej tylko pensji i nadzwyczajni służbiści.

Spóźniłem się na początek ich rozmowy; obaj byli bardzo ożywieni, bo i jak można inaczej!

Wiersiłow siedział na kanapie przed stołem, a baron w fotelu obok. Wiersiłow był blady, ale mówił powściągliwie i cedząc słowa. Baron nie podnosił głosu, i choć z wyglądu był skłonny do porywczych gestów, starał się powstrzymać, ale patrzył surowo, wyniośle i nawet pogardliwie, chociaż i nie bez pewnego zdziwienia. Ujrawszy mnie nachmurzył się, ale Wiersiłow prawie się ucieszył na mój widok.

- Witaj, mój miły. Baronie, oto jest ten młody człowiek, o którym było wspomniane w liście i proszę mi wierzyć, nie przeszkodzi, ale nawet może się przydać. (Baron obejrzał mnie pogardliwie.) - Mój drogi - dodał Wiersiłow. - Rad jestem nawet, że przyszedłeś, posiedź więc w kącie, proszę cię,

dopóki nie skończymy z baronem. Niech się pan nie niepokoje, baronie, on tylko posiedzi w kącie.

Było mi wszystko jedno, ponieważ się zdecydowałem, a prócz tego wszystko to mnie porażało; siadłem w milczeniu w kącie, jak można było najciemniejszym kącie, i przesiadałem, nie mrugnawszy ani poruszywszy się do końca rozmowy...

- Jeszcze raz panu powtarzam, baronie - stanowczo wybijając słowa mówił Wiersiłow - że Katierinę Nikołajewną Achmakową, do której napisałem ten niegodny i chorobliwy list, uważam nie tylko za najszlachetniejszą istotę, ale nawet za szczyt wszelkich doskonałości!

- Takie zaprzeczanie swym słowem, jak już panu zaznaczyłem, wygląda na potwierdzenie ich znowu - mruknął baron. - Słowom pańskim zdecydowanie brak szacunku.

- A jednak będzie najbardziej słuszne, jeżeli je pan przyjmie w dosłownym znaczeniu. Ja, widzi pan, cierpię na ataki i różne... rozstroje i nawet się leczę, dlatego stało się to, w jednej z podobnych chwil...

- Te wyjaśnienia w żaden sposób nie mogą być brane pod uwagę... Jeszcze i jeszcze raz mówię panu, że pan z uporem nie przestaje się mylić, być może chce pan umyślnie mylić się... Już pana uprzedziłem na początku, że cała kwestia odnośnie tej damy, to znaczy listu pańskiego do generałowej Achmakowej powinna być w naszym obecnym porozumieniu ostatecznie

wyłączona; pan jednak ciągle powraca. Baron Bjo-

310

ring prosił mnie i polecił im, bym specjalnie wyjaśnił właściwie tylko to, co jedynie jego samego dotyczy, to jest zuchwałe przesłanie mu przez pana tej „kopii”, a dalej pański dopisek, że pan

„gotów jest ponieść za to odpowiedzialność w każdej formie”.

- Ale zdaje się, to ostatnie jest jasne bez dodatkowych wyjaśnień.

- Rozumiem, słyszałem. Pan nawet nie prosi o przebaczenie, ale nie przestaje nastawać, „że gotów ponosić odpowiedzialność w każdej formie”. Ale to by było zbyt łatwe. I dlatego już teraz poczuwam się do obowiązku, ze względu na kierunek, który pan z uporem chce nadać swym wyjaśnieniom, powiedzenia panu wszystkiego już bez skrępowania; to jest doszedłem do konkluzji, że baron Bjoring w żaden sposób nie może mieć z panem do czynienia... na równych prawach.

- Taka decyzja jest naturalnie najbardziej wygodna dla pańskiego przyjaciela, barona Bjoringa, i przyznam się, zupełnie mnie pan nie zdziwił: oczekiwałem tego.

Zauważę nawiasem: było dla mnie widoczne od pierwszych słów, od pierwszego spojrzenia, że Wiersiłow nawet pragnie wybuchu, prowokuje i drażni tego drażliwego barona i może zbyt doświadcza jego cierpliwości. Barona aż skreśliło.

- Słyszałem, że pan potrafi być dowcipny, ale dowcip nie jest jeszcze rozumem.

- Nadzwyczaj głęboka uwaga, pułkownika.

- Nie prosiłem pana o pochwały- wykrzyknął baron. - I nie przyjechałem przelewać z pustego w próżne! Zechce pan wysłuchać: baron Bjoring był wielce zakłopotany, otrzymawszy pański list, ponieważ pachniał domem wariatów. I naturalnie mogłyby być natychmiast znalezione środki, aby pana... uspokoić... Ale do pana z pewnych specjalnych względów zastosowana była wyrozumiałość i były o panu robione wywiady: okazało się, że chociaż pan należał do dobrego towarzystwa i kiedyś służył w gwardii, ale jest pan z towarzystwa wykluczony, a reputacja pańska jest bardziej niż wątpliwa; jednakże pomimo tego, przybyłem tu, aby się upewnić osobiście; i oto, ponad to wszystko, pan jeszcze pozwala sobie na gry słów i sam pan zaświadczył o sobie, że podlega atakom. Dosyć! Pozycja barona Bjoringa i jego reputacja nie może być narażona na szwank w tej sprawie... Jednym słowem, łaskawy panie, jestem

uppełnomocniony, aby panu oznajmić, że jeśli nastąpi powtórzenie, lub choćby cokolwiek podobnego, niezwłocznie będą zastosowane środki dla uspokojenia pana, dostatecznie szybkie i pewne, mogą pana zapewnić! Nie żyjemy w lesie, ale w dobrze zorganizowanym państwie!

311

- Pan jest tak tego pewny, mój dobry baronie?

- Niech diabli wezmą! - wstał nagle baron. - Pan mnie nazbyt wystawia na próbę, abym dowiódł panu zaraz, że nie jestem bardzo „dobrym pańskim baronem”!

-Ach, uprzedzam pana - podniósł się także Wiersilow - że tu niedaleko jest moja żona i córka... i dlatego prosiłbym pana, by nie mówił tak głośno, ponieważ pańskie krzyki do nich dochodzą.

- Pańska żona... do diabła... Jeśli siedziałem i rozmawiałem teraz z panem, to jedynie w celu wyjaśnienia tej nędznej sprawy - z poprzednim gniewem i nie zniżając głosu ciągnął baron. -

Dosyć! - wykrzyknął z pasją. - Pan nie tylko jest wykluczony z koła porządnych ludzi, ale pan jest maniakiem, prawdziwym, zwariowanym maniakiem i tak właśnie pana w towarzystwie zakwalifikowano! Nie zasługuje pan na wyrozumiałość i oznajmiam panu, że dziś jeszcze w stosunku do pana będą przedsięwzięte środki i zostanie pan wezwany do pewnego takiego miejsca, gdzie panu potrafią przywrócić rozsądek... i wywiozą z miasta!

Szybkimi i wielkimi krokami wyszedł z pokoju Wiersilow go nie odprowadził. Stał, patrzył na mnie z roztargnieniem i jak gdyby mnie nie zauważał; wtem uśmiechnął się, wstrząsnął włosami i wzięwszy kapelusz skierował się także ku drzwiom.

-Ach i ty tutaj? Ty... słyszałeś? - zatrzymał się przede mną.

- Jak pan mógł to zrobić? Jak pan mógł tak zabrudzić, tak zhańbić!... z taką przewrotnością!

Patrzył badawczo, ale jego uśmiech rozszerzał się coraz bardziej i bardziej i zdecydowanie przechodził w śmiech.

- Przecież to mnie zhańbili... przy niej! Przy niej! Ośmieszyli mnie w jej oczach, a on... popchnął mnie! - krzyknąłem w uniesieniu.

- Czyżby? Ach, biedny chłopczyk, jak mi cię żal... Więc ciebie tam oś-mie-szy-li?

- Pan się śmieje, pan się śmieje ze mnie! Panu jest wesoło!

Szybko wyrwał swoją rękę z mojej, włożył kapelusz i, śmiejąc się już prawdziwym śmiechem, wyszedł z mieszkania. Czy miałem go gonić, po co? Zrozumiałem wszystko i - wszystko straciłem w jednej chwili! Nagle ujrzałem mamę: zeszła z góry i lękliwie rozglądała się.

-Wyszedł?

Milcząc objąłem ją i ona mnie mocno, mocno, aż się przytuliła do mnie.

- Mamo, najdroższa, czy mama może tu zostawać? Pójdziemy zaraz, ja cię osłonię i będę pracować dla ciebie jak katorżnik, dla ciebie i dla

312

Lizy... Porzucimy ich wszystkich, odejdźmy. Będziemy sami. Mamo, pamiętasz, jak do mnie, do Tuszara przychodziłaś i jak nie chciałem przyznać się do ciebie?

- Pamiętam, najdroższy, całe życie czuję się winna wobec ciebie: urodziłam cię, a nie znałam.

- On temu winien, mamo, to on wszystkiemu winien; on ciebie nigdy nie kochał.

- Nieprawda, kochał.

- Pójdźmy, mamo.

- Dokąd ja od niego pójdę: alboż on jest szczęśliwy, czy co?

- Gdzie Liza?

- Leży; przyszła - zachorowała; boję się. Dlaczego tak bardzo na niego się gniewają? Co z nim teraz zrobią? Dokąd on poszedł? Co ten oficer tu groził?

- Nic mu nie będzie, mamo, nigdy mu nic nie było, nigdy się z nim nic nie stanie i nie może się stać! To już taki człowiek! Oto Tatiana Pawłowna, jej zapytaj, jeśli nie wierzysz, oto ona.

(Tatiana Pawłowna nagle weszła do pokoju.) Żegnaj, mamo! Ja do was wkrótce... a jak przyjadę, znów spytam o to samo...

Wybiegłem; nie byłem w stanie widzieć nikogo, nie tylko Tatiany Pawłowny, a mama męczyła mnie; chciałem być sam, sam.

Lecz nie przeszedłem jeszcze ulicy, kiedy poczułem, że nie mogę chodzić, bezmyślnie objąłem się o ten tłum obcy i obojętny; ale gdzie się podziąć? Komu jestem potrzebny i - co mnie teraz jest potrzebne? Machinalnie przywlokłem się do księcia Siergieja Piotrowicza, wcale o nim nie myśląc.

Nie było go w domu. Powiedziałem Piotrowi (jego służącemu), że będę czekał w gabinecie (jak to wiele razy się zdarzało). Gabinet był to duży pokój, bardzo wysoki i zastawiony meblami.

Zaszyłem się w najciemniejszy kąt, siadłem na kanapie, położyłem łokcie na stole i podparłem obiema rękami głowę. Tak, to pytanie: „Czego mi teraz trzeba?” Jeśli mogłem wtedy sformułować to pytanie, to bynajmniej nie mogłem na nie odpowiedzieć.

Ale nie mogłem ani myśleć z sensem, ani pytać. Już uprzedziłem wyżej, że pod koniec tych dni byłem „zmiażdżony wydarzeniami”; siedziałem teraz i wszystko jak chaos kręciło mi się w głowie.

313

„Tak, ja w nim wszystko przejrzałem i nic nie pojąłem - majaczyło mi chwilami. - Roześmiał mi się tylko w oczy; to nie ze mnie: to ciągle Bjoring, nie ja. Trzy dni temu, przy obiedzie wiedział już wszystko i był ponury. Wydarł mi moją głupią spowiedź w restauracji i zniekształcił wszystko, co tylko było prawdą... Ale po co mu była prawda? Ani w pół słowa nie wierze z tego, co do niej napisał. Trzeba mu było tylko obrazić ją, bezsensownie obrazić, nie wiedząc nawet po co, przyczepiwszy się do pretekstu, a pretekst dałem ja... Postępek wściekłego psa! Teraz chce zabić Bjoringa? Po co? Jego serce wie dlaczego! A ja nie wiem, co jest w jego sercu... Nie, nie i teraz nie wiem. Czyżby aż tak namiętnie ją kochał? Lub aż tak namiętnie nienawidził? Ja nie wiem, ale czy on sam to wie? Cóż to powiedziałem mamie, że z nim się nic stać nie może: co przez to chciałem powiedzieć? Utraciłem go, czy nie utraciłem?”

„...Widziała, jak mnie potrącano... Także śmiała się, czy nie? Ja bym się śmiał! Szpiega bili, szpiega!...”

„Co znaczy (przemknęło mi nagle), co to znaczy, że wtrącił do tego wstrętnego listu, że dokument wcale nie jest spalony, lecz istnieje?...”

„Bjoringa nie zabije, ale na pewno siedzi teraz w restauracji: słucha „Łucji”! A może po Łucji pójdzie i zabije Bjoringa? Bjoring popchnął mnie, prawie przeciw uderzył; czy uderzył? Bjoring nawet z Wiersiłowem nie raczy się bić, to czyż pójdzie ze mną? Może trzeba mi będzie zabić go jutro z rewolweru, zaczaiwszy się na ulicy”... I oto tę myśl przesunąłem w umyśle zupełnie machinalnie, nie zatrzymując się na niej wcale.

Chwilami jakby mi się marzyło, że oto zaraz otworzą się drzwi, wejdzie Katierina Nikołajewna, poda mi rękę i oboje roześmiejemy się... O, studencie mój miły! Majaczyło mi to, to jest marzyło, już kiedy się bardzo ściemniło w pokoju.

„Czy to dawno było, jak stałem przed nią, ona mi podawała rękę i śmiała się? Jak mogło się stać, że w tak szybkim czasie powstał taki straszny dystans! Po prostu pójść do niej i wytłumaczyć się, już zaraz w tej chwili, po prostu, po prostu! Boże, jakże to tak nagle rozpoczął się nowy świat! Tak,

nowy świat, zupełnie, zupełnie nowy... A Liza, a książę, to jeszcze stare... Oto jestem teraz u księcia. I mama-jak mogła żyć z nim, skoro tak? Ja bym mógł, ja wszystko wytrzymam, ale ona?

Cóż teraz będzie?” I oto jak w wicherze postaci Lizy, Anny Andriejewny, Stiebielkowa, księcia, Afierdowa, wszystkich, zawirowały bezładnie w moim chorym mózgu. Ale myśli stawały się coraz bardziej bezkształtne, nieuchwytnie. Byłem rad, kiedy udawało mi się nadać którejś sens i uchwycić się jej.

314

„Mam ideę! - pomyślałem nagle. - Czy tak? Czy nie powiedziałem tego z pamięci? Moja idea to mrok i samotność, a czyż teraz jeszcze można cofnąć się w poprzedni mrok? Boże mój, ja przecież nie spaliłem „dokumentu”! Zapomniałem przecież spalić go przedwczoraj. Wrócę i spalę nad świecą, właśnie nad świecą; nie wiem, tylko, czy to ja teraz myślę”...

Dawno już ściemniło się; Piotr przyniósł świece. Postał nade mną i zapytał, czy coś jadłem?

Machnąłem tylko ręką. Jednak po godzinie przyniósł mi herbaty i łapczywie wypilem dużą filiżankę. Potem zapytałem która godzina? Było wpół do dziewiątej, a ja nawet się nie zdziwiłem, że siedzę już pięć godzin.

- Wchodziłem do pana już trzy razy, ale pan, zdaje się, spał... -powiedział Piotr.

Nawet nie pamiętałem, że wchodził. Nie wiem czemu, a nagle strasznie przeląknęłem się, że

„spałem”, wstałem więc i zacząłem chodzić po pokoju, żeby znów nie „zasnąć”. Wreszcie zaczęła mnie mocno boleć głowa. Punkt o dziesiątej wszedł książę i zdziwił się, że czekałem na niego; zupełnie o nim zapomniałem, zupełnie.

- Pan tu, a ja wstępowałem do pana, po pana - powiedział mi. Twarz jego była ponura i surowa, bez najmniejszego uśmiechu. W oczach znieruchomiała idea.

- Miotalem się przez cały dzień i przedsięwzięłem wszelkie środki -ciągnął ze skupieniem. -

Wszystko upadło, a przyszłość jest przerażająca... (Nota bene: jednak nie był u księcia Nikołaja Iwanowicza.) Widziałem się z Żybielskim: to niemożliwy człowiek. Widzi pan: najpierw trzeba mieć pieniądze, a potem zobaczymy. A jeżeli z pieniędzmi się nie uda, wtedy... Ale postanowiłem dzisiaj o tym nie myśleć. Zdobądźmy tylko dzisiaj pieniądze, a jutro zobaczymy.

Pańska przedwczorajsza wygrana jest jeszcze cała, co do kopiejki... Jest tam trzy tysiące bez trzech rubli. Po odliczeniu pańskiego długu zostaje panu reszty trzysta czterdzieści rubli. Niech pan je weźmie i jeszcze siedemset, żeby był tysiąc, a ja wezmę pozostałe dwa. Potem siądziemy u Zierszczykowa w dwóch różnych końcach i spróbujemy wygrać dziesięć tysięcy - może coś zdziałamy, a jeśli nie wygramy, wtedy... Zresztą to tylko pozostaje.

Patrzył na mnie ponuro.

- Tak, tak! - zawołałem nagle zmartwychwstając. - Jedziemy. Tylko na pana czekałem..

Zauważę, że ani przez chwilę nie myślałem w tym czasie o ruletce.

- A podłość? A nikczemność postępuku? - spytał nagle księżę.

315

- To, że idziemy grać w ruletkę? Ależ to wszystko! - zawołałem. - Pieniądze to wszystko! To tylko my z panem mamy być święci, a Bjoring sprzedał się przecież, a Anna Andriejewna sprzedała się przecież, a Wier-siłow - pan słyszał, że Wiersiłow to maniak? Maniak, maniak!

- Czy pan jest zdrow, Arkadiju Makarowiczu? Ma pan jakieś dziwne oczy...

- Pan tak, żeby beze mnie pojechać? Przecież ja się od pana już teraz nie odcepię. Nie na darmo śniła mi się całą noc gra. Jedziemy, jedziemy! - wykrzyknąłem, jakbym znalazł nagle rozwiązanie wszystkiego.

- No, to jedziemy, choć pan ma gorączkę, a później... Nie odpowiedział. Coś ciężkiego, okropnego było w jego twarzy. Wychodziliśmy już.

- Czy pan wie - powiedział, nagle zatrzymując się w drzwiach. - Ze jest jeszcze jedno wyjście z nieszczęścia, prócz gry?

- Jakie?

- Księżęce!

- Co? co?

- Potem pan zobaczy, co. Niech pan wie tylko, że nie jestem już go wart, bo się spóźniłem.

Jedziemy, a pan wspomni moje słowo. Spróbujmy lokajskiego wyjścia... I czyż nie wiem, że świadomie, z wolną wolą jadę i postępuję jak lokaj!

Popędziłem na ruletkę, jakby w niej skoncentrowało się całe moje zbawienie, jedyne wyjście, a tymczasem, jak już powiedziałem, przed przyjazdem księcia nie myślałem o niej nawet. A i grać jechałem nie dla siebie, lecz za pieniądze księcia - dla księcia; pojąć nie mogę, co mnie ciągnęło, ale ciągnęło mnie nieprzeparcie. O, nigdy ci ludzie, te twarze, ci krupierzy, te krzyki graczy, cała ta nikczemna sala u Zierszczykowa, nigdy nie wydawało mi się to wszystko tak obmierzłe, tak ponure, tak ordynarne i smutne, jak tym razem! Zbyt dobrze pamiętam żal i smutek chwytające mnie chwilami za serce przez wszystkie te godziny przy stole. Ale dlaczego nie odjeżdżałem?

Dlaczego znosiłem to, jak gdybym akceptował los, ofiarę, czyn bohaterski? Powiem tylko jedno: doprawdy nie mogę powiedzieć o sobie, że byłem w owym czasie przy zdrowych zmysłach. A tymczasem nigdy jeszcze nie grałem tak rozumnie jak tego wieczoru. Byłem milczący i skupiony, uważny, ogromnie wyrachowany. Byłem cierpliwy i skąpy, a jednocześnie zdecydowany w

Ulokowałem się znów koło zera, to jest między Zierszczykowem a Aferdowem, który zawsze siadał koło Zierszczykowa z prawej strony; wstrętne było to miejsce, ale chciało mi się koniecznie stawiać na zero, a wszystkie pozostałe miejsca koło zera były zajęte. Graliśmy już przeszło godzinę; na koniec zobaczyłem ze swego miejsca, że księżę nagle wstał i błydy przyszedł do nas, i zatrzymał się przede mną z drugiej strony stołu. Przegrał wszystko; milcząc patrzył na moją grę, zresztą prawdopodobnie nic z niej nie rozumiejąc i nawet nie myśląc już o grze. W tym czasie właśnie zacząłem wygrywać i Zierszczykow odliczył mi pieniądze. Nagle Aferdow, milcząc, na moich oczach, w najbezpieczniejszy sposób przyłączył do swojej leżącej przed nim kupki pieniędzy jedną z moich stu-rubłówek. Krzyknąłem i schwyciłem go za rękę. Wtedy stało się ze mną coś nieoczekiwanego: jakbym zerwał się z łańcucha, jakby wszystkie okropności i urazy tego dnia nagle skoncentrowały się w rym jednym mgnieniu, w tym zniknięciu sturubłówki. Jakby wszystko nagromadzone i zdławione we mnie czekało tylko tego mgnienia, żeby wybuchnąć.

- To złodziej! Ukradł mi w tej chwili sturubłówkę - wykrzyknąłem, oglądając się nieprzytomnie wokół siebie.

Nie sposób opisać harmidru, który się podniósł; taka historia była tutaj najzupełniejszą nowością. U Zierszczykowa zachowywano się przyzwoicie i gra u niego słynęła z tego. Ale byłem bez pamięci.

Pośród hałasu i krzyków dał się słyszeć głos Zierszczykowa:

- A jednak pieniędzy nie ma, a one tu leżały! Czteryście rubli!

Jednocześnie wydarzyła się inna historia: zginęły pieniądze w banku, pod nosem Zierszczykowa, paczka z czterystu rubli, Zierszczykow pokazywał miejsce, gdzie leżały, „tylko co leżały” i to miejsce okazało się tuż koło mnie, sąsiadowało ze mną, z tym miejscem, gdzie leżały moje pieniądze, to jest o wiele bliżej ode mnie niż od Aferdowa.

- Tu jest złodziej! Znowu ukradł, obszukajcie go! - wykrzykiwałem pokazując na Aferdowa.

- To wszystko dlatego - rozległ się czyjś piorunujący i surowy głos, pośród ogólnych krzyków. - Że wchodzi nie wiadomo kto. Wpuszczają bez rekomendacji. Kto go tu wprowadził? Kto on taki?

- Jakiś Dołgorukij!

- Księżę Dołgorukij?

- Księżę Sokolski go wprowadził - krzyknął ktoś.

- Czy pan słyszy, księżę - zawyłem do niego przez stół. - Mają mnie tu za złodzieja, podczas gdy to mnie tylko co okradzione! Niechże pan im powie, niech im pan powie o mnie!

I oto wtedy zaszło coś najstraszniejszego ze wszystkiego, co stało się przez cały ten dzień... nawet przez całe moje życie... Książę wyparł się. Widziałem jak wzruszał ramionami i w odpowiedzi na sypiące się pytania ostro i wyraźnie powiedział:

- }a za nikogo nie odpowiadam. Proszę mnie zostawić w spokoju.

Tymczasem Afierdow stał pośród tłumu i głośno żądał, aby go ob-szukano. Wywracał sam swe kieszenie. Ale na jego żądanie odpowiadano okrzykami: „Nie, nie, złodziej jest wiadomy!”

Dwóch przywołanych lokai schwyciło mnie z tyłu za ręce.

- fa się nie dam rewidować, nie pozwolę! - krzychałem wrywając się. Ale zawleczono mnie do sąsiedniego pokoju, tam pośród tłumu zrewidowano mnie całego, do ostatniej fałdy. Krzychałem i szarpałem się.

- Wyrzucił zapewne, trzeba szukać na podłodze - zdecydował ktoś.

- Gdzie teraz szukać na podłodze?

- Pod stół, pewno gdzieś zdążył podrzucić!

- Naturalnie, ślad zaginął...

Wyprowadzono mnie, ale jakoś zdążyłem zatrzymać się w drzwiach i z bezmyślną pasją krzyknąłem na całą salę:

- Ruletka jest zabroniona przez policję. Dziś jeszcze zadenuncjuję was wszystkich!

Sprowadzono mnie na dół, ubrano i... otwarto przede mną drzwi na ulicę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

i

D

zien zakończył się katastrofą, ale pozostawała noc. I oto, co zapa miętałem z tej nocy.

Sądzę, że na początku, gdy znalazłem się na ulicy, była godzina pierwsza. Noc była jasna, cicha i mroźna. Biegłem prawie, strasznie się spieszyłem, ale - zupełnie nie do domu... „Po co do domu?

Alboż teraz może być dom? W domu się żyje, jutro zbudzę się, by żyć - a czy to jest teraz możliwe? Życie jest skończone, żyć teraz zupełnie nie można”. I oto brnąłem po ulicach, zupełnie nie orientując się, dokąd idę, nie wiem nawet, czy chciałem gdzieś dobiec? Było mi gorąco i co chwila rozpinąłem moje ciężkie, szopowe futro. „Teraz już żadne działanie nie może mieć żadnego celu”. I dziwne,

ciągle mi się wydawało, że wszystko wokół, nawet powietrze, którym oddycham, było jakby z innej planety, jakbym się nagle znalazł na księżycu. Wszystko to - miasto, przechodnie, trotuar, po którym biegłem - wszystko to było już nie moje. „Oto plac pałacowy, a to Isaakijewski sobór”, zwidywało mi się, „lecz teraz nic mi do nich”. Wszystko jakoś stało się obce, wszystko stało się nagle nie moje. „Mam mamę, Lizę, ale cóż, co mi teraz Liza i matka? Wszystko się skończyło, wszystko razem skończyło się prócz jednego: tego, że jestem na wieki złodziejem”.

„Jak dowieść, że nie jestem złodziejem? Czy to teraz możliwe? Wyjechać do Ameryki? I czegoś tam dowiodę? Wiersiłow pierwszy uwierzy, że ukradłem! Idea? Jaka idea? Co teraz „idea”? Za pięćdziesiąt lat, za sto lat będę szedł i zawsze znajdzie się człowiek, który powie wskazując na mnie: „Oto złodziej”. On od tego zaczai „swoją ideę”, że ukradł pieniądze na ruletce...”

Czy była we mnie złość? Nie wiem, może była. Dziwne, był we mnie zawsze, może już od wczesnego dzieciństwa taki oto rys: kiedy mi już

319

ktoś zrobił coś złego, dopełnił to ostatecznie, skrzywdził do ostatnich granic, to zawsze wtedy zjawiało się we mnie nieodparte pragnienie biernego podporządkowania się krzywdzie i nawet wyjścia naprzeciw pragnieniom krzywdziciela. „Macie, poniżyliście mnie, więc jeszcze bardziej się poniżę, patrzcie, rozkoszujcie się!” Tuszar bił mnie i chciał pokazać, że jestem lokajem, a nie synem senatorskim i oto sam wtedy wszedłem w rolę lokaja. Nie tylko pomagałem mu się ubierać, ale sam chwytałem szczotkę i zaczynałem szyszczać z niego ostatnie pyłki, już zupełnie bez jego prośby lub nakazu, biegłem niekiedy za nim ze szczotką w zapale lokajskiej gorliwości, aby zmieść jakiś ostatni pyłek z jego fraka, tak, że już mnie sam nieraz powstrzymywał: „Dosyć już Arkadiju, dosyć”! Zdarzało się, że przyjdzie, zdejmie wierzchnie ubranie, a ja je wyczyszczę, ostrożnie złożę i nakryję kraciatą, jedwabną chusteczką. Wiem, że koledzy śmieją się i pogardzają mną za to, doskonale wiem, ale to mi właśnie sprawia przyjemność: „Zechcieliście, żebym był lokajem, chamem - dobrze, więc jestem chamem!” Bierną nienawiść i ukrytą złość tego rodzaju mogłem kontynuować latami. I cóż, u Zierszczyko-wa krzyknąłem na całą salę w zupełnej furii: „Doniosę na wszystkich, ruletka jest zabroniona przez policję!” I przysięgam, że i tu było coś podobnego: poniżono mnie, zrewidowano, ogłoszono złodziejem, zabito, a więc wiedzcie wszyscy, żeście zgadli, że jestem nie tylko złodziejem, ale i donosicielem! Przypominając teraz to sobie, tak właśnie wnioskuję i objaśniam; wtedy nie było mi wcale do analizowania, krzyknąłem bez zamiaru, nawet sekundę przedtem nie wiedziałem, że tak krzyknę: samo się krzyknęło - taką już cechę miałem w duszy.

Kiedy biegłem, już niewątpliwie zaczynała się maligna, ale pamiętam dobrze, że działałem świadomie. A tymczasem mówię stanowczo, że cały cykl idei i wniosków był już dla mnie wtedy niemożliwy; już w tych chwilach czułem, że „jedne myśli mogę mieć, a innych już zupełnie mieć nie mogę”. Również i niektóre decyzje moje, jakkolwiek czynione z jasną świadomością, mogły nie mieć wtedy w sobie najmniejszej logiki. Mało tego, pamiętam bardzo dobrze, że w niektórych chwilach mogłem sobie zdawać w pełni sprawę z niedorzeczności niektórych decyzji i w tym czasie z pełną świadomością przystąpić zaraz do ich wykonania. Tak, zbrodnia nawijała mi się w tę noc i tylko przypadkowo nie doszło do niej.

Przemknęło mi wtedy nagle powiedzenie Tatiany Pawłowny o Wiersiłowiu: „Poszedł by na kolej

Nikołajewską, położył by głowę na szynach - tam by mu ją odcięli.” Ta myśl na mgnienie owładnęła wszystkimi

320

mymi uczuciami, ale szybko i z bólem odepchnąłem ją: „Położyć głowę na szyny i umrzeć, a jutro powiedzą: dlatego to zrobił, bo ukradł, zrobił to ze wstydu. Nie, nigdy!” I oto w tej chwili, pamiętam, poczułem nagle rozbłysk straszliwej złości. „Cóż? -przemknęło w moim mózgu-usprawiedliwić się już w żaden sposób nie można, zacząć nowe życie też jest niemożliwe, a zatem upokorzyć się, zostać lokajem, psem, robakiem, donosicielem, prawdziwym już donosicielem, a samemu w tajemnicy przygotować się i kiedyś - wszystko nagle wysadzić w powietrze, wszystko zniszczyć, wszystkich, i winnych, i niewinnych, i wtedy nagle wszyscy dowiedzą się, że to ten sam, którego nazwali złodziejem... A wtedy już można zabić siebie.”

Nie pamiętam, jak wbiegłem w zaułek, gdzieś niedaleko bulwaru Kon-nogwardyjskiego. W zaułku tym z obu stron, prawie na sto kroków, stały wysokie, kamienne mury, ogrodzenia podwórzy. Za jednym murem z lewej strony zobaczyłem ogromny stos polan, długi stos, jak w składzie drzewa, przeszło o sążen przewyższający mur. Zatrzymałem się i zacząłem myśleć. Miałem w kieszeni zapałki woskowe w malutkim srebrnym pudełeczku. Powtarzam, że zupełnie wyraźnie zdawałem sobie wtedy sprawę z tego, co obmyślałem i co chciałem zrobić, i tak to sobie teraz przypominam, ale dlaczego chciałem to zrobić - nie wiem, zupełnie nie wiem. Pamiętam tylko, że mi się tego nagle bardzo zachciało. „Wleźć na płot można bez problemów”, rozważałem, akurat o dwa kroki stamtąd znalazła się w murze brama, zapewne zamknięta na głucho całymi miesiącami. „Stanąwszy na listwę na dole, rozważałem dalej, można chwytając się wierzchu bramy wleźć na sam mur - nikt nie zauważy, nikogo nie ma, cisza! A wtedy siądę na wierzchu muru i podpalę drwa; może nawet nie schodząc na dół, bo drwa prawie stykają się z murem. Od zimna jeszcze silniej będą się palić, wystarczy tylko wyciągnąć jedno polano brzozowe, a nawet nie ma po co brać polana, można po prostu, siedząc na murze, zedrzeć z brzozowego polana korę, zapalić ją od zapałki i wsadzić między drwa - i będziemy mieć piękny pożar. A ja zeskoczę na dół i ucieknę, nawet biec nie trzeba, bo długo jeszcze nie zauważą...” Tak to wszystko rozważyłem i nagle zdecydowałem się.

Odczułem nadzwyczajne zadowolenie, rozkosz i zacząłem się wspinać. A wspinać się umiałem wybornie. Gimnastyka była moją specjalnością jeszcze w gimnazjum, ale byłem w kaloszach i rzecz okazała się trudniejsza. Jednakże zdołałem jakoś ucześcić się ręką ledwie widocznego występu na wierzchu i podciągnąć się drugą ręką, po czym zamachnąłem się, by schwycić już za wierzch muru, gdy nagle oberwałem się i na

321

wznak upadłem na dół. Przypuszczam, że uderzyłem o ziemię tyłem głowy i zapewne minutę lub dwie przeleżałem bez przytomności. Ocknąwszy się, machinalnie otuliłem się w futro, bo poczułem nagle nieznośny chłód i jeszcze kiepsko zdając sobie sprawę z tego, co robię, popęzłem w kąt bramy; tam przysiadłem, zwinąwszy się i skurczywszy we wgłębieniu między bramą a występem muru. Myśli mi się plątały i prawdopodobnie bardzo szybko zacząłem drzemać. Jak przez sen przypominam sobie teraz, że nagle rozległ się w moich uszach niski i ciężki dźwięk dzwonu, i z rozkoszą zacząłem mu się przysłuchiwać.

Dzwon uderzał mocno i miarowo, raz na dwie lub nawet na trzy sekundy, ale był to nie dzwon na trwogę, ale jakiś przyjemny, płynny dźwięk i nagle rozpoznałem, że to przecież znajomy dźwięk, że to dzwonią u Ni-koły, w czerwonej cerkwi naprzeciw Tuszara, w starej moskiewskiej cerkwi, którą tak dobrze pamiętam, zbudowanej jeszcze za cara Aleksego Michajłowicza; a była ona wzorzysta, z wieloma kopułami i kolumnami -i że tylko co minął wielki tydzień, i na nędznych brzoźkach w ogródku domu Tuszara drżą już świeże, zieloniutkie listeczki. Jaskrawe przedwieczne słońce leje swe skośne promienie do naszego pokoju szkolnego, a u mnie, w moim małym pokoiku na lewo, dokąd Tuszar przeniósł mnie jeszcze rok temu, oddzielając od

„hrabskich i senatorskich dzieci”, siedzi gość. Tak, u mnie, sieroty, po raz pierwszy odkąd jestem u Tuszara, zjawiała się odwiedzająca. Od razu poznałem tę osobę, gdy tylko weszła: to była mama; chociaż odtąd, kiedy przyjmowałem komunię w wiejskiej cerkwi i gołąbek wleciał przez kopułę, nie widziałem jej ani razu. Siedzieliśmy we dwoje i dziwnie się jej przyglądałem. Potem już wiele lat później dowiedziałem się, że mama wtedy pozostawała bez Wier-siłowa, który wyjechał nagle za granicę i przybyła do Moskwy na swój własny koszt samowolnie, niemal ukradkiem przed tymi, którym polecono wówczas opiekę nad nią i przybyła jedynie w tym celu, żeby się ze mną zobaczyć. Dziwne też było to, że wszedłszy i pomówiwszy z Tuszarem, ani słowa nie powiedziała mnie samemu, iż jest moją matką. Siedziała koło mnie i pamiętam, dziwiłem się nawet, że tak mało mówi. Miała przy sobie węzełek i rozwiązała go: okazało się, że było w nim sześć pomarańczy, kilka pierników i dwa zwykłe francuskie chleby. Obraziłem się za francuskie chleby i z nadąsaną miną powiedziałem, że u nas „życie” jest bardzo dobre, i co dzień dają nam do herbaty po całej francuskiej bułce.

322

•” ~ To nic, gołąbeczku, ja przecież tak po prostu pomyślałam: „może ich tam w szkole źle karmią”, nie gniewaj się, syneczku.

- I Antonina Wasiliewna (żona Tuszara) poczuje się dotknięta. Koledzy też będą się ze mnie wyśmiewali...

- Więc nie przyjmiesz, czy jak; a może jednak zjesz?

- Proszę, niech mama zostawi...

Nie tknąłem nawet prezentów, pomarańcze i pierniki leżały przede mną na stoliku, a ja siedziałem ze spuszczonej oczami, ale z miną pełną godności. Kto wie, może nawet nie chciałem ukrywać przed nią tego, że jej wizyta zawstydza mnie wobec kolegów. Choć troszkę pokazać jej, żeby zrozumiała: „Kompromitujesz mnie i nawet tego nie rozumiesz”. O, już wtedy biegałem ze szczotką za Tuszarem, żeby otrzepywać go z kurzu!

Wyobrażałem też sobie, ile drwin, gdy tylko ona wyjdzie, będę musiał znieść ze strony chłopaków, a może i samego Tuszara, i ani odrobinki uczucia nie miałem dla niej w sercu. Z ukosa spoglądałem na jej ciemną, znoszoną sukienkę, zniszczone, spracowane dłonie, ordynarne obuwie i mocno

wychudzoną twarz. Na czole ukazywały się już zmarszczki, chociaż wieczorem po jej wyjściu Antonina Wasiliewna powiedziała mi: „Widać, że pańska mama była kiedyś zupełnie niebrzydka”.

Siedzieliśmy tak, gdy nagle weszła Agafia z tacą, na której była filiżanka kawy. Było już po obiedzie, a Tuszarowie o tej porze pili u siebie w ba-wialni kawę. Ale mama podziękowała i nie wzięła filiżanki: jak się później dowiedziałem, w owym czasie zupełnie nie pijała kawy, gdyż ta wywoływała u niej bicie serca. Rzecz w tym, że jej wizytę i pozwolenie na widzenie ze mną Tuszarowie uważali widocznie w głębi duszy za niezwykłą z ich strony łaskawość, tak, że przysłana mamie filiżanka kawy była, rzecz można, szczytem humanitaryzmu, przynoszącym poniekąd honor ich kulturalnej wrażliwości i europejskim wyobrażeniom. A mama jak naumyślnie odmówiła.

Wezwano mnie do Tuszara, który kazał mi wziąć moje kajety i pokazać mamie: „Żeby widziała, ile zdążyłeś skorzystać w moim zakładzie”. Jednocześnie Antonina Wasiliewna, sznurując usta, obraźliwie i drwiąco wycodziła:

- Zdaje się, że pańskiej mamie nie smakuje nasza kawa.

Zabrałem kajety i poniosłem je do oczekującej mnie mamy, mijając stłoczone w klasie

„hrabiowskie i senatorskie dzieci”, które oglądały mnie i mamę. I otóż wypełnienie polecenia Tuszara przypadło mi nawet do smaku. „Oto lekcje francuskiej gramatyki, oto dyktando, tu koniu-323

gacja słów posiłkowych avoir i etre*, a tu geografia, opis głównych miast Europy i wszystkich części świata itd., itd.” Z pół godziny i dłużej objaśniałem monotonnym, cichym głosem, cnotliwie spuściwszy oczka. Wiedziałem, że mama niczego nie pojmuje w naukach, a może nawet i pisać nie umie, ale właśnie dlatego ta rola mi się podobała. Ale nie zdołałem zmęczyć jej, słuchała ciągle, nie przerywając mi, z niezwykłą uwagą, a nawet nabożeństwem, tak, że na koniec znudziło mi się samemu i przerwałem. Spojrzenie jej było zresztą smutne, a na twarzy malowało się coś żalnego.

Wstała na koniec, aby wyjść. Wtem wszedł sam Tuszar i z idiotycznie poważną miną zapytał ją:

„Czy zadowolona jest z postępów swego syna?” Mama zaczęła bąkać coś bez związku i

dziękować. Nadeszła też Antonina Wasiliewna. Matka zaczęła prosić ich oboje: „żeby litowali się nad sierotką, żeby okazali swoje dobrodziejstwo”... i ze łzami w oczach ukloniła się każdemu z nich głęboko, każdemu z nich z osobna, tak właśnie, jak kłaniają się „prości ludzie”, kiedy przychodzą prosić o coś wpływowych państwa. Tuszarowie tego nawet się nie spodziewali, a Antonina Wasiliewna widocznie była udobruchana i naturalnie od razu zmieniła zdanie co do kawy. Tuszar z jeszcze większą powagą odpowiedział humanitarnie, że „nie robi różnic między dziećmi, że wszystkie tu są jego dziećmi, a on ich ojcem, że jestem u niego prawie na równi z senatorskimi i hrabiowskimi dziećmi i że to trzeba ocenić”, itd., itd. Mama kłaniała się tylko, ale i zawstydzila się, wreszcie odwróciła się do mnie i rzekła ze łzami, które błysnęły w jej oczach,

„żegnaj, gołąbku!”

I pocałowała mnie, to znaczy, pozwoliłem się pocałować. Widocznie chciałyby więcej razy

pocałować mnie, uścisnąć, przytulić, ale czy krępowała się przy ludziach, czy też przykro jej było z innego powodu, czy domyśliła się już, że jej się wstydę, dość, że pospiesznie tylko ukłoniwszy się raz jeszcze Tuszarom, skierowała się do wyjścia. Stałem w miejscu.

- Mais suivez donc votre merę** - powiedziała Antonina Wasiliewna. -II n'apas de coeur cet enfant!***

Tuszar w odpowiedzi wzruszył ramionami, co niewątpliwie znaczyło: „nie darmo, niby, traktuję go jak lokaja”. Posłusznie zszedłem za

* mieć i być

** Pójdź za matką

*** To dziecię nie ma serca!

324

mamą i wyszliśmy na ganek. Wiedziałem, że teraz wszyscy patrzą z okna. Mama zwróciła się ku cerkwi i trzy razy przeżegnała się, wargi jej drżały. Dzwon huczał dźwięcznie i miarowo z dzwonnicy. Odwróciła się ku mnie i nie wytrzymała: położyła obie ręce na mej głowie i zapłakała nade mną.

- Mamusiu, daj spokój... wstyd... Przecież oni z okna widzą to teraz... Otrząsnęła się i zaczęła się spieszyć:

- Boże... no, Bóg z tobą... niech cię mają w swej opiece aniołowie niebiescy, Matka Przenajświętsza, Święty Mikołaj... Boże, Boże! -powtarzała z pośpiechem, żegnając mnie krzyżem świętym, starając się przeżegnać mnie jak najwięcej razy. Gołąbeczku ty mój, kochany mój! Ale poczekaj, kochany...

Szybko wsunęła rękę do kieszeni i wyciągnęła chusteczkę, niebieską, w kratkę, z mocno zawiązanym na końcu węzełkiem i zaczęła rozplątywać go... ale nie dał się rozwiązać...

- Wszystko jedno, weź razem z chusteczką: czyściutka - przyda się może. Masz tam osiemdziesiąt kopiejek, może ci się przydadzą, daruj, kochanie, nie mam akurat więcej... Przebacz, najdroższy.

Wziąłem chusteczkę i już chciałem zauważyć, że „od pana Tuszara i Antoniny Wasiliewny otrzymujemy bardzo dobry wikt i niczego nam nie brak”, ale powstrzymałem się i przyjąłem chusteczkę.

Raz jeszcze przeżegnała się, raz jeszcze zaszepotała jakąś modlitwę i nagle - nagle złożyła przede mną, tak samo jak na górze przed Tuszara -mi, powolny, głęboki, długi ukłon - nigdy tego nie zapomnę! Zadrżałem i sam nie wiedziałem dlaczego. Co ona chciała mi powiedzieć tym pokłonem:

„czy uznała swą winę wobec mnie?”, jak sobie pomyślałem pewnego razu już znacznie później -

nie wiem. Ale wtedy zrobiło mi się jeszcze bardziej wstyd, że „oni tam patrzą z góry, a Lambert to

bodaj zacznie mnie bić”.

Na koniec odeszła. Pomarańcze i pierniki zjadły jeszcze przed moim przyjściem hrabskie i senatorskie dzieci, a osiemdziesiąt kopiejek zaraz mi Lambert odebrał. Kupili za nie w cukierni ciastek i czekolady, i nawet mnie nie poczęstowali.

Przeszło całe pół roku i nadszedł wietrzny i słotny październik. Zapomniałem zupełnie o mamie. O, wtedy nienawiść, głucha nienawiść do wszystkiego przeniknęła już moje serce i przepoiła je całkowicie. Chociaż po staremu czyściłem szczotką Tuszara, ale już go nienawidziłem ze wszystkich sił i co dzień więcej, i więcej.

325

I oto pewnego smutnego wieczoru zacząłem po coś przeszukiwać moją skrzynkę i nagle w rogu ujrzałem niebieską, batystową chusteczkę. Leżała tam od tego czasu, kiedy ją tam rzuciłem.

Wyjąłem ją i obejrzałem nawet z pewną ciekawością. Rożek chusteczki zachował w ślad węzełka, a nawet wyraźnie odbity, okrągły odcisk pieniążka. Zresztą, włożyłem chustkę na miejsce i zamknąłem skrzynkę. Było to w przeddzień święta i dzwon zaczął bić na wieczorne nabożeństwo.

Wychowankowie po obiedzie rozjechali się do domów, ale tym razem Lambert został na niedzielę, nie wiem, dlaczego nie przysłano po niego. Chociaż w dalszym ciągu bił mnie jak dawniej, ale już wówczas bardzo często zwierzał mi się i potrzebował mnie. Przegadaliśmy cały wieczór o pistoletach Lepage'a, których żaden z nas nie widział, o czerkieskich szablach i o tym jak one rąbią, o tym jak to byłoby dobrze stworzyć bandę rozbójników, wreszcie pod koniec Lambert przeszedł do swoich ulubionych rozmów na wiadomy temat, a ja chociaż dziwiłem się w głębi duszy, ale bardzo lubiłem go słuchać. Tym jednak razem nie mogłem tego ścierpieć i powiedziałem mu, że mnie boli głowa. O dziesiątej położyliśmy się spać. Okryłem kołdrą głowę i spod poduszki wyciągnąłem niebieską chusteczkę: godzinę temu nie wiem dlaczego poszedłem po nią do skrzynki i, jak tylko nam posłano, wsunąłem pod poduszkę.

Zaraz przycisnąłem ją do twarzy i zacząłem całować: „Mamo, mamó” - szeptałem wspominając, i całą pierś ścisnęło mnie coś jak kleszczami. Zamknąłem oczy i widziałem jej twarz z drżącymi wargami, kiedy żegnała się patrząc na cerkiew, potem mnie pożegnała, a ja mówiłem jej: „wstyd, patrz”. „Mateczko, mamó, raz w życiu byłaś u mnie... Mateczko, gdzie teraz jesteś, mój gościu daleki? Czy pamiętasz teraz o swym biednym synku, do którego przychodziłaś... Pokaż mi się teraz choć jeden raz, przyśnij mi się chociaż, byle bym mógł cię uścisnąć i pocałować twoje niebieściutkie oczka, powiedzieć ci, że zupełnie się teraz ciebie nie wstydzę, że serce mnie wtedy bolało, i tylko siedziałem jak lokaj. Nigdy nie dowiesz się, mamó, jak cię wtedy kochałem!

Mamusiu, gdzie teraz jesteś? Czy słyszysz mnie? Mamó, mamó, a pamiętasz gołąbeczka w cerkwi na wsi?” - Do diabła... Czego on! - warczy ze swego łóżka Lambert. - Czeka, ja ci pokażę! Spać nie daje...

Wyskakuje na koniec z łóżka, podbiega i zaczyna zrywać ze mnie kołdrę, ale opieram się z całej siły, zakutany w niej z głową.

- Beczysz, czego beczysz, dureń, dureń! A masz! - i bije mnie, uderza boleśnie pięścią w plecy, w bok, coraz boleśniej i boleśniej i... Nagle otwieram oczy...

326

Już dobrze świta. Igiełki mrozu błyszczą na śniegu, na murze... Siedzę skurczony, ledwie żywy, zdrętwiały w moim futrze, a ktoś stoi nade mną, budzi mnie, wymyślając głośno i kopiać boleśnie w bok czubkiem prawego bucika. Podnoszę się, patrzę: człowiek w drogim, niedźwiedzim futrze, w sobolowej czapce, z czarnymi oczami, z czarnymi jak smoła bakami, z garbatym nosem i z białymi wyszczerzonymi zębami, biały, rumiany: twarz jak maska... Nachylił się blisko nade mną i mroźna para bucha z jego ust z każdym oddechem.

- Zamarzło pijane bydłę, dureń! Zamarzniesz jak pies, wstawaj! Wstawaj!

- Lambert! - krzyczę.

- Kto ty jesteś?

- Dołgorukij!

- Co za diabeł - Dołgorukij?

- Po prostu Dołgorukij!... Tuszar... Ten właśnie, któremuś w restauracji widelec w bok wpakował!...

-Aha-a-a! -wykrzyknął, uśmiechając się jakimś długim, wspominającym uśmiechem (czyż doprawdy mnie zapomniał!?) - Ha! Więc to ty, ty!

Podnosi mnie, stawia na nogi, ledwie mogę ustać, ledwie się ruszam. Prowadzi mnie podtrzymując ręką. Zagląda mi w oczy jak gdyby rozważając coś, przypominając sobie i słuchając z natężoną uwagą, a ja również bełkoczę bez ustanku, nie milnąc nawet na chwilę i taki jestem rad, taki rad, że mówię, i taki zadowolony, że to Lambert. Czy wydał mi się nie wiedzieć czemu „zbawieniem”

moim? Czy dlatego garnąłem się do niego w owej chwili, nie wiem - nie rozumowałem wtedy -

lecz rzuciłem się doń bez namysłu. Co wtedy mówiłem - zupełnie nie pamiętam i wątpliwe, czy do rzeczy, czy w ogóle nawet wyrazy wymawiałem wyraźnie. Ale słuchał. Zatrzymał pierwszą spotkaną dorożkę i w kilka minut później siedziałem już w ciepłe jego pokoju.

iii

Każdy człowiek, kimkolwiek by był, ma na pewno jakieś wspomnienie o czymś takim, co się z nim zdarzyło, na co patrzy, lub skłonny jest patrzeć, jako na coś fantastycznego, niezwykłego, wychodzącego poza normę, niemal cudownego; czy to będzie sen, czy spotkanie, przepowiednia, przecucie, czy coś w tym rodzaju. Po dziś dzień skłonny jestem patrzeć na moje spotkanie z Lambertem jako na coś nawet proroczego... sądząc przynajmniej z okoliczności i rezultatów spotka-

327

nią. Wszystko wydarzyło się zresztą w sposób bardzo naturalny. Po prostu wracał na wpół pijany ze swego nocnego zajęcia (jakiego - wyjaśni się później), zatrzymał się na chwilę w zaułku i zobaczył mnie. W Petersburgu był dopiero od kilku dni.

Pokój, w którym się znalazłem, był to niewielki, umeblowany w sposób niewyszukany numer petersburskiego chambre - garnie średniej jakości. Lambert natomiast był świetnie i bogato ubrany.

Na podłodze leżały dwie walizy do połowy tylko rozpakowane, kąt pokoju oddzielony był parawanem, zastawiającym łóżko.

- Alphonsine! - krzyknął Lambert.

-Presente!* - odpowiedział zza parawanu drżący kobiecy głos z paryskim akcentem i nie dłużej niż dwie minuty potem wyskoczyła, ubrana naprędce w luźną bluzkę mademoiselle Alphonsine, jakaś dziwna istota, panna wysoka i sucha jak szkapa, z długą talią i długą twarzą, z ruchliwymi oczami i zapadniętymi policzkami - strasznie zniszczone stworzenie!

- Prędej! (tłumaczę, a on mówił do niej po francusku), oni już tam mogą mieć nastawiony samowar. Prędko podaj wrzątku, czerwonego wina i cukru, szklankę tutaj, prędej, on zamarzał, to mój przyjaciel... noc przespał na śniegu...

- Malherewc!** - zawołała, klasnąwszy w ręce z teatralnym gestem.

- No, no! - krzyknął na nią Lambert jak na pieska i pogroził palcem: natychmiast dała spokój gestom i pobiegła wykonać rozkaz.

Lambert obejrzał mnie, pomacał, zbadał puls, dotknął czoła, skroni.

- Dziwne - mrucał - że nie zamarłeś... Zresztą cały byłeś z głową okryty płaszczem, siedziałeś jak w futrzanej grocie...

Zjawiała się gorąca szklanka, wypilem ją chciwie i to mnie zaraz ożywiło. Znowu zacząłem paplać: na wpół leżałem w rogu na sofie i ciągle mówiłem, zachłystywałem się, mówiąc, ale co mianowicie i jak opowiadałem -znowu prawie nic nie pamiętam. Poszczególnych momentów, a nawet całych urywków zupełnie zapomniałem. Powtórzę: czy on zrozumiał coś wtedy z moich opowiadań, nie wiem, ale jednego domyśliłem się potem na pewno, a mianowicie: zdołał akurat na tyle zrozumieć mnie, żeby dojść do wniosku, iż nie powinien zlekceważyć spotkania ze mną. Potem wyjaśnię we właściwym miejscu, jakie mógł tu mieć wyrachowanie.

* Jestem tu!

* Nieszczęsny

Byłem nie tylko strasznie ożywiony, ale chwilami, zdaje się, nawet wesoły. Przypominam sobie

słońce, które nagle oświetliło pokój, kiedy podniesiono rolety i trzaskający piec, w którym ktoś zapalił, kto i jak -nie pamiętam. Utkwił mi też w pamięci piesek boloński, którego made-moiselle Alphonsine trzymała na ręku, przyciskając go kokieteryjnie do serca. Ten piesek jakoś szczególnie mnie zainteresował, tak nawet, że przestałem opowiadać i dwukrotnie chciałem się doń zbliżyć, ale Lambert machnął ręką i Alphonsine wraz z psinką momentalnie ukryła się za parawan.

Sam milczał zupełnie, siedział naprzeciwko nachyliwszy się ku mnie, słuchał nie przerywając.

Chwilami szczyrzył zęby w szerokim i długim uśmiechu, i mrużył oczy, jak gdyby z wysiłkiem coś rozważał i pragnął odgadnąć. Pozostało mi tylko wyraźne wspomnienie, że kiedy opowiadałem mu o dokumencie, to absolutnie nie potrafiłem wyrazić się zrozumiale i z sensem powiązać opowiadanie, i z twarzy jego widziałem, że nie może zupełnie mnie zrozumieć, ale bardzo chciałby pojąć, tak, że zaryzykował zatrzymać mnie pytaniem, co było niebezpieczne, bo ledwie mi przerwano, zmieniałem temat i zapominałem, o czym mówiłem. Ile czasu tak przesiedzieliśmy i przegadali - nie wiem i nie potrafię nawet określić. Nagle Lambert wstał i zawołał Alphonsine.

- Potrzebny mu jest spokój. Być może trzeba będzie wezwać doktora. Wszystko czego zażąda należy spełniać, to znaczy... vous comprenez, ma filie? Vous avez d'argent*, nie? Masz!

I dał jej dziesięciorubłówkę. Po czym zaczął z nią szeptać.

- Vous comprenez! Vous comprenez!** - powtarzał, grożąc jej palcem i surowo marszcząc brwi.

Widziałem, że panna strasznie bała się go.

- Wkrótce przyjdę, a ty najlepiej wyśpij się - uśmiechnął się do mnie i wziął czapkę.

- Mais vous n'avez par dormi du tout, Maurice!*** - zawołała patetycznie Alphonsine.

- Taisez-vous, je dormirai apres**** - i wyszedł.

* rozumiesz drogie dziecko? Czy masz jakieś oszczędności?

** Pojmujesz! Pojmujesz!

*** Tej nocy nie zmrużyłeś oka, Maurycy!

**** Milcz, wyśpię się później!

329

- Sauvee!* - wyszeptała patetycznie, wskazując ręką w ślad za nim. -Monsieur, monsieur!** -

zadeklamowała stając w pozie na środku pokoju. -Jamais l'homme nefut si cruel, si Bismarck, que cel etre, qui regarde unefemme comme une salete de hazard. Unefemme qu'est ce que ca dans notre epoque? „Tue-la!”- voila le demier mot de'Academiefrancaise!.. ***

Wytrzeszczyłem na nią oczy. Dwoiła mi się w oczach, majaczyły mi już dwie Alfonsyny... Nagle zauważyłem, że płacze, drgnąłem i zrozumiałem, iż mówi do mnie już od bardzo dawna, a zatem przez ten czas spałem lub byłem nieprzytomny.

- ...Helas! de quoi n'aurait servi de le decouvrir plutot, - wykrzykiwała - et n'aurais-je pas autant gagne a tenir ma honte cachee toute ma vie? Peut-etre n'est-il pas honnete a une demoiselle de s'expliquer si librement devant monsieur, mais enfin je vous evoue que s'il m'etait permis de vouloir quelque chose, oh, ce serait de lui plonger au coeur mon couteau, mais en detournant les yeux, de peur que son regard execrable ne fit trembler non bras et ne glacat mon courage! Il a assassine, ce pope russe, monsieur, U lui arracha sa barbe rousse pour la vendre a un artiste en cheveux au pont des Marechaux, tout pres de la Maison de monsieur Andrieux hautes

nouveaux, articles de Paris, linge, chemises, vous savez, n'est-ce pas?... Oh, monsieur quand l'ami-tie rassemble a table epouse, enfants, soeurs, amis, quand une vive allegresse enflamme mon coeur, je vous le demande, monsieur: est-il bonheur preferable a celui, dont tout jouit?

Mais il rit, monsieur, ce

* Uratowana!

** Proszę pana! Proszę pana!

*** Nigdy żaden mężczyzna nie był tak okrutny, istny Bismarck, traktując kobietę jak szmatę.

Czymże jest kobieta w naszych czasach? „Zabij ją” - oto werdykt Akademii Francuskiej.

**** Czemuż nie uzmysłowiłam sobie tego wcześniej... - i uwolniłam się od wstydu skrywanego na całe życie? Być może nie wypada młodej dziewczynie z taką łatwością otwierać serce przed mężczyzną, ale przyznaję, że gdybym mogła, wbiłabym mu sztylet w pierś, odwróciwszy głowę, by nie natrafić na jego obmierzłe spojrzenie, by nie zadrżała mi ręka, by nie opuściła mnie odwaga.

Zamordował rosyjskiego popa, tak panie, wyrwał mu brodę, żeby ją odsprzedać pewnemu balwierzowi na Moście Marszałkowskim, tuż obok składu pana Andrieux - nowości prosto z Paryża, bielizna, koszule, słyszał pan o tym? Proszę pana, kiedy przyjaźń jednoczy przy stole bliskich: małżonków, dzieci, siostry, przyjaciół, kiedy ogromna radość wypełnia serca, pytam: gdyby nie ten wstrętny, odpychający człowiek, nigdy nie byłabym... Ale co panu jest, co się dzieje?

330

monstre execrable et inconcevable, et, si ce n'etait pas par l'etremise de monsieur Andrieux, jamais, oh, jamais je ne serais... Mais quoi, mon-sieur, qu'avez-vous, monsieur?***

Rzuciła się do mnie. Zdaje się, że zrobiła mi się słabo, a może i zemdlałem. Nie potrafię wyrazić, jakie ciężkie, chorobliwe wrażenie robiła na mnie ta wół zwariowana istota. Może wyobrażała sobie, że kazano jej zabawiać mnie. W każdym razie ani na chwilę nie odchodziła. Być może występowała kiedyś na scenie. Deklamowała, kręciła się, gadała bez przerwy, gdy ja milczałem już dłuższy czas. Wszystko, co mogłem pojąć z jej opowiadań, to było to, że ona była ściśle związana z

jakimś „la Maison de monsieur Andriewc - hautes nouveautes, articles de Paris etc”*, i może nawet wyszła z Maison de monsieur Andriewc**, ale została jakoś oderwana na zawsze od monsieur Andriewc par ce monstre furiewc et incon-cevable*** i w tym właśnie była tragedia.

Płakała, ale wydawało mi się, że to tylko tak, dla porządku... i że w istocie wcale nie płacze.

Chwilami wydawało mi się, że nagle rozsypie się cała jak szkielet. Wymawiała słowa jakimś zduszonym i roztrzęsionym głosem, na przykład wyraz preferable wymawiała pre-fer-a-a-able i w sylabie „a” beczała jak owca. Ocknąwszy się ujrzałem, że wykonuje piruet na środku pokoju. Nie tańczyła jednak, lecz piruet ten należał jakoś do opowiadania, bo interpretowała poszczególne osoby. Nagle zerwała się i otworzyła mały, rozstrojony fortepianik, znajdujący się w pokoju, zabrzdakała i zaśpiewała. Zdaje się, zasnąłem, ale piesek boloński zawył i ocknąłem się.

Świadomość nagle na chwilę wróciła zupełnie i oświeciła mnie swoim blaskiem... Zerwałem się w przerażeniu.

„Lambert, jestem u Lamberta!” pomyślałem i chwyciwszy czapkę, rzuciłem się do futra.

- Ou allez-vous, m-r****? - zawołała bystra Alfonsyna.

- Chcę stąd precz, chcę wyjść! Niech mnie pani puści, niech mnie pani nie zatrzymuje...

- Oui, monsieur!***** - z mocą potwierdziła Alfonsyna i skoczyła otworzyć mi drzwi na korytarz.

- Mais ce n'est pas loin, monsieur,

* „Skład pana Andriuszy - nowości prosto z Paryża”

** **Sktad pana Andriuszy**

*** pan Andriusza z winy tego wstrętnego i odpychającego człowieka

**** Dokąd idziemy, proszę pana?

***** Tak, proszę pana!

331

c'est pas loin du tout, ca ne vaut pas la peine de mettre votre chouba, c'est-ici pres, monsieur!* -

wykrzykiwała na cały korytarz. !

Wybiegłszy z pokoju skręciłem w prawo.

- Par id, monsieur, c'est par id!** - wołała z całej siły, wczepiwszy się w moje futro kościstymi, długimi palcami, a drugą ręką wskazując mi wzdłuż korytarza na lewo, dokąd zupełnie nie chciałem iść.

Wyrwałem się i pobiegłem do drzwi wyjściowych na schody.

// s'en va, U s'enva!*** - pędziła za mną Alfonsyna, krzycząc swoim naderwanym głosem. -Mais U me tuera, monsieur, U me tuera.****

Lecz wyskoczyłem już na schody i nie bacząc na to, że goniła mnie jeszcze po schodach, zdołałem jednak otworzyć drzwi wejściowe, wyskoczyć na ulicę i skoczyć do pierwszej z brzegu dorożki.

Podąłem adres mamy...

~

Ale świadomość, błysnąwszy na moment, szybko zgasła. Pamiętam jeszcze jako tako, jak mnie dowieźli i wprowadzili do mamy, ale tam niemal natychmiast zupełnie straciłem przytomność. Na drugi dzień, jak mi później opowiadali (choć sam to zresztą zapamiętałem), umysł mój znowu rozjaśnił się na chwilę. Ujrzałem się w pokoju Wiersiłowa na jego otomanie. Pamiętam dokoła siebie twarze Wiersiłowa, mamy, Lizy, pamiętam dobrze, jak Wiersiłow mówił mi o

Zierszczykowie, o księciu, pokazywał jakiś list, uspokajał mnie. Opowiadali mi potem, że ciągle z przerażeniem zapytywałem o jakiegoś Lamberta i ciągle słyszałem szczekanie jakiegoś pieska bolońskiego. Lecz słabe światło świadomości szybko zgasło: pod wieczór tego drugiego dnia byłem w silnej gorączce. Ale uprzedzę wydarzenia i najpierw wyjaśnię.

Kiedy owego wieczora wybiegłem od Zierszczykowa i kiedy wszystko tam się nieco uspokoiło, Zierszczykow po przystąpieniu do gry oświadczył nagle donośnym głosem, że zaszła przykra pomyłka: zgubione pieniądze, czterysta rubli, odnalazły się w kupie innych pieniędzy i ra-

* To niedaleko, proszę pana, nie musi nawet pan wkładać szuby, to blisko!

** Tedy, proszę pana!

*** Odchodzi, odchodzi! wstrętny, odpychający człowiek, nigdy nie byłabym... Ale co panu jest, co się dzieje

**** On mnie zabije, proszę pana, on mnie zabije. •

332

chunek banku okazał się zupełnie zgodny... Wówczas pozostający na sali ksiązę przystąpił do Zierszczykowa i zażądał stanowczo, żeby ogłosił publicznie o mojej niewinności i prócz tego dał

mi zadośćuczynienie w formie listu. Zierszczykow ze swej strony uznał żądanie za godne uwzględnienia i dał słowo przy wszystkich, że nazajutrz wyśle do mnie list z wyjaśnieniem i przeprosinami. Ksiązę podał mu adres Wiersiłowa i rzeczywiście następnego dnia Wiersiłow otrzymał osobiście od Zierszczykowa list na moje nazwisko i przeszło tysiąc rubli, należących do mnie, a zapomnianych przy ruletce. W ten sposób zajście u Zierszczykowa zostało zakończone: ta radosna wiadomość bardzo sprzyjała mojemu wyzdrowieniu, kiedy odzyskałem już przytomność.

Ksiązę, wróciwszy z gry, napisał tejże nocy dwa listy, jeden do mnie, a drugi do swego pułku, w którym miał zajście z kornetem Stiepano-wem.

Oba listy wysłał zaraz następnego ranka. Następnie napisał raport służbowy i z tym raportem w rękę wczesnym rankiem zgłosił się do dowódcy swego pułku i oświadczył mu, że jest „przestępcą kryminalnym, współnikiem fałszerzy N-ch akcji, oddaje się więc w ręce sprawiedliwości i prosi o

sąd”. Przy tym wręczył raport, w którym to wszystko było wyłożone na piśmie. Aresztowano go.

Oto zaś dosłownie list, który napisał do mnie owej nocy:

„Najdroższy Arkadiju Makarowiczu,

Wypróbowawszy lokajski „sposób wyjścia” straciłem tym samym prawo do pocieszenia mej duszy myślą, że i ja na koniec potrafiłem zdecydować się na sprawiedliwy czyn. Zawiniłem wobec ojczyzny i mego rodu, i za to, jako ostatni z rodu, sam się karzę. Nie rozumiem, jak mogłem chwycić się niskiej myśli o oszczędzaniu mej osoby i przez pewien czas marzyć o opłaceniu się im pieniędzmi. Przecież zawsze w moim sumieniu pozostałbym przestępcą. A ci ludzie, gdyby nawet zwrócili mi kompromitujące notatki, nie pozostawili by mnie w spokoju do końca życia! Oto dola, która mnie oczekiwała! Nie mogłem się na nią zgodzić i na koniec znalazłem w sobie dość stanowczości, czy może tylko rozpacz, żeby postąpić tak, jak to czynię obecnie.

Napisałem list do dawnego pułku, do dawnych kolegów i uniewinniłem Stiepanowa. W postępku tym nie ma i nie może być żadnego odku-picielskiego bohaterstwa: jest to tylko przedśmiertny testament jutrzejszego nieboszczyka. Tak należy na to patrzeć.

Niech mi pan przebaczy, że odwróciłem się od pana w domu gry. Stało się to dlatego, że w owej chwili nie byłem pana pewny. Teraz,

333

kiedy już jestem martwym człowiekiem, mogę robić takie nawet wyznania... z tamtego świata.

Biedna Liza! Nie wiedziała o tej decyzji. Niech mnie nie przeklina, lecz niech sama osądzi. Nie mogę usprawiedliwiać się i nawet nie znajduję słów, żeby wyjaśnić jej choć cokolwiek. Niech się też pan dowie, Arkadiju Makarowiczu, że wczoraj rano, kiedy przyszła do mnie po raz ostatni, wyjawiałem jej moje kłamstwo i przyznałem się, że jeździłem do Anny Andriejewny z zamiarem oświadczenia się. Nie mogłem pozostawić tego na moim sumieniu wobec ostatecznie obmyślonej decyzji, widząc jej miłość i wyznałem jej. Przebaczyła mi, wszystko przebaczyła, ale jej nie uwierzyłem. To nie jest przebaczenie, na jej miejscu nie potrafiłbym przebaczyć.

Proszę pamiętać o mnie.

Pański nieszczęśliwy, ostatni książę Sokolski.”

Przeleżałem nieprzytomny całe dziewięć dni.

v?

Część trzecia

ROZDZIAŁ PIERWSZY

eraz o czymś zupełnie innym. Zapowiadam ciągle „coś innego, coś innego”, a nie przestaję pisać tylko o sobie. Tysiąc razy już oświadczałem, że zupełnie nie mam zamiaru opisywać siebie i zaczynając pisać doprawdy nie miałem: aż nazbyt dobrze rozumiem, że czytelnikowi wcale na mnie nie zależy. Nie chcę pisać i nie piszę o sobie, ale o innych, a jeżeli sam ciągle się pojawiaam, to jest tylko smutna pomyłka, bo nawet przy najlepszych chęciach z mojej strony, nie mogę tego uniknąć. A przede wszystkim zły jestem, że opisuję swoje przygody z takim zapałem, że czytelnik gotów jest pomyśleć, iż i teraz jestem jeszcze taki sam jak wówczas. Czytelnik powinien, zresztą pamiętać, że już nieraz wołałem: „O gdyby można było przekreślić przeszłość i zacząć wszystko od początku!” Nie mógłbym przecież tak mówić, gdybym się nie zmienił radykalnie i nie był teraz zupełnie innym człowiekiem. Jest to aż nazbyt widoczne i gdyby ktoś mógł sobie wyobrazić, jak mi już dokuczyły te wyjaśnienia i tłumaczenia, które zmuszony jestem pakować nieraz w sam środek moich notatek!

Gdy ocknąłem się po dziewięciodniowym omdleniu, odrodziłem się, ale nie poprawiłem.

Odrodzenie moje było zresztą bardzo głupie, jeżeli to traktować z ogólniejszego stanowiska, a gdyby to działa się teraz, byłoby zupełnie inaczej. Idea, a raczej pragnienie, polegało znowu jedynie na tym (tak, jak to już tysiąc razy było), aby uciec od nich zupełnie, ale już bezwzględnie uciec, nie tak jak przedtem, kiedy tysiąc razy zadawałem sobie jedno i to samo postanowienie, a nigdy nie mogłem go wykonać. Mścić się nie chciałem na nikim i daję na to słowo honoru - mimo że

335

miałem ze wszystkimi porachunki. Chciałem odejść bez nienawiści i bez wstrętu, chciałem po prostu własnej siły, niezależnej od nich i w ogóle od nikogo na świecie, a tymczasem o mało nie pogodziłem się z całym światem! Notuję to moje marzenie, nie jako rezultat rozumowania, ale jako nieodparcie w owej chwili narzucające się poczucie. Dopóki pozostawałem w łóżku nie chciałem go ściślej formułować. Chory, bez sił, leżąc w pokoju Wiersiłowa, który mi oddano, uświadomiłem sobie boleśnie, do jakiego stopnia niemocy i upadku doszedłem: to co leżało na łóżku nie było człowiekiem, ale jakąś słomką i to nie tylko z powodu choroby - i jak mnie to bolało! I wtedy z najgłębszych zakątków mej jaźni zaczął wyrastać potężny protest: rozsadzało mnie po prostu poczucie jakiejś wyolbrzymionej wyniosłości i wyzwania. W całym moim życiu nie było okresu, w którym bardziej byłbym pełen wyniosłych doznań, niż w tych pierwszych dniach mojej rekonwalescencji, kiedy to owa słomka leżała bezsilnie na łóżku.

Ale na razie milczałem i nawet postanowiłem sobie nie układać żadnych planów. Zaglądałem tylko w ich twarze, starając się wyczytać wszystko to, czego mi było potrzeba. Widać było, że nie chcą ani wypytywać, ani dociekać i że umyślnie mówią o rzeczach obojętnych. Podobało mi się to, ale jednocześnie martwiło mnie: nie będę tłumaczył tej sprzeczności. Lizę widywałem rzadziej niż mamę, chociaż wpadała do mnie co dzień, nieraz nawet dwukrotnie. Z urywków ich rozmów i z całego ich zachowania się wywnioskowałem, że Liza ma teraz mnóstwo kłopotów i że nawet często nie bywa w domu z powodu tych swoich spraw. Już w samej myśli, że mogła mieć „swoje sprawy”, tkwiło coś bolesnego dla mnie. Zresztą, były to chorobliwe, czysto fizjologiczne wrażenia, których nie warto opisywać. Tatiana Pawłowna też przychodziła do mnie prawie co dzień i chociaż daleka

była od okazywania czułości, to jednak nie wymyślała mi po dawnemu, co mnie tak złościło, że w końcu powiedziałem jej prosto z mostu: „Tatiano Pawłowno, kiedy pani nie klnie - jest niemożliwie nudna”. „No więc nie będę do ciebie przychodzić” - odpowiedziała i poszła. A ja byłem zadowolony, że się jej pozbyłem.

Najbardziej ze wszystkich męczyłem mamę i wciąż złościłem się na nią. Byłem wiecznie głodny i narzekałem, kiedy jedzenie się spóźniało (a naprawdę nigdy się nie spóźniało). Mama nie wiedziała, jak mi dogodzić. Razu pewnego przyniosła zupę i zaczęła jak zwykle mnie karmić, a ja jedząc nie przestawałem zrzędzić. I w pewnym momencie nie mogłem już dłużej wytrzymać:

„Przecież tylko ją jedną naprawdę kocham, a wła-

336

śnie ją jedną najbardziej dręcę”. Ale wściekłość moja nie mijała i ze złości rozplakałem się, a ona, biedaczka, myśląc, że płaczę z rozczulenia, pochyliła się nade mną i zaczęła mnie całować.

Zacisnąłem zęby i zapanowałem nad sobą, ale w tej chwili istotnie jej nienawidziłem. Ale mamę kochałem nawet wtedy i było po prostu to co zwykle: kogo najbardziej kochamy, temu sprawiamy najwięcej przykrości.

Nienawidziłem zaś w pierwszych dniach po powrocie do przytomności tylko doktora. Był to młody człowiek, patrzący na wszystkich z góry i pewny siebie, o sposobie mówienia szorstkim, a nieraz nawet nieuprzejmym. Ci uczeni mówią tak, jak gdyby wczoraj odkryli coś niesłychanie osobliwego, gdy tymczasem wczoraj nic specjalnego się nie zdarzyło, a działo się tylko to, co dzieje się co dzień. Długo hamowałem się, aż wreszcie nie mogłem wytrzymać i oświadczyłem mu, że niepotrzebnie przyłazi, że potrafię wyleczyć się bez niego, że chociaż patrzy na świat trzeźwo i krytycznie, naprawdę jednak jest pełen przesądów; że medycyna jeszcze nikogo nie uzdrowiła i w końcu, że on, niewątpliwie, jest całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek kultury i wykształcenia „tak samo zresztą jak wszyscy technicy i specjaliści, którzy w ostatnich czasach tak zadzierają nosa”.

Lekarz obraził się (już tym samym pokazał, jaki jest), jednak nie przestał przychodzić. Wreszcie oświadczyłem Wiersiłowowi, że jeśli doktor nie przestanie przychodzić, to mu powiem coś dziesięć razy gorszego. Wiersiłow zauważył tylko, że niepodobna wymyślić rzeczy choćby dwa razy gorszej od tego, co już powiedziałem, a tym bardziej dziesięć razy. Byłem bardzo zadowolony z tej uwagi.

Cóż to jednak za człowiek! Mam na myśli Wiersiłowa. Przecież to wszystko odbyło się z jego powodu i tylko przez niego, a do niego nie miałem pretensji. I nie tylko sposób obchodzenia się ze mną ułagodził mnie. Sądzę, iż obaj czuliśmy wtedy, jak wiele rzeczy powinniśmy sobie nawzajem wyjaśnić i że, właśnie dlatego, lepiej nic sobie nie wyjaśniać. Jest rzeczą niezmiernie przyjemną natknąć się w podobnej sytuacji na człowieka inteligentnego. Już w drugiej części mego opowiadania, uprzedzając wypadki, wspominałem, jak to on krótko i rzeczowo oznajmił mi o liście do mnie aresztowanego księcia, o Zierszczykowie, o jego zeznaniach na moją korzyść itd., itd.

Ponieważ postanowiłem nic nie mówić, przeto zadałem mu dwa czy trzy pytania krótkie i treściwe, a on odpowiedział mi w sposób podobny, jasno i ściśle, bez zbytecznych słów i co najważniejsze, bez

żadnych sentymentów. Tej uczuciowości właśnie obawiałem się wtedy najbardziej.

337

O Lambercie nie pisałem dotychczas nic, lecz czytelnik domyślił się już bez wątpienia, że o nim myślałem aż nadto. Kilka razy wspominałem go w gorączce, ale oprzytomniawszy i zastanowiwszy się, szybko zorientowałem się, że to, co go dotyczyło, pozostaje tajemnicą i że oni, nie wyłączając Wiersiowa, nie wiedzą nic. Ucieszyłem się bardzo i odetchnąłem swobodniej, ale myliłem się, jak się zresztą później, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, dowiedziałem. Lambert przychodził kilka razy, ale Wiersiów nic mi o tym nie mówił i doszedłem do przekonania, że przestałem dla niego istnieć. Niemniej jednak myślałem o nim dość często, a co więcej, myślałem nie tylko bez wstępu, nie tylko z zainteresowaniem, ale nawet życzliwie, jak gdyby przeczuwając, że w tym tkwi coś nowego i pożądanego, co odpowiada budzącym się we mnie pragnieniom i zamiarom. Słowem -

postanowiłem zastanowić się nad Lambertem, zanim zacznę myśleć o czymś innym. Jedna rzecz była niezmiernie dziwna: zapomniałem zupełnie, gdzie mieszka i przy jakiej ulicy wszystko się to działo. Pokój, Alfonsynę, pieska, korytarz, wszystko to pamiętam tak, że na żądanie mógłbym to narysować, a gdzie to było, to znaczy, przy jakiej ulicy i w jakim domu, zapomniałem zupełnie. I co najważniejsze, uświadomiłem sobie to dopiero trzeciego dnia po powrocie do przytomności, kiedy już serio zaczynałem myśleć o Lambercie.

Oto więc jakie były moje pierwsze wrażenia po zmartwychwstaniu. Zaznaczyłem tylko rzeczy najbardziej rzucające się w oczy i najprawdopodobniej nie umiałem zaznaczyć tego, co najważniejsze ukształtowało się i skryształizowało w moim sercu. Przecież złościłem się i wściekałem nie tylko dlatego, że mi nie podawano bulionu. Pamiętam dobrze, jak mi było przykro i jak tęskniłem w te minuty, zwłaszcza kiedy przez dłuższy czas pozostawałem sam jeden. Oni zaś prędko zrozumieli, że ich obecność męczy mnie, a ich współczucie działa mi na nerwy i zaczęli zostawiać mnie samego coraz częściej i częściej: nazbyt subtelna domyślność.

ii

Na czwarty dzień po odzyskaniu przytomności leżałem około trzeciej po południu w łóżku, a przy mnie nie było nikogo. Słońce świeciło i wiedziałem, że koło czwartej, kiedy zacznie zachodzić, to jego ukośny, czerwony promień trafi akurat w róg mego pokoju i oświeci to miejsce jaskrawą plamą. Wiedziałem to na podstawie doświadczenia dni ubiegłych i fakt, że na pewno stanie się za godzinę, i że ja o tym wiem

338

z góry, jak dwa razy dwa, doprowadzał mnie do skrajnej wściekłości. Trzęsąc się ze złości obróciłem się gwałtownie całym ciałem i nagle pośród głębokiej ciszy usłyszałem wyraźnie słowa:

„Panie Jezu Chryste, Boże nasz, zmiłuj się nad nami”. Słowa były wypowiedziane półszep-tem, a po nich nastąpiło przeciągłe westchnienie z głębi piersi; potem wszystko znowu ucichło.

Zdziwiony, uniosłem szybko głowę.

Już dnia poprzedniego, a nawet jeszcze przedtem, zaczęło mnie uderzać coś niezwykłego w tych naszych trzech pokojach na dole. W tym pokoiku za salonem, który zajmowały przedtem mama i Liza, mieszkał teraz ktoś inny. Już nieraz słyszałem jakieś tajemnicze odgłosy, to w dzień, to w nocy, ale trwało to zawsze tylko chwilę i natychmiast nastawała cisza, panująca przez kilka godzin, tak, że nawet nie zwracałem na to uwagi. Dnia poprzedniego przyszło mi na myśl, że to Wiersiłow, tym bardziej, że wkrótce potem wszedł do mojego pokoju, chociaż wiedziałem przy tym na pewno z rozmów, jakie prowadzono w domu, że Wiersiłow przeniósł się na czas mojej choroby do jakiegoś mieszkania, w którym nocuje. Co zaś do mamy i do Lizy, to już dawno wiedziałem, że obie (aby nie przeszkadzać mi, jak sądziłem) przeniosły się do mojej dawnej „trumny”; i raz nawet pomyślałem sobie: „Jak to one mogły się tam razem pomieścić?” I teraz ni stąd ni zowąd okazuje się, że w ich dawnym pokoju mieszka jakiś człowiek, i że człowiek ten to bynajmniej nie Wiersiłow. Z łatwością, jakiej się po sobie nie spodziewałem (zdawało mi się dotychczas, że jestem zupełnie pozbawiony sił), spuściłem nogi z łóżka, wsunąłem je w pantofle, nałożyłem na siebie szary, ciepły szlafrok, leżący obok (ofiarowany przez Wiersiłową) i ruszyłem przez nasz salon do dawnej sypialni mamy. To, co tam zobaczyłem, wytrąciło mnie zupełnie z równowagi i nic podobnego nawet nie mogłem przypuścić. Oslupiałem się na progu.

Siedział tam siwy, siwiuteńki staruszek z wielką, okropnie białą brodą i widać było, że siedzi tam już od dawna. Siedział nie na łóżku, a na ławeczce mamy i tylko plecami opierał się o łóżko.

Zresztą trzymał się tak prosto, że zdawało się, iż nie potrzebuje żadnego oparcia. Chociaż z drugiej strony było oczywiste, że jest chory. Na sobie miał pokryty futrem kożuszek, włożony wprost na koszulę, kolana miał przykryte pledem mamy, a na nogach pantofle. Był wysokiego wzrostu, w ramionach szeroki i trzymał się na ogół nieźle, chociaż widać po nim było chorobę. Twarz jego była wychudła i jakby wydłużona, włosy miał bardzo gęste, choć niezbyt długie. Wyglądał na przeszło siedemdziesiąt lat. Tuż obok niego leżały na stoliku trzy czy cztery książki i okulary w srebr-339

nej oprawie. Chociaż jeszcze przed chwilą nie przeszło mi nawet przez myśl, że mógłbym go tu spotkać, ale od razu odgadłem, kto to jest taki, tylko nie mogłem zrozumieć, jak mógł siedzieć przez te kilka dni tuż obok mnie tak cicho, że aż dotąd niczego nie podejrzewałem.

Na mój widok staruszek nawet nie drgnął, ale milcząc przyglądał mi się uważnie, tak samo jak ja jemu, z tą tylko różnicą, że patrzyłem z bezmiernym zdumieniem, a on bez najmniejszego.

Przeciwnie, jakby obejrzawszy mnie do najdrobniejszego szczegółu w ciągu tych czterech lub pięciu sekund milczenia, nagle uśmiechnął się i zaśmiał się bezdźwięcznie, a chociaż ten śmiech momentalnie minął, to jednak jakiś radosny, jasny ślad jego pozostał w jego twarzy, a przede wszystkim w oczach wielkich, jasnoniebieskich, błyszczących, chociaż z opadającymi i nabrzmiałymi ze starości powiekami i otoczonymi siecią niezliczonych zmarszczek. Ten śmiech wywarł na mnie najsilniejsze wrażenie.

Jestem zdania, że człowiek, który się śmieje, budzi w większości wypadków wstręt... W śmiechu ludzkim wychodzi na jaw najczęściej coś niskiego, coś, co niejako poniża śmiejącego się, chociaż on sam prawie nigdy nie zdaje sobie sprawy z wrażenia, jakie wywiera. Tak samo, jak nie wie, jak zresztą nikt nie wie, jakie wrażenie sprawia wyraz jego twarzy w czasie snu. Niektórzy ludzie zachowują nawet we śnie rozumny wyraz twarzy, niektórzy, nawet skądinąd mądrzy, nabierają we

śnie wyrazu głupiego, a przez to i śmiesznego. Nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć, chcę tylko powiedzieć, że człowiek śmiejący się, podobnie jak i śpiący, zazwyczaj nie zdaje sobie zupełnie sprawy, jak wygląda. Bardzo wielu ludzi nie umie zupełnie śmiać się. Zresztą tego nie można się nauczyć, to jest wrodzone i tego nie można nabyć. Żeby to nabyć, trzeba samemu na nowo od początku wychować się, rozwinąć swoją duszę, zmienić się na lepsze i przewyciężyć złe skłonności swego charakteru: wtedy prawdopodobnie i śmiech takiego człowieka mógłby się zmienić, i sam mógłby stać się lepszy. Niejeden człowiek w śmiechu odsłania się całkowicie, ukazuje wszystko, co ma w sobie. Nawet śmiech niewątpliwie rozumny może budzić wstręt.

Śmiech wymaga przede wszystkim szczerości, a gdzie u ludzi szczerość? Śmiech wymaga dobroci, a ludzie najczęściej śmieją się złośliwie. Dobry i serdeczny śmiech to radość, a czyż można teraz odnaleźć w ludziach radość, czyż ludzie potrafią się radować? (O radości w czasach obecnych -

uwaga Wiersłowa, i ja ją zapamiętałem.) Wesołość to najbardziej charakterystyczny rys człowieka, rys, charakteryzujący go całego. Nieraz nie możemy zrozumieć czyjegoś charakteru. Wtem człowiek zaśmieje się tak jakoś szczerze, serdecznie i cały jego charakter leży jak na dłoni. Tylko najdoskonalszy, najbardziej

340

rozwinięty duchowo człowiek umie śmiać się tak, żeby jego serdeczności nie można było się oprzeć. Nie mam tu na myśli rozwoju umysłowego, ale rozwój charakteru, rozwój całego człowieka. A więc, kto chce człowieka wszechstronnie poznać i wnikać w głąb jego duszy, niech nie patrzy na to, jak ten człowiek milczy, czy mówi, jak płacze, czy jak się daje ponieść najszlachetniejszym ideom, ale lepiej niech patrzy, jak się ten człowiek śmieje. Jeśli śmieje się dobrze, to jest dobrym człowiekiem. Trzeba przy tym uważać na najdrobniejsze odcienie: nie wolno, na przykład, żeby śmiech człowieka, nawet najweselszego i najpocziwszego wydał się głupi. Jeżeli w jego śmiechu znać choćby najdrobniejszy odcień głupkowatości, to znaczy niewątpliwie, że ten człowiek jest tępy i ograniczony, choćby sypał najoryginalniejszymi myślami na prawo i lewo. Jeżeli nawet śmiech ten nie jest głupi, ale jeżeli człowiek śmiejąc się staje się dla nas, nie wiadomo dlaczego, śmieszny, choćby tylko trochę - to wiemy, że człowiek ten nie ma w sobie rzeczywistego poczucia własnej godności, a przynajmniej - nie posiada jej w całej pełni. Albo wreszcie, jeżeli śmiech ten nawet udziela się nam, ale jakoś wydaje się nieszczerzy, to wiemy, że natura tego człowieka jest również nieszczerza; cała szlachetność i wzniosłość, jaką w nim widzieliśmy, jest albo naumyślnie udana, albo nieświadomie naśladowana, i że ten człowiek w następstwie zmieni się na gorsze, że zajmie się rzeczami „pożytecznymi”, a szlachetne ideały odrzuci jako pomyłki i entuzjazm młodości. Tę długą tyradę o śmiechu umieszczam tutaj naumyślnie, narażając nawet na szwank tok opowiadania. Uważam ją bowiem za jedno z moich najbardziej ważnych doświadczeń życiowych. I specjalnie polecam ją dziewczętom-narzeczonym, które już zdecydowały się wyjść za wybranego przez siebie mężczyznę, ale jeszcze przypatrują mu się, zastanawiają się i badają, nie mogąc zdecydować się na krok ostateczny. I niech się nikt nie śmieje z zabawnego młodzika, który wtrąca się ze swymi morałami i naukami do sprawy małżeństwa, o którym nie ma zielonego pojęcia. Albowiem rozumiem jedno - że śmiech jest najlepszym probierzem duszy ludzkiej. Spójrzmy na dziecko: tylko dziecko potrafi śmiać się naprawdę serdecznie i dlatego tak się nim zachwycamy. Dla mnie dziecko we łzach jest wstrętne, a dziecko śmiejące się - to promień z nieba, to objawienie owej przyszłości, w której człowiek

będzie na koniec tak czysty i szczery jak dziecię. I właśnie coś dziecinnego i dziwnie miłego było w krótkim śmiechu tego staruszka. Natychmiast podszedłem do niego.

III

- Siadaj, siadź sobie na chwile. Nogi ci jeszcze nie stoją zbyt pewnie
- zaprosił mnie uprzejmie, wskazując miejsce obok siebie i patrząc na mnie ciągle tym samym jasnym spojrzeniem. Siadłem obok niego i powiedziałem:
- Ja znam pana, pan jest Makar Iwanowicz.
- Tak, gołąbeczku. No i ślicznie, żeś wstał. Młody jesteś, to ślicznie. Stary musi do grobu, a młody musi żyć.
- A pan jest chory?
- Chory jestem, mój drogi, przede wszystkim na nogi. Do progu mnie jeszcze jakoś doniosły, a jakem tu przysiadł, to już spuchły. To już tak ze mną od tamtego czwartku, jak się zaczęły te stopnie. (Nb., to znaczy, jak zaczął się mróz.) Smarowałem je przedtem maścią, co to mi ją trzy lata temu Lichten, doktor, Edmund Karłyca zapisał w Moskwie. I maść pomagała, pomagała, że jeszcze jak, a teraz już nie pomaga. A na piersi mi jakiś ciężar spadł. A od wczoraj plecy, jakby psy pogryzły... Nocami już nie sypiam.
- Jakże to jest, że pana tu wcale nie słyhać? - przerwałem mu. Spojrzał na mnie, jakby się zastanawiając.
- Tylko ty matki nie budź - dodał, jak gdyby sobie dopiero przed chwilą przypomniawszy. -

Krzątała się tu całą noc, a i tak nic nie słyhać, jakby mucha brzęczała. A teraz to wiem, położyła się. Och, źle w chorobie staremu - westchnął - nie ma się ta dusza czego trzymać, a trzyma się, wciąż światu rada; a jakby tak całe to życie od nowa zaczynać, to i tego by się może nie zlekła. Chociaż może grzech tak myśleć.

- Czemu grzech?

- Taka myśl jest tylko marzeniem, a stary powinien w spokoju duszy odchodzić. A znowu spotykać śmierć z szemraniem, albo z niezadowoleniem, to jest ciężki grzech. A jak kto przez pogodę duszy życie pokochał, to myślę, że Pan Bóg przebaczy, choćby i staremu. Trudno człowiekowi o wszystkim wiedzieć, co jest grzech, a co nie. Tajemnica taka; za wielkie to na rozum ludzki.

Starzec powinien odejść w pełni rozumu swego, po bożemu i dostojnie, nasyciwszy się dniami swymi, oddychając swobodnie w ostatniej chwili i ciesząc się; odejść jak zżęty kłos do snopa po spełnieniu tajemnicy swojej.

- Mówi pan „tajemnica”. Cóż to znaczy „spełnić swoją tajemnicę?”

- spytałem i obejrzałem się na drzwi. Byłem zadowolony, że jesteśmy sami i wokół nas panuje niezakłócona cisza. Słońce jaskrawo świeciło

w okno przed zachodem. Starzec mówił patetycznie, choć niezbyt dokładnie formułując myśli, ale z wielką szczerością i z podnieceniem, jak gdyby istotnie cieszył się z mojego przyjścia. Ale było rzeczą oczywistą, że znajduje się w stanie gorączkowym i to bardzo silnym. Ja również, z chwilą gdy wszedłem do jego pokoju, poczułem, że i mnie ogarnia taki stan.

- Co to jest tajemnica? Wszystko jest tajemnicą, przyjacielu, we wszystkim jest boża tajemnica. W

każdym drzewie, w każdym źdźble tkwi ta sama, jedna, jedyna tajemnica. Czy ptaszek maleńki zaśpiewa, czy gwiazdy całymi tysiącami na niebie błysną - wszystko to ta sama, niezmienna tajemnica. A największa - w tym, co czeka duszę ludzką na tamym świecie. Oto, co jest, przyjacielu!

- Nie rozumiem, w jakim znaczeniu... Ja, oczywiście, nie dlatego, żeby panu dokuczyć i niech pan nie myśli, że nie wierzę w Boga, ale wszystkie te tajemnice dawno już zbadał rozum ludzki, a czego jeszcze nie odkrył, to wkrótce odkryje. Botanika wie doskonale, jak rośnie drzewo, fizjolog i anatom wiedzą nawet, dlaczego ptak śpiewa, albo przynajmniej mogą wiedzieć, a co do gwiazd, to nie tylko je policzono, ale nawet każdy ich ruch określony jest z dokładnością do najmniejszej sekundy, tak, że można na tysiące lat z góry przewidzieć co do minuty czas ukazania się każdej komety, a teraz nawet poznaliśmy skład chemiczny najdalszych gwiazd.

Niech pan weźmie mikroskop, to - takie szkło powiększające, powiększa przedmioty milion razy, niech pan obejrzy w nim kroplę wody, a zobaczy pan tam cały świat, ogrom życia nieznanymi istot. A przecież to też była tajemnica, a tymczasem odkryto ją.

- Słyszałem o tym, gołąbku, nieraz od ludzi, słyszałem. Co tu mówić, to wielkie i wspaniałe, a wszystko otrzymał człowiek z łaski Boga. Nie na próżno tchnął w niego Bóg dech życia: „Żyj i poznawaj”

- No więc, mamy tu punkty wspólne. Jednak pan nie jest przeciwnikiem nauki, nie jest pan klerykałem? To jest, nie wiem, czy pan zrozumie...

- Nie, gołąbku, od młodego czciłem naukę, a choć sam nic nie umiem, to jednak nie narzekam, bo jak nie mnie, to innemu przypadło. Tak to może i lepiej, bo - każdemu swoje... Dlatego, bracie miły, że nie każdemu nauka na dobre wychodzi. Wszyscyśmy pyszni, wszyscyśmy łakomi, każdy by chciał cały świat zadziwić, a ja to może bardziej niż inni, żebym tylko umiał. A kiedy nie potrafię, to jakżeż teraz będę się wynosił nad innymi, jeżeli sam nic nie wiem. A ty jesteś młody i bystry, i jak ci taka dola przypadła, to się ucz. Wszystko powinienes wiedzieć, żeby, kiedy spotkasz niedowiarka lub bluźniercę, żebyś mógł mu odpowie-343

dzieć, a on żeby swoją szatańską mocą ciebie nie pokonał i zwątpienia w tobie nie zasiał. A to szkło jeszcze nie tak dawno widziałem.

Starzec zatrzymał się i westchnął. Nie ulega wątpliwości, że przyjście moje sprawiło mu wielką radość. Pałał po prostu chorobliwą chęcią przelania w czyjąś duszę swych uczuć. Przy tym bez najmniejszego wahania mogę stwierdzić, że spoglądał na mnie chwilami z jakąś niezwykłą wprost

miłością. Pieszczotliwie głaskał mnie po dłoniach i ramionach... no, a chwilami, trzeba stwierdzić, jak gdyby zupełnie zapominał o moim istnieniu i chociaż nie przestawał mówić z najwyższym zapałem, ale patrzył przed siebie, w górę, jak gdyby mówił nie do mnie, a gdzieś w powietrze.

- Jest, przyjacielu - ciągnął - w klasztorze Giennadijowym człowiek wielkiego rozumu. Z rodu szlacheckiego, a rangę ma podpułkownika i bogactwo wielkie posiada. Żyjąc w świecie nie chciał wiązać się ślubami małżeńskimi. Dziesięć lat mija, jak zamknął się przed światem, ukochwawszy przybytek cichy i spokojny, i uwolniwszy serce swoje od trosk światowych. Reguły klasztornej przestrzega, a ślubów zakonnych złożyć nie chce. I książek ma, bracie drogi, tyle, że nie widziałem tego jeszcze u nikogo. Sam mówił, że kosztowały osiem tysięcy rubli. Nazywają go Piotr Walerianycz. Dużo on mnie różnymi czasami nauczał, a lubiłem niezmiernie go słuchać.

Mówię mu razu pewnego: „Jakże to pan, i jeszcze z takim rozumem i z taką nauką, przebywając już dziesięć lat w regule zakonnej i wyrzekłszy się już własnej woli - jakże to pan nie składa ślubów zakonnika chrześcijańskiego, aby osiągnąć jeszcze większą doskonałość?” A on mi na to: „Cóż ty mi, stary, mówisz o moim rozumie i mojej nauce, a może to właśnie one trzymają mnie w niewoli, a nie ja nad nimi panuję. I co mówisz o posłuszeństwie moim, a może ja sam nie wiem, co czynię. I co o wyrzeczeniu się woli mojej rozprawiasz? Mogę zaraz i pieniędzy się wyrzec, i rangę złożę, i zaszczyty moje, a tu fajki się nie mogę wyrzec, chociaż się nad tym dziesiąty rok męczę. Jakiż tedy ze mnie zakonnik i gdzie to wyrzeczenie się, za które mnie tak chwalisz?” I zdumiałem się wtedy nad taką pokorą. No i zeszłego lata, na świętego Piotra, zaszedłem znowu do tego klasztoru. - Pan przyprowadził -i widzę, a w jego celi stoi ten właśnie mikroskop, za grube pieniądze z zagranicy sobie sprowadził. „Czekaj, mówi, stary, pokażę ci rzecz nadzwyczajną, jakiej jeszcze w życiu swoim nie widziałeś. Widzisz kroplę wody, czystą jak łza. A teraz zobacz, co w niej jest; zobaczysz, że mechanicy niedługo wszystkie tajemnice boże odgadną, żadnej dla

344

nas nie zostawią” - tak właśnie powiedział, zapamiętałem sobie dobrze. A ja już w ten mikroskop trzydzieści pięć lat temu patrzyłem u Aleksandra Władimirowicza Małgasowa, naszego pana, wuja Andrieja Piotrowicza ze strony matki, po którym majątek przeszedł, po jego śmierci, w ręce Andrieja Piotrowicza. Pan to był nie byle jaki, generał, i psiarnie miał olbrzymie, a ja u niego przez długie lata łowczym byłem. Wtedy i on też postawił taki mikroskop, też przywiózł z zagranicy i kazał całej służbie podchodzić, i mężczyznom i kobietom, i oglądać, i też pokazywali tam i pchłę, i wesz, i koniec igły, i włosy, i kroplę wody. I też zabawne to było: boją się podejść, a pana też się boją: bardzo był popędliwy. Jedni to nawet nie umieją patrzeć, mrużą oczy i nic nie widzą; inni znowu lękają się i krzyczą, a starosta Sawin Makarow obiema rękoma oczy zasłonił i krzyczy: „Co chcecie zrobić ze mną - nie pójdę!” Śmiechu tam było co niemiara. Piotrowi Walerianowiczowi wszakże nic nie mówiłem, że jeszcze przedtem, przeszło trzydzieści pięć lat temu ten sam dziw widziałem, bo z wielkim zadowoleniem mi to pokazuje i zacząłem dla jego przyjemności dziwić się i lękać. Poczekał chwilę i pyta: „No a teraz, stary, co powiesz?” A ja pokłoniłem mu się i mówię: „Rzekł Pan: niech się stanie światło i było światło”, a on mi na to nagle: „A czy czasem nie stała się ciemność?” I tak to dziwnie powiedział, nawet się nie uśmiechnął. Ja spojrzałem ze zdumieniem, a on jakby się rozsierdził i zamilkł.

- Zwyczajnie i po prostu, pański Piotr Walerianycz w klasztorze pości i czołem o posadzkę bije, a w Boga nie wierzy i właśnie na taką chwilę pan trafił - oto cała rzecz - powiedziałem. - I przy tym jest to człowiek mocno zabawny. Przecież na pewno widział mikroskop ze sto razy i czemuż to za sto pierwszym razem się wściekł? Jakaś wrażliwość nerwów... Widocznie w klasztorze tego nabył.

- To człowiek czysty i mądry - uroczyście zaprzeczył starzec. - Wcale nie bezbożnik. Rozumu w nim gęstwina, a serce niespokojne. Takich ludzi teraz dużo wyszło spośród panów i uczonych. I co jeszcze powiem: człowiek sam siebie karze. A ty od takich ludzi trzymaj się z daleka i nie dokuczaj im, a przed snem wspominaj ich w modlitwach twoich, bowiem tacy Boga szukają. A ty modlisz się przed snem?

- Nie. Uważam to za pustą obrzędowość. Muszę jednak przyznać panu, że ten pański Piotr Walerianycz mi się podoba: to przynajmniej nie kukła, a człowiek, trochę podobny do jednego człowieka interesującego nas obu, którego pan dobrze zna.

Ale staruszka zainteresowała tylko pierwsza część mojej odpowiedzi:

345

- Złe robisz, przyjacielu, że się nie modlisz. To rzecz dobra i miła sercu, i przed snem, i rano przy wstawaniu, i przy przebudzeniu się w nocy. Ot, co ci powiem. Latem znowu, w lipcu, szliśmy na odpust do klasztoru Bogorodskiego. Im bliżej klasztoru, tym więcej było ludzi i zebrało się nas ze dwustu, a wszyscy spieszyli ucałować święte i uzdrawiające szczątki obu wielkich cudotwórców, Anikija i Grigorija. Zanocowaliśmy, bracie drogi, w polu. Obudziłem się wczesnym rankiem, kiedy wszyscy jeszcze spali, a słońeczko nie pokazywało się jeszcze zza lasu. Oddałem pokłon Panu, obejrzałem się dookoła i aż westchnąłem! Pięknie wszędzie, że opisać się nie da. Cicho, powietrze czyste, trawa rośnie - a rośnijże, trawko Boża. Ptaki śpiewają

- śpiewaj ptaszynko Boża. Dziecię na ręku u kobiety zapłakało - Pan z tobą, człowieku maleńki, rośnij szczęśliwie, dziecino!

I poczułem, jakbym wtedy po raz pierwszy w całym moim życiu, wszystko to w sobie

zamknąłem... Pokłoniłem się jeszcze raz Panu, zasnąłem tak lekko, słodko... Pięknie jest na świecie, mój drogi. Ot, żeby mi choroba odeszła, to bym znowu na wiosnę ruszył w świat. A że to tajemnica, to tym lepiej; straszno sercu i dziwnie, a ten strach je raduje: „Wszystko jest w tobie, Panie, i ja sam w tobie jestem i przyjmij mnie do siebie!” Nie narzekaj, chłopcze: jeszcze piękniej jest dlatego, że to tajemnica, jeszcze piękniej - dodał z rozrzewnieniem.

- „Jeszcze piękniej dlatego, że tajemnica...” Muszę to sobie zapamiętać, te słowa. Pan mówi bardzo nieściśle, aleja rozumiem. Uderza mnie to, że pan daleko więcej wie i rozumie, niż pan potrafi powiedzieć. Tylko, że pan jakby miał gorączkę... -wyrwało mi się, kiedy spojrzałem na jego pobladłą twarz i rozpalone oczy.

Ale on, zdaje się, nie usłyszał nawet moich słów.

-A czy wiesz, drogi chłopcze - zaczął znowu. -A czy ty wiesz, że pamięć człowieka na tej ziemi ma swoje granice? Ta granica nie sięga dalej jak do stu lat. Jeszcze w sto lat po jego śmierci mogą pamiętać go dzieci, albo wnuki, które oglądały jego twarz. A potem, chociaż może jeszcze trwać pamięć o nim, ale już tylko w słowach, w myślach, bo przeminą już wszyscy ci, co go widzieli żywego. I mogiłka porośnie trawką, pokruszą się na niej białe kamyczki, zapomną nawet jego imienia, bo tylko niewielu pozostaje trwale w pamięci ludzkiej - i zresztą dobrze tak jest. I -

zapomną o mnie, kochani, a ja was jeszcze z mogiłki kocham. Słyszę, dzieci kochane, jak wołacie wesoło, słyszę jak stąpacie w dzień zaduszny po mogiłkach ojców. Żyjcie sobie na słoneczku, radujcie się, a ja będę się za was

346

modlił do Boga, we śnie się wam pokażę... mimo wszystko - miłość i po śmierci trwa.

Najważniejsze, że sam byłem rozgorączkowany nie mniej od niego. Zamiast iść do siebie, albo uspokoić go, a nawet namówić go, żeby się położył, ponieważ sprawiał wrażenie człowieka bredzącego w malignie, pochwyciłem go nagle za rękę i pochyliwszy się nad nim, i ściskając jego dłoń, zacząłem mówić ze łzami w duszy, szeptem, przerywanym przez wzruszenie:

- Cieszę się, że spotkałem pana. Może już od dawna na pana czekam. Z tamtych nie kocham nikogo: brak im rozsądku. Nie pójdę za nimi, nie wiem, dokąd pójdę, pójdę za panem...

Na szczęście w tej chwili właśnie weszła mama, bo inaczej, nie wiem doprawdy, do czego by doszło. Twarz jej zdradzała, że przed chwilą zerwała się ze snu i że się przelęknęła. W rękę miała szklankę i łyżkę stołową. Zobaczywszy nas krzyknęła:

- Domyślałam się, że tak będzie! Zapomniałam mu dać na czas chininy - i znowu ma gorączkę.

Zaspałam, Makarze Iwanowiczu, gołąbku.

Wstałem i wyszedłem. Matka dała mu lekarstwo i położyła do łóżka. Położyłem się także, ale w silnym podnieceniu. Wróciłem niezmiernie zadowolony i całą moją myśl zaprzątneło owo spotkanie. Czego się po nim spodziewałem - nie wiem. Oczywiście rozumowałem bez związku, a przez głowę przesuwały mi się nie myśli, ale tylko fragmenty myśli. Leżąc twarzą do ściany zobaczyłem w kącie ową jasną plamę zachodzącego słońca, której przedtem oczekiwałem z taką wściekłością i pamiętam jak w tej chwili dusza moja jakby ożyła, i jakieś nowe światło błysnęło mi w sercu. Pamiętam doskonale tę słodką chwilę i nie chcę jej zapomnieć. Był moment nowych nadziei i rodzenia się nowych sił. Był to oczywiście okres powrotu do zdrowia, a więc takie porywy mogły być po prostu skutkiem stanu moich nerwów. Ale w tę promienną nadzieję wierzę i teraz, i to chciałem sobie zanotować, i zapamiętać. Oczywiście wtedy rozumiałem doskonale, że nie pójdę na żadną wędrowną z Ma-karem Iwanowiczem i że nie wiem sam, do czego właściwie dążę, na czym polega to nowe uczucie, ale jedno słowo wyrzekłem w malignie: „Brak im szlachetności!”. „Rzecz prosta - pomyślałem. - Od tej chwili szukam „szlachetności” i nie znajduję jej w nich, a wobec tego ich porzucam”. Jakiś szelest rozległ się za mną, odwróciłem się: stała mama, schyliła się nade mną i z nieśmiałą ciekawością zajrzała mi w oczy. Niespodzianie wziąłem ją za rękę.

- A czemuż mama nic mi nie powiedziała o naszym drogim gościu? - zapytałem nagle, sam nie wiedząc, dlaczego to mówię.

Cały dotychczasowy niepokój znikł od razu z jej twarzy i zapłonęła na niej jakaś radość, ale nic mi nie odpowiedziała, rzucając tylko jedno słowo:

- O Lizie także pamiętaj, o Lizie. Zapomniałeś o Lizie.

Wyrzuciła to z siebie szybko, poczerwieniawszy i chciała jak najszybciej wyjść, ponieważ nie lubiła afiszować się z uczuciami, podobnie zresztą jak ja. Rozumie się, nie chciała też zaczynać ze mną rozmowy na temat Makara Iwanowicza. Wystarczyło zresztą to, co mogliśmy powiedzieć wymieniając spojrzenia. Ale tym razem ja, ja, który tak nie cierpiałem babrania się we własnych uczuciach, tym razem właśnie ja zatrzymałem ją za rękę. Spojrzałem jej czule w oczy, słodko i cicho roześmiałem się, a drugą ręką zacząłem głaskać po jej miłej twarzy i zapadniętych policzkach. Pochyliła się i oparła swoje czoło o moje.

- No, Chrystus z tobą - rzekła nagle, pochylając pobożnie głowę i promieniując po prostu radością.

- Wracaj prędzej do zdrowia. Chory on jest, och, jak chory... Lecz życie w ręku Boga... Ach, co też ja mówię; przecież tego nie może być!

Odeszła. Całe życie swoje spędziła w strachu i w trwodze, i w czci dla swego męża, pielgrzyma Makara Iwanowicza, który wspaniałomyślnie i raz na zawsze jej przebaczył.

ROZDZIAŁ DRUGI

i

A

o Lizie pamiętałem, mama myliła się. Wrażliwe serce matki wyczuło jakiś chłód między bratem a siostrą, ale tu chodziło nie tyle o miłość, ile raczej o zazdrość. Objaśnię w dwóch słowach.

Biedna Liza od chwili aresztowania księcia zaczęła okazywać wzdgardliwą, milczącą, wprost nieznośną pychę. Wszyscy zrozumieli, o co chodzi, a jeżeli ja z początku krzywiłem się i złościłem na jej sposób mówienia, to tylko w skutek mojej skłonności do irytowania się o byle drobiazg, którą choroba moja jeszcze powiększyła - w ten sposób tłumaczę to sobie teraz. Nie przestałem jednak bynajmniej kochać Lizy, przeciwnie, kochałem ją jeszcze bardziej, tylko nie chciałem pierwszy się do niej zwracać, wiedząc zresztą doskonale, że ona sama również do mnie się nie zwróci.

A mianowicie, kiedy ta cała historia z księciem wyszła na jaw, bezpośrednio po jego aresztowaniu Liza momentalnie zajęła w stosunku do nas i do wszystkich takie stanowisko, jak gdyby nie przeszło jej nawet przez myśl, żeby można jej było współczuć albo w czymkolwiek dodać otuchy, a księcia usprawiedliwiać. Przeciwnie, unikając wszelkich tłumaczeń lub dyskusji, jak gdyby pyszniła się bez ustanku czynem swojego nieszczęsnego narzeczonego, niby jakimś wzniosłym bohaterstwem. Jak

gdyby powtarzała nam co chwila (powtarzam: nie wymawiając ani słowa):

„Przecież nikt z was tak nie postąpi, żaden z was nie poświęci się dla honoru i obowiązku, żaden z was nie ma tak czułego i czystego sumienia. A jeśli chodzi o jego postępowanie, to kto z was jest wolny od złych uczynków, przynajmniej w duszy? Tylko wszyscy kryją się z tym, a ten człowiek wolał raczej zgubić siebie samego, niż być niegodziwym we własnych oczach”. Oto, co mówił

wyraźnie każdy jej ruch. Nie wiem, ale na jej miejscu zrobiłbym zupełnie to samo. Nie mogę powie-
349

dzieć, czy myślała to samo w duchu, to znaczy - w sobie. Przypuszczam, że nie. Drugą, jasną połową swojego umysłu musiała przecież domyślać się całej nicości swojego „bohatera”, bo któż teraz nie zgodzi się z tym, że ten nieszczęśliwy, a nawet szlachetny w swoim rodzaju człowiek był

jednocześnie człowiekiem nędznym. Nawet sama już ta jej wzgarda i zaczepność w stosunku do nas, ta ciągła podejrzliwość, czy czasem nie osądzamy go inaczej - pozwala domyśleć się, że w głębi jej serca mógł powstać i inny osąd o jej nieszczęsnym przyjacielu. Ale muszę natychmiast ze swego stanowiska dodać, że Liza miała według mnie do pewnego stopnia słusność: jej bowiem bardziej niż komukolwiek z nas można by wybaczyć wahanie się w powzięciu ostatecznej opinii.

Ja sam przyznaję się szczerze, że jeszcze teraz, kiedy to wszystko należy do przeszłości, zupełnie nie wiem, jak ocenić i osądzić tego nieszczęśnika, który postawił nas wszystkich wobec takiego zagadnienia.

Tym nie mniej, z tej przyczyny zaczęło się w domu małe piekło. Liza, która tak kochała księcia, niewątpliwie bardzo cierpiała. Ale zgodnie z całym swoim charakterem postanowiła cierpieć w milczeniu. Charakter jej podobny był do mojego, to znaczy despotyczny i dumny, toteż zawsze byłem tego zdania, i wtedy, i teraz, że pokochała księcia właśnie pod wpływem owego despotyzmu, właśnie za to, że sam nie miał siły charakteru, i od pierwszej chwili, i od pierwszego słowa całkowicie poddał się jej rozkazom. To dzieje się w sercu samo przez się, bez żadnego planu i wyrachowania, ale taka miłość, miłość silnego do słabego, bywa nieraz daleko silniejsza i bardziej bolesna, niż miłość charakterów równych sobie siłą, bo wtedy mimo woli silniejszy bierze na siebie odpowiedzialność za słabszego. Ja przynajmniej tak sądzę. Od pierwszej chwili wszyscy otoczyli Lizę najczulszą tkliwością, a szczególnie mama. Ale nie dała się zmiękczyć, nie odpowiedziała na współczucie i jak gdyby odtrąciła wszelką pomoc. Z mamą na początku mówiła jeszcze, ale z każdym dniem stawała się bardziej milcząca, oschła, a nawet szorstka. Wiersiłowa z początku pytała o radę, ale wkrótce na pomocnika i doradcę wybrała sobie Wasina, jak się później z nie małym zdumieniem dowiedziałem... Co dzień chodziła do Wasina, chodziła również do sądu, do zwierzchników księcia, do adwokatów, do prokuratora. W końcu po całych dniach nie pokazywała się w domu. Oczywiście, co dzień, nieraz dwa razy dziennie, widywała się również z księciem, który siedział w więzieniu, w oddziale dla szlachty, ale te wizyty, jak przekonałem się później, były dla niej niesłychanie przykre. Oczywiście, osoba trzecia nie może zrozumieć dokładnie spraw dwojga zakochanych. Ale

350

wiem, że ksiązę obrażał ją bezustannie - i to z jakiego powodu? Rzecz dziwna - z zazdrości.

Zresztą o tym później; dodam tylko do tego jedną uwagę: trudno określić, które z nich dwojga bardziej dokuczało drugiemu. Manifestująca wśród nas dumę ze swego nieszczęścia, Liza odnosiła się do niego przypuszczalnie zupełnie inaczej, kiedy byli sam na sam. Mam co do tego pewne dane, o których zresztą również później.

A więc, jeśli chodzi o uczucia moje do Lizy i o stosunek mój do niej, to wszystko, cośmy sobie okazywali, było jedynie maską i kłamstwem z obu stron, ale naprawdę, nigdy nie kochaliśmy się bardziej, niż wówczas. Dodam, że Makara Iwanowicza, od samego jego przybycia do nas, Liza, po pierwszych chwilach zdziwienia i zainteresowania się, zaczęła traktować nieledwie lekceważąco, a nawet pogardliwie. Starła się jak gdyby ostentacyjnie nie zwracać na niego żadnej uwagi.

Dawszy sobie słowo, że będę „milczał”, jak to wyjaśniłem w rozdziale poprzednim, spodziewałem się w teorii, to znaczy w moich planach i marzeniach, że go dotrzymam. O, na przykład z Wiersiłowem szybciej bym zaczął mówić o zoologii lub o rzymskich cesarzach, niż na przykład o niej lub o tej na przykład najważniejszej linijce w liście jego do niej, gdzie zawiadamiał ją, że

„dokument nie został spalony, ale żyje i zjawi się” - o linijce, o której natychmiast zacząłem rozmyślać, jak tylko odzyskałem świadomość po gorączce. Ale, niestety! W praktyce, przy pierwszych moich krokach, a nawet jeszcze przed postawieniem pierwszych moich kroków, a nawet jeszcze przed postawieniem pierwszego kroku, przekonałem się, jak trudno, a właściwie niepodobna, utrzymać się w korbach tego rodzaju postanowień: już na drugi dzień po zawarciu przeze mnie znajomości z Makarem Iwanowiczem, pewna niespodziewana okoliczność wytrąciła mnie całkowicie z równowagi.

Okolicznością tą była niespodziewana wizyta Nastasji Jegorowny, matki nieboszczki Oli. Mama mówiła mi już, że przychodziła dwa razy podczas mojej choroby i że interesowała się moim zdrowiem. O to, czy ta „pocziwa kobieta”, jak zawsze mówiła o niej mama, przychodziła specjalnie ze względu na mnie, czy też po prostu odwiedzała mamę, tak jak to czyniła zazwyczaj -

nie pytałem. Mama opowiadała mi o wszystkich sprawach domowych zwykle wtedy, kiedy przynosiła zupę i karmiła mnie (kiedy jeszcze nie mogłem sam jeść), żeby mnie

351

trochę rozerwać, ja zaś uparcie starałem się za każdym razem okazać, że te wiadomości wcale mnie nie obchodzą, i dlatego też nie wypytywałem jej szczegółowo o Nastasję Jegorowną. Nie rzekłem nawet słowa. Było to około godziny jedenastej. Chciałem właśnie wstać z łóżka i siąść w fotelu przy stole, kiedy weszła. Wobec tego naumyślnie zostałem w łóżku. Mama była czymś bardzo zajęta na górze i wcale nie zeszła do niej, tak że zostaliśmy sam na sam. Przeczuwałem, że będzie siedziała bez słowa, i w ogóle wizyta jej rozdrażniła mnie do najwyższego stopnia. Nie raczyłem jej nawet kiwnąć głową i popatrzyłem prosto w oczy. Ale ona tak samo patrzyła na mnie.

- Pani teraz samej w mieszkaniu jest smutno, kiedy księcia nie ma? - spytałem nagle, nie mogąc już dłużej wytrzymać.

- Nie, proszę pana, ja teraz jestem gdzie indziej. Teraz to ja przez Annę Andriejewną dostałam miejsce przy jego dzieciaczku.

- Przy czyim dzieciaczku?

- Andrieja Piotrowicza - odpowiedziała szeptem, jakby powierzając mi tajemnicę, i obejrzała się na drzwi.

- Przecież tam jest Tatiana Pawłowna...

- I Tatiana Pawłowna, i Anna Andriejewna, obie, proszę pana, i Liza-wieta Makarowna, i mamusia pana... wszyscy. Wszyscy się opiekują. Tatiana Pawłowna i Anna Andriejewna teraz są w wielkiej przyjaźni.

Nowina. Znać było w niej ogromne ożywienie. Ja patrzyłem na nią prawie z nienawiścią.

- Pani jest teraz w daleko lepszym humorze, niż wtedy, kiedy była pani ostatnio.

- Ach, tak, proszę pana.

>i

- Pogrubiała pani, zdaje się. .,»;

Spojrzała na mnie jakoś dziwnie.

- Bardzo ją polubiłam, bardzo.

- Kogóż to?

- Annę Andriejewnę. Bardzo, proszę pana. Taka szlachetna panna i tak rozumna.

- Aha. A cóż ona teraz porabia?

- Jest zupełnie spokojna.

- Zawsze była spokojna.

- Zawsze, proszę pana.

- Jeżeli pani przychodzi tu poplotkować - krzyknąłem nagle, nie panując już nad sobą. - To niech pani wie, że mnie wszystko to wcale

352

nie obchodzi, że postanowiłem rzucić... wszystko, wszystkich, że o nich nie dbam, że mam zamiar ich opuścić!...

Zamilkłem, ponieważ w tej chwili opamiętałem się. Zrobiło mi się wstyd, że się przed nią jak gdyby tłumaczę i zwierzam się jej ze swych planów. Ona zaś słuchała mnie poważnie, bez najmniejszego zdziwienia. I znowu nastąpiło milczenie. Nagle wstała, podeszła do drzwi i zajrzała do sąsiedniego pokoju. Stwierdziwszy, że tam nie ma nikogo i że jesteśmy sami, najspokojniej wróciła na swoje poprzednie miejsce.

- A to dobre sobie! - zaśmiałem się nagle.

- A to mieszkanie, tam, u tego urzędnika, zatrzyma pan? - spytała nagle, pochylając się ku mnie i starając się mówić jak najciszej, jak gdyby to była najważniejsza sprawa i jakby tylko dlatego przyszła.

- Mieszkanie? Nie wiem jeszcze. Może się nawet przeprowadzę... Skąd mogę wiedzieć?

- A gospodarz i gospodyni czekają na pana. Ten urzędnik bardzo się niecierpliwi, a jego żona również. Andriej Piotrowicz obiecywał im na pewno, że pan do nich wróci.

- A pani to po co?

- Anna Andriejewna też pytała. Była bardzo zadowolona, kiedy dowiedziała się, że pan zostaje.

- A skąd ona tak na pewno wie, że koniecznie muszę zostać w tym mieszkaniu?

Chciałem jeszcze dodać: „I co ją to obchodzi?”, ale duma nie pozwoliła mi wypytywać o to.

- A i pan Lambert to samo powiedział.

- Co-o-o?

- Pan Lambert, proszę pana. I Andrieja Piotrowicza z całych sił zapewniał, że pan zostaje, i Annie Andriejewnie też to samo mówił.

Aż podskoczyłem na łóżku! Co za cuda! Więc Lambert już poznał Wiersiłowa, Lambert dostał się do Wiersiłowa, Lambert i Anna Andriejewna - i do niej dotarł! Gorąco mi się zrobiło, ale powstrzymałem słowa cisnące się na język. Serce moje zalała niezmierna duma - duma, albo sam nie wiem, co takiego. Ale jak gdybym sobie w tej chwili powiedział: „Jeżeli choć jednym słowem zażądam dalszych wyjaśnień, to znowu wplączę się w ich świat i nigdy się z niego nie wyrwę”.

Nienawiść zapłonęła w moim sercu. Ze wszystkich sił postanowiłem sobie, że będę milczał, i leżałem bez ruchu. Ona też zamilkła na całą minutę.

- A cóż książę Nikołaj Iwanowicz? - spytałem nagle, jakby tracąc zupełnie rozsądek. Chciałem powiedzieć coś tylko dlatego, żeby zmie-

nić zupełnie temat rozmowy, a tymczasem znów dotknąłem najważniejszej sprawy, tak jak wariat wraca znów do tego samego świata, z którego przed chwilą z takim przerażeniem chciał uciec.

- Książę, proszę pana, jest w Carskim Siole... Chory trochę, a w mieście teraz wszędzie te gorączki.

I wszyscy radzili mu, żeby wyjechał do Carskiego, bo tam ma własny dom i powietrze tam dobre.

Nie odpowiedziałem nic.

- Anna Andriejewna i pani generałowa odwiedzają go co trzy dni, zawsze razem jadą.

Anna Andriejewna i generałowa (to znaczy ona) - są przyjaciółkami! Razem jeżdżą! Wciąż milczałem.

- Tak się obie zaprzyjaźniły ze sobą i Anna Andriejewna tak chwali Katierinę Nikołajewnę.

Milczałem w dalszym ciągu.

- A Katierina Nikołajewna znowu rzuciła się w wir życia światowego, zabawa za zabawą, bryluje wszędzie i mówią, że cały dwór się w niej kocha... A z panem Bjoringiem zerwała i o małżeństwie już mowy nie ma. Wszyscy tak mówią... podobno od tej samej chwili.

To znaczy od listu Wiersiłowa. Zadrzałem cały, ale nie powiedziałem ani słowa.

- Anna Andriejewna tak żałuje księcia Siergieja Piotrowicza i Katierina Nikołajewna tak samo, i wszyscy mówią, że zostanie uniewinniony, a ten Stiebielkow będzie skazany...

Spojrzałem na nią z nienawiścią. Wstała i nagle pochyliła się nade mną.

- Anna Andriejewna szczególnie poleciła mi dowiedzieć się o pana zdrowie - szepnęła cichutko - i kazała bardzo prosić, żeby pan ją odwiedził, jak tylko pan będzie mógł wyjść. Do widzenia panu, niech pan jak najszybciej wraca do zdrowia, a ja już powiem...

Poszła sobie. Siadłem na łóżku, zimny pot zalewał mi czoło, ale to nie był strach: wstrętą wiadomość o Lambertcie i jego intrygach w ogóle na przykład nie napełniła mnie przerażeniem, jeżeli porównać to z tym przerażeniem, być może nieświadomym, jakiego doznawałem podczas choroby i w początkach rekonwalescencji na samą myśl o tym spotkaniu owej nocy. Przeciwnie, w pierwszej chwili po wyjściu Na-stasji Jegorowny, kiedy z trudem jeszcze zbierałem myśli, nie zastanawiałem się jeszcze nad Lambertem, ale... opanowała mnie jedna jedyna myśl - o zerwaniu jej z Bjoringiem, o jej powodzeniu w świecie, o zabawach, o „brylowaniu”. W uszach brzmiało mi jeszcze „bryluje”

354

Nastasji Jegorowny. I nagle poczułem, że brak mi sił, aby wyrwać się z tego kołowrotu, a przecież przed chwilą wystarczyło mi ich, aby powstrzymać się od wypytywania Nastasji Jegorowny, mimo jej kuszącego opowiadania. Niezmierzone pożądanie tego życia, ich życia, przepełniło mi duszę i wraz z nim jeszcze jedno rozkoszne pragnienie, które opanowywało mnie całkowicie, aż do uczucia szczęścia i do niewymownego bólu. Myśli moje wirowały, ale pozwalałem im wirować.

„Nad czym tu myśleć?” - mówiło coś we mnie. „Jednakże nawet mama nic mi nie mówiła o wizytach Lamberta - rozumowałem jakimiś nie powiązаныmi ze sobą urywkami myśli. - To Wiersiłow kazał jej milczeć... Umrę raczej, a nie spytam Wiersiłowa o Lamberta!” - „Wiersiłow -

przychodziło mi znów do głowy. - Wiersiłow i Lambert, o, ileż u nich nowego! Zuch Wiersiłow!

Wystraszył Niemca Bjoringa tym listem, oszkalował ją, la calomnie... ii en reste toujours quelque chose*, i Niemiec, dworak zląkł się skandalu - cha, cha, a to dostała nauczkę!” - „Lambert... czy i do niej czasem Lambert nie dotarł? Jeszcze czego! A czemuż by nie miała i z nim się związać?”

Tu nagle oderwałem się raptownie od tych wszystkich majaczeń i w rozpaczyci rzuciłem się twarzą na poduszkę: „Nie, tak być nie może!” - krzyknąłem w nagłym porywie energii, zerwałem się z łóżka, włożyłem pantofle i szlafrok, i poszedłem prosto do pokoju Makara Iwanowicza, jak gdyby tam można się było ukryć przed wszystkimi diabelskimi sprawkami, jak gdyby tam był ratunek, kotwica, na której jedynie mogłem się utrzymać.

Istotnie, mogło tak być, że w owej chwili wszystkimi siłami duszy odczuwałem tę jedyną myśl. Nie mogę sobie w inny sposób wytłumaczyć tego, że tak nagle zerwałem się z łóżka i bez wahania i namysłu, w szalonym podnieceniu, rzuciłem się w kierunku pokoju Makara Iwanowicza.

Ale u Makara Iwanowicza, zupełnie niespodziewanie, zastałem ludzi - mamę i doktora. Ponieważ nie wiem dlaczego idąc wyobrażałem sobie, że koniecznie zastanę staruszkę samego, przeto zatrzymałem się na progu, nie mogąc zrozumieć, co właściwie się stało. Ale nie zdążyłem

* rzucone kalumnie zawsze pozostawiają jakiś ślad

355

nawet zmarszczyć brwi, kiedy obok zjawił się Wiersiłow, tuż za nim Liza... Widać wszyscy w jakimś celu zebrali się u Makara Iwanowicza i to „właśnie w najmniej odpowiedniej chwili!”

- Przyszedłem dowiedzieć się, jak się pan miewa - powiedziałem, kierując się wprost do łóżka Makara Iwanowicza.

- Dziękuję, mój miły, czekałem na ciebie, wiedziałem, że przyjdiesz! Myślałem o tobie w nocy.

Serdecznie patrzył mi w oczy i widziałem wyraźnie, że ze wszystkich obecnych bodaj on jeden mnie najbardziej lubi, ale w tej samej chwili uderzyło mnie, że chociaż na twarzy jego malowała się radość, to jednak stan jego w ciągu nocy musiał się znacznie pogorszyć. Doktor dopiero co badał go szczegółowo. Potem dowiedziałem się, że ten doktor (ten sam młody człowiek, z którym pokłóciłem się i który leczył Makara Iwanowicza od chwili jego przybycia), okazywał choremu wiele starania i troskliwości i - nie potrafię tego co prawda wyrazić w języku lekarskim -

doszukiwał się w nim przypadku komplikacji szeregu chorób. Makar Iwanowicz, jak to zauważyłem na pierwszy rzut oka, zdążył zawrzeć z nim już serdeczną przyjaźń. Od razu mi się to bardzo nie spodobało. Zresztą, było to z mojej strony bardzo brzydkie.

- W rzeczy samej, Aleksandrze Siemionowiczu, jakże dzisiaj ma się nasz drogi pacjent? - zapytał

Wiersiłow.

Gdyby nie to, że byłem tak wstrząśnięty, to na samym wstępie zainteresowałbym się, jak się Wiersiłow odnosi do tego staruszka, o czym zresztą myślałem wczoraj. Uderzył mnie przede wszystkim nadzwyczajnie łagodny i miły wyraz twarzy Wiersiłowa. Było w nim coś dziwnie szczerego i serdecznego. Jak to kiedyś zauważyłem, twarz Wiersiłowa stawała się dziwnie piękna, kiedy tylko stawał się odrobinę prostoduszny.

- A właśnie wciąż sprzeczamy się - odpowiedział doktor.

- Z Makarem Iwanowiczem? Nie mogę w to uwierzyć, z nim niepodobna się kłócić.

- Kiedy nie chce słuchać: nie sypia nocami...

-A przestańże już, Aleksandrze Siemionowiczu, dość już będzie tego urągania - roześmiał się Makar

Iwanowicz. - No i cóż, Andrieju Pio-trowiczu, dobrzejcie, cóż tam z naszą panienką?

Już od samego rana narzeka, niepokoi się - dodał, wskazując na mamę.

- Ach, Andrieju Piotrowiczu - krzyknęła mama, rzeczywiście niesłuchanie zaniepokojona. - Mówże prędzej, nie dręcz mnie, co zrobili z tą biedaczką?

- Ano. Skazali naszą panienkę.

356

- Boże! - krzyknęła mama.

- Ależ nie na Syberię, uspokój się. Wszystkiego na piętnaście rubli kary i zrobiła się z tego po prostu farsa.

Usiadł, a za nim doktor. Chodziło tu o Tatianę Pawłownę, a ja nic jeszcze nie wiedziałem o tej całej historii. Siedziałem na lewo od Maka-ra Iwanowicza, a Liza usadowiła się naprzeciwko mnie, na prawo. Widać było, że ma dzisiaj jakieś specjalne zmartwienie, z którym przyszła do mamy. Na twarzy jej znać było zdenerwowanie i niepokój. W tej chwili jednak spojrzeliśmy nawzajem na siebie i nagle pomyślałem sobie: „Oboje jesteśmy okryci hańbą i ja powinienem pierwszy wyciągnąć rękę do zgody”. Poczułem do niej jakąś dziwną czułość. Tymczasem Wiersiłow zaczął

opowiadać, co się stało tego ranka. A mianowicie, Tatiana Pawłowna miała rano w sądzie pokoju proces ze swą kucharką. Sprawa była wprost głupia. Wspomniałem również o tym, że ta zła i zacięta Finka, wpadłszy we wściekłość, potrafiła całymi tygodniami milczeć i nie odpowiadać ani słowem swej pani. Wspomniałem również i o tym, że Tatiana Pawłowna była do niej dziwnie przywiązana, zносиła jej różne wybryki i za nic w świecie nie chciała jej odprawić. Wszystkie te kaprysy, tak charakterystyczne dla psychiki starych panien i pań, warte są, moim zdaniem, co najwyżej lekceważenia, ale nie są godne w żadnym razie uwagi, i jeżeli zajmuję się tą historią, to dlatego, iż zrzędzeniem losu, kucharka ta ma w dalszym ciągu mojego opowiadania odegrać pewną ważną i fatalną rolę. Otóż Tatiana Pawłowna wyprowadzona z cierpliwości milczeniem upartej Finki, która już od kilku dni nie chciała jej odpowiadać, przestała nagle panować nad sobą i uderzyła ją, co przedtem nigdy się jej nie zdarzyło. Finka i na to nie odpowiedziała ani słowem, ale tego samego dnia poszła po radę do mieszkającego na tych samych kuchennych schodach dymisjonowanego miczmana Osietrowa, zajmującego się załatwianiem spraw wszelakiego rodzaju, a między innymi prowokowaniem tego rodzaju procesów w sądach, skąd płynęły dla niego pewne zyski. Skończyło się na tym, że Tatiana Pawłowna została wezwana przez sędziego pokoju, a Wiersiłow musiał wystąpić przy rozpatrywaniu sprawy w charakterze świadka.

Wszystko to Wiersiłow opowiedział nam z humorem i bardzo dowcipnie, tak, że nawet mama zaczęła się śmiać. Naśladował sposób mówienia i Tatiany Pawłowny, i miczmana, i kucharki.

Kucharka na początku oświadczyła sądowi, że chce kary pieniężnej, „bo jak panią posadzą, to nie będę miała komu gotować”. Tatiana Pawłowna odpowiadała na pytania, stawiane przez sędziego z wielką godnością. Nie raczyła nawet się

tłumaczyć. Przeciwnie, na zakończenie swej mowy powiedziała: „Zbiłam ją i jeszcze zbiję”, za co została natychmiast ukarana grzywną w wysokości trzech rubli za brak szacunku dla sądu.

Miczman, chudy, tyczkowaty młody człowiek chciał wypowiedzieć długą mowę w obronie swej klientki, ale się haniebnie zaplątał i rozśmieszył całą salę. Przewód skończył się wkrótce i Tatiana Pawłowna musiała zapłacić obrażonej Marii piętnaście rubli. Natychmiast, nie tracąc czasu, wyjęła portmonetkę i wyciągnęła pieniądze. Miczman podstawił dłoń, chcąc je odebrać, ale Tatiana Pawłowna odepchnęła jego rękę nieledwie uderzeniem na bok i odwróciła się do Marii: „Niech pani da spokój, nie warto się trudzić, niech pani to dopisze do rachunku, a temu to już ja sama zapłacę”.

- „Widzisz Mario, jakiego niezdarę sobie wzięłaś!” - wskazała na micz-mana Tatiana Pawłowna, strasznie uradowana, że Maria na koniec przemówiła. „A już, rzeczywiście, niezdarą -

odpowiedziała przymilnie Maria. - Pani kazała zrobić na dziś kotlety z groszkiem; wtedy nie słyszałam dobrze, tak się spieszyłam tutaj?” - „Ach nie, z kapustą, Mario, tylko na miłość Boską nie przypal ich tak jak wczoraj”. „A już postaram się dzisiaj, specjalnie, dla pani, niech pani raczy dać rączkę” i pocałowała panią w rękę na znak zawarcia zgody. Słowem, ubawiła niesłychanie całą salę.

- Ależ to numer! - pokręciła mama głową zadowolona z wiadomości i rozbawiona opowiadaniem Andrieja Piotrowicza, ukradkiem jednak spoglądała z niepokojem na Lizę.

- Panienka z charakterem, od dziecka taka była - uśmiechnął się Makar Iwanowicz.

- Żółć i nieróbstwo - odezwał się doktor.

- To ja mam być z charakterem, to o mnie żółć i nieróbstwo? - weszła nagle do nas Tatiana Pawłowna, najwidoczniej ogromnie zadowolona z siebie. - A tobie, Aleksandrze Siemionowiczu, nie wypada gadać byle czego. Miałeś ledwie dziesięć lat, a już znałeś mnie i mogłeś wiedzieć, czy naprawdę nic nie robię. A co do żółci, to sam mnie już rok leczysz i nie możesz wyleczyć, więc wstydź się. No, dosyć już nawydziałicie nade mną, Andrieju Piotrowiczu, dziękuję ci, żeś się fatygował do sądu. A u ciebie co nowego, mój Makarze? Tylko o ciebie przysłałam się dowiedzieć, nie o niego - tu pokazała na mnie ręką, ale w tej samej chwili poklepała mnie po przyjacielsku po ramieniu. Nigdy jeszcze nie widziałem jej w tak świetnym humorze. - No i cóż? - zakończyła, zwracając się do doktora i marszcząc niespokojnie brwi.

- Ano nie chce się położyć, siedzi ciągle i przez to niszczy organizm.

- Ależ ja tak tylko, posiedzę sobie trochę z ludźmi, porozmawiam - błagał Makar Iwanowicz, z wyrazem wprost dziecinnej prośby na twarzy.

- A wiem. Miła to rzecz, miła, miło jest pogawędzić sobie w swoim kółku, kiedy się dookoła nas ludzie zebrali. Znam ja już tego Makara - rzekła Tatiana Pawłowna.

- A jaki on żwawy - uśmiechnął się znowu staruszek, zwracając się do doktora. - W długie rozmowy

nie chce się bawić, ale pozwól, niech powiem: położę się, gołąbku, położę. Słyszałem już, a po naszymu to tak: „Jak się położysz, to może już nie wstaniesz”. Tak, drogi przyjacielu, czuję przez skórę.

- No tak, stara historia, przesady chłopskie: „położę się i, nie daj Boże, już nie wstanę” - to jest to, czego się najczęściej boją i wołają raczej w chorobie łąć po polach, niż iść do szpitala. A pan, Makarze Iwano-wiczu, pan po prostu tęskni za swoją kochaną swobodą, za swoimi długimi drogami - oto cała choroba. Odzwyczaił się pan od pozostawiania w jednym miejscu. Przecież pan jest, jak to mówią, pielgrzymem. A to włóczęgostwo wśród naszego ludu staje się manią. To już u ludu zauważyłem. Nasz chłop - to w większości wypadków włóczęga.

- A więc, podług ciebie, Makar jest włóczęgą? - spytała Tatiana Pawłowna.

- Nie, nie to chciałem powiedzieć. Użyłem tego w znaczeniu ogólnym. Niech sobie będzie włóczęga na tle religijnym, włóczęga z pobożności, a mimo to jest włóczęgą... Ja ze stanowiska lekarza...

- Zapewniam pana - zwróciłem się nagle do doktora. - Że to raczej my, ja i pan, jesteśmy włóczęgami, a nie ten staruszek, od którego moglibyśmy się wielu rzeczy nauczyć, bo on ma w życiu niezachwiane i stałe podstawy, i drogę jasną, a żaden z nas, ilu nas tu tylko jest, nie ma w życiu nic stałego i niezachwianego... Zresztą, pan i tak tego nie zrozumie.

Widocznie wystąpiłem bardzo ostro, ale w tym celu właśnie przyszedłem. Właściwie nie wiem, po co tam jeszcze siedziałem. Byłem jakby w obłądzie.

- A ty czego chcesz? - podejrzliwie spojrzała na mnie Tatiana Pawłowna. - A jak ty go znajdujesz, Makarze Iwanowiczu? - pokazała palcem na mnie.

- Zuch chłopiec, dajże mu Boże szczęście - rzekł staruszek bardzo poważnie, ale przy słowie „zuch” wszyscy prawie zaczęli się śmiać.

Z trudem zapanowałem nad sobą. Najgłośniej zaś ze wszystkich śmiał się doktor. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nic nie wiedziałem

359

o ich tajemnym porozumieniu. Wiersiłow, doktor i Tatiana Pawłowna jeszcze trzy dni temu umówili się, żeby ze wszystkich sił starać się rozproszyć złe przecucia i lęk mamy o Makara Iwanowicza, który był chory znacznie ciężiej i niebezpieczniej niż przypuszczałem. Dlatego właśnie wszyscy żartowali i śmieli się. Tylko, że doktor był głupi i, rzecz oczywista, nie umiał żartować.

To było przyczyną wszystkiego złego. Gdybym był wiedział o tej umowie, to bym tego nie zrobił.

Liza też o niczym nie wiedziała.

Siedziałem i słuchałem jednym uchem. Oni rozmawiali i śmieli się, a ja miałem głowę pełną Nastasji Jegorowny i jej nowin. Nie mogłem się jej pozbyć i ciągle stawała mi przed oczyma owa chwila,

kiedy Nastasja Jegorowna najpierw siedziała i oglądała się, potem ostrożnie wstała i zajrzała do sąsiedniego pokoju. W końcu wszyscy razem nagle roześmieli się. Tatiana Pawłowna, nie wiem zupełnie dlaczego, nazwała doktora niedowiarkiem: „No, ta wasza cała medycyna - same niedowiarki...”

- Makarze Iwanowiczu! - zawołał doktor, udając (nawiasem mówiąc, w sposób arcygłupi), że jest obrażony i że chce, aby mu oddano sprawiedliwość. - Niech pan powie, czy to prawda, że jestem niedowiarkiem?

- Ty niedowiarkiem? Nie, nie jesteś - odpowiedział poważnie staruszek, uważnie spoglądając na niego. - Nie, Bogu dzięki, nie jesteś - potrząsnął głową. - Ty po prostu lubisz się śmiać.

- A jak ktoś się lubi śmiać, to już nie może być niedowiarkiem? - rzekł doktor ironicznie.

- To jest w swoim rodzaju myśl - zauważył Wiersiłow, ale już poważniej.

- To potężna myśl! - wyrwało mi się. Idea ta poraziła mnie nagle. Doktor spojrzał na mnie pytającym wzrokiem.

- Z początku to bałem się tych ludzi uczonych, tych właśnie profesorów (prawdopodobnie poprzednio była mowa o profesorach) - zaczął Makar Iwanowicz, spuszczać oczy. - I jak jeszcze się bałem! Uciekałem od nich, bo niczego na całym świecie nie bałem się bardziej niż niedowiarków. „Nic nie mam - myślałem sobie - tylko tę jedną duszę i jak ją stracę, to już drugiej nie będę miał”. A potem ciekawość mnie brała: „Zobaczę, co to takiego jest to niedowiarstwo”. Tylko, bracie kochany, potem to już i ta ciekawość mi minęła.

Ucichł na chwilę, ale widać było, że zaraz zacznie mówić dalej. Z ust jego nie schodził spokojny i poważny uśmiech. Nieraz spotykamy się z naiwnością, która wierzy wszystkim i każdemu i nawet nie podejrzewa, że ktoś może sobie z niej zakpić. Ale w duszy Makara Iwanowicza

360

ukrywało się coś innego i coś innego, jak mi się zdawało, zmuszało go do odsłaniania swych uczuć, nie tylko owa, nie znająca zła prostota: tak jakby z głębi jego duszy wychylał się propagandysta. Z

zadowoleniem zauważyłem jego figlarny uśmiech, skierowany pod adresem doktora, a może i Wiersiłowa. Rozmowa ta była, rzecz oczywista, dalszym ciągiem ich dyskusji sprzed tygodnia, ale w jej trakcie wyłoniło się na nieszczęście znowu to samo fatalne słowo, które mnie wczoraj podnieciło i doprowadziło mnie do wystąpienia, którego dotychczas nie mogę odżałować.

- Człowieka niedowiarka - ciągnął staruszek w skupieniu - teraz może bym się zląkł; tylko że, przyjacielu Aleksandrze Siemionowiczu, nigdy jeszcze nie spotkałem prawdziwego

niedowiarka, a spotykałem tylko błakających się. Tak by ich można było najlepiej nazwać.

Różni to ludzie bywają. Nie wyobrażasz sobie nawet, jacy; i wielcy, i mali, i głupi, i uczeni, i nawet najlichszego stanu ludzie - wszyscy błakają się. Albowiem czytają i rozprawiają przez całe życie, i

czepią do sytości rozkosz z ksiąg płynącą, a tymczasem zawsze wątpią i niczego nie potrafią rozstrzygnąć. Jedni rozproszyli się całkowicie, już sami siebie nie dostrzegają, w innych serce stwardniało na kamień, a mimo to przepełniają je marzenia, a inni nie czują nic i zastanowić się już nie potrafią, a za jeden udany żart gotowi są diabłu duszę sprzedać. Inni z ksiąg przeczytanych powyбирали tylko to, co najmilsze dla oka i ucha, ale wątpliwości swoich nie rozstrzygnęli i drogi właściwej nie widzą. I co jeszcze powiem: nuda ogarnia serce. Mały człowiek, chociaż nędzę cierpi, chleba nie ma, nie ma co dzieciom dać jeść, śpi na ostrej słomie, a przecież nie martwi się, żyje sobie wesoło, nagrzeszy, nakł-nie, a przecież serce ma przepełnione radością. A mądry i bogaty pije, i je do syta, siedzi na złocie, a w sercu ma smutek.

Inny znów wszystkie nauki posiadał, a w sercu znowu ma smutek. I tak myślę, że im kto więcej ma nauki w głowie, tym większą ma pustkę w sercu. Albo na przykład: uczymy się i uczymy od początku świata, i czyż nauczyliśmy się, jak zrobić, żeby świat stał się dobry, i radosny, i szczęśliwy. I to jeszcze powiem: szlachetności ani trochę nie mają, a nawet jej nie chcą, i skazani są na zgubę, ale każdy swoją własną zgubę chwali, a nawet mu przez głowę nie przejdzie, że w każdej chwili można zwrócić się do jedynej prawdy; życie bez Boga - to wiekuista, nieustająca męka. A wreszcie - co stąd wynika? Że przeklinamy naszą własną mądrość, sami o tym nie wiedząc. I zresztą, co tu dużo myśleć: człowiek musi coś czcić. Bo by inaczej żyć nie mógł, i nie wytrzyma żaden

361

człowiek bez oddawania czci komuś. I jeżeli odepchnie od siebie Boga, to musi prędzej czy później paść na twarz przed bałwanem, czy drewnianym, czy złotym, czy choćby istniejącym tylko w jego myśli. Wszystko to nie niedowiarki, ale bałwochwálcy, oto jak ich trzeba nazywać! Ale i niedowiarki muszą być. Są tacy, którzy naprawdę w Boga nie wierzą, ale ci są najstraszniejsi, bo oni z imieniem Boga na ustach przychodzą. Słyszałem o nich nieraz, ale nigdy ich jeszcze nie spotkałem. Widywałem już takich i innych, więc myślę, że i oni muszą gdzieś być.

- Są, Makarze Iwanowiczu - potwierdził nagle Wiersiłow. - Są tacy i „oni muszą być”.

- Na pewno są i „muszą być i oni” - wyrwało mi się. Zapał jakiś ogarnął mnie tak, że nie mogłem się powstrzymać. Tak porwał mnie za sobą głos Wiersiłowa i zachwycała mnie jakby jakaś myśl, zawarta w sło -wach: „muszą być i oni”. Rozmowa ta była dla mnie całkowitą niespodzianką.

Ale w tej chwili stało się coś równie niespodziewanego.

—

Na dworze było nadzwyczaj jasno. U Makara Iwanowicza zwykle z polecenia doktora przez cały dzień były spuszczone rolety. Ale nie były to właściwie rolety tylko firanki, tak, że góra okna była zasłonięta, a to dlatego, że staruszek czuł się źle, nie widząc zupełnie słońca. I właśnie w tym czasie, kiedyśmy w najlepsze rozmawiali, promień słońca padł prosto na twarz Makara Iwanowicza. Pochłonięty rozmową, staruszek nie zwracał na to uwagi, ale kilkakrotnie, nie zdając sobie sprawy, odwracał albo uchylał głowę, bo ostre światło raziło go w chore oczy. Mama, siedząca obok niego, już kilka razy niespokojnie spoglądała w okno i trzeba było je po prostu czymś zasłonić. Nie chcąc jednak przerywać rozmowy, postanowiła spróbować, czy nie wystarczy odsunąć na bok ławeczki, na

której siedział Makar Iwanowicz. Trzeba ją było przesunąć o dziesięć, najwyżej dwanaście cali. Kilka razy mama pochylała się i próbowała ją przesunąć, ale nie mogła.

Ławeczka z siedzącym na niej Makarem Iwanowiczem nie poruszyła się. Czując podświadomie jej wysiłki, w trakcie rozmowy, zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy Makar Iwanowicz próbował podnieść się, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Mama mimo to nie przestawała szarpać ławeczki, wyęzając wszystkie swoje siły i wreszcie wszystko to strasznie zirytowało Lizę.

Pamiętam tylko, że zauważyłem, jak kilkakrotnie rzucała gniewne spojrzenia na Makara Iwanowicza, ale nie wiedziałem,

362

czemu to należy przypisywać, a przy tym byłem zajęty rozmową. I nagle rozmowę przerwał jej podniesiony ostry głos, nieledwie krzyk, skierowany pod adresem Makara Iwanowicza:

- Niechże pan wstanie, choć na chwilę, czy pan nie widzi, jak mama się męczy?

Staruszek tylko spojrzał na nią, zrozumiał od razu, o co jej chodziło, i spiesznie chciał się podnieść, ale nic z tego nie wyszło: podniósł się na wysokość paru cali i z powrotem opadł na ławkę.

- Nie mogę, gołąbeczko - odpowiedział Lizie, jakby ze skargą w głosie i jakoś dziwnie pokornie spoglądając jej w oczy.

- Opowiadać to pan potrafi całe historie, a ruszyć się z miejsca nie może?

- Liza! - krzyknęła na nią Tatiana Pawłowna. Makar Iwanowicz raz jeszcze spróbował zdobyć się na wysiłek, na próżno.

- Niech pan weźmie szczudło, ze szczudłem pan będzie mógł się podnieść - odpowiedziała twardo Liza.

- A, racja - powiedział staruszek i natychmiast trzęsącymi się z pośpiechu rękoma pochwycił szczudło.

- Ależ trzeba go podeprzeć! - podniósł się Wiersiłow. Za nim zerwał się doktor, za nim Tatiana Pawłowna, ale nie zdążyli jeszcze podejść, gdy Makar Iwanowicz, oparłszy się ze wszystkich sił na szczudle, nagle podniósł się i stanął w miejscu, oglądając się dokoła w radosnym triumfie.

- Ano, wstałem! - rzekł prawie z dumą, uśmiechając się radośnie. -Dziękuję ci, miła, nauczyłaś mnie rozumu, a myślałem już, że moje nogi są zupełnie do niczego.

Ale nie wytrzymał tak długo. Nagle szczudło, na którym opierał się całym ciężarem ciała, poślizgnęło się jakoś na dywanie, a że nogi nie mogły go utrzymać, przeto runął, jak długi na podłogę. Było to coś

straszego, przypominam sobie. Wszyscy z krzykiem przerażenia rzucili się ku niemu. Na szczęście nie potłukł się. Stuknął tylko ciężko kolanami o podłogę, zdążył jednak podeprzeć się prawą ręką i utrzymać się na niej. Podniesiono go natychmiast i posadzono na łóżku. Staruszek był

bardzo blady, nie ze strachu, ale od wstrząsu. (Doktor twierdził, że oprócz tego jest chory na serce.) Mama zaś była ledwie żywa z przerażenia. I nagle Makar Iwanowicz, jeszcze cały blady, trzęsąc się na całym ciele i jakby jeszcze nie przyszedłszy do siebie, zwrócił się do Lizy, i cicho, nieledwie pieszczotliwie, powiedział:

363

- Nie, kochanie, widać naprawdę moje nogi już do niczego.

Nie mogę oddać tego, co się wówczas we mnie działo. A mianowicie, w głosie biedaka nie było ani odrobiny skargi czy wyrzutu: przeciwnie, jasne było, że krzyk jej przyjął jako coś słusznego, że uważał się za winowajcę, któremu słusznie należała się ostra nagana. Wszystko to ogromnie wstrząsnęło Lizą. W chwili, gdy upadł, Liza zerwała się tak jak wszyscy i stała w miejscu blada jak trup, i oczywiście przerażona, tym bardziej, że zdawała sobie sprawę, że to wszystko było przez nią, ale usłyszawszy jego słowa, momentalnie zaczerwieniła się ze wstydu i żalu.

- No, dość już! - zakomenderowała Tatiana Pawłowna. - Wszystkiemu winne te wasze rozmowy.

Czas iść do domu. Nic dobrego z tego nie będzie, jeżeli nawet sam doktor zaprowadził gadaninę.

- Właśnie! - poparł ją Aleksander Siemionowicz, krzątając się koło chorego. - To moja wina, Tatiano Pawłowno, on potrzebuje odpoczynku.

Ale Tatiana Pawłowna nie słuchała go, tylko uparcie, bez słowa, przez jakieś pół minuty wpatrywała się w Lizę.

- Liza, chodź do mnie i ucałuj starą, głupią babę, jeżeli tylko zechcesz - powiedziała nagle.

I pocałowała Lizę. Nie mogę ściśle powiedzieć, dlaczego, ale właśnie tak trzeba było postąpić. To było tak dobrze i właściwie zrobione, że ja sam o mały włos nie rzuciłem się Tatianie Pawłownie na szyję. Właśnie w tej chwili nie należało dręczyć Lizy wyrzutami, a przyjąć z radością i pochwałą to piękne uczucie, jakie zrodziło się w jej sercu. Ale ja, zamiast tego, nie bacząc na chwilę powszechnego rozczulenia, podniosłem się nagle i zacząłem mówić, mocno i dobitnie zaznaczając każde słowo:

- Makarze Iwanowiczu, pan znowu użył słowa „szlachetność”, tego samego słowa, które męczy mnie od wczoraj, a nawet jeszcze dawniej... A właściwie męczyło mnie przez całe moje życie, tylko przedtem nie wiedziałem, co mnie męczy. Ten traf uważam za zrządzenie losu, niele-dwie za cud. Oświadczam to wobec pana.

Ale natychmiast przerwano mi. Jak już wspominałem, nie widziałem nic o ich znowie co do mamy i Makara Iwanowicza, a mnie oceniano podług mojego dawniejszego postępowania i uważano za zdolnego do wywołania najgorszego skandalu.

- Uciszyć, uciszyć go! - wrzasnęła Tatiana Pawłowna. Mama zadrżała, a Makar Iwanowicz, widząc ogólne przerażenie, sam się przestraszył.

- Arkadiju, daj spokój! - krzyknął na mnie ostro Wiersiłow.

364

- Dla mnie, proszę państwa - tu podniosłem jeszcze głos. - Dla mnie widok tego dziecięcia (wskazałem Makara) pośród was jest czymś potwornym. Tutaj jest tylko jedna święta istota - mama, ale i ona...

- Niech pan da spokój. On może się znów przestraszyć - zażądał doktor.

- Wiem, wiem, jestem wrogiem całego świata - wybełkotałem. Ale obejrzwawszy się jeszcze raz, spojrzałem wyzywającym wzrokiem na Wiersiłowa.

- Arkadiju! - krzyknął znowu. - Pamiętasz, już raz miała tu miejsce między nami taka sama scena.

Błagam cię, pohamuj się teraz!

Nie mogę wyrazić, jak wielka siła uczucia dźwięczała w jego głosie. Na twarzy jego widniał wyraz niesłychanego, serdecznego, szczerzego smutku. Najbardziej zaś zdumiewające było to, że sam wyglądał jak winowajca i że to ja byłem sędzią, a on zbrodniarzem. Tego już było dla mnie za wiele.

- Tak! - krzyknąłem w odpowiedzi. - Dokładnie taka sama scena miała miejsce, kiedy grzebałem Wiersiłowa i wyrywałem go ze swego serca. Ale potem nastąpiło zmartwychwstanie, a teraz -

teraz już nie będzie świtu. Ale... ale wszyscy tutaj zobaczycie, do czego jestem zdolny, i nie spodziewacie się nawet, czego potrafię dokonać.

Powiedziawszy to rzuciłem się pędem do swego pokoju. Wiersiłow pobiegł za mną.

Był to nowy nawrót mojej choroby. Dostałem silnej gorączki, a w nocy zacząłem bredzić, ale nie wszystko to, co widziałem, było maligną. Miałem mnóstwo snów, następujących jeden po drugim, a jeden sen, czy może fragment snu wbił mi się w pamięć na całe życie. Podaję go tutaj bez żadnych komentarzy. Był to sen proroczy, nie mogę go pominąć.

Znalazłem się nagle z jakimś wspaniałym, wielkim i dumnym zamiarem w sercu, w dużym i wysokim pokoju, ale nie u Tatiany Pawłowny: pamiętam ten pokój doskonale. Czynię tę uwagę, uprzedzając zdarzenia. Lecz chociaż jestem sam, jednak ciągle czuję, że ktoś na mnie czeka i spodziewa się czegoś po mnie. Gdzieś za drzwiami siedzą ludzie i oczekują tego, czego mam dokonać. Nieznośne uczucie: „O, gdybym byi sam!” I nagle wchodzi ona, patrzy nieśmiało, drży cała, nie spuszcza wzroku z moich oczu. W moich rękach znajduje się dokument. Ona uśmiecha się, żeby

365

mnie oczarować, łasi się do mnie; żal mi jej, lecz zaczynam czuć wstręt. Nagle ona zasłania twarz rękoma. Rzucam dokument na stół z gestem pogardy: „Niech pani nie prosi, oto jest; niczego od pani nie potrzebuję! Za moje poniżenie odpłacam pani pogardą!” Wychodzę z pokoju zachłystując się niezmierną dumą. Ale w drzwiach, po ciemku łapie mnie Lambert: „Dureń, głupiec! - szepcze mi do ucha, łapiąc mnie za rękę. - Ona musi otworzyć na wyspie Wasiliewskiej pensjonat dla dobrze urodzonych panien” (Nota bene: to znaczy, musi mieć z czego żyć, jeżeli ojciec, dowiedziawszy się ode mnie o dokumencie, wydziedziczy ją i wypędzi z domu. Słowa Lamberta podaję dokładnie tak, jak mi się przyśniły.)

„Arkadij Makarowicz szuka „szlachetności” - słyszę głosik Anny Andriejewny gdzieś obok, na tych samych schodach, ale w głosie jej brzmi nie pochwała, a zjadliwa ironia. Wracam do pokoju w towarzystwie Lamberta. Ale ona, zobaczywszy go, zaczyna nagle się śmiać do rozpuku. Pierwsze moje wrażenie to okropny strach, taki strach, że zatrzymuję się i nie chcę się do niej zbliżyć. Patrzę na nią i nie wierzę własnym oczom; jak gdyby nagle zdjęła maskę: te same rysy, ale najdrobniejszy szczegół twarzy tchnie jakąś bezgraniczną bezczelnością. „Teraz zapłata, proszę pani, zapłata” -

woła Lambert i oboje zanoszą się od śmiechu, a we mnie serce zaczyna zamierać: „O, czyżby ta bezwstydną kobieta była tą samą, od jednego spojrzenia której kipiało moje serce bezmiarem szlachetnego zapалу?”

„Oto do czego zdolni są ci dumni arystokraci za pieniądze, w tym ich wyższym świecie!” - woła Lambert. Ale nawet to nie wywiera na bezwstydnicy żadnego wrażenia. Śmieje się właśnie dlatego, że jestem taki przestraszony. O, ona jest gotowa dać zapłatę, to aż nadto widoczne... i...

Cóż to się ze mną dzieje? Nie czuję już ani litości, ani wstrętu, ogarnia mnie podniecenie, jakiego nigdy przedtem nie doznałem... Rodzi się we mnie nowe pożądanie, którego dotąd nie znałem i silne jak cały świat. O, teraz już nie mogę wyjść za nic w świecie. Jakże zachwyca mnie cały ten bezwstydn! Chwytam ją za rękę, dotknięcie jej rąk wstrząsa boleśnie całym moim ciałem, i zbliżam usta do jej czerwonych, roześmianych, bezczelnych i czekających na mnie warg...

O, precz to nikczemne wspomnienie! Przeklęty sen! Przysięgam, że przed tym obrzydliwym snem nie powstało mi nigdy w głowie nic podobnego do tej haniebnej myśli. Nigdy, nawet na wpół

świadomie nie zamarzyłem o czymś podobnym (choć „dokument” nosiłem zaszyty w kieszeni i niekiedy chwytałem się za kieszeń z dziwnym

366

uśmiechem). Skądże mi to przyszło w tej postaci? A źródłem tego wszystkiego była moja dusza, dusza drapieżnego pajaka. To znaczy, że wszystko to już dawno narodziło się i tkwiło w moim grzesznym i rozpustnym sercu, w moich tajemnych pożądaniach, ale serce wstydziło się jeszcze i rozum nie ośmielił się wyobrazić sobie świadomie czegoś podobnego. A we śnie dusza sama przedstawiła i wyraziła wszystko, co leżało na dnie serca, dokładnie, jasno i w całej rozciągłości i -

w wieszczy sposób. I czyżbym to właśnie chciał udowodnić, wybiegając rano z pokoju Makara Iwanowicza. Ale dość już; ani słowa więcej o tym - do czasu! Ten sen, który widziałem, to jedna z

najdziwniejszych przygód w moim życiu.

ROZDZIAŁ TRZECI

i

P

o trzech dniach wstałem rano z łóżka i, za ledwie stanąwszy na nogach, poczułem, że już się więcej nie położę. Odczuwałem w całej pełni bliskość powrotu do zdrowia. Może by nawet nie warto wypisywać wszystkich tych szczegółów, ale dni następne, chociaż w ich ciągu nie stało się nic godnego uwagi, pozostawiły w mojej pamięci wrażenie spokoju i pogody, a to rzadko się trafia w moich wspomnieniach. Nie będę dokładnie opisywać stanu mej duszy. Gdyby się czytelnik dowiedział, co się nań składało, to by na pewno nie uwierzył. Najlepiej wszystko potem wytłumaczyć fakty. A teraz poprzestanę na jednym: niech czytelnik zapamięta sobie duszę pająka. I to u człowieka, który chciał uciec od nich i od całego świata w imię szlachetności. Żywiłem w sobie pragnienie cnoty i to bardzo gorące i szczere, ale jakim sposobem mogło się ono pogodzić w mojej duszy z innymi, Bóg wie, jakimi pragnieniami - to pozostanie dla mnie tajemnicą. I zawsze było to tajemnicą, i setki razy dziwiłem się, jak to może człowiek (i to, zdaje się, przede wszystkim Rosjanin) pieścić w duszy swej najszczytniejsze ideały obok naj-nikczemniejszych podłości, i wszystko to nadzwyczaj szczerze. Czy to jest specjalna rozciągliwość duszy Rosjanina, która go może zaprowadzić daleko, czy po prostu podłość - oto jest pytanie.

Ale zostawmy to. Tak czy inaczej nastąpiło we mnie uspokojenie. Zrozumiałem po prostu, że za wszelką cenę należy jak najprędzej powrócić do zdrowia, aby móc jak najprędzej zacząć działać, a wobec tego postanowiłem żyć higienicznie i słuchać doktora (bez względu na jego wartość moralną), a wielkie zamiary odłożyłem z zadziwiającym rozsądkiem (owoc rozciągliwości duszy) do dnia odejścia, to znaczy do czasu wyzdrowienia. Jak owo rozkoszowanie się spokojem i zaciszem domowym mogło się godzić z dręcząco-słodkimi i niespokojnymi po-368

rywami serca, i z przecuciem niedalekiej burzy - nie wiem, ale tłumaczę sobie wszystko

„rozciągliwością.” Lecz poprzedniego, niedawnego niepokoju już we mnie nie było; odłożyłem wszystko do chwili decydującej, nie drząc już przed przyszłością, jak to było przed kilkoma dniami, ale oczekując jej spokojnie, jak bogacz, pewny swoich sił i środków. Coraz dumniej patrzyłem w oczy nadchodzącemu losowi, rzucałem mu coraz śmielsze wyzwania, a jak sądzę, przyczyny tego tkwiły częściowo w rzeczywistym już powracaniu do zdrowia i do sił życiowych.

Te właśnie dni ostatecznego i rzeczywistego już wyzdrowienia wspominam obecnie z najwyższym zadowoleniem.

O, oni darowali mi wszystko, to znaczy mój wybryk i to byli ci sami ludzie, którym rzuciłem w oczy obelgę: „jesteście wstrętni!”. To właśnie lubię w ludziach, nazywam to mądrością serca.

Przynajmniej to budziło we mnie odruchową dla nich sympatię, do pewnych granic, oczywiście. Na przykład z Wiersilowem rozmawiałem nadal jak z najbliższym znajomym, oczywiście, znów w

pewnych granicach. Jeżeli otwartość nasza posunęła się (a posuwała się dość często) choćby tylko odrobinę za daleko, to natychmiast obaj cofaliśmy się, jak gdyby nieco zawstydzeni. Zdarzają się takie wypadki, kiedy zwycięzca nie może powstrzymać się od uczucia wstydu wobec pokonanego, i to właśnie dlatego, że zwyciężył. Zwycięzcą byłem najwyraźniej ja - i ja właśnie czułem się zawstydzony.

Tego ranka, to znaczy kiedy po nawrocie choroby wstałem z łóżka, Wiersiłow przyszedł do mnie i wtedy dopiero po raz pierwszy dowiedziałem się od niego o ich wspólnej zмовie w sprawie mamy i Makara Iwanowicza; przy czym Wiersiłow nadmienił, że chociaż staruszek czuje się lepiej, ale doktor zupełnie nie chce brać na siebie odpowiedzialności za niego. Obiecałem z całego serca, że odtąd będę się zachowywał jak najostrożniej. Kiedy Wiersiłow mi to wszystko opowiadał, zauważyłem po raz pierwszy, że on sam również niezmiernie szczerze troszczy się o staruszkę, to znaczy daleko więcej, niż mógłbym się po nim spodziewać, i że patrzy na niego jak na istotę z pewnych przyczyn również i jemu samemu niezmiernie drogą, i to nie tylko ze względu na mamę.

Mnie to od razu ogromnie zainteresowało, prawie że zdziwiło, i przyznaję, że gdyby nie Wiersiłow, to nie dostrzegłbym i nie doceniłbym wielu rzeczy w tym starcu, który pozostawił jedno z najtrwalszych, i jedyne w swoim rodzaju wspomnienie w moim sercu.

Wiersiłow jak gdyby żywił obawę co do mojego traktowania Makara Iwanowicza, to znaczy, nie ufał ani mojemu rozumowi, ani taktowi, i dlatego był niezmiernie zadowolony, kiedy przekonał się, że i ja nie-369

kiedy potrafię zrozumieć, jak należy postępować z człowiekiem o zupełnie innym sposobie myślenia i innych poglądach, że umiem, kiedy trzeba, i ustąpić, i zrozumieć kogoś. Przyznaję się również (a sądzę, że mogę to zrobić, nie poniżając się), że w tej chłopskiej duszy znalazłem coś zupełnie nowego, jeśli chodzi o niektóre uczucia i poglądy, coś, o czym dawniej nie wiedziałem, coś, co dawało znacznie więcej radości i pogody, niż moje własne poglądy na dane sprawy. Mimo to jednak nie mogłem wprost powstrzymać się od pasji wobec jego pewnych najoczywistszych przesądów i zabobonów, które wypowiadał z niezachwianą wiarą i ze spokojem, mogącym każdego człowieka wyprowadzić z równowagi. Ale dusza jego była, że tak powiem, znakomicie zorganizowana, tak, że dotąd nie spotkałem jeszcze doskonalszego człowieka.

—

ilu

Co przede wszystkim pociągało w nim, to, jak zauważyłem wyżej, jego niesłychana szczerłość i brak najmniejszego samolubstwa; można było wyczuć w nim serce bez grzechu. Posiadał „pogodę”

serca, a więc i „szlachetność”. Słowa „pogoda” lubił bardzo i często go używał. Co prawda, wpadał

nieraz w stan jakiegoś jakby chorobliwego zachwyty, jakiegoś chorobliwego rozrzewnienia, częściowo, jak sądzę, również dlatego, że patrząc trzeźwo na rzeczy, przez cały czas miał gorączkę.

Ale to nie przeszkadzało jego szlachetności. Tkwiły w nim również pewne sprzeczności: obok

przedziwnej prostoduszności, nieraz zupełnie nie dostrzegającej ironii (co mnie często irytowało), wykazywał jakąś subtelną przebiegłość, szczególnie w gorętszych dyskusjach. A polemikę lubił, ale po swojemu i to nie zawsze. Widać było, że wiele chodził po Rosji, że wiele rzeczy słyszał, ale jak już mówiłem, najbardziej lubił łyzy czułego zachwyty, a więc także wszystko, co mogło je wywołać i sam również lubił opowiadać rzeczy, wywołujące je. W ogóle bardzo lubił opowiadać.

Słyszałem od niego wiele opowieści o jego własnych wędrówkach oraz legend z życia

najdawniejszych nieraz „pokutników”. Nie znam się na tych rzeczach, ale mogłem łatwo zorientować się, że przekręcał wiele w tych legendach, które poznał z tradycji ustnej ludu. Po prostu inaczej nie można sobie niektórych rzeczy wyobrazić. Ale obok oczywistych przekręceń, albo nawet wyraźnego zmyślenia, przebijała tam jakaś przedziwna całość, pełna uczuć ludu i zawsze rozrzewniana... Zapamiętałem na przykład spośród wszystkich tych historii jedną długą opowieść - żywot „Marii Egipcjanki”. O dziejach tego

370

„żywota”, jak zresztą o prawie wszystkich temu podobnych, nie miałem dotychczas najmniejszego pojęcia. Muszę po prostu powiedzieć: tego nie można było prawie słuchać bez łez, i to nie rozrzewnienia, ale jakiegoś dziwnego zachwyty; można było wprost wyczuć coś niezwykłego i gorącego, jak ów rozpalony, piaszczysty step, pełen lwów, po którym błędziła święta. Zresztą, nie chcę o tym wydawać sądu, nie jestem nawet do tego powołany.

Oprócz rozrzewnienia podobały mi się w nim jeszcze pewne nadzwyczaj oryginalne poglądy na niektóre zupełnie jeszcze sporne sprawy w naszej współczesnej rzeczywistości. Opowiedział mi pewnego razu historię o pewnym świeżo zwolnionym ze służby żołnierzu. Zdarzenia tego był

prawie naocznym świadkiem. Pewien żołnierz wrócił po odbyciu służby wojskowej do wsi rodzinnej i nie podobało mu się życie wśród chłopów, zresztą - on sam również nie spodobał się chłopom. Zszedł na manowce, zaczął pić i gdzieś kogoś obrabował. Dowodów niezbitych brakowało, ale uwięziono go i oddano pod sąd. W sądzie adwokatowi udało się już go prawie uniewinnić - nie ma dowodów i rzecz skończona - a ten słuchał, słuchał, aż nagle wstał i przerwał

adwokatowi: „Nie, zaczekaj” - powiada i wyznał wszystko „do najmniejszego ździebełka”.

Przyznał się do winy, zaczął płakać i kajać się. Przysięgli wyszli, zamknęli się, radzą i wreszcie przychodzą: „Nie, nie winien”. Wszyscy krzyczą, cieszą się, a żołnierz jak stoi, tak stoi, nawet nie drgnie, jakby skamieniał, nie może nic zrozumieć, nawet tego, co mówił przewodniczący, uwalniając go i pouczając na przyszłość. Znowu znalazł się nasz żołnierz na wolności i wprost nie wierzy sobie. Zaczął tęsknić, wpadł w zamyślenie, nie je, nie pije, od ludzi ucieka, a na piąty dzień wziął i powiesił się. „Ot, co znaczy żyć z grzechem na sercu!” - zakonkludował Makar Iwanowicz.

Opowiadanie to nie ma głębszego znaczenia i podobnych znajdziemy dzisiaj mnóstwo w każdej gazecie, ale mnie spodobał się w nim ton, a najbardziej pewne zwroty, zawierające bezwzględnie nową i oryginalną myśl. Mówiąc na przykład o tym, jak żołnierz po powrocie do wsi został

nieprzychylnie przyjęty przez chłopów, Makar Iwanowicz rzekł: „Wiadomo, co to takiego żołnierz: żołnierz - chłop zepsuty”. Mówiąc następnie o adwokacie, który o mały włos nie wygrał sprawy, użył zwrotu. „Wiadomo, co to takiego adwokat: adwokat - sumienie do wynajęcia”. Oba te zwroty rzucił jakby mimochodem i nie zdając sobie sprawy z ich głębi i oryginalności, a przecież w tych dwóch zwrotach kryje się całkowity, odrębny pogląd na obie kwestie, i chociaż oczywiście nie jest to pogląd całego ludu, ale zawsze własny,

371

nie zapożyczony od nikogo, pogląd Makara Iwanowicza! Te z góry ferowane wyroki ludu na temat innych nieraz są cudownie oryginalne. -A jak pan, Makarze Iwanowiczu, zapatruje się na grzech samobójstwa? - zapytałem go w nadziei usłyszenia czegoś podobnie oryginalnego.

- Samobójstwo jest największym grzechem człowieka - odpowiedział wzdychając. -Ale sądzić go może tylko Pan, bo On wie wszystko, zna wszystkie granice, kres wszystkiego. My zaś bezwarunkowo powinniśmy się modlić za takiego grzesznika. Ile razy usłyszysz o grzechu samobójstwa, to udając się na spoczynek, pomódl się serdecznie za takiego grzesznika.

Przynajmniej westchnij za niego do Boga, choćbyś go wcale nie znał - taka modlitwa będzie tym bardziej wysłuchana.

- A czy pomoże mu moja modlitwa, jeżeli już został potępiony?

- A ty skąd możesz wiedzieć? Wielu, och, wielu nie wierzy i tym odbiera ducha ludziom słabym i nieświadomym, ale ty ich nie słuchaj, bo nie wiedzą sami, dokąd zmierzają. Zaiste, modlitwa człowieka żywego za potępieńca zawsze dojdzie do Boga. A cóż stanie się z takim, za którego nie ma komu się pomodlić? Dlatego, kiedy się będziesz modlił przed snem, to skończywszy powinieneś zawsze dodać: „Zmiłuj się, Panie Jezu i nad tymi, za którymi nie ma komu się modlić”. Wielce jest skuteczna modlitwa taka i miła Panu. Tak samo za grzeszników, żyjących jeszcze na ziemi: „Panie, zbaw trwających w grzechu, tych o których Ty sam wiesz tylko” - to też dobra modlitwa.

Czując, że taką obietnicą sprawię mu ogromną przyjemność, obiecałem mu, że będę się tak modlił.

Istotnie, na twarzy jego zajaśniała ogromna radość. Muszę tutaj nadmienić, że w podobnych wypadkach Makar Iwanowicz nigdy nie traktował mnie z góry, tak jak zwykle starzec traktuje młodego chłopca. Przeciwnie, bardzo często sam słuchał mnie z widoczną przyjemnością, niekiedy wprost zasłuchiwał się w to, co mówiłem o różnych sprawach, wiedząc, że chociaż rozprawia z młodzikiem, to jednak młodzik ten przewyższa go znacznie wykształceniem. Na przykład, lubił ogromnie i bardzo często mówił o pustelnicztwie i stawiał „pustynię” znacznie wyżej „wędrowek”.

Gorąco polemizowałem z nim, podkreślając egoizm ludzi, porzucających świat i nie chcących przynieść żadnej korzyści człowieczeństwu, kierujących się wyłącznie swym własnym

zbawieniem. Z początku nie rozumiał, ale gorąco bronił pu-stelnicztwa: „Z początku człowiek martwi się nad sobą (to znaczy, kiedy osiadzie na pustyni), no - a potem z każdym dniem staje się weselszy, a

wreszcie ogląda samego Boga”. W odpowiedzi na to nakreśliłem przed nim szeroki obraz działalności uczonego, lekarza i w ogóle przyjaciela

372

ludzkości wśród ludzi i wywołałem w nim prawdziwy zachwyty, tym bardziej, że sam mówiłem z wielkim zapalem. Co chwila potakiwał mi słowami: „Tak, mój miły, tak. Prawdę mówisz, niech ci Bóg da szczęście”, ale kiedy skończyłem, niezupełnie chciał się ze mną zgodzić. „Tak to jest z tym

- westchnął głęboko. - Ale czy wielu jest takich, żeby wytrzymali i nie poddali się pokusie?

Pieniądz, chociaż nie jest Bogiem, ale półbogiem zawsze jest - wielka to pokusa, a tu i niewiasty, i wątplenia, i zawiść. I zapomni człowiek o tym powołaniu, a zajmie się rzeczami drobnymi. A na pustyni inaczej: tam człowiek wzmacnia się na duchu, zdobywa siły do największego nawet czynu.

Przyjacielu! Bo i cóż jest na tym świecie? - zawołał w ogromnym podnieceniu. - Czyż to wszystko nie jest ułudą? Weź piasku i posiej go na kamyku, jeżeli ci na tym kamyku wyrośnie żółty piasek, to wtedy się twoje marzenia światowe spełnią - tak to u nas mówią. A Chrystus powiada: »Idź i rozdaj swe bogactwa i bądź sam jako sługa«. I będziesz bogatszy niż dawniej, tysiąc razy bogatszy, bo nie przez jądło, nie przez bogate szaty, nie przez pychę i nie przez zawiść będziesz szczęśliwy, a przez miłość nieskończenie przemnożoną. I niemałe bogactwo, nie sto tysięcy, nie miliony, ale cały świat posiadasz. Teraz zbieramy i nigdy nie jesteśmy syci, wydajemy nieopatrnie i nie jesteśmy zadowoleni, a potem nie będzie ani sierot, ani nędzarzy, bo wszyscy będą moimi, wszyscy będą krewnymi, wszystkich zdobędziesz, wszystkich, do ostatniego kupiłeś! Dziś nie jest rzadkością, że najzamożniejszy i najznakomitszy człowiek nie ceni sobie życia swego i sam już nie wie, jaką teraz nową zabawę wymyślić, a wtedy dni i godziny twoje rozmnożą się tysiącokrotnie, bo żadnej nie będziesz chciał stracić, a każdą odczujesz w radości serca swego. I mądrość najwyższą wówczas posiadasz i to nie z samych ksiąg tylko, a będziesz Boga na własne oczy oglądał i ziemia zajaśnieje ci piękniej niż słońce i nie będzie już ani smutku, ani płaczu, ani wzdychania, a tylko jeden, cudowny raj...”

Te właśnie porywy zachwyty ogromnie lubił Wiersiłow. Tym razem akurat był w tym samym pokoju.

- Makarze Iwanowiczu! - przerwałem mu nagle, sam podniecony do najwyższego stopnia (pamiętam doskonale cały ten wieczór). - Ależ pan jesteś komunistą, zdecydowanym komunistą, jeżeli pan głosisz takie poglądy!

A ponieważ absolutnie nie wiedział nic o teorii komunizmu i nawet pierwszy raz w życiu słyszał to słowo, przeto zacząłem wyklądać mu to wszystko, co wiedziałem na ten temat. Przyznać muszę, że wiedziałem

373

mało i wiadomości moje były chaotyczne, a nawet teraz jeszcze nie znam dokładnie tej teorii.

Wyłożyłem jednak z zapalem to, co wiedziałem, nie licząc się z niczym. Dotychczas wspominam z

zadowoleniem olbrzymie wrażenie, jakie słowa moje wywarły na staruszkę. Nie można nawet nazwać tego wrażeniem, a wprost wstrząsem. Przy tym ogromnie zainteresowały go wszystkie szczegóły, dotyczące historii komunizmu: „Jak? Gdzie? Kto urządził? Kto powiedział?” Nawiasem mówiąc, miałem już nieraz sposobność zauważyć, że to w ogóle jest charakterystyczną cechą ludu: jeżeli go coś bardzo zacieka, to nie wystarcza mu ogólna idea, ale chce zawsze

najdokładniejszych i najbardziej szczegółowych danych. Zresztą plątałem się w szczegółach, a że przy tym był obecny Wiersiłow, przeto czułem się nieco zażenowany i na skutek tego wpadałem w coraz większe podniecenie. Skończyło się na tym, że Makary Iwanowicz wpadł w rozczulenie i za każdym słowem powtarzał: „Tak, tak!”, ale najwidoczniej nic już nie rozumiał i stracił wątek.

Zrobiło mi się przykro, lecz Wiersiłow nagle przerwał rozmowę, wstał i ogłosił, że już pora iść spać. Byliśmy wtedy wszyscy w komplecie i było już późno. Kiedy po kilku minutach zajrzał do mnie, natychmiast zapytałem go, jak zapatruje się na Makara Iwanowicza i co w ogóle o nim myśli.

Wiersiłow uśmiechnął się wesoło (ale to nie z powodu moich pomyłek co do komunizmu -

przeciwnie, nawet nie wspomniał o nich). Powtarzam znowu, zdecydowanie wprost przyłgnął do Makara Iwanowicza i często, kiedy słuchał starca, na twarzy jego ukazywał się niezmiernie miły uśmiech. Zresztą, uśmiech ten bynajmniej nie przeszkadzał mu w krytyce.

- Przede wszystkim Makar Iwanowicz nie jest chłopem, ale sługą dworskim - powiedział z dużą ochotą. - Dawnym sługą dworskim, urodzonym z ojca i matki służących. W dawnych czasach słudzy interesowali się ogromnie życiem prywatnym, moralnym i umysłowym swoich panów, można rzec, współżyli z nimi. Zwróć uwagę na to, że Makar Iwanowicz jeszcze dotychczas interesuje się najbardziej wypadkami z życia panów i wyższych sfer. Nie wiesz jeszcze do jakiego stopnia zajmują go zdarzenia z lat ostatnich w Rosji. Czy wiesz, że Makar Iwanowicz jest wielkim politykiem? Nie chce niczego słuchać oprócz wiadomości, gdzie kto toczy wojnę i czy my też weźmiemy udział w jakich wojnach. Dawniej nieraz doprowadzałem go wprost do zachwyty rozmowami tego rodzaju. Naukę ogromnie szanuje, a ze wszystkich jej działów najbardziej lubi astronomię. Przy tym wszystkim wypracował sobie pewną niezależność duchową, z której go już nic nie zepchnie. Ma poglądy

374

staie i dość jasne i... słuszne. Chociaż nie ma nawet elementarnej wykształcenia, potrafi nieraz wprawiać słuchaczy w zdumienie znajomością pewnych pojęć, o które byśmy go nawet nie podejrzewali. O pustyni mówi z zapalem, ale na pustynie, ani do klasztoru za nic nie pójdzie, ponieważ jest w najwyższym stopniu „włóczęgą”, jak go bardzo miło nazwał Aleksander Siemionowicz, na którego ty, nawiasem mówiąc, niepotrzebnie się obraziłeś. No i cóż jeszcze, żeby na tym skończyć: jest do pewnego stopnia artystą, używa wielu pojęć swoich, chociaż używa i cudzych. Trochę kuleje w logice wykładu, nieraz zupełnie się odrywa; ma porywy

sentymalizmu, ale najzupełniej ludowego, albo lepiej powiedzieć, porywy tego

charakterystycznego rozrzewnienia, które cały nasz lud wprowadza w wielkim zakresie w uczucia

religijne. Nie będę mówił o jego serdeczności i łagodności. Obaj znamy ją aż za dobrze...

ii!

Żeby zakończyć charakterystykę Makara Iwanowicza, przekażę którąś z jego opowieści, właściwie pochodzącą już z jego własnych przeżyć. Opowieści te były dość dziwne, właściwie nie miały zdecydowanego charakteru, który by był wspólny im wszystkim. Nie można z nich wydobyć jakiegoś sensu moralnego ani ogólnego nastawienia, chyba to, że wszystkie zawierały w większym lub mniejszym stopniu ową rzewność. Ale wśród nich były również opowieści zupełnie nie rozrzewniające, były nawet bardzo zabawne, nawet zawierające drwiny z niektórych rozpustnych mnichów, tak, że opowiadając je szkodził po prostu swojej idei, na co nawet zwracałem mu uwagę, ale nie potrafił zorientować się, o co mi chodziło. Nieraz trudno było zrozumieć, co skłaniało go do tego nieustannego opowiadania, tak że niekiedy wprost dziwiłem się tej obfitości słów i przypisywałem ją częściowo starości i chorobie.

- Nie jest już tym, czym był dawniej - szepnął mi raz Wiersiłow. -Dawniej był inny; zapewne niedługo umrze, znacznie prędzej, niż się spodziewamy i dlatego musimy być przygotowani.

Zapomniałem powiedzieć, że weszły u nas w zwyczaj pewnego rodzaju „wieczory”. Oprócz mamy, która ani na chwilę nie opuszczała Makara Iwanowicza, do jego pokoju przychodził każdego wieczoru Wiersiłow, ja także przychodziłem zawsze, zresztą nie miałem co ze sobą robić. W

ostatnich dniach zachodziła także Liza, nieled-wie co dzień, chociaż nieco później niż inni i prawie zawsze przesiadywała całymi godzinami, nie otwierając ust. Bywała również Tatiana

375

Pawłowna i, chociaż rzadko, ale bywał także doktor. Tak wyszło, że zbliżyłem się nieco do doktora; nie za bardzo, ale przynajmniej poprzednie incydenty nie powtarzały się już. Dopatrzyłem się w nim w końcu pewnego rodzaju prostoty, która mi się spodobała, jak również przywiązania, jakie okazywał naszej rodzinie, tak że zdecydowałem się darować mu jego medyczną dumę i nawet nauczyłem go, jeżeli nie noszenia czystej bielizny, to przynajmniej mycia rąk i czyszczenia paznokci. Po prostu wytłumaczyłem mu, że tu nie chodzi o jakąś gogusiową elegancję albo wykwent, lecz że czystość z natury rzeczy wchodzi w zakres rzemiosła lekarskiego, i dowiodłem mu tego. Wreszcie i Łukieria podchodziła często ze swej kuchni do drzwi i, stojąc za progiem, słuchała opowieści Makara Iwanowicza. Razu pewnego Wiersiłow nawet zawołał ją spod drzwi i zaproponował, żeby siedziała razem z nami. Mnie to się spodobało, ale odtąd przestała już przychodzić. Każdy ma swoje zwyczaje!

Opowiadanie poniższe umieszczam nie dlatego, żebym uważał je za najciekawsze, ale dlatego, że najdokładniej wbiło mi się w pamięć. Jest to historia o pewnym kupcu i sądzę, że historie takie zdarzają się tysiącami w naszych miastach i miasteczkach, trzeba tylko umieć je dostrzegać. Kto chce, może je pominąć, tym bardziej, że powtarzam je stylem Makara Iwanowicza.

IV

A teraz powiem, jakie to dziwo zdarzyło się w mieście Afimiewskoje. Był tam kupiec, nazywał się Skotobojnikow, Maksim Iwanowicz, i w całej okolicy nie było większego bogacza od niego.

Zbudował sobie przedziałnię i robotników miał kilka setek i wreszcie wpadł w niezwykłą pychę. I trzeba powiedzieć, że wszyscy przed nim tańczyli, i władza na wszystko mu pozwalała.

Archimandryta dziękował mu za hojność: dawał dużo na klasztor i od czasu do czasu nad duszą swoją wzdychał i o przyszłym życiu myślał wiele. Był on przy tym wdowiec i bezdzietny, a o żonie jego, to takie wieści chodziły, że zgładził ją niby to jeszcze w pierwszym roku małżeństwa, i że za młodu rąk swoich w gniewie nie hamował. Tylko, że było to już dawno, a więzów małżeńskich po raz drugi nakładać na siebie nie chciał. A i głowy do trunków mocnej nie miał, a jak czas na niego przyszedł, to po pijanemu nagusieńki po mieście biegał, i krzyczał w niebogłoso, a miasteczko maleńkie i wszyscy tam wiedzą, co kto robi. A kiedy czas minął, to stawał się zły, i co wymyślił, 376

to musiało być dobre, a co rozkazał, to słuszne. A ludziom płacił podług swojej woli, weźmie liczydła, włoży okulary: „A tobie, Foma, ile?” - „Od Bożego Narodzenia nic nie brałem, Maksimie Iwanowiczu, trzydzieści dziewięć rubli mi się należy”. - „Och, jaka masa pieniędzy! To za dużo dla ciebie, tyś cały nie wart tyle; dziesięć rubli potrącam, a dwadzieścia dziewięć możesz brać”. I milczy człowiek; nikt nie ośmielił się pisać, wszyscy siedzą cicho.

Ja, powiada, wiem, ile mu trzeba dać. Z tutejszymi ludźmi inaczej nie można. Tutejszy człowiek to rozpustnik. Gdyby nie ja, to by wszyscy, tak jak są, z głodu poumierali. Żeby więcej powiedzieć, to tu, co człowiek, to złodziej, co zobaczy, to ciągnie do siebie, żadnego opanowania w sobie nie ma.

A jeszcze dodać trzeba to, że tu wszystko - pijacy. Zapłać takiemu, a on do szynku zanieś, a potem siedzi w szynku nagi, przepije wszystko co do niteczki, wychodzi goluteńki. A przy tym łajdak: siądzie sobie na kamieniu przed szynkiem i zacznie zawodzić: „Matulu moja kochana, a po coś ty mnie, takiego pijaka, na świat wydała? A nie byłoby to lepiej takiego pijaka zaraz po urodzeniu zadusić!” Tak więc - czy to jest człowiek? To zwierzę, a nie człowiek. Naprzód go trzeba zrobić człowiekiem, a potem można mu dać pieniędzy. Ja wiem kiedy mu dawać.

Tak to mawiał Maksym Iwanowicz o ludziach z Afimiewskoje. Złe o nich mówił, prawda, ale jednak racja w tym była: lud to był skory do upadku, nie panował nad chucią.

A mieszkał w tym mieście jeszcze jeden kupiec, ale umarł, człowiek młody i lekkomyślny, zbankrutował i pozostał bez kapitału. Miotał się ostatniego roku jak ryba w siatce, męczył się, ale na nic: przyszedł na niego koniec. Z Maksimem Iwanowiczem żył w niezgodzie i na wszystkie strony miał u niego długi; jeszcze w chwili konania przeklinał Maksima Iwanowicza. I zostawił

wdowę, młodą jeszcze, a z nią pięcioro dzieci. A przecież dla wdowy takiej zostać samej bez męża, to jak dla jaskółki bez gniazda - już i tak okropna męka, a co dopiero zostać z pięciorgiem maleństwa, któremu nie ma co do ust włożyć. A resztę, co mieli, domek drewniany, Maksim Iwanowicz za długi chciał zabrać. Ustawiła je biedaczka wszystkie rzędem w kruchcie w cerkwi: chłopaczek najstarszy miał osiem latek, potem była dziewczynka czteroletnia, a dalej następne, każda

o rok młodsza, najmniejsza na rękę, przy piersi. Skończyła się msza, wychodzi nasz Maksim Iwanowicz z cerkwi, a tu dzieci wszystkie, jak stały, rzędem na kolana przed nim - nauczyła je matka przedtem, co mają robić, i rączki składają, wyciągają do niego,

377

a sama wdowa z piątym dzieckiem na rękę, też uklękła i przy wszystkich do stóp mu się pokłoniła:

„Ojczulku kochany, Maksimie Iwanowiczu, zmiłuj się nad sierotami, nie zabieraj ostatniego kęsa chleba, nie wypędzaj z gniazda rodzinnego!” I wszyscy, którzy tam byli, zapłakali, tak już ona je nauczyła. Myślała sobie: „Może chociaż przy ludziach zawstydzi się i daruje, odda sierotom dom ojcowski”. Stał przed nią Maksim Iwanowicz. „Ty - powiada - młoda jeszcze jesteś, tobie się męza chce, nie o sieroty ci chodzi. Nieboszczyk twój jeszcze na śmiertelnym łożu przeklinał

mnie” - i poszedł dalej, i domu nie oddał. „Czemu to mam cudzym błazeństwom pobłażać? Okaż takim dobrodziejstwo, to jeszcze bardziej będą urągać. I tylko plotek będzie zatrząsienie”. A plotki się rozchodziły, ale o tym, że on dziesięć lat temu tej właśnie wdowie, a wtedy jeszcze pannie i podarki posyłał, i bogactwa wielkie chciał dać (a ładna była bardzo), nie pomyślając, że to grzech wielki, taki sam, jakby świątynię pańską ograbić, ale nic od niej nie uzyskał. A takich podłości i w mieście, i po całej guberni niemało czynił, tak że żadnego pohamowania w tym względzie nie miał.

Zapłakała matka z pisklętami. Wypędził sieroty z domu i to nie tylko przez zemstę, bo człowiek sam nieraz nie wie, dlaczego zawsze chce na swoim postawić. Biednej wdowie ten i ów pomógł na początek, a potem zaczęła szukać pracy. Ale jaka to u nas poza fabryką może być praca: tam wyszorowała podłogę, tu ogród skopała, tam w łaźni napaliła i z dzieckiem na rękę chodzi sobie i płacze, a reszta, czworo, w koszulin-kach po ulicy biegają. Kiedy jeszcze w kruchcie przed Maksimem Iwanowiczem klękały, wszystkie miały buczki jako takie, i paltociki jako takie, przecież po kupcu dzieci, a teraz już i bosy latają. Na dziecku przecież ubranie długo nie trwa. I, zresztą, co tam dzieciom: aby tylko słońce świeciło, to już się cieszą, zguby nie czują jak ptaszki, a głosiki ich jak dzwoneczki. A wdowa rozpacza: „Co ja z wami pocznę, jak zima nadejdzie? Żeby choć Pan Bóg wcześniej do siebie wziął!” Tylko że zimy nie doczekała. W

naszych okolicach przychodzi na dzieci taki kaszel, nazywa się koklusz, że z jednego na drugie przechodzi. Najpierw umarła dziewczynka przy piersi, a za nią reszta i wszystkie cztery tej samej jeszcze jesieni poniosła na cmentarz. Jedną, prawda, konie na ulicy zabiły. I cóż myślisz?

Pochowała i zawyła; przedtem im śmierci życzyła, a jak umarli, żal ją ogarnął. Serce matczyne!

Został jej tylko najstarszy chłopiec; trzęsie się nad nim, pielęgnuje go. Słabiutki był i delikatny jak dziewczeczka, a i twarzyczkę miał milutką jak dziewczeczka. Oddała go do fabryki, do administratora, ojca chrzestne-378

go, a sama najęła się za niańkę u jednego urzędnika. Biega sobie chłop-czyna po podwórku, a tu właśnie zajeżdża parą koni Maksim Iwanowicz, a jeszcze właśnie był wypity, a chłopak na schodach nienaumyślnie poślizgnął się i prosto na niego, i jak tamten wysiadał z sani, uderzył go rączkami prosto w brzuch. Złapał go Maksym Iwanowicz za włosy i zawył: „Co to za jeden?

Różgi! Obić go tutaj - mówi - zaraz, przy mnie”. Chłopiec stoi, ledwie dyszy. Zaczęli go bić, krzyknął. „To ty jeszcze będziesz krzyczał? A bijcie go, póki nie przestanie krzyzczeć!” Nie wiem, czy go jeszcze dużo bili, czy mało, ale nie przestawał krzyzczeć, póki nie zemdłał. Wtedy przestali bić i złąkli się. Chłopiec leży bez ruchu, nie oddycha. Potem mówiono, że go nawet niewiele bili, ale że strachliwy był. Aż i sam Maksim Iwanowicz przestraszył się! „Czyj to chłopak?” - spytał; powiedziano mu. „No, no! Zanieść go do matki! Czego się tu po fabryce wałęsał?” Przez dwa dni potem milczał, aż wreszcie znowu spytał: „A co z chłopcem? A z chłopcem było źle: zachorował, w kącie u matki leży, a ona nawet musiała przez to rzucić swoje miejsce u tego urzędnika; dostał

zapalenia w płucach. „Patrzaj no! - powiedział. - I z czego to znowu się wzięło? Jeszcze, żeby go bardzo zbili, ale przecież ledwie dotknęli. Nieraz już chłopców kazałem bić tak samo jak jego, ale nigdy nic podobnego nie było”. Spodziewał się teraz, że matka wystąpi ze skargą i z pychy nic już więcej nie mówił. A gdzieżby ona tam śmiała iść na skargę. A wtedy on posłał jej od siebie piętnaście rubli i lekarza na swój koszt. Ale to nie dlatego, żeby się bał, a tak po prostu, przyszło mu do głowy. A w trakcie tego nadszedł jego czas i pił znowu przez jakie trzy tygodnie.

Minęła i w samo jasne Zmartwychwstanie Pańskie, w dzień największego święta, pyta Maksim Iwanowicz znowu: „A cóż z tamtym chłopcem?” A przez całą zimę nic nie mówił, o nic nie zapytał. I mówią mu: „Wyzdrowiał, a matka najmuje się do różnych posług”. I tego samego dnia Maksim Iwanowicz pojechał do wdowy, tylko do jej mieszkania nie chciał wejść, kazał ją zawołać do bramy, rozmawiał z nią, siedząc w saniach. „Ot, co - powiada - zacna wdowo, pragnę zostać twego syna dobrodziejem i łaskę moją najwyższą mu okazać, biorę go od tej chwili do siebie, do mego własnego domu. A jak mi się spodoba, to mu umierając, zapiszę znaczny kapitał, a jak go polubię, to może nawet po mojej śmierci cały majątek dostanie, tak, jakby był moim synem. Ale to wszystko pod warunkiem, żebyś pani z łaski swojej raczyła mego domu nie nawiedzać poza wielkimi świętami. Jak zgadzasz się na to, to jutro rankiem przyprowadź mi chłopca, czas już, żeby przestał się w piasku

379

bawić”. To rzekłszy pojechał, a matka została niby obłąkana, nie wie, co robić. Ludzie usłyszeli, o co chodzi, zaczęli jej tłumaczyć: „Jak chłopiec wyrośnie, sam ci będzie wyrzucał, żeś go takiego losu pozbawiła”. Przez całą noc płakała nad dzieckiem, a rankiem zaprowadziła go, gdzie kazano.

A chłopiec ani żywy, ani martwy.

Maksim Iwanowicz ubrał go jak panicza, nauczyciela mu wziął i od pierwszej chwili nad książką posadził. Wreszcie do tego doszło, że go z oczu nie spuszcza, odejść mu od siebie nie pozwoli.

Niech się chłopiec na chwilę na coś zagapi, a ten zaraz woła: „Do książki, ja chcę ciebie na człowieka wyprowadzić”. A chłopiec wątpy, od czasu, kiedy go obili, kaszłał: „Jakżesz to? - dziwi się Maksym Iwanowicz. - Czyżby mu źle było u mnie? U matki biegał na bosaka, żył o suchym chlebie, a lepiej wyglądał, niż teraz”. A nauczyciel odpowiada mu na to: „Chłopiec każdy -

powiada - musi takież pobiegać, ruchu potrzebuje” - dowiódł mu tego, jak należy. Maksim Iwanowicz pomyślał sobie: „Ma rację”. A nauczyciel ten, Piotr Stiepanowicz, światłość mu wiekuista, był jakby nie w pełni rozumu; pił bardzo wiele, aż za dużo nawet i dlatego też miejsca nigdzie nie mógł

zagrzać, i żył w mieście tak jakby z jałmużny, a rozum był wielkiego, i w naukach był mocny: „Mnie - powiadał - nie tu miejsce, ja powinienem być profesorem gdzieś na uniwersytecie, a tu gniję w błocie i „nawet szaty moje brzydzą się mną”. Siadł Maksim Iwanowicz przy chłopcu i krzyczy do niego: „Baw się!” - a chłopiec przed nim ledwie dyszy. Do tego w końcu doszło, że dziecko nawet jego głosu nie mogło znieść - zaraz zaczynało się trząść. A Maksim Iwanowicz dziwi się coraz bardziej: „Ani on taki, ani owaki, z błota go wziętem, w cienkie sukno odziałem, koszulkę ma haftowaną, jak generalskiego synka wychowuję, czemuż on mi nawet najmniejszego przywiązania nie okaże? Czemuż patrzy spode łba jak wilczek i słowem się nie odezwie?” I chociaż wszyscy już przyzwyczaili się do dziwactw i wybryków Maksima

Iwanowicza, ale teraz znowu zaczęli dziwić się: nie wie człowiek, co robi; przyczepił się do dziecka, popuścić mu nie chce: „Umrę, a wykorzenie z niego ten upór; ojciec jego już na łożu śmierci, już po komunii świętej, umierając przeklinał moje imię i w chłopcu ten sam charakter, ta sama ojcowska złość tkwi”. I nawet różgi nie używał (od tamtego razu bał się). Zastraszył go, ot co. Bez różgi zastraszył.

I zdarzyło się zdarzenie. Razu pewnego Maksim Iwanowicz wyszedł z pokoju, a chłopiec, jak tylko został sam, zerwał się od książki i skoczył na krzesło. Piłka mu na półkę wpadła, więc chciał ją stamtąd zdjąć. Ale na

380

polce stała lampa porcelanowa - zaczepił o nią rękawem i ściągnął. Lampa poleciała na podłogę i rozbiła na drobne kawałki, tak że w całym domu zadzwoniło, a lampa z saskiej porcelany - rzecz droga. A tu nagle Maksim Iwanowicz z trzeciego pokoju usłyszał i zawył. Chłopak jak nie zacznie uciekać, gdzie oczy poniosą, ze strachu wyleciał na balkon i do ogrodu, a potem przez tylną furtkę na brzeg rzeki. A tam na brzegu jest bulwar, stoją stare wierzby, wesołe miejsce. Chłopczyna zbiegł na dół, do samej wody i tu, ludzie widzieli, ręce załamał, stoi jak skamieniały, na tym samym miejscu, gdzie prom przybija, wody się przestraszył, czy co. A na tamtym brzegu plac szeroki, rzeka płynie bystro, barki przepływają, sklepów pełno z tamtej strony wody, na placu i świątynia Pańska błyszczy złotymi kopułami. A tu właśnie spieszy do przewozu pułkownikowa Fersing - w mieście stał pułk piechoty. Prowadzi za rączkę córeczkę, też dziecko ośmioletnie, idzie sobie w białej sukience, na chłopca patrzy i uśmiecha się, a w rączce ma taki mały koszyczek wiejski, a w koszyczku - jeża. „Spójrz, mamusiu - mówi - jak ten chłopczyk przygląda się mojemu językowi”. „Nie - odpowiada pułkownikowa - on musiał się czegoś bardzo przestraszyć. Mój śliczny chłopcze, czego się przeląkłeś?” (Wszystko to później powtórzono.) - „I jaki to - powiada -

śliczny chłopczyk i jak ładnie ubrany? Gdzie jest twoja mamusia, chłopcze?” A on, że to nigdy jeszcze jeża nie oglądał, podchodzi bliżej, i już o wszystkim zapomniał, zwyczajnie, jak to dziecko!

„Co to - powiada - panienka ma takiego?” „A to - mówi panienczka - język, myśmy przed chwilą od wieśniaka kupiły, w lesie go znalazł”. - „Jakże to - powiada - co to takiego jest ten język?” I już uśmiecha się i zaczął go palcem ruszać, a jeż kolce nastawił, a dziewczynka uśmiecha się do chłopca: „My - powiada - zaniemiemy go do domu i będziemy go uczyć”. „Ach - powiada - niech mi pani podaruje swego języka!” A tak ją bardzo prosił i ledwie to powiedział, a tu Maksim Iwanowicz z góry, z brzegu, jak na niego nie krzyknie: „A tu cię mam! Trzymajcie go!” (Taki był

wściekły, że bez czapki z domu za nim popędził.) Chłopiec, jak to usłyszał, przypomniał sobie, jak nie krzyknie, jak nie podbiegnie do rzeki, piastki do piersi przycisnął, spojrział w niebo (widziano to, widziano!) - i buch do wody. Ano, zaczęli krzyczeć, skoczyli ludzie z promu, chcieli ratować, ale woda go zniosła, a kiedy wyciągnęli, to już był martwy, zachłusnął się. Chory był, piersi miał słabe, nie mógł tyle wody wytrzymać - a przy tym, a bo to takiemu wiele potrzeba? A w tamtej okolicy, jak pamięcią sięgnąć, nie zdarzyło się nic takiego, żeby taki mały dzieciak targnął się na własne życie. Taki grzech! I cóż ta duszyczka Panu powie, kiedy stanie przed Nim na tamtym świecie!

381

A wszystko to od tego czasu zastanowiło Maksima Iwanowicza. I tak się ten człowiek zmienił, że wprost nie do poznania. Och, w wielki smutek wpadł wtedy. Zaczął naprzód pić, dużo pił, ale przestał, nie pomogło mu. I już do fabryki przestał jeździć, mówić z nikim nie chciał. Mówi do niego ktoś, a on milczy, albo ręką machnie. Żył tak miesiąc, czy dwa, a potem zaczął sam ze sobą rozmawiać. Chodzi i sam coś do siebie mówi. Spaliła się raz pod samym miastem wioseczka Waškowa, dziewięć domów spłonęło. Pojechał Maksim Iwanowicz zobaczyć. Pogorzelcy obścapiłi dokoła, zawyli - obiecał wspomóc i zarządzenie takie już wydał, a potem administratora zawołał, i cofnął wszystko: „Nie dawać im nic - powiada - nie trzeba”. I nie powiedział dlaczego. „Na pogardę - powiada - wydał mnie Pan Bóg wszystkim ludziom, to już niech tak będzie. Jako wiatr -

powiada - rozwiała się wspaniałość moja”. Przyjechał do niego sam archimandryta, starzec surowy, który w klasztorze wspólnotę zaprowadził. „Cóż to z tobą się dzieje?” - pyta surowo. „A ot co ze mną jest” - powiada Maksim Iwanowicz. I otworzył księgę pańską i wskazał to miejsce:

„A kto by z was zgorszył jednego z tych maluczkich, co we Mnie wierzą, zaprawdę, powiadam wam, lepiej by mu było, gdyby mu kamień młyński przywiązali do szyi i rzucili go w najgłębszą studnię.” (Mat. 18; 6.)

- Tak - odpowiada archimandryta - chociaż nie o tym wprost mówi tutaj Pismo, ale zawsze i tego dotyczy. Biada, jeżeli człowiek miarę swoją przekroczy - zginie człowiek taki. Ale tyś zwątpił.

A Maksim Iwanowicz siedzi, jakby w osłupieniu, ani drgnie. Archimandryta patrzy na niego i patrzy.

- Słuchaj - powiada - i zapamiętaj sobie dobrze. Powiedziano jest: „Słowa w rozpaczcy powiedziane wiatr nosi”. A to jeszcze sobie przypomnij, że i Aniołowie Pańscy nie są bez grzechu, a sam tylko Bóg Pan nasz, Jezus Chrystus, nie może zgrzeszyć, ten któremu aniołowie służą. A przecież ty nie pragnąłeś śmierci tego dziecięcia, a tylko działałeś nierozumnie. Tylko, ot, powiada, jednego nie mogę zrozumieć: przecież niemało już ludzi, powiada, puściłeś z torbami, niemało zgorszyłeś, niemało z drogi dobrej sprowadziłeś - to tak, jakbyś ich zabił. A przecież siostrzyczki tego samego chłopca, maleństwa jeszcze, poumieraly na twoich oczach, wszystkie cztery. Czemuż tedy tak jego jednego żałujesz? Przecież o wszystkich poprzednich, jak myślę, nie tylko nie litujesz się, ale nawet i myśleć o nich zapomniałeś. Czemuż tedy tak przeląkłeś się dziecięcia tego, kiedy nawet nie jesteś całkowicie winien śmierci jego?

- Ukazuje mi się we śnie - powiada Maksim Iwanowicz.

-1 cóż?

Ale on już nic nie mówi, siedzi cicho, głowę spuścił, milczy. Zdziwił się archimandryta, ale nic nie mógł z niego wydobyć, pojechał. Cóż, bowiem, z takim począć?

A Maksim Iwanowicz posłał po nauczyciela, po tego samego Piotra Stiepanowicza; od tego czasu jeszcze się nie widzieli.

- Pamiętasz? - powiada.

- Pamiętam - mówi.

- Ty - powiada - malowałaś olejną farbą obrazy do szynku i z portretu archijereja kopię robiłaś.

Będziesz mi mógł namalować farbami jeden obraz?

- Ja - powiada - wszystko zrobię, wszystkie talenty posiadam i wszystko potrafię zrobić.

- Wymaluj mi więc obraz wielki, na całą ścianę, a na nim, na samym przedzie wymaluj rzekę i zejście na dół, i prom, i żeby wszyscy ludzie byli tutaj, wszyscy, którzy wtedy byli. I żeby pułkownikowa była, i dziewczynka, i ten jeź. A i drugi brzeg ma być też namalowany, żeby tak wyglądał, jak jest naprawdę: i cerkiew, i plac, i sklepy, i gdzie dorożkarze stoją-wszystko tak, jak jest, masz namalować. I w tym samym miejscu, przy promie, chłopca, nad samą rzeką i koniecznie, żeby dwie piąstki miał przyciśnięte do siebie, do obu piersi. Koniecznie tak samo. A z tamtej strony, nad cerkwią, masz przed nim otworzyć niebo i żeby wszyscy aniołowie w jasności niebieskiej wylecieli na jego powitanie. Będziesz mógł tak zrobić, czy nie?

- Ja wszystko potrafię.

- Ja bym mógł nie takiego partacza jak ty, ale choćby najlepszego malarza z Moskwy sprowadzić, albo nawet z samego Londynu, ale ty jeden go pamiętasz. Jak ci wyjdzie niepodobny, albo mało podobny, to ci dam tylko pięćdziesiąt rubli, a jak będzie zupełnie podobny, to dostaniesz dwieście rubli. Pamiętaj, oczęta błękitne... I żeby obraz był jak największy.

Przygotowali, co było trzeba. Piotr Stiepanowicz zaczął już malować, aż tu nagle przychodzi do Maksima Iwanowicza:

- Nie - powiada - tak malować nie można.

- A to czemu?

- Bo grzech jego, samobójstwo, jest najcięższy ze wszystkich grzechów. Jak że teraz aniołowie mają go po takim grzechu powitać?

- Ale przecież to był dzieciak. Nie może za to odpowiadać.

- Nie, nie dziecko, już pachole; miał już osiem lat, kiedy to się stało. Jakiś przecież rachunek musi zdać.

383

Jeszcze bardziej przeraził się Maksim Iwanowicz.

- A ja - powiada Piotr Stiepanowicz - tak myślę, żeby nie otwierać nieba i aniołowie też niepotrzebni. Ale spuścić z nieba jakby naprzeciwko niego promień, taki jeden słoneczny promień, to i tak będzie dobrze.

I spuścili promień. Sam widziałem potem, już po wszystkim, ów obraz, i ten promień, i rzekę - na całą ścianę rozciągnął, niebieska taka cała, i chłopczyk tam jest, z piąstkami przy piersiach, i panienczka maleńka, i już - wszystko umiał zrobić. Tylko że wtedy Maksim Iwanowicz nikomu nawet spojrzeć nie pozwolił na ten obraz, a zamknął go u siebie w gabinecie na klucz, żeby nikt go nie widział. Całe miasto zbiegło się, żeby obraz zobaczyć, ale nie pozwolił nikogo wpuszczać. A gadali o tym ludzie.

A Piotr Stiepanowicz już nie wiedział, co ze sobą robić: „Ja-powiada - teraz już wszystko mogę zrobić. Mogę - powiada - choćby do samego Petersburga jechać i na dwór się dostać”. Taki miły człowiek, a chwalić się lubił; pyszny był, jak nikt inny. Aż go los dosięgnął!: jak tylko dostał swoje dwieście rubli, to zaczął pić. Pije i każdemu pokazuje pieniądze. „Patrz - powiada - ile mam”. I w nocy rzemieślnik jeden z tego samego miasta, z którym razem pił, zabił go i pieniądze te zagrabił, a następnego ranka wszystko wyszło na jaw.

A koniec tego był taki dziwny, że jeszcze dotychczas go ludzie pamiętają, lepiej niż cokolwiek innego. Przyjeżdża oto ni stąd ni zowąd nasz Maksim Iwanowicz do samej wdowy. Mieszkała kątem w chałupie u mieszczanki. Ale tym razem już wszedł na podwórze, stanął przed nią i do nóg jej się uklonił. A ta od tego czasu była chora, ledwie chodziła. „Matko rodzona - jęknął - zacna wdowo, wyjdź za mnie, za zdrajcę, za mąż, pozwól, niech ja jeszcze pożyję na świecie!” Ta patrzy ni żywa, ni martwa. „Chcę - powiada - żeby się nam urodził chłopiec, a jeżeli się urodzi, to znaczy, że tamten chłopiec przebaczył nam obojgu, i tobie, i mnie. To chłopiec mi tak kazał”. A ona widzi, że ten człowiek szalony i nie wie, co mówi, a przecież nie mogła wytrzymać:

- Głupstwa to wszystko - powiada - to, co pan mówisz, i małoduszność. Przez tę samą nikczemność moje wszystkie biedactwa poginęły. Ja nawet na pana patrzeć nie chcę, a nie dopiero cierpieć taką męczarnię do końca życia.

Pojechał sobie Maksim Iwanowicz, ale od myśli swojej nie odstąpił. Całe miasto się zatrzęsło od takiego dziwu. A Maksim Iwanowicz swatki do niej przysłał. Kazał przyjechać z guberni dwóm swoim ciotkom, z mieszczańskiego stanu. Ciotki, czy nie ciotki, zawsze krewniaczki, znaczy szacunek swój przez to chciał jej okazać. Zaczęty ją namawiać,

384

przymilać się jej, z izby nie wychodziły. I z miasta kobiety nasyłał, i pro-topopa katedry żonę, i

urzędników żony, i całe miasto ją namawia, a ta odwraca się ze wstrętem: „Żeby to - powiada - sieroty moje ożyły. Ale teraz - po co to wszystko?! Jakżesz ja wobec sierotek moich taki grzech na siebie wezmę”. I archimandrytę namówił, a ten jej do ucha szepce: „Możesz - powiada - w nim nowego człowieka obudzić”. A ta słyszeć o niczym nie chce. A ludzie słuchają i tylko dziwią się jej, jak może takie szczęście od siebie odpychać. I oto w jaki sposób wreszcie ją namówił:

„Chociaż-powiada-jeszcze był mały, ale już nie dziecko, tylko pacholę, i już miał tyle lat, że i do Komunii świętej mógł przystąpić, a więc za grzech samobójstwa musi na tamtym świecie jakąś odpowiedzialność ponieść. Jeżeli zaś zezwolisz na małżeństwo ze mną, to klnę się najświętszą przysięgą: świątynię nową zbuduję, tylko dlatego, żeby się w niej za jego duszę wiecznie modlono”. Temu już nie mogła się oprzeć i zgodziła się. I wzięli ślub.

I tu wszyscy jeszcze więcej zaczęli się dziwić. Od pierwszej chwili zaczęli oni żyć w całkowitej i szczerzej zgodzie, troszcząc się ciągle o swój stan małżeński, i jakoby jedna dusza w dwóch ciałach.

I zaraz w pierwszą zimę ona poczęła i chodzili teraz po świątyniach Pańskich i błagali o odwrócenie gniewu Pańskiego. Byli w trzech klasztorach i słuchali prorocत्व. On zaś świątynię, którą ślubował, wystawił i zbudował jeszcze w mieście szpital i przytułek. Ofiarował jeszcze kapitał na wdowy i sieroty. I wspominał o wszystkich, których kiedykolwiek skrzywdził, aby im to wynagrodzić, a pieniądze tak na lewo i prawo rozdawał, że aż małżonka i archimandryta musieli go powstrzymać, „bo, powiadają i tak już jest dosyć”. Usłuchał ich Maksim Iwanowicz.

„Skrzywdziłem -powiada - wtedy Fomę”. I zwrócono Fomie, co mu się należało. A ten aż zapłakał:

„Ja - powiada -ja i bez tego... I tak - powiada - wdzięczny jestem i modlić się będę do Boga”. I, jak widać, wszyscy uwierzyli, że, znaczy, prawdę ludzie powiadają, że zawsze za dobrym przykładem człowiek idzie. A lud tamtejszy dobry.

Fabrykę małżonka sama wzięła pod rządy, a tak rządziła, iż jeszcze do dziś dnia ją wspominają. Pić nie przestał, ale ona go w te dni naprzód doglądała, a potem zaczęła leczyć. Zaczął się w mowie hamować, a nawet głos mu się zmienił. Zaczął okazywać ogromne miłosierdzie, nawet bydłom: zobaczył raz przez okno, jak chłop bije konia bez litości po łbie i zaraz posłał, i odkupił od niego konia za podwójną cenę. I otrzymał dar łez. Jak tylko ktoś zacznie z nim mówić, zaraz musi zapłakać. Wysłuchał w końcu Pan ich błagania i zesłał im syna, i po raz pierwszy

385

od tego czasu rozpogodziła się dusza Maksima Iwanowicza. Rozdał wiele jałmużny, darował wiele długów, a na chrzciny zaprosił całe miasto.

Zaprosił więc całe miasto, a na drugi dzień wyszedł do niej ponury jak noc. Widzi małżonka, że dzieje się coś złego i pokazuje mu nowo narodzone dziecko: „Przebaczył nam - powiada - chłopiec, ujrzał łzy nasze i wysłuchał modłów naszych, któreśmy zań wznosili”. A trzeba jeszcze dodać, że oni przez cały rok ani słowa o tym nie rzekli, a tylko oboje cały czas w sobie to ukrywali. A Maksim Iwanowicz spojrzął na nią, straszny jak noc: „Nie, zaczekaj - powiada - on przez cały rok do mnie

nie przychodził, a tej nocy znowu widziałem go we śnie”.

„Wtedy i moje serce zadrżało pierwszy raz z przerażenia, po tych dziwnych słowach” - mówiła później.

I nie na daremno ukazał mu się chłopiec. Zaledwie to Maksim Iwanowicz powiedział, prawie, rzecz by można, w tej samej minucie coś się stało z nowo narodzonym dzieciąciem: zachorowało nagle. I chorowało osiem dni. Modlili się ciągle i wzywali doktorów, i sprowadzili kolejną z Moskwy najlepszego doktora, jaki tylko był. Przyjechał doktor, rozgniewał się: „Jestem najlepszym lekarzem - powiada - cała Moskwa na mnie czeka, a wy mi głowę zawracacie”. Zapisał dziecku krople, wziął osiemset rubli i odjechał natychmiast. A wieczorem dziecko umarło.

I cóż dalej? Maksim Iwanowicz zapisał cały majątek ukochanej żonie, oddał jej wszystkie kapitały i dokumenty, załatwił wszystko, jak należy i zgodnie z wymogami prawa, a potem stanął przed nią i pokłonił się jej do nóg: „Pozwól mi, małżonko moja najdroższa odejść w spokoju, aby ratować duszę moją, póki jeszcze czas. Jeżeli z czasem przekonam się, że duszy mojej pomóc nie mogę, to już nie powrócę do ciebie. Twardy byłem dla ludzi i okrutny, i gnębiłem ich bez litości, ale myślę, że dla cierpień moich i dla pielgrzymowania, które zamyślam, Pan Bóg nie odmówi mi odpuszczenia grzechów, albowiem wyrzeczenie się tego wszystkiego jest już niemałym cierpieniem!” A małżonka ze łzami wielkimi w oczach błagała go: „Ciebie mam tylko jednego na świecie, cóż pocznę bez ciebie? Przez ten rok - powiada - serce moje wypełniło się miłością”. I prosiło go całe miasto, i błagali go, i siłą chcieli zatrzymać. Ale nie usłuchał i cichaczem w nocy wymknął się, i już więcej nie wrócił. A jak słyhać, pielgrzymuje i pokutuje, i cierpi jeszcze do dziś dnia, a żonie lubej co rok posyła wiadomości...

386

ROZDZIAŁ CZWARTY

i

P

rzystąpię teraz do opisu ostatecznej katastrofy, która zamyka moje zapiski. Lecz żeby iść dalej, muszę, uprzedzając wypadki, wyjaśnić z góry pewne rzeczy, o których nie wiedziałem wówczas, kiedy działałem, o których zaś dowiedziałem się i które zrozumiałem całkowicie dopiero znacznie później, to znaczy wtedy, kiedy już było po wszystkim. Inaczej nie mógłbym być zrozumianym, gdyż musiałbym pisać samymi zagadkami. I dlatego muszę zrezygnować z tak zwanego arcyzmu, lecz przekażę proste i jasne wytłumaczenie. Skreślę je tak, jakbym to nie ja pisał, jakby tu nie moje serce było zaangażowane, jakby to było coś w rodzaju notatki dziennikarskiej.

Chodzi mianowicie o to, że towarzysza mojego dzieciństwa, Lamberta, można po prostu uznać za członka jednej z tych wstrętnych szajek drobnych oszustów, którzy porozumiewają się między sobą do tego, co dzisiaj nazywamy szantażem i czego kwalifikacji prawnych szukamy teraz w kodeksie karnym. Szajka, do której należał Lambert, zorganizowała się jeszcze w Moskwie i już nawet tam dokonała szeregu łajdactw (później została ona częściowo wykryta). Słyszałem później, że w

Moskwie przez pewien czas kierował nią jakiś starszy człowiek bardzo doświadczony i nieglupi.

Do zamierzonych działań zbierała się albo cała szajka, albo jakaś jej część. Obok drobnych i niecenzuralnych świń-stewek (o których informacje pojawiały nawet w gazetach) dokonywali oni pod kierownictwem swego szefa przedsięwzięć nieraz bardzo skomplikowanych i na wielką skalę.

Później dowiedziałem się o niektórych z nich i mógłbym je opowiedzieć, ale nie chcę zajmować się szczegółami. Nadmienię tylko, że zasadnicza metoda ich działania polegała na tym, ażeby zdobywać najprzeróżniejsze tajemnice ludzi, niekiedy nawet najuczciwszych i naj-387

wyżej postawionych. Potem przychodzili do danej osoby i grozili, że ujawnią kompromitujące dokumenty (których bardzo często nawet nie mieli), a za milczenie żądali okupu. Zdarzają się rzeczy bynajmniej nie grzeszne, a tym bardziej nie zbrodnicze, ale takie jednak, że nawet naj -

bardziej przyzwoity i solidny człowiek złęknie się ich ujawnienia. Zerowali zwłaszcza na tajemnicach rodzinnych. Żeby pokazać jak zręcznie niekiedy umiał działać ich szef, opowiem bez zbytecznych szczegółów, w kilku słowach, o jednym z ich wyczynów. W pewnej bardzo skądinąd zacnej rodzinie, zdarzyła się rzecz zła i grzeszna, a mianowicie, żona pewnego znanego i powszechnie szanowanego człowieka związała się z pewnym młodym i bogatym oficerem. Szajka zwęszyła to i uczyniła, co następuje: po prostu zawiadomiła młodego człowieka, że da znać o wszystkim mężowi. Łobuzy dowodów nie mieli żadnych i ów młody człowiek o tym doskonale wiedział, zresztą sami przyznawali się do tego otwarcie. Ale cała zręczność ich ataku i całe ich wyrachowanie polegały jedynie na tym, że zawiadomiony o zdradzie mąż nawet bez dowodów postąpi zupełnie tak samo i poczyni zupełnie te same kroki, jak gdyby otrzymał matematycznie ściśle dowody. Atutem w ich ręku była znajomość charakteru tego człowieka i znajomość jego stosunków domowych. Najważniejsze zaś jest to, że do szajki należał młody człowiek z najlepszych sfer, któremu udało się wy dostać kompromitujące informacje. Zdarli więc z kochanka grubszą sumę, ponieważ przede wszystkim sama ofiara drżała o zachowanie całej sprawy w tajemnicy.

Lambert, chociaż co prawda brał udział w pewnych sprawkach, ale nie był całkowicie oddany szajce moskiewskiej. Jednakże nabrał zamiłowania do szantażu i zaczął pomału, i jakby na próbę działać na własną rękę. Z góry mogę powiedzieć: nie miał szczególnych uzdolnień do tego rodzaju spraw. Był co prawda człowiekiem nieglupim i wyrachowanym, ale zapalał się i przy tym był dość prostolinijny, albo ściślej mówiąc naiwny, to znaczy nie znał ani ludzi ani środowiska. Na przykład zupełnie, jak się zdaje, nie doceniał roli i znaczenia owego szefa moskiewskiego i sądził, że prowadzić, i organizować tego rodzaju przedsięwzięcie jest bardzo łatwo. Następnie mniemał, że wszyscy ludzie są tak samo podli jak on sam. Z chwilą, kiedy raz wykalkulował sobie, że taki a taki człowiek boi się, albo powinien się bać z tych a tych powodów, to już nie wątpił ani przez chwilę, że dany człowiek rzeczywiście się boi, tak jakby to był pewnik. Nie potrafię tego dokładnie oddać. Później wytłumaczę jaśniej przy pomocy faktów, ale według mnie był

388

człowiekiem mało subtelnym. W niektóre szlachetne uczucia nie tyle nie wierzył, co po prostu nie wiedział, że w ogóle istnieją.

Do Petersburga przyjechał dlatego, że już od dawna się tam wybierał, uważał bowiem, że znajdzie tu szersze pole działania niż w Moskwie i dlatego jeszcze, że w Moskwie w jakiś sposób wpadł, i ktoś go szukał z bardzo złymi wobec niego zamiarami. Przyjechawszy do Petersburga wszedł

natychmiast w kontakt z jednym z dawnych towarzyszy po fachu, ale pole pracy okazało się niewielkie, a sprawy drobne. Zawierał coraz nowe znajomości, ale nic z tego nie wychodziło.

- Nic nie są warci ci ludzie tutaj, sami smarkacze - mówił mi później. I oto pewnego pięknego poranka ni stąd ni zowąd znajduje mnie prawie zamarzonego na śmierć pod płotem i od razu trafia na ślad „wspaniałej”, jego zdaniem, „sprawy”.

Cała sprawa opierała się na tym, co zełgałem odzyskawszy przytomność u niego w mieszkaniu. O, byłem wtedy jeszcze w malignie. Ale z moich słów łatwo można było zrozumieć, że ze wszystkiego, co dotknęło mnie tak boleśnie owego fatalnego dnia, najbardziej odczułem i najlepiej zapamiętałem to, co spotkało mnie ze strony Bjoringa i jej. Inaczej nie bredziłbym w gorączce u Lamberta o tej jednej rzeczy, a bredziłbym, na przykład, również o Zierszczykowie. Tymczasem jedynie o pierwszej sprawie bredziłem, jak się sam później dowiedziałem od Lamberta. A przy tym byłem wprost zachwycony nimi i na Lamberta, i na Alfonsynę patrzyłem tego okropnego ranka jak na wybawców i wyzwolicieli. Kiedy później, wracając do zdrowia, starałem się, leżąc jeszcze w łóżku, zdać sobie sprawę z tego, co mógł wywnioskować Lambert ze wszystkich moich bredzeń i do jakiego stopnia wygadałem się przed nim, ani razu nie przyszło mi nawet do głowy, że mógł

wtedy dowiedzieć się tylu rzeczy! Och, oczywiście, sądząc po wyrzutach sumienia, już wtedy podejrzewałem, że prawdopodobnie naopowiadałem wówczas o wiele za dużo, ale, powtarzam, w żaden sposób nie mogłem przypuścić, żeby tego było aż tyle! Miałem także nadzieję i nawet liczyłem na to, że wtedy, leżąc u niego, nie byłem w stanie wymawiać słów dość wyraźnie, co zresztą, dobrze pamiętałem, a tymczasem w rzeczywistości okazało się, że mówiłem znacznie wyraźniej, niż przypuszczałem. Ale najgorsze było to, że wszystko wyszło na jaw znacznie później, po dłuższym czasie i na tym polegało całe moje nieszczęście.

Z mojego bredzenia, z moich kłamstw, szeptów, zachwyków itp., Lambert dowiedział się po pierwsze: prawie wszystkich nazwisk, a nawet niektórych adresów. Po wtóre: mógł sobie wyrobić dość dokładny

389

sąd o roli i znaczeniu tych osób (starego księcia, jej, Bjoringa, Anny Andriejewny a nawet Wiersiłowa). Po trzecie: dowiedział się, że jestem pokrzywdzony i chcę się zemścić. I wreszcie po czwarte: że istnieje taki dokument, taki list, tajemniczy i ukryty, że gdyby go posiadać na wpół

obłąkanemu staremu księciu, to ten, przeczytawszy go i dowiedziawszy się, że jego własna córka uważa go za szaleńca i już „zasięgała rady u prawników co do tego, jakby go zamknąć” - albo zwariuje do reszty, albo wypędzi ją z domu i wydziedziczy, albo ożeni się z niejaką panną Wiersiłow, z którą od dawna chce się ożenić, tylko że mu na to nie pozwalają. Słowem, Lambert dowiedział się bardzo wielu rzeczy. Niewątpliwie zostało jeszcze wiele punktów nie wyjaśnionych, ale zręczny szantażysta natrafił mimo to na właściwy ślad. Kiedy później uciekłem od Alfonsyny,

odnalazł mój adres (w najprostszy sposób, w biurze adresowym) i potem natychmiast zasięgnął informacji, z których dowiedział się, że wszystkie owe osoby, o których opowiadałem, istnieją w rzeczywistości. Wtedy uczynił pierwszy krok.

Najważniejszą rzeczą było to, że istnieje pewien dokument, i że posiadaczem jego jestem ja, i że dokument ten posiada wysoką wartość. Co do tego nie miał Lambert żadnych wątpliwości.

Opuszczani tu pewną okoliczność, o której lepiej będzie opowiedzieć później i na właściwym miejscu. Wspomnę jedynie o tym, że okoliczność ta przede wszystkim utwierdziła Lamberta w przekonaniu, że dokument ten rzeczywiście istnieje i, co najważniejsze, że posiada ogromną wartość. Jest to okoliczność fatalna, powiadam z góry, która mi nawet nie przeszła przez myśl nie tylko wtedy, ale nawet do samego zakończenia całej historii, kiedy nagle wszystko runęło i wyjaśniło się. A więc zdobywszy to przekonanie zaczął od tego, że pojechał do Anny Andriejewny.

A jednak do dziś nie umiem rozwiązać tej zagadki: jak potrafił taki Lambert dotrzeć do niej i wkraść się w łaski osobistości tak niedostępnej i stojącej ponad wszystkim, jak Anna Andriejewna.

Prawda, że miał pewne informacje, ale cóż z tego? Prawda, że mówił jak urodzony Pa-ryżanin i miał francuskie nazwisko, ale przecież Anna Andriejewna nie mogła nie rozpoznać w nim łajdaka już na pierwszy rzut oka. Albo należałoby przypuścić, że właśnie w tamtej chwili potrzebowała łajdaka. Czyżby to jednak było możliwe?

Nie mogłem w żaden sposób dowiedzieć się szczegółów rozmowy, ale wiele razy później usiłowałem odtworzyć sobie tę scenę przy pomocy wyobraźni. Najprawdopodobniej Lambert od pierwszej chwili zaczął grać wobec niej rolę mojego przyjaciela z lat dziecińczych, drżącego 390

o drogiego i kochanego kolegę. Ale przecież już podczas tej pierwszej rozmowy musiał uczynić aluzję do dokumentu znajdującego się w moim posiadaniu, musiał dać jej do zrozumienia, że dokument ten zawiera „tajemnicę”, że tylko on, Lambert, posiada tę tajemnicę, i że ja chcę przy pomocy tego dokumentu zemścić się na generałowej Achmakowej itp... Przede wszystkim musiał i umiał wyjaśnić jej jak najdokładniej wagę i wartość tego papierka. Anna Andriejewna musiała znajdować się w tamtej chwili akurat w takiej sytuacji, że uchwyciła się oburącz wiadomości o czymś w tym rodzaju i dała się wziąć na lep „ze względu na walkę o byt”.

Właśnie w tym samym czasie rozdzielono ją z narzeczoną, którego zawieziono do Carskiego i oddano pod nadzór lekarski, a ponadto opiekę roztoczono nad nią samą. I nagle taka cenna zdobycz; nie będzie już babskich szeptów do ucha, ani płaczliwych skarg, ani obmów i plotek, ale list, rękopis, to znaczy rzeczowy, matematyczny dowód złośliwych zamiarów jego córeczki i tych wszystkich, którzy usiłują go jej odebrać i że, jak widać, nie pozostaje mu nic innego, jak tylko ratować się choćby ucieczką do niej, znowu do niej, znowu do tej samej Anny Andriejewny i ożenić się z nią chociażby w ciągu dwudziestu czterech godzin, bo inaczej zaraz go „skonfiskują” i wezmą do szpitala wariatów.

Lecz i to jest możliwe, że Lambert nie bawił się z tą panią w żadne komedie; od razu, prosto z mostu rąbnął jej: „Mademoiselle*, albo pani chce zostać do końca życia starą panną, albo pani chce

stać się księżną i milionerką: oto istnieje taki dokument, a ja gotów jestem wykraść go temu smarkaczowi i oddać pani... za weksel na trzydzieści tysięcy rubli”. Przypuszczam nawet, że tak właśnie się stało. Lambert przecież uważał wszystkich za łajdaków takich, jakim był sam, i powtarzam, cechowała go specyficzna naiwność łajdaka, niewinność łajdaka... Tak czy owak, a jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że również Anna Andriejewna nie zmieszała się ani na chwilę, a potrafiła doskonale panować nad sobą i wysłuchiwała spokojnie słów szantażysty, mówiącego swoim specyficznym stylem. A wszystko z racji owej „rozciągliwości” duszy; oczywiście, zarumieniła się z lekka, ale potem opanowała się i wysłuchiwała. A kiedy wyobrażam sobie tę nieprzystępną, dumną dziewczynę, rzeczywiście wartościową i o takim umyśle, idącą ręką w rękę z takim Lambertem, to... oto do czego prowadzi rozum! Rozum Rosja-

„ Panienko

391

nina umie i lubi rozciągnąć się do takich granic; a w dodatku rozum kobiety, a jeszcze w nadzwyczajnych okolicznościach!

Teraz streszczę to, co najważniejsze: do dnia i godziny mego wyzdrowienia Lambert miał

przygotowane dwa następujące plany (teraz już wiem to na pewno): po pierwsze, wziąć od Anny Andriejewny za ów dokument weksel na nie mniej niż trzydzieści tysięcy, potem miała z jego pomocą nastraszyć księcia, wyrwać go spod opieki córki i od razu wziąć z nim ślub - a przynajmniej coś w tym rodzaju. Plan ten był już przemyślany jak najdokładniej. Ale, aby mógł

dojść do skutku, potrzebna była moja pomoc, to znaczy potrzebny był dokument.

Drugi projekt Lamberta był następujący: zdradzić Annę Andriejewną, rzucić ją na łaskę losu i sprzedać papier generałowej, oczywiście, jeżeli to będzie korzystniejsze. Wchodziła tu w grę jeszcze i osoba Bjo-ringa. Ale z generałową Lambert jeszcze nie rozmawiał i poprzestał na razie na śledzeniu jej. Przy tym czekał na mnie. O, byłem mu koniecznie potrzebny, to jest nie ja, ale oczywiście dokument. Co do mnie, to miał również na widoku dwa plany. Pierwszy polegał na tym, aby, jeżeli już nie będzie innej możliwości, dopuścić mnie do spółki, podzielić się ze mną zdobyczą i zmusić mnie do działania wraz z sobą, po uprzednim, zarówno fizycznym jak i moralnym opanowaniu mnie. Ale daleko bardziej nęcił go drugi plan, polegający na tym, aby po prostu „nabrać” mnie jak smarkacza i wykraść dokument, ewentualnie, po prostu odebrać mi go siłą. Był to jego najukochańszy plan, wypieszczony w myślach i marzeniach. Powtarzam: istniała pewna okoliczność, że nie wątpił w pomyślne przeprowadzenie drugiego planu, ale, jak powiedziałem, wytłumaczę to później. W każdym razie oczekiwał mnie, drżąc z niecierpliwości; ode mnie zależało wszystko, wszystkie jego dalsze poczynania i wszystkie decyzje.

I tu trzeba mu oddać sprawiedliwość: mimo swej popędliwości, umiał pohamować się - do pewnego czasu. W czasie choroby mojej nie pokazywał się u mnie w domu - raz tylko przyszedł i rozmawiał z Wiersiło-wem. Nie straszył mnie, nie nękał i nie niepokoił. Aż do chwili mojego całkowitego wyzdrowienia nie dał mi poznać, jaka więź połączyła nasze osoby. O to zaś, że mógłbym go zniszczyć go -nie niepokoił się zupełnie. Z tego, co powiedziałem, leżąc u niego, mógł łatwo

domyśleć się, jak bardzo zależy mi na dochowaniu tajemnicy i jak boję się, żeby ktoś nie dowiedział się o istnieniu dokumentu. A że zaraz pierwszego dnia po powrocie do zdrowia przyjdę właśnie do niego, a nie do kogokolwiek innego - o tym ani na chwilę nie zwątpił. Wizyty Nastasji Jegorowny były

392

do pewnego stopnia jego pomysłem i wiedział, że ciekawość i obawa zostały już wzniecone w moim sercu, że nie wytrzymam. A przy tym przedsięwziął wszystko, co trzeba było, aby dowiedzieć się o tym nawet, kiedy wyjdę z domu, tak, że koniecznie musiałbym natknąć się na niego, nawet gdybym nie chciał.

Jeśli oczekiwał mnie Lambert, to tym bardziej czekała na mnie Anna Andriejewna. Powiem od razu, co myślę: Lambert miał do pewnego stopnia rację, jeżeli planował ją zdradzić i winną temu była ona sama. Mimo że, niewątpliwie porozumieli się i zawarli umowę (nie wiem, jak się to stało, ale, że się stało, jestem pewien), Anna Andriejewna aż do ostatniej chwili nie postępowała szczerze wobec niego. Nie odsłoniła mu całkowicie swoich tajemnic. Uczyniła aluzję, że gotowa jest przyjąć wszystkie warunki i zgodzić się na wszystko, ale to była tylko aluzja. Wysłuchiwała zapewne jego całego planu aż do najdrobniejszego szczegółu i zaakceptowała go - ale jedynie milcząco. Mam bardzo silne podstawy, aby tak mniemać, a opieram się przede wszystkim na tym - że czekała na mnie. Wolała mieć do czynienia ze mną, niż z takim łajdakiem jak Lambert - oto rzecz nie ulegająca dla mnie najmniejszej wątpliwości. Rozumiem to. Ale pomyliła się co do jednej rzeczy, a mianowicie, że rozumiał to również Lambert. Ponieważ nie miałby żadnej korzyści, gdyby Anna Andriejewna z pominięciem go weszła w porozumienie bezpośrednio ze mną i wydobyła dokument z moich rąk. Przy tym był wówczas już najzupełniej przekonany w trwałości „sprawy”. Ktoś inny na jego miejscu być może bał by się i miałby wątpliwości, ale Lambert był młody, zuchwały, pałał niepowstrzymaną żądzą zysku, nie znał się na ludziach i sądził, że wszyscy są nikczemnikami. W umyśle jego nie mogła powstać żadna wątpliwość, tym bardziej, że z rozmowy z Anną

Andriejewna wydobył potwierdzenie swych domysłów.

Jeszcze jedno słówko i to najważniejsze: czy Wiersiłow wiedział wówczas o tym wszystkim, czy brał udział choćby nawet w najbardziej jeszcze odległych planach Lamberta? Nie, nie, po trzykroć nie, wtedy jeszcze nie, chociaż, być może, fatalne słowo już padło... Ale dość tego, dość, za daleko wybiegam naprzód.

A cóż ja wobec tego wszystkiego? Czy wiedziałem cokolwiek, i co wiedziałem w dniu, kiedy po raz pierwszy mogłem wyjść na ulicę? Zaczynając tę dygresję, oświadczyłem, że w dzień powrotu do zdrowia nie wiedziałem jeszcze o niczym, że dowiedziałem się o tym znacznie później, dopiero wtedy, kiedy już było po wszystkim. To jest prawda, ale czy w całej pełni?

393

Nie, nie cała prawda! Już wiele rzeczy wiedziałem, za wiele nawet wiedziałem, ale skąd? Niech

czytelnik przypomni sobie ów sen! Jeżeli już podobny sen mógł mi się przyśnić, jeżeli już mógł

wyrwać mi się spod serca i przybrać takie kształty, to znaczy, iż musiałem, nie wiedzieć, ale przeczuwać bardzo wiele rzeczy spośród tego, co przed chwilą wyłożyłem, a czego istotnie dowiedziałem się dopiero wtedy, „kiedy już było po wszystkim”. Nie miałem wyraźnej pewności, ale serce moje drżało boleśnie od przeczuć, a złe duchy panowały nad moimi snami. I właśnie do tego człowieka wrywałem się, wiedząc doskonale, co to za człowiek, i nawet przeczuwając szczegóły jego dalszych działań. I po cóż tak spieszo mi było? Naprawdę było tak: teraz, w chwili, gdy to piszę, zdaje mi się, że już wtedy rozumiałem dokładnie, szczegółowo, co mnie tak do niego pędzi, w rzeczywistości zaś nic a nic wtedy nie wiedziałem. Może czytelnik sam to zrozumie.

A teraz do rzeczy: fakty i tylko fakty.

n

Zaczęło się od tego, że jeszcze dwa dni przed moim wyjściem Liza wróciła do domu pod wieczór, cała wzburzona. Doznała ogromnej zniewagi. Rzeczywiście, to, co się z nią stało, było nie do zniesienia.

Wspominałem już o jej znajomości z Wasinem. Liza poszła do niego nie tylko dlatego, żeby pokazać nam, że go naprawdę ceniła. Znajomość ich datowała się jeszcze od czasu pobytu w Łudzę i zawsze mi się zdawało, że Liza Wasinowi nie była całkowicie obojętna. Było rzeczą zupełnie naturalną, że w tym nieszczęściu, jakie na nią spadło, zwróciła się po radę do Wasina, którego uważała za umysł spokojny, solidny, szlachetny. Przy tym kobiety nie potrafią ocenić walory męskich umysłów wtedy, kiedy dany człowiek im się podoba. Rzucane paradoksy biorą często z zadowoleniem za ścisłe tezy, szczególnie gdy zgadzają się z ich pragnieniami. Wasin pozyskał

sympatię Lizy za zainteresowanie, jakie okazał w jej sprawie i, jak jej się przynajmniej zdawało na początku, za współczucie dla księcia. Domyślała się, że nie jest mu obojętna, tym bardziej doceniała sympatię, jaką okazywał swemu szczęśliwemu rywalowi. Książę zaś, dowiedziawszy się, że Liza od czasu do czasu chodzi do Wasina po poradę, przyjął tę wiadomość z najwyższym niepokojem, zaczął być o nią zazdrosny. Liza poczuła się tym bardzo dotknięta i naumyślnie zaczęła coraz częściej bywać u Wasina. Książę stłumił w sobie zazdrość, ale był smutny. Potem Liza sama przyznała mi

394

się (ale to już znacznie później), że Wasin wkrótce przestał jej się podobać. Nic nie mogło go wytrącić z równowagi i właśnie ten ciągły niezmacony spokój, który początkowo tak jej się w nim podobał, zaczął jej się potem wydawać mało sympatyczny. Zdawałoby się, że jest to człowiek rzeczowy i praktyczny. Rzeczywiście, dał jej kilka rad, na pozór bardzo dobrych, ale wszystkie okazały się nie do wykonania. A sądy swoje o ludziach wydawał, traktując wszystkich z góry i bynajmniej jej się nie krępował; tę bezceremonialność, wzrastającą z dnia na dzień, przypisywała Liza temu, że także ją zaczynał sobie lekceważyć.

Razu pewnego dziękowała mu, że okazuje mi stale dużo sympatii i mimo że pod względem umysłu stoi ode mnie wyżej, to jednak rozmawia ze mną jak z równym sobie (to znaczy, powtórzyła mu moje

własne słowa). Na to Wasin odpowiedział.

- Pani to źle zrozumiała. Traktuję go w ten sposób po prostu dlatego, że jest zupełnie taki sam jak wszyscy inni. Nie uważam go ani za mądrzejszego, ani za głupszego od innych. Traktuję wszystkich tak samo, bo w moich oczach wszyscy posiadają taką samą wartość.

- fak to, czy pan nie widzi żadnych różnic?

- Oczywiście, każdy człowiek musi się czymś wyróżniać, ale w moich oczach różnice nie istnieją, ponieważ mnie żadne różnice między ludźmi nie dotyczą. Dlatego jestem tak samo dobry dla wszystkich.

- I panu się to nie znudzi?

- Przeciwnie, jestem bardzo z siebie zadowolony.

- I niczego pan nie pragnie?

- Każdy człowiek musi czegoś pragnąć. I ja czegoś pragnę, ale nie robię z tego sprawy życia i śmierci. Nie potrzebuję prawie niczego, ani jednego rubla ponad to, co mam. Czy będę chodził, tak jak dziś chodzę, czy w ubiorze ze złota - wszystko mi jedno. Wasin nie będzie wart więcej, jeżeli wystroi się w złote szaty. Żaden zysk nie może mnie skusić. Czyż są jakieś rangi i honory, które mogłyby dorównywać stanowisku, którego jestem wart?

Liza dawała mi słowo honoru, że to są jego własne słowa, że dokładnie tak się wyraził. Nie można jednak wydawać sądu na podstawie tego; trzeba znać okoliczności, w jakich użył wspomnianych zwrotów.

Stopniowo Liza doszła do wniosku, że Wasin księcia również traktuje pobłażliwie, może tylko dlatego, że dla niego wszyscy ludzie są jednakowi i „różnic nie ma”, a bynajmniej nie z powodu jakiejś sympatii dla niej, ale pod koniec Wasin zaczął jakoś tracić swą zwykłą równowagę i zaczął mówić o księciu nie tylko surowo, ale z pogardliwą ironią. To

395

zdegenerowało Lizę, ale Wasin nie zaprzestał tego. Najgorsze było to że zawsze mówił bardzo łagodnie, nawet potępiał bez oburzenia; Ppo prostu ściśle i obiektywnie wykazywał całą nicość jej bohatera. Ale właśnie w tym obiektywizmie tkwiła owa ironia. Wreszcie otwarcie zaczął

dowodzić jak bardzo „niemądra” jest jej miłość i jaki gwałt ona musi zadawać sobie ażeby w niej trwać. „Umieszczając fałszywie swoje uczucie błędzi pani’ lecz jeśli człowiek zrozumie błąd, to powinien go naprawić.”

‘ To zdarzyło się właśnie tego dnia i oburzona Liza podniosła się

chcąc wyjść. I cóż wówczas czyni, do czego dochodzi ów arcywzór rozsządku?

Oto ni mniej ni więcej oświadcza się jej, i to tak, jakby czynni} rzecz

najpiękniejszą i najszlachetniejszą, nawet z pewnego rodzaju zapalem

Na to Liza oświadczyła mu prosto z mostu, że jest głupi i wyszcz} a

Zaproponować kobiecie, żeby zdradziła człowieka, będącego w nieszczęściu, dlatego, że ten nieszczęśnik „nie jest jej wart”, a przede wszystkim zaproponować to kobiecie, noszącej w łonie dziecko tego nieszczęśnika - oto do czego doprowadza tych ludzi rozum! Uważam, że to jest t skrajne teoretyzowanie i dowód absolutnego braku znajomości życia, Iktórego źródło tkwi w bezgranicznym egoizmie. W dodatku Liza odczułaj najwy raźniej, że Wasin był dumny ze swego czynu, choćby tylko dlatfeeo że wiedział o jej ciąży. Ze łzami oburzenia pobiegła do księcia, a tem okazał się me lepszy od Wasina: zdawało by się, że teraz, usłyszawszy to \wszyst-ko, powinien dojść do przekonania, iż nie ma najmniejszych podsstaw do zazdrości, a tymczasem on teraz zupełnie oszalał. Zresztą zazdrość jest zawsze taka sama! Książę urządził jej okropną scenę i tak ją obraził że w pierwszej chwili zdecydowała się na natychmiastowe zerwanie z nim Kiedy wróciła do domu, jeszcze jako tako panowała nad sobą ale nie mogła zataić tego przed mamą. O, tego wieczoru otworzyły nawzajem swoje serca, zupełnie tak jak dawniej. Lody pękły i obie, ocz^cie rozplakały się, obejmując się podług dawnego zwyczaju, i Liza usjpoiko iła się nieco, ale nie rozweseliła się. Cały wieczór u Makara Iwarubwicza przesiedziała bez słowa, ale dosiedziała do końca. Z natężoną !Uwajra słuchała tego, co mówił, i w ogóle od czasu tego wypadku z ławeczka odnosiła się do niego z ogromnym uszanowaniem, i z pewnego rodzaju trwogą, chociaż do rozmowy po staremu nie wtrącała się.

Ale tym razem Makar Iwanowicz zupełnie niespodziewanie i nawet ku powszechnemu zdumieniu zwrócił rozmowę na całkowicie inn<e tory nadmieniam, że tego ranka Wiersiłow i doktor rozmawiali o jego zdro wiu z wielkim niepokojem. Nadmienię również, że u nas już kill<a dni trwały przygotowania do imienin mamy, które miały nastąpić dcjklad-396

nie za pięć dni i często była o tym mowa. Makar Iwanowicz z tej racji zagłębił się we wspomnieniach i zaczął opowiadać o latach dzieciństwa mamy, kiedy to jeszcze „na nóżkach swoich nie mogła ustać”. „Cały czas ją na rękę nosiłem - opowiadał staruszek. - Nieraz uczyłem ją chodzić, postawiłem na ziemi w kąciku, tak ze trzy kroki od siebie, a potem wołam do siebie, a ona kołysze się na nożynach, biegnie do mnie przez cały pokój, nic się nie boi, tylko się śmieje, a jak doleci, to mi się rzuca na szyję, i rączkami mnie obejmuje. A potem to ci bajki opowiadałem, Sofio Andriejewno, a bajki okropnie lubiła, po dwie godziny nieraz na kolanach u mnie siedzi i tylko słucha.” A w chacie nie mogą się nadziwić: „Patrzcie no, jaka przywiązana do Makara”. Albo biorę, niosę ją do lasu, poszukam, gdzie maliny rosną, sadzam przy krzaku, a sam dla niej fujarki z drzewa kręcę. Nachodzimy się i wracamy do domu; na rękę ją niosę, a ona śpi słodko. A raz wilka się złękla, jak nie skoczy do mnie, trzęsie się cała, a tam żadnego wilka nie było.

- A to sobie przypominam - powiedziała mama.

- Naprawdę pamiętasz?

- Wiele rzeczy pamiętani. Od pierwszej chwili mojego życia, którą mogę sobie przypomnieć, od tej chwili widzę miłość twoją i dobroć twoją do mnie - powiedziała ze wzruszeniem w głosie i nagle

cała zarumieniła się.

Makar Iwanowicz milczał przez chwilę.

- Wybaczcie mi, dziatki, że muszę już odejść. Nadszedł kres mego żywota. Na starość doczekałem się ukojenia od wszelkich cierpień, dziękuję wam, najdrożsi.

- Niechże pan da spokój, Makarze Iwanowiczu, kochany - zawołał przestraszony nieco Wiersiłow.

- Mnie doktor powiedział niedawno, że pan ma się znacznie lepiej...

Mama słuchała w przerażeniu.

- E, co on tam wie, ten twój Aleksander Siemionowicz - uśmiechnął się Makar Iwanowicz. - Zaczny to człowiek, ale nic więcej. Uspokójcie się, przyjaciele kochani, azaliż sądzicie, że boję się śmierci. Dzisiaj, po rannych pacierzach, poczułem nagle, że już więcej stąd nie wyjdę. Wola Boska. No i cóż, niechaj będzie błogosławione Imię Pańskie. Chciałbym się jeszcze tylko na was napatrzeć, kochani. Bo nawet Hiob, męczennik, cieszył się oglądając swoje nowe dzieci, a jednak - azaliż zapomniał o dawnych, azaliż mógł zapomnieć - nie mieści się to w myśli ludzkiej. Ale z latami zaczyna się smutek jakby mieszać z weselem, powoli zamienia się w tęsknotę jasną i radosną. Tak jak na morzu: dusza każda

397

i męczy się, i raduje. Chciałbym jeszcze, dziateczki moje - ciągnął dalej ze spokojnym, czarownym uśmiechem, którego nie zapomnę do końca życia. - Chciałbym rzec wam jeszcze jedno słówko, maleńkie. Ty - tu zwrócił się nagle do mnie - kochaj cerkiew naszą, a kiedy los cię wyznaczy -

umrzyj za nią; ale czekaj, nie bój się, to jeszcze nie teraz - uśmiechnął się. - Teraz to nawet o tym nie myślisz, a potem może pomyślisz. Tylko jeszcze jedno: jak będziesz chciał uczynić jakąś rzecz dobrą, to uczyn ją dla Boga, a nie dla pustej pychy. A jak zaczniesz co robić, to już nie cofaj się, nie odstępuj przez słabość ducha od swego zamiaru. A działaj spokojnie, nie miotaj się na wszystkie strony i nie szarp się - więcej nic ci nie potrzeba. Chyba jeszcze jednego, żebyś się nauczył każdego dnia, bez wyjątku, modły swoje Panu ofiarowywać. Tak sobie wspominam o tym, a może kiedyś ci się przyda. I panu, An-drieju Piotrowiczu, chciałbym coś rzec, ale pomyślałem sobie, że Bóg i beze mnie znajdzie drogę do twojego serca. A zresztą, dawnośmy, pan i ja, już z tym skończyli od tej chwili, kiedy to owa strzała przesszyła moje serce. A teraz odchodząc, chciałbym tylko przypomnieć... to, co pan wtedy przyobiecał...

Ostatnie słowa powiedział prawie szeptem.

- Makarze Iwanowiczu! - powiedział zmieszany Wiersiłow i podmiósł się z krzesła.

- Nie, nie, dobrodzieju, niech się pan nie wstydzi, tylko tak sobie przypominałem... A spośród wszystkich ja najwięcej tu jestem wimien wobec Boga, bo, chociaż pan był moim chlebodawcą, przecież nie powinienem był tej słabości ustąpić. Dlatego i ty, Sofio, nie czyn na; zbyt wiele wyrzutów swej duszy, bo twój cały grzech spada na mnie, a nawet nie wiem, czy rozumiałaś wtedy,

co czynisz, a może nawet i pan, razem z nią nie rozumiał - uśmiechnął się dziwnie jakoś, ustami drżącymi z bólu. - I chociaż mogłem wtedy zmusić ciebie, małżonko moja, nawet karą cielesną, a nawet właściwie powinienem był, ale litość mnie wzięła, kiedyś upadła przede mną na kolana i wyznała wszystko... kiedy zaczęłaś całować mnie po nogach... Nie mówię tego, kochana, żeby ci czynić wyrzuty, a jedynie żeby przypomnieć Andriejowi Piotrowiczowi—bo sam pan pamięta - słowo szlacheckie pan dał, a wieniec ślubny pokryje wszystko... Przy dziatkach to powiadam, panie dobrodzieju mój...

Był niesłuchanie wzruszony i nie spuszczał oczu z Wiersiłowa, jakby spodziewając się, że ten da odpowiedź twierdzącą. Powtarzam, wszystko to było do tego stopnia niespodzianką, że siedziałem jak skamieniały i nie mogłem ruszyć się z miejsca. Wiersiłow był nie mniej wzruszony 398

od Makara Iwanowicza: bez słowa poszedł do niej i mocno ją uściskał. Potem mama również bez słowa podeszła do Makara Iwanowicza i pokłoniła mu się do nóg.

Słowem, była to wstrząsająca scena. Tym razem byliśmy jedynie w swoim kółku i nawet Tatiany Pawłowny nie było. Liza wyprostowała się na krześle i słuchała milcząc tej rozmowy. Nagle wstała i sucho zwróciła się do Makara Iwanowicza:

- Makarze Iwanowiczu, niech pan i mnie pobłogosławi przed okropnymi mękami... Jutro ma zdecydować się los całego mojego życia... Niech pan się dziś jeszcze pomodli za mnie.

I wyszła z pokoju. Wiem, że mama powiedziała już wszystko Makarowi Iwanowiczowi o jej nieszczęściach. Ale tego wieczoru jeszcze, po raz pierwszy ujrzałem razem i mamę, i Wiersiłowa.

Dotychczas widziałem obok niego jedynie jego niewolnicę. Widzę, że wtedy nie wiedziałem jeszcze wielu rzeczy, że wielu rzeczy nie dostrzegałem w tym człowieku, którego już potępiłem.

Dlatego wróciłem do siebie ogromnie przygnębiony. I to jeszcze muszę dodać, że właśnie w tym czasie wszystkie wątpliwości, jakie żywiłem co do niego, złączyły się razem w moim umyśle i nabrały siły. Nigdy jeszcze nie widziałem w nim tylu zagadek i tajemnic, jak właśnie wówczas, ale do tego przecież odnosi się cała historia, którą opowiadam. Na wszystko przyjdzie czas.

„Jednakże - myślałem sobie, kładąc się już spać - z tego wynika, że on dał Makarowi Iwanowiczowi swe »szlacheckie słowo«, iż ożeni się z mamą, gdyby owdowiała. A kiedy przedtem opowiadał mi o Makarze Iwanowiczu, to nawet słówkiem o tym nie wspomniał”.

Następnego dnia Liza była cały czas poza domem, a po powrocie (było późno) poszła natychmiast do Makara Iwanowicza. Z początku nie chciałem tam wchodzić, żeby im nie przeszkadzać, ale kiedy zobaczyłem, że tam już jest i mama, i Wiersiłow, wszedłem. Liza siedziała obok staruszka z głową opartą na jego ramieniu i płakała, a on ze smutkiem w twarzy, głaskał ją milcząc po główce.

Wiersiłow wyjaśnił mi (już później, u mnie) przyczynę jej łez. Mianowicie książę uparł się przy swoim i domagał się ślubu z nią przy pierwszej okazji, jeszcze przed wyrokiem. Liza nie mogła się zdecydować, chociaż w istocie rzeczy niemal nie miała prawa odmówić. Makar Iwanowicz również kazał jej wziąć ślub. Oczywiście, wszystko to musiało kiedyś dojść do skutku samo przez się, i

niewątpliwie poszłaby do ołtarza bez żadnego wahania, i bez niczyich rozkazów, ale w danej chwili czuła się tak boleśnie dotknięta przez tego, którego kochała, i miłość ta tak ją

399

upokarzała, i poniżała nawet w jej własnych oczach, że trudno jej było zdobyć się na decyzję. Ale, oprócz upokorzenia zaszła tu jeszcze nowa okoliczność, która by mi nigdy nawet na myśl nie przyszła.

- Słyszałeś, że ci wszyscy młodzi ludzie z Petersburga zostali wczoraj aresztowani? - rzucił nagle Wiersiłow.

- Co? Diergaczow? - krzyknąłem.

- Tak. I Wasin tak samo.

Wiadomość ta, szczególnie co do Wasina, wprawiła mnie w osłupienie.

- Ale, przecież, czyż on brał w tym udział? Boże kochany, co teraz z nimi będzie? I to właśnie w tej samej chwili, kiedy Liza oskarża Wasina!... Jak pan myśli, co się z nimi teraz stanie? To Stiebielkow! Przysięgam panu, że w tym maczał palce Stiebielkow!

- Dajmy temu spokój - rzekł Wiersiłow, dziwnie jakoś spoglądając na mnie (tak mianowicie, jak spogląda się na człowieka, który nic nie wie, nic nie może zrozumieć i niczego się nie może domyśleć). - Któż to może wiedzieć, co się tam w tej sprawie kryje, i któż może przewidzieć, co się z nimi stanie? Zresztą, nie o to chodzi. Słyszałem, że chciałbyś już jutro wyjść z domu. Czy nie odwiedziłbyś księcia Siergieja Pawłowicza?

- Natychmiast po wyjściu, chociaż przyznaję, że będzie to dla mnie rzecz przykra. A co, czy pan życzyłby sobie, żeby mu coś zakomunikować?

- Nie, nie trzeba. Sam będę się z nim widział. Żal mi Lizy. Bo i cóż za radę może jej dać Makar Iwanowicz? Nie ma najmniejszego pojęcia ani o tym, czym są ludzie, ani czym jest życie. Ale, jeszcze, mój drogi (dawno już nie mówił do mnie „mój drogi”), jeszcze i to... Chodzi mi o kilku młodych ludzi... wśród których jest twój dawny kolega, Lambert... Wydaje mi się, że to są zdecydowane kanalie, wszyscy bez wyjątku... Chciałem cię tylko uprzedzić... Zresztą, oczywiście, to już twoja rzecz, i rozumiem, że nie mam najmniejszego prawa...

- Andrieju Piotrowiczu - schwyciłem go za rękę, nie zastanawiając się, działając jakby pod wpływem nagłego natchnienia, jak to mi się często zdarza (scena ta odbywała się po ciemku). -

Andrieju Piotrowiczu, ja milczałem, przecież pan to widział, milczałem cały czas, aż do tej chwili - a wie pan dlaczego? Dlatego, żeby nie wtargnąć w pańskie tajemnice. Jestem tchórzem.

Boję się, że jeśli poznam pańskie sekrety, to przestanę pana kochać, a ja nie chcę tego.

Postanowiłem sobie, że się o nich nigdy nie dowiem. A jeżeli tak, to na cóż panu moje tajemnice?

Przecież dla pana wszystko jedno, dokąd pójdę, choćbym poszedł, Bóg wie dokąd.

Nieprawdaż?

400

- Masz rację, ale dość już tego: ani słowa więcej, błagam cię! - powiedział i wyszedł z pokoju.

Tak się stało, że zupełnie niespodziewanie do pewnego porozumienia. Ale to tylko zwiększyło jeszcze moje zdenerwowanie przed nowym krokiem w życiu, jaki miałem uczynić nazajutrz, tak, że przez całą noc nie mogłem spać i budziłem się co chwila. Mimo to - czułem się zadowolony.

iii

Kiedy nazajutrz wyszedłem z domu, była już dziesiąta rano, mimo to jednak dołożyłem wszelkich starań, by wymknąć się jak najciszej, nie żegnając się z nikim i nic nikomu nie mówiąc o moim wyjściu - po prostu, że tak powiem, wyslizgnąłem się z domu. Dlaczego to zrobiłem - nie wiem, ale jestem przekonany, że gdyby na przykład mama zobaczyła, że wychodzę, i spytała, dokąd idę, to odpowiedziałbym jej wybuchem wściekłości. Kiedy znalazłem się na ulicy i odetchnąłem jej świeżym, chłodnym powietrzem, to po prostu zdrząłem od potężnego, wewnętrznego, nieledwie zwierzęcego porywu, który sam nazwałbym krwiożerczym. Po co szedłem, dokąd szedłem? Był to jakiś pęd nieokreślony zupełnie, ale jednocześnie drapieżny, krwiożerczy. Odczuwałem grozę i radość, wszystko naraz. „Albo wpadnę w błoto, albo nie” - pomyślałem zuchowato, chociaż aż nadto zdawałem sobie sprawę, że krok, który dziś podejmę, raz uczyniony, będzie decydujący dla całego mojego życia, i nie da się już nigdy odrobić. Ale po co mówić zagadkami? Poszedłem wprost do więzienia, gdzie był zamknięty książę. Już trzy dni temu Tatiana Pawłowna dała mi list do administratora więzienia i ten przyjął mnie niesłuchanie uprzejmie. Nie wiem, co to za człowiek, zły czy dobry, ale sądzę, że jest to obojętne. Dość, że pozwolił mi widzieć się z księciem i nawet oddał nam w tym celu swój własny pokój, co wdanych warunkach było szczytem uprzejmości z jego strony. Pokój był jak zwyczajnie pokój urzędnika określonej rangi w służbowym mieszkaniu - i o tym nie ma co się rozpisywać. Dzięki temu mogłem porozmawiać z księciem sam na sam.

Książę zjawił się w na wpół wojskowym domowym ubraniu, ale miał idealnie czystą bieliznę, elegancki krawat. Był wyświeżony i uczesany, ale jednocześnie okropnie blady, wprost pożółkły na twarzy. Żółtość ta przebijała nawet w jego oczach. Słowem, był tak zmieniony, że w pierwszej chwili nie poznałem go i zawahałem się.

401

- Jakże się pan zmienił! - zawołałem.

- To nic! Niech pan siada, mój drogi - z nonszalancją eleganta wskazał mi krzesło i usiadł sam naprzeciwko mnie. - Przechodząc do tego, co najważniejsze, widzi pan, mój drogi Aleksieju Makarowiczu...

- Arkadiju - poprawiłem go.

- Proszę? Ach tak, no, wszystko jedno. Ach, prawda! - zorientował się nagle, o co chodzi. -

Przepraszam najmocniej, mój drogi, przejdźmy teraz do tego, co najważniejsze...

Słowem, spieszył się ogromnie, żeby zacząć rozmowę na jakiś ważny temat. Widać było, że cały jest opanowany jedną tylko myślą, myślą niesłychanie ważną, którą chciał sformułować i wyłożyć mi. Mówił ogromnie wiele i bardzo prędko, i z przejęciem, i z bólem, tłumacząc się i gestykulując, ale przez pierwsze kilka minut nic absolutnie nie mogłem zrozumieć.

- Krótko mówiąc... chyba już z dziesięć razy użył zwrotu „krótko mówiąc”. - Krótko mówiąc, jeżeli ja pana, Arkadiju Makarowiczu, wczoraj niepokoiłem i prosiłem Lizę, aby koniecznie pana do mnie przysłała, i jakkolwiek sprawa jest niesłychanie paląca, ale wobec tego, że treść decyzji musi być niezwykła i ostateczna, to my...

- Niech księżę pozwoli - przerwałem mu - to pan mnie prosił wczoraj? Bo Liza mi absolutnie nic nie mówiła.

- Jak to? - zawołał, zatrzymując się nagle w środku mowy, niesłychanie zdumiony, a nawet wprost przerażony.

- Absolutnie nic mi nie mówiła. Wczoraj przyszła do domu taka zdenerwowana, że nawet w ogóle nie rozmawiała ze mną.

- Czyż być może, Arkadiju Makarowiczu? W takim razie, to jest... to jest...

- Ale cóż w tym takiego nadzwyczajnego? Czemu się pan tym tak przejmuje? Po prostu, zapomniała, albo coś w tym rodzaju.

Usiadł, ale pozostawał jakby w osłupieniu. Zdawało by się, że wiadomość o tym, iż Liza nic mi nie mówiła, zwała go po prostu z nóg. Nagle zaczął szybko mówić i gwałtownie machać rękoma, ale znowu nie można go było zupełnie zrozumieć.

- Czekał pan! - powiedział w końcu, zamilknąwszy na chwilę i podnosząc znacząco palec do góry.

- Czekał pan! To są... o ile tylko się nie mylę - to są figle - wybełkotał z uśmiechem maniaka. -

A więc to ma znaczyć, że...

- To absolutnie nic nie znaczy - przerwałem mu energicznie. - I zupełnie nie mogę zrozumieć, czemu się pan tak przejmuje podobnym głupstwem... Ach, księżę, od tamtego czasu, od owej nocy - pamięta pan...

402

laa

- Od jakiej nocy i co? - krzyknął zdenerwowany - niedwuznacznie manifestując swoją złość z

powodu tego, że mu przerwałem.

- U Zierszczykowa, gdzieśmy się widzieli po raz ostatni, no wtedy, zanim pan napisał ten list!

Wtedy też pan był okropnie zdenerwowany, ale między tamtym a tym, co jest teraz - jest taka ogromna różnica, że po prostu boję się pana... Czyż pan nie pamięta?

- Ach, tak - powiedział niedbałym tonem światowca, który przyznaje się do pomyłki, i nagle, jakby przypomniawszy sobie. - Ach, tak! Tego wieczora... Tak, słyszałem... Och, jak się pan czuje Arkadiju Makarowiczu? Ale, jednakże przejdźmy do tego, co najważniejsze. Widzi pan, mam właściwie trzy rzeczy na celu: muszę wykonać trzy zadania...

Znowu zaczął mówić bardzo szybko o tym, „co najważniejsze”. Uświadomiłem sobie wreszcie, że człowiekowi, z którym rozmawiam, należałoby właściwie owinać głowę ręcznikiem umaczanym w occie albo, jeszcze lepiej, puścić krew. To, co mówił, nie trzymało się kupy, a wszystko kręciło się, rzecz prosta, dokoła jednego tematu - procesu i jego ewentualnego zakończenia. Było tam i o tym, że niedawno odwiedzał go sam komendant pułku i przez dłuższy czas mu coś doradzał, ale on nie chciał go posłuchać, i o jakiejś kartce, którą dopiero co gdzieś wysłał, i o prokuratorze, i o tym, że na pewno pozbawią go praw i wyślą, gdzieś na północ Rosji. O tym, że można osiedlić się, a nawet zrobić karierę w Taszkencie, że syna swojego (tego, którego miała urodzić Liza) nauczy różnych rzeczy i że przekaże mu „w głuszy, w Archangielsku, w Chołmogorach”.

- Jeżeli chciałem usłyszeć sąd pański, Arkadiju Makarowiczu, to niech mi pan wierzy, dlatego jedynie, że tak bardzo cenię uczucia. Gdyby pan rozumiał, gdyby mógł pan to zrozumieć, Arkadiju Makarowiczu, mój kochany, mój bracie najdroższy, gdyby pan mógł to zrozumieć, czym jest Liza dla mnie, czym ona była dla mnie teraz, przez cały ten czas! - krzyknął nagle, chwytając się w uniesieniu obiema rękami za głowę.

- Siergieju Pawłowiczu, czyż pan chce ją zgubić? Wywieźć ją tam, do Chołmogorów! - wyrwało mi się nagle. Nie mogłem powstrzymać słów.

W tej chwili, jak gdyby po raz pierwszy, wyraźnie stanął mi przed oczyma los Lizy, skazanej na spędzenie całego życia przy boku maniaka. Książe spojrział na mnie, znowu wstał, zrobił kilka kroków, obrócił się i z powrotem usiadł, nie wypuszczając głowy z rąk.

- Ciągle mi się pająki śnią - powiedział nagle.

- Pan jest okropnie zdenerwowany, mój książe, radzę panu natychmiast położyć się i zażądać przysłania doktora.

403

- Nie, niech pan zaczeka, to już później. Prosiłem pana o przyjście do siebie przede wszystkim dlatego, żeby wyjaśnić panu sprawę ślubu. Ślub, jak pan już wie, odbędzie się tutaj, w tutejszej cerkwi. Rozmawiałem już w tej sprawie. Wszystko to zostało zaakceptowane, a nawet

namawiają mnie... Co zaś do Lizy, to...

- Książę - krzyknąłem - niechże pan ma litość nad Lizą, niechże jej pan tak nie dręczy, przynajmniej teraz, niech pan nie robi jej scen zazdrości.

- Jak to? - krzyknął, wytrzeszczywszy na mnie nieruchome oczy i wykrzywiwszy całą twarz w jakiś długi, bezmyślnie zagadkowy uśmiech.

Widać było, że słowo „zazdrość” strasznie go zaskoczyło, nie wiadomo dlaczego.

- Niech pan daruje, wyrwało mi się. Och, książę, ostatnio poznałem pewnego staruszka, mojego przybranego ojca. O, gdyby pan mógł z nim pomówić, to by się pan uspokoił. Liza również go szanuje.

- Ach, Liza... Ach, tak, tak, to wasz ojciec? Czy też, pardon, mon cher*, coś takiego... Pamiętam...

ona mi coś mówiła... staruszek... Ach, tak. Jestem pewien, jestem pewien. Ja też znałem jednego staruszka... mais passons**, przede wszystkim trzeba wyjaśnić całą istotę sprawy, trzeba...

Wstałem, żeby wyjść. Nie mogłem już znieść jego widoku.

- Nie rozumiem - powiedział surowo i poważnie, widząc, że chcę wyjść.

- Nie mogę patrzeć na pana - odpowiedziałem.

- Arkadiju Makarowiczu, jeszcze słówko, jedno jedyne słóweczko -nagle porwał mnie za ramiona i gwałtem posadził na fotelu. Jego ruchy i cały wygląd zmieniły się nagle nie do poznania. - Pan słyszał o tamtych - rozumie pan? - szepnął, pochylając się nade mną.

- Ach tak, Diergaczow. To na pewno sprawa Stiebielkowa! - krzyknąłem, nie mogąc się powstrzymać.

- Tak, Stiebielkowa i... pan nic nie wie?

Nagle zaciął się i znowu wytrzeszczył na mnie oczy z takim samym długim, nerwowym, bezmyślnie zagadkowym uśmiechem, coraz szerzej i szerzej rozciągającym jego pobladłe wargi.

Twą twarz stopniowo stała się biała jak papier. Nagle, nie wiadomo dlaczego, cały zadrżałem.

* mój drogi ** niech tam 404

Przypomniałem sobie wczorajsze spojrzenie Wiersiowa, kiedy mówił mi o aresztowaniu Wasina.

- To niemożliwe! - krzyknąłem w przerażeniu.

- Widzi pan, Arkadiju Makarowiczu, właśnie dlatego prosiłem pana, żeby wytłumaczyć...

chciałem... - zaczął nagle szeptać szybko i urwanie.

- Pan zrobił doniesienie na Wasina? - krzyknąłem.

- Nie, widzi pan, chodzi o pewien rękopis. Wasin poprzednio dał go Lizie do przechowania. Liza zostawiła mi go do przejrzania, a potem na drugi dzień posprzeczała się...

- Pan złożył ten rękopis w ręce władz!

- Arkadiju Makarowiczu! Arkadiju Makarowiczu!..

- Więc pan - krzyknąłem zrywając się z krzesła i skandując słowa. - Więc pan bez żadnej innej pobudki, bez żadnego innego celu, a jedynie dlatego, że nieszczęsny Wasin był pańskim rywalem, pan wręczył powierzony Lizie rękopis... wręczył - komu? Prokuratorowi?

Nie zdążył odpowiedzieć; cóż zresztą mógł mi odrzec? Stał nieruchomy jak słup, wciąż z tym chorym uśmiechem i bolesnym wzrokiem. Nagle drzwi się otworzyły i weszła Liza; zamarła, ujrawszy nas obu.

- Ty tutaj? Ty tutaj? - krzyknęła chwytając mnie za ramię z boleśnie zmienioną twarzą. - Więc ty...

wiesz?

Wyczytała już z mojej twarzy, że wiem o wszystkim. Szybkim, podświadomym ruchem objąłem ją mocno. Po raz pierwszy wówczas pojąłem w całej pełni, jakie bezmierne nieszczęście, pozbawione bodaj jednego jaśniejszego promyka, zawisło nad całym losem tej... dobrowolnej męczennicy.

- Czy można teraz z nim rozmawiać? - rzekła wrywając się nagle z moich ramion. - Czy można z nim obcować? Po co tu przyszedłeś? Spójrz, spójrz na niego! Czy można, czy można go osądzać?

Bezmierne cierpienie i współczucie malowało się na jej twarzy, gdy wymawiając te słowa wskazywała na nieszczęśnika. Księżę siedział na krześle zakrywszy twarz rękoma. Liza miała słusność: ten człowiek był w malignie i nie mógł odpowiadać za swoje czyny. Jeszcze tego ranka przeniesiono go do szpitala, a pod wieczór przyszło zapalenie mózgu.

—

Zostawiłem Lizę u księcia i pojechałem koło pierwszej po południu do mojego poprzedniego mieszkania. Zapomniałem powiedzieć, że dzień był wilgotny, mroczny, pierwszy dzień rozpoczynającej się odwilży,

405

pełen podmuchów ciepłego wiatru, zdolny rozstroić nerwy nawet słonia. Gospodarz powitał mnie z radością; kręcił się koło mnie zaaferowany, czego bardzo nie lubię w podobnych momentach.

Przywitałem go zimno i zaraz poszedłem do siebie, ale udał się za mną; nie śmiał mnie pytać, lecz ciekawość patrzyła mu z oczu, a przy tym miał taką minę, jakby miał pełne prawo do tej ciekawości. Powinienem był zachować się uprzejmie dla własnej wygody i chociaż musiałem dowiedzieć się

różnych rzeczy (z góry wiedziałem, że się dowiem), czułem jednak wstręt przed nawiązaniem rozmowy. Zapytałem go o zdrowie żony i poszliśmy do niej; gospodyni powitała mnie grzecznie, ale w niezwykle rzeczowy i powściągliwy sposób, co mnie nieco uspokoiło.

Krótko mówiąc, dowiedziałem się wówczas mnóstwa nadzwyczajnych rzeczy.

Oczywiście Lambert był u nich z wizytą, a następnie przychodził jeszcze dwa razy, przy czym obejrzał wszystkie pokoje, twierdząc, że może jeden z nich wynajmie. Przychodziła kilka razy Nastasja Jegorowna -Bóg wie dlaczego. „Także ogromnie była wszystkiego ciekawa” - dodał gospodarz.

Nie zrobiłem mu jednak tej przyjemności i nie spytałem, co mianowicie ją tak zaciekawiło. W ogóle nie pytałem o nic; mówił, a ja udawałem, że szukam czegoś w moim kuferku (który był prawie pusty). Najbardziej drażniło mnie to, że i on postanowił bawić się w tajemniczość, a zamiarkowawszy, iż powstrzymuję się od pytań, uważał również za stosowne mówić w sposób oderwany, prawie zagadkowy.

- Panienska również była - dodał, spoglądając na mnie spode łba.

- Jaka panienska?

- Anna Andriejewna, dwa razy była; przedstawiła się mojej żonie. Bardzo sympatyczna osoba, bardzo miła. O, to bardzo cenna znajomość, Arkadiju Makarowiczu

Powiedziawszy to zbliżył się do mnie na krok i widać było, że bardzo chce, żebym się czegoś domyślił.

-Aż dwa razy? - zdziwiłem się.

- Za drugim razem była z bratem.

„To pewnie był Lambert” - przyszło mi nagle do głowy.

- Nie, proszę pana, to nie był Lambert - odgadł od razu, tak jakby czytał w mojej duszy. - To był brat tej pani, młody pan Wiersiłow. Zdaje się, że jest kamerjunkerem, nieprawdaż?

Byłem bardzo zmieszany. Spoglądał na mnie, uśmiechając się chytrze.

- A jeszcze ktoś był i pytał o pana, ta mamzela, Francuzka, mamzela Alfonsyna de Yerdaigne. Ach, jak ona ślicznie śpiewa, jak wiersze pięk-406

nie deklamuje. Mówiła, że w tajemnicy pojechała do księcia Mikołaja Iwanowicza do Carskiego.

Powiaądała, że ma dla niego na sprzedanie osobliwego pieska, całego czarniutkiego, nie większego od pięści.

Poprosiłem go, żeby mnie zostawił samego, tłumacząc się bólem głowy. Od razu usłuchał, nie dokończywszy nawet rozpoczętego zdania; nie tylko nie okazał najmniejszego niezadowolenia, ale wprost jakby był z tego kontent. Skinął porozumiewawczo dłonią, jakby chciał powiedzieć:

„Rozumiem, doskonale rozumiem” i chociaż tego otwarcie nie powiedział, ale wyszedł z pokoju na palcach, co wyraźnie sprawiało mu wielką przyjemność. Że też na świecie jest tylu ludzi niezdolnych.

Przez jakieś półtorej godziny siedziałem i myślałem, właściwie nie myślałem, ale pograżyłem się w zadumie. Chociaż byłem trochę zmieszany, ale bynajmniej nie zdziwiony. Spodziewałem się teraz czegoś jeszcze ciekawszego, jakiejś jeszcze większej osobliwości. „Może już dotychczas zdążyli zrobić Bóg wie co” - pomyślałem sobie. Jeszcze przebywając w domu byłem już od dawna i najmocniej przekonany, że puścili już w ruch maszynę, że teraz idą całą parą. „Tylko jeszcze mnie im brakuje” - pomyślałem z pewnego rodzaju irytującym, ale jednocześnie przyjemnym uczuciem zadowolenia z siebie samego. Że tylko czekają na mnie i że mają zamiar urządzić coś w moim mieszkaniu - to było jasne, jak słońce. „A może chcą tu ożenić starego księcia? Przecież tam po prostu na staruszka idzie cała nagonka. Tylko czyja pozwolę na to, moi państwo, w tym sęku!” - zakończyłem z akcentem zadowolonej pewności siebie.

„Gdy tylko zacznę, to mnie zaraz wir wciągnie, jak żdźbło słomy. Czy jestem teraz wolny, czy nie? Czy wolno mi jeszcze powrócić dziś wieczór do mamy, powiedzieć sobie tak, jak mówiłem sobie wtedy: „Nic mnie teraz nie obchodzi?”

Oto treść moich rozważań, a raczej, ściśle mówiąc, porywów mojego serca, podczas owej półtorej godziny, w ciągu której siedziałem na łóżku w kącie, z łokciami wspartymi na kolanach i z głową spoczywającą na dłoniach. Ale przecież wiedziałem doskonale, już wtedy wiedziałem, że wszystkie te zamiary są zupełnie nierealne, że pragnę jedynie jej - jej tylko, jej jednej. Nareszcie zdobyłem się na powiedzenie tego sobie wprost i napisanie tego na papierze, bo nawet teraz, kiedy to piszę po roku, nie wiem jeszcze, jak mam ówczesne pragnienie moje nazwać.

O, żal mi było niezmiernie Lizy i w sercu moim tkwił ból najszczerszy, jak najdalszy od jakiegokolwiek poży. Już choćby to jedno uczucie bólu z powodu Lizy powinno było uciszyć albo uśmierzyć na pewien

407

czas ową moją krwiożerczość (używam znowu tego słowa). Ale nie mogłem oprzeć się bezmiernej ciekawości, jakiemuś dziwnemu lękowi i jeszcze jednemu uczuciu - nie zdaję sobie sprawy jakiemu, ale wiem to jedno i wiedziałem to wówczas, że to było złe uczucie. Może chciałem rzucić się jej do nóg, a może chciałem ją torturować i dowieść jej czegoś „natychmiast, natychmiast”.

Nie mógł mnie zatrzymać żaden ból i nawet największe współczucie dla Lizy. Ale, czyż mogłem wstać z łóżka, pójść do domu... do Makara Iwanowicza?

„A czy nie można by tylko zajrzeć do nich, dowiedzieć się, co się dzieje, a potem odejść na zawsze, omijając bez przeszkód wszystkie te dziwactwa i potworności?”

O trzeciej godzinie, ocknąwszy się i zorientowawszy, że jest już późno, wybiegłem na ulicę, złapałem dorózkę i popędziłem do Anny Andriejewny.

ROZDZIAŁ PIĄTY

J

ak tylko zameldowano Annie Andriejewnie moją wizytę, natychmiast porzuciła robótkę i spiesznie wyszła na spotkanie do pierwszego pokoju - czego przedtem nigdy nie czyniła. Wyciągnęła do mnie obie ręce i nagły rumieniec zalał jej twarz. Bez słowa poprowadziła mnie do siebie, usiadła przy stole, na którym leżała robótką, posadziła mnie obok siebie, ale pracy już nie zaczynała, tylko, nie mówiąc ani słowa, przyglądała mi się z tym samym wyrazem szczerego zainteresowania.

- Pani przysłała do mnie Nastasję Jegorownę - zacząłem prosto z mostu, skrępowany nieco tym aż nazbyt manifestacyjnym zainteresowaniem, chociaż z drugiej strony, muszę przyznać, że bynajmniej nie sprawiało mi przykrości.

Nagle zaczęła mówić, nie odpowiadając na postawione przeze mnie pytanie:

- Słyszałam wszystko, o wszystkim już wiem. To była okropna noc... Ach, ileż pan musiał wycierpieć! Czy to prawda, czy rzeczywiście znaleziono pana bez przytomności, leżącego na śniegu?

- To Lambert powiedział pani... - mruknąłem, czerwieniąc się.

- Dowiedziałam się o wszystkim od niego... ale czekałam na pana. On był taki przestraszony, kiedy przyszedł do mnie! W mieszkaniu... tam, gdzie pan leżał chory, nie chciano go wpuścić do pana... w ogóle potraktowano go jakoś dziwnie... Ja, doprawdy, nie rozumiem, jak to było, ale opowiadał mi wszystko, co zaszło tej nocy. Powiedział mi, że pan, zaledwie odzyskawszy przytomność, zaczął mówić o mnie i... o tym, jak pan mi jest oddany. Płakałam ze wzruszenia i nawet nie wiem, czym zasłużyłam na taką serdeczną sympatię z pańskiej strony, Arkadiju Makarowiczu, i to jeszcze wtedy, kiedy pan sam był w takiej okropnej

409

sytuacji! Niech pan powie - pan Lambert to pański kolega z czasów dzieciństwa?

- Tak, to prawda, ale w danym wypadku... muszę się przyznać, byłem nieco nieostrożny i obawiam się, że opowiadałem mu wtedy... trochę za wiele.

- O, o tej wstrętnej, okropnej intrydze dowiedziałabym się i bez niego. Cały czas, zawsze

przeczuwałam, że oni pana do tego doprowadzą. Niech pan powie, czy to prawda, że Bjoring miał chęć podnieść rękę na pana?

Mówiła w ten sposób, jak gdyby to, że znalazłem się wtedy pod płotem, było winą jedynie Bjoringa i jej. „A przecież, ona ma rację” - przeszło mi przez głowę, ale stłumiłem tę myśl i wybuchnąłem:

- Gdyby podniósł na mnie rękę, nie uniknąłby kary i nie zjawiłbym się tu u pani, nie zemściwszy się uprzednio na nim - odpowiedziałem gorąco.

Rozdrażniło mnie przede wszystkim to, że, jak mi się zdawało, w jakimś celu chciała mnie zirytować, rozżłościć mnie na kogoś (zresztą, wiadomo, na kogo). Mimo to jednak nie mogłem się jej oprzeć.

- Chociaż pani powiada, że pani wiedziała, iż oni doprowadzą mnie do tego, to jednak jest rzeczą oczywistą, że ze strony Katieriny Nikoła-jewny było to jedynie nieporozumienie... Chociaż i to jest prawdą, że dziwnie szybko zmieniła swoją dawną sympatię ku mnie na to nieporozumienie.

- Tak, tak właśnie, że nazbyt prędko! - podjęła Anna Andrzejówna ze współczuciem,

przechodzącym wprost w pewnego rodzaju zapał. - Och, żeby pan wiedział, jak oni tam teraz intrygują. Oczywiście, Arkadiju Makarowiczu, pan nie może zrozumieć, w jak drażliwej sytuacji jestem obecnie - powiedziała, rumieniąc się i spuszczając oczy. - W tym czasie, tego samego ranka, kiedyśmy się ostatnio widzieli, zdobyłam się na ten krok, który nie każdy potrafi ocenić i potraktować tak, jakby to zrobił człowiek taki, jak pan, o umyśle nieskażonym jeszcze przez przesady, o sercu świeżym, pełnym uczucia, nie dotkniętym jeszcze przez zepsucie.

Kochany przyjacielu, niech mi pan wierzy, że ja widzę całą wartość pańskiego poświęcenia dla mnie i nigdy nie przestanę żywić dla pana jak najgłębszej wdzięczności. Świat oczywiście rzuci na mnie kamieniem i już pewnie rzucił.

Ale, gdyby jednak ludzie, ze swego nikczemnego stanowiska, mieli rację, to i wtedy - czy znajdzie się wśród nich taki, który by się ośmielił potępiać mnie? Jeszcze jako dziecko zostałam bez ojca: my

410

Wiersiłowowie, potomkowie znakomitego i starożytnego rodu rosyjskiego - jesteśmy przybłędami i ja jestem u obcych ludzi na łaskawym chlebie. Czyż nie było rzeczą najzupełniej naturalną, że w takiej sytuacji zwróciłam się do tego, który od lat najmłodszych zastępował mi ojca, którego dobrodziejstwa doświadczałam w ciągu lat tylu? Bóg jeden może ujrzeć i osądzić to uczucie, jakie żywię dla niego w głębi mego serca, i nie zgodzę się, żeby ludzie wyrokowali o tym, co zrobiłam.

A jeżeli tu zachodzi jeszcze ponadto najnikczemniejsza i najciemniejsza intryga, jeżeli rodzona córka spiskuje na zgubę najszlachetniejszego i najmocniej jej ufającego ojca - to czyż można patrzeć na to obojętnie? Nie - ja muszę go ratować, choćby to nawet miało odbić się jak najfatalniej na mojej reputacji. Choćbym miała zostać niańką w jego domu, choćbym miała być jego stróżem, pielęgniarką - nie dopuszczę do triumfu tego wstrętnego, obojętnego, światowego wyrachowania!

Wszystko to było wypowiedziane z niesłychanym podnieceniem, bardzo być może, że na pół

udanym, ale mimo to jednak - szczerym, bo widać było, że jest całkowicie oddana tej sprawie. O, czułem, że kłamie (choć niby ze szczerego serca) i że jest w tej chwili złą kobietą, ale stała się rzecz dziwna, co zdarza się, gdy się ma do czynienia z kobietami: te pozory szlachetności, ta wzniosłość form, ta imponująca wspaniałość światowa i dumna czystość - wszystko to działało na mnie - i musiałem zgadzać się z nią we wszystkim, to znaczy, przynajmniej dopóki byłem u niej, nie mogłem zdobyć się na to, żeby jej zaprzeczyć. O, mężczyzna, a szczególnie mężczyzna szlachetny, będzie zawsze moralnym niewolnikiem kobiety. Szlachetnego mężczyznę potrafi taka kobieta przekonać o wszystkim, o czym tylko zechce. „Ona i Lambert - Boże kochany!” - myślałem patrząc na nią. Nie mieściło mi się to w głowie. Zresztą, powiem więcej; jeszcze teraz nie potrafię jej potępić: jej uczucia mógł istotnie znać tylko Bóg, a przy tym - człowiek to taka skomplikowana maszyna, że w pewnych wypadkach nic w niej nie można zrozumieć - tym bardziej, jeżeli ponadto ten człowiek jest kobietą.

- Anno Andriejewno, czegoż więc pani spodziewa się po mnie? - spytałem mimo wszystko głosem dość stanowczym.

- Jak to? Cóż pan chce przez to powiedzieć, Arkadiju Makarowiczu?

- Z tego wszystkiego wynikało by... i z niektórych innych względów dochodzę do wniosku... -

zacząłem tłumaczyć, płacząc się - że jeżeli pani przysłała kogoś do mnie, to znaczy, że pani czegoś sobie ode mnie życzy, a więc, czego mianowicie?

411

Nie odpowiadając na moje pytanie, zaczęła znowu mówić z tym samym rozmachem i tym samym zapałem.

- Ależ ja nie umiem, nazbyt jestem dumna, żeby tłumaczyć się przed jakąś nieznaną osobistością, jak pan Lambert, albo zawierać z nią jakieś układy. Chciałam mówić z panem, a nie z panem Lambertem. Moja sytuacja jest okropna, bez wyjścia, Arkadiju Makarowiczu! Ze wszystkich stron grożą mi intrygi tej okropnej kobiety; muszę być przebiegła, a to jest rzecz, której nie mogę znieść. Jestem w takiej sytuacji, że wprost muszę zniżyć się do poziomu intrygantki; i czekam na pana, jak na zbawcę. Czyż można mi mieć za złe, że rozglądam się na wszystkie strony, szukając choćby jednej istoty ludzkiej, na której mogłabym polegać i że nie mogłam powstrzymać się od radości, ujrawszy w panu przyjaciela. Człowiek, który nawet owej nocy, na wół martwy, leżąc na śniegu, pamiętał o mnie i powtarzał cały czas jedno tylko moje imię -

człowiek ten, niewątpliwie, musi mi być całkowicie oddany. Przez cały czas nie opuszczała mnie ta myśl, ani na chwilę i dlatego to pokładałam moją nadzieję w panu.

Jej niecierpliwe i pytające spojrzenie zawisło po prostu na moich ustach. I oto znowu nie mogłem zdobyć się na to, aby wytłumaczyć jej, że jest w błędzie, że Lambert ją oszukał i że wtedy bynajmniej nie mówiłem mu, że jestem jej tak całkowicie oddany, i że bynajmniej nie powtarzałem wtedy tylko jej imienia. W ten sposób milcząc, potwierdzałem niejako kłamstwo Lamberta. A zresztą, nie ulega

dla mnie wątpliwości, iż sama doskonale zdawała sobie sprawę, że Lambert przesadził i że po prostu nakłamał jej, dlatego jedynie, aby zdobyć w miarę przyzwoity pretekst do złożenia jej wizyty i do nawiązania z nią kontaktu. Jeżeli zaś teraz patrzyła mi w oczy, jak gdyby nie wątpiąc ani na chwilę, że to wszystko jest prawdą i że jestem jej oddany, to jedynie dlatego, iż oczywiście wiedziała, że moja delikatność i młodzieńcza wrażliwość nie pozwolą mi zaprzeczyć. A zresztą nie wiem, może słusznie tak przypuszczam, a może nie mam racji, a ta hipoteza świadczy jedynie o moim zepsuciu.

- Mój brat ujmie się za mną - zawołała nagle z zapalem, widząc, że nie chcę odpowiadać.

- Powiedziano mi, że pani wraz z nim przychodziła do mojego mieszkania - wybełkotałem zmieszany.

- Ale przecież ten nieszczęśnik, księżę Nikołaj Iwanowicz, nie ma teraz prawie żadnego schronienia przed tą intrygą, albo, ściślej mówiąc, przed swoją rodzoną córką, oprócz pańskiego mieszkania, oprócz mieszkania przyjaciela. I przecież chyba ma prawo uważać pana przynaj-

mniej za swego przyjaciela. A więc, jeżeli pan coś chce dla niego uczynić, to niech pan to zrobi, jeśli się pan tylko zdobędzie, jeżeli pan potrafi okazać się człowiekiem odważnym i szlachetnym...

I wreszcie jeżeli pan w ogóle - potrafi naprawdę uczynić cokolwiek. O, to nie dla mnie, nie dla mnie, ale dla tego nieszczęsnego starca, który jeden tylko kocha pana serdecznie, który przez ten czas przywiązał się do pana całym sercem, jak do własnego syna i który dotychczas tęskni za panem! Dla siebie nie spodziewam się od pana niczego. Jeżeli nawet rodzony ojciec dopuścił się wobec mnie czegoś podobnie nienawistnego...

- O ile mi się zdaje, to Andriej Piotrowicz... - chciałem mówić.

- Andriej Piotrowicz - przerwała mi z gorzkim uśmiechem-Andriej Piotrowicz na moje otwarcie postawione pytanie odpowiedział mi słowem honoru, że nigdy nie miał żadnych zamiarów w stosunku do Ka-tieriny Nikołajewny, a ja uwierzyłam w to i dlatego zdecydowałam się na ów krok. A tymczasem okazało się, że jego cały zapal prysł na pierwszą wiadomość o jakimś panie Bjoringu.

- Tu nie o to chodziło - krzyknąłem. - Była taka chwila, że nawet ja uwierzyłem już w jego miłość do tej kobiety; ale tu nie o to chodziło. Ale, gdyby nawet chodziło o to, to przecież teraz nie powinien mieć powodów do niepokoju, z chwilą kiedy ten pan został przez nią odepchnięty.

- Jaki pan?

- Bjoring.

- A któż panu powiedział, że Bjoring został odepchnięty? Może nigdy akcje tego pana nie stały tak wysoko, jak teraz - uśmiechnęła się zjadliwie i zdawało mi się nawet, że ta ironia godziła również we mnie.

- Nastasja Jegorowna mówiła mi - wyjąkałem zmieszany, nie mogąc ukryć wrażenia, które wywarły na mnie jej słowa i które ona spostrzegła.

- Hm, Nastasja Jegorowna jest niezmiernie zacną i miłą osobą, i oczywiście nie mogę jej zabronić,

żeby mnie kochała, ale poza tym, skąd ona może wiedzieć o sprawach, które jej bynajmniej nie dotyczą?

Serce moje skurczyło się boleśnie. Miała zamiar wzbudzić we mnie oburzenie i osiągnęła swój cel: tyle że nie wobec tamtej kobiety, ale wobec samej Anny Andriejewny. Podniosłem się z krzesła.

- Jako człowiek uczciwy, czuję się w obowiązku uprzedzić panią, Anno Andriejewno, że nadzieje pani... co do mnie... mogą się okazać zupełnie płonne...

- Spodziewam się, że pan ujmie się za mną - tu śmiało i pewnie spojrzała mi w oczy. - Za mną, którą porzucili wszyscy... za mną, która, przypominam panu, jest siostrą pana, Arkadiju Makarowiczu.

413

Jeszcze chwila, a gotowa była rozpiakać się.

-A więc, lepiej niech się pani niczego nie spodziewa, bo prawdopodobnie nic z tego nie będzie - wyszeptalem z uczuciem niezmiernej przykrości.

- Jak mam rozumieć pańskie słowa? - powiedziała z jakąś przesadną bojaźnią.

- A tak, że pójdę sobie i zostawię was wszystkich, i rzecz skończona! - krzyknąłem nagle, wpadając nieledwie we wściekłość. - A dokument podrę na drobne kawałki! Zegnam panią!

Ukloniłem się jej i wyszedłem bez słowa, ale w tej chwili nie miałem wprost odwagi spojrzeć na nią. Nie zdążyłem jeszcze zejść ze schodów, kiedy dopędziła mnie Nastasja Jegorowna i wręczyła mi złożoną na dwoje kartkę papieru listowego. Skąd tu się wzięła Nastasja Jegorowna i gdzie siedziała podczas rozmowy mojej z Anną Andriejewną - tego zupełnie nie mogę zrozumieć. Nie powiedziała ani słowa, tylko oddała papierek i uciekła na górę. Odgiąłem papier: na nim równym i wyraźnym charakterem wypisany był adres Lamberta. Jak widać, kartka ta była przygotowana prawdopodobnie jeszcze przed kilkoma dniami. Przypomniałem sobie nagle: kiedy jeszcze podczas mojej choroby Nastasja Jegorowna była u mnie, powiedziałem jej, że nie wiem, gdzie mieszka Lambert, ale chciałem przez to powiedzieć tylko tyle, że nie wiem i nie chcę wiedzieć. W tej zaś chwili adres Lamberta już znałem, a to dzięki Lizie, którą specjalnie prosiłem o wyszukanie go w biurze adresowym. Uważałem, że Anna Andriejewną postąpiła z dużą pewnością siebie, wprost nawet bezczelnie. Chociaż wyraźnie oświadczyłem, że współdziałać z nią nie chcę, to jednak nie traktowała, jak widać, poważnie moich postanowień i wysyłała mnie prosto do Lamberta.

Wiedziałem aż nadto wyraźnie, że ona wie wszystko, co dotyczy dokumentu i wie oczywiście nie od kogo innego, jak od Lamberta, do którego teraz wysyłała mnie, żebym wszedł z nim w porozumienie.

„Wszyscy, co do jednego, uważają mnie najwyraźniej za smarkacza pozbawionego woli i charakteru, z którym można robić, co się komu żywnie podoba - pomyślałem z oburzeniem.

Niemniej poszedłem do Lamberta. Czyż mogłem dać sobie radę z rodzącą się w moim umyśle coraz większą ciekawością? Lambert mieszkał, jak się okazało, bardzo daleko, w zaułku Ukośnym, koło Letniego

414

Ogrodu, zresztą, w tych samych pokojach umeblowanych. Ale wtedy, kiedy uciekałem od niego, byłem niezdolny do zwrócenia uwagi na kierunek i odległość, tak, że kiedy cztery dni temu Liza wręczyła mi kartkę z jego adresem, byłem zdumiony i wprost nie mogłem uwierzyć, że właśnie tam mieszka. Pod drzwiami na drugim piętrze spostrzegłem, jeszcze idąc na górę po schodach, dwóch młodych ludzi i pomyślałem sobie, że przyszli przede mną, i teraz czekają, aby im otworzono. Zanim wszedłem na drugie piętro, obaj, odwróceniem plecami do drzwi, bacznie mnie obserwowali. „Przecież to pokoje umeblowane i oczywiście przyszli do jakiegoś innego lokatora” -

pomyślałem niechętnie. Podeszedłem do drzwi. Było by mi bardzo nie na rękę, gdybym u Lamberta zastał jakiegoś gościa. Starając się nie zwracać na nich uwagi, wyciągnąłem rękę do dzwonka.

-Attendez!* - zawołał jeden z nich.

- Proszę pana bardzo, niech pan będzie łaskaw poczekać chwilę -rzekł drugi z młodych ludzi. Głos jego był dźwięczny i miły; jakby nieco przeciągał słowa. - Zaraz będziemy gotowi, a wtedy zadzwonimy wszyscy razem, dobrze?

Zatrzymałem się zaskoczony. Byli to jeszcze bardzo młodzi ludzie, w wieku mniej więcej od dwudziestu do dwudziestu dwóch lat. Zachowanie się ich pod drzwiami Lamberta wydawało mi się niezmiernie dziwne i zaciekawiony starałem się odgadnąć, co tu robią. Ten, który zawołał na mnie

„Attendez”, był to dryblas wysoki, mający najmniej sześć stóp wzrostu, szczupły i suchy, ale muskularny, o głowie bardzo małej w stosunku do wielkości ciała, i z jakimś komicznie ponurym wyrazem na nieco piegowatej, ale dość inteligentnej, a nawet miłej twarzy. W oczach jego widniał

jakiś dziwny, nadmierny upór i jakaś zgoła już nadmierna i zupełnie niepotrzebna energia. Ubrany był bardzo lichy, miał na sobie stary płaszcz na wacie z małym, wypiętym kołnierzykiem futrzanym, za krótki na niego, najwidoczniej zrobiony dla kogoś innego, na nogach paskudne, nieledwie chłopskie buciory, a na głowie wyrudziały, pognieciony i połamany cylinder. Wyglądał

na okropnego brudasa, rękawiczek nie nosił i widać było brudne ręce o długich paznokciach, z żalobnymi obwódkami. Jego towarzysz był, jakby dla kontrastu, ubrany bardzo elegancko - w lekkie futro elkowe i w wykwinny

‘ Proszę poczekać!

415

kapelusz. Delikatne, cienkie paluszki były wciśnięte w nowiuteńkie rękawiczki. Był mniej więcej mojego wzrostu. Jego świeża, chłopięca twarzyczka miała dziwnie sympatyczny i ujmujący wyraz.

Wielkie chłopisko ściągało z siebie krawat, a właściwie zupełnie wytartą i brudną wstążkę, ściślej mówiąc, raczej tasiemkę, a chłopaczek o ujmującej twarzyczce, wydobywszy z kieszeni nowiuteńki, świeżo kupiony, czarny krawacik, zawiązywał go na szyi długiemu, który posłusznie i z niebywałą powagą wyciągnął swą bocianią szyję, opuszczając przy tym palto z ramion.

- Nie, przy takiej brudnej koszuli nic z tego nie będzie - mówił mniejszy. - Nie tylko nie wywrze żadnego wrażenia, ale koszula będzie się wydawała jeszcze bardziej brudna. Mówiłem ci przecież, żebyś włożył kołnierzyk. Nie umiem zawiązywać... A może pan potrafi? - zwrócił się nagle do mnie.

- Co? - spytałem.

- Zawiązać mu krawat, rozumie pan? Trzeba to tak zrobić, żeby zasłonić brudną koszulę, bo inaczej cały efekt będzie na nic i wszystko przepadnie. Specjalnie kupiłem dla niego krawat u fryzjera Filipowa, za całego rubla.

- To ty... to kosztuje rubla? - mruknął drugi.

- Ano tak, teraz już nie mam złamanego grosza. A więc - pan nie potrafi. Wobec tego będziemy musieli poprosić Alfonsynkę.

- Pan do Lamberta? - spytał nagle ostro długi.

- Do Lamberta - odpowiedziałem bez najmniejszego zmieszania, patrząc mu zdecydowanie prosto w oczy.

- Dolgorowky? - powtórzył tym samym tonem i tym samym głosem.

- Nie, nie Korowkin - odpowiedziałem szorstko, nie dosłyszawszy dobrze.

- Dolgorowky?! - powtórzył krzycząc nieledwie długi i podchodząc do mnie z groźną miną.

Jego towarzysz roześmiał się.

- On mówi Dolgorowky, a nie Korowkin - wytłumaczył mi. - Bo, wie pan, ci Francuzi w „Journal des Debats” często przekręcają nazwiska rosyjskie.

- W „Independance” - burknął długi.

- Wszystko jedno, niech pan będzie w „Indepedance”. Zamiast, na przykład, Dołgorukij piszą Dolgorowky - sam czytałem, a zamiast W-w zawsze hrabia Walkonieff.

- Doboyny! - krzyknął długi.

416

- O, tak samo jeszcze jakiś Doboyny, czytałem sam i obaj uśmieliśmy się: znalazła się za granicą jakaś Rosjanka, madame Doboyny... Tylko, widzisz, mój drogi, po co o tym wszystkim mówić?

- zwrócił się nagle do długiego.

- Przepraszam, pan jest Dołgorukij?

- Tak, jestem Dołgorukij. A pan skąd wie?

Długi szepnął coś nagle miłemu chłopaczkowi. Ten zmarszczył się i kiwnął głową na znak odmowy, ale długi raptownie zwrócił się do mnie.

- Monsieur le prince, vous n'avez pas de rouble d'argent pour nous, pas dewc, mais un seul, voulez vous?*

- Ach, jakież to wstrętne! - krzyknął chłopaczek.

- Nous vous rendrons** - zakończył długi, ordynarnie i niezgrabnie akcentując słowa francuskie.

- Widzi pan, to jest wielki kpiarz - uśmiechnął się do mnie chłopaczek. - Pan pewnie myśli, że on nie zna francuskiego? Ależ mówi jak urodzony Paryżanin, tylko że w ten sposób przedrzeźnia Rosjan, którzy koniecznie chcą rozmawiać między sobą po francusku, a nie umieją...

- Dans les wagons*** - dodał długi w celu wyjaśnienia.

- No tak, w wagonach. Ależ ty jesteś nudny! Tu nie ma czego wyjaśniać. I też chce ci się udawać głupiego!

Tymczasem wyjąłem z kieszeni rubla i podałem długiemu.

- Nous vous rendons**** - odpowiedział, schował monetę i nagle, odwróciwszy się do drzwi, zaczął, nie zmieniając zupełnie wyrazu twarzy i nie tracąc zupełnie swej poprzedniej powagi, walić w nie końcem swego buciora, a co najciekawsze, nie okazywał przy tym nawet

najmniejszego gniewu...

- Ach, znowu będzie awantura z Lambertem - zauważył zaniepokojony chłopaczek. - Już lepiej niech pan zadzwoni. Zadzwoniłem, ale ten nie przestawał łomotać butem.

- Ah, sacre!***** - usłyszałem nagle za drzwiami głos Lamberta, który otworzył szybko i wyszedł.

***** Do diaska!

Książę, prosimy o choć jedną srebrną rublówkę, choć jedyną? * Oddamy dtug W wagonach Oddamy ją

417

- Dites donc, voulez-vous, queje casse la tete, mon ami?*- krzykną} w złości.

- Mon ami, voila Dolgorowky, l'autre mon ami** - poważnie i uroczyście powiedział długi, spoglądając spokojnie na czerwonego z irytacji Lamberta.

Ten zobaczył mnie i od razu jakby się zmienił.

- To ty - Arkadiju! No nareszcie! No, wiec już jesteś zdrow, jużes, chwała Bogu, wyzdrowiał.

Porwał mnie za ręce, zaczął je ścisnąć, słowem, okazał tyle szczerzej radości, a nawet zapału, że w tej chwili było mi ogromnie miło i nawet - polubiłem go.

- Ciebie pierwszego odwiedzam!

- Alphonsine! - zawołał Lambert.

Ta natychmiast wyskoczyła zza parawanu.

- Le voila!***

- C'est lui**** - zawołała Alfonsyna, klasnąwszy w dłonie i, wyciągając ramiona, skoczyła, aby mnie uściskać, ale Lambert obronił mnie przed tą rozkoszą.

- No, no, no, spokój! - krzyknął na nią, jak na jakiegoś nieznośnego psiaka. - Widzisz, Arkadiju, umówiłem się dzisiaj z kilkoma swoimi chłopakami, że zjem z nimi obiad u Tatarów. Teraz już ciebie nie puszcę, musisz jechać z nami. Zjemy razem obiad, tych zaraz wyrzucę, a wtedy już nagadamy się. Ale wejdźże, wejdź. I tak zaraz wychodzimy, minutkę tylko poczekasz.

Wszedłem: stanąłem na środku tego samego pokoju, rozglądając się dokoła i przypominając sobie, podczas gdy Lambert przebierał się szybko za parawanem. Długi i jego towarzysz weszli również za nami, mimo mało zachęcającego zaproszenia Lamberta. Żaden z nas nie siadał.

- Mademoiselle Alphonsine, voulez vous me baiser?***** - mruknął Długi.

-Mademoiseile Alphonsine***** - chciał do niej podsunąć się młodszy, pokazując krawat, ale jak wściekła wpadła na obu.

* Mam teb rozbić?

** Oto mój przyjaciel Dolgorowski, a oto również przyjaciel.

*** Oto on!

**** To właśnie on.

***** Panno Alfonsyno, da mi pani buziaka?

***** Panno Alfonsyno

-Ah, le petit vilain!* - krzyknęła na młodszego. - Ne m'approchez pas, ne me salissez pas, et vous, le grand dadais, je vous flanque a' la porte tous les dewc, savez-vous cela?*

Chociaż opędzała się i odwracała od nich obu jakby z pogardą, a nawet ze wstrętem, jak gdyby bała się, że ją pobrudzą (co było zupełnie niezrozumiałe w przypadku młodszego, który był taki śliczny, a kiedy zdjął futro, okazało się, że jest ubrany elegancko i idealnie czysto), to jednak młodszy nie przestawał upraszać, by zawiązała krawat jego długiemu towarzyszowi, po uprzednim włożeniu mu na szyję jakiegoś czystego kołnierzyka, pożyczonego od Lamberta. Alfonsyna, usłyszawszy tego rodzaju propozycję, wpadła w takie oburzenie, że ledwie nie rzuciła się na nich z pięściami, ale, słysząc o co chodzi, Lambert krzyknął jej zza parawanu, żeby nie upierała się i dała im, czego chcą;

„bo inaczej się ich nie pozbędziemy”. Alfonsyna natychmiast chwyciła kołnierzyk i zaczęła wiązać długiemu krawat, nie okazując już najmniejszego wstrętu. Długi, dopóki nie ukończyła całej tej operacji, stał przed nią z wyciągniętą szyją, podobnie jak przedtem w korytarzu.

- Mademoiselle Alphonsine, avez-vous vendu votre bologne?*** - spytał nagle.

- Ou'est-ce que ca, ma bologne?****

Młodszy wyjaśnił, że „ma bologne” ma oznaczać suczkę bolońską.

- Tiens, quel ast ce baragouin?*****

- Je parle comme une dame russe sur les eawc minerales***** -odpowiedział le grand dadais, ciągle stojąc z wyciągniętą szyją.

- Qu'est-que ca qu'une dame russe sur les eawc minerales et... ou est dons votrejolie montre, que Lambert vous a donné***** - zwróciła się znów do młodszego.

- Co, już znowu nie ma zegarka? - odezwał się Lambert z irytacją w głosie.

* Nieznośny!

** Nie zbliżaj się do mnie, szczególnie ty wstrętny pieszczochu, bo inaczej was obu wyproszę!

*** Panno Alfonsyno, czy pani sprzedała „bolonkę”?

**** Iaką „bolonkę”?

***** Co to za bzdury?

***** Mówię jak rosyjska dama u wód.

***** Co rosyjska dama może porabiać u wód i... gdzie jest pani zegarek od Lamberta?

- Sprzedałem go za osiem rubli: okazało się, że był srebrny, tylko pozłacany, a pan mówił, że jest złoty. Taki zegarek można w sklepie dostać za szesnaście rubli - odpowiedział Lambertowi młodszy, usprawiedliwiając się z wyraźną niechęcią.

- Trzeba już z tym skończyć - odpowiedział Lambert, jeszcze bardziej zirytowany. - Mój młody przyjacielu, ja nie po to kupuję panu ubranie i daję cenne prezenty, żebyś pan przepijał z tym długim dryblasem... Cóż to za krawat, coś mu pan kupił?

- Kosztował tylko rubla, to nie za pańskie pieniądze. Nie miał zupełnie krawata, a jeszcze mu trzeba kupić kapelusz.

- Zawracanie głowy! - Lambert rozzłościł się nie na żarty. - Dałem mu tyle, że wystarczyłoby na kapelusz, a on zaraz kazał podać ostrygi i szampana. Czuć go brudem, chodzi oberwany i nigdzie nie można się z nim pokazać. Jakże ja go w takim stanie zawiozę na obiad?

- Dorożką - mruknął *dadais*. - Nous avons un rouble d'argent, que nous avons prete chez notre novel ami*

- Arkadiju, nie dawaj im ani grosza! - krzyknął znowu Lambert.

- Pan pozwoli, panie Lambert; ja po prostu żądam, żeby pan natychmiast dał mi dziesięć rubli - rozniewał się nagle chłopaczek i cały poczerwieniał, tak, że stał się dwa razy ładniejszy. -1

niech się pan nie waży mówić nigdy takich głupstw, jak te, które pan przed chwilą powiedział Dołgorukiemu. Ma mi pan dać dziesięć rubli, żebym mógł od razu rubla oddać Dołgorukiemu.

A za resztę kupię natychmiast kapelusz dla Andriejewa... Sam pan może zobaczyć, co zrobię z tymi pieniędzmi.

Lambert wyszedł zza parawanu.

- Masz tu trzy żółte papierki, trzy ruble i ani grosza więcej aż do wtorku... I żebyś się nie ważył, bo jak nie, to...

Le grand *dadais*** po prostu wyrwał mu pieniądze z rąk.

- Dolgorowky, ma pan rubla, nons vous rendons avec beaucoup de grace***. Piotruś, jedziemy! -

krzyknął swemu towarzyszowi i nagle, podniósłszy dwa papierki do góry i wlepiwszy oczy w Lamberta, ryknął ze wszystkich sił!: - Ohe, Lambert! Ou' est Lambert, as-tu vu Lambert?****

- Nie waż się, nie waż się! - ryknął w odpowiedzi rozwścieczony Lambert.

* Mamy srebrnego rubla jako pożyczkę od pani przyjaciela.

** Wielki pieszczoch

*** z wdzięcznością zwracam dług

**** Gdzie Lambert? Czy widzieliście Lamberta?

420

Widziałem, że pod tym wszystkim kryje się coś dziwnego, o czym nic zupełnie nie wiem i ze zdumieniem spoglądałem na tę scenę. Ale długi nie okazał najmniejszego lęku wobec gniewu Lamberta, a przeciwnie, Zaryczał jeszcze głośniejsze: Ohe, Lambert! itd. Przy akompaniamencie tego ryku wyszli na schody. Lambert rzucił się za nimi, ale zapanował nad sobą i wrócił.

- Ech! Będę ich musiał niedługo wylać na zbity pysk! Więcej kosztują niż przynoszą korzyści...

Chodźmy, Arkadiju. Już późno, a tam czeka na mnie jeden tak samo... przydatny człowiek...

Takie samo bydlę... Same bydlęta! Łajdaki! - krzyknął w nowym porwywie wściekłości, zgrzytając zębami, ale nagle opanował się całkowicie. - W każdym razie, kontent jestem, że przynajmniej ty wreszcie przyszedłeś. Alfonsyno, nie ruszaj się z domu ani na krok! Chodźmy!

Przed gankiem czekała na niego dorożka, zaprzężona we wspaniałego rysaka. Wsiadliśmy, ale przez cały czas jazdy widać było, że Lambert nie może opanować niezrozumiałej dla mnie wściekłości na tych młodych ludzi i uspokoić się. Dziwiłem się, że tak przejmują się ich słowami, że oni odnoszą się do niego tak bezceremonialnie, a on wyraźnie ich się boi. Jeszcze w dzieciństwie przyzwyczailem się do tego, że wszyscy bali się Lamberta, i teraz zdawało mi się, że ci ludzie powinni przed nim drzeć, tym bardziej że odczuwałem wobec niego lęk, chociaż przecież nie byłem od niego zależny.

- Mówię ci, to okropna hołota - nie mógł się uspokoić Lambert. - Czy uwierzysz, jak dokuczył mi ten wysoki oberwaniec trzy dni temu, a byłem w przyzwoitym towarzystwie. Stał przede mną i krzyczy „Ohe, Lambert!”. W najlepszym towarzystwie! Wszyscy śmieją się i wiedzą dobrze, iż to ma znaczyć, bym mu dał pieniędzy; możesz to sobie wyobrazić. Ach, łajdaki! Czy uwierzysz, że ten człowiek był w pułku i został wypędzony i, możesz sobie wyobrazić, jest wykształcony i został Wychowany w bardzo dobrej rodzinie, możesz sobie wyobrazić! I po-rftysły ma, mógłby nawet... Ech, do diabła. A przy tym silny jak Herku-les. Bywa pożyteczny, ale nie tyle, ile potrzeba. I widziałeś sam: nie myje rąk. Poleciałem go pewnej osobie, starej damie znakomitego rodu; powiedziałem, że żałuje swych postępów, i że na skutek wyrzutów sumienia jest bliski samobójstwa, a ten przyszedł do niej, siadł sobie i zaczął gwizdać. A ten drugi, ten ładniutki - to synek pewnego generała. Rodzina się go wyrzekła, ja go uratowałem, z kryminału wyciągnąłem, a tak mi się za to odpłaca. Nie ma tu ludzi! Ja bym im wszystkim po łbie, Po łbie!

421

- Oni znają moje nazwisko. Mówiłeś im coś o mnie?

- Istotnie... głupstwo się stało. A przy obiedzie, proszę cię, nie denerwuj się, pohamuj... Przyjdzie tam jeszcze jedna straszna kanalia. O, tamten to już naprawdę kanalia i przy tym chytra bestia, jak lis. Zresztą tu same łajdaki i nie ma ani jednego przyzwoitego człowieka! No, ale przyjdzie nasz czas - a wtedy... Co ty lubisz? No, zresztą wszystko jedno, tam dobrze dają jeść. Płacę za ciebie, nie kłopotz się. Dobrze, że jesteś porządnie ubrany. Jak chcesz, to ci dam pieniędzy. W

razie jakiej potrzeby przychodź zaraz do mnie. Wyobraź sobie, karmiłem tych łajdaków, poiłem, na stole co dzień kulebiak. A ten zegarek, który sprzedał - to już drugi. Ten mały, Triszatow -

sam widziałeś, Alfonsyna nawet na niego nie chce patrzeć i nie pozwala zbliżyć się do siebie, a tu nagle w restauracji, w obecności oficerów, woła na cały głos: „Chcę bekasa”. I musiałem dać.

Ale ja mu tego nie daruję.

- Czy pamiętasz, Lambert, jakśmy w Moskwie pojechali do restauracji i ty mnie w tej restauracji pchnąłeś widelcem? Miałeś wtedy pięćset rubli.

- Tak, pamiętam! Pamiętam, do diabła! Lubię ciebie! Wierz mi: ciebie nikt nie lubi, ja jeden cię lubię i tylko ja jeden, pamiętaj... Ten, co teraz tu przyjdzie, taki ospowaty, to najsprytniejsza kanalia pod słońcem, i pamiętaj: jakby coś do ciebie mówił, to najlepiej nie odpowiadaj, a jakby cię zaczął wypytywać, to gadaj byle co, albo lepiej nic nie mów.

Był do tego stopnia przejęty, że o nic mnie nie pytał przez cały czas jazdy. To, że tak mi ufał i że nawet przez myśl mu nie przeszło, iż mogę patrzeć podejrzliwie na jego machinacje, dotknęło mnie. Zdawało mi się, że wbił sobie w głowę, iż będzie mógł po dawnemu rozporządzać moją osobą. „A przy tym - jakżeż mu brak kultury!” pomyślałem wchodząc w drzwi.

m

W restauracji tej, na Morskiej, bywałem nieraz w okresie mojego haniebnego upadku i wykolejenia; dlatego widok tych pokojów, widok tych kelnerów, którzy przyglądali mi się, poznając we mnie znajomego gościa, i wreszcie wrażenie, jakie na mnie wywarła zagadkowa kompania Lamberta, w której znalazłem się tak nagle i niespodziewanie. Z kompaniami tymi poczułem się jakby związany na śmierć i życie, a przede wszystkim, miałem niejasne przeczucie, że dobrowolnie daję się wciągnąć w błoto; i że to skończy się jakąś brudną sprawą. Była chwila, że 422

o mały włos nie zabrałem się i nie wyszedłem, ale chwila ta minęła i zostałem. Ten ospowaty, który z jakiejś tajemniczej przyczyny napełniał Lamberta takim strachem, czekał już na nas. Był to jegomość o głupio-rzeczowym wyglądzie człowieka wiecznie zajętego i ceniącego swój czas, typ dość częsty, którego od dziecka organicznie nie znoszę. Mniej więcej czterdziestoletni, średniego wzrostu, szpakowaty, z regularnymi, malutkimi i siwiejącymi baczkami, przypominającymi jak gdyby dwie kielbaski, przyklepione po obu stronach złej i dziwnie płaskiej twarzy, na wygolonych, ospowatych policzkach. Był oczywiście wściekle nudny, poważny i małomówny i, jak wszystkie tego rodzaju typy, nie wiadomo z czego dumny. Przyjrzał mi się bardzo uważnie, ale nie rzekł ani słowa. Lambert był na tyle niezgrabny, iż zapraszając nas do wspólnego obiadu, nie uznał za potrzebne przedstawić nas sobie, tak, że tamten mógł wziąć mnie za jakiegoś szantażystę z jego kompanii. Z owymi młodymi

ludźmi, którzy przybyli prawie równocześnie z nami, również nie zamienił w ciągu całego obiadu ani jednego słowa, ale widać było, że zna ich bardzo dobrze.

Rozmawiał wyłącznie z Lambertem i tylko szeptem, a nawet właściwie mówił tylko Lambert, a ospowaty odpowiadał jedynie od czasu do czasu słowami urywanymi, gniewnymi, jak gdyby wykluczającymi wszelką dyskusję. Traktował Lamberta z góry, z niechęcią i ironią, podczas kiedy Lambert, przeciwnie, był mocno podniecony i zapewne namawiał go do czegoś, prawdopodobnie chciał go wciągnąć do jakiegoś wspólnego przedsięwzięcia. W pewnej chwili, kiedy sięgałem ręką po butelkę z czerwonym winem, ospowaty nagle wziął butelkę xeresu i podał mi, odzywając się do mnie po raz pierwszy.

- Niech pan spróbuje tego - powiedział, wyciągając ku mnie rękę z butelką.

W tej chwili domyśliłem się, że ospowaty już prawdopodobnie wie o mnie wszystko, co trzeba wiedzieć, że zna już całą moją historię i moje nazwisko, a może i tę sprawę, w której Lambert liczył na moją pomoc. Na myśl, że mógł mnie wziąć za jednego z pomocników Lamberta, wpadłem w hamowaną z trudem wściekłość, a na twarzy Lamberta, zaledwie tamten zaczął mówić ze mną, ukazał się wyraz niesłuchanie silnego i głupiego niepokoju. Ospowaty zauważył to i uśmiechnął się.

„Widocznie Lambert pozostaje w zależności od wszystkich dookoła” pomyślałem sobie; i w tej chwili nienawidziłem go z całej duszy.

W ten sposób, chociaż siedzieliśmy razem za stołem w ciągu całego obiadu, byliśmy podzieleni na dwie grupy; Lambert i ospowaty siedzieli bliżej okna, naprzeciwko siebie, ja obok brudnego Andriejewa, a na

423

wprost mnie ulokował się Triszatow. Lambert spiesznie zamawiał dania i co chwila popędzał kucharza. Kiedy podano szampana, Lambert nagle zwrócił się do mnie.

- No, trąćmy się. Twoje zdrowie! - rzekł, wyciągając do mnie kieliszek i przerywając na chwilę rozmowę z ospowatym.

- A ze mną zechce pan się trącić? - wyciągnął do mnie przez stół swój kieliszek ładniutki Triszatow.

Do chwili podania szampana siedział jakoś dziwnie milczący i zadumany. Dadais zaś nic zupełnie nie mówił: milczał i jadł dużo.

- Z przyjemnością - odpowiedziałem Triszatowowi. Stuknęliśmy się i wypiliśmy.

- A ja nie wypiję pańskiego zdrowia - zwrócił się nagle do mnie dadais. - Nie dlatego, żebym życzył panu śmierci, a tylko dlatego, żeby pan tu już dziś więcej nie pił - mówił ponuro i z naciskiem. - Trzy kieliszki wystarczą panu aż nadto. Widzę, że pan przygląda się mojej nie umytej pięści - ciągnął

dalej, kładąc rękę na stole. - Nie myję jej zupełnie i w tym stanie, jak jest, wynajmuję go Lambertowi celem rozbijania cudzych głów - w wypadkach dla niego drażliwych.

I powiedziawszy to, uderzył pięścią w stół tak mocno, że wszystkie talerze i kieliszki podskoczyły z brzękiem. Oprócz naszego były w sali jeszcze cztery stoły, za którymi siedzieli oficerowie i jacyś panowie, wyglądający dość poważnie. Restauracja ta jest obecnie w modzie. Wszyscy przerwali na chwilę rozmowy i spojrzeli w naszą stronę; zresztą, jak się zdaje, już od samego początku budziłyśmy pewną ciekawość. Lambert zaczerwienił się.

- Ha, on znowu zaczyna! Nikołaju Siemionowiczu, zdaje się, że już prosiłem pana o odpowiednie zachowanie się - szepnął do Andriejewa drżącym z wściekłości głosem.

Ten obejrzał go od stóp do głów długim spojrzeniem.

- Nie zgadzam się, żeby mój nowy przyjaciel, Dołgorukij, pił tutaj dziś tak wiele wina. - Lambert zaczerwienił się jeszcze bardziej. Ospowaty słuchał milcząco, ale z wyraźnym zadowoleniem.

Widać było, że wybryk Andriejewa spodobał mu się. Tylko ja jeden nie mogłem zrozumieć, czemu to nie powinienem pić wina.

- On tak dlatego, żeby dostać pieniądze. Dostanie pan jeszcze siedem rubli, słyszy pan, zaraz po obiedzie; tylko niech pan nam pozwoli skończyć w spokoju, niech pan nas nie kompromituje -

zgrzytnął zębami Lambert.

-Aha - mruknął dadais z miną zwycięzcy. To wprawiło ospowatego w zupełny już zachwyt; zachichotał złośliwie.

424

- Słuchaj, ty już za bardzo... - z odcieniem niepokoju i nieledwie bólu zwrócił się do swego przyjaciela Triszatow, chcąc powstrzymać go.

Andriejew uspokoił się, ale nie na długo; miał widocznie inne zamiary. Za sąsiednim stołem, o jakieś pięć kroków od nas, siedziało dwóch panów, w średnim wieku, pogrążonych w ożywionej rozmowie. Obaj wyglądali na ludzi skłonnych do gniewu. Jeden był wysoki i bardzo gruby, drugi również gruby, ale małego wzrostu. Mówili po polsku, a tematem rozmowy były ostatnie wydarzenia paryskie. Dadais już od dawna przyglądał im się ciekawie i przysłuchiwał się ich rozmowie. Malutki Polak wydał mu się arcyzabawną figurką i od razu poczuł do niego wstręt i nienawiść, jak to się często zdarza, ni stąd ni zowąd ludziom zgorzkniałym, bez żadnego zresztą specjalnego powodu. W pewnej chwili mały Polak wymówił nazwisko deputowanego Ma-dhier de Monjeau, ale, jak to często robią, niektórzy Polacy, wymówił je z polska, to znaczy akcentując przedostatnią zgłoskę. Tego tylko trzeba było naszemu dadais. Odwrócił się do Polaków i, wyprostowawszy się z godnością, wymówił nagle, wyraźnie i głośno, jak gdyby zwracając się z pytaniem:

- Madhier de Monjeau?

Polacy ze złością odwrócili się w jego stronę.

- Czego pan chce? - krzyknął głośno po rosyjsku wysoki i tusty Polak.

Dadais czekał przez chwilę.

- Madhier de Monjeau - powtórzył znowu na całą salę, nie tłumacząc zupełnie, o co mu chodzi, tak samo jak wtedy bezmyślnie powtarzał mi przed drzwiami stojąc nade mną: „Dolgorowky?”

Obaj Polacy zerwali się ze swoich miejsc, a Lambert wykoczył zza stołu, w pierwszej chwili rzucił się ku Andriejewowi, ale, zostawiwszy go, skoczył do Polaków i zaczął ich jak najuprzejmiej przeproszać.

- To błazny, panie, błazny!- powtarzał wzgardliwie mały Polak, czerwony jak burak z oburzenia. -

Niedługo w ogóle nie będzie można tu przychodzić.

W sali zaczął się ruch, słysząc było głosy niezadowolenia, ale też i śmiech.

- Niech pan idzie... proszę pana... chodźmy - bełkotał Lambert, nie wiedząc, gdzie się schować i usiłując nadaremnie wyprowadzić Andrie-jewa z sali. Ten przyjrzał mu się badawczo i widząc, że teraz już na pewno dostanie pieniędzy, zgodził się na opuszczenie sali. Prawdopodobnie już nieraz przy pomocy tego rodzaju bezczelnego skandalu

425

wymuszał pieniądze od Lamberta. Triszatow z początku chciał również pobiec za nimi, ale spojrzał na mnie i został się.

- Ach, jakież to wstrętne! - powiedział, zasłaniając oczy swoimi cieniutkimi paluszkami.

- Tak, nie do zniesienia - szepnął ospowaty, tym razem rozłoszczony nie na żarty. Tymczasem Lambert wrócił bardzo blady i zaczął coś szeptać do ucha ospowatemu, gestykulując z ożywieniem.

Ospowaty zaś polecił kelnerowi, żeby jak najprędzej podał kawę; widać było, że słucha Lamberta niechętnie i że chciałby już pójść. A przecież cała ta historia była co najwyżej szkolnym wybrykiem. Triszatow wziął swoją filiżankę z kawą, przeszedł na moją stronę stołu i usiadł obok mnie.

- Ja go ogromnie lubię - zwrócił się bez żadnego wstępu, tak otwarcie, jak gdyby o niczym innym nigdy ze mną nie rozmawiał, tylko o tym. - Pan nie uwierzy, ile ten człowiek wycierpiał w życiu. Początkowo przejadł i przepił posag swojej siostry, a potem w ciągu jednego roku służby wojskowej przejadł i przepił wszystko, co mieli, a teraz widzę, jak go to dręczy. A że się nie myje - to też tylko z rozpacz... Ten człowiek ma dziwne poglądy: potrafi na przykład, ni stąd ni zowąd powiedzieć, że łajdak czy uczciwy człowiek - to wszystko jedno, że nie ma żadnej różnicy; i że jak kto chce, to może nic nie robić, ani złego, ani dobrego; a kto chce, to niech robi i źle, i dobrze. A najlepiej leżeć

miesiącami, nie zdejmując ubrania, jeść, pić i spać - i już. Ale niech mi pan wierzy, że to tylko poza. I wie pan, co myślę - że dziś nabroił tylko dlatego, żeby ostatecznie raz na zawsze skończyć z Lambertem. Jeszcze wczoraj mi mówił, że chce z nim skończyć. Czy pan uwierzy, że niekiedy w nocy, albo gdy siedzi sam bardzo długo, nagle zaczyna płakać; i to jakoś dziwnie, nikt tak nie płacze: nagle jak nie ryknie, okropnie ryczy, tak, że wie pan, wprost nie można słuchać... I przy tym taki duży, silny i nagle - ni stąd, ni zowąd zaczyna płakać? To nieszczęśliwy człowiek, nieprawdaż? Chciałbym mu pomóc, ale sam jestem takim nikczemnym, do gruntu zepsutym chłopakiem, nie ma pan wyobrażenia! Panie

Dołgorukij, czy pan przyjmie mnie u siebie, jeżeli przyjdę do pana?

- O, proszę bardzo, polubiłem pana od razu.

- A to dlaczego? Ale dziękuję. Wie pan co, napijmy się jeszcze po kieliszku. Ale cóż ja wyprawiam najlepszego? Lepiej niech pan już nie pije. On panu dobrze radził, że pan nie powinien pić więcej - mrugnął do mnie porozumiewawczo - a ja mimo wszystko napiję się. Ja już teraz na nic się nie oglądam i, niech pan sobie wyobrazi, nie potrafię sobie nic

426

odmówić. Na przykład, pan zabroni mi, dajmy na to, stołować się po różnych restauracjach, a ja stanę na głowie, a nie zrezygnuję z restauracji. Och, niech mi pan wierzy, jak najszczerzej chcielibyśmy stać się uczciwymi ludźmi, ale ciągle odkładamy poprawę.

A lata mijają, najlepsze me lata!

A co do Andriejewa, to wie pan, drzę cały, że on pewnego pięknego poranka - powiesi się. Pójdzie i nic nikomu nie powie. On taki już jest. Teraz ciągle się ludzie wieszają, z czego by wynikało, że wielu jest takich jak my. Na przykład ja nie mogę się obejść się bez pewnej kwoty na zbytek. Bez pieniędzy na życie obejdę się, a bez przyjemności - nie. Wie pan co, czy pan lubi muzykę? Ja ogromnie lubię. Kiedy przyjdę do pana, to pan mi coś zagra. Przez dłuższy czas uczyłem się grać na fortepianie i gram bardzo dobrze. Och, uczyłem się bardzo poważnie. Gdybym miał napisać operę, to, wie pan co, wziąłbym sobie motyw z „Fausta”. Ogromnie lubię ten temat. Bardzo często układam sobie scenę w katedrze, to znaczy, tak tylko, w myśli, wyobrażam sobie. Gotycka katedra, wnętrze, chóry, hymny, Małgorzata wchodzi - i wie pan - chóry średniowieczne, tak, żeby po prostu się czuło, że to jest piętnasty wiek. Małgorzata tęskni, płacze, naprzód jest recitativo, spokojne, ale okropne, a chóry grzmią ponuro, szumnie, bezlitośnie:

Dies irae, dies Ula!*

I nagle rozlega się głos szatana, śpiew szatana. Nie widać go, słyszać tylko śpiew, wraz z hymnami, jednocześnie z hymnami, nieledwie łączy się z nimi w jedną całość, a tymczasem jest zupełnie inna - tak to jakoś trzeba by zrobić. Śpiew długi, nieustanny, tenor, koniecznie tenor.

Zaczyna łagodnie, czule: „Czy pamiętasz, Małgorzato, jak będąc jeszcze niewinna, jeszcze jako dziecko przychodziłaś z matką do tej katedry i ze starej księgi szeptałaś modlitwy?” A śpiew wzmagą

się, potężnie; tony są coraz wyższe i słycać w nich ból, tęsknotę nieustanną, nieskończoną, wreszcie przychodzi rozpacz: „Nie ma dla ciebie łaski!” Małgorzata usiłuje się modlić, ale z piersi wydobywa się jedynie krzyk, wie pan, jak od płaczu taki spazm chwyta za piersi; a tymczasem śpiew szatana coraz potężnie, coraz głębiej, coraz ostrzej wrzyna się w duszę i nagle urywa się nieledwie w triumfalnym okrzyku: „Wszystko przepadło, piekło cię czeka!”

Małgorzata pada na kolana, wyciąga przed siebie splecione dłonie - i tu znowu następuje modlitwa, coś bardzo

* Ów dzień, dzień gniewu!

427

krótkiego, na wpoi recitativo, ale naiwne, niewykończone, coś naprawdę średniowiecznego, cztery wiersze, nie więcej, niż cztery wiersze - w muzyce Stradelli jest kilka nut podobnych - a przy ostatnim słowie Małgorzata mdleje. Powszechne zamieszanie. Podnoszą ją, wynoszą z katedry i tu nagle - chór jak grzmot, fak gdyby huk tysiąca młotów, chór natchniony, zwycięski, triumfalny, coś jak nasze pieśni cerkiewne, tak, że wszystko aż zadrżało w swoich podstawach; wszystko przechodzi w radosny, zachwycony, powszechny okrzyk: Hosanna! Jak gdyby okrzyk całego wszechświata - a ją niosą i niosą - i tu nagle kurtyna spada! Nie, wie pan, gdybym mógł, to bym stworzył coś takiego! Tylko, że teraz już do niczego nie jestem zdolny, a tylko tak marzę sobie.

Marzę i marzę, a więcej nic; całe moje życie zamieniło się w jedno wielkie marzenie; i w nocy też marzę. Ach, Dołgorukij, czy pan czytał „Sklep ze starożytnościami” Dickensa?

- Czytałem; no i co z tego?

- Czy pan pamięta?... Zaraz, wypiję jeszcze jeden kieliszek... Czy pamięta pan, tam jest takie miejsce, przy końcu, kiedy oni, ten obłąkany starzec i ta śliczna trzynastoletnia dziewczynka, po fantastycznej ucieczce i wędrówce znajdują nareszcie przytułek, gdzieś na skraju Anglii, niedaleko średniowiecznej, gotyckiej katedry i ta dziewczynka dostaje tam jakieś zajęcie, oprowadza turystów po katedrze... I oto pewnego razu słońce już zachodzi, a to dziecko, ta dziewczynka stoi na stopniach katedry, cała skąpana w ostatnich promieniach słońca, stoi i patrzy na zachód, zamyślona, z jakąś dziwną kontemplacją w zdumionej duszy, duszy dziecka, jak gdyby wobec jakiejś tajemnicy, bo przecież tutaj i jedno, i drugie, zachód słońca to jak gdyby myśl Boga, a katedra, jak gdyby myśl człowieka - nieprawdaż? Och, ja może nie potrafię tego wyrazić, ale taka poważna myśl dziecka jest najmiłsza Bogu... A tu, tuż obok niej, na stopniach, ten obłąkany starzec, jej dziadek, patrzy na nią nieruchomym wzrokiem. Wie pan, przecież w tym nie ma absolutnie nic specjalnego, nic nadzwyczajnego, w tym obrazku, ale tego nie można zapomnieć do śmierci, i to jedno trwa w całej Europie, dlaczegóż tak? Bo w tym tkwi piękno! W tym tkwi czystość! Zresztą, nie wiem, co w tym tkwi, ale to jest piękne. Ja w gimnazjum cały czas tylko czytałem powieści. Wie pan, na wsi mam siostrę... O teraz tam już wszystko sprzedane i nie mamy już wsi! Siedziałem z nią na tarasie, pod naszymi starymi lipami i czytaliśmy razem tę powieść, i też był zachód słońca, i nagle przestaliśmy czytać i przyrzekliśmy sobie nawzajem, że i my musimy być również piękni, że i my będziemy tacy dobrzy... Miałem

zamiar wtedy wstąpić na uniwersytet i... Ach Dolgorukij, pan wie, każdy człowiek ma takie wspomnienia!

I nagle oparł swoją śliczną główkę na moim ramieniu i zaczął płakać. Zrobiło mi się go ogromnie, ogromnie żal. Co prawda, wypił trochę za wiele wina, ale mówił ze mną tak serdecznie, tak po bratersku i z takim wzruszeniem. Nagle, w tej samej chwili, na ulicy rozległ się krzyk i ktoś silnie zastukał palcami o szybę (w restauracji były okna na parterze, a w oknach były ogromne witryny, tak, że stojąc na ulicy, można było dosięgnąć ręką). Był to wyrzucony z lokalu Andriejew.

- Ohe, Lambert! Ou est Lambert? As-tu vu Lambert?*

- Ach, więc on znowu jest tutaj! To on nie poszedł! - krzyknął, zrywając się z krzesła, mój młodzieniaszek.

- Płacić! - zgrzytnął Lambert. Ręce aż trzęsły mu się ze złości, kiedy liczył pieniądze, ale ospowaty nie pozwolił zapłacić za siebie.

- Dlaczegoż to? Przecież ja pana zapraszałem, pan był moim gościem?

- Nie, już niech pan pozwoli - ospowaty wyjął woreczek i obliczywszy, ile wypada na niego, zapłacił.

- Siemionie Sidorowiczu, pan mnie obraża!

- Bo tak mi się spodobało - odparł ostro Siemion Sidorowicz, wziął kapelusz i nie żegnając się z nikim, wyszedł pośpiesznie z sali.

Lambert rzucił kelnerowi pieniądze i szybko pobiegł za nim, zapominając nawet w zamieszaniu o mnie. Ja i Triszatow wyszliśmy ostatni. Andriejew sterczał jak słup pod bramą i widocznie czekał na Triszatowa.

- Łajdak! - nie mógł już wytrzymać Lambert.

- No, no! - ryknął na niego Andriejew i jednym błyskawicznym ruchem strącił mu z głowy kapelusz, który potoczył się po chodniku. Lambert po tchórzowsku rzucił się za kapeluszem.

- Vingt dna roubles!* - Andrejew pokazał Triszatowowi banknot, wyłudzony przed chwilą od Lamberta.

- Dość już tego! - krzyknął na niego Triszatow. - Co ty wyprawiasz! I dlaczego wycygałeś od niego dwadzieścia pięć rubli, kiedy należało się nam tylko siedem?

* - Och Lambercie! Gdzie Lambert? Czy widzieliście Lamberta?

, - Jak to - wycygałem? Obiecał, że dostaniemy obiad oddzielnie, że będzie damskie towarzystwo, a zamiast dam poczęstował nas ospowatym; a poza tym to, że nie dokończył obiadu, i że stałem przez tak długi czas na mrozie - to chyba warte osiemnaście rubli. Siedem rubli się należało, i jeszcze osiemnaście - masz całe dwadzieścia pięć.

- Idźcie do diabła, obaj! - zaryczał Lambert. - Wyrzekam się was obu; ja wam pokażę...

- Lambert, to ja wyrzekam się pana i pokazuję panu! - krzyknął An-drejew -Adieu, mon prince!

Niech pan nie pije już więcej wina! Pietia, marsz! Ohe, Lambert! Ou est Lambert? As-tu vu Lambert?

* - huknął po raz ostatni maszerując wielkimi krokami.

- Więc ja przyjdę do pana, można? - szepnął mi pospiesznie Trisza-tow, biegnąc za przyjacielem.

Zostałem sam z Lambertem.

- No... Chodźmy! - powiedział, jak gdyby z trudem chwytając powietrze. Sprawiał wrażenie człowieka nieprzytomnego.

- Dokąd mam pójść? Nigdzie z tobą nie pójdę - krzyknąłem wyzywającym tonem.

- Jak to? Nie chcesz iść? - drgnął nagle z przestachu i momentalnie oprzytomniał. - A przecież tak czekałem na tę chwilę, żebyśmy mogli porozmawiać sam na sam!

- Ale dokąd pójdziemy?

Muszę nadmienić, że po trzech szklankach szampana i dwóch kieliszkach xeresu szumiało mi z lekka w głowie.

- Tu, o tutaj, widzisz?

-Ale tu jest napisane: świeże ostrygi, widzisz? I tak nieprzyjemnie tu pachnie...

- To dlatego, że jesteś już po obiedzie. Nie będziemy jedli ostryg, lecz zamówię ci szampana...

- Nie chcę! Chcesz mnie spoić.

- To oni ci to wmówili. Nie rozumiesz, że kpili z ciebie. Wierzysz tym łajdakom?

- Nie, Triszatow nie jest łajdakiem. A zresztą, dobrze wiem, co mi trzeba - rozumiesz?

- Jesteś niby człowiekiem z charakterem?

- Tak, jestem człowiekiem z charakterem i to w wyższym stopniu niż ty, bo ty gotów jesteś paść na

twarz przed pierwszym lepszym prze-

* - Och Lambercie! Gdzie Lambert? Czy widzieliście Lamberta? 430

chodniem. Skompromitowałeś nas, prosiłeś tych Polaków o przebaczenie, kłaniałeś im się w pas, po lokajsku. Widać, że nieraz już oberwałeś w szynku?

- Ale przecież mamy ze sobą do pomówienia, głupcze jeden! - krzyknął z irytacją w głosie, jak gdyby chciał powiedzieć: „I ty także?” Boisz się mnie? Jesteś moim przyjacielem czy nie?

- Nie mam do ciebie zaufania, bo jesteś łajdakiem. Pójdę z tobą, ale tylko dlatego, żeby pokazać, że się ciebie nie boję. Ach, jakże tu cuchnie, jak gdyby zgniłym serem! Jak tu wstrętnie!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

i

J

eszcze raz muszę przypomnieć czytelnikowi, że mi lekko szumiało w głowie. Gdyby nie to, to nie ulega wątpliwości, że nie mówiłbym w ten sposób. W owym sklepie, w pokoiku od tyłu, rzeczywiście można było zamówić ostrygi. Siedzieliśmy przy małym stoliku, przykrytym obrzydliwym, brudnym obrusem. Lambert kazał przynieść szampana. Przede mną na stoliku zjawiała się szklaneczka z chłodnym, złocistym winem i kusząco spoglądała na mnie; ale byłem zły na siebie samego.

- Widzisz, Lambert, co mnie najbardziej boli, to to, że tobie wydaje się, iż możesz mi rozkazywać jeszcze dzisiaj, tak samo, jak wtedy u Tu-szara, podczas gdy sam jesteś niewolnikiem wszystkich tutaj.

- Głupi jesteś! No, trąćmy się!

- Nawet nie raczysz udawać wobec mnie. Kryłbyś się przynajmniej z tym, że chcesz mnie spoić.

- Kłamiesz i tak jesteś pijany. Wypij jeszcze trochę, to ci się humor poprawi. No, bierz szklankę, czemu nie pijesz?

- Cóż ty za „bierz szklankę”. Wychodzę już i sprawa skończona. I rzeczywiście, podniosłem się.

Lambert wpadł w złość.

- To Triszatow nagadał ci na mnie. Widziałem jak szeptaliście sobie do ucha. A ty, głupcze, wierzysz mu! Wiesz - Alfonsyna tak się nim brzydzi, że mu nawet nie pozwala podejść do siebie... To wstrętny typ... Czekał, opowiem ci, co to za ptaszek.

- Mówiłeś mi już. Dla ciebie istnieje tylko jedno - Alfonsyna. Jesteś okropnie ograniczony.

- Ograniczony? - spojrział na mnie ze zdumieniem. - Oni teraz poszli do ospowatego. Rozumiesz?

Dlatego musiałem ich wypędzić. To łajdaki, bez odrobiny czci. Ten ospowaty to skończony łajdak i z nich też robi łajdaków. A ja żądałem od nich, żeby zawsze postępowali uczciwie.

432

Usiadłem bezmyślnie, wziąłem szklankę i wypilem łyk szampana.

- Jestem bez porównania bardziej wykształcony od ciebie - powiedziałem.

Ale był tak zadowolony z tego, że znowu siedzę, iż nie zwrócił na to uwagi i dolał mi wina.

-A przecież ty się ich boisz - ciągnąłem dalej, umyślnie go prowokując (nie ulega wątpliwości, że to, co robiłem, było arcywstrętne, znacznie gorsze od jego własnych postępów). - Andriejew zrzucił ci kapelusz, a ty mu dałeś za to dwadzieścia pięć rubli.

- Dałem mu, ale on mi za to zapłaci. Oni się buntują, ale ja im jeszcze pokażę...

- Widzę, że się ogromnie przejmujesz tym ospowatym. Wiesz, mam takie wrażenie, że teraz nie masz nikogo innego oprócz mnie, że wszystkie twoje nadzieje ulokowałeś teraz w mojej skromnej osobie. Co, czyż nie tak?

- Tak, Arkadiju kochany, tak, to prawda. Jesteś teraz moim jedynym przyjacielem. - O, to było doskonale powiedziane! - tu uderzył mnie po ramieniu.

Cóż można było począć z osobnikiem tak gruboskórnym? Ten człowiek był do tego stopnia tępy, że najbezcenniejsze drwiny brał za dobrą monetę.

- O, gdybyś okazał się naprawdę dobrym kolegą, mógłbyś mnie wydobyć z najgorszego błota, Arkadiju! - ciągnął, spoglądając na mnie przymilnie.

- W jaki sposób mógłbym cię wydobyć z błota?

- Wiesz sam, w jaki. Beze mnie jesteś zupełnie głupi i na pewno nic nie zrozumiesz, a ja mógłbym ci dać trzydzieści tysięcy i podzieliłibyśmy się po bratersku. Sam wiesz dobrze, o co chodzi. No, przypatrz się - czym ty jesteś teraz. Nie masz nic - ani imienia, ani nazwiska, a tu od razu wygrywasz wielki los. Z takimi pieniędzmi mógłbyś rozpocząć wielką karierę!

Takie postawienie kwestii zdumiało mnie wprost. Spodziewałem się jakichś podstępów, aluzji, próbnych wypadów, a ten zaczął tak od razu, prosto z mostu, z naiwną, chłopięcą szczerością. Ale postanowiłem wysłuchać do końca, a to ze względu na... rozciągliwość duszy, no i skutek niepoohamowanej ciekawości.

- Widzisz, Lambert, ty tego nie będziesz mógł zrozumieć, ale wiedz o tym, że jeżeli słucham ciebie, to tylko na skutek mojej szerokości duchowej - oświadczyłem zdecydowanie i znowu napiłem się szampana.

Lambert natychmiast mi dołał.

- Widzisz, Arkadiju, gdyby mnie taki typ jak Bjoring ośmielił się nawy-myślać i uderzyć mnie w obecności damy, którą ubóstwiam, to sam nie wiem, co bym zrobił. A tyś to zniósł - i ja po prostu tobą pogardzam. Nie jesteś mężczyzną, ale jakąś szmatą!
- Jak śmiesz mówić, że Bjoring mnie uderzył! - krzyknąłem, czerwieniejąc. - To fałsz. To raczej ja go uderzyłem, a nie on mnie.
- Nie, to on ciebie uderzył, a nie ty jego!
- Kłamiesz! Ja go jeszcze kopnąłem w nogę!
- Ale on ciebie odepchnął ręką i kazał lokajowi wyrzucić... a ona siedziała i patrzyła z głębi karety i śmiała się z ciebie. Wiedziała, że nie masz ojca i że każdy ma prawo cię obrazić.
- Nie rozumiem ciebie, Lambert. Gadamy jak dwaj smarkacze i zaczynam się wstydzić. Robisz to dlatego, żeby mnie na nich podjudzić i to tak ordynarnie, tak otwarcie, jakbyś miał do czynienia z jakimś szesnastoletnim chłopaczkiem. Uknuleś spisek w porozumieniu z Anną Andriejewną -
krzyknąłem, trzęsąc się cały z irytacji i machinalnie popijając wino, łyk za łykiem.
- Anna Andriejewną-to szelma! Gotowa jest oszukać i ciebie, i mnie, i cały świat! Wybrałem ciebie, bo ty masz większe szansę, żeby załatwić sprawę z tamtą.
- Z jaką tamtą?
- Z madame Achmakową. Wiem o wszystkim. Sam mi mówiłeś, że ona boi się tego listu, który masz w rękach...
- Jaki list... to nieprawda... Widziałeś ją? - bełkotałem zmieszany.
- Widziałem ją. Bardzo piękna kobieta. Tres belle. * Masz dobry gust.
- Wiem, widziałeś ją, ale jest pewne, że nie ośmieliłeś się z nią mówić; i nie pozwalam ci tu mówić o niej!
- Jesteś jeszcze smarkacz, a ona kpi sobie z ciebie, taka jest prawda! W Moskwie też mieliśmy jedną taką cnotliwą. Jakże zadzierała nosa! A kiedyśmy tylko zagrozili jej, że opowiemy wszystko, dopiero zaczęła się trząść i zaraz była posłuszna, jak baranek, i dała nami to, i tamto, i pieniądze, i tamto, no, rozumiesz, co mam na myśli. Teraz znowu jest damą światową, nie przystępuj do niej, spójrzcie tylko, w jakich obraca się sferach i jakie ma karety, a wtedy, żebyś widział, gdzie to było, w jakiej norze! Jeszcze nie znasz życia... Żebyś widział, do jakiej nory ci taka przyjdzie...

- Tak przypuszczałem - nie mogłem się powstrzymać od szeptu.

- Zepsute są do szpiku kości i nie wyobrażasz sobie, do czego te kobiety są zdolne! Alfonsyna mieszkała przez pewien czas u takiej rodziny, po prostu obrzydzenie ją brało!

- Domyślałem się tego - powtórzyłem znowu.

- I ciebie znieważono, obito, a ty się jeszcze wahasz, żal ci ich...

- Lambert, jesteś przeklętym łajdakiem!... - krzyknąłem nagle, zorientowawszy się w pewnej chwili i aż drżąc z obrzydzenia. - Ja to wszystko już widziałem we śnie: byłeś ty i Anna Andriejewna.

Ach, ty przeklęty! Jakżeś ty śmiał przypuszczać, że jestem takim nikczemnikiem? Przecież, jeżeli ty mi się wtedy przyśniłeś, to tylko dlatego, że przeczuwałem po prostu, co mi powiesz. I wreszcie, to wszystko nie jest takie proste i jasne, a ty mi o tym mówisz tak szczerze i bez osłonek?

- O, jaki zły! No, no, spokojnie - zaśmiał się Lambert triumfująco, przeciągłym i pewnym siebie śmiechem. - No, mój braciszku, teraz to już wszystko wiem, czego mi było potrzeba. W tym właśnie celu czekałem na ciebie. Słuchaj no, więc ty ją kochasz, a Bjoringa nienawidzisz i chciałbyś się na nim zemścić, o to tylko mi chodziło. Domyślałem się tego i dlatego czekałem z tym na ciebie. Ceci pose, cela change la qu-estion* I to jest tym lepiej, że przecież ona również ciebie kocha. No, więc żeń się z nią i to zaraz, to jest najlepsze wyjście ze wszystkich. Zresztą, cóż możesz zrobić innego. A więc, wiedz Arkadiju, że masz we mnie przyjaciela, który ci gotów jest służyć jak najwierniejsza szkapa. Ten przyjaciel pomoże ci i ożeni cię, spod ziemi ci wszystkójwydostanie, Arkadiju! A za to, już po wszystkim, podarujesz staremu druhowi za jego fatywę trzydzieści tysięcy, dobrze? A ja ci potrafię pomóc, uwierz mi. Już ja się znam na tych sprawach, i posag ci będą musieli wypłacić co do grosza, a wtedy będziesz bogaczem i świat przed tobą stanie otworem!

Chociaż w głowie mi się już dobrze kręciło, ale przemówienie Lamberta wprowadziło mnie w niebywałe zdumienie. Mówił bardzo poważnie, to znaczy, nie tyle poważnie, ale z przekonaniem.

Widać było, że niezachwianie wierzy w możliwość zrealizowania swych planów i nawet, że myśl ta budzi w nim wprost entuzjazm. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że kusi mnie i nęci jak smarkacza (niewątpliwie - już wtedy zdawałem sobie z tego sprawę), ale myśl, że ona może zostać moją żoną, wstrząsnęła mną do tego stopnia, iż, chociaż dziwiłem się Lam-

* Tak zadane pytanie zmienia postać rzeczy.

435

bertowi, że może mówić poważnie o podobnej mrzonce, to jednak w danej chwili sam całą duszą wierzyłem w możliwość urzeczywistnienia tego planu, nie tracąc mimo to świadomości, że to nigdy stać się nie może. Jak te myśli godziły się wtedy ze sobą w mojej głowie - tego sobie dziś nie umiem wytłumaczyć.

- Czyż to możliwe? - wyszeptąłem.

-A czemuż by nie? Pokażesz jej dokument, ona się przestraszy i wyjdzie za ciebie, żeby nie tracić spadku.

Postanowiłem, że pozwolę Lambertowi opowiedzieć do końca ten arcyciekawy plan, tym bardziej, że odsłaniał mi go z tak naiwną otwartością, iż widać było, że nawet nie podejrzewa, że ja mógłbym się oburzyć i odrzucić jego propozycję. Mimo to jednak wyjąkałem, że nie chciałbym, aby wyszła za mnie jedynie z musu.

- Za nic w świecie nie chciałbym jej zmuszać i jakżeż mogłeś posunąć się do tego stopnia podłości, żeby mi to zaproponować?

- Tu cię boli! Ale przecież sama będzie chciała, to nie ty ją zmusisz -ona sama się złąknie i zechce.

A zechce dlatego jeszcze, że przecież kocha ciebie - dodał chytrze.

- To nieprawda. To są kpiny. Skąd wiesz, że ona mnie kocha?

- To nie ulega wątpliwości. Wiesz na pewno. Anna Andriejewna też jest tego zdania. Poważnie i szczerze powiadam ci, że Anna Andriejewna jest tego samego zdania. A potem, jak przyjdiesz do mnie, to ci opowiem jeszcze jedną rzecz, zobaczysz, że to prawda. Alfonsyna była w Carskiem i tam też zasięgała informacji...

- Czegóż mogła się tam dowiedzieć?

- Chodź, pójdziemy do mnie, sama ci wszystko opowie, zobaczysz, że nie pożałujesz. A zresztą, nie jesteś gorszy od innych. Jesteś przystojny, dobrze wychowany...

- Tak, jestem dobrze wychowany - szepnąłem, z wysiłkiem chwytając ustami powietrze. Serce mi biło gwałtownie i to nie tylko wskutek wypicia znacznej ilości wina.

- Jesteś przystojny, elegancki.

- Tak, elegancki.

-I dobry...

- Tak, dobry.

- Czemużby nie miała się zgodzić? Przecież Bjoring i tak nie weźmie jej bez posagu, a ty możesz ją pozbawić tych pieniędzy, to musi ją zastraszyć. Ożenisz się z nią i w ten sposób zemścisz się na Bjoringu.

436

Przecież sam mi mówiłeś tamtej nocy, po tych mrozach, że ona ciebie kocha.

- Alboż mówiłem to? Chyba powiedziałem co innego.

- Nie, właśnie to.

- To było w gorączce. Pewnie wtedy tak samo mówiłem o dokumencie.

- Tak, powiedziałaś, że masz list tego rodzaju, a mnie zaraz przyszło do głowy: czemuż ten idiota, mając w ręku taki list, traci tak wspaniałą okazję.

- To wszystko jest twoja fantazja i nie jestem jeszcze taki głupi, żeby w to uwierzyć - mruczałem. -

Po pierwsze różnica wieku, a po drugie, przecież nie mam nazwiska.

- Ależ zechce na pewno: nie może odmówić i narazić się na stratę takiej sumy. To już moja rzecz, jak to zrobić. A przy tym - kocha ciebie. Wiesz przecież, że ten stary książę jest niesłychanie przychylnie usposobiony do ciebie i przy jego protekcji możesz zawiązać Bóg wie jakie stosunki. A co do tego, że nie masz nazwiska, to dzisiaj nikt się na takie głupstwa nie ogląda.

Jeżeli tylko złowisz pieniądze, pójdiesz dalej i jeszcze dalej, i za jakieś dziesięć lat zostaniesz takim milionerem, że cała Rosja się zatrząsie, a wtedy możesz sobie gwizdać na wszystkie nazwiska. W Austrii za pieniądze można dostać tytuł barona. A jak się tylko ożenisz, to pamiętaj, że musisz wszystko trzymać w garści. Z nimi trzeba ostro. Kobieta gdy kocha, to lubi, żeby ją mocno za kark trzymano. Kobieta lubi mężczyznę z charakterem. A jak ją nastraszysz tym listem, to od tej chwili zrozumie, że jesteś mężczyzną z charakterem. „A, powie, taki jeszcze młody, a już wyrobił sobie charakter”.

Siedziałem jak nieprzytomny. W żadnym innym wypadku nie zniżyłbym się do podtrzymywania równie głupiej rozmowy. Ale tu jakieś rozkoszne pożądanie nie pozwalało mi jej przerwać. Przy tym, Lambert był do tego stopnia głupi i podły, że wstyd wobec niego byłby absurdem.

- Nie, wiesz, Lambert - powiedziałem nagle - mów sobie, co chcesz, a ja ci powiem, że to wszystko są brednie. Pozwoliłem ci w ten sposób mówić, bo jesteśmy starymi kolegami i nie musimy się wobec siebie krępować, ale z kim innym nie poniżyłbym się do tego stopnia. A przede wszystkim, na jakiej podstawie twierdzisz z taką pewnością, że ona mnie kocha? To, co mówiłeś o pieniądzach, to jest racja, ale widzisz, Lambert, nie znasz wcale ludzi z tej sfery, tam wszystko jest oceniane ze stanowiska, że tak powiem, patriarchalnego, rodowego; tak, że obecnie, kiedy ona nie wie, do czego jestem zdolny i do czego mógłbym dojść w życiu - nie ośmieli się zerwać z tradycją. Jednakże nie mogę

437

1

przemilczeć jednego punktu, który rzeczywiście może dać mi pewną nadzieję. Widzisz, Lambert, jest rzeczą możliwą, że ona zechce mnie na męża przez wdzięczność za to, że w ten sposób osłonię ją przed nienawiścią pewnego człowieka. A tego człowieka ona się okropnie boi.

- Ach, chodzi ci o twojego ojca? A co, czy on ją bardzo kocha? - drgnął z niezwykłą ciekawością Lambert.

- Ależ, nie! - krzyknąłem. - Ach, Lambert, jaki ty jesteś jednocześnie i głupi, i okropny! Pomyśl tylko - czy mógłbym ożenić się z nią, gdyby on ją kochał? Bądź co bądź, syn i ojciec - zbyt wielki byłby to wstyd. On kocha moją mamę, sam widziałem, jak ją ścisnął. Przedtem ja też myślałem, że on kocha Katierinę Nikołajewnę, ale teraz jest dla mnie rzeczą zupełnie jasną, że chociaż ją może kiedyś kochał, to obecnie nienawidzi z całego serca... i pragnie zemsty, a ona drży przed nim, bo, słuchaj, Lambert, co ci powiem, ten człowiek w chwili zemsty jest straszny.

Ten człowiek gotów jest na każde szaleństwo. Kiedy myśli o niej, to nie ma rzeczy, która by go mogła powstrzymać. To jest nienawiść w łonie starożytnego rodu - skutek różnicy ideałów.

Dzisiaj gwizdźmy sobie na wszystkie ideały i na najwznioślejsze zasady, i nas dzisiaj obchodzą nie ogólne, choćby najpiękniejsze zasady, ale jedynie poszczególne, indywidualne wypadki.

Ach, Lambert, ty nic z tego nie rozumiesz i jesteś głupi jak kołek; gadam do ciebie o tych zasadach, a ty słuchasz jak baśni o żelaznym wilku. Ach, jakże ci brak wykształcenia.

Pamiętasz, jak mnie wtedy biłeś? A dzisiaj jestem silniejszy od ciebie - czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Arkadiju kochany, chodź teraz do mnie. Posiedzimy sobie przez wieczór i wypijemy jeszcze buteleczkę, a Alfonsyna zaśpiewa nam coś przy gitarze.

- Nie, nie pójdę. Słuchaj, co ci powiem - ja mam „ideał”. Jak mi się nie powiedzie i ona mnie nie zechce, to zawsze ideał mi pozostanie, a ty nie masz ideałów.

- Dobrze, dobrze, opowiesz mi to wszystko, ale chodźmy.

- Nie pójdę - podniosłem się z miejsca. - Rozumiesz: nie chcę i nie pójdę. Odwiedzę cię jeszcze kiedy, ale ty jesteś łajdak. Dam ci trzydzieści tysięcy - niech będzie - ale wiedz o tym, że jestem od ciebie nieskończenie czystszy i wyższy... Widzę przecież, że chcesz mnie oszukać. A co do niej, to zabraniam ci nawet myśleć o niej, Lambercie. Chcę ją za żonę, to racja, ale pieniędzy nie potrzebuję, pieniądze są dla mnie niczym. Nawet gdyby mnie na kolanach prosiła, żebym wziął

jej pieniądze, nie przyjmę... A małżeństwo - z małżeństwem inna

438

sprawa. I wiesz, dobrze powiedziałaś, że trzeba je krótko trzymać. Trzeba kochać, kochać z całą szlachetnością, na jaką zdobyć się może mężczyzna i jakiej nigdy nie osiągnie kobieta, ale jednocześnie postępować despotycznie - to dobra myśl. Bo wiesz, kobiety lubią despotyzm. Ty, Lambercie, znasz naturę kobiecą. Ale pod wszystkimi innymi względami - jesteś kompletnie głupi.

I wiesz, co ci powiem, że nie jesteś taki wstrętny, jakim wydajesz się na pierwszy rzut oka; masz w sobie dużo prostoty. Lubię cię. Ach, Lambercie, czemu jesteś takim oszustem? Gdyby nie to, moglibyśmy tak przyjemnie żyć razem. Wiesz, Triszatow jest tak miły.

Ostatnie, nie wiążące się z poprzednimi, zdania wygłosiłem już na ulicy. Przytaczam tu wszystko, aż do najdrobniejszego szczegółu, specjalnie dlatego, żeby czytelnik wiedział, jak, z całym moim zapałem i ze wszystkimi przysięgami, i ze wszystkimi postanowieniami, iż teraz odrodzę się duchowo, i będę dążyć tylko do „szlachetności”, jak z tym wszystkim byłem w tej chwili bliski pogrążenia się, i to pogrążenia się w okropne bagno. I przysięgam, że nigdy czytelnikowi nie przyznałbym się do tego, gdyby nie wiara, że jestem już dziś daleki od tego, że dzięki woli i czynnemu życiu wyrobiłem w sobie mocny charakter i że jestem już zupełnie innym człowiekiem.

Wyszliśmy ze sklepu, a Lambert podpierał mnie, obejmując z lekka. Nagle przypadkowo spojrzałem na niego i uderzył mnie wyraz jego oczu - spokojny, uparty, niebywale skupiony, uważny i w najwyższym stopniu chłodny i trzeźwy; ten sam wyraz, który dostrzegłem w jego oczach owego ranka, kiedy to podniósł mnie spod płotu i prowadził tak samo jak teraz, obejmując ramieniem, a jednocześnie pochłaniając uszami i oczami moje rodzące się w gorączce majaczenia.

Zdarza się nieraz, że ludzie jeszcze nie całkowicie pijani, odzyskują nagle, w jednej chwili, zupełną przytomność.

- Za nic na świecie nie pójdę do ciebie - powiedziałem do niego głosem opanowanym, ironicznie spoglądając mu w oczy i z lekka odsunąłem go ramieniem.

- No, co znowu? Alfonsyna da nam herbaty. Cóż ty wyprawiasz?

Był całkowicie pewien, że mu nie ucieknę i ścisnął mnie, i trzymał z rozkoszą jak ofiarę, która nie może się wyrwać, a właśnie tego wieczoru i w takim stanie byłem dla niego zdobyczą niesłychanie cenną. Potem wytłumaczę, o co mi teraz chodzi.

- Nie idę - powtórzyłem stanowczo. - Woźnica! Właśnie podjechały sanie. Wskoczyłem do środka.

439

- Dokąd jedziesz? Co ty robisz? - ryknął Lambert w najokropniejszym strachu, czepiając się mojego futra.

- Ani mi się waż! - krzyknąłem. - Nie waż się gonić! Akurat w tej chwili sanie ruszyły i futro wyslizgnęło się z palców Lamberta.

- Jeszcze do mnie wrócisz! - krzyknął ze złością w głosie.

- Przyjdę, jak będę chciał, wolno mi robić, co mi się podoba! - odwróciłem się do niego, siedząc już w saniach.

II

Nie ścigał mnie, ponieważ nie było akurat drugich sań i w krótkim czasie znikłem mu z oczu. Sam zaś dojechałem tylko do Siennej, po czym wyszedłem i odprawiłem woźnicę. Strasznie mi się zachciało spaceru. Nie czułem ani zmęczenia, ani zbytniego upojenia. Natomiast byłem pełen sił, pewności siebie i rozmachu, czułem, że jestem zdolny do najsmielszego przedsięwzięcia i mnóstwo niesłychanie przyjemnych myśli krążyło mi po głowie.

Serce biło mi bardzo mocno i wyraźnie, i słyszałem każde jego uderzenie. Kiedy przechodziłem koło odwachu na Siennej, z trudem powstrzymałem się od tego, żeby nie podejść do wartownika i nie uściskać go. Była odwilż, śnieg stopniał i poczerniały plac pachniał niezbyt przyjemnie, ale i ten plac sprawiał na mnie ogromnie miłe wrażenie. „Teraz pójdę sobie na Prospekt Obuchowski -

myślałem - a potem skręcę na lewo i wyjdę na koszary pułku Siemionowskiego; w ten sposób spacer będzie dłuższy, ach, jak to miło, jak miło. Rozpiąłem futro, a jakoś nikt nie okazuje zamiaru ściągnięcia go ze mnie, gdzie się podzieli złodzieje? Mówią, że na Siennej kręci się pełno bandytów. Niech przychodzą, jak mi się spodoba, to oddam im futro. Na co mi futro? Futro jest moją własnością. Lapropriete, c'est le vol. * A zresztą, co ja bredzę, jak tu jest pięknie. Jak to dobrze, że jest odwilż. Po co nam mróz? Co tam powiedziałem Lambertowi o zasadach? Mówiłem, że ogólnych zasad nie ma, że istnieją tylko poszczególne wypadki. To kłamstwo, arcykłamstwo. I powiedziałem tak umyślnie, tylko po to, żeby mu zaimponować. Wstyd mi trochę, a zresztą, nic nie szkodzi, zatrę tę winę. Niechże się pan nie martwi, niechże się pan nie dręczy, Arkadiju Makarowiczu. Arkadiju

* Własność to grabież. 440

Makarowiczu, pan mi się podoba. Szkoda, że z pana jest - mały spryciarz... i... ach... no tak... ach!”

Zatrzymałem się nagle i serce znowu zabrzmiało hymnem triumfalnym.

„Boże kochany! Cóż to on mi takiego powiedział? Mówił, że ona kocha mnie. O! ależ to jest łajdak, wszystko to, od a do z, jest kłamstwem. Powiedział mi to tylko dlatego, żebym pojechał do niego na noc. A może - nawet nie? Mówił mi przecież, że Anna Andriejewna również jest tego samego zdania... Ba! Przecież o tej sprawie mógł dowiedzieć się coś niecoś choćby przez taką Nastasję fegorownę. Ta wszędzie wlezie. I czemu nie pojechałem do niego? Byłbym już wszystko wiedział. Hm... on ma jakiś plan i ja to wszystko przeczyłem aż do najdrobniejszego szczegółu.

Tak, panie Lambert, nie brak panu pomysłów, ale pan się myli, to będzie zupełnie inaczej. A może nawet tak! A może nawet tak! I czyż on by mi pomógł doprowadzić do tego małżeństwa? A potrafi, potrafi. Jest naiwny i wierzy. Jest głupi i zuchwały - jak wszyscy ludzie interesów. A głupota i zuchwalstwo, połączone w jedno, są potęgą. A niechże się pan przyzna, Arkadiju Makarowiczu, że jednak pan się tego Lamberta trochę boi. Bo i na co mu ludzie ucziwi? Tak sobie, poważnie powiada: nie ma tu ani jednego przyzwoitego człowieka! No, a ty sam, kim jesteś? Zresztą, co tu mówić o mnie? A czyż ucziwy człowiek nie może się przydać łajdakowi?... Łajdak bardziej niż kto inny potrzebuje ludzi ucziwych. Ha, ha, ha! Tego pan jeszcze w niewinności swego serca dotychczas nie wiedział, Arkadiju Makarowiczu! Boże! A jeżeli on naprawdę mnie ożeni?

Znowu zatrzymałem się na środku ulicy. Tu muszę się przyznać do pewnego głupstwa (bo to już dawno minęło), muszę się przyznać, że już dawno, jeszcze znacznie wcześniej, miałem zamiar ożenić się - to jest, oczywiście, nie miałem zamiaru i nigdy w świecie nie doszłoby do tego (i nie dojdzie, daję na to słowo), ale nieraz, jeszcze przedtem marzyłem o tym, jakby to dobrze było, gdybym się ożenił, to znaczy bardzo często marzyłem, szczególnie w nocy przed zaśnięciem.

Zaczął się to jeszcze wtedy, kiedy miałem szesnaście lat. W gimnazjum miałem kolegę rówieśnika, Ławrowskiego, ładniutkiego, miłutkiego, spokojnego chłopczyka, zresztą nie wyróżniającego się niczym specjalnym. Nie rozmawiałem z nim prawie nigdy. Razu pewnego siedzieliśmy razem obok siebie. On był jakiś zamyślony i ni stąd ni zowąd zwraca się do mnie.

„Ach, Dołgorukij, jak myślisz, jakby to było dobrze, gdyby się tak teraz ożenić. Doprawdy, teraz to byłoby lepiej niż kiedykolwiek, teraz byłby najlepszy czas; i cóż z tego, kiedy właśnie teraz w żaden sposób nie można!” I tak to powiedział całkiem szczerze. I nagle po-441

twierdziłem to z całego serca, bo zresztą sam już również marzyłem o czymś podobnym. Potem przez kilka dni spotykaliśmy się ciągle i mówiliśmy o tym jakby w sekrecie, zresztą - tylko o tym.

A potem, nie wiem, jak to się stało, ale przestaliśmy się spotykać i rozmawiać ze sobą. Otóż od tego czasu zacząłem marzyć. Nie warto by nawet o tym wspominać, ale chciałem po prostu stwierdzić, jak czasem daleko w przeszłość sięgają takie historie...

„Jedna tylko rzecz przemawia naprawdę przeciwko temu”, marzyłem dalej, nie przerywając spaceru. „Bo rzeczywiście, różnica wieku nic nie znaczy i nie może stanowić przeszkody, ale ważniejsze jest to, że ona jest przecież wielką panią, a ja - tylko Dołgorukij. To było fatalne! Hm!

Wiersiłow, gdyby się ożenił z mamą, mógł przecież wystąpić z prośbą o adoptowanie mnie... w nagrodę za, do pewnego stopnia, zasługi ojca... Przecież odbył służbę, a więc jest człowiekiem zasłużonym i był przecież sądownym rozjemcą, godził... O, do stu diabłów, co za obrzydlistwo!”

Słowa te wydarły mi się niespodziewanie z ust. Nagle po raz trzeci zatrzymałem się na środku ulicy, ale tym razem nie mogłem się wprost ruszyć z miejsca, jak rozdeptany robak, który przylepił

się do bruku. Niestłuchanie bolesne poczucie mojego własnego upodlenia, świadomość, że mogła we mnie powstać myśl tak haniebna, jak pragnienie, abym został adoptowany i mógł mieć nazwisko, myśl, będąca zdradą ideałów, hodowanych w duszy od najwcześniejszego dzieciństwa -

zniweczyły w jednej sekundzie cały mój humor. Pogoda, spokój, przepelniając jeszcze przed chwilą moją duszę, pierzchły nagle jak mgła. „Nie, nikomu nawet nie powiem o tym” -

pomyślałem sobie, czerwieniąc się cały ze wstydu. „Jeżeli mogłem upaść tak nisko, to tylko dlatego, że jestem... zakochany i głupi... Nie, jeżeli Lambert ma rację, to tylko pod jednym względem, a mianowicie, że dzisiaj, w naszym wieku na pierwszym miejscu stoi sam człowiek, a zaraz po nim jego pieniądze. To znaczy, nie pieniądze, ale w ogóle jego potęga. Mając kapitał, oddani się realizacji mojej „idei” i po dziesięciu latach cała Rosja będzie się trzęsła, a ja odpłacę wtedy wszystkim. A co do niej, to z nią nie ma się co ceremoniować, tu znowu Lambert ma rację.

Po prostu, stchórzy i zgodzi się. „Nie możesz sobie nawet wyobrazić, w jakich norach oddawały się”, brzmiały mi w uszach słowa Lamberta. Tak, tak zwykle bywa - potwierdziłem z

przekonaniem. - Lambert ma całkowicie rację, Lambert zna świat tysiąc razy lepiej niż ja i niż Wiersiłow, i wszyscy idealisci! Lambert trzeźwo patrzy na rzeczy. Zobaczy, że jestem czło-442

wiekim z charakterem i powie sobie: „Tak, to jest człowiek ^rem”. Chociaż,

oczywiście Lambert jest skończonym łajda^j . . , nym jego celem jest

wyłudzenie ode mnie trzydziestu ty\$jp „• a przecież na nikim innym nie

mogę polegać, oprócz niego ;ecjne Innego przyjaciela i sprzymierzeńca nie mam. I

to jest jedyny nanrawde istniejący i szczerzy rodzaj przyjaźni. Wszystkie inne,

to wymysły l H/i niepraktycznych i nie znających życia. A co do niej, to w rnOjm

i • nie ma nawet nic hańbiącego dla niej. Nic zupełnie - i kobiety wszv ti,’

są takie! Czyż może istnieć kobieta o duszy nienikczemnej? r)iat właśnie musi

mieć nad sobą mężczyznę, dlatego właśnie stwOrz • na to, aby komuś

podlegać. Kobieta, to zepsucie i pokusa, a mezczv_ zna, to szlachetność i

wspaniałość ducha. Tak było, jest i ta^ jj-jjL zawsze. A to, że mam zamiar użyć

„dokumentu” - to nic nie 2;naczv TO nie wyklucza ani szlachetności, ani

wspaniałości ducha. Za^en czło wiek nie może być Schillerem bez jakiejś

domieszki. Takie [^eatv :st nieją tylko w fantazji poetów. Brud nic nie szkodzi,

jeżeli zmierzamv do wielkiego celu. Potem wszystko to zostanie oczyszczone, ws2y

t< , dzie wyrównane. A to, co jest teraz, to jest jedynie szerokość po”]a(j -

to jedynie życie, to jedynie prawda życiowa. Tak a nie inacze]- to j’ teraz

nazywa!

Znowu muszę powtórzyć: darujcie mi, że tak powtarzani az JD • drobniejszego

szczegółu wszystkie te majaczenia, powstałe pQj . wem alkoholu. Jest to

oczywiście tylko esencja tego, co wtedy myślałem ale zdaje mi się, że użyłem

mniej więcej tych samych słów. Musiałem 'e przytoczyć, bo zabrałem się do

pisania w tym celu, aby są<jzjx s:eu-e samego. A o cóż mam się oskarżać, jak nie o to? Czyż może być w Lvc'u coś bardziej ważkiego? A wypite wino nie może mnie

usprawiejjj^ ' r vino veritas*

Tak rozmyślając i będąc całkowicie pogrążony w marzenia^ • uważyłem nawet, jak

doszedłem wreszcie do domu, to znaczy) ^Q m:esz kania mamy, ale zaledwie

znalazłem się w naszym inajg^j,,:,, przedpokoju, od razu zrozumiałem, że

stało się coś nie2\vy]<jeg0 Z mieszkania dochodziły głośne słowa, okrzyki i

słychać byjo t ' mamy. W drzwiach o mały włos nie przewróciła mnie Łukierja

bjemac pospiesznie z pokoju Makara Iwanowicza do kuchni. Zrzucijem futro i

poszedłem do Makara Iwanowicza, bo tam się wszyscy zebrali;

* W winie prawda.

443

Tam byli już Wiersiłow i mama. Wiersiłow trzymał mamę w ramionach i mocno przyciskał ją do piersi. Makar Iwanowicz siedział, jak zwykle, na swojej ławeczce, ale był jakby zupełnie bez sił, tak, że Liza z wyraźnym wysiłkiem podtrzymywała go, żeby nie upadł. I nawet było widoczne, że chwieje się i zaraz upadnie. Szybko zbliżyłem się do ławeczki, drgnąłem - i od razu zrozumiałem wszystko - staruszek nie żył.

Umarł przed chwilą, może minutę przed moim przyjściem. Jeszcze przed dziesięcioma minutami czuł się jak zwykle. Przy nim była wtedy tylko Liza. Opowiadała mu o swoim nieszczęściu, a on tak jak wczoraj gładził ją po głowie. Nagle cały zatrzęsł się (opowiadała Liza), zrobił ruch, jakby chciał się podnieść, otworzył usta, jakby chciał mówić i bez słowa pochylił się na lewo. „Atak serca” - rzekł Wiersiłow. Liza zaczęła krzyczeć na cały dom i wszyscy się zbiegli. Wszystko to stało się może jakąś minutę przed moim przyjściem.

- Arkadiju! - krzyknął do mnie Wiersiłow. - Pędź natychmiast do Tatiany Pawłowny, musi być teraz w domu. Proś, żeby zaraz przyszła. Weź dorożkę. Prędzej, błagam cię.

Oczy jego błyszczały - pamiętam doskonale. Nie zauważyłem w jego twarzy ani łez, ani żalu, tylko mama, Liza i Łukieria zalewały się łzami. Przeciwnie - i to zapamiętałem sobie doskonale - miał na twarzy wyraz jakiegoś niezwykłego podniecenia, nieledwie zachwytu. Pobiegłem, aby sprowadzić Tatianę Pawłownę.

Jak wiadomo z tego co już pisałem, Tatiana Pawłowna mieszkała dość blisko. Nie brałem dorożki, a

całą drogę przebiegłem, nie zatrzymując się. W głowie mojej przesuwały się jakieś niewyraźne obrazy, mające również odcień pewnego rodzaju zachwytu. Rozumiałem, że to, co się stało, było faktem przełomowym. Kiedy dzwoniłem do Tatiany Pawłowny, nie odczuwałem już ani śladu niedawnego podniecenia pijackiego. Wraz z nim znikły również wszystkie nikczemne zamiary.

Finka otworzyła mi: „Pani nie ma!” i chciała natychmiast zamknąć.

- Jak to pani nie ma? - wpakowałem się przemocą do przedpokoju. - To niemożliwe. Makar Iwanowicz umarł!

- Co-o takiego?! - rozległ się nagle krzyk Tatiany Pawłowny poprzez zamknięte drzwi jej salonu.

- Umarł! Makar Iwanowicz umarł! Andriej Piotrowicz prosi, żeby pani przyszła. Natychmiast!

- Nieprawda!...

444

Zgrzytnęła zasuwka, ale drzwi uchyliły się tylko na parę cali: „Co się stało, gadaj!”...

- Ja sam nic nie wiem, ledwie przyszedłem, a on już nie żyje. Andriej Piotrowicz powiada: atak serca!

- Zaraz, w tej chwili. Leć, powiedz, że przyjdę. Idź już, no idź! Czego jeszcze stoisz!

Ale wyraźnie widziałem przez niedomknięte drzwi, że ktoś nagle wyszedł zza firanki, za którą stało łóżko Tatiany Pawłowny. Odruchowo, instynktownie pochwyciłem za klamkę i już nie pozwoliłem zamknąć drzwi.

- Arkadiju Makarowiczu! Czy to prawda, że on nie żyje? - rozległ się znany mi cichy, melancholijny, dźwięczny głos, od którego wszystko po prostu zadrżało we mnie. W tym pytaniu brzmiało jakieś wzruszenie, przenikające do głębi jej duszę.

- A jeżeli tak - Tatiana Pawłowna odepchnęła nagle drzwi. - Jeżeli tak, to niech pani robi, co się pani podoba, sama pani chciała!

Gwałtownie wybiegła z mieszkania, wciągając na siebie w locie chustkę i futro, i popędziła po schodach. Zastaliśmy sami. Zrzuciłem futro, wszedłem i zamknąłem za sobą drzwi. Stała przede mną tak jak wtedy, kiedyśmy się spotkali, z błyszczącymi oczyma i jak wtedy, wyciągała do mnie obie ręce. Nogi ugięły się pode mną i dosłownie runąłem do jej stóp.

W pierwszej chwili zacząłem płakać, sam nie wiem dlaczego. Nie pamiętam, jak to się stało, że usiadłem obok niej, ale w pamięci mojej utrwalił się jedynie najrozkoszniejszy obraz - jak siedzieliśmy obok siebie, ręka w rękę i żywo rozmawialiśmy. Wypytywała mnie o staruszka i o jego śmierć, a ja jej to wszystko opowiadałem; mogłoby się zdawać, iż płakałem nad Makarem Iwanowiczem, a w rzeczywistości byłoby to szczytem niedorzeczności i jestem pewien, że ona w żadnym razie nie spodziewała się po mnie takiej kompletnej już dziecinady. W końcu, w pewnej chwili, zorientowałem się i zrobiło mi się wstyd. Teraz sędzę, że płakałem wówczas z zachwytu i przypuszczałem, że doskonale to zrozumiała, tak, że to wspomnienie nie budzi we mnie najmniejszego niepokoju.

- Nagle uderzyło mnie i zdziwiło, że przez cały czas pytała o Makara Iwanowicza.

445

- A czyż pani znała go? - zapytałem zdumiony.

- Już od dawna. Nie widziałam go nigdy, ale on również i na moje życie wywarł pewien wpływ.

Mówił mi o nim swego czasu ten człowiek, którego się boję. Pan wie, kogo mam na myśli.

- Wiem teraz to tylko, że „ten człowiek” jest znacznie bliższy pani duszy, niż mi to pani swego czasu powiedziała - rzekłem, sam nie wiedząc, co chcę przez to powiedzieć, ale jakby z wyrzutem i dość szorstko.

- Pan powiada, że przed chwilą całował matkę pana? Ścisnął ją? Pan to sam widział - nie słuchała mnie i dalej pytała.

- Tak, widziałem. I niech mi pani wierzy, że to było w najwyższym stopniu szczere i szlachetne! - odpowiedziałem szybko, widząc jej radość.

- Daj mu Boże! - przeżegnała się - teraz jest już wolny. Ten zacny starzec zamykał mu życie. Teraz po jego śmierci, w duszy jego znowu obudzi się poczucie obowiązku i... godność, jak budziły się już nieraz. O tak, to jest przede wszystkim człowiek szlachetny, uspokoi serce matki pana, którą kocha pan ponad wszystko w świecie i sam się wreszcie uspokoi, bo zresztą, dzięki Bogu, już czas.

- Czy pani zależy na nim?

- Tak, bardzo mi zależy, chociaż nie w tym znaczeniu, w jakim by on sam tego chciał i w jakim pan pyta.

- A teraz boi się pani o niego, czy o siebie? - spytałem nagle.

- To skomplikowane sprawy, dajmy im spokój.

- Dajmy spokój, oczywiście. Tylko, że ja nic o tym nie wiedziałem, może nawet bardzo wielu rzeczy nie wiedziałem, ale niech tak będzie; teraz wszystko będzie inaczej i, jeżeli ktoś się odrodził, to ja przede wszystkim. Ja, Katierino Nikolajewno, zawiniłem pani w myślach, nisko bardzo upadłem. A może nawet, nie dalej jak przed godziną, popełniłem również czyn nikczemny; ale niech pani wie, że teraz oto siedzę obok pani i nie odczuwam najmniejszego wyrzutu sumienia. Bo to wszystko już minęło i wszystko się zmieniło, a tego człowieka, który przed godziną układał przeciwko pani podle plany, nie znam teraz i nie chcę znać.

- Niech pan oprzytomnieje - uśmiechnęła się - pan mówi jakby w gorączce.

- I na cóż się zdało sądzić siebie samego, tu, obok pani? - ciągnąłem. - Czy będę szlachetny, czy podły, pani zawsze jest niedosiegalna, jak bóstwo... Niech pani powie, jakżeż to pani mogła wyjść do mnie, po tym wszystkim, co się stało? I gdyby pani wiedziała, co działo się przed godziną, przed jedną godziną? I jaki to sen spełnił się?

446

- Wiem chyba wszystko - uśmiechnęła się cicho. - Przed chwilą pan chciał się mścić na mnie wszelkimi sposobami, przysięgał pan, że mnie pan zgubi, a na pewno zabiłby pan albo obił

każdego człowieka, który by się ośmielił powiedzieć przy panu jedno złe słowo o mojej osobie.

O, uśmiechała się i żartowała, ale to tylko z powodu swej niezmiernej dobroci, bo w tej chwili całą jej duszę wypełniały, jak doszedłem później, jej własne, ogromne troski, i przeżycia takie silne i potężne, że rozmowa ze mną i odpowiedzi na moje głupiutkie, dokuczliwe pytania, mogły być jedynie takimi, jakie daje się maleńkiemu dziecku na jego dziecinne, natarczywe wypytywanie, żeby tylko dało spokój. Zrozumiałem to nagle i zrobiło mi się wstyd, ale już nie mogłem zaprzestać.

- Nie - krzyknąłem, nie panując nad sobą. - Nie, tego, który o pani źle mówił, nie zabiłem, a przeciwnie, potakiwałem mu.

- Ach, na miłość Boską, nie trzeba tego, nie, nie, niech mi pan tego nie mówi - wyciągnęła nagle rękę, żeby powstrzymać mnie i nawet z pewnego rodzaju współczuciem w twarzy, ale już zerwałem się z niej - sca, stanąłem przed nią, żeby jej opowiedzieć wszystko; a gdybym jej to wtedy opowiedział, to by nie doszło do tego, co się stało później, skończyłoby się na pewno na tym, że wyznałbym jej wszystko i zwróciłbym dokument.

Ale nagle zaśmiała się.

- Nie potrzeba, nie chcę nic, żadnych szczegółów. Znam wszystkie pańskie zbrodnie i mogę się założyć, że pan chciał się ożenić z mną, albo coś w tym rodzaju, i mówił o tym przed chwilą, z którymś ze swoich dawnych przyjaciół szkolnych... Ach, zdaje się, przecież, że zgadłam! -

zawołała, spoglądając poważnie na mnie.

- Jakże... jak pani mogła domyślić się tego? - wyjąkałem zmieszany, jak głupiec.

- Ach, jeszcze to! No, dość już, dość już! Przebaczam panu, tylko niech pan już to zostawi w spokoju - machnęła znowu ręką z wyraźnym już zniecierpliwieniem. - Sama jestem marzycielką i gdyby pan wiedział, jakie pomysły przychodzą mi do głowy, kiedy nie mam sił, aby je powstrzymać! Dość już, pan mi nie daje mówić. Dobrze się stało, że Tatiana Pawłowna poszła.

Chciałam koniecznie widzieć się z panem, a w jej obecności nie moglibyśmy rozmawiać tak jak teraz. Zdaje mi się, że jestem wobec pana winowajczynią tego, co się wtedy stało. Nieprawdaż?

- Pani winowajczynią?! Ale wtedy to ja panią zdradziłem przed nim i co pani mogła sobie o mnie pomyśleć? Myślałem o tym przez cały

447

czas, przez te wszystkie dni, od tego czasu, każdej chwili myślałem, czułem to. (To była prawda.)

- Niepotrzebnie się pan tak dręczył. Od razu zrozumiałam aż nadto dobrze, jak się to wszystko stało. Po prostu pan w przystępie radości wygadał mi się, że pan mnie kocha i że ja... no, że panu pozwalałam o tym mówić. Na to ma pan dwadzieścia lat. Przecież pan go uwielbia ponad wszystko w świecie, szuka pan w nim przyjaciela, ideału! Aż nadto dobrze zrozumiałam to, ale było już za późno, o tak, ja sama byłam wtedy winna. Należało po prostu pana od razu zawołać i uspokoić, ale rozzłościłam się i zakazałam pana przyjmować. Przez to doszło do tej sceny przed bramą, a potem jeszcze ta noc... I wie pan, przez ten cały czas, tak samo jak i pan, marzyłam, jakby się z panem zobaczyć po kryjomu, tylko nie wiedziałam, jak to zrobić. I, jak pan myśli, czego się najbardziej bałam? Tego, że pan uwierzy temu wszystkiemu, co on panu o mnie naopowiadał.

- Nigdy! - zawołałam.

- Cenię sobie bardzo nasze dawne spotkania. Cenię w panu pańską młodość i może nawet tę oto szczerłość... Ja przecież mam arcy-poważny charakter. Jestem najpoważniejszym i najbardziej ponurym charakterem wśród wszystkich współczesnych kobiet, niech pan to przyjmie do wiadomości... Ha, ha, ha! No, będziemy się jeszcze mogli nagadać, a teraz jestem trochę niedysponowana, jestem trochę zdenerwowana... Zdaje mi się, że grozi mi atak hysterii.

Ach, może teraz pozwoli i mnie odetchnąć swobodniej!

Ten okrzyk wyrwał się jej mimo woli. Zrozumiałem to od razu i pominąłem milczeniem, ale cały aż się zatrząsałem.

- On wie, że mu przebaczyłam! - zawołała znowu, jakby sama do siebie.

- Czyżby pani mogła mu przebaczyć to, co napisał? I skąd mógłby wiedzieć, że pani mu przebaczyła?
- zawołałam, nie mogąc już się powstrzymać.

- Skąd wie? O, wie na pewno - ciągnęła dalej. Chociaż odpowiadała na moje pytania, to jednak tak, jakby nie dostrzegała mojej obecności i mówiła sama do siebie. - Teraz opamiętał się. I jakże może nie wiedzieć, że przebaczam mu, on, który zna do głębi całą moją duszę? Wie przecież, że sama jestem poniekąd człowiekiem takim jak on.

- Pani?

448

- No tak, wie doskonale. O, ja nie jestem gwałtowna, jestem opanowana, ale chciałabym, tak samo jak on, żeby wszyscy byli dobrzy... Przecież musiał mnie pokochać za coś.

- A przecież mówił, że pani jest pełna wad.

- To tylko tak mówił, w głębi duszy ukrywa coś innego. A czyż nieprawda, że ten list był napisany ogromnie zabawnie?

- Zabawnie?

Słuchałem jej z najwyższym napięciem, przypuszczam, że to naprawdę był atak hysterii, że gdyby zdawała sobie sprawę z tego, iż jej słucham, to by tego nie mówiła, ale nie mogłem powstrzymać się od zadawania pytań.

- O, tak, bardzo zabawnie i śmiałabym się z całego serca... gdybym się nie bała. Zresztą, nie jestem znowu takim tchórzem, niech pan nie myśli, ale po tym liście nie mogłam zasnąć całą noc. Ten list pisany był jak gdyby bólem i krwią... po takim liście, cóż jeszcze zostaje człowiekowi?

Kocham życie, okropnie boję się o moje życie, jest to ogromna małoduszność z mojej strony...

Ach, niech pan słucha! - zerwała się nagle - niech pan idzie do niego! On teraz jest sam. On nie mógł tam pozostać. Na pewno gdzieś wyszedł sam jeden. Niech go pan jak najprędzej odszuka, koniecznie, natychmiast, niech pan biegnie do niego, niech mu pokaże, że pan jest kochającym synem, niech pan pokaże, pan jest miłym, zacnym chłopcem, moim studentem, którego ja... O, niech panu Bóg da wszystkiego, co najlepsze! Nie kocham nikogo, zresztą, tak jest lepiej, ale chciałabym, żeby wszyscy byli szczęśliwi, wszyscy, a on najpierw, i niech wie o tym... nawet zaraz, teraz... ach, jakby to było dobrze...

Podniosła się i nagle znikła za firanką. Na jej twarzy błyszczały w tej chwili łzy (histeryczne, po śmiechu). Zostałem sam, przejęty i zmieszany. Nie wiedziałem zupełnie, skąd wzięło się w niej tak silne wzruszenie, jakiego bym nigdy u niej się nie spodziewał... Coś jakby ścisnęło mnie za serce.

Czekałem pięć minut, wreszcie dziesięć i uderzyła mnie nagle nie zmacona niczym cisza.

Zdecydowałem się wyrzeć przez drzwi i zawołać. Na mój głos przyszła Maria i najspokojniej oświadczyła mi, że pani już dawno ubrała się i wyszła kuchennymi schodami.

449

ROZDZIAŁ SIÓDMY

ego tylko jeszcze brakowało. Schwyciłem futro i, naciągnąwszy je na siebie w biegu, popędziłem z jedną tylko myślą: „Kazała mi go odnaleźć, a gdzie go teraz złapie?”

Ale ponad wszystko opanowało mnie jedno dręczące pytanie: „Czemuż to ona sądzi, że teraz zacnie się coś nowego i że on da jej teraz spokój? Oczywiście dlatego, że teraz ożeni się z mamą, ale cóż ona na to? Czy cieszy się, że on się ożeni z mamą, czy przeciwnie, to właśnie czyni ją nieszczęśliwą? Czy to właśnie wywołało jej atak? Czemu nie mogę tego zrozumieć?”

Tę drugą myśl, która mi wtedy błysnęła, podaję dosłownie: to bardzo ważne. Był to fatalny wieczór. I oto, mimo woli człowiek zaczyna wierzyć w przeznaczenie: nie zdążyłem jeszcze przejść stu kroków w kierunku mieszkania mamy, kiedy niespodziewanie natknąłem się na tego, którego szukałem. Pochwycił mnie za ramię i zatrzymał.

- Jesteś! - zawołał radośnie, a jednocześnie jakby z niezmiernym zdziwieniem. - Wyobraź sobie -

zaczął mówić szybko - byłem u ciebie, szukałem ciebie, wypytywałem się o ciebie, jesteś mi teraz koniecznie potrzebny, ty jeden na całym świecie! Ten twój urzędnik... opowiadał mi, Bóg wie co, ale ciebie nie było. Tak, że musiałem odejść i nawet zapomniałem poprosić, żeby ci powiedział, abys natychmiast przybiegł do mnie. I cóż dalej? Mimo wszystko ani na chwilę nie straciłem niezachwianej pewności, że los może mi ciebie zesłać w takiej chwili, kiedy jesteś mi tak koniecznie potrzebny. I oto, ledwie wyszedł, spotkałem ciebie. Chodź do mnie; nigdy jeszcze nie byłeś w moim mieszkaniu.

Słowem, szukaliśmy się nawzajem i każdy z nas przeżywał jak gdyby to samo. W wielkim pośpiechu poszliśmy naprzód. Po drodze Wiersi-łow rzucił tylko kilka króciutkich zdań na temat tego, że zostawił mamę

450

w towarzystwie Tatiany Pawłowny itd. Szedł, trzymając mnie za rękę. Mieszkanie jego było niedaleko i wkrótce byliśmy już na miejscu. Była to rzeczywiście pierwsza moja wizyta u niego.

Zajmował małe, trzypokojowe mieszkanie, które wynajmował (a raczej wynajmowała Tatiana Pawłowna) jedynie tylko dla owego „dziecięcia przy piersi”. Mieszkanie to już dawniej pozostawało pod opieką Tatiany Pawłowny. Tu przebywała niańka z dzieckiem (a teraz także Nastasja Jegorowna), ale był również pokój, przeznaczony dla Wiersiłowa, pierwszy od wejścia, dość duży i dość wykwintnie, i wygodnie umeblowany, coś w rodzaju gabinetu do pracy, do czytania i pisania. Rzeczywiście, na stole, w szafie i na etażerkach było pełno książek (których w mieszkaniu mamy nie było wcale). Leżały zapisane arkusze papieru, powiązane sznureczkami paczki listów; słowem, każdy szczegół zdradzał, że jest to kąt od dawna już zamieszkały i wiem, że Wiersiłow już przedtem (choć dość rzadko) od czasu do czasu przenoślił się do tego mieszkania, i przebywał w nim nawet całymi tygodniami. Pierwszym przedmiotem, który zwrócił

moją uwagę, był wiszący nad biurkiem portret mamy, we wspianiałej, rzeźbionej ramie z drogiego

drzewa: fotografia, wykonana niewątpliwie za granicą i jak było widać z jej ogromnych rozmiarów, rzecz bardzo kosztowna. Przedtem nie wiedziałem nic i nie słyszałem nigdy o istnieniu tego portretu, i co mnie najbardziej uderzyło, to niespotykane w zwykłych fotografiach podobieństwo, podobieństwo, że tak powiem duchowe; słowem, zdawało się, że to jest oryginalny portret pędzla artysty, a nie mechanicznie zrobiona odbitka. Wszedłszy do pokoju, mimo woli musiałem zatrzymać się przed nim.

- Co, prawdziwa? Prawdziwa? - powtórzył nagle nade mną Wiersiłow.

To miało znaczyć: „Prawda, jaki podobny?” Obejrzałem się na niego i wprost zdumiał mnie wyraz jego w twarzy. Był nieco blady, ale w jego wzroku, błyszczącym szczęściem i mocą, pałało jakieś dziwne napięcie uczucia. Nigdy jeszcze nie widziałem na jego twarzy takiego wyrazu.

- Nie wiedziałem, że pan tak kocha mamę - rzuciłem, wpadając w taki sam w zapał.

Uśmiechnął się radośnie, chociaż uśmiech ten miał jednocześnie odcień jakby jakiegoś cierpienia, albo raczej czegoś szlachetnego, wzniosłego... nie umiem tego dobrze określić; ale moim zdaniem ludzie stojący na wysokim poziomie rozwoju duchowego nie mogą mieć na twarzy wyrazu triumfalnego i zwycięskiego szczęścia. Nie odpowiadając mi Wiersiłow zdjął oburącz portret ze ściany, zbliżył go do ust, pocałował, a potem wolno i uroczyście powiesił go z powrotem.

451

- Zwróć uwagę - rzekł do mnie - że zdjęcia fotograficzne są bardzo rzadko naprawdę podobne i to jest zupełnie zrozumiale: sam oryginał, to znaczy, każdy z nas rzadko kiedy jest podobny do siebie samego. Tylko niekiedy w pewnych chwilach twarz ludzka oddaje to, co w niej jest najważniejszego, tę myśl, która jest dla niej najbardziej charakterystyczna. Artysta wgłębia się w twarz i odgaduje tę najcharakterystyczniejszą myśl, choćby nawet w tej chwili, kiedy maluje, nie było jej zupełnie na twarzy. A fotografia chwytła człowieka takim, jakim właśnie jest w danym momencie i jest rzeczą bardzo prawdopodobną, że w pewnej chwili Napoleon mógłby wypaść głupcem, a Bismarck subtelnym człowiekiem. Tu zaś, na tym portrecie słońce, jakby umyślnie, podchwyciło Sofię w jej najcharakterystyczniejszym momencie, momencie

wstydlivej, pokornej miłości i nieco dzikiego, trwożliwego, dziewiczego zmieszania. Jakżeż była szczęśliwa wtedy, kiedy wreszcie przekonała się, że ja tak bardzo pragnę mieć jej portret!

Patrz, zdjęcie robione było dość jeszcze niedawno, a przecież o ile jest tu młodsza i ładniejsza, chociaż i tu widać już zapadnięte policzki, te zmarszczki na czole i tę pewną bojaźliwość w spojrzeniu, która od tej chwili wzrastała z latami - im dalej tym więcej. Czy uwierzysz, mój drogi? Teraz nie mógłbym wyobrazić jej wyglądającej inaczej, a przecież niedawno jeszcze była taka młoda i taka piękna! Rosjanki bardzo szybko starzeją się i brzydną, uroda ich trwa krótko i to, doprawdy, nie tylko na skutek etnograficznych właściwości rasy, ale i dlatego jeszcze, że kiedy kochają, to oddają się całkowicie. Rosjanka poświęci wszystko od razu dla ukochanego -

chwilę i życie, teraźniejszość i przyszłość, nie potrafi oszczędzać, nie umie odkładać na zapas.

Dlatego też uroda Rosjanek ucieka wkrótce do tych ludzi, którzy kochają. Te zapadnięte policzki to też uroda, która uciekła do mnie, do mojego krótkotrwałego szczęścia. Widzę, że jesteś zadowolony, że naprawdę kocham twoją matkę, a przedtem może nawet nie chciałeś wierzyć, że ją kocham. Tak, mój drogi, kochałem ją nad życie, a tymczasem nie dałem jej nic oprócz nieszczęścia. A tu jest jeszcze jeden portret - przyjrzyj się i temu również.

Wziął go ze stołu i podał mi. To również była fotografia, daleko mniejszych rozmiarów, w cienkiej, owalnej ramie drewnianej; twarzyczka dziewczęcia, chuda i jakby suchotnicza, ale mimo to jednak piękna, zamyślona i jednocześnie zdumiewająco wyzuta z jakiegokolwiek myśli. Miała prawidłowe rysy typu wyhodowanego w ciągu całych pokoleń, które jednak sprawiały jakieś dziwne, bolesne, można rzec, chorobliwe

452

wrażenie: zdawało się, że jest to istota, opanowana nagle przez jakąś uporczywą myśl, bolesną dlatego właśnie, że przerastającą jej siły.

- To ma być... to jest ta dziewczyna, z którą pan wtedy się miał zamierzać ożenić i która umarła na suchoty... jej pasierbica - rzekłem nieśmiało.

- Tak, miałem zamiar ożenić się... umarła na suchoty... jej pasierbica. Wiedziałem, że znasz... te wszystkie plotki. Zresztą, poza plotkami nic innego nie mógłbyś się dowiedzieć. Połóż ten portret, mój drogi, to jest nieszczęśliwa obłąkana i nic więcej.

- Zupełnie obłąkana?

- Raczej idiotka, zresztą, myślę, że i obłąkana również. Miała dziecko z księciem Siergiejem Piotrowiczem (nie z miłości, a na skutek obłąkania - był to jeden z najnikczemniejszych postępów księcia Siergieja Piotrowicza). To dziecko jest teraz tutaj, w tym pokoju i już dawno noszę się z myślą, żeby ci je pokazać. Księżciu Siergiejowi Piotrowiczowi nie wolno było tu przychodzić i widywać dziecka, tak się z nim umówiłem, jeszcze w czasie pobytu za granicą.

Wziąłem je do siebie za przyzwoleniem twojej matki. Za pozwoleniem twojej mamy chciałem również wtedy ożenić się z tą... nieszczęśliwą...

- Czyż mama mogła na to pozwolić? - zapytałem wzburzony.

- O, tak! Pozwoliła: można być zazdrosnym o kobietę, a to nie była kobieta.

- Nikt jej nie uważał za kobietę oprócz mamy. Nigdy nie uwierzę, żeby mama nie była zazdrosna! - zawołałem.

- I masz rację. Zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy już było po wszystkim, to znaczy, kiedy już zgodziła się. Ale zostawmy to. Rzecz nie doszła do skutku, mamy zaś jeszcze teraz nie dopuszczam do dziecka. To był jedynie epizod. Mój drogi, jednakże dawno już czekam na to, żebyś mnie tu odwiedził. Od dawna marzę o tym, jak my tu będziemy rozmawiać. Czy wiesz odkąd? Już od dwóch

lat myślę o tym.

Spojrzał na mnie serdecznie i szczerze, z niekłamanym wzruszeniem. Pochwyciłem go za rękę.

- Czemu pan to odkładał? Czemu mi pan przedtem nie powiedział? Gdyby pan wiedział, co się stało... i czego można było uniknąć, gdyby mnie pan przedtem wezwał!...

W tej chwili przyniesiono samowar i weszła Nastasja Jegorowna ze śpiącym dzieckiem na ręku.

- Spójrz na nie - rzekł Wiersiłow. - Kocham je bardzo i umyślnie kazałem tutaj przynieść, żebyś ty zobaczył. No, a teraz może je pani już

453

zabrać, Nastasjo Jegorowno. Siadajmy do herbaty. Będzie mi się zdawało, że tak zawsze byliśmy razem, żeśmy się każdego wieczoru tak samo spotykali i nigdy się nie rozłączali. Pozwól mi popatrzeć na siebie. Siądź sobie tak, żebym mógł widzieć twoją twarz. Jakże lubiłem wyobrażać sobie twoją twarz, kiedy czekałem na twój przyjazd z Moskwy. Pytasz mnie, dlaczego nie wzywałem ciebie? Zaczekaj chwilę, teraz może już to zrozumiesz.

- Czyżby dopiero śmierć tego starca pozwoliła panu mówić swobodnie? Jakie to dziwne...

Ale chociaż słowa moje brzmiały szorstko, oczy moje wyrażały miłość. Mówiliśmy ze sobą jak dwaj przyjaciele w najwznioślejszym i najpełniejszym znaczeniu tego słowa. Wiersiłow przyprosił mnie tu, aby mi różne rzeczy podać do wiadomości, wytłumaczyć, usprawiedliwić się, a tymczasem, jeszcze zanim rzekł jedno słowo, wszystko było wyjaśnione i wytłumaczone.

Mógł mi mówić jeszcze, co tylko chciał; stało się już, rezultat był już osiągnięty, i obaj w błogim poczuciu tego patrzyliśmy sobie w oczy.

- Nie, nie chodzi tylko o śmierć tego starca - odpowiedział mi - nie tylko o śmierć. Jest jeszcze wiele innych rzeczy, a wszystkie zmierzają do jednego... Niech Bóg błogosławi nas w tej chwili i w całym naszym życiu, teraz i zawsze. Mój drogi, porozmawiajmy ze sobą. Ciągle się gubię, tonę w szczegółach, chcę mówić o jednej tylko rzeczy, a wpadam w tysiące zupełnie

niepotrzebnych drobiazgów. Jak zawsze, gdy serce mam przepełnione po brzegi... Ale, mówmy; nadszedł czas, a ja już od dawna świata poza tobą nie widzę, mój chłopcze... - Gwałtownym ruchem cofnął się do tyłu i jeszcze raz objął mnie spojrzeniem.

- Jakżeż to wszystko dziwne, wprost nie do wiary! - powtarzałem, rozplývając się z zachwytem.

I pamiętam, jak oto po twarzy jego przeleciał tak dobrze znany mi uśmiech - drwiący i smutny jednocześnie. Skupił się i jakby z pewnym wysiłkiem zaczął.

H

- Widzisz, Arkadiju, byłbym cię wezwał już dawno, ale cóż mógłbym ci powiedzieć? W tym pytaniu zawarta jest cała moja odpowiedź.

- To znaczy, chce pan powiedzieć, że teraz pan jest mężem mamy i moim ojcem, a wtedy...

Przedtem nie wiedziałby pan, co mi powiedzieć, na temat mojej sytuacji w społeczeństwie? Czy o to panu chodziło?

454

- Nie tylko w tej sprawie, mój drogi, nie wiedziałbym, co ci powiedzieć. Jeszcze wiele innych rzeczy musiałbym przemilczeć. W tym wszystkim tkwi nawet wiele komizmu i poniżenia, przez to, że to przypomina jakąś sztuczkę, doprawdy, typową sztukę cyrkową. Bo i jakżeż

moglibyśmy się nawzajem zrozumieć, jeżeli ja sam siebie zrozumiałem dopiero dzisiaj, o piątej po południu, dokładnie na dwie godziny przed śmiercią Makara Iwanowicza. Patrzysz na mnie, jakbyś mi nie wierzył. Uspokój się, wytłumaczę ci, o co chodzi, ale to, co powiedziałem, jest słuszne co do joty. Przez całe życie błąkałem się i wątpiłem, a nagle, tego właśnie dnia, o piątej po południu - wszystko stało się jasne! Aż przykro, nieprawdaż? Jeszcze parę dni temu obraziłbym się nie na żarty.

Słuchałem tego z bolesnym niedowierzaniem, coraz wyraźniej uwidaczniała się charakterystyczna poza Wiersiłowa, tak nieprzyjemna, szczególnie na tle takiego wieczoru, po takich słowach, jakie przed chwilą usłyszałem. Nagle zawołałem:

- Boże! Pan otrzymał coś od niej... dzisiaj o piątej godzinie? Wiersiłow spojrzał na mnie uważnie i widać było, że mój okrzyk, a może nawet zwrot „od niej” wywarły na nim silne wrażenie.

- Dowiesz się o wszystkim - powiedział z melancholijnym uśmiechem. - I oczywiście nie mam zamiaru ukrywać przed tobą ważnych rzeczy, tym bardziej, że przecież tylko dlatego przyprowadziłem cię tutaj, ale na razie musimy to sobie odłożyć na później. Widzisz, mój drogi, już od dawna zdawałem sobie sprawę, że są dzieci, ciągle zastanawiające się nad sytuacją swych rodzin, skrzywdzone przez nieetyczne postępowanie ich ojców i otoczenia. Na te dzieci zwróciłem uwagę jeszcze będąc w szkole i wtedy doszedłem do przekonania, że wszystko to płynie z jednego źródła: a mianowicie, dzieci te nazbyt wcześnie zaczynają zazdrościć.

Ponieważ jednak ja sam należałem do takich zamyślonych dzieci, ale... daruj mi, mój kochany, jestem niemożliwie roztargniony. Chciałem tylko, żebyś zrozumiał, jak prawie przez cały ten czas - ciągle bałem się o ciebie. Wyobrażałem sobie zawsze cię jako jedną z tych maleńkich istot, ale świadomych swych zdolności i skłonnych do pogrążania się w samotności. Przecież i ja również, tak samo jak ty, unikałem zawsze kolegów. Nieszczęśliwe jest życie takich istot, pozostawionych własnym siłom i własnym marzeniom, z namiętym, nazbyt wczesnym i

nieledwie mściwym pożądaniami etyki w życiu, właśnie „mściwym”. Ale dość już, kochany.

Znowu odbiegłem... Jeszcze zanim zdążyłem pokochać ciebie samego, już wyobrażałem sobie ciebie i twoje samotne, ponure marzenia. Ale dość już tego. Właściwie

455

nie wiem już, o czym chciałem mówić. Zresztą, tak czy owak, musiałem ci kiedyś powiedzieć.

Teraz widzę twoje spojrzenie, spoczywające na mnie i wiem, że na mnie patrzy w tej chwili mój syn i ja przecież wczoraj jeszcze, nie mógłbym uwierzyć, że będę mógł kiedykolwiek siedzieć, tak jak teraz, i rozmawiać z moim chłopcem.

Rzeczywiście, stawał się coraz to bardziej roztargniony, a jednocześnie jakby czymś wzruszony.

- Teraz nie chcę już marzeń i złotych snów, teraz pan wystarczy mi! Pójdę za panem -

powiedziałem, oddając mu się całą duszą.

- Za mną? A moja pielgrzymka już się skończyła i to właśnie dzisiaj. Spóźniłeś się, kochany.

Dzisiaj odbywa się finał ostatniego aktu; i kurtyna zapada. Ten akt ostatni trwał długo. Zaczai się bardzo dawno, wtedy, kiedy uciekłem ostatni raz za granicę. Rzuciłem wszystko i wiedz, kochany, że wtedy rozszedłem się z twoją mamą i sam to jej oświadczyłem; powinieneś wiedzieć o tym.

Powiedziałem jej wtedy, że wyjeżdżam na zawsze, że już się nigdy nie zobaczymy. Co najgorsze, zapomniałem nawet, żeby jej zostawić pieniędzy. O tobie myśl mi nawet w głowie nie powstała ani przez chwilę. Wyjechałem z tym, że już zostanę w Europie, mój drogi, że nigdy nie wrócę do domu. Emigrowałem.

- Do Hercena? Żeby wziąć udział w propagandzie zagranicznej? Pan zapewne przez całe życie należał do jakiejś tajnej organizacji? -zawołałem, nie mogąc się powstrzymać.

- Nie, mój drogi, do żadnej organizacji nie należałem, A tobie aż oczy zabłyśły. Lubię cię ogromnie, kochany, w chwilach twojego zapału. Nie, uciekłem po prostu w nagłym porywie tęsknoty. To była tęsknota szlachcica rosyjskiego - nie mogę doprawdy lepiej nazwać.

Szlachecka tęsknota - i nic więcej.

- Prawo pańszczyźniane... uwolnienie ludu? - wyszeptałem ciężko dysząc, urywanym głosem.

- Poddaństwo? Myślisz, że tęskniłem do poddaństwa? Że nie mogłem znieść wyzwolenia włościan?

O nie, kochany, przecież to my właśnie byliśmy tymi wyzwolicielami. Emigrowałem bez najmniejszego gniewu. Byłem przecież bezpośrednio przedtem rozjemcą i szarpałem się na wszystkie strony, szarpałem się bez żadnego rezultatu, a nawet, powodem mojego wyjazdu było bynajmniej nie to, że nie otrzymałem nagrody za mój liberalizm. Zresztą, nikt z nas wtedy nic nie dostał, to znaczy nikt z takich, jak ja. Wyjechałem raczej z dumą, niż w pokorze i pokucie, i wierz mi, byłem jak najdalszy od myśli, że nadszedł czas, abym zakończył swój żywot jako skromny szewc. Je suis gentilhomme 456

avant tout et je mourrai gentilhomme!* Ale zawsze było mi smutno. Przecież takich jak my jest w Rosji może tysiąc. Nie więcej - ale przecież wystarczy, aby idea nie zginęła. Jesteśmy chorążymi idei, mój drogi!... Mój kochany, mówię to w jakiejś niezrozumiałej nadziei, że zorientujesz się w tym mętliku. Przeprowadziłem tutaj ciebie pod wpływem kaprysu serca i już od dawna marzyłem, jak ci to i tamto będę mówił; tobie, tobie, właśnie tobie. A zresztą... zresztą...

- Nie, niech pan mówi - zawołałem. - Widzę, że pan znowu chce powiedzieć wszystko, co pan ma w sercu... Cóż dalej, czy Europa dała panu odrodzenie? I co to jest pańska „szlachecka tęsknota”?

Niech mi pan daruje, najdroższy, ale tego jeszcze nie rozumiem.

- Czy Europa dała mi odrodzenie? Ale przecież ja sam jechałem po to, żeby wyprawić jej pogrzeb!

- Jej pogrzeb? - powtórzyłem zdumiony. Wiersiłow uśmiechnął się.

- Drogi Arkadiju, dusza moja jest teraz utrudzona i duch mój jest zmacony. Nigdy nie zapomnę pierwszych chwil, które wtedy przeżywałem w Europie, ale wtedy były czasy niezwykłe, i nigdy jeszcze nie przybyłem do niej w takiej rozpacz i... z taką miłością w sercu, jak wtedy.

Opowiem ci jedno z moich pierwszych przeżyć w owym czasie, jeden mój sen, autentyczny sen.

Zdarzyło się to w Niemczech. Właśnie wyjechałem z Drezna i w roztargnieniu przepuściłem stację, na której miałem się przesiąść i dostałem się na zupełnie inną odnogę kolei. Natychmiast wysadzono mnie z pociągu, była trzecia godzina po południu, dzień pogodny. Było to małe miasteczko niemieckie. Wskazano mi hotel; trzeba było czekać. Następny pociąg szedł o godzinie jedenastej wieczór. Byłem nawet zadowolony z tej przygody, bo nigdzie się specjalnie nie spieszyłem. Tułałem się, mój kochany, tułałem się. Hotel był, jak się okazało, marny i ciasny, ale za to tonął w zieleni, a dokoła były klomby pełne kwiatów, jak zwykle u nich.

Dostałem małego pokoik, a ponieważ jechałem przez całą noc, więc po obiedzie, koło czwartej po południu położyłem się spać.

Miałem sen, jakiego bym się nigdy nie spodziewał, bo nigdy nic podobnego mi się nie śniło. W

Galerii Drezdeńskiej jest obraz Claude Lorraina, według katalogu „Acis i Galatea”, a ja nazywałem go zawsze „Złotym wiekiem”, sam nie wiem dlaczego. Już i przedtem rzucił mi się w oczy, a ostatnio, jakieś trzy dni temu, znowu zwróciłem na niego

* Jestem szlachcicem i umrę jako szlachcic!

uwagę. I ten właśnie obraz mi się śnił, ale nie jako obraz, lecz jakby jakaś rzeczywistość. Zresztą nie wiem dobrze, co właściwie mi się śniło: niby zupełnie tak jak na obrazie - zakątek Archipelagu greckiego; przy czym i czas jakby się cofnął wstecz o trzy tysiące lat. Błękitne, ciepłe fale, wyspy i skały, wybrzeże usiane kwiatami, w dali cudowny widok, zachód słońca jak żywy; słowem nie da się opisać. Tu człowieczeństwo Europy odnalazło swoją kolebkę i myśl ta jakby moją duszę także napełniła miłością braterską. Tu był raj ziemski ludzkości: bogowie schodzili z niebios i bratali się z

ludźmi... O, jacy piękni ludzie tu żyli! Ludzie ci wstawali i zasypiali w szczęściu i w niewinności.

Łąki i gaje były pełne ich pieśni i radosnych głosów. Nadmiar nienaruszonej siły życiowej wyładowywał się w miłości i w niewinnym weselu. Słońce kąpało się w ciepłe i w jasności, ciesząc się swymi cudownymi dziećmi... Czarow-ny sen, błogie urojenie ludzkości! Wiek złoty, marzenie najbardziej niewiarygodne ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały, za które jednak ludzie oddawali swoje życie i wszystkie swoje siły, dla którego umierali i ginęli chętnie prorocy, bez którego ludy nie chcą nie tylko żyć, ale nawet umierać! I wszystko to jak gdybym przeżył we śnie: i skały, i morze, i pochylone promienie zachodzącego słońca. Wszystko to jak gdybym naprawdę widział jeszcze, kiedy obudziłem się i otworzyłem oczy - dosłownie zwilżone łzami. Pamiętam, jaki byłem wesoły. Poczucie szczęścia, jakiego jeszcze nie doznałem, przeszło przez moje serce aż do bólu: to było umiłowanie człowieczeństwa. Był już wieczór. Przez zieleń stojących na oknie kwiatów przedzierał się pęk promieni słonecznych i zalewał mnie jasnością. I oto, mój kochany, ów zachód słoneczny pierwszego dnia życia ludów Europy, który widziałem we śnie, zamienił się dla mnie nagle, natychmiast po moim obudzeniu się, na jawie - w zachód słońca w ostatnim dniu europejskiego świata! Wtedy jak najwyraźniej słychać było nad Europą dźwięk dzwonu pogrzebowego. Nie chodzi mi tylko o wojnę i nie o Tuileries. Wiedziałem, że to wszystko musi przeminąć, całe oblicze dawnego świata europejskiego, wcześniej czy później, ale jako Rosjanin-Europejczyk nie mogłem się z tym pogodzić. Przecież komunardzi niedawno spalili Tuileries. O, uspokój się, wiem, że to było „racjonalne” i aż nazbyt rozumiem konieczność idei chwili bieżącej, ale jako chorąży najwyższej myśli kultury rosyjskiej nie mogłem się na to zgodzić - bo najwyższą myślą kultury rosyjskiej jest powszechne braterstwo wszystkich idei. I któż w całym świecie może zrozumieć taką myśl. Byłem samotnym tułaczem. Nie mam na myśli specjalnie siebie, chodzi mi o myśl rosyjską. Tam był spór

458

i logika. Tam Francuz pozostawał zawsze tylko Francuzem a Niemiec zawsze tylko Niemcem i w wyższym stopniu napięcia niż w ciągu ich całych dziejów, a więc nigdy Francuz nie wyrządził

takiej krzywdy swojej Francji, a Niemiec - Niemcom, jak właśnie w tym czasie. W całej Europie nie było wtedy ani jednego Europejczyka. Tylko ja jeden spośród wszystkich tych petrolierów mogłem powiedzieć im prosto w oczy, że ich Tuileries - są błędem. I tylko ja jeden spośród wszystkich konserwatystów - mścicieli mogłem tym mścicielom objawić, że Tuileries, chociaż były zbrodnią, ale leżały w porządku rzeczy. A to dlatego mój chłopcze, że ja, jako Rosjanin, byłem wtedy w Europie jedynym Europejczykiem. Chodzi mi nie o siebie - chodzi mi o całą myśl rosyjską. Tułałem się, mój kochany, tułałem się i zdawałem sobie sprawę z tego, że muszę milczeć i tułać się.

Ale jednak byłem smutny. Nie mogę, chłopcze drogi, nie szanować mojego szlactwa. Ty, zdaje się, uśmiechasz się?

- Nie, nie śmieję się - rzekłem drżącym z przejęcia głosem. - Nawet mi przez myśl nie przeszło.

Pan wstrząsnął moje serce swoim obrazem złotego wieku. Niech pan będzie przekonany, że zaczynam pana rozumieć. Ale najbardziej jestem zadowolony z tego, że pan ma taki szacunek dla samego siebie. Oświadczam to panu, teraz, zaraz. Nie spodziewałem się tego po panu nigdy w życiu!

- Mówiłem ci już, że kocham cię za twój zapa^ moj drogi - uśmiechnął się znowu przy moim naiwnym okrzyku i podniósłszy się z krzesła, zaczął, nie zdając sobie z tego sprawy, chodzić w tę i tamtą stronę po pokoju. Ja również wstałem. Wiersiłow mówił dalej dziwnym językiem, ale do głębi przeniknięty swoją myślą.

- Tak, chłopcze, powtarzam, że nie mogę nie szanować mojego szlachectwa. Wytworzyliśmy w ciągu wieków specjalny, nigdzie nie spotykany typ kultury, jakiego nie ma w całym świecie -

typ cierpienia za wszystkich, za cały świat. To typ rosyjski, ale ponieważ należy do wyższej, kulturalnej warstwy narodu rosyjskiego, dlatego na mnie również spada zaszczyt należenia do niego. W nim tkwi przyszłość Rosji. Jest nas tysiąc ludzi, może trochę mniej, może trochę więcej. Może ktoś powie, że to mało, może ktoś oburzy się, że na stworzenie tysiąca ludzi poświęciło się tyle wieków i tyle milionów istnień ludzkich. Moim zdaniem, to nie jest mało.

459

Słuchałem z natężeniem. Były to jego przekonania, decydujące o całym życiu. Ów „tysiąc ludzi”

tak plastycznie odbijał je! Czuję, że jego wylewność w rozmowie ze mną została wywołana przez jakiś bodziec z zewnątrz. Wszystkie te płomienne mowy wygłaszał przy mnie, bo mnie kochał, ale dlaczego ni stąd, ni zowąd zaczął mówić, i dlaczego mianowicie chciał mówić ze mną, nie wiedziałem jeszcze.

- Emigrowałem - ciągnął dalej - i nie żałowałem tego, co pozostało za mną. Dopóki byłem w Rosji, służyłem jej z całych sił; kiedy wyjechałem, służyłem dalej, ale rozszerzyłem znacznie krąg idei.

Ale, służąc jej w ten sposób, oddawałem jej przysługę znacznie większą, niż gdybym był tylko Rosjaninem, tak jak ówczesny Francuz był zawsze Francuzem, a Niemiec - Niemcem. Europa tego jeszcze nie rozumie: stworzyła szlachetne typy Francuza, Anglika, Niemca, ale o przyszłym swoim człowieku nic jeszcze nie wie. I zdaje się, na razie nie chce wiedzieć. Zresztą to zrozumiałe, jej brak wolności, a my ją mamy. Tylko ja jeden w całej Europie z moją tęsknotą rosyjską byłem w owym czasie człowiekiem wolnym...

Zwróć uwagę, mój chłopcze, na jedno: każdy Francuz będzie umiał służyć nie tylko swojej Francji, ale całemu człowieczeństwu, jedynie pod warunkiem, że zostanie w najwyższym stopniu Francuzem. Tak samo Anglik i Niemiec. Jedynie tylko Rosjanin, już nawet teraz, to znaczy daleko wcześniej zanim nastąpi powszechne zsumowanie wartości, zdobył sobie umiejętność stawania się w najwyższym stopniu Rosjaninem, kiedy staje się w najwyższym stopniu Europejczykiem. Tu właśnie tkwi istota różnicy między nami, a wszystkimi innymi narodowościami; i my pod tym względem jesteśmy jedyni. } a we Francji będę Francuzem, z Niemcem będę Niemcem, ze starożytnym Grekiem - Grekiem; i przez to jestem w całej pełni prawdziwym Rosjaninem, i przez to najlepiej służę Rosji, bo jestem żywym przykładem jej zasadniczej idei, jestem pionierem tej idei. Wtedy emigrowałem, ale czy porzuciłem Rosję? Nie - służyłem jej nadal. Chociażbym nawet nic specjalnego nie robił w Europie, chociażbym pojechał na tułaczkę (zresztą wiedziałem dobrze, że jadę tylko na tułaczkę), wystarczy to, że jechałem ze swoją ideą i ze swoją świadomością.

Wiozłem tam moją tęsknotę rosyjską. O, to nie tylko ta krew, co wówczas płynęła, przerażała mnie, to nawet nie Tuile-ries, ale wszystko to, co musiało nastąpić. Długo jeszcze sądzone im walczyć ze sobą, bo nazbyt są jeszcze Niemcami i nazbyt jeszcze Francuzami, i zadania swego w tej roli jeszcze

nie dokonali. A zanim to się stanie - boli mnie to burzenie. Rosjanin kocha Europę, tak samo jak

460

Rosje, i kocha, i ceni każdy jej kamień. Europa była dla nas ojczyzną, tak samo jak Rosja. O, więcej! Nikt nie może kochać Rosji bardziej ode mnie, a przecież nigdy sobie nie wyrzucałem, że Wenecja, Rzym, Paryż, skarbiec ich sztuki i nauki, dzieje ich - są mi miłsze niż Rosja. O, Rosjanie kochają te stare, cudze kamienie, owe cuda starego świata Bożego, owe gruzy cudów Bożych, a nawet Kochamy je bardziej niż oni sami. Oni teraz myślą o czymś innym i dążą do czegoś innego, i nie Kochają już starych kamieni... U nich konserwatysta walczy jedynie o byt, a petrolier tak samo wyciąga rękę po prawa do kaska chleba. Jedną tylko Rosja żyje nie dla siebie, ale dla idei i -

zgodzisz się, przyjacielu, że jest to fakt charakterystyczny - od stulecia blisko Rosja trzusi się bezsprzeczne nie dla siebie, ale tylko i wyłącznie dla Europy! A oni! O, muszą jeszcze przeżyć okropne męki, zanim osiągną Królestwo Boże. Muszę się przyznać, że słuchałem z lękiem. Sam nawet ton jego mowy przejmował mnie strachem, chociaż nie mogła mnie nie porwać wielkość myśli. Po prostu, chorobliwie bałem się kłamstwa. W pewnej chwili zauważyłem surowym głosem:

- Pan powiedział przed chwilą: „Królestwo Boże”. Słyszałem, że pan tam głosił wiarę w Boga i nosił włosiennicę?

- Moją włosiennicę zostaw w spokoju - uśmiechnął się - to zupełnie inna sprawa. Nic jeszcze wówczas nie głosiłem, ale tęskniłem za ich Bogiem, to prawda. Wtedy zaczęli głosić ateizm...

pewna grupa spośród nich, ale to przecież wszystko jedno. To były dopiero pierwsze zwiastuny, ale pierwszy krok rzeczywisty został uczyniony - i to jest ważne. W tym znowu tkwi ich logika, ale z logiką łączy się przecież zawsze tęsknota. Ja należałem do innej kultury i moje serce nie mogło tego przyjąć. Ta niewdzięczność, z jaką rozstawali się z dotychczasową ideą, to wygwizdywanie i obrzucanie błotem - było dla mnie nie do zniesienia. Chamstwo tego zjawiska odstręczała mnie. Zresztą rzeczywistość zawsze trąci chamstwem nawet przy najpoważniejszym dążeniu do ideału i o tym powinienem być widzieć. Mimo wszystko byłem jednak człowiekiem innego typu i miałem możliwość wolnego wyboru, a oni go nie mieli; a więc płakałem, płakałem nad nimi, płakałem po dawnej idei i, może nawet, płakałem rzeczywistymi łzami, bez pięknych słów.

- Pan wierzył tak mocno w Boga? - spytałem niedowierzająco.

- Mój przyjacielu, ta kwestia jest mi obojętna. Dajmy na to, że nawet nie wierzyłem tak bardzo, ale przecież nie mogłem nie tęsknić za ideą. Chwilami nie mogłem wprost sobie wyobrazić, jak człowiek będzie żył

461

bez Boga i czy to w ogóle jest kiedykolwiek możliwe. Serce moje odpowiadało z góry, że to niemożliwe, ale pewien okres jest chyba możliwy... Nie wątpię, że taki okres nastąpi, ale - tutaj stawał mi zawsze przed oczyma inny obraz.

- Co to za obraz?

Co prawda Wiersiłow już przedtem powiedział mi, że czuje się szczęśliwy. Oczywiście w tym, co mówił, trzeba położyć wiele na karb chwilowego zapału. Tak zresztą zapatruję się na niektóre spośród wypowiedzianych wówczas przez niego kwestii. Oczywiście, nie odważę się ze względu na szacunek, jaki mam dla tego człowieka, przekazać tu tego wszystkiego, o czym mówiliśmy wówczas, ale kilkanaście szkiców z tego obrazu, który udało mi się od niego wydobyć, chcę podzielić się z czytelnikiem. Przede wszystkim, co mi już przedtem nie dawało spokoju, to owa włosiennica.

Chciałem koniecznie wyjaśnić tę sprawę -dlatego też nalegałem na niego. Kilka fantastycznych i niezwykle dziwnych myśli, rzuconych przez niego, pozostało na zawsze w moim sercu.

- Wyobrażam sobie, mój miły - zaczął Wiersiłow z melancholijnym uśmiechem - że bój już jest skończony i walka ucichła. Po przekleństwach, obrzucaniu błotem, gwizdach nastął spokój i ludzie zostali sami, tak jak chcieli: dawna, wielka idea opuściła ich. Niewyczerpane źródło siły, które ich dotychczas karmiło i ogrzewało, zniknęło, tak jak owe majestatyczne, wspaniałe słońce na obrazie Claude Lorraina. Ale był to już jakby ostatni dzień ludzkości. I ludzie zrozumieli nagle, że zostali sami, i zaraz odczuli potężnie swoje sieroctwo. Mój chłopcze kochany - nigdy nie mogłem sobie wyobrazić ludzi jako niewdzięczników i głupców. Osieroceni zaczęliby się natychmiast garnąć do siebie bliżej i z większą miłością. Podaliby sobie dłonie, rozumiejąc, że teraz sami są dla siebie wszystkim, jeden dla drugiego! Wielka idea nieśmiertelności znikłaby i trzeba by było ją czymś zastąpić; i ów olbrzymi nadmiar miłości do Tego, który właśnie był

Nieśmiertelnością, zostałby przeniesiony przez wszystkich na naturę, na świat, na ludzi, na każde źdźbło. Musieliby odruchowo pokochać ziemię i życie, i kochać coraz bardziej, w miarę uświadamiania sobie własnej krótkotrwałości i śmiertelności, i to już inną miłością, już nie taką, jak dawniej. Zaczęliby wgłębiać się i odkrywaliby w naturze takie zjawiska i takie tajemnice, o jakich przedtem im się nawet nie śniło, albowiem spoglądaliby teraz na naturę innym wzrokiem, wzrokiem kochanka na ukochaną. Budziliby się i natychmiast biegliby do siebie, aby się nawzajem uściskać i spieszyliby się do tej miłości, pamiętając, że czas biegnie, że to jest wszystko, co im

462

pozostało. Pracowaliby jedni dla drugich, a każdy gotów byłby oddać wszystkim cały swój majątek i to jedno uszczęśliwiłoby go. Każde dziecko wiedziałoby i czułoby, że każdy człowiek jest dla niego, jak ojciec i matka. „Choćby to już jutro miał być mój ostatni dzień - myślałby każdy, spoglądając na zachodzące słońce - ale to nic; umrę, ale zostaną wszyscy inni, a po nich ich dzieci.”

I ta myśl, że tamci zostaną i że tak samo będą się kochać, i dbać o siebie, zastąpiłaby nadzieję spotkania się za grobem. O, jak spiesznie biegliby do miłości, aby zagłuszyć wielki smutek, tkwiący w sercach. Staliby się dumni i odważni w swoich sprawach, a za to lękliwi i trwożliwi w cudzych: każdy z nich drżałby o życie i szczęście każdego innego. Staliby się czuli dla siebie i nie wstydziłiby się tego, tak jak teraz, ale pieściliby się nawzajem, jak dzieci. Spotykając się, spoglądaliby na siebie wzrokiem głębokiego zrozumienia, a w spojrzeniu tym byłaby miłość i smutek...

- Mój drogi - przerwał nagle Wiersiłow, uśmiechając się - wszystko to jest fantazja i to najbardziej

nieprawdopodobna; ale często wyobrażam sobie, jakby to było, bo nigdy nie mogłem żyć bez tego i nie myśleć o tym. Nie mówię o mojej wierze. Wiara moja nie jest wielka, jestem deistą, deistą filozoficznym, jak wszyscy z naszego tysiąca... zdaje się; ale... ale rzecz szczególna, obraz mój kończył się zawsze widzeniem, jak u Heinego, „Chrystusa nad morzem Bałtyckim”. Nie mogłem obejść się bez niego, nie mogłem nie wyobrazić Go sobie, zstępującego wreszcie pomiędzy osieroconych ludzi. Podchodził do nich, wyciągał do nich ręce i mówił. „I jak mogliście zapomnieć o Nim?” I tu - jak gdyby bielmo spadło nagle ze wszystkich oczu. Jak gdyby rozległ się potężny hymn zachwytu, hymn nowego i ostatniego zmartwychwstania...

Dajmy już temu spokój, mój chłopcze, a ta moja włosiennica to zawracanie głowy - zostaw ją w spokoju. I jeszcze jedno: wiesz, że nie lubię mówić i rzadko mówię, a jeżeli teraz tak się rozgadałem to... na skutek różnych przeżyć i dlatego, że to - z tobą. Nikomu innemu nigdy tego nie powiem. Dodaję to, żebyś się uspokoił.

Byłem głęboko wzruszony. Błagi, której się tak bałem, nie było, a przede wszystkim największe zadowolenie sprawiał mi fakt, że, jak ujrzałem wyraźnie, Wiersiłow istotnie tęsknił i cierpiał, i istotnie, bez żadnej wątpliwości, potrafił kochać - a to było dla mnie najcenniejsze. Oświadczyłem mu to w zapale.

- Ale, wie pan - dodałem nagle. - Myślę, że mimo całej pańskiej tęsknoty, pan musiał być wtedy niesłychanie szczęśliwy. Wiersiłow roześmiał się wesoło:

463

- Jesteś dziś specjalnie skłonny do czynienia spostrzeżeń - powiedział. - No tak, byłem szczęśliwy. Czyż mogłem być nieszczęśliwy z tęsknotą w duszy? Nie ma człowieka bardziej szczęśliwego i wolnego niż tułacz Rosjanin-Europejczyk, należący do naszego tysiąca. Mówię to bez żartów i to jest rzecz niesłychanie ważna. W tym znaczeniu byłem zawsze szczęśliwy, przez całe moje życie. I z tego szczęścia - pokochałem wtedy twoją mamę po raz pierwszy w życiu.

- Jakżeż to po raz pierwszy w życiu?

- Właśnie - tak. Tułając się i tęskniąc pokochałem ją nagle tak, jak nigdy przedtem i natychmiast posłałem po nią.

- O, niech pan mi i to opowie, niech mi pan opowie o mamie!

- Przecież po to właśnie przeprowadziłem ciebie - i wiesz co? - uśmiechnął się wesoło. - Już się zaczynałem obawiać, że jesteś gotów darować mi mamę w zamian za Hercena, czy za jakąś tam konspiracyjkę...

ROZDZIAŁ ÓSMY

i

P

onieważ rozmowa nasza trwała przez cały wieczór, skończyła się już w nocy, dlatego nie będę powtarzał wszystkiego, o czym mówiliśmy, a podam tylko jedną rzecz, dzięki której zrozumiałem nareszcie pewien zagadkowy dotychczas moment w jego życiu. Zaczę od tego, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż Wiersiłow mamę kochał, a jeżeli rzucił ją i rozszedł się z nią, wyjeżdżając, to jedynie dlatego, że ogarnęła go jakaś tęsknota lub też coś w tym rodzaju, co zresztą może zdarzyć się z każdym człowiekiem, czego jednak zazwyczaj niepodobna wytłumaczyć. Za granicą, po upływie dłuższego czasu, nagle znowu zaczął mamę kochać, nieobecna, to znaczy w myślach i wezwał do siebie. Mógłby ktoś powiedzieć, że to był kaprys, ale się z tym nie zgodzę: moim zdaniem, to było to, co tylko może być w życiu ludzkim najważniejszego, pomimo oczywistych wybryków, które w pewnym stopniu są dopuszczalne. Ale daję słowo, że owa jego tęsknota europejska nie ulega najmniejszej wątpliwości i wartością swoją nie tylko wyrównuje, ale niezmiernie przewyższa praktyczną działalność, na przykład budowę kolei żelaznych. Moim zdaniem, jego ukochanie ludzkości jest najgłębszym i najszczerzym uczuciem, bez przybierania jakiegokolwiek pozy, a jego miłość do mamy nie może podlegać dyskusji, chociaż nie jest może pozbawiona pewnego pierwiastka fantastycznego. Za granicą żyjąc w tęsknocie i szczęściu, i dodam, w najsurowszym, mniszym odosobnieniu (tę osobną informację przekazała mi później Tatiana Pawłowna), przypomniał sobie nagle mamę, a mianowicie jej „zapadnięte policzki” i natychmiast posłał po nią.

- Mój drogi - wyrwało mu się w trakcie rozmowy. - Zrozumiałem naraz, że moja służba dla idei bynajmniej nie uwalnia mnie, jako istoty rozumnej i moralnej, od obowiązku realnego uszczęśliwienia w ciągu mojego życia przynajmniej jednej istoty ludzkiej.

465

- Czyżby taka czysto książkowa myśl mogła spowodować to wszystko? - spytałem z

niedowierzaniem.

- To nie jest myśl książkowa. A zresztą - może... Na to się złożyło i jedno, i drugie. Przecież kochałem twoją mamę naprawdę i serdecznie, nie po książkowemu. Gdybym nie kochał tak, to nie posłałbym po nią, a uszczęśliwiłbym jakiegoś pierwszego lepszego Niemca albo pierwszą lepszą Niemkę, jeżeli już coś podobnego strzeliło mi do głowy. Uszczęśliwienie zaś choćby jednej istoty w ciągu całego życia, ale w sposób praktyczny, to znaczy realny, postawiłbym jako zadanie przed każdym człowiekiem na pewnym poziomie. Tak samo jak zobowiązałbym

każdego chłopca - wobec zanikania lasów rosyjskich - zasadzić w ciągu jego życia przynajmniej jedno drzewo. Zresztą jedno drzewo nie wystarczy, można by było kazać co rok sadzić jedno drzewo. Człowiek wykształcony, na wysokim poziomie, który w pogoni za jakąś ideą zapomina o życiu codziennym, staje się śmieszny, kapryśny, nieczuły, a nawet powiem ci wprost - głupi; i to nie tylko w życiu praktycznym, ale nawet w swoich teoriach. Dlatego obowiązek zajęcia się działalnością praktyczną, uszczęśliwienia choćby jednej istoty - w rzeczywistości pozwoli uniknąć tych błędów i odrodzi samego idealistę. Jako teoria wygląda to bardzo śmiesznie, ale gdyby ta myśl weszła w praktykę i stała się zwyczajem, okazałoby się, że nie jest to całkiem głupie. Sam doświadczyłem tego na sobie. Gdy tylko zacząłem rozwijać w sobie myśl o obowiązku, z początku żartem, zacząłem nagle rozumieć, jak potężna jest ukryta we mnie miłość do twojej matki. Przedtem nie zdawałem sobie

zupełnie sprawy z tego, że ją kocham.

Kiedy z nią żyłem, traktowałem ją jako źródło rozkoszy, póki była piękna, a potem zacząłem kaprysić. Dopiero w Niemczech uświadomiłem sobie, że ją kocham. Zaczęło się to od jej zapadniętych policzków. Ile razy je sobie przypominałem, a nieraz wprost widziałem, tyle razy czułem ból w sercu; i to dosłownie czułem ból, rzeczywisty, fizyczny. Są takie bolesne wspomnienia, mój drogi, które sprawiają rzeczywisty ból. Każdy człowiek je ma, tylko że zapomina o nich, ale zdarza się, że nagle ni stąd, ni zowąd powrócą. Człowiek przypomni sobie coś, jakiś szczegół najdrobniejszy, a potem nie może się tego pozbyć. Zacząłem sobie przypominać najróżnorodniejsze szczegóły pożycia z Sofią, a potem -już same narzucały się mojej pamięci; zalewały ją i niemal mnie zamęczyły, zanim Sofia przyjechała. Najbardziej zaś męczyło mnie wspomnienie jej wiecznej pokory wobec mnie, wspomnienie o tym, że uważała się za coś stokrotnie gorszego ode mnie pod każdym względem; wyobraź sobie, 466

nawet pod względem powierzchowności. Wstydziała się i rumieniła, kiedy

przypadkowo spojrzałem na jej ręce i palce, którym daleko było do

arystokratycznego wyglądu. Ale nie tylko palców - wstydziała się całej siebie,

choć tak kochałem ją za jej urodę. Zresztą, zawsze była ze mną wstydliva, aż

do dzikości, a co najgorsze, poprzez ową wstydlivość przebijał jakiś lęk.

Słowem, uważała siebie za coś bez najmniejszej wartości, a nawet za coś

nieprzyzwoitego - wobec mnie. Tak, że niekiedy nie mogłem się oprzeć wrażeniu,

że ciągle jeszcze patrzy na mnie jak na swojego dziedzica i boi się mnie. A przy

tym zaręczam, że umiała lepiej niż ktokolwiek inny zrozumieć każdą moją wadę i w

całym swoim życiu nie widziałem kobiety o tak subtelnym i wrażliwym sercu. O,

jakże była szczęśliwa, kiedy na początku, wtedy kiedy jeszcze była taka ładna,

żądałem od niej, aby się stroiła. Jako kobieta nie chciała wyglądać śmiesznie i

rozumiała, że każda kobieta powinna być ubrana po swojemu, czego tysiące i setki

tysięcy kobiet nie mogą zrozumieć, byleby tylko były ubrane modnie. Bala się

mojego ironicznego spojrzenia! Ale najwięcej smutku budziło we mnie wspomnienie

jej głęboko zdumionych oczu, które tak często odczuwałem na sobie przez cały ten

czas. Wyzierała z nich całkowita świadomość jej losu i tego, co ją czekało tak,

że nieraz nie mogłem znieść jej spojrzenia; chociaż muszę się przyznać, nie wdawałem się z nią wtedy w rozmowy i patrzyłem na wszystko jakoś z góry. I wiesz, nie zawsze była taka dzika i lękliwa, jak teraz. I teraz niekiedy zdarza się, że nagle robi się wesoła i ładna, jakby miała dwadzieścia lat, a wtedy, kiedy była młoda, nieraz lubiła pozartować i porozmawiać sobie, oczywiście w swoim kółku, z dziewczętami, z sąsiadkami; a jeśli niespodziewanie przyłapałem ją na śmiechu, to natychmiast czerwieniła się i z przestraciem spoglądała na mnie! Pewnego razu, tuż przed moim wyjazdem za granicę, to znaczy w wigilię tego dnia, kiedy się z nią miałem rozejść, wszedłem do jej pokoju i zastałem ją samą, za stolikiem i czymś zamyśloną. Prawie nigdy nie zdarzało się, żeby siedziała bez zajęcia. Wówczas już od dawna przestałem okazywać jej serdeczność. Udało mi się podejść do niej na palcach, cichutko; i nagle objąłem ją, i pocałowałem... Zerwała się z miejsca: nigdy nie zapomnę tego zachwyty, tego szczęścia na jej twarzy; a nagle wszystko to znikło, zaczerwieniła się, a oczy jej błysnęły. Czy wiesz, co wyczytałem w tym błyszczącym spojrzeniu? „Ja! mużnę mi dajesz - czy tak?” Zapłakała jak w histerii, pod pozorem, że ją przestraszyłem, ale to pozostawiło we mnie trwałe wrażenie. I wiesz, myślę, że wspomnienia tego rodzaju są niesłychanie bolesne. Tak samo jak u wielkich mistrzów,

467

w ich poematach, zdarzają się nieraz takie okropne sceny, których wspomnienie budzi zawsze ból, do końca życia; na przykład ostatni monolog Otella u Szekspira, Eugeniusz Oniegin u nóg Tatiany, albo spotkanie zbiegłego katorżnika z dzieckiem, z dziewczynką, w zimną noc, przy studni w „Nędznikach” Wiktora

Hugo. Taka scena przesywa serce, a potem pozostaje rana aż do śmierci. Ach, jak wtedy wyczekiwałem przyjazdu Sofii, jak marzyłem o tym, żeby ją uściskać. W dręczącym napięciu marzyłem o stworzeniu nowego programu życia. Chciałem stopniowo, metodycznie wyrwać jej z serca ów nieustający lek, chciałem wytłumaczyć jej, ile jest warta i o ile mnie przewyższa. O, wiedziałem aż za dobrze, że ilekroć porzucałem twoją mamę, natychmiast zaczynałem ją na nowo kochać, a gdy tylko wracałem do niej, stawałem się nagle chłodny - ale to było coś innego.

Byłem zdumiony: „A ona?” - błysnęło mi pytanie. Zapytałem ostrożnie.

- A więc, jak się pan spotkał wtedy z mamą?

- Wtedy? Wcale się z mamą nie spotkałem. Dojechała zaledwie do Królewca i już została tam, a ja byłem nad Renem. Nie pojechałem do niej, ale kazałem jej zatrzymać się i czekać. Widzieliśmy się znacznie później, o, znacznie później, kiedy pojechałem do niej, aby prosić ją o pozwolenie na małżeństwo...

To, co tutaj przekażę, będzie esencją wszystkiego, to znaczy przekażę tylko to, co sam wysnułem z jego mętnego opowiadania. Wiersiłow zaczął mówić bez żadnego ładu. Zaledwie doszedł do tego punktu, mowa jego stała się jeszcze bardziej zawikłana i beładna.

Katierinę Nikołajewną poznał niespodziewanie, kiedy czekał na mamę, w chwili najbardziej gorączkowego wyczekiwania. Wszyscy spotkali się właśnie nad Renem, u wód, leczyli się. Mąż Katieriny Nikołajewny był już prawie konający, a przynajmniej lekarze skazali go na śmierć. Już pierwsze spotkanie z nią wywarło na nim potężne wrażenie. Oczarowała go niemal; było to jakieś fatum. Godne uwagi jest to, że teraz, pisząc i szukając w pamięci nie mogę przypomnieć sobie, żeby Wiersiłow chociaż raz użył w swym opowiadaniu słowa „miłość”, i żeby był „zakochany”; natomiast doskonale pamiętam słowo „fatum”. I rzeczywiście, było to fatum. On nie chciał tego, nie chciał kochać. Nie wiem, czy potrafię to dość dokładnie oddać, ale cała jego dusza buntowała się po prostu przeciwko faktowi, że tego rodzaju rzecz mogła mu się zdarzyć.

468

W chwili spotkania z nią wola jego jak gdyby znikła całkowicie i człowiek ten gotów był związać się na zawsze z kobietą, która pozostawała dla niego całkowicie obca. Wiersiłow nie chciał stać się niewolnikiem namiętności. Powiem otwarcie: Katierina Nikołajewna jest niezmiernie rzadkim typem kobiety światowej, typem, który w tych kołach może nawet wcale się nie trafia, typem kobiety w najwyższym stopniu prostolinijnej i otwartej. Słyszałem, a raczej wiem na pewno, że właśnie tu tkwiła przyczyna triumfów, jakie odnosiła, ilekroć pokazywała się w towarzystwie (bardzo często porzucała go zupełnie). Wiersiłow przy pierwszym spotkaniu z nią nie chciał

wierzyć, że jest właśnie taka, natomiast uznał, że jest obłudnicą i jezuitką. Tu mogę, uprzedzając wypadki, przytoczyć jej własne zdanie o nim: twierdziła, mianowicie, że nie mógł tak o niej nie pomyśleć, „bo idealista, który nabił sobie guza o rzeczywistość, gotów jest, bardziej niż ktokolwiek inny, doszukiwać się wszędzie jakiejś nikczemności”. Nie mogę powiedzieć, czy to jest słuszne w odniesieniu do wszystkich idealistów, ale co do niego, jest najoczywistej słuszne. Chciałbym tu jeszcze dorzucić mój własny sąd, który mi przyszedł do głowy pod wpływem jego opowiadania.

Pomyślałem sobie, mianowicie, że jego miłość do mamy była nie tyle zwykłą miłością do kobiety, ile raczej miłością idealną, humanitarną, że tak powiem - ogólnoludzką miłością; gdyby spotkał

kobietę inną i pokochał ją zwykłą miłością, to natychmiast wola jego zaprotestowałaby przeciwko tej miłości, najprawdopodobniej na skutek przyzwyczajenia do czegoś innego. Zresztą, jest to może sąd fałszywy, Wiersiłowowi oczywiście nigdy tego nie zakomunikowałem. Byłoby to bowiem bardzo niedelikatne, przy tym daję słowo, iż Wiersiłow był wtedy w takim stanie duszy, że trzeba go było oszczędzać. Był nazbyt wzruszony i w niektórych punktach opowiadania wprost przerywał

w środku zdania i przez kilka minut chodził po pokoju milcząc, z wyrazem nienawiści na twarzy.

Katierina Nikołajewna w krótkim czasie poznała jego tajemnicę i może nawet kokietowała go umyślnie. Nawet najlepsze i najmądrzejsze kobiety zniżają się w tego rodzaju wypadkach do

podłości; jest to ich nieprzewyciężony instynkt. Skończyło się to wszystko gwałtownym wybuchem i on, jak się zdaje, chciał ją zabić: w każdym razie nastraszył ją, a nawet by ją zabił,

„ale wszystko to zamieniło się w nienawiść”. Potem nastąpił jakiś dziwny okres. Opętała go szalona myśl, aby biczować się za pomocą dyscypliny, „takiej samej, jaką stosują zakonnicy”.

Wówczas człowiek opanowuje stopniowo i metodycznie swoją wolę; zacząwszy od rzeczy drobnych i najmniej ważnych, dochodzi do całko-469

witego zatriumfowania nad sobą i staje się wolny. Dodał, że zakonnicy traktują tę rzecz nader poważnie i że dzięki tysiącletniemu doświadczeniu doprowadzili ją do wprost naukowej precyzji.

Ale, co najciekawsze, ową myśl o dyscyplinie podjął bynajmniej nie w tym celu, aby przewyciężyć miłość do Katieriny Nikołajewny, ale w tym niezachwianym przekonaniu, że jej nie tylko nie kocha, ale w najwyższym stopniu nienawidzi. Do tego stopnia wierzył w tę nienawiść, że pewnego razu wpadł na pomysł, aby zakochać się w jej pasierbicy, uwiedzionej przez księcia i ożenić się z nią. Uwierzył w tę nową miłość i rozkochał w sobie nieszczęśliwą idiotkę, dając jej tym niezmiernie szczęście w ostatnich miesiącach jej życia. Dlaczego zamiast o niej nie pomyślał

wówczas o mamie, czekającej posłusznie w Królewcu - pozostało dla mnie tajemnicą... Przeciwnie, o mamie zupełnie naraz zapomniał, tak, że nawet nie posyłał jej pieniędzy na życie i tylko Tatiana Pawłowna pomagała jej wtedy. I nagle ni stąd ni zowąd pojechał do mamy, aby prosić ją o pozwolenie na małżeństwo z ową panną, tłumacząc, „że taka żona nie jest kobietą”. O, być może, to jest tylko portret „człowieka książkowego”, jak to później powiedziała o nim Katierina Nikołajewna, ale dlaczego w takim razie owi „papierowi ludzie” (jeżeli, dajmy na to, są

„papierowi”) zdolni są, mimo to, przeżywać rzeczywiste cierpienia i wywoływać nawet tragedie?

Zresztą wtedy, owego wieczoru, rozumowałem nieco inaczej i uderzyła mnie jedna myśl:

- Pan cały swój dorobek, całą swoją duszę zdobył na drodze walki i cierpienia w trakcie całego swojego życia, a ona całą swoją doskonałość otrzymała za darmo. To niesprawiedliwe... Tak być nie powinno... - mówiłem bynajmniej nie dlatego, żeby mu pochlebić, ale najzupełniej szczerze, z zapałem, a nawet wprost z oburzeniem.

- Doskonałość? Jej doskonałość? Ależ ona nie posiada żadnej doskonałości! - odpowiedział na moje słowa, nieledwie zdumiony. - To jest najzwyczajniejsza kobieta pod słońcem, nawet marna kobieta... Ale powinna posiadać wszystkie doskonałości!

- Dlaczego powinna?

- Kobieta, mająca taką władzę nad ludźmi, powinna posiadać wszystkie doskonałości! - krzyknął

Wiersiłow z nienawiścią.

- Najbardziej przykre jest to, że pan teraz jest taki zmęczony - wyrwało mi się nagle mimo woli.

- Teraz? Zmęczony? - powtórzył znowu moje słowa ze zdumieniem, stając przede mną.

470

I nagle długi, pełen zadumy uśmiech rozjaśnił jego twarz. Wiersiłow podniósł palec do góry, jakby nad czymś myśląc. Po czym, całkiem już oprzytomniawszy, porwał ze stołu otwarty list i rzucił mi go.

- Masz, czytaj! Musisz koniecznie dowiedzieć się o wszystkim... I po coś pozwolił mi grzebać tak długo w tych starych śmieciach?... Jestem teraz pełen zła i nienawiści!...

Nie potrafię oddać ogromu zdumienia. Był to list jej do niego, napisany dzisiaj (otrzymał go około piątej po południu). Przeczytałem go, drżąc nieledwie ze wzruszenia. Był niezbyt długi, ale napisany do tego stopnia otwarcie i serdecznie, że czytając go, jak gdybym widział ją samą przed sobą i słyszał jej słowa. Katierina Nikołajewna w sposób jak najszczerzy (dlatego nieledwie wzruszający) przyznawała się, że się go lęka i dlatego błagała go po prostu „aby ją teraz pozostawił

w spokoju”. W końcu listu komunikowała, że teraz zdecydowanie już wychodzi za Bjoringa.

Przedtem nigdy nie pisała listów do niego.

I oto, co mogłem zrozumieć z jego słów. Natychmiast po przeczytaniu listu spostrzegł w sobie zjawisko najzupełniej niespodziewane: po raz pierwszy w ciągu owych fatalnych dwóch lat nie czuł najmniejszego wzruszenia, przypominającego jego niedawne jeszcze „szaleństwo”, które ogarniało go na samą wzmiankę o Bjoringu. „Przeciwnie, błogosławiłem jej z całego serca”

powiedział mi szczerze i serdecznie. Z zachwytem usłyszałem te słowa. A więc wszystko to, co dręczyło go przez dwa lata, namiętność, cierpienie, opętanie - wszystko to znikło od razu, samo przez się, jak sen. Wówczas to, nie mogąc jeszcze uwierzyć własnemu sercu, pobiegł do mamy i oto w chwili, kiedy wchodził do niej, mama odzyskała wolność i starzec, który mu ją przekazał, skonał. I ten właśnie zbieg okoliczności tak nim wstrząsnął. Wkrótce potem zaczął mnie szukać i -

nigdy tego nie zapomnę - zaraz, bezpośrednio potem, pomyślał o mnie.

Nie zapomnę również, jak zakończył się ów wieczór. Ten człowiek przeobraził się od razu i całkowicie. Siedzieliśmy do późna w nocy. O tym, jakie wrażenie ta „wiadomość” wywarła na mnie, opowiem innym razem, a teraz dodam jeszcze tylko parę słów o nim. Widzę teraz, że najsilniejsze uczucie wdzięczności dla niego wywołała we mnie owa jego jakby pokora wobec mnie, jego nieklamana serdeczność w stosunku do mnie, do takiego jeszcze młodzika!

- To było odurzenie, ale błogosławię je! - zawołał Wiersiłow. - Gdyby nie to zaślepienie, nigdy bym nie odnalazł w sercu swym tak całkowicie i na zawsze - jedynej mojej pani, mojej pani, mojej męczennicy,

471

twojej matki... - Te słowa, które wydarły mu się mimo woli, w chwili najwyższego zachwytu, podkreślam szczególnie, ze względu na to, co nastąpiło później. Ale wtedy Wiersiłow całkowicie

zwyciężył i podbił moje serce.

Pamiętam, że pod koniec wpadliśmy w doskonały humor. Wiersiłow kazał przynieść szampana i piliśmy za zdrowie mamy i za „przyszłość”. O, był tak pełen życia i tyle sobie obiecywał po życiu.

Ale ta nasza nagła wesołość nie była skutkiem wina: wypiliśmy jedynie po dwie szklaneczki. Nie pamiętam dlaczego, ale pod koniec nie mogliśmy się wprost powstrzymać od gwałtownych wybuchów śmiechu. Rozmowa zeszła na zupełnie inne tory. Wiersiłow zaczął opowiadać różne anegdoty, ja wtórowałem mu. Ani nasz śmiech, ani anegdoty nie zawierały nawet odrobiny złości lub drwin; było nam po prostu wesoło. Wiersiłow ciągle jeszcze zatrzymywał mnie. Powtarzał:

„siedź, siedź jeszcze trochę”, a ja ulegałem. Wreszcie wyszedł, aby mnie odprowadzić. Był śliczny wieczór, chwycił lekki przymrozek.

- Proszę pana, czy pan już odpowiedział jej? - zapytałem nagle ni stąd ni zowąd, podając mu rękę na pożegnanie.

- Nie, jeszcze nie, zresztą to nie gra roli. Bądź u mnie jutro, przyjdź wcześniej... I jeszcze: zerwij zupełnie z Lambertem, a „dokument” podrzyj i to jak najszybciej. Zegnaj.

Rzuciwszy te słowa, Wiersiłow natychmiast odszedł, ja zaś stałem na miejscu jak wryty i byłem do tego stopnia zmieszany, że nie mogłem zdecydować się na zatrzymanie go. Szczególnie uderzyło mnie to, że użył słowa „dokument”. Od kogóż bowiem mógł się o nim dowiedzieć i skąd znał ten zwrot - jak nie od Lamberta? Wróciłem do domu niesłychanie strapiony. „Czyżby naprawdę mogło się stać - przeleciało mi nagle przez głowę - że takie dwuletnie opętanie znikło jak sen, jak chwilowe odurzenie, jak mara?”

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

i

„N T azajutrz rano obudziłem się rześki i wesoły. Czyniłem sobie nawet l N szczere wyrzuty, że -

jak sobie przypominałem - wczoraj słuchałem jego spowiedzi z pewnego rodzaju lekceważeniem i jak gdyby z wyższością. Jeżeli nawet była nieco bezładna, jeżeli niektóre jego wyznania były jak gdyby poplątane, a nawet trochę mętne, to przecież wziąć trzeba pod uwagę, że zapraszając mnie do siebie Wiersiłow nie przygotowywał się do wygłoszenia pięknej mowy. Zwracając się do mnie w takiej chwili, jako do swojego jedyne go przyjaciela, wyrządził mi tym wielki zaszczyt, a za to powinienem mu być wdzięczny do końca życia. Przeciwnie, spowiedź jego była „wzruszająca”, jakkolwiek mógłby ktoś śmiać się ze mnie za używanie takiego zwrotu, a jeżeli były w niej niekiedy przebłyski cynizmu, a nawet do pewnego stopnia komizmu, to przecież stać mnie było na to, abym zrozumiał i zaaprobował to, co wypływa z rzeczywistości - nie plugawiąc przy tym ideału. Co najważniejsze, udało mi się nareszcie zrozumieć tego człowieka i nawet było mi poniekąd żal, a nawet jak gdyby przykro, że to wszystko okazało się takie proste: człowieka tego stawiałem dotychczas w głębi serca na piedestale i wynosiłem pod niebiosa, a losy jego osłaniałem szatą tajemnicy, tak, iż pragnąłem, aby się to wszystko okazało bardziej skomplikowane.

Zresztą, sprawa jego spotkania z nią i dwuletnich cierpień zawierała szereg komplikacji: nie zgadzał się na fatum życiowe i pragnął być człowiekiem wolnym, a nie niewolnikiem. A jednak znalazłszy się we władzy przeznaczenia obraził boleśnie, wbrew własnej woli, mamę, która tymczasem przebywała sama w Królewcu... Przy tym na człowieka tego patrzyłem zawsze jak na apostoła, w sercu jego rozkwitał wiek złoty i przepowiadał przyszłość ateizmu, a spotkanie z nią -

zabiło to wszystko, zepsuło! O, nie zdradziłem bynajmniej jej, ale stanowczo opowie-473

działem się po jego stronie. „Mama, na przykład - rozumowałem - nie mogłaby mu przeszkodzić w jego powołaniu, nawet będąc jego żoną.” To było jasne, to było coś zupełnie innego, niż spotkanie z tamtą. Co prawda, mama tak samo nie dałaby mu w życiu całkowitego spokoju, ale tak byłoby nawet lepiej: ludzi tego rodzaju trzeba traktować inaczej i niechaj ich życie zawsze będzie takie. I w tym nie ma nic potwornego, przeciwnie, potworne byłoby, gdyby tacy ludzie zaczęli żyć w spokoju, albo w ogóle, gdyby upodobnili się do zwykłych, przeciętnych śmiertelników. Jego uwielbienie dla szlachectwa i jego słowa „je mourmi gentil-homme”^{*} bynajmniej nie zbijały mnie z tropu. Stworzyłem sobie własną koncepcję tego gentilhomme’a^{**}: to był typ człowieka, który wyrzeka się wszystkiego i zostaje apostołem idei powszechnego obywatelstwa i najważniejszej rosyjskiej myśli „wszechprzymierza idei”. A choćby nawet wszystko to okazało się w rezultacie głupstwem, to znaczy „wszechprzymierze idei” (co jest oczywiście absurdem), to jednak pozostanie on człowiekiem wyższym przez to, że w ciągu swego całego życia czcił ideę, a nie złotego cielca. Mój Boże! A ja sam, ja sam, stworzywszy sobie swoją „ideę” - czy złożyłem ofiarę złotemu cielcowi, czy pragnąłem wówczas pieniędzy? Daję najświętsze słowo, że jedyną rzeczą, jakiej pragnąłem - była idea! Słowo daję, że nie pozwoliłbym sobie na jedno krzesło, na jedną kanapę, obitą aksamitem i że posiadając sto milionów, poprzestałbym na tym samym talerzu zupy i kawałku mięsa, które mam teraz.

Ubierałem się, tak mi było do niego spieszo. Dodam, że co do jego wzmianki o „dokumencie”, byłem również znacznie spokojniejszy niż wczoraj. Po pierwsze, spodziewałem się, że wszystko sobie nawzajem wyjaśnimy, a po wtóre, cóż z tego, że Lambert dotarł również do niego i przeprowadził z nim jakieś rozmowy. Ale, co było dla mnie najbardziej radosne, to cudowna świadomość, że on już jej nie kocha. Całą siłą mojej duszy chwyciłem się tego przekonania i czułem, że z serca ktoś zwałił mi olbrzymi kamień. Pamiętam nawet, że wtedy błysnęło mi w pewnej chwili następujące przypuszczenie: przecież właśnie cała potworność i głupota jego wybuchu na wiadomość o Bjoringu oraz wysłanie obraźliwego listu powinny być zapowiedzią radykalnej zmiany w jego uczuciach i powrotu rozsądku. „To musiało odbyć się jak w ataku cho-

* „umrę jako szlachcic” ** szlachcica 474

roby - myślałem - i musiał właśnie ocknąć się na przeciwległym biegunie!” I ta myśl czyniła mnie niewypowiedzianie szczęśliwym.

„A teraz, niech ona robi ze sobą, co jej się żywnie podoba, niechaj sobie wychodzi za swojego Bjoringa, ile jej się tylko zechce, byle tylko on, mój ojciec, mój przyjaciel, już jej nie kochał” -

wołałem w zapale. Zresztą, tkwiła w tym pewna tajemnica moich własnych uczuć, których tutaj w notatkach swoich nie chcę wywlekać.

Na tym poprzestaję. A to, co teraz nastąpi, całą tę okropność i całą plątaninę zdarzeń podaję już bez żadnych komentarzy.

H

Około dziesiątej, kiedy właśnie już miałem wyjść - oczywiście do niego - zjawiła się Nastasja Jegorowna. Z radością zapytałem ją: „Czy czasem nie od niego? Z przykrością dowiedziałem się, że nie, że przysłała ją Anna Andriejewna i że Nastasja Jegorowna „wyszła z mieszkania skoro świt”.

- Ale skąd? Z jakiego mieszkania?

- A tam, gdzie wczoraj. Przecież to mieszkanie, gdzie wczoraj, co to przy dzieciątku, to teraz jest na moje nazwisko i Tatiana Pawłowna płaci...

- Ech, co to mnie obchodzi! - przerwałem zniecierpliwiony. - A on, czy jest przynajmniej w domu?

Zastanę go?

I ku swemu zdumieniu usłyszałem, że on wyszedł już z domu, czyli że ona „skoro świt”, a on jeszcze wcześniej.

- Dobrze, to teraz może już wrócił?

- Nie, na pewno nie wrócił, a może już zupełnie nie wróci - powiedziała przyglądając mi się tym samym bystrym, złodziejskim wzrokiem i tak samo nie spuszczając go ze mnie, jak podczas owej opisaney przeze mnie wizyty, kiedy to leżałem chory.

Wpadłem w złość, a co mnie najbardziej poruszyło, to to, że znowu zaczęły się jakieś tajemnice i głupstwa, że ci ludzie, widać nie mogli żyć bez tajemnic i zagadek.

- Czemu pani mówi: nie wróci na pewno? Co pani chce przez to powiedzieć? Poszedł do mamy - i to wszystko!

- N-nie wiem, proszę pana.

- A pani czemu się do mnie pofatygowała?

Powiedziała mi, że przychodzi od Anny Andriejewny, która prosi mnie, żebym koniecznie natychmiast przyszedł, bo inaczej „będzie za późno”. Ta nowa zagadka kompletnie wytrąciła mnie z równowagi.

475

- Dlaczego za późno? Nie chcę iść i nie pójdę! Dość już mam tego wodzenia mnie za nos! Gwiżdżę sobie na Lamberta, niech jej pani to powtórzy i powie, że jeżeli ona jeszcze mi tego swojego Lamberta tu przyśle, to ja go kolanem za drzwi wyrzucę. Proszę jej tak dokładnie powiedzieć!

Nastasja Jegorowna była naprawdę przerażona.

- Ach, nie, proszę pana - podeszła do mnie, składając ręce, jakby chciała błagać. - Niech pan się

Umyslnie nie pomijam najdrobniejszego nawet szczegółu z tego całego chaosu głupstw i głupstewek, bo każdy szczegółik wszedł później w skład całej ostatecznej wiązanki, w której musiał znaleźć miejsce dla siebie, o czym czytelnik będzie się mógł zresztą przekonać. A że wtedy rzeczywiście czułem mętlik w głowie - to była prawda. Jeżeli byłem tak zaniepokojony i zdenerwowany, to właśnie dlatego, że w ich słowach usłyszałem znowu tak wstrętny dla mnie ton intryg i zagadek, który przypominał mi rzeczy dawne. Ale wracam do opowiadania.

Wiersiłowa nie zastałem i jak okazało się, rzeczywiście wyszedł o świcie. „Oczywiście poszedł do mamy” - upierałem się przy swoim. Niańki, głupiej baby, nie chciałem w ogóle pytać, a prócz niej nikogo w mieszkaniu nie było. Pobiegłem do mamy i, muszę się przyznać, byłem taki niespokojny, że w połowie drogi wzięłem dorożkę. U mamy Wiersiłowa nie było od wczoraj. Przy mamie zastałem jedynie Tatianę Pawłownę i Lizę. Liza natychmiast po moim przybyciu zaczęła się szykować do wyjścia.

Wszystkie trzy siedziały na górze w mojej „trumnie”. W salonie zaś na dole leżał na stole Makar Iwanowicz, a nad nim jakiś staruszek czytał monotonie psalterz. Nie chcę teraz opisywać nic, co nie dotyczyło bezpośrednio sprawy, zauważę tylko, że trumna, którą już zdążyli zamówić, była co prawda czarna, ale obita aksamitem, a całun również był z bardzo drogiej materii, słowem był to zbytek nie licujący, ani z osobą, ani z poglądami Makara Iwanowicza. Stało się to na skutek solidarnego i gorącego życzenia mamy i Tatiany Pawłowny.

Oczywiście nie spodziewałem się, że zastanę je w dobrym humorze, ale ten specyficzny, przygnębiający smutek, połączony z troską i niepokojem, który wyczytałem w ich oczach, uderzył mnie od razu i pomyślałem sobie, że „to na pewno nie tylko z powodu nieboszczyka”. Wszystko to, jak już mówiłem, pamiętam doskonale.

Mimo wszystko uściskałem mamę serdecznie i natychmiast spytałem ją o niego. W spojrzeniu mamy błysnęła od razu niespokojna ciekawość. Rzuciłem niedbale, że wczoraj rozmawiałem z nim przez cały wieczór do późnej nocy, ale że dziś nie zastałem go w domu, i że wyszedł o świcie, chociaż wczoraj sam prosił mnie, abym był u niego jak można najwcześniej. Mama nic nie odpowiedziała, a Tatiana Pawłow-na, wybrawszy odpowiednią chwilę, pogroziła mi palcem.

477

- Do widzenia, braciszku - nagle rzuciła Liza, wychodząc szybko z pokoju.

Oczywiście pobiegłem za nią, ale sama zatrzymała się przed drzwiami wyjściowymi.

- Spodziewałem się, że pójdziesz za mną - szepnęła szybko.

- Liza, co się tu dzieje?

- Sama też nic nie wiem, to jakaś grubsza sprawa. Na pewno dalszy ciąg „wiecznej historii”. Nie był u nas, a one mają jakieś informacje o nim. Tobie nie powiedzą, nic z tego nie będzie, a jeżeli rozumiesz, to lepiej nie pytaj. Ja też o nic nie pytałam. Zegnaj...

Otworzyła drzwi.

- Liza, a ty sama nie masz czasem jakiegoś zmartwienia? - skoczyłem za nią do sieni.

Jej strasznie przygnębiony, rozpaczliwy wygląd przeszył mi serce. Spój - rzała już nie tylko ze złością, ale wprost z okrucieństwem, uśmiechnęła się gorzko i machnęła ręką.

- Dałby Bóg, żeby już umarł! - rzuciła mi ze schodów i poszła.

To odnosiło się do księcia Siergieja Piotrowicza, który w tym czasie leżał w gorączce, nieprzytomny.

„Wieczna historia”! Jakaż to wieczna historia? - pomyślałem z irytacją i nagle ogarnęła mnie chęć, żeby opowiedzieć im choćby część wrażeń, wyniesionych z jego wczorajszej spowiedzi, a również i samą spowiedź. „Już i tak źle myślą o nim, niech więc dowiedzą się wszystkiego” - przeleciało mi przez głowę.

Pamiętam, że udało mi się jakoś bardzo zręcznie rozpocząć opowiadanie. Na twarzach ich ukazało się od razu ogromne zaciekawienie. Tym razem nawet Tatiana Pawłowna wpiła się po prostu we mnie wzrokiem, a mama jakoś bardziej panowała nad sobą. Była bardzo poważna, ale lekki, prześliczny uśmiech, który błysnął mimo wszystko na jej twarzy, nie znikł już aż do samego końca mojej opowieści. Oczywiście mówiłem pięknie, chociaż wiedziałem, że one to rozumieją z wielkim trudem. Ku memu wielkiemu zdumieniu, Tatiana Pawłowna nie czepiała się do słówek, nie wytykała mi niedokładności, nie robiła aluzji, jak to zwykła była czynić, ile razy chciałem coś powiedzieć. Od czasu do czasu zaciskała jedynie wargi i mrużyła oczy, jak gdyby usiłowała z trudem przeniknąć znaczenie moich słów. Chwilami zdawało mi się wprost, że te kobiety rozumieją wszystko, ale to było prawie niemożliwe. Mówiłem, na przykład, o jego przekonaniach, a przede wszystkim o jego zapale, o tym, z jakim zachwytem mówił wczoraj o mamie, o jego miłości do mamy, o tym, jak całował jej portret...

478

;

Usłyszawszy to, obie spojrzały na siebie, mama zaczerwieniła się, ale żadna z nich nie rzekła ani słowa. Następnie... następnie nie mogłem w obecności mamy zacząć mówić o najważniejszym momencie, to znaczy, o spotkaniu z nią i o tym, co dalej nastąpiło, a przede wszystkim o jej wczorajszym liście do Wiersiłowa i o jego „odrodzeniu” duchowym po przeczytaniu tego listu, a właśnie to było rzeczą najważniejszą, bo bez tego wszystko, co przeżywał on wczoraj, wszystkie jego przeżycia, które opowiadałem, aby tym mamę ucieszyć, pozostały dla nich niezrozumiałe, choć nie z mojej winy, bo opowiedziałem jak najdokładniej wszystko, co tylko mogłem opowiedzieć. Czuję, że jest coraz gorzej, a kiedy doszedłem do końca opowiadania, ogarnęło mnie wielkie zdziwienie: żadna z nich nie rzekła ani słowa, a mnie - jakby kamień spoczął na sercu.

- Zapewne już wrócił, a może nawet siedzi u mnie i czeka - powiedziałem, aby znaleźć pretekst do wyjścia.

- Tak, tak! Zajrzyj] do siebie! - pewnym głosem podtrzymała moje przypuszczenie Tatiana Pawłowna.

- Czy byłeś na dole? - zapytała mnie przy pożegnaniu mama półgłosem.

- Byłem, ukląknę przed nim i modliłem się za jego duszę. Jakże on pięknie, uroczyście wygląda, mammo! Jak to dobrze, że mama nie żałowała pieniędzy na trumnę. W pierwszej chwili wydawało mi się to jakieś dziwne, ale natychmiast pomyślałem sobie, że zrobiłbym tak samo.

- A w cerkwi będziesz jutro? - spytała znowu, a wargi jej zadrżały.

- Co ty mówisz, mammo? - zdziwiłem się. - Jeszcze dzisiaj przyjdę na panichidę i potem będę jeszcze raz a... przy tym, przecież jutro urodziny mamy, moja najukochańsza! Makar Iwanowicz nie doczekał, a tylko trzech dni zabrakło!

Wyszedłem boleśnie zdumiony. Jakże można było nawet pytać o coś podobnego: czy przyjdę do cerkwi na nabożeństwo żałobne? I wobec tego, jeżeli tak o mnie - co w takim razie myślą o nim?

Wiedziałem, że Tatiana Pawłowna popędzi za mną i naumyślnie zatrzymałem się przy drzwiach, ale dogoniwszy mnie, wypchnęła mnie energicznie na schody, wyszła za mną i przymknęła za sobą drzwi.

- Tatiano Pawłowno! A więc pani nie spodziewa się Andrieja Piotrowicza, ani dzisiaj, ani nawet jutro? Co to ma znaczyć? Nie rozumiem...

- Cicho! Mniejsza o to, że nie rozumiesz. Mów prędko, co tam jeszcze było, coście tam wczoraj wygadywali.

Nie sądząc, żeby należało to ukrywać, wpadłszy nieledwie w złość na Wiersiłowa, opowiedziałem wszystko: o tym, jaki skutek wywarł ten

479

list, to znaczy, o jego zmartwychwstaniu do nowego życia. Ku memu wielkiemu zdziwieniu Tatiana Pawłowna przyjęła wiadomość o liście zupełnie obojętnie i domyśliłem się, że już przedtem wiedziała o nim.

- Nie kłamiesz?

- Nie kłamię.

- Patrzcie go! - uśmiechnęła się jadowicie, jak gdyby zastanawiając się nad czymś -

Zmartwychwstał! Można się było po nim spodziewać! A to prawda, że całował portret?

- Prawda, Tatiano Pawłowno!

- Czule całował, czy udawał?

- Udawał? Czy on kiedy udaje? Jak pani nie wstyd, Tatiana Pawłowno? Jakże pospolita jest dusza kobiety...

Słowa te rzuciłem z wielkim zapałem, ale jak gdyby ich wcale nie usłyszała. Znowu zaczęła myśleć nad czymś, chociaż na schodach było bardzo zimno. Sam byłem już w palcie, a ona miała na sobie tylko suknię.

- Dałabym ci pewne zlecenie, tylko że jesteś taki głupi - zaczęła pogardliwie i jakby zniecierpliwiona. - Słuchaj, zajrzyj do Anny Andriejewny i zobacz, co się tam dzieje... Albo nie, nie chodź tam. Głęb zawsze będzie głębem! No, marsz, wynoś się, czego stoisz tu jak słup!

- Otóż ja nie mam najmniejszego zamiaru iść do Anny Andriejewny. A Anna Andriejewna sama nawet przysłała po mnie.

- Co, Anna Andriejewna? - Tatiana Pawłowna chciała już wracać, nawet pociągnęła już klamkę, ale szybko zwróciła się do mnie i zatrzasnęła drzwi.

- Przysłała? Nastasję Jegorownę?

- Nie mam najmniejszego zamiaru iść do Anny Andriejewny! - powtórzyłem ze złośliwym zadowoleniem. - I nie pójdę dlatego, że pani nazwała mnie przed chwilą głębem, podczas, gdy ja nigdy jeszcze w życiu nie byłem tak bystry i spostrzegawczy, jak dzisiaj. Widzę jak na dłoni, wszystkie pani zamiary i niech się dzieje, co chce - ja do Anny Andriejewny nie pójdę!

- Wiedziałem, że tak będzie! - zawołała Tatiana Pawłowna, ale znowu nie odpowiadając na moje słowa, tylko ciągnęła dalej swoje wnioski. - Zwiążą jej ręce i nogi, i założą stryczek na szyję!

- Annie Andriejewnie?

- Osioł jesteś!

-Więc o kogo pani chodzi? Czy może o Katierinę Nikołajewnę? Jaki stryczek? - byłem cały w strachu. Jakaś niezupelnie wyraźna, ale okropna

480

myśl zmroziła nagle moją duszę. Tatiana Pawłowna spojrzała na mnie bystro.

- A ty, w co znowu się mieszasz? - spytała mnie. - Też jesteś w to wplątany? Słyszałam coś i o tobie - no, uważaj!

- Tatiano Pawłowno! Niech pani słucha: wyjaśnię pani pewną okropną tajemnicę, tylko nie teraz, teraz nie mam czasu, jutro, w cztery oczy, ale za to teraz, niech mi pani powie całą prawdę i co to za stryczek... Widzi pani, jaki jestem przejęty...

- A co mnie do tego, że jesteś przejęty! - zawołała Tatiana Pawłowna. - Co to jeszcze za tajemnicę chcesz mi jutro odkryć? A może naprawdę coś wiesz? - spytała, wlepiając we mnie badawcze

spojrzenie. - Przecież sam jej przysięgałeś, że Kraft spalił ten list.

- Tatiano Pawłowno, powtarzam pani, niech mnie pani nie dręczy -ciągnąłem swoje, nie odpowiadając sam z kolei na jej pytania, bo już nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. - Tatiano Pawłowno, niech pani pomyśli: przez to, że pani mi nie chce powiedzieć, może stać się coś jeszcze gorszego... Przecież on wczoraj był całkowicie, najzupełniej odrodzony!

- E, wynoś się, błźnie jeden. A sam też zakochany jak wróbel, ojciec i syn razem kochają się w tej samej! Bezwstydni!

Znikła trzasnąwszy mocno drzwiami. Wybiegłem, drżąc cały z obrażonej dumy, doprowadzony do szalu beczelnym, bezwstydnym cynizmem, na jaki zdobyć się potrafi tylko kobieta. Ale nie chcę -

ponieważ już to przyrzekałem - opisywać swoich mętnych przeżyć i przytaczać będę jedynie fakty, które muszą wszystko wyjaśnić. Oczywiście po drodze zajrzałem znowu do niego i znowu dowiedziałem się od niańki, że go wcale nie było.

- I nie przyjdzie wcale?

- A Bóg raczy wiedzieć.

Fakty! fakty!... Ale czy czytelnik orientuje się w tym chaosie? Pamiętam, jak te właśnie fakty przygnębiały mnie samego i nie pozwalały mi znaleźć wyjaśnienia, tak że pod koniec dnia w głowie mojej huczało. Dlatego muszę znowu uprzedzić bieg wypadków.

Wszystkie moje udręki koncentrowały się w jednym pytaniu: jeżeli Wiersilow wczoraj odrodził się i przestał ją kochać - to w takim razie, gdzie powinien być dzisiaj? Odpowiedź na to brzmiała: przede wszystkim-481

kim u mnie, którego wczoraj tak ścisnął, a zaraz potem u mamy, której portret wczoraj całował. A tymczasem, zamiast tego, co wprost wypływałoby z natury rzeczy, już od świtu nie ma go w domu, znikł gdzieś, a Nastasja Jegorowna bredzi, nie wiadomo na jakiej podstawie, że „chyba już nie wróci”. Ale to jeszcze nie wszystko: Liza mówi o jakimś rozwiązaniu „wiecznej historii” i twierdzi, jakoby mama posiadała o nim jakieś informacje i to już późniejsze. Poza tym one wiedzą już doskonale o liście Katieriny Nikołajewny, sam to zauważyłem i mimo to jednak nie wierzą w jego

„zmartwychwstanie do nowego życia”, chociaż słuchały uważnie mojego opowiadania. Mama jest całkowicie przybita, a Tatiana Pawłowna rzuca jadowite dowcipy na temat owego

„zmartwychwstania”. Ale, jeżeli to wszystko jest prawdą, to, jak widać, w duszy jego zaszedł w ciągu nocy nowy przewrót, nowy kryzys i to po wszystkich tych wczorajszych zachwytach, rozczulaniu się, patosie! A więc całe to „zmartwychwstanie” pękło jak rozdęty pęcherz i zapewne on miota się gdzieś teraz, w stanie takiego samego szalu, jak wtedy, po otrzymaniu wiadomości o Bjoringu! Zachodzi pytanie, co wobec tego pocznie mama, ja i my wszyscy i... co wreszcie, stanie się z nią. A co to za „stryczek”, z którym wyrwała się Tatiana Pawłowna, wysyłając mnie do Anny Andriejewny. A więc to tam właśnie znajduje się ów „stryczek”, w ręku Anny Andriejewny!

Dlaczego właśnie w jej rękę? Oczywiście, pobiegnę do Anny Andriejewny i, jeżeli powiedziałem, że nie pójdę, to jedynie ze złości, tak sobie, i natychmiast idę do niej. Ale co znowu mówiła Tatiana Pawłowna w sprawie „dokumentu”? I czyż to nie on sam powiedział mi wczoraj: „Spal dokument”?

Dokoła tego właśnie obracały się moje myśli, to właśnie i mnie również dusiło stryczkiem, ale potrzebowałem przede wszystkim/ego. Z nim załatwiłbym od razu wszystko - czułem to dobrze - i zrozumielibyśmy się od pierwszego słowa. Schwyciłbym go za rękę, uścisnąłbym je, znalazłbym płomienne słowa... - marzyłem bezładnie i uparcie. O, ja potrafiłbym pokonać to szaleństwo!... Ale, gdzie on jest? Gdzie jest? I oto w takiej właśnie chwili, kiedy nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, musiał zjawić się Lambert! Byłem zaledwie o kilka kroków od mojego domu, kiedy zobaczyłem Lamberta. Widząc mnie, krzyknął radośnie i złapał mnie za rękę.

- Już trzeci raz przychodzę do ciebie... Enfin! Chodźmy na śniadanie.

- Czekaj! Byłeś u mnie? Nie było tam Andrieja Piotrowicza?

- Nikogo nie było. Daj im spokój wszystkim! Rozzłościłeś się na mnie wczoraj, idioto i upiłeś się, a ja mam ci coś ważnego do powiedze-482

nią: otrzymałem dzisiaj cudowne wiadomości w tej sprawie, o której mówiliśmy wczoraj...

- Lambert! - przerwałem mu, łapiąc z trudem powietrze, spiesząc się i mimo woli wpadając w patos. - Jeśli zatrzymałem się tu i rozmawiam z tobą, to jedynie dlatego, aby z tobą raz na zawsze skończyć. Już wczoraj ci mówiłem, a ty jeszcze tego nie rozumiałeś. Lambert, jesteś dzieciak i to głupi, jak Francuz. Ciągłe ci się zdaje, że jesteś u Tuszara i że jestem tak samo głupi, jak u Tuszara... Ale nie jestem już taki głupi, jak u Tuszara... Wczoraj byłem pijany, co prawda nie wskutek wina, ale i tak już byłem podniecony, a jeżeli potakiwałem twojej gadaninie, to jedynie dlatego, że chciałem podstępnie wyciągnąć z ciebie twoje zamiary.

Oszukiwałem ciebie, a tyś się ucieszył i uwierzyłeś mi, i plotłeś. Zrozum, że moje małżeństwo z nią, to taki idiotyzm, że nawet sztabak ze wstępnej klasy nie da się na to wziąć. Czy może pomieścić się komu w głowie, żebym ja się dał na to nabrać? A tyś się złapał? Dałeś się złapać dlatego, że nie bywasz w lepszym towarzystwie i nie masz pojęcia, jak to oni, ludzie z lepszego towarzystwa, postępują. U nich, w lepszym towarzystwie te sprawy nie przebiegają tak prosto, zresztą, to niemożliwe, żeby było tak prosto: raz, dwa i wyszła za męż... Teraz powiem ci jasno, o co chodzi; chodzi ci o to, żeby mnie gdzieś zaciągnąć, spoić, żebyś wydał ci dokument i uknuł z tobą jakieś łajdactwo przeciwko Katierinie Nikołajewnie! Ale z tego nic nie będzie! Nie przyjdę do ciebie nigdy i wiedz o tym, że już jutro, a już najpóźniej pojutrze, ten dokument znajdzie się w jej własnych rękach i osobiście go jej doręczę, i jeżeli chcesz wiedzieć, gdzie, to wiedz, że przez Tatianę Pawłownę, jej znajomą, w domu Tatiany Pawłowny, w obecności Tatiany Pawłowny oddam jej i niczego od niej za dokument nie będę żądał. A teraz, precz ode mnie, marsz, raz na zawsze... bo inaczej... bo inaczej, Lambert, zacznę z tobą inaczej rozmawiać...

Kiedy kończyłem, trząsnęłam się cały. Najgorsza rzecz i najpaskudniej-sze przyzwyczajenie,

niesłuchanie szkodliwe dla każdego i w każdej sprawie - jeśli człowiek zaczyna pozować... Diabeł

mi kazał wpaść w jego obecności w takie podniecenie, że pod koniec z rozkoszą cedziłem każde słowo, i podnosząc głos coraz bardziej i bardziej, wpadłem nagle w taki zapał, że wpakowałem najzupełniej zbyteczny szczegół, o tym, iż dokument oddam przez Tatianę Pawłownę, i w jej mieszkaniu! Ale nie mogłem sobie w owej chwili odmówić tej przyjemności i nie pognębić go!

Kiedy rąbnąłem mu prosto z mostu o dokumencie i kiedy zobaczyłem jego idiotyczny przestach, wtedy zachciało mi się nagle pognębić go jeszcze bardziej dokładnością szczegółów sprawy. I wła-
483

śnie ta babska chełpliwa gadatliwość stała się w następstwie przyczyną okropnych nieszczęść, ponieważ szczegół, dotyczący Tatiany Pawłow-ny i jej mieszkania momentalnie utkwiał w jego mózgu - mózgu łajdaka, sprytnego i praktycznego w tego rodzaju drobnych sprawach. W sprawie trudniejszej i bardziej zawikłanej Lambert głupieje, ale ma instynktowne wyczucie w drobiazgach, w szczegółach. Gdybym nie wplątał Tatiany Pawłowny, nie doszłoby do szeregu nieszczęść.

Jednakże w pierwszej chwili po wysłuchaniu mojej przemowy Lambert był całkowicie zbity z tropu.

- Słuchaj - wybełkotał. - Alfonsyna... Alfonsyna... Alfonsyna zaśpiewa... Alfonsyna była u niej i słuchaj, mam list, coś w rodzaju listu o tobie, ospowaty mi dostarczył, pamiętasz ospowatego; zobaczysz, zobaczysz, chodźmy!

- Kłamiesz, pokaż ten list!

- Mam go w domu, u Alfonsyny, chodźmy!

Oczywiście Lambert kłamał i bredził drżąc, żebym go nie opuścił, ale ja zostawiłem go nagle samego na środku ulicy, a kiedy zrobił ruch, jak gdyby chciał iść za mną, zatrzymałem się i pogroziłem mu pięścią. Ale on już zaczął się zastanawiać i pozwolił mi odejść... W głowie jego zaczynał już przebłyskiwać nowy plan. Ale dla mnie koniec spotkań i niespodzianek jeszcze nie nastąpił... I kiedy przypominam sobie cały ten nieszczęśliwy dzień, to zdaje mi się, że wszystkie te niespodzianki po prostu jakby zmówiły się przeciwko mnie i posypały się naraz na moją głowę z jakiegoś przekłętego rogu obfitości. Zaledwie otworzyłem drzwi do mieszkania, kiedy wpadłem jeszcze w przedpokoju na jakiegoś młodego człowieka z długą i bladą twarzą, o poważnej i

„wykwintnej” powierzchowności, ubranego we wspaniałe futro. Na nosie miał binokle, ale, zobaczywszy mnie zdjął je (zapewne przez uprzejmość) i grzecznie uchyliwszy cylindra, zresztą nie zatrzymując się, powiedział z wytwornym uśmiechem: „^h! bonsoir”* i, wyminąwszy mnie, poszedł na schody. Poznaliśmy się obaj momentalnie, chociaż widzieliśmy się raz tylko w życiu i to przelotnie, w Moskwie. Był to brat Anny Andriejewny, ka-merjunkier, młody Wiersiłow syn Włersiłowa, a więc prawie mój brat. Gospodyni odprowadzała go do drzwi (gospodarz był jeszcze na służbie) . Kiedy młody człowiek wyszedł, wpadłem na nią z miejsca.

- Co on tu robił? Był w moim pokoju?

- Bynajmniej. Przyszedł do mnie... -odparła gospodyni sucho i ostro, i poszła do siebie.

- Nie, tak nie można! - zawołałem. - Pani będzie łaskawa mi odpowiedzieć: po co ten człowiek tu przyszedł?

- O, mój Boże! Mam opowiadać panu wszystko, po co kto przychodzi? Można chyba mieć jakieś swoje sprawy. A może młody człowiek potrzebował pieniędzy i chciał mnie zapytać o adres? A może obiecałam mu jeszcze przeszłym razem...

- Jak to: przeszłym razem?

- O, mój Boże! Przecież on tu był już nie po raz pierwszy.

Gospodyni odeszła. Dostrzegłem przede wszystkim zmianę tonu: ci ludzie zaczęli ze mną rozmawiać niegrzecznie. Było rzeczą jasną, że znowu tkwi tu jakiś sekret: każda godzina, każdy krok przynosił jakąś nową tajemnicę. Młody Wiersiłow był u mnie po raz pierwszy, kiedy leżałem chory i przyjechał razem z Anną Andriejewną. Pamiętałem to doskonale, jak również i to, że Anna Andriejewną już wczoraj rzuciła mi niezrozumiałą wzmiankę o ewentualnym zamieszkaniu starego księcia w moim pokoju... Ale wszystko to było tak splątane i takie nienaturalne, że nie mogłem się w tym zupełnie zorientować. Stukałem się w czoło i, nawet nie odpocząwszy chwili, popędziłem do Anny Andriejewny. Nie zastałem jej w domu, a zapytany szwajcar odpowiedział, że „pani pojechała do Carskiego i jutro wróci chyba dopiero o tej porze”.

Pojechała do Carskiego, oczywiście do starego księcia, a jej brat ogląda moje mieszkanie! - Nie, ja na to nie pozwolę - zgrzytnąłem zębami -a jeżeli tu naprawdę ukrywa się pod tym wszystkim jakiś

„stryczek”, to ja obronię „biedną kobietę”!

Od Anny Andriejewny nie wróciłem do domu, ponieważ w rozpalonej głowie błysnęło mi nagle wspomnienie restauracji nad kanałem, którą Wiersiłow miał zwyczaj odwiedzać w bardziej ponurych chwilach swego życia. Uradowany swoim domysłem pobiegłem tam. Było już koło czwartej i zmierzch już zapadał. W restauracji dowiedziałem się, że był: „Posiedział chwilę i poszedł, a może jeszcze przyjdzie”. Powziąłem nagle mocne postanowienie, aby zaczekać na niego i kazałem podać sobie obiad. Zdobyłem przynajmniej pewną nadzieję.

Zjadłem obiad, potem kazałem jeszcze coś podać, ażeby mieć prawo siedzieć jak najdłużej, i czekałem, zdaje się, że cztery godziny. Nie chcę opisywać mojego przygnębienia i gorączkowej niecierpliwości. Wszystko we mnie po prostu trzęsło się i drżało. Te organy, goście restauracji, ta cała beznadziejność wryła mi się w duszę może do końca życia. Nie

chce również opisywać myśli, krążących po mojej głowie, jak chmura zeschniętych liści, porwanych przez wiatr jesienny: doprawdy, przypominało mi to coś i, szczerze mówiąc, chwilami miewałem wrażenie, że rozsądek wypowiada mi służbę. Męczyła mnie także wprost do bólu pewna myśl

(uboczna, niezależnie od zasadniczego cierpienia), pewne uparte, zatrute wspomnienie, natrętnie jak jadowita mucha jesienna, o której człowiek nie myśli, a która kręci się dokoła niego, przeszkadza i nagle kąsa niesłychanie boleśnie. Było to jedno wspomnienie, jeden wypadek, o którym dotychczas nie mówiłem absolutnie nikomu. Sprawa przedstawia się, jak następuje - muszę bowiem i o tym opowiedzieć.

IV

Kiedy w Moskwie zdecydowano już, że mam jechać do Petersburga, to dano mi znać przez Nikołaja Siemionowicza, żebym czekał na pieniądze potrzebne mi na drogę. Kto mi miał przysłać pieniądze, o to nie pytałem: wiedziałem, że to od Wiersiłowa, a ponieważ wtedy dniem i nocą z biciem serca marzyłem o spotkaniu z nim, snując daleko idące plany, zaprzestałem więc rozmów o nim ze wszystkimi, nawet z Marią Iwanowną. Zauważę zresztą, że sam miałem również dość pieniędzy, postanowiłem jednak zaczekać. Przypuszczałem, że pieniądze przyjdą pocztą.

Niespodziewanie, pewnego dnia Nikołaj Siemionowicz po powrocie do domu oświadczył mi swoim zwyczajem, krótko i węzłowato, że mam udać się na ulicę Miasnicką, do mieszkania księcia W-skiego i że tam otrzymam od kamerjunkra Wiersiłowa, syna Andrieja Piotrowicza, który przyjechał z Petersburga i zatrzymał się u swego kolegi szkolnego, księcia W-skiego, pieniądze na mój wyjazd. Zdawało mi się, że sprawa jest zupełnie prosta i było rzeczą najzupełniej naturalną, że Andriej Piotrowicz zamiast wysłać pieniądze pocztą, polecił synowi zabrać je, ale wiadomość ta podziałała na mnie dziwnie przygnębiająco i denerwująco. Było rzeczą jasną, iż Wiersiłow chce, żebym zetknął się z jego synem, bratem moim, i to wyraźnie odsłaniało uczucia i zamiary tego człowieka, któremu poświęciłem tyle moich marzeń. Powstawało jednak pytanie, jak będę wyglądał i jak powinienem się zachowywać w tym zupełnie nieoczekiwanym spotkaniu i czy nie ucierpi na tym moja godność własna. „...;” « ..,- .-• .- ,.-;:;..

Następnego dnia, dokładnie o jedenastej, byłem już u księcia W-skiego w mieszkaniu kawalerskim, ale jak się tego z góry domyślałem, urządzonym z przepychem, z lokajami w liberii. Zatrzymałem się w przedpokoju. Z dalszych pokojów dochodziły dźwięki głośnej rozmowy i wybuchy śmiechu, jak widać, ksiązę miał oprócz kamerjunkra jeszcze innych gości. Kazałem lokajowi oznajmić się i to zdaje się w sposób nieco nazbyt dumny, przynajmniej odniosłem wrażenie, że odchodząc spojrział na mnie jakoś dziwnie, nie z takim szacunkiem, jakby należało. Ku memu wielkiemu zdziwieniu bardzo

długo mnie anonsował, coś koło pięciu minut, a przez cały ten czas z tamtych pokojów dochodziły te same odgłosy rozmowy i śmiechu.

Czekałem oczywiście stojąc, rozumiałem bowiem doskonale, że nie wypada mi, jako „panu”, siedzieć w przedpokoju, gdzie przebywali lokaje. Sam zaś za nic w świecie nie zdecydowałbym się, aby wejść do salonu samowolnie, bez specjalnego zaproszenia. Była to duma, może nawet nadmierna, ale tak wypadało. Ku memu zdziwieniu pozostali lokaje (dwaj) ośmielili się usiąść w mojej obecności. Odwróciłem się, aby tego nie widzieć, ale nie mogłem powstrzymać się i zacząłem się trząść od stóp do głów; nagle odwróciłem się, poszedłem do jednego z lokajów i rozkazałem mu natychmiast iść, i zameldować mnie jeszcze raz. Mimo mojego ostrego spojrzenia i silnego zdenerwowania lokaj spojrział na mnie leniwie, nie wstając, i dopiero drugi odpowiedział za niego:

- Już zameldowano, niech się pan nie obawia.

Postanowiłem, że zaczekam jeszcze jedną minutę, a nawet raczej -niecałą minutę - a potem bezwarunkowo odejdę. Co najważniejsze, byłem ubrany zupełnie przyzwoicie, miałem nowe ubranie i palto, a bieliznę zupełnie świeżą, o co postarała się specjalnie z racji tej wizyty sama Maria Iwanowna. Ale co do tych lokajów, to już znacznie później, w Petersburgu, dowiedziałem się z całą pewnością, że usłyszeli jeszcze poprzedniego dnia od służącego przybyłego z Wiersiłowem, że „ma tu przyjść taki »lewy« brat i student”. Wiem to teraz z całą pewnością.

Minuta przeszła. Jakież to dziwne wrażenie, kiedy człowiek decyduje się i nie może się zdecydować: „Iść czy zostać, iść czy zostać?” powtarzałem sobie co chwila prawie w gorączce.

Nagle ukazał się ten lokaj, który poszedł mnie meldować. W ręku między palcami trzymał cztery czerwone papierki.

- Proszę, tu jest dla pana czterdzieści rubli.

Zagotowało się we mnie. Była to niesłychana obelga! Przez całą ubiegłą noc myślałem o tym spotkaniu dwóch braci, jakiego życzył sobie Wier-487

siłow. Marzyłem w gorączce o tym, jak powinienem się zachować, ażeby nie sprzeniewierzyć się całemu systemowi idei, które sobie wypracowałem w moim osamotnieniu, i którymi mógłbym się pochwalić wszędzie, i wobec wszystkich. Marzyłem sobie, że będę dostojny, dumny i smutny, może nawet w towarzystwie księcia W-skiego, i w ten sposób od razu zostanę wprowadzony w ów świat; o, nie oszczędzam siebie i niech się tak stanie, muszę to zanotować, ze wszystkimi szczegółami! I po tym, czterdzieści rubli przez lokaja, w przedpokoju i to jeszcze po dziesięciominutowym wyczekiwaniu! Po prostu z ręki lokaja, a nawet nie na talerzyku, nie w kopercie!

Krzyknąłem na lokaja tak, że ten drgnął i cofnął się; kazałem mu natychmiast odnieść pieniądze i

„żeby pan sam przyniósł”, słowem, żądanie moje było bez sensu i oczywiście dla lokaja całkowicie niezrozumiałe. Jednak krzyknąłem na niego tak, że usłuchał i poszedł. Przy tym, jak się zdaje, krzyk mój doszedł do uszu tych, którzy byli w salonie, bo rozmowy i śmiech nagle ucichły.

Prawie w tej samej chwili usłyszałem kroki poważne, lekkie, stawiane bez pośpiechu; i na progu, nawet w odległości arszyna przed progiem przedpokoju ukazała się wysoka postać przystojnego i dumnego młodzieńca (Wiersiłow wydał mi się wtedy jeszcze bardziej chudy i blady, niż przy dzisiejszym spotkaniu.) Był ubrany we wspaniały szlafrok jedwabny i w pantofle, na nosie miał binokle. Nie mówiąc ani słowa skierował na mnie swoje binokle i zaczął mi się przyglądać. Z

hamowaną wściekłością podszedłem do niego i stanąłem przed nim, spoglądając nań wyzywającym i upartym wzrokiem. Ale Wiersiłow nie przyglądał mi się dłużej niż jedno mgnienie oka, najwyżej dziesięć sekund i nagle na wargach jego ukazał się uśmiech ledwie dostrzegalny, i przy tym niesłychanie jadowity, przez to właśnie tak jadowity, że ledwie dostrzegalny, po czym odwrócił się bez słowa i poszedł do salonu, tak samo powoli i lekko, jak przyszedł. Och! to są ludzie, którzy jeszcze w dzieciństwie, jeszcze na łonie rodziny, jeszcze od matek uczą się, jak obrażać! A ja oczywiście byłem zbity z tropu... Ach, czemuż dałem się wtedy zbić z tropu!

Prawie w tej samej chwili zjawił się ten sam lokaj, z tymi samymi banknotami w ręku.

- Proszę pana, niech pan będzie łaskaw wziąć, to dla pana, z Petersburga, a pana samego pan nasz nie może przyjąć, „innym razem chyba jakoś, kiedy będzie miał więcej czasu”. Poczulem, że te słowa dodał już sam od siebie. Ale moja dezorientacja trwała. Machinalnie wziąłem

488

pieniądze i poszedłem ku drzwiom, wziąłem tylko wskutek dezorientacji, bo trzeba było nie brać, ale lokaj, chcąc w każdym razie jeszcze dokuczyć mi, pozwolił sobie na typowo lokajski wybryk: nagle otworzył przede mną drzwi na całą szerokość i trzymając je tak otwarte, kiedy przechodziłem obok niego, powiedział głośno i uroczyście.

- Proszę łaskawego pana!

- Łajdak! - ryknąłem na niego i nagle zamierzyłem się pięścią, ale nie opuściłem jej. - I twój pan jest łajdakiem. Zamelduj mu to natychmiast - dodałem i szybko wyszedłem na schody.

- Jak pan śmie! Gdybym ja memu panu to powiedział, to zaraz by pana zaprowadzono do cyrkułu na protokół. I ręki podnosić też nie wolno...

Schodziłem po schodach. Były to wspaniałe szerokie schody, zupełnie odsłonięte, tak, że dopóki szedłem, można mnie było z góry widzieć. Wszyscy trzej lokaje wyszli i stanęli na górze nad poręczą. Oczywiście postanowiłem milczeć. Ujadanie się z lokajami nie miało żadnego sensu.

Zszedłem ze schodów, starając się nie przyspieszać kroku, a nawet, zdaje się, z lekka zwolniwszy szybkość.

O, niech sobie jacyś tam filozofowie (hańba im!) twierdzą, że to głupstwo, że tam jakiś smarkacz się rozzłościł, ale dla mnie było to raną, raną, która dotychczas jeszcze nie zagoiła się, nawet do tej chwili, kiedy to piszę i kiedy to wszystko się skończyło, a nawet obelga moja została pomszczona.

O, daję słowo! Nie umiem pamiętać urazy, nie jestem mściwy. Niewątpliwie, jeśli ktoś mnie obrazi, rodzi się we mnie wprost chorobliwe pragnienie zemsty, ale wyłącznie zemsty szlachetnej.

Kiedy odplacę obrażającemu szlachetnością, tak, żeby to odczuł - wówczas czuję się pomszczony.

Dodam jeszcze - nie jestem mściwy, ale urazy pamiętam; chociaż z drugiej strony jestem wspaniałomyślny - czy inni umieją się zdobyć na coś podobnego? A wtedy, o, wtedy przyszedłem pełen wzniosłych uczuć, może śmiesznych, ale mniejsza z tym! Wolę uczucia śmieszne, lecz szlachetne, niż mało śmieszne, lecz za to podle, pospolite, przeciętne. O tym spotkaniu z bratem nie mówiłem nikomu, nawet Marii Iwanownie, nawet potem w Petersburgu - Lizie. To spotkanie było dla mnie tym samym, czym haniebny policzek. I oto nagle spotykam tego pana, wtedy kiedy najmniej mogłem się go spodziewać. Ten pan uśmiecha się do mnie, zdejmuje kapelusz, po przyjacielsku mówi: „bonsoir”*. Oczywiście, to mogło dać do myślenia... Ale rana zaczęła krwawić!

* „dobry wieczór”

489

Przesiedziałem przeszło cztery godziny w restauracji, a potem wybiegłem nagle jak w jakimś ataku i popędziłem do Wiersiłowa; oczywiście znowu go nie zastałem. W ogóle nie było go w domu.

Niańka wyglądała na znudzoną, ni stąd ni zowąd poprosiła mnie, abym jej przysłał Nastasję Jegorownę, ale oczywiście, miałem co innego w głowie! Po drodze wpadłem jeszcze do mamy, ale nie wchodziłem do pokoju, tylko zawołałem Łukierię do sieni i od niej dowiedziałem się, że Wiersiłowa nie było i że Liza też wyszła. Widziałem, że Łukieria też ma ochotę spytać mnie o coś i może tak samo coś mi zlecić, ale znowu - miałem co innego w głowie! Pozostała jeszcze jedyna nadzieja, że Wiersiłow był u mnie, ale sam już w to nie wierzyłem.

Powiedziałem już, że byłem bliski utraty przytomności. I oto, zastaję nagle w moim pokoju Alfonsynę i mojego gospodarza. Prawda, że już wychodzili, a Piotr Ippolitowicz trzymał w ręku świecę.

- Co to znaczy? - krzyknąłem na gospodarza. - Jak pan śmiał wprowadzać tę szelmę do mojego pokoju?

- Tiens!* - zawołała Alfonsyna - et les amis?***

- Precz! - ryknąłem.

- Mais c'est un ours!*** - Alfonsyna wybiegła do korytarza, udając strach i momentalnie schowała się u gospodyni. Piotr Ippolitowicz, nie wypuszczając świecy z rąk, podszedł do mnie z wyrazem surowości na twarzy.

- Pozwoli pan sobie zwrócić uwagę, Arkadiju Makarowiczu, że pan się nazbyt uniósł. Jakkolwiek byśmy pana szanowali, to jednak mamzel Alfonsyna nie jest szelmą, a nawet przeciwnie, jest w tej chwili gościem i to nie pańskim, ale mojej żony, z którą już od pewnego czasu zawarły znajomość.

- A jak pan śmiał wpuścić ją do mego pokoju? - powtórzyłem chwytając się za głowę, w której

poczułem nagle nieznośny ból.

- Przypadkiem, proszę pana. Musiałem właśnie wejść, żeby zamknąć lufcik, który otworzyłem, żeby trochę powietrza weszło, a żeśmy nie chcieli przerywać naszej rozmowy, to w trakcie tego Alfonsyna Karłow-

* Tak, tak!

** a przyjaciele?

*** Ale to gbur!

490

na również, tylko dlatego, żeby nie przerywać rozmowy, weszła do pańskiego pokoju.

- Nieprawda! Alfonsynka szpieguje, Lambert szpieguje! Pan sam może też szpieguje! A Alfonsynka przyszła, żeby mi coś ukraść.

- Jak pan uważa. Pan raczy mówić dzisiaj to, a jutro co innego. A poza tym, niech pan pozwoli sobie zakomunikować, że odnająłem swoje mieszkanie na pewien czas, a sam przeprowadzam się z żoną do małego pokoiku, tak, że teraz Alfonsyna Karłowna jest tutaj prawie taką samą lokatorką, jak pan.

- Pan wynajął mieszkanie Lambertowi? - zawołałem przerażony.

- Nie, nie Lambertowi - gospodarz uśmiechnął się swoim szerokim uśmiechem, który zresztą zdradzał nie wahanie jak poprzednio rankiem, ale pewność siebie. - Sądzę, że pan raczy wiedzieć, komu, a tylko udaje pan niepotrzebnie, że pan nie wie, tylko dla pozorów, panie szanowny i dlatego też się pan gniewa. Dobranoc panu!

- Tak, tak, niech mi pan już da spokój! - zacząłem machać rękoma, ledwie powstrzymując się od płaczu, tak, że gospodarz spojrzał na mnie nagle ze zdziwieniem, mimo to poszedł sobie.

Zamknąłem drzwi na haczyk i runąłem na łóżko, twarzą w poduszki. I w ten sposób skończył się dla mnie ów pierwszy okropny dzień z tych trzech ostatnich fatalnych dni, którymi kończę swoje notatki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

i

A

le znowu będę musiał uprzedzić rozwój wypadków, aby wyjaśnić czytelnikowi sytuację, albowiem do tego, co było konieczną konsekwencją zdarzeń, dołączyło się tyle rzeczy zupełnie przypadkowych, że bez uprzedniego wyjaśnienia czytelnik nie będzie mógł ich zrozumieć. Sprawa obracała się koło tego samego „stryczka”, o którym wspominała Tatiana Pawłowna. „Stryczek” ów polegał na tym, że Anna Andriejewna zaryzykowała nareszcie krok najbardziej zuchwały, na jaki można by się w

ówczesnej sytuacji zdobyć. Doprawdy - mocny charakter! Chociaż stary książę był

w swoim czasie pod pretekstem swego złego stanu zdrowia „usunięty” i wywieziony do Carskiego, tak, że wiadomość o jego ślubie z Anną Andriejewna nie mogła roznieść się w towarzystwie i została na pewien czas stłumiona, że tak powiem, w samym zarodku; mimo to słaby staruszek, z którym można wszystko zrobić, za nic w świecie nie zgodziłby się na porzucenie swoich zamiarów i na zdradzenie Anny Andriejewny, która zaproponowała mu małżeństwo... Pod tym względem stary książę był rycerzem, a więc prędzej czy później mógł zbuntować się i przystąpić do wykonania swoich zamiarów, a żadna siła nie byłaby go wówczas powstrzymała, jak to się zdarza bardzo często właśnie z ludźmi słabego charakteru, ponieważ każdy z nich ma granicę, do której przekroczenia nie należy go zmuszać. Przy tym zdawał sobie sprawę z drażliwej sytuacji, w jakiej znalazła się Anna Andriejewna, którą niezmiernie szanował, zdawał sobie sprawę z możliwości plotek, drwin, z tego, że mogła zrodzić się uwłaczająca jej czci opinia. Na razie uspokajało go i wstrzymywało jedynie to, iż Katierina Nikoła-jewna nie pozwoliła sobie ani razu, najmniejszym słówkiem lub aluzją zająknąć się choćby w jego obecności na temat Anny Andriejewny w sposób dla ostatniej nieprzychylny, ani też wystąpić przeciwko małżeńskim

492

zamiarom księcia. Przeciwnie, okazywała w stosunku do narzeczonej swego ojca ogromną życzliwość i troskliwość. W ten sposób Anna Andriejewna znalazła się w bardzo trudnej sytuacji, zrozumiała bowiem doskonale swoim subtelnym, kobiecym umysłem, że najmniejsze wystąpienie przeciwko Katierinie Nikołajewnie, którą książę również ubóstwiał, a teraz nawet więcej niż zwykle; właśnie dlatego, że z taką życzliwością i z takim szacunkiem zgadzała się na jego ślub, że najmniejsze wystąpienie przeciwko niej dotknęłoby boleśnie niezmiernie wrażliwego starca, i zrodziłoby w jego duszy nieufność, a może nawet gniew. W ten sposób i na takim terenie toczyła się walka. Obie rywalki jak gdyby prześcigały się pod względem delikatności i ustępstw, i książę w końcu nie wiedział sam, która z nich jest bardziej godna podziwu, i jak zwykle wszyscy ludzie słabi i czuli, doszedł wreszcie do tego, że zaczął cierpieć i oskarżał o wszystko siebie samego. To przygnębienie doprowadziło go podobno do choroby. Nerwy jego nie mogły wytrzymać i zamiast spodziewanej poprawy zdrowia w Carskiem bliski był, jak mówiono, położenia się do łóżka.

Tu wtrąć nawiasem pewien szczegół, o którym dowiedziałem się znacznie później: podobno Bjoring zaproponował po prostu Katierinie Nikołajewnie, aby wywiozła ojca za granicę, skłoniwszy go do wyjazdu przy pomocy jakiegoś kłamstwa, a tymczasem by nieznacznie rozpuściła pogłoskę, iż staruszek jest już zupełnie obłąkany; a potem, już za granicą zdobyła odpowiednie zaświadczenie lekarskie. Ale na to znowu nie chciała się Katierina Nikołajewna w żaden sposób zgodzić, tak przynajmniej mówiono potem. Miała jakoby z oburzeniem odrzucić ową propozycję. Wszystko to jest jedynie nie sprawdzoną pogłoską, ale ja w nią wierzę.

I oto, kiedy sprawa utknęła, że tak powiem, w sytuacji bez najmniejszej nadziei wyjścia, dowiaduje się nagle Anna Andriejewna od Lamberta, że istnieje pewien list, w którym córka księcia naradza się już z prawnikiem nad tym, jak uzyskać uznanie ojca za obłąkanego. To podnieciło do najwyższego stopnia jej dumny i mściwy umysł. Przypomniawszy sobie swoje dawne rozmowy ze mną i zestawivszy całe mnóstwo najdrobniejszych okoliczności, nie znalazła nic, co by mogło poddać w wątpliwość tę informację. Wtedy w owym zdecydowanym, nieustępliwym umyśle kobiecym

dojrzenia plan uderzenia. Plan ten polega na tym, aby od razu, bez żadnych aluzji i przygotowań, za jednym zamachem odkryć wszystko księciu, zastraszyć go, wstrząsnąć nim, wykazać mu, że go niewątpliwie czeka zamknięcie w domu wariatów; a kiedy uprze się, wpadnie w gniew,

493

nie będzie chciał wierzyć, wtedy pokazać mu list córki: „jeśli już istniał zamiar ogłoszenia go wariatem, a więc teraz może się ponowić, tym bardziej, że chodzi o niedopuszczenie do małżeństwa”. A potem zabrać przerażonego i zgnębnionego starca i wywieźć go do Petersburga - wprost do mojego mieszkania.

Było to niesłychane ryzyko, ale Anna Andriejewna ufała w swe siły. Tu, odbiegając na chwilę od wątku opowiadania, nadmienię, że efekt ciosu bynajmniej nie zawiódł jej oczekiwań, przeciwnie, przeszedł je o całe niebo. Wiadomość o liście wstrząsnęła starym księciem może kilka razy silniej, niż ona sama się spodziewała i niż my wszyscy przypuszczaliśmy. Nie wiedziałem wcale, że książę już słyszał coś niecoś o owym piśmie, ale jak w ogóle ludzie słabi i lękliwi, nie wierzył pogłosce i ze wszystkich sił odpędzał myśl od siebie, aby nie tracić spokoju ducha i, więcej nawet, oskarżał siebie samego o niezbyt szlachetną łatwowierność. Dodam jeszcze, że fakt istnienia listu wywarł również i na Katierinie Nikołajewnie wrażenie znacznie potężniejsze, niż się tego spodziewałem...

Słowem, papierek ten okazał się rzeczą daleko ważniejszą, niż przypuszczałem, ja, który miałem go w kieszeni. Ale tu wybiegam już za daleko naprzód.

Ale, spyta ktoś, czemu chciano umieścić księcia w moim mieszkaniu? Co skłoniło tych ludzi do ulokowania go w ciasnych, nędznych kłitkach i przestraszyć jeszcze bardziej? Jeżeli nie można było wykorzystać jego własnego mieszkania (bo wtedy cała sprawa mogła od razu przepaść), to czemu nie wynajęto specjalnie jakiegoś eleganckiego lokalu, jak to proponował Lambert? Ale w tym właśnie tkwiło całe ryzyko niesłychanego kroku Anny Andriejewny.

Chodziło przede wszystkim o to, aby natychmiast po swym przybyciu książę mógł zobaczyć dokument, a tymczasem ja za nic w świecie nie chciałem wydać tego dokumentu. A ponieważ nie było już ani chwili do stracenia, przeto Anna Andriejewna, ufając swojej sile, postanowiła nie czekać na zdobycie dokumentu, ale sprawę zacząć i umieścić księcia u mnie - po co? A po to właśnie, aby przez to samo zaszachować również mnie, aby - jak powiada przysłowie - złapać od razu dwie sroki za ogon. Liczyła na to, że wówczas nie oprę się temu niespodziewanemu, nagłemu ciosowi. Spodziewała się, że kiedy zobaczą staruszka u siebie, kiedy ujrzą jego bezsilność i strach, kiedy mnie zaczną ze wszystkich stron prosić i namawiać - to ulegnę i pokażę ów dokument! Muszę przyznać, że plan ten był niesłychanie sprytny i mądry, że był oparty na podstawach psychologicznych, więcej - że o mały włos nie udał się... Co zaś się tyczy

494

staruszka, to właśnie dlatego uwierzył Annie Andriejewnie i dał się wywieźć, że oświadczyła mu, iż

wiezie go do mnie.

O wszystkim tym dowiedziałem się później. Jeden jedyny fakt, iż dokument ten znajdował się w moim posiadaniu, rozwiął w jego trwożliwym sercu resztę wątpliwości - do tego stopnia kochał

mnie i szanował. Zauważę jeszcze, że sama Anna Andriejewna nie zwątpiła ani na chwilę, że dokument znajduje się nadal w moim posiadaniu, że go jeszcze z rąk nie wypuściłem. Co najważniejsze, źle tłumaczyła sobie mój charakter i cynicznie liczyła na moją naiwność i prostotę, nawet na moją wrażliwość, z drugiej zaś strony sądziła, że gdybym nawet zdecydował się na oddanie listu Katierinie Nikołajewnie, to jedynie pod wpływem jakichś specjalnych, niezwyklej okoliczności; i te właśnie ewentualne okoliczności chciała uprzedzić swoim niespodziewanym i gwałtownym atakiem.

A wreszcie, w zamiarze tym podtrzymywał ją Lambert. Jak już powiedziałem, sytuacja Lamberta w owym czasie była niesłychanie krytyczna. Człowiek ten, pozbawiony wszelkich skrupułów, wolałby co prawda zdradzić Annę Andriejewnę, przeciągnąć mnie na swoją stronę i skłonić mnie do odstąpienia listu Achmakowej, w czym widział, nie wiem dlaczego, większą korzyść dla siebie.

Ale ponieważ ja za nic w świecie nie chciałem aż do ostatniej chwili oddać dokumentu, dlatego postanowiłem, z braku czegoś lepszego, sprzymierzyć się z Anną Andriejewną, żeby coś przynajmniej na tym skorzystać i dlatego narzuciał się jej jak tylko mógł ze swymi usługami aż do ostatniej chwili, i wiem nawet, że proponował jej, iż w razie potrzeby wyszuka duchownego... Ale Anna Andriejewna poprosiła go z pogardliwym uśmiechem, aby nie poruszał tego tematu. Lambert wydawał się jej ordynarnym typem i budził w niej niesłychany wstręt. Przez ostrożność jednak nie odrzucała jego usług, które polegały, na przykład, na szpiegowaniu. A propos, do dziś dnia nie wiem na pewno, czy przekupili mojego gospodarza Piotra Ippolitowicza, i czy on dostał od nich choć cokolwiek za swoje przysługi, czy też wszedł w to towarzystwo jedynie z zamiłowania do intryg; ale wiem na pewno - on również mnie szpiegował i żona jego tak samo.

Czytelnik może teraz zrozumieć, że chociaż zdawałem sobie sprawę z pewnych rzeczy, ale nie mogłem przeczuć, że nazajutrz albo pojutrze znajdę w swoim mieszkaniu starego księcia i to w takich okolicznościach. Zresztą przez myśl by mi nie przeszło, żeby Anna Andriejewna odważyła się na coś podobnego. Łatwo jest mówić o różnych rzeczach

495

i czynić aluzje, jakie się tylko podoba, ale żeby się zdecydować, żeby przystąpić do dzieła i wykonać, na to trzeba mieć, krótko mówiąc - charakter.

n

Kontynuuję.

Obudziłem się dość późno, spałem zaś bardzo twardo i bez żadnych snów, co wspominam ze zdziwieniem, tak, że wstawszy z łóżka poczułem się znowu niezmiernie rześki i pogodny, jakby dnia wczorajszego wcale nie było. Postanowiłem nie jechać już do mamy, ale udać się od razu do cerkwi

na cmentarzu z tym, żeby później, po całej ceremonii wrócić do mamy i nie wychodzić już przez cały dzień. Byłem najzupełniej pewien, że muszę go dziś spotkać u mamy, wcześniej czy później, ale koniecznie muszę.

Ani Alfonsynki, ani gospodarza nie było w domu już od dawna. Gospodyni nie chciałem o nic wypytywać, zresztą postanowiłem w ogóle zerwać z nimi wszelkie stosunki, a nawet jak najprędzej wyprowadzić się, a więc gdy tylko mi podano kawę, zamknąłem znowu drzwi na haczyk. Nagle ktoś zapukał. Ku memu wielkiemu zdumieniu był to Triszatow.

Otworzyłem mu natychmiast i z radością poprosiłem go do pokoju, ale Triszatow nie chciał wejść.

- Mam tylko dwa słowa, przez próg... albo, już lepiej wejdę, bo zdaje się, że tu trzeba rozmawiać szeptem, ale nie będę u pana siedział. Przygląda się pan temu wstrętnemu palto? Lambert zabrał mi futro.

Rzeczywiście palto było liche, stare i za duże na niego. Triszatow stał przede mną jakiś smutny, z rękami w kieszeni i z kapeluszem na głowie.

- Nie będę siadał, nie będę. Niech pan posłucha, Dołgorukij, nie znam żadnych szczegółów, ale wiem, że Lambert szykuje panu jakieś świństwo, niedalekie i nieuniknione - i to na pewno. A więc niech się pan ma na ostrożności. Ospowaty wygadał mi się z tym - pamięta pan

ospowatego? Ale nie mówił mi, o co chodzi, tak, że więcej nic panu nie mogę powiedzieć.

Chciałem tylko pana uprzedzić, do widzenia.

- Ależ, Triszatow, niech pan siądzie, mój drogi! Chociaż nie mam czasu, ale tak pana lubię... - chciałem go zatrzymać.

- Nie mogę zostać, nie mogę. A to, że pan mnie lubi - zapamiętam sobie. Ech, Dołgorukij, po co mam kłamać: zgodziłem się świadomie,

496

dobrowolnie na udział w najróżniejszych świństwach i na takie nik-czemności, że wstyd mi o tym mówić tu, u pana. Jesteśmy teraz u ospowatego... Do widzenia. Nie wart jestem tego, żeby usiąść u pana.

- Triszatow, mój drogi, niechże pan da spokój...

- Nie, Dołgorukij: drwię sobie ze wszystkich i zaczynam teraz hulać na całego. Wkrótce sprawię sobie nowe futro, jeszcze lepsze i będę się rozbijał rysakami. Ale zawsze będę pamiętał, że nie usiadłem u pana, bo sam tak siebie osądziłem, bo nie jestem pana godzien. Zawsze będzie mi to przyjemnie wspominać, kiedy będę hulał, straciwszy cześć i honor. Ręki też panu nie podam.

Przecież nawet Alfonsyna nie wita się ze mną. I proszę pana, niech pan nie idzie za mną i niech pan mnie nie odwiedza. Dobrze, umawiamy się?

Dziwny chłopak odwrócił się i wyszedł. Nie miałem, niestety, czasu, ale postanowiłem, że go odszukam, kiedy tylko uporządkuję nasze sprawy.

Nie chcę opisywać całego poranka, chociaż warto zapewne było zanotować to

owo. Wiersiowanie było w cerkwi podczas nabożeństwa, a zresztą, jak się zdaje, z twarzy obecnych można było się domyśleć, że nikt go tam się nie spodziewał. Mama modliła się żarliwie i widać było, że jest cała zatopiona w modlitwie. Przy trumnie były jedynie Tatiana Pawłowna i Liza. Po pogrzebie wróciliśmy do domu, siedliśmy do stołu i znowu z twarzy obecnych wywnioskowałem, że nikt nie spodziewa się przybycia Wiersiło-wa na obiad. Po obiedzie podszedłem do mamy, uścisnąłem ją gorąco i powinszowałem urodzin. Ze mną zrobiła to samo Liza.

- Słuchaj, braciszku - szepnęła ukradkiem - one czekają na niego.

- Domyślam się, widzę.

- Musi więc przyjść.

„A więc mają jakieś świeże wiadomości” - pomyślałem, ale nie pytałem o nie. Nie mam zamiaru opisywać moich uczuć, ale chociaż byłem w nastroju dziarskim, to przecież cała ta tajemnica zwała mi się ciężarem na serce.

Usiedliśmy wszyscy w salonie, przy okrągłym stole, dokoła mamy. O, jak mi dobrze było wtedy siedzieć razem z nią i patrzeć na nią. Nagle poprosiła, żebym przeczytał coś z Pisma Świętego.

Przeczytałem rozdział ze Świętego Łukasza. Mama nie płakała i nawet nie była zbyt smutna, ale nigdy jeszcze nie widziałem u niej tak uduchowionej twarzy. W jej spokojnym spojrzeniu błyszczała jakaś myśl, ale nie zauważyłem żadnego lękliwego wyczekiwania. Rozmowa nie ustawała: mówiono przeważnie o zmarłym. Tatiana Pawłowna opowiedziała wiele szczegółów, o których przedtem nie miałem nawet pojęcia. I w ogóle, gdyby

497

zanotować to wszystko, znalazłoby się z pewnością wiele rzeczy ciekawych. Nawet Tatiana Pawłowna zupełnie jak gdyby się odmieniła. Wyglądała inaczej niż zwykle: była bardzo cicha, bardzo łagodna, a przede wszystkim - niezmiernie spokojna; chociaż mówiła wiele, żeby czymś zająć mamę. Ale jeden szczegół wbił mi się w pamięć: mama siedziała na kanapie, a na lewo od kanapy leżała, na specjalnym okrągłym stoliku, jak gdyby przygotowana w jakimś celu, stara ikona z dwoma postaciami świętych bez ozdób, jedynie z aureolami nad głowami. Obraz ten był

własnością Makara Iwanowicza, wiedziałem o tym, jak również i o tym, że nieboszczyk nie rozstawał się nigdy z tą ikoną i przypisywał jej cudowną moc. Tatiana Pawłowna spoglądała na nią kilkakrotnie.

- Słuchaj, Sofio - rzekła nagle, zmieniając temat rozmowy. - Po co ikona ma tak leżeć, czy nie lepiej byłoby postawić ją na tym samym stole, oprzeć o ścianę i zapalić przed nią lampkę?

- Nie, tak jest lepiej, jak teraz - powiedziała mama.

- A zresztą... Mogłoby wyglądać nazbyt uroczyście... Nie zrozumiałem wówczas nic, ale chodziło o to, że Makar Iwano-wicz, jeszcze dawno, przed śmiercią swoją podarował ten obraz Andriejowi Piotrowiczowi i mama chciała go teraz oddać.

Była już piąta po południu, rozmowa nasza ciągnęła się i nagle zauważyłem w twarzy mamy jakieś drżenie. Mama wyprostowała się szybko i zaczęła nasłuchiwać, gdy tymczasem Tatiana Pawłowna, która właśnie coś opowiadała, mówiła dalej, nie zwracając na mamę uwagi.

Momentalnie odwróciłem się w stronę drzwi i po chwili zobaczyłem w nich Andrieja Piotrowicza, który przyszedł nie głównym wejściem, ale przez kuchenne schody, a potem przez kuchnię i przez korytarz, i tylko jedna mama spośród nas wszystkich usłyszała jego kroki. Teraz opiszę to, co nastąpiło, całą tę szaloną scenę, gest po geście, słowo po

słowie. Trwało to niedługo.

Po pierwsze, twarz jego przynajmniej na pierwszy rzut oka nie wykazywała żadnej specjalnej zmiany. Ubrany był tak jak zawsze, to znaczy niemal elegancko. W ręku trzymał niewielki, ale kosztowny bukiet kwiatów. Podszedł i z uśmiechem podał go mamie. W pierwszej chwili spojrzała z lęklwym zdziwieniem, ale wzięła bukiet i nagle jej blada twarz zaala się lekkim rumieńcem, a w oczach zajaśniała radość.

- Wiedziałem z góry, że tak właśnie przyjmiesz bukiet, Soniu - powiedział Wiersiłow.

Ponieważ w chwili jego wejścia wstaliśmy wszyscy z miejsc, dlatego podszedł do stołu, wziął krzesło Lizy, stojące z lewej strony mamy i nie

498

wiedząc, że zajmuje cudze miejsce, usiadł. W ten sposób znalazł się obok stolika, na którym leżał obraz.

- Dzień dobry wszystkim. Soniu, chciałem koniecznie ofiarować dziś ten bukiet w dzień twoich urodzin i dlatego nie byłem na pogrzebie, żeby nie przychodzić do zmarłego z kwiatami.

Zresztą, jestem pewien, iż nie spodziewałaś się, że przyjdę na pogrzeb. Staruszek chyba nie będzie miał pretensji o kwiaty, bo zresztą sam kazał nam się cieszyć, nieprawdaż? Myślę, że on tu musi gdzieś być, w pokoju.

Mama spojrzała na niego ze zdumieniem. Tatianę Pawłownę aż podrzuciło na krześle.

- Kto ma być w pokoju? - spytała.

- Nieboszczyk. Dajmy temu spokój. Wiem, że człowiek, który niezupełnie wierzy w te wszystkie cuda, skłonny jest do zabobonów... Ale mówmy lepiej o bukiecie. Nie mogę zrozumieć, jak doniosłem go tutaj. Ze trzy razy napadała mnie chęć, żeby go rzucić w śnieg i podeptać nogami.

Mama drgnęła.

- Straszna chęć! Zlituj się, Soniu, nade mną i nad moją nieszczęśliwą głową! A chęć ta płynęła stąd, że ten bukiet jest za ładny. Jaka rzecz w całym świecie może być piękniejsza niż kwiaty? Niosę go, a tu dokoła

- śnieg i zimno. Rosyjskie zimno i kwiaty - jaki kontrast. Zresztą, nie o to mi chodzi: po prostu miałem chęć zniszczyć go, bo jest taki ładny. Soniu, chociaż wkrótce zniknę znowu, ale bardzo prędko wrócę, bo zdaje się, że zacznę się bać. A kiedy będę się bał - to kto będzie moim aniołem, jak nie Sonia? Cóż to za obraz tu macie? A, pamiętam, nieboszczyka. To jego dziedziczny obraz, z dziada pradziada. Zmarły nie rozstawał się z nim nigdy, wiem, pamiętam, zapisał mi go... pamiętam doskonale... i zdaje się, staroobrzędowy... Niech no mu się przyjrzę.

Wziął ikonę w ręce, zbliżył do światła i obejrzał uważnie, ale potrzymawszy ją tak za ledwie parę sekund, położył z powrotem, tym razem już na stole, przed sobą. Byłem zdumiony, ale wszystko to powiedziane było tak niespodziewanie, że nie mogłem się zupełnie zorientować. Pamiętam tylko, że jakiś bolesny strach schwycił mnie za serce. Mama bała się, a jednocześnie dziwiła się i litowała. Widziała w nim przede wszystkim i wyłącznie człowieka nieszczęśliwego. Zdarzało się zresztą już przedtem, że Wiersiłow zaczynał mówić tak samo dziwacznie jak teraz. Liza zbladła nagle i dała mi jakiś dziwny znak głową. Ale najbardziej przerażona była Tatiana Pawłowna.

- Co panu jest, Andrieju Piotrowiczu, mój kochany! - powiedziała łagodnie. 499

- Doprawdy, nie wiem, moja kochana Tatiano Pawiowno, co się ze mną dzieje. Niech się pani nie boi, pamiętam jeszcze, że pani jest Tatiana Pawłowna i że pani jest moja kochana. Ale przyszedłem tu tylko na chwilę. Chciałem powiedzieć S oni coś miłego i szukam takiego słowa, chociaż mam serce pełne słów, których nie potrafię wypowiedzieć. Zdaje mi się ciągle, że cały jak gdybym się rozdziwił - obrzucił nas wszystkich niezmiernie szczerym, otwartym i niezmiernie poważnym spojrzeniem. - Doprawdy, myśli moje rozdwajają się i okropnie się tego boję, tak, jak gdyby obok jakiegoś człowieka stał jego sobowtór. Ten człowiek sam jest i mądry, i rozsądny, a tamten chce go koniecznie zmusić do jakichś szaleństw, albo też do jakiegoś błazeństwa. I nagle człowiek spostrzega, że to on sam chce błaznować, Bóg wie po co, to znaczy niby nie chce, a jednak chce, opiera się ze wszystkich sił, a jednak chce. Znałem jednego doktora, który na pogrzebie swego ojca w cerkwi nagle zaczął gwizdać. Doprawdy bałem się przyjść dziś na pogrzeb, bo przyszło mi do głowy, że jeżeli przyjdę, to na pewno zacznę gwizdać albo śmiać się, jak ten nieszczęśliwy doktor, który, zresztą, bardzo źle skończył... I, doprawdy, nie mogę zrozumieć, czemu mi się dziś ciągle przypomina ten doktor i tak mi wlaź

w głowę, że nie mogę się go pozbyć. Soniu, widzisz, wziąłem znowu obraz (Wiersiłow wziął

obraz i obracał go w rękę) i wiesz, mam taką straszną chęć, o teraz, w tej chwili, uderzyć go o piec, o ten kant. Jestem pewien, że rozpadnie się od razu na dwa kawałki - ani mniej, ani więcej.

Co najważniejsze, powiedział to bez udawania, bez wybryku. Było to zupełnie naturalne, ale właśnie dlatego tak okropne; zdaje się, że Wiersiłow istotnie czegoś się okropnie bał. Zauważyłem nagle, że jego ręce z lekka drżą.

- Andrieju Piotrowiczu! - zawołała mama składając dłonie.

- Połóż, połóż obraz, Andrieju Piotrowiczu, zostaw go, połóż! - zerwała się Tatiana Pawłowna. -

Rozbierz się i kładź się do łóżka! Arka-diju, biegnij po doktora!

- Ale... ale czemuście się tak zaniepokoiли? - powiedział Wiersiłow cicho, obrzucając nas bacznym spojrzeniem.

Nagle położył oba łokcie na stole i podparł głowę rękoma.

- Lękacie się mnie, widzę to, moi drodzy. Ale rozweselcie mnie trochę, siadźcie znowu i uspokójcie się trochę, chociaż na chwilę! Soniu, chodziło mi o coś innego. Zegnaj, Soniu, wyruszam znowu na wędrowną, tak jak już kilka razy odjeżdżałem od ciebie... No, oczywiście, kiedyś znowu wrócę do ciebie - pod tym względem jesteś dla mnie kimś

500

nieuniknionym. Bo i do kogo mam przyjść, kiedy wszystko przepadnie? Wierz mi, Soniu, przyszedłem teraz do ciebie jako do anioła, a bynajmniej nie jako do wroga, bo czyż możesz być dla mnie wrogiem? Nie myśl, że po to, żeby zniszczyć obraz, bo wiesz co, Soniu, jednak mam dziwną chęć zniszczyć...

Kiedy Tatiana Pawłowna przedtem krzyknęła „Połóż obraz!”, to wyrwała mu go i nie puszczała z rąk. Nagle Wiersiłow, kończąc ostatnie słowo, zerwał się, momentalnie wyrwał obraz z rąk Tatiany i z wściekłym zamachem uderzył o twardy kant pieca. Obraz pękł na dwa równe kawałki...

Wiersiłow raptownie odwrócił się do nas, jego blada twarz stała się nagle czerwona, nieledwie purpurowa, a wszystkie rysy zaczęły drżeć.

- Nie bierz tego za alegorię, Soniu, to nie znaczy, że zniszczyłem spadek po Makarze, a tylko tak, żeby zniszczyć... A jednak wrócę do ciebie, do jedyne go anioła... A zresztą, możesz nawet uważać to za alegorię. Przecież tu na pewno o to chodziło!...

I nagle szybko wyszedł z pokoju, znowu przez kuchnię (gdzie zostawił futro i czapkę). Nie chcę opisywać dokładnie, co działo się w tej chwili z mamą. Stała w śmiertelnym strachu, załamawszy ręce nad głową. Nagle krzyknęła za nim.

- Andrieju Piotrowiczu, miły, wróć przynajmniej, żeby się pożegnać!

- Wróci, Soniu, wróci! Nie bój się! - drżąc cała w strasznym ataku wściekłości, wściekłości wprost zwierzęcej, krzyknęła Tatiana Pawłowna. - Słyszałaś przecież! Obiecywał sam, że wróci!

Pozwól temu wariatowi, niech sobie raz jeszcze pohula! A jak się zestarzeje, zniedołężnieje, to wtedy któż będzie go niańczył, jak nie ty, stara niańka? Przecież sam tak tłumaczy otwarcie...

nie wstyd mu...

Co do nas obojga, to Liza zemdląła. Chciałem w pierwszej chwili popędzić za nim, ale rzuciłem się nagle do mamy, chwyciłem ją w ramiona i tak trzymałem. Łukieria wpadła ze szklankę wody dla Lizy. Ale mama momentalnie przyszła do siebie. Upadła na kanapę, zasłoniła twarz rękoma i zaczęła płakać.

- Ale, ale... ale leć no za nim! - krzyknęła nagle na cały głos Tatiana Pawłowna, jak gdyby odzyskując przytomność. - Leć... leć... złap go, nie puszczaj go ani na krok, ruszaj! - odrywała mnie ze wszystkich sił od mamy. - Ach, chyba sama pobiegnę.

- Arkadiju, ach leć za nim, prędzej! - krzyknęła nagle mama. Popędziłem jak wariat, tak samo przez kuchnię i przez podwórko, ale nigdzie już go nie było. W oddali na chodniku majaczyły sylwetki prze-501

chodniów. Popędziłem za nimi zaglądnąjąc w twarz każdemu, którego dogoniłem. Tak dobiegłem do rogu.

„Na obłąkanych można się gniewać - błysnęło mi nagle w głowie - a Tatiana aż trzęsie się ze złości na niego, a więc Wiersiłow nie może być wariatem”...

Och, nie mogłem pozbyć się myśli, że to była alegoria i że Wiersiłow chciał koniecznie z czymś skończyć, tak jak z tym obrazem, i chciał to pokazać mamie, wszystkim. Jednak i „sobowtór”

musiał niewątpliwie również wziąć udział. To było zupełnie pewne...

iii

Ale nie było go nigdzie widać, a iść do niego nie było po co. Trudno byłoby przypuszczać, żeby po tym wszystkim tak od razu poszedł do siebie. Nagle rozjaśniło mi się w głowie i popędziłem co tchu do Anny Andriejewny.

Anna Andriejewna była już w domu i zostałem natychmiast przyjęty. Wszedłem do niej, starając się, jak mogłem, zapanować nad sobą. Nie siadając nawet, opowiedziałem jej od razu całą scenę, to znaczy przede wszystkim o „sobowtórze”. Nigdy nie zapomnę i nie przebaczę jej tego chciwego w swym zaciekawieniu, ale nielitościwie spokojnego i pewnego siebie spojrzenia, z jakim wysłuchiwała mojego opowiadania, również stojąc.

- Gdzie on jest? Może pani wie? - zakończyłem natarczywie. - Tatiana Pawłowna posyłała mnie wczoraj do pani...

- Prosiłam pana do siebie jeszcze wczoraj. Wczoraj był w Carskim Siole; u mnie też był. A teraz (tu spojrzęła na zegar), teraz jest siódma, teraz na pewno będzie u siebie.

- Widzę, że pani wie wszystko, niech więc pani mówi, niech pani mówi! - zawołałem.

- Wiem dużo, lecz nie wszystko. Oczywiście, przed panem nie mam co ukrywać... - zmierzyła mnie dziwnym spojrzeniem, uśmiechając się i jakby zastanawiając się. - Wczoraj rano oświadczył się formalnie o rękę Katieriny Nikołajewny.

- To nieprawda! - wytrzeszczyłem oczy.

- List przeszedł przez moje ręce. Sama jej odwiozłam w zapieczętowanej kopercie. Tym razem postąpił ze mną „po rycersku” i nic przede mną nie ukrył.

- Anno Andriejewno, ja nic nie rozumiem!

502

- Oczywiście, to jest trudne do zrozumienia, ale to tak jak czyni karciarz, który rzuca na stół

ostatniego rubla, a w kieszeni ma już przygotowany rewolwer - tak należy rozumieć jego oświadczyzny. Jest dziewięć szans na jedną, że ona jego propozycję odrzuci, ale na tę dziesiątą, jak widać, jednak liczył i przyznam się, że to jest bardzo ciekawe, moim zdaniem... zresztą, to mogło być jakieś opętanie, ten „sobowtór”, jak to pan przed chwilą doskonale powiedział.

- I pani się uśmiecha? I czyż mogę wierzyć, że pani oddała ten list? Przecież pani jest narzeczoną jej ojca? Niech pani zmiłuje się nade mną, Anno Andriejewno!

- Wiersiłow prosił mnie, abym zrezygnowała dla jego szczęścia, a zresztą, ściśle mówiąc, nie prosił. Wszystko to odbyło się prawie bez słów, ale w jego oczach przeczytałam to. Ach, czego pan jeszcze chce? Przecież on już raz jeździł do Królewca, do pańskiej mamusi, żeby mu pozwoliła na małżeństwo z pasierbicą madame Achmakow. Zupełnie tak samo wybrał mnie wczoraj na swego pomocnika i powiernika.

Anna Andriejewna zbladła nieco. Była na pozór spokojna, lecz widać było, że sili się na sarkazm.

O, przebaczyłem jej bardzo wiele, gdy wglębiłem się w istotę rzeczy. Przez jakąś chwilę namyślałem się. Anna Andriejewna czekała w milczeniu.

- Wie pani - uśmiechnąłem się nagle. - Pani oddała list, ale pani nic nie ryzykowała, bo przecież do tego małżeństwa nie dojdzie, ale on? A ona, wreszcie! Ona, oczywiście odrzuci jego oświadczyzny, a wtedy... co się może wtedy stać? Anno Andriejewno, gdzie on jest teraz? -

krzyknąłem. - Tu każda chwila jest cenna, każdej chwili może się stać nieszczęście!

- Jest u siebie, mówiłam panu przecież. W swoim liście do Katieriny Nikołajewny, tym, który oddałam, prosił ją, aby cokolwiek się stanie, zechciała zobaczyć się z nim, w jego mieszkaniu, dziś

dokładnie o siódmej wieczór. Ona obiecała, że będzie.

- Ona u niego w mieszkaniu? To niemożliwe.

- Dlaczego? Mieszkanie jest własnością Nastasji Jegorowny i mogą się tam spotkać w charakterze jej gości.

- Ale ona boi się go... on gotów jest ją zabić! Anna Andriejewna uśmiechnęła się tylko.

- Katierina Nikołajewna, chociaż, jak to sama zauważyłam, boi się go, żywi jednak szacunek, a nawet pewien podziw dla szlachetności zasad i wzniosłości umysłu Andrieja Piotrowicza. Tym razem zaufała mu, żeby zakończyć z nim raz na zawsze. On zaś dał jej w liście najuro-503

czystsze, najbardziej rycerskie słowo, że nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Słowem, nie pamiętam dokładnie, jak to było w liście, ale zaufała... jakby to powiedzieć... żeby to już po raz ostatni... i jakby to powiedzieć, odpowiadając mu również najbardziej rycerskimi uczuciami. Może zatem rozegrał się między nimi pojedynek szlachetności.

- Ale sobowtór, sobowtór! - zawołałem. - Przecież to jest człowiek niepoczytalny.

- Dając wczoraj słowo, że przybędzie na spotkanie, Katierina Nikołajewna nie przewidywała prawdopodobnie, że coś podobnego może zajść.

Odwróciłem się nagle i popędziłem... Oczywiście, do niego, do nich. Ale już znalazłszy się w salonie, wróciłem na chwilę.

- A, pani, może nawet chce tego, żeby on ją zabił! - krzyknąłem i wybiegłem z domu. Mimo że cały trząsałem się, jak w ataku gorączki, wszedłem do mieszkania bardzo cicho, przez kuchnię i szeptem poprosiłem, żeby zawołano Nastasję Jegorownę, ale sama wyszła natychmiast i utkwiała we mnie przerażone spojrzenie.

- Pan... pana Wiersiłowa nie ma w domu.

Ale od razu i dokładnie wyłożyłem jej, szepcząc prędko, że wiem o wszystkim od Anny Andriejewny i że sam przychodzę wprost od niej.

- Nastasjo Jegorowno, gdzie oni są?

- W salonie, gdzie pan siedział onegdaj za stołem...

- Nastasjo Jegorowno, niech mnie pani tam wpuści!

-To niemożliwe!

- Nie do salonu, ale do pokoju obok! Nastasjo Jegorowno, Anna Andriejewna sama sobie tego życzy. Gdyby sobie tego nie życzyła, to by mi przecież nie powiedziała, że są tutaj. Nie usłyszą mnie... Ona sama chce tego...

- A jeżeli nie chce? - Nastasja Jegorowna nie spuszczała ze mnie badawczego spojrzenia.

- Nastasjo Jegorowno, ja zawsze wspominam pani Olę, niech pani mnie tam wpuści!

Wargi jej i podbródek zadrgały nagle.

- Mój kochany... to już chyba za Olę... za twoje serce... Nie opuszczaj Anny Andriejewny, kochany.

Nie porzucisz jej, co? Nie porzucisz?

- Nie porzucę!

- Daj mi najświętsze słowo, że jeżeli cię tam postawię, to nie wlecisz do nich i nie zaczniesz krzyczeć.

- Daję słowo honoru, Nastasjo Jegorowno. .v^-» =< -‘-,i ,

504

‘ Chwyliła mnie za surdut, przeprowadziła do ciemnego pokoju, sąsiadującego z tym, w którym siedzieli, poprowadziła bez najmniejszego szelestu po miękkim dywanie do drzwi, postawiła przed opuszczoną portierą i uniósłszy róg portiery, pokazała mi ich oboje.

Odeszła zostawiając mnie samego. Zostałem, zostałem oczywiście. Zdawałem sobie sprawę z tego, że podsłuchuję, że podglądam cudze tajemnice, ale zostałem... Musiałem zostać - ze względu na

„sobowtóra”. Przecież byłem świadkiem, jak Wiersiłow zniszczył ikonę!

Siedzieli naprzeciw siebie przy tym samym stole, przy którym jeszcze wczoraj piłem z nim wino na intencję jego „zmartwychwstania” i widziałem doskonale ich twarze. Katierina Nikołajewna była w czarnej, zwykłej sukni, piękna i spokojna jak zawsze. On mówił, a ona słuchała go z wyteżoną i skupioną uwagą. Widać było, że nieco się lęka, Wiersiłow zaś był niesłuchanie podniecony. Kiedy przyszedłem, rozmowa już się zaczęła i dlatego przez pewien czas nie mogłem nic zrozumieć.

Pamiętam jak nagle spytała:

- I to ja byłem przyczyną?

- Nie, to ja byłem przyczyną - odpowiedział Wiersiłow. - A pani jest tylko winowajczynią bez winy. Pani wie, że można być niewinnym winowajcą? To są winy, które najtrudniej przebaczyć i które zawsze pociągają za sobą karę - dodał, uśmiechając się jakoś dziwnie. - A ja myślałem już nawet, że zupełnie zapomniałem o pani i że mogę sobie kpić z mojej głupiej namiętności, ale... pani wie. Przy tym, cóż może mnie obchodzić człowiek, za którego pani wychodzi?

Wczoraj oświadczyłem się pani; niech pani daruje, to był idiotyzm, a tymczasem nie znajduję nic, co by go mogło zastąpić, nic... Cóż pozostaje mi do zrobienia zamiast tego idiotyzmu? Nie wiem... - roześmiał się z wyraźnym jakimś roztargnieniem, spojrzawszy jej nagle w oczy. Przy tym mówił patrząc jakby w bok. Gdybym był na jej miejscu, to bałbym się tego uśmiechu; czułem to. Nagle Wiersiłow wstał z krzesła.

- Niech pani powie, jak pani mogła obiecać, że pani tu przyjdzie? - zapytał nagle, jakby przypomniawszy sobie to, co najważniejsze. - Moje zaproszenie i mój list były jednym głupstwem. Mogę jeszcze domyślać się, jak to się stało, że pani obiecała przyjść, ale po co pani przyszła - to jest pytanie? Czyżby pani przyszła tylko ze strachu?

505

- Przyszłam po to, żeby pana zobaczyć - powiedziała Katierina Ni-kołajewna, spoglądając na niego nieśmiało i ostrożnie.

- Bardzo dawno nie widziałem pani, Katierino Nikołajewno, tak dawno, że już przestałem mieć nadzieje, iż kiedykolwiek będę mógł, tak jak teraz, siedzieć obok pani, wpatrywać się w pani twarz, słuchać pani głosu... Dwa lata nie widzieliśmy się, przez dwa lata nie rozmawialiśmy ze sobą. Że z panią będę kiedyś mówił - o tym już nawet nie marzyłem. No, niech będzie: co było, to było, a co jest, to jutro też rozwieje się jak dym, trudno! - Muszę się na to zgodzić, bo znowu nie można tego niczym zastąpić, ale niech pani teraz tak nie odchodzi - dodał nagle, nieledwie błagalnym tonem. - Jeżeli już pani dała mi jałmużnę i przyszła, to niech to nie idzie na marne, niech mi pani odpowie na jedno pytanie!

- Na jakie pytanie?

- Przecież już nigdy nie zobaczymy się, więc cóż to pani szkodzi? Niech mi pani powie prawdę

przynajmniej raz w życiu, niech pani odpowie mi na jedno pytanie, pytanie którego nigdy nie zadaje człowiek mądry: czy pani kochała mnie kiedykolwiek, czy też... zdawało mi się tylko?

Katierina Nikołajewna zaczerwieniła się.

- Kochałam - odpowiedziała.

Byłem pewien, że tak powie: o szczerą, o wspaniałomyślną, o szlachetną! ; ;

- A teraz? - pytał dalej Wiersiłow..

- Teraz nie.

- I wydaję się pani śmieszny?

- Nie, uśmiechnęłam się teraz niechcący, dlatego że z góry wiedziałam, iż pan zapyta: „A teraz?”.

Dlatego się uśmiechnęłam, że kiedy coś odgadujemy, to zawsze musimy się uśmiechać...

Było to po prostu dziwne. Nigdy jeszcze nie widziałem Katieriny Nikołajewny tak ostrożnej, tak nieśmiałej i tak zmieszanej. Wiersiłow pożerał ją wzrokiem.

- Wiem, że pani mnie nie kocha... Zupełnie mnie pani nie kocha?

- Być może, że nawet wcale nie kocham. Nie kocham pana - dodała stanowczo, już bez pośpiechu i zmieszania. - Tak, kochałam pana, ale bardzo krótko. Bardzo prędko przestałam pana kochać.

- Wiem, wiem, pani spostrzegła, że to nie jest to, czego pani potrzeba, ale... czegoż więc pani potrzeba? Niech mi pani to raz jeszcze wytłumaczy...

506

- Czyż ja to panu już kiedyś tłumaczyłam? Czego mi potrzeba?

Jestem najzwyczajszą kobietą, jestem spokojną kobietą, lubię... lubię ludzi wesołych.

;; , ;

- Wesołych?

- Widzi pan, ja nawet nie umiem z panem rozmawiać. Zdaje mi się, że gdyby pan mógł kochać mnie nie tak gorąco, to bym pana pokochała - znowu uśmiechnęła się nieśmiało.

Najzupełniejsza szczerłość błysnęła w jej odpowiedzi; czyżby nie pojmowała, że taka właśnie

odpowiedź zawiera najściślej sformułowaną ich stosunku, która wszystko tłumaczy i wszystko rozstrzyga. O, jak Wiersiłow musiał to doskonale zrozumieć! Mimo to patrzył na nią i uśmiechał się dziwnie.

- Bjoring jest zapewne człowiekiem wesołym? - pytał dalej.

- On nie powinien pana niepokoić - odpowiedziała Katierina Nikołajewna z pośpiechem. -

Wychodzę za niego tylko dlatego, że z nim będę miała życie możliwie spokojne, ale duszy mu nie oddaję.

- Podobno pani znowu polubiła towarzystwo, życie światowe?

- Nie towarzystwo; wiem dobrze, że w towarzystwie panuje taki sam nieład jak wszędzie, ale formy jego są jeszcze na zewnątrz piękne, tak, że jeżeli już zdecydowałam się żyć, nie wiążąc się z niczym i z nikim, to wolę tam, niż gdzie indziej.

- Słyszałem często w ostatnich czasach słowo „nieład”. Pani również zlekła się wtedy mego nieładu, włosiennicy, idei, wybryków?

- Nie to było coś zupełnie innego...

- Więc co, na miłość Boską? Niech mi pani powie otwarcie.

- Powiem to panu otwarcie, bo uważam pana za potężny umysł... Zdawało mi się zawsze, że w panu tkwi coś śmiesznego...

Ledwo to powiedziała, natychmiast zaczerwieniła się, jakby zorientowawszy się, że popełniła niesłychaną nieostrożność.

- Otóż właśnie za to, co mi pani powiedziała, mogę pani wiele wybaczyć - powiedział jakoś dziwnie Wiersiłow.

- Nie dokończyłam jeszcze - zaczęła pospiesznie, rumieniąc się. - To ja sama jestem śmieszna... już przez to, że mówię z panem jak głupia.

- Nie, pani nie jest śmieszna, pani jest tylko zepsutą, światową kobietą! - Wiersiłow zbladł

okropnie. - Nie dokończyłem wtedy, kiedy pytałem panią, po co pani przyszła. Chce pani, to dokończę. Istnieje pewien list, pewien dokument, a pani się go strasznie boi, bo ojciec pani, zobaczywszy ten dokument, może panią przekląć za życia, a przed śmiercią pozbawić panią prawnie dziedzictwa. Pani boi się tego listu

507

i pani przyszła po ten list - zakończył, drżąc na całym ciele i omal nie szczękając zębami.

Katierina Nikołajewna słuchała z wyrazem smutku i bólu na twarzy.

-Wiem, że pan może narobić mi wiele przykrości - powiedziała, jakby odpędzając jego słowa. -Ale przyszedłam nie tyle po to, żeby pana prosić, aby pan mnie przestał prześladować, ile po to, aby się z panem zobaczyć. Już od dawna pragnęłam pana spotkać, ja sama. Ale zobaczyłam pana takiego samego, jak dawniej - dodała nagle, jakby pociągnięta osobliwą i ważną myślą i nawet jakby owładnięta nagłym uczuciem.

- A pani spodziewała się zobaczyć mnie innego? Czy to na skutek mojego listu o pani przewrotności? Niech pani powie, pani szła tutaj bez strachu?

- Przyszedłam dlatego, że pana kiedyś kochałam, ale wie pan, niech mi pan nie grozi, dobrze?

Przynajmniej dopóki jesteśmy razem, niech mi pan nie przypomina moich brzydkich myśli i uczuć. Byłabym bardzo szczęśliwa, gdyby pan mógł mówić o czymś innym. Groźby zostawmy na później, a teraz - co innego... Przyszedłam, doprawdy tylko po to, żeby pana widzieć i posłuchać przez chwilę. A jeżeli pan nie może, to niech mnie pan od razu zabije, tylko niech mi pan nie grozi i niech się pan nie zadręcza - zakończyła spoglądając na niego w jakimś dziwnym wyczekiwaniu, jak gdyby naprawdę spodziewała się, że może ją zabić.

Wiersiłow wstał znowu z krzesła i spoglądając na nią rozpalonym wzrokiem, powiedział

stanowczo:

- Nic się pani tutaj nie może stać!

-Ach tak, pańskie słowo honoru! - uśmiechnęła się Katierina Nikołajewna.

- Nie, nie tylko dlatego, że dałem słowo honoru w liście, ale dlatego, że chcę i będę myśleć przez całą noc o pani.

- I dręczyć samego siebie?

- Kiedy jestem sam, zawsze marzę o pani. Nie robię nic innego, tylko z panią mówię. Włóczę się po norach i zaułkach, i pani prawem kontrastu natychmiast ukazuje się przede mną. Ale zawsze drwi pani sobie ze mnie, jak teraz...

Mówił nie panując nad sobą.

- Nigdy, nigdy nie drwiłam sobie z pana - zawołała ze wzruszeniem i jakby z ogromnym współczuciem na twarzy. - Jeżeli już przyszedłam, to starałam się ze wszystkich sił zrobić to tak, aby pana nie dotknąć -dodała nagle. - Przyszedłam, aby panu powiedzieć, że pana prawie ko-508

cham... Pan mi daruje, nie powiedziałam tak, jak trzeba - dodała z pośpiechem.

Wiersiłow roześmiał się.

- I czemu pani nie umie udawać? Czemu pani jest taka prostolinijna, czemu pani nie jest taka jak wszystkie kobiety?... Jak można powiedzieć człowiekowi, którego się odtrąca: ja pana prawie kocham?

- To było tylko źle powiedziane - odpowiedziała pośpiesznie Katie-rina Nikołajewna. - Nie umiałam dobrać słów. To tylko dlatego, że wobec pana zawsze czułam się niepewna i nie umiałam mówić, od naszego pierwszego spotkania. A jeżeli nawet to było źle powiedziane: „ja pana prawie kocham”, to przecież, w myśli mojej było właśnie tak. Dlatego też powiedziałam panu, że kocham pana taką... no taką powszechną miłością, którą można kochać wszystkich ludzi i do której zawsze można się przyznać bez wstydu...

Wiersiłow słuchał milcząc, nie spuszczał z niej gorącego wzroku.

- Ja, oczywiście, obrażam panią - zaczął znowu, jakby nieprzytomnie. - Musi to być istotnie to, co się nazywa namiętnością... Wiem tylko jedno: z panią jestem człowiekiem skończonym, a bez pani - również. Czy pani jest przy mnie, czy pani nie ma, gdziekolwiek by pani była - zawsze czuję panią przy sobie. Wiem również, że musiałbym nienawidzić panią jeszcze mocniej niż kochać. Zresztą, już od dawna nie myślę o tym wszystkim, wszystko mi jedno. Żal mi tylko, że pokochałem taką kobietę jak pani...

Mówił z przerwami, jakby mu brakowało sił i ciężko dyszał.

- Dziwi się pani? Nie może pani pojąć tego, że tak mówię? - uśmiechnął się blado. - Przypuszczam, że gdybym wiedział, iż sobie panią tym pozyskam, to mógłbym stać przez trzydzieści lat na jednej nodze jak słupnik... Widzę, że budzę w pani litość. Twarz pani mówi wyraźnie: „Gdybym tylko mogła, to bym cię pokochała, ale nie mogę”... Nieprawdaż? To nic, straciłem już ambicję.

Gotów jestem, jak żebrak, przyjąć od pani każdą jałmużnę - słyszy pani - każdą... A czy żebrak może mieć ambicję?

Katierina Nikołajewna wstała i podeszła do niego.

- Mój drogi przyjacielu! - rzekła, kładąc mu rękę na ramieniu, a na twarzy jej odmalowało się nie do oddania wzruszenie. - Nie mogę słuchać tego, co pan mówi! Przez całe życie będę myśleć o panu, jako o człowieku niesłychanie wartościowym, jako o największym sercu, jako o czymś świętym, o czymś, co mogę czcić i kochać. Andrieju Piotrowi-czu, niech pan mnie zrozumie, człowieku drogi mi i teraz, i niegdyś... Przecież jeśli przyszedłam tu do pana, to musiałam mieć pewien dług wdzięczności wobec pana! Nie zapomnę nigdy, jak pan wstrząsnął moim

509

umysłem w pierwszym okresie naszej znajomości. Rozstańmy się jako przyjaciele. Myśl o panu zostanie moją najmiłszą i najcenniejszą myślą w przeciągu całego mojego życia.

- „Rozstańmy się, a wtedy pokocham pana - pokocham, tylko rozstańmy się koniecznie”. Niech pani posłucha - rzekł blady jak ściana Wiersiłow. - Niech mi pani da jeszcze jedną jałmużnę.

Niech mnie pani nie kocha, niech pani ze mną nie żyje, nie spotykajmy się. Będę pani niewolnikiem; jeżeli mnie pani zawoła, zniknę natychmiast, jeżeli pani nie będzie chciała mnie widzieć ani słyszeć, tylko... tylko, niech pani nie wychodzi za nikogo za męż!

Serce ścisnęło mi się boleśnie, kiedy usłyszałem te słowa. Ta naiwna, hańbiąca prośba była tym boleśniejsza, że była taka otwarta i tak niemożliwa do spełnienia. Tak, oczywiście, to była prośba żebraka! Ale, czyżby mógł mieć choćby najsłabszą nadzieję, że Katierina Nikołajew-na się zgodzi?

Tymczasem upokarzał się, próbował ją ubłagać! Widok tego ostatecznego upadku duchowego był nie do zniesienia. Wszystkie rysy jego twarzy, jakby naraz skrzywiły się z bólu, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, opamiętał się nagle.

- Ja panią zniszczę - rzekł nagle dziwnym, zmienionym, nieswoim głosem.

Ale odpowiedziała mu również jakimś dziwnym, zupełnie nieswoim, niespodziewanym głosem:

- Gdybym panu dała jałmużnę, to za nią mściłby się pan na mnie jeszcze bardziej, niż pan mi teraz grozi, bo by pan nigdy nie zapomniał tego, że stał tu przede mną w roli takiego żebraka... Nie mogę słuchać pańskich gróźb! - dodała nieledwie z oburzeniem, spoglądając na niego jakby z wyzwaniem.

- „Pańskich gróźb”, to znaczy gróźb takiego żebraka - powiedział cicho Wiersiłow, uśmiechając się.
- Nie zrobię pani żadnej krzywdy, niech się pani nie boi, może pani odejść... z tym dokumentem... Zrobię, co będę mógł, żeby go pani oddać, tylko niech pani już idzie. Napisałem do pani głupi list, a pani mi na głupi list odpowiedziała i przysła tutaj -jesteśmy skwitowani.

Tędy, proszę pani - wskazał jej drzwi (chciała przejść przez pokój, w którym byłem ukryty).

- Niech mi pan przebaczy, jeżeli pan może - zatrzymała się na progu.

-A cóż, jeżeli kiedyś spotkamy się jako para dobrych przyjaciół i będziemy wspominać całą tę scenę z wytwornym uśmiechem? - powiedział nagle Wiersiłow, ale wszystkie rysy jego twarzy drżały.

510

- Och, daj to Boże! - zawołała Katierina Nikołajewna składając ręce jak do modlitwy i lękliwie wpatrując się w jego oczy, jakby chciała odgadnąć, co mógł mieć na myśli.

- Niech pani już idzie... Obojgu nam nie brak rozumu, ale pani... O, pani jest człowiekiem mojego pokroju! Napisałem wariacki list, a pani przysła; po to, żeby mi powiedzieć, że pani mnie prawie kocha! Nie, pani i ja jesteśmy ludźmi tego samego szaleństwa! Niech pani będzie zawsze taką szaloną, niech się pani nie zmienia. I spotkamy się jako dwoje przyjaciół, zaręczam to pani!

-I wtedy już pana na pewno pokocham, bo już teraz to czuję! - tu nie wytrzymała w niej natura kobieca, musiała rzucić mu przez próg te ostatnie słowa.

Wyszła. Szybko i bezszelestnie przeszedłem do kuchni, i nie rzuciwszy wzrokiem na Nastasję

Jegorownę, która czekała na mnie, pobiegłem kuchennymi schodami i przez podwórko na ulicę.

Ale zdążyłem zobaczyć tylko, jak wsiadała do czekającej przed bramą karety. Pobiegłem ulicą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

i

P

rzybiegłem do Lamberta. O, jakżebym chciał odszukać choćby pozory związku logicznego i zdrowego rozsądku w tym, co robiłem owego wieczoru i przez całą tę noc, to jednak nawet teraz, kiedy mogę rozumować najzupełniej poprawnie, nie umiem znaleźć w tym wszystkim sensu.

Działiałem wówczas pod wpływem uczucia, albo raczej w całym chaosie uczuć, wśród których musiałem z konieczności zgubić się. Prawda, że nad wszystkim górowało jedno najsilniejsze uczucie, które mnie po prostu dusiło i miażdżyło, ale... czyż mam się do niego przyznać? Tym bardziej, że sam nie jestem pewien... Wpadłem do Lamberta, oczywiście, na wpół przytomny, tak, że przestraszyłem i jego, i Alfonsynę. Miałem nieraz sposobność stwierdzić, że nawet najbardziej po cygańsku prowadzący się Francuzi są w swym życiu domowym niezmiernie przywiązani do pewnego rodzaju mieszczańskiego porządku, do pewnego rodzaju solidnego, prozaicznego, raz na zawsze ustalonego sposobu codziennego bytowania. Zresztą Lambert zorientował się momentalnie, że musiało się stać coś ważnego i ucieszył się bezgranicznie, widząc mnie nareszcie u siebie, mając mnie nareszcie w swej władzy. A przecież dzień i noc marzył o czymś podobnym! Och, byłem mu koniecznie potrzebny! I oto, w chwili, kiedy już stracił resztki nadziei, nagle, ni stąd ni zowąd przyszedłem sam do niego i to w takim stanie, w jakim byłem dla niego najbardziej pożądanym!

- Lambert, wina! - krzyknąłem do niego. - Będziemy pić, będziemy się bawić, Alfonsyna, gdzie pani ma gitarę?

Sceny tej nie chcę opisywać, to zbyt cenne. Piliśmy i opowiedziałem mu wszystko. Lambert słuchał

chciewie. Sam od razu zaproponowałem mu spiszek przeciwko Katierinie Nikołajewnie. Po pierwsze: mieliśmy ją wezwać do siebie listownie...

512

- To można zrobić - potakiwał Lambert, łykając wprost każde moje słowo.

Po wtóre: trzeba posłać jej w liście kopię „dokumentu”, aby mogła stwierdzić, że to nie jest czcza pogróżka.

- Tak, można to zrobić - potakiwał Lambert.

- Trzeba, a nie można - zawołałem - koniecznie trzeba! Przecież to wszystko ze względu na niego -

tłumaczyłem popijając ze szklanki łyk po łyku. (Piliśmy niby we trójkę, ale zdaje się, że ja sam

wypiłem całą butelkę szampana, a oni tylko udawali, że piją.) - Schowam się w sąsiednim pokoju razem z Wiersiłowem (Lambert, musisz wystarać się o jeszcze jeden pokój!), i kiedy ona zgodzi się już na wszystko, na okup pieniężny i na inny okup, bo one wszystkie są podłe, wtedy ja i Wiersiłow wyjdziemy i przyłapiemy ją na gorącym uczynku, a Wiersiłow, przekonawszy się jaka jest podła, wyleczy się od razu, a ją wypędzi na ulicę. Ale trzeba sprowadzić jeszcze Bjoringa, żeby i on to widział - dodałem w napadzie szału.

- Nie, Bjoring jest niepotrzebny - próbował zaprzeczyć Lambert.

- Potrzebny, potrzebny! - ryknąłem znowu. - Lambert, nie możesz tego pojąć, bo jesteś na to za głupi! Przeciwnie, musimy doprowadzić do skandalu w wyższych sferach; to będzie zemsta i na niej, i na arystokracji, bo ona musi ponieść karę. Lambert, dostaniesz od niej weksel... Pieniądzy nie potrzebuję, mogę napluć na pieniądze, a ty schylisz się i zbierzesz je i schowasz do kieszeni, oplute przeze mnie. Chcę ją złamać, zmiażdżyć!

- Tak, tak - potakiwał ciągle Lambert. - Dobrze, dobrze...

Przez cały ten czas rzucał porozumiewawcze spojrzenia Alfonsynie.

- Lambert! Ona żywi niesłychany szacunek do Wiersiłowa. Widziałem przed chwilą - mamrotałem.

- To świetnie, żeś ty tak wszystko podpatrzył. Nie przypuszczałem nigdy, że jesteś takim znakomitym szpiegiem i że masz tyle sprytu! To miało być dla mnie pochlebstwem.

- Łżesz, Francuzie, nie jestem szpiegiem, ale mam bardzo wiele sprytu! A wiesz, Lambert, przecież ona go kocha! - ciągnąłem dalej, czując potrzebę wypowiedzenia tego, co miałem na sercu. - Ale nie wyjdzie za niego, dlatego, że Bjoring jest gwardzistą, a Wiersiłow, jedynie człowiekiem szlachetnym i przyjacielem ludzkości, co u nich oznacza - osoba komiczna i więcej nie! Och, ona rozumie go doskonale, ciągle go kokietuje, ale nie wyjdzie za niego! To nie jest kobieta, to -

zmija! Każda kobieta jest zmiją i każda zmija jest kobietą! Trzeba go wyleczyć, trzeba 513

mu zdjąć bielmo z oczu. Niech widzi, jaka jest i niech się wyleczy. Lambert, przyprowadzę go do ciebie.

- Dobrze, doskonale - potakiwał Lambert, dolewając mi co chwila.

Przez cały ten czas miał na uwadze przede wszystkim to, żeby mnie czymś nie rozdrażnić, żeby mi nie przeczyć i żebym jak najwięcej pił... To było robione tak po prostaku i tak wyraźnie, że nawet w tym stanie, w jakim byłem, musiałem to widzieć. Ale sam już nie miałem sił, żeby wyjść. Piłem i mówiłem, piłem i mówiłem - musiałem wypowiedzieć wszystko. Kiedy Lambert poszedł po drugą butelkę, Alfonsyna zagrała na gitarze jakąś hiszpańską piosenkę, a ja o mały włos nie zacząłem płakać.

- Lambert, czy ty to wszystko rozumiesz? - wołałem przejęty do głębi. - Tego człowieka trzeba koniecznie ratować, bo otaczają go... czary. Gdyby ona za niego wyszła, to on następnego ranka wyrzuciłby ją na ulicę... tak to bywa. Bo taka przemoc miłości, taki gwałt nad wolą ludzką działa jak

atak choroby, jak szaleństwo, jak zarzucona na szyję pętla; i zaledwie człowiek osiągnie to, czego pragnął, natychmiast bielmo spada mu z oczu i rodzi się uczucie biegunowo różne - wstręt i nienawiść, chęć zdeptania, zmiżdżenia. Znasz historię Abisag, Lambert, czytałeś o niej?

- Nie, nie pamiętam, to powieść? - wymamrotał Lambert.

- Och, ty nie masz o niczym pojęcia. Jesteś strasznie niewykształcony... ale co to mnie może obchodzić. Wszystko mi jedno! Och, on kocha mamę: całował jej portret. Tamtą wypędzi następnego ranka, a sam wróci do mamy, ale wtedy będzie już za późno, a więc trzeba go ratować teraz, zaraz.

Pod koniec zacząłem gorzko płakać, ale nie przestawałem mówić i ogromnie dużo piłem. Rzeczą niezmiernie charakterystyczną jest, że przez cały ten wieczór Lambert ani razu nie wspomniał o

„dokumencie”, to znaczy nie spytał, gdzie on jest. Nie żądał, żebym go pokazał, bądź żebym po prostu położył go na stole; przecież byłoby zupełnie naturalne, gdyby przy układaniu planu zażądał

tego. Jeszcze jedno: mówiliśmy ciągle, że trzeba ów plan wykonać, że to na pewno zrobimy, ale o tym, gdzie to będzie zrobione, jak i kiedy, o tym wcale nie rozmawialiśmy. Lambert ograniczył się do potakiwania mi i do rzucania porozumiewawczych spojrzeń Alfonsynie - poza tym nic nie robił!

Oczywiście, wtedy nie zwracałem na to uwagi, ale pamiętam to doskonale.

Wreszcie usnąłem u niego na kanapie, w ubraniu! Spałem długo, a kiedy obudziłem się, było już późno. Pamiętam, że po przebudzeniu leżałem

514

przez pewien czas na kanapie, zbierając myśli i udając, że jeszcze śpię. Ale Lamberta już nie było w pokoju, wyszedł. Była już godzina dziewiąta, w piecu potrzaskiwało palące się drzewo, zupełnie tak samo, jak wtedy, kiedy to po owej nocy ocknąłem się po raz pierwszy u Lamberta. Ale zza parawanu pilnowała mnie Alfonsyna, co zauważyłem od razu, ponieważ dwukrotnie podchodziła i zaglądała za parawan, a ja wtedy zamykałem oczy i udawałem, że jeszcze śpię. Udawałem dlatego, że miałem wyrzuty sumienia i musiałem zastanowić się nad nową sytuacją. Z przerażeniem stwierdziłem całą głupotę i całą nikczemność mojej nocnej spowiedzi przed Lambertem, mojej umowy z nim, mojej pomyłki, tego, że pobiegłem do niego! Ale na szczęście dokument miałem przy sobie i był tak samo zaszyty w bocznej kieszeni. Sprawdziłem ręką - był na miejscu! A więc, pozostawało mi tylko zerwać się z łóżka i uciec, a wstydzic się wobec Lamberta nie miałem powodu, Lambert nie wart był tego.

Ale wstydzilem się przede wszystkim przed samym sobą! Sam musiałem być własnym sędzią i - o, Boże, co działo się w mojej duszy! Ale nie chcę opisywać tego piekielnego, nie do wytrzymania bólu, tego poczucia brudu i łajdactwa! Mimo to jednak muszę się przyznać, bo, jak się zdaje, nadszedł już odpowiedni czas. Musi się to znaleźć w moich notatkach. A więc - niech będzie wiadomo, że jeżeli chciałem okryć ją hańbą i być niemal świadkiem tego, jak będzie dawała okup Lambertowi (o, nikczemności!), to nie dlatego, że chciałem ratować oszalałego Wiersiłowa i oddać go mamie, ale dlatego, że... prawdopodobnie sam ją kochałem i byłem o nią zazdrosny! O kogo byłem

zazdrosny? O Bjo-ringa, o Wiersiłowa? O tych wszystkich, na których będzie patrzyła podczas balu, z którymi będzie rozmawiała, podczas gdy ja będę stał w kącie, rumieniąc się ze wstydu?... O potworności!

Słowem, nie wiem, o kogo byłem zazdrosny, ale czułem jedno i przekonałem się tego wieczoru, że nawet marzyć o niej nie mogę, że ta kobieta odepchnie mnie i wyśmieje za moją zdradę i głupotę!

Była szczerą i szlachetną, a ja byłem szpiclem i szantażystą.

Wszystko to ukrywałem w głębi serca, ale teraz nadszedł czas, by wszystko podsumować. Ale jeszcze jedno zastrzeżenie, tym razem już ostatnie: jest rzeczą prawdopodobną, że to, co napisałem o sobie, zawiera połowę albo nawet siedemdziesiąt pięć procent kłamstwa. Tej nocy nienawidziłem jej jak opętaniec, a potem jak niepoczytalny pijak. Jak już powiedziałem, był to chaos uczuć i wrażeń, z których sam nie mogłem nic zrozumieć. Ale mimo wszystko musiałem je opisać, bo przecież przynajmniej część tych uczuć istniała naprawdę.

515

Ze wstrętem i z niezachwianym postanowieniem naprawienia wszystkiego zerwałem się z kanapy.

Natychmiast zza parawanu wybiegła Alfon-syna. Chwyciłem futro, czapkę i kazałem jej powiedzieć Lambertowi, że wczoraj bredziłem w gorączce, że rzuciłem oszczerstwo na kobietę, że to wszystko były żarty i żeby Lambert nie odważył się nigdy przychodzić do mnie... Wszystko to powiedziałem byle jak, piąte przez dziesiąte, w pośpiechu, po francusku i oczywiście ogromnie niewyraźnie, ale ku memu wielkiemu zdumieniu, Alfonsyna wszystko doskonale rozumiała, a co było najdziwniejsze, to to, że jakby się nawet z tego ucieszyła.

- Oui, oui* - potakiwała mi. - C'est une honte! Unedamę... Oh, vous êtes generewc, vous! Soyez tranquille, jeferai voir raison d Lambert...**

Właściwie powinienem był się wtedy zdumieć na widok tak nagłej zmiany w jej uczuciach, a więc prawdopodobnie i w uczuciach Lamberta. Jednakże wyszedłem bez słowa, w myślach moich był

chaos i nie byłem zdolny do zastanawiania się. O, potem zrozumiałem wszystko, ale było już za późno!

Och, co to była za piekielna intryga! Tu muszę się zatrzymać i wytłumaczyć zawczasu o co chodziło, bo inaczej nikt z czytelników nie byłby w stanie nic zrozumieć.

Jeszcze podczas mojej pierwszej wizyty u Lamberta, kiedy na wpół zamarznęty leżałem w jego pokoju, wy gadałem się jak głupi, że dokument mam zaszyty w kieszeni. Potem usnąłem na kanapie, a Lambert natychmiast obmacał moją kieszeń i przekonał się, że tam rzeczywiście jest zaszyty jakiś papier. Potem jeszcze kilka razy miał sposobność sprawdzić, że papier jest tam jeszcze. Na przykład podczas obiadu u Tatarów, pamiętam, jak kilkakrotnie obejmował mnie wpół.

Zrozumiawszy wreszcie, jakie znaczenie posiada ten papier, ułożył sobie plan, o który go wcale nie podejrzewałem. Jak głupiec wyobrażałem sobie przez cały czas, że jeśli tak uporczywie zaprasza

mnie do siebie, to jedynie po to, aby skłonić mnie do zawarcia przymierza i do wspólnego działania. Niestety! Lambert zapraszał mnie w zupełnie innym celu. Chciał po prostu spoić mnie do utraty zmysłów, a kiedy upadnę bez przytomności i zacznę chrapać, wtedy wystarczy rozpruć kieszeń i zabrać dokument. Tak się też stało: owej nocy Alfonsynka, korzystając z mego stanu, wła-

* Tak, to wstyd

** To wielki wstyd! Dama... Pan ma wiele serca! Proszę o cierpliwość, porozmawiam o tym z Lambertem...

516

snoręcznie rozpruła kieszeń. Zabrali list, jej list, mój dokument moskiewski, przygotowali arkusik papieru listowego podobnej wielkości i zaszyli go w miejsce listu, tak, że nie mogłem nic zauważyć. Alfonsyn-ka sama go zaszyła. A ja, prawie do samego końca, jeszcze przez półtora dnia

- byłem najmocniej przekonany, że jestem jedynym posiadaczem tajemnicy, i że los Katieriny Nikołajewny zależy ode mnie.

n

Następuje ostatnia doba moich zapisek Zbliżam się nareszcie do końca!

Było już chyba wpół do jedenastej, kiedy podniecony i, jak sobie przypominam, dziwnie roztargniony, ale ostatecznie zdecydowany, dowlokłem się do swego mieszkania. Nie spieszyłem się bynajmniej, wiedziałem już, co mam czynić. I nagle, zaledwie stanąłem w korytarzu, zrozumiałem od razu, że spadła nowa bieda i sprawa uległa niezmiernej komplikacji: stary książę, przywieziony przed chwilą z Carskiego Sioła, znajdował się w naszym mieszkaniu, a towarzyszyła mu Anna Andriejewna.

Umieszczono go nie w moim pokoju, ale w dwóch sąsiednich, należących do gospodarza. Jeszcze dnia poprzedniego, jak się okazało, dokonano w tych pokojach pewnych zmian i ulepszeń, zresztą bardzo nieznacznych. Gospodarz przeniósł się z żoną do pokoiku owego kapryśnego, piegowatego lokatora, o którym wspominałem uprzednio, a lokator został na pewien czas przeniesiony, nie wiem zresztą dokąd.

Spotkał mnie gospodarz, który natychmiast wślizgnął się do mojego pokoju. Nie miał już takiej zdecydowanej miny, jak wczoraj, ale znajdował się w stanie ogromnego podniecenia, odpowiednio, że tak powiem, do sytuacji. Nie odezwałem się do niego ani słowem, ale stanąłem w kącie i ścisnąwszy głowę rękoma, stałem tak koło minuty. Gospodarz w pierwszej chwili pomyślał, że „gram”, ale wreszcie nie wytrzymał i zląkł się:

- Czyżby coś było nie w porządku? - wymamrotał. - Chciałem właśnie spytać pana - dodał, widząc, że nie odpowiadam. - Czy pan może życzy sobie otworzyć te drzwi, żeby było bezpośrednio połączenie z pokojami książęcymi... zamiast przez korytarz? - Pokazał mi boczne drzwi, dotychczas

stale zamknięte, prowadzące do pokojów zajmowanych przez niego, a teraz, jak widać, oddanych księciu.

- Proszę pana, Piotrze Ippolitowiczu - zwróciłem się do niego sucho - uprzejmie proszę pana, aby pan poszedł i poprosił tu do mnie natych-517

miast Annę Andriejewnę w celu omówienia ważnej sprawy. Czy oni już tu dawno są?

- A już będzie godzina.

- Niech więc pan pójdzie do niej.

Poszedł i przyniósł dziwną odpowiedź, że Anna Andriejewna i ksiązę Nikołaj Iwanowicz bardzo gorąco pragną zobaczyć mnie u siebie, czyli że Anna Andriejewna nie chciała przyjść.

Obciągnąłem i oczyściłem surdut, pognieciony w czasie nocnej libacji, umyłem się i uczesałem i rozumiejąc, że trzeba zachować jak najdalej idące ostrożności, poszedłem do staruszka.

Ksiązę siedział na kanapie za okrągłym stołem, a Anna Andriejewna zaparzała herbatę w drugim rogu pokoju na innym stole, nakrytym obrusem, na którym błyszczał wyczyszczony, jak nigdy przedtem, samowar gospodarza. Wszedłem do pokoju z tym samym wyrazem surowości na twarzy.

Staruszek natychmiast spostrzegł to i zadrzał, a uśmiech na jego twarzy momentalnie zamienił się w przestach, ale nie mogłem wytrzymać, roześmiałem się i wyciągnąłem do niego rękę. Biedak po prostu rzucił mi się w objęcia. Zrozumiałem od razu, kogo mam przed sobą. Było dla mnie rzeczą oczywistą, że ze staruszka jeszcze zupełnie czerstwego, bądź co bądź rozsądnego i zachowującego resztki własnej woli, zrobiono w ciągu tych dwóch tygodni, przez które nie widywałem się z nim, jakąś mumię, jakieś dziecko lękliwe i podejrzliwe. Dodam, że ksiązę wiedział doskonale, po co go tutaj sprowadzono i że wszystko odbyło się dokładnie tak samo, jak opowiedziałem wyżej. Był po prostu obezwładniony, oszołomiony, zmiażdżony wiadomością o zdradzie córki i o domu wariatów. Ogarnięty strachem, nie zdając sobie dokładnie sprawy, co robi, pozwolił się wywieźć.

Powiedziano mu, że jestem posiadaczem tajemnicy i że w moich rękach jest klucz umożliwiający ostateczną decyzję. Powiem z góry, że właśnie myśl o tej ostatecznej decyzji były przyczyną jego okropnego przerażenia. Spodziewał się po prostu, że wejdę do pokoju z wyrokiem wypisanym na czole i z dokumentem w ręku, i był ogromnie rad, kiedy zacząłem się śmiać i rozmawiać o czymś zupełnie innym. Kiedyśmy się uścisnęli, staruszek aż się rozplakał. Muszę się przyznać, że sam również miałem łzy w oczach, ale nagle zrobiło mi się go ogromnie żal... Maleńki piesek Alfonsyny zaszczekał głosikiem cienkim jak dzwonek i rwał się do mnie z kanapy. Z tym maleńkim pieskiem ksiązę już nie rozstawał się, odkąd go kupił; nawet sypiał z nim razem.

518

- Oh, je disais, qu'il a du coeur!* - zawołał wskazując na mnie Annie Andriejewnie.

- Ksiązę się bardzo poprawił. Wygląda pan prześlicznie, tak świeżo, zdrowo! - powiedziałem.

Niestety, było właśnie na odwrót: wyglądał jak mumia, a powiedziałem to jedynie w celu dodania mu otuchy.

- N'est-ce pas, n'est-ce pas? ** - powtórzył ucieszony. - O, moje zdrowie poprawiło się nadzwyczajnie.

- Ale, niech pan pije herbatę, a jeżeli państwo mnie poczęstujecie, chętnie napiję się z wami.

- Wspaniale! „Pijmy, radujmy się”, czy też jakoś tam... jest taki wierszyk. Anno Andriejewno, niech mu pani da herbaty, U prend toujours par les sentiments ***... Niech nam pani da herbaty, moja kochana.

Anna Andriejewna podała herbatę, ale nagle zwróciła się do mnie i zaczęła niezmiernie uroczyście:

- Arkadiju Makarowiczu, my oboje, ja i mój dobrodziej, księżę Nikołaj Iwanowicz, schroniliśmy się u pana. Uważam, że jesteśmy pańskimi gośćmi, wyłącznie pańskimi... i oboje prosimy pana o udzielenie nam schronienia. Niech pan pamięta, że los tego świętego, tego

najszlachetniejszego i pokrzywdzonego człowieka, spoczywa całkowicie w pańskich rękach...

Czekamy, co postanowi pańskie szczere serce!

Ale nie mogła dokończyć, księżę był przerażony i prawie drżał ze strachu.

- Apres, apres, n'est-ce pas? Chere amie! ****-powtórzy}, wyciągając do niej błagalnie ręce.

Nie mogę wprost wyrazić niemiłego wrażenia, jakie wywarło na mnie wystąpienie Anny Andriejewny. Nie odpowiedziałem i poprzestałem jedynie na poważnym i chłodnym ukłonie, po czym siadłem za stołem, i naumyślnie zacząłem mówić o czymś zupełnie innym, o jakichś głupstwach, śmiałem się i dowcipkowałem... Staruszek okazywał mi niedwuznaczną wdzięczność i z zachwytem wziął udział w żartach. Ale jego wesołość, chociaż serdeczna, była jakaś niepewna i mogła w każdej chwili przemienić się w krańcowy upadek ducha i to było oczywiste na pierwszy rzut oka.

* Mówiłam, iż ma w sobie tyle miłości!

** Nieprawdaż? Nieprawdaż?

*** zawsze gra na uczuciach...

**** Później, później? Nieprawdaż droga przyjaciółko!

519

- Cher enfant*, słyszałem, że byłeś chory... Ach, pardon. Słyszałem, że podobno przez cały ten czas zajmowałaś się spirytyzmem.

- Nawet mi się nie śniło - uśmiechnąłem się.

- Nie? A któż to mi opowiadał o spi-ry-tyzmie?

- To ten urzędnik, co tu mieszka, Piotr Ippolitowicz, mówił panu wtedy - odpowiedziała Anna Andriejewna. - To bardzo wesoły człowiek i zna mnóstwo anegdotek, chce pan, poproszę go?

- Oui, oui, H est charmant...** zna dużo anegdotek, ale lepiej poprośmy go trochę później.

Poprosimy go i on nam wszystko opowie, mais apres***. Wyobraź sobie, nakrywają do stołu, a on powiada: „Proszę się nie bać, nie jesteśmy spirytystami, nie poleci do góry.” Czyżby u spirytystów stoły latały?

- Doprawdy, nie wiem, podobno unoszą się na wszystkich nogach.

-Mais c'est terrible, ce que tu dis**** - spojrzał na mnie ze strachem.

- O, niech się pan nie przejmuję, to zawracanie głowy.

- Ja też tak myślę. Nastasja Stiepanowna Sołomiejewa... znasz ją... ach nie, nie możesz jej znać...

Wyobraź sobie, ona też wierzy w spiry-tyzm i niech pani sobie wyobrazi, chere enfant***** -

zwrócił się do Anny Andrzejówny - powiadam jej: przecież w ministerstwach też stoją stoły i na nich leży nieraz po osiem par rąk urzędników, ciągle papiery piszą, a więc czemuż to tam stoły nie tańczą? A wyobraź sobie, że tak naraz zatańczą! Bunt stołów w ministerstwie finansów albo oświaty -tego by tylko brakowało!

- Pan jak dawniej mówi takie miłe rzeczy - zawołałem starając się roześmiać jak najszczerzej.

- N'est-ce pas? fe ne parlepas trop, mais je dis bien.*****

- Poproszę Piotra Ippolitowicza - podniosła się Anna Andriejewna.

Twarz jej zajaśniała zadowoleniem: wnioskując z życzliwości, jaką okazywałem staruszkowi, ucieszyła się. Ale zaledwie wyszła, twarz księcia uległa momentalnej zmianie. Rzucił niespokojne spojrzenie na drzwi, obejrzał się dokoła i pochyliwszy się w moją stronę z kanapy, szepnął z trwogą w głosie:

* Mój drogi

** Tak, tak, on jest czarujący...

*** ale potem

**** To straszne co mówisz

***** moja droga

***** Nieprawdaż? Mówię niewiele, ale mam słusność.

520

- Cher ami!* O, gdybym mógł je tu zobaczyć obie razem! O, eher enfant!**

- Niech książę się uspokoi... •••••;

- Tak, tak, ale... pogodzimy je, n'est-ce pas? To taka drobna, zbyteczna kłótnia dwóch najzaciejszych kobiet, n'est-ce pas***? Cała moja nadzieja w tobie. Tutaj dopiero

doprowadzimy wszystko do porządku. I jakież to osobliwe mieszkanie - oglądał się nieledwie z trwogą. I wiesz, ten gospodarz... jego wygląd... Powiedz mi, czy można mu ufać?

- Gospodarz? Ależ czemu by nie można mu było ufać?

- C'est f a. Tym lepiej. // semble qu'il est betę, ce gentilhomme. Cher enfant****, na miłość Boską, nie mów Annie Andriejewnie, że ja tu się wszystkiego boję. Od pierwszej chwili zacząłem tu wszystko chwalić i gospodarza też pochwaliłem. Słuchaj, czy pamiętasz tę historię o von Sohnie

- pamiętasz?

- Więc cóż z tego?

- Rien, rien du tout... Mais je suls libre Id, n'est-ce pas?***** Jak myślisz, nic mi się tu stać nie może... coś w tym rodzaju?

-Ależ zapewniam pana, mój drogi książę... Co też pan mówi!

-Mon ami! Mon enfant/***** -zawołał nagle, składając ręce przede mną i już zupełnie nie ukrywając strachu. - Jeżeli naprawdę masz coś takiego do powiedzenia mi, to nie mów. Na miłość boską, nic nie mów zupełnie... dopóki tylko będzie można, nie mów...

Książę zrobił nagły ruch, jakby chciał mnie uściskać. Po jego twarzy spływały łzy. Nie mogę powiedzieć, jak boleśnie ścisnęło mi się serce: biedny staruszek przypominał słabe, bezradne, wystraszone dziecko, wykradzione z gniazda rodzinnego przez bandę Cyganów i uprowadzone do obcych ludzi. Ale nie zdążyliśmy się uściskać: drzwi się otworzyły i weszła Anna Andriejewna, ale nie z gospodarzem, a ze swoim bratem, kamerjunkerem. Ta niespodzianka oszołomiła mnie.

Podniosłem się i skierowałem się ku drzwiom.

* Drogi przyjacielu!

** Och drogie dziecię!

*** Nieprawdaż?

**** W rzeczy samej [...] Giupi ten szlachcic. Drogie dziecko.

***** To nic takiego, ale tu nic mi się nie stanie?

***** Mój przyjacielu! Moje dziecko!

521

- Arkadijusz Makarowicz, pozwoli pan przedstawić sobie mojego brata - powiedziała głośno Anna Andriejewna, tak że mimo woli musiałem się zatrzymać.

- Znam już braciszka pani aż nadto dobrze - wyrąbałem jej, kładąc specjalny nacisk na słowo „nadto”.

- Ach, to była fatalna pomyłka! To była moja wina, kochany And... Andrieju Makarowiczu - zaczął

mamrotać młody człowiek, podchodząc do mnie z jak najuprzejmiejszą miną i chwytając mnie za rękę, tak że nie mogłem się wyrwać. - Wszystkiemu winien mój służący Stiepan. Zameldował

wtedy tak głupio, że wziąłem pana za kogoś innego... W Moskwie - objaśnił siostrze - potem usiłowałem wszelkimi spotkać się z panem, żeby opowiedzieć i wyjaśnić, ale zachorowałem. O, niech pan ją zapyta. Cher prince, nos devous etre amis mème par droit de naissance... *

Zuchwały młodzieniec ośmielił się nawet wziąć mnie pod ramię, co już było szczytem poufałości.

Cofnąłem się, ale zmieszałem się i wołałem raczej odejść bez słowa. Wszedłem do swego pokoju, usiadłem na łóżku zamyślony i zdenerwowany. Gnębiła mnie ta cała intryga, ale nie mogłem przecież tak po prostu odepchnąć i zgubić Anny Andriejewny. Poczułem nagle, że i ona jest mi droga, i że sytuacja jej jest okropna.

iii

Jak się tego spodziewałem, Anna Andriejewna weszła do mojego pokoju sama, zostawiwszy księcia ze swoim bratem, który zaczął opowiadać staruszkowi jakieś plotki towarzyskie, najświeższe, nowo sfabrykowane, czym natychmiast zabawił i rozweselił wrażliwego staruszka.

Spoglądając na nią pytająco podniosłem się z łóżka.

- Powiedziała panu wszystko, Arkadiju Makarowiczu - zaczęła od razu. - Los mój leży w pana ręku.

-Ale przecież uprzedzałem panią, że nie mogę... Najświętsze zasady nie pozwalają mi uczynić tego, czego pani ode mnie pragnie...

- Tak? Tak brzmi pańska odpowiedź? Dobrze, mniejsza o mnie, a starzec? Jak pan sądzi: przecież on do wieczora oszaleje!

- Nie, oszaleje, jeżeli mu pokażę list córki, w którym ta naradza się z adwokatem, jak uznać ojca za wariata! - zawołałem z podnieceniem.

* Drogi książę, winniśmy sobie przyjaźń z racji urodzenia... 522

- Tego właśnie nie wytrzyma! Niech pani wie, że on w ten list nie wierzy, mówił mi to już.

Skłamałem, że mi to powiedział, ale to było konieczne. ‘ - Mówił już? Spodziewałam się tego. W takim razie jestem zgubiona; on już płakał i prosił, żeby go odwiedzić do domu.

- Niech mi pani powie, na czym właściwie polega pani plan? - zapytałem natarczywie. Anna Andriejewna zaczerwieniła się, jakby na skutek zadraśniętej pychy, ale zapanowała nad sobą.

- Mając list jego córki w ręku jesteśmy usprawiedliwieni w oczach wszystkich. Poślę natychmiast do księcia W-go i do Borysa Młchaj-łowicza Pieliszczewa, jego przyjaciół z lat dziecińczych.

Obaj są osobistościami szanowanymi, wpływowymi w świecie i wiem dobrze, że dwa lata temu oburzali się na niektóre postęпки tej jego bezlitosnej i chciwej córki. Oczywiście doprowadzą oni do zgody między nim a córką, na moją prośbę. Sama będę na to nalegała, ale sytuacja zmieni się zupełnie. Oprócz tego wtedy również krewni moi, Fana-riotowowie, zdecydują się, jak się spodziewam, na poparcie moich praw. Ale przede wszystkim chodzi mi o jego szczęście.

Niechże on wreszcie zrozumie i oceni, kto mu jest naprawdę oddany. Nie ulega wątpliwości, że liczę przede wszystkim na pański wpływ, Arkadiju Makarowiczu, pan go tak kocha... Zresztą, kto go naprawdę kocha, oprócz mnie i pana? W ostatnie dni o nikim innym nie mówił, tylko o panu: tęsknił ciągle do pana, mówił o panu: „mój młody przyjaciel”... Oczywiście, że moja wdzięczność dla pana nie będzie miała granic, do końca życia...

Obiecywała mnie wynagrodzić, może - pieniędzmi.

Przerwałem jej ostro.

- Cokolwiek by mi pani mówiła, nie mogę - powiedziałem akcentując moją niewzruszoną decyzję.

- Mogę pani jedynie odpłacić szczerością za szczerość i odsłonić pani moje obecne zamiary: w najbliższym czasie oddam ten fatalny list w ręce Katieriny Nikołajewny, ale z tym, żeby z tego, co się teraz stało, nie czynić skandalu i żeby dała mi słowo, że nie będzie przeszkadzała pani szczęściu. Oto wszystko, co mogę zrobić.

- To niemożliwe! - powiedziała Anna Andriejewna, rumieniąc się. Sama myśl o tym, że Katierina Nikołajewna będzie ją oszczędzać, wzburzyła ją do głębi.

- Nie zmienię mojego postanowienia, Anno Andriejewno.

- Może pan jednak zmieni...

- Niech się pani zwróci do Lamberta!

523

- Arkadiju Makarowiczu, pan nie wie, jakie nieszczęścia mogą wyniknąć z pańskiego uporu -
powiedziała nagle surowo i z zaciekłością.

- Nieszczęścia będą, to więcej niż pewne, tak mi się kręci w głowie... Dość już tego; postanowiłem
- i koniec. Tylko na miłość Boską, błagam panią, niech pani nie sprowadza do mnie swojego brata.
- Ale on właśnie chciałby się wytłumaczyć...

- Nie potrzebuję żadnych wyjaśnień. Nie chcę, nie chcę, nie chcę! -wołałem schwyciwszy się za
głowę. (O, być może postąpiłem z nią nazbyt wyniośle.) Ale niech pani powie, gdzie księżę będzie
dzisiaj nocował?

- Będzie nocował tu, u pana, z panem.

- W takim razie wieczorem przeniosę się do innego mieszkania.

I rzekłszy te bezlitosne słowa, schwyciłem czapkę i zacząłem wkładać futro. Anna Andriejewna
obserwowała mnie surowo w milczeniu. Żał mi było - o, było mi serdecznie żal tej dumnej
dziewczyny! Ale wypadłem z mieszkania, nie zostawiając jej ani jednego słowa nadziei.

—

Postaram się streszczać. Decyzja moja była niezłomna: udałem się prosto do Tatiany Pawłowny.

Niestety! Gdybym ją wtedy zastał w domu, można by było odwrócić wielkie nieszczęście, ale, jak
gdyby naumyślnie, tego dnia ścigały mnie same niepowodzenia. Wpadłem oczywiście i do mamy.

Po pierwsze, żeby zobaczyć biedną mamę, a po wtóre, liczyłem, że tam prawie na pewno znajdę
Tatianę Pawłownę; ale i tam jej nie zastałem. Wyszła gdzieś dopiero co, a mama leżała chora i przy
niej była tylko Liza. Liza powiedziała mi, żebym nie wchodził i nie budził mamy: „Całą noc oka nie
zmrzyła, męczyła się i dobrze, że chociaż teraz usnęła”. Uścisnąłem Lizę i powiedziałem jej jedynie
parę słów, że powziąłem wielką i rozstrzygającą decyzję i że natychmiast ją wykonam.

Liza słuchała bez żadnego zdziwienia, jak gdyby to były najzwyczajniejsze słowa. Ponieważ wszyscy
byli wtedy już przyzwyczajeni do moich nieustannych „ostatecznych decyzji” i następnie do
małodusznego wycofywania się. Ale teraz była inna sprawa. Poszedłem jednak do szynku nad
kanałem i siedziałem tam przez pewien czas, żeby przeczekać i żeby potem już na pewno zastać
Tatianę Pawłownę. Powiem zresztą, na co mi tak gwałtownie była potrzebna ta kobieta. Chodziło mi
o to, żeby posłać ją do Katieriny Nikołajewny, ściągnąć ją do mieszkania Tatiany Pawłowny, oddać
jej dokument, wyjaśnić wszystko raz na zawsze... Słowem, chciałem zrobić tylko to, co należało,

chciałem się raz na zawsze oczyścić. Załatwiwszy ten punkt, postanowiłem bezwarunkowo i mocno powiedzieć jednocześnie kilka słów na korzyść Anny Andriejewny i, jeżeli będzie można, zabrać Katierinę Ni-kołajewną i Tatianę Pawłownę (jako świadka), zawieźć je do mnie, to znaczy -

do księcia; tam pogodzić obie kobiety, wskrzesić przez to księcia i... uczynić wszystkich, przynajmniej z tej gromadki, szczęśliwymi - tak, że zostaliby tylko Wiersiłow i mama. O tym, że mi się uda, nie wątpiłem. Katierina Nikołajewna z wdzięczności za zwrot listu, za który nie żądałbym nic, nie odmówiłaby mej prośbie. Niestety! Wciąż jeszcze wyobrażałem sobie, że posiadam ten dokument. O, w jakże głupiej i haniebnej sytuacji byłem wtedy, nie zdając sobie z tego sprawy!

Już się porządnie ściemniło i była już blisko czwarta, kiedy zająrzałem znowu do Tatiany Pawłowny. Służąca Maria odpowiedziała mi dość ordynarnie, że „nie wróciła”. Teraz znowu przypominam sobie spojrzenie spode łba Marii, ale wtedy, oczywiście, nie mogło to wzbudzić we mnie żadnych podejrzeń. Przeciwnie, uderzyła mnie inna myśl: kiedy zły i poniekąd smutny schodziłem ze schodów, przypomniał mi się nagle stary książę, wyciągający do mnie ręce - i zacząłem sobie czynić gorzkie wymówki, że go tak porzuciłem i to może nawet dlatego, że sam byłem zły. Zacząłem sobie wyobrażać, że podczas mojej nieobecności mogło się tam stać coś nawet bardzo złego i mocno zaniepokojony, poszedłem pospiesznie do domu. Ale w domu sprawy tak się przedstawiały.

Anna Andriejewna wyszła wówczas ode mnie z gniewem, ale nie upadła jednak na duchu. Trzeba nadmienić, że jeszcze z samego rana posłała po Lamberta, potem posłała jeszcze raz, a ponieważ Lamberta znowu nie było w domu, wyprawiła wreszcie swojego brata, aby go szukał. Biedaczka wobec mojego oporu swoją jedyną nadzieję widziała teraz w Lambercie i we wpływie, jaki miał na mnie. Czekwała na Lamberta z niecierpliwością i dziwiła się tylko, że ten człowiek, który aż do ostatniego dnia nie odstępował jej i stale kręcił się przy niej, teraz ją nagle porzucił i sam gdzieś znikł. Niestety! Nie mogła, oczywiście, wiedzieć, nie mogła nawet przypuścić, że Lambert, posiadając już dokument, miał teraz zupełnie inne plany i wobec tego ukrywał się i nawet umyślnie jej unikał.

W ten sposób, drżąc z niepokoju, z rosnącą wciąż obawą w sercu, Anna Andriejewna nie miała już sił, aby zabawiać starca, a tym czasem zdenerwowanie księcia wzrastało. Zadawał dziwne i lęклиwe pytania, zaczynał płakać. Młody Wiersiłow nie mógł dłużej z nim wytrzymać

i poszedł. Wtedy Anna Andriejewna przyprowadziła wreszcie Piotra Ippolitowicza, po którym się tyle spodziewała, ale i ten nie wywołał pożądanego wrażenia, przeciwnie, obudził wstręt. W ogóle na Piotra Ippolitowicza stary książę patrzył z coraz bardziej i bardziej rosnącą nieufnością. A gospodarz, jakby umyślnie, zaczął rozprawiać o spirytyzmie i jakichś sztukach magicznych, które rzekomo sam widział podczas przedstawienia; a mianowicie opowiedział, jak pewien przejezdny szarlatan miał jakoby na oczach publiczności ucinać ludziom głowy, tak że krew się lała, a potem jakoby te głowy przyrastały z powrotem również na oczach całej publiczności, a wszystko to miało się zdarzyć w pięćdziesiątym dziewiątym roku. Książę tak się zląkł i wpadł jednocześnie w taki gniew, że Anna Andriejewna była zmuszona natychmiast wyprosić niefortunego opowiadacza. Na

szczęście przyniesiono obiad, zamówiony specjalnie za pośrednictwem Lamberta i Alfonsynki, jeszcze poprzedniego dnia gdzieś w sąsiedztwie, u pewnego świetnego kucharza, Francuza, bez posady i szukającego miejsca w jakimś arystokratycznym domu albo w klubie. Obiad zakropiony szampanem doskonale wpłynął na staruszkę. Księżę jadł z apetytem i żartował. Po obiedzie oczywiście zachciało mu się spać, a ponieważ zawsze sypiał po obiedzie, dlatego Anna Andriejewna posłała mu łóżko. Zasypiając, całował ją po rękach, mówił, że ona jest jego rajem, nadzieją, hurysą, „kawałkiem złocistym” - słowem, zaczął sypać wschodnimi komplementami.

Wreszcie zasnął, a w tym samym czasie wróciłem ja.

Anna Andriejewna weszła pospiesznie do mojego pokoju, złożyła przede mną ręce i powiedziała, że „już nie dla siebie, ale ze względu na księcia, błaga mnie, abym został i kiedy się obudzi, żebym poszedł do niego. Bez pana on zginie, będzie miał atak nerwowy i boję się, że nie wytrzyma do wieczora”. Dodała, że sama musi wyjść, „może nawet na dwie godziny i że wobec tego, zostawia księcia wyłącznie pod moją opieką”. Obiecałem jej z całego serca, że zostanę do wieczora i że kiedy on się obudzi, zrobię co tylko będę mógł, aby go zabawić.

- A ja spełnię swój obowiązek - powiedziała Anna Andriejewna energicznie.

Wyszła. Dodam, uprzedzając wypadki, że pojechała sama szukać Lamberta. Była to jej ostatnia nadzieja. Oprócz tego była u brata i u krewnych swoich, Fanariotowów. Łatwo się domyśleć, w jakim stanie ducha musiała wrócić.

Księżę obudził się mniej więcej około godziny po jej odejściu. Usłyszałem przez ścianę jego jęki i natychmiast pobiegłem do niego: siedział

526

na łóżku w szlafroku i był do tego stopnia przestraszony samotnością, smutnym blaskiem małej lampki i widokiem obcego pokoju, że kiedy wszedłem, drgnął cały, poderwał się i krzyknął.

Podbiegłem do niego, a kiedy mnie poznał, rzucił mi się na szyję.

- A mnie powiedzieli, że przeniosłeś się gdzieś do innego mieszkania, żeś się przestraszył i uciekł.

- Kto mógł to panu powiedzieć?

- Kto mógł? Widzisz, może ja sam to sobie wymyśliłem, a może naprawdę ktoś mi powiedział.

Wyobraź sobie, miałem przed chwilą sen: wchodzi starzec z siwą brodą i z obrazem w ręku, z obrazem rozbitym na dwa kawałki i nagle mówi: „Tak się rozpęknie życie twoje!”

- Ach, mój Boże, to panu pewnie wczoraj ktoś opowiadał, jak Wier-siłow rozbił swoją ikonę?

- N'est-ce pas?* Opowiadno mi, opowiadano. Nastasja Jegorowna opowiadała jeszcze tamtego ranka, kiedy przewoziła tutaj moją walizkę i pieska.

- No, więc przyśniło się panu.
- Wszystko jedno. I wyobraź sobie, ten starzec groził mi palcem. A gdzie Anna Andriejewna?
- Zaraz wróci.
- Skąd wróci? I ona też pojechała? - zawołał boleśnie.
- Nie, nie, zaraz tu będzie. Prosiła mnie, żebym tu u pana posiedział.
- Oui, dobrze. A więc, nasz Andriej Piotrowicz zwariował „tak niespodzianie i tak nagle.”

Mówiłem mu zawsze, że tak skończy. Mój kochany, czekaj...

Pochwyił mnie nagle za marynarkę i przyciągnął do siebie.

- Niedawno gospodarz - szepnął mi - przyniósł ni stąd, ni zowąd fotografie kobiet, wstrętne nagie kobiety w jakichś wschodnich pozach, pokazywał mi to przez szkło. Widzisz, zacząłem chwalić z konieczności, ale przecież w ten sam sposób do tego nieszczęśnika sprowadzono jakieś paskudne kobiety, żeby potem móc go tym łatwiej obezwładnić...
- Panu ciągle ten von Sohn po głowie chodzi, ależ niech pan da spokój, mój książę! Gospodarz jest skończonym idiotą i to wszystko!
- Idiota i to wszystko! C'est mon opinion!** Mój przyjacielu, jeżeli tylko możesz, ratuj mnie - złożył nagle błagalnie ręce.

* Nieprawdaż?

„* Takie jest moje zdanie!

527

- Książę, wszystko, co tylko będę mógł! Jestem całkowicie panu oddany... Niech książę trochę zaczeka i może uda mi się wszystko ułożyć!
- N'est-cepas ?* Uciekniemy stąd, a walizkę zostawimy tutaj tak niby, tak, że on będzie myślał, że zaraz wrócimy.
- Dokąd mamy uciekać? A Anna Andriejewna?
- Nie, nie, razem z Anną Andriejewna... Oh, mon cher, wszystko mi się w głowie mąci... Czekaj, tam w worku, na prawo jest portret Kati, schowałem go ukradkiem, żeby Anna Andriejewna, a zwłaszcza, żeby Nastasja Jegorowna nie zobaczyła. Wyjmij go, tylko na miłość Boską, prędyutko, ostrożnie, uważaj, żeby nas nie przyłapano... A czy by nie można zamknąć drzwi na haczyk?

Rzeczywiście znalazłem w worku fotografię Katieriny Nikołajewny w owalnej ramce. Książę wziął ją w rękę, podniósł do światła i nagle jego żółte, chude policzki zalały się łzami.

- C'est un ange, c'est un ange du ciel!* - zawołał. - Przez całe życie byłem wobec niej winowajcą...

i teraz znowu! Cher enfant**. Niewierze w to wszystko, w nic nie wierzę! Mój kochany, powiedz mi, czy można by sobie wyobrazić, że mnie chcą umieścić w domu wariatów? f e dis des choses charmantes et tout le monde rit...*** I nagle tego samego człowieka - wiozą do domu wariatów.

- Nigdy nic podobnego się nie zdarzyło! - zawołałem. - To pomyłka. Wiem dobrze, co ona czuje.

- I ty też wiesz, co ona czuje? No to ślicznie! Mój kochany, wracasz mi życie. Cóż więc naopowiadali mi tu o tobie? Mój kochany, sprowadź ku Katię i niech obie przy mnie uściskają się. Zabiorę je do domu, a gospodarza wypędzimy!

Wstał, złożył przede mną ręce i nagle padł przede mną na kolana:

- Cher - szepnął w jakimś szalonym wprost strachu, drżąc cały jak listek. - Mój złoty, powiedz mi całą prawdę: dokąd mnie teraz zawiozą?

- Mój Boże! zawołałem podnosząc go i sadzając z powrotem na łóżku. - Mam wrażenie, że książę i mnie nie ufa. Czy książę sądzi, że ja również należę do spisku? Nie pozwolę tu nikomu nawet palcem tknąć księcia!

- C'est ca.**** Nie pozwól! - bełkotał książę drżąc w dalszym ciągu i chwytając mnie obiema rękami za łokcie. - Nie daj mnie nikomu! I nie

* To anioł! Anioł z niebios!

** **Drogie dziecię**

*** Rozprawiam z przejęciem, a wszyscy się z tego śmieją...

**** W rzeczy samej.

528

kłam przede mną... Powiedz, czy rzeczywiście mnie stąd wywiozą? Posłuchaj: ten gospodarz, ten Ippolit, czy jak mu tam... on jest doktorem?

- Jakim znowu doktorem?

- Czy to... to - nie dom wariatów, tu, w tym pokoju?

W tej chwili otworzyły się nagle drzwi i weszła Anna Andriejewna. Prawdopodobnie

podsluchiwała pod drzwiami, a nie mogąc zapanować nad sobą, weszła tak gwałtownie, że księżę, który drżał za każdym szmerem, krzyknął i ukrył twarz w poduszkach. Dostał jakiegoś ataku nerwowego, który zakończył się płaczem.

- Proszę, oto następstwa pani czynów! - rzekłem wskazując na staruszkę.

- Nie, to są następstwa pańskich czynów! - odpowiedziała ostro podniesionym głosem. - Zwracam się do pana po raz ostatni, Arkadiju Makarowiczu: czy zechce się pan przyczynić do wyjaśnienia piekielnej intrygi, uknutej przeciwko bezbronnemu starcowi i wyrzec się swych „szalonych i dziecinnych miłosnych marzeń”, aby uratować rodzoną siostrę?

- Uratuję was wszystkich, użyję jednak sposobu, o którym wspominałem przedtem. Pójdę teraz, a może za godzinę będzie tu Katierina Nikołajewna! Pogodzę wszystkich i będziecie szczęśliwi! -

wołałem w uniesieniu.

- Sprowadź, sprowadź ją tutaj! - wykrzyknął księżę. - Zaprowadźcie mnie do niej. Chcę widzieć i pobłogosławić Katię! - wołał wyciągając ręce i podnosząc się z łóżka.

- Niech pani patrzy - mówiłem do Anny Andriejewny wskazując na księcia. - Niech pani posłucha, co on mówi! Teraz nie pomoże już pani żaden „dokument”.

- Wiem o tym, ale ten dokument pozwoliłby mi zrehabilitować się wobec świata, a teraz - jestem zgubiona! Dostyc zresztą! Mam czyste sumienie. Porzucili mnie wszyscy, nawet rodzony brat, który złąkł się skandalu... Lecz ja spełnię mój obowiązek i zostanę przy nieszczęśliwym, choćby jako jego pielęgniarka czy niańka.

Nie należało tracić czasu, wybiegłem z pokoju.

- Wrócę za godzinę i wrócę nie sam! - krzyknąłem na progu.

529

ROZDZIAŁ DWUNASTY

i

N

areszcie udało mi się złapać Tatianę Pawłownę! Wyłożyłem jej od razu wszystko dokładnie: o dokumencie, i wszystko, co do joty, o tym, co dzieje się w moim mieszkaniu. Chociaż aż nadto dobrze rozumiała, o co chodzi i mogłyby jej wystarczyć dwa słowa, jednak wyłożenie tego zajęło mi, jak myślę, jakieś dziesięć minut. Mówiłem sam, odsłoniłem całą prawdę i nie wstydziłem się.

Tatiana Pawłowna siedziała w milczeniu, bez ruchu, wyprostowana jak drut, z zaciśniętymi wargami, ze wzrokiem utkwionym we mnie i całą zamieniona w słuch. Ale kiedy skończyłem, podniosła się z krzesła tak gwałtownie, że i ja się zerwałem.

-Ach, smarkaczu! Więc ten list naprawdę był w twoich rękach, zaszyty w bluzie i to ta głupia Maria Iwanowna go zaszyła! Ach, wy nikczemnicy, łajdacy! Toś ty tu jechał, żeby podbijać serca, żeby wyższe sfery pognać, mścić się na diable zza góry za to, że jesteś nieprawym synem?!

- Tatiano Pawłowno! - zawołałem. - Niech pani nie krzyczy i mi nie wymyśla. Może to właśnie pani ze swoim wymyślaniem wywołała tę moją zawziętość! Tak, jestem nieprawym synem i może rzeczywiście chciałem się mścić za to, że jestem taki i może rzeczywiście na jakimś diable zza góry, bo sam diabeł nie dojdzie, kto tu jest prawdziwym winowajcą; ale niech pani pamięta, że odrzuciłem przymierze z łajdakami i przewyciężyłem swoje namiętności. Położę przed nią dokument bez jednego słowa i pójdę, nawet nie czekając, aż ona coś powie, pani sama będzie świadkiem!

- Dawaj, dawaj zaraz list, kładź go tu natychmiast na stół! Może łzesz?

- On jest tu, w mojej kieszeni, zaszyty. Maria Iwanowna sama go zaszyła, a gdy kazałem sobie uszyć nową marynarkę, wyjąłem ze starej i zaszyłem do nowej! O, tutaj jest, nie kłamie!

530

- Dawaj go, wyciągaj go! - krzyczała Tatiana Pawłowna.

- Za nic w świecie, powtarzam pani. Położę go przed nią w pani obecności i pójdę, nie czekając, aż coś powie, ale ona musi wiedzieć i zobaczyć na własne oczy, że to ja, że ja sam oddaję z własnej woli, bez przymusu i bez nagrody.

- Znowu jakaś poza! Zakochany jesteś, smarkaczu?

- Niech pani gada, ile się tylko pani spodoba. Niech będzie, że zasłużyłem na to, ale nie obrażam się. O, mogę wyglądać w jej oczach na marnego młodzika, który szpiegował ją i uknuł spisek, ale niech się dowie, że pokonałem samego siebie i szczęście jej postawiłem wyżej niż cały świat! To nic, Tatiano Pawłowno, to nic! Wołam na siebie: odwagi i nadziei! Niech to będzie mój pierwszy krok na arenie życia, ale niech się dobrze zakończy, szlachetnie zakończy! I cóż z tego, że ją kocham - ciągnąłem w natchnieniu, z błyszczącymi oczyma. - Nie wstydzę się tego: moja mama jest aniołem niebiańskim, a ona - ziemską królową. Wiersiłow wróci do mamy, a wobec niej nie mam się czego wstydzić: przecież słyszałem wczoraj, o czym rozmawiali; stałem za portierą... O, wszyscy troje jesteśmy „ludźmi tego samego szaleństwa”. A czy pani rozumie, czy pani odczuwa ten zwrot: „ludzie tego samego szaleństwa”? To jest jego wyrażenie, Andrieja Piotrowicza! A czy pani wie, że nas tu takich, ludzi tego samego szału, jest więcej, niż troje?

Założę się, że pani jest czwarta, tak samo jest człowiekiem tego samego szału! Chce pani, to pani powiem: założę się, że pani sama kochała się całe życie w Andrieju Piotrowiczu, a może nawet jeszcze teraz...

Powtarzam, byłem w natchnieniu, w stanie niewytłumaczonego szczęścia, ale nie zdążyłem dokończyć. Tatiana Pawłowna nagle złapała mnie ręką za włosy i szarpnęła z całych sił ze dwa razy... Potem nagle puściła mnie, stanęła w kącie twarzą do ściany i zasłoniła twarz chusteczką.

- Smarkaczu! Nie waż mi się nigdy mówić czegoś podobnego! -powiedziała płacząc.

Wszystko to było tak niespodziewane, że byłem wprost oszołomiony. Stałem i patrzyłem na nią, nie wiedząc, co mam robić.

- No, głupi! Chodź tutaj, pocałuj mnie, głupia! - powiedziała nagle Tatiana Pawłowna, płacząc i śmiejąc się. -I żebyś mi się nie ważył nigdy tego mówić... A ja kocham ciebie i przez całe życie kochałam... głupca.

Pocałowałem ją. Nawiasem mówiąc: od tej chwili zaczęła się nasza serdeczna przyjaźń.

531

- Ach, tak! Ależ, co ja wyprawiam! - zawołała nagle, uderzając się pięścią w czoło. - Coś ty powiedział: stary książę jest w twoim mieszkaniu? Naprawdę?

- Zapewniam panią.

- Ach, mój Boże! - zakreśliła się po pokoju. -I oni tam nim rządzą! Ze też nie ma kary na takich durniów! I od samego rana? Brawo, Anna An-driejewna! Ta mniszka! A znowu ta Militrysa - przecież o niczym nie wie!

- Jaka Militrysa?

- No, ta - ziemską królową, ten twój ideał! Och, ale co teraz począć?

- Tatiano Pawłowno - zawołałem, opamiętawszy się. - Gadamy o głupstwach, a zapomnieliśmy o tym, co najważniejsze: przecież przyszedłem specjalnie po Katierinę Nikołajewnę i tam wszyscy czekają na mnie.

I wytłumaczyłem jej, iż oddam dokument jedynie pod warunkiem, że ona pogodzi się z Anną Andriejewną i zgodzi się nawet na małżeństwo...

- Doskonale! - przerwała Tatiana Pawłowna - Ja jej też to samo chyba ze sto razy powtarzałam.

Przecież on i tak umrze przed ślubem; tak czy owak, ślubu nie będzie, a jeżeli będzie chciał

Annie zapisać jakieś pieniądze, to przecież to już i tak są zapisane i odłożone.

- Czyżby Katierinie Nikołajewnie chodziło tylko o pieniądze?

- Nie, ona ciągle obawiała się, że Anna ma ten dokument i ja też się bałam! Dlategośmy też ją pilnowały. Córka nie chciała, żeby się staruszek denerwował, a Bjoring, Niemiaszek, prawdę powiedziawszy, drżał o pieniądze.

- I ona po tym wszystkim chce wyjść za Bjoringa?

- A cóż z głupią począć? Jak głupia, to zostanie głupia do końca życia! Spokój jej ma dać: przecież muszę, powiada, za kogoś wyjść, więc za niego będzie wyglądało najlepiej. Będzie później ręce łamać, ale już będzie za późno.

-A czemu pani pozwala na to? Przecież pani kocha ją, przecież pani jej w oczy powiedziała, że pani się w niej kocha.

- Kocham ją, więcej kocham, niż wy wszyscy razem wzięci - a z tym wszystkim - jest kiepską wariatką.

- Ale niech pani teraz biegnie po nią. Załatwimy wszystko i potem sami zawieziemy ją do ojca.

-Ależ nie można, głuptasku! Właśnie w tym sęk! Co tu począć? Ach, słabo mi się robi! - zaczęła znowu biegać po pokoju, chwycisz jednak ręką pled. -Ach, żebyś przyszedł tak przed czterema godzinami, a teraz

532

już jest ósma; pojechała do Pieliszczewów na obiad, a potem jedzie z nimi do opery.

- Mój Boże, a czyż nie można pójść do teatru... ale nie, nie można! No i co teraz począć ze starym?

Przecież on jeszcze gotów umrzeć w nocy.

- Słuchaj, nie idź tam, idź do mamy. Tam przenocujesz, a jutro z rana...

- Nie, staruszka nie zostawię za nic w świecie, żeby nie wiem co.

- Dobrze, nie zostawiaj. Bardzo ładnie z twojej strony. A ja, wiesz... pobiegnę jednak do niej i zostawię karteczkę... wiesz, napiszę jej w umówiony sposób (ona zrozumie), że dokument jest tutaj i żeby jutro akurat o dziesiątej rano przysłała do mnie, punktualnie... Nie bój się, przyjdzie, mnie na pewno posłucha, a wtedy wszystko razem ułożymy. Ty leć do siebie, zagada] jakoś staruszka, ułóż go spać, chyba dociągnie do jutra! Staraj się nie przerażać Anny Andriejewny; ja i ją bardzo lubię, jesteś niesprawiedliwy w stosunku do niej, bo pewnych rzeczy zrozumieć nie możesz; ona czuła się zawsze upokorzona, od dziecka czuła się upokorzona! Och, wszyscy zwaliliście się na moją głowę! Nie zapomnij powiedzieć jej, że sama zajęłam się tą sprawą, i to z całego serca żeby była spokojna, duma jej nie poniesie najmniejszego szwanku! W ciągu ostatnich dni pokłóciłyśmy się z sobą na dobre, nawymyślałyśmy sobie, naubliżały... Pędźże prędzej!.. Czeka, pokaż raz jeszcze tę kieszeń... Powiedz, czy to prawda? Czy prawda? Och, czy rzeczywiście prawda? Oddaj mi list na tę noc! Na co ci on? Zostaw mi go, nie zjem go przecież!

Widzisz, przez noc możesz go zgubić albo się rozmyślisz?..

- Za nic w świecie! - krzyknąłem. - Proszę, niech pani dotknie, przekona się, ale za nic w świecie nie zostawię go pani!

- Rzeczywiście, papier jest - Tatiana Pawłowna wyczuła go palcami. - No, dobrze, idź już sobie, a ja

biegnę do niej, może nawet machnę się do teatru, słusznie powiedziałaś! Idźże, idźże już!

- Tatiano Pawłowna, jeszcze chwileczkę! Jak się miewa mama? « -Żyje. M - Andriej Piotrowicz?

- Opamięta się.

,< Wybiegłem uspokojony, podniesiony na duchu, choć nie udało mi się przeprowadzić sprawy tak, jak zamierzałem. Niestety! Los zrządzi} inaczej, czekało mnie coś zupełnie nieprzewidzianego.

Istotnie, jest fatum na tym świecie.

533

II

Już na schodach usłyszałem hałas dobiegający z mego mieszkania, którego drzwi, jak się okazało, były otwarte. W korytarzu czekał nie znany mi lokaj w liberii. Piotr Ippolitowicz wraz z żoną, oboje dziwnie wystraszeni, stali w przedpokoju, najwidoczniej na coś czekając. Drzwi od pokoju księcia były otwarte, a spoza nich dobiegał głos, który poznałem natychmiast, był to głos Bjoringa.

Nie zdążyłem jeszcze zrobić dwóch kroków, gdy zobaczyłem, że Bjoring i jego przyjaciel baron R., ten sam, który przychodził do Wiersiłowa i pertraktował z nim, wyprowadzają drżącego i płaczącego księcia do przedpokoju. Staruszek szlochał głośno, obejmując i całując Bjoringa. Baron wymyślał Annie Andriejewnie, która wyszła za księciem do przedpokoju. Groził jej czymś, tupał nogami - słowem, bez względu na przynależność do „wyższej sfery” zachowywał się tak, jak przystało na Niemca-żołdaka.

Później okazało się, że wyobraził sobie, nie wiadomo z jakiej racji, iż Anna Andriejewna popełniła jakieś przestępstwo kryminalne, za które będzie musiała bez wątpienia odpowiadać przed sądem.

Nie znając sprawy ocenił ją przesadnie, jak to się zresztą zdarza wielu ludziom i skutkiem tego uznał, że ma prawo zachowywać się brutalnie. Przede wszystkim nie miał czasu przyjrzeć się sytuacji, powiadomiono go bowiem o wszystkim anonimowo (do czego jeszcze powrócę), wpadł

więc w szal, w którym nawet najrozsądniejsi ludzie jego narodowości gotowi są czasem bić się jak szewcy. Anna Andriejewna przyjęła tę napaść z najwyższą godnością, ale mnie jeszcze wówczas nie było w domu. Ujrzałem tylko, że Bjoring, wyprowadzając starca do przedpokoju powierzył go w pewnej chwili baronowi R. i, zwróciwszy się gwałtownie do Anny Andriejewny, krzyknął

widocznie w odpowiedzi na jakąś jej uwagę:

- Pani jest intrygantką! Chce pani zawładnąć jego pieniędzmi! Pani skompromitowała się z tą chwilą w oczach towarzystwa i będzie pani odpowiadać przed sądem..

- To pan wykorzystuje bezsilność chorego i nieszczęśliwego starca, pan doprowadził go do szaleństwa... A mnie pan ubliża dlatego, że jestem kobietą i nie mam żadnego obrońcy...

- Ach tak, pani jest jego narzeczoną, narzeczoną! - Bjoring roześmiał się złośliwie i z pasją.

534

- Baronie, baronie... Chere enfant, je vous aime!* - zaszlochał księżę wyciągając ręce do Anny Andriejewny.

- Chodźmy, księżę, chodźmy. Uknuto spisek przeciw panu, zagrażający może nawet pańskiemu życiu!
- zakrzyczał go Bjoring.

- Oui, oui, je comprends, j'ai compris au commencement...**

- Książę - podniosła głos Anna Andriejewna. - Pan mnie obraża i pozwala, żeby mnie obrażano.

- Precz! - krzyknął Bjoring. Tego było już za wiele.

- Łajdaku! - ryknąłem na niego. - Anno Andriejewno, ja obronię panią!

Co było dalej, tego nie chcę i nie mogę szczegółowo opisać. Wydał się incydent okropny i wstrętny, ja zaś jakbym naraz oszalał. Zdaje się, że rzuciłem się na Bjoringa i uderzyłem go, a przynajmniej pchnąłem mocno. On też uderzył mnie ze wszystkich sił po głowie, tak że upadłem na ziemię. Ocknąłem się, puściłem się za nimi pędem po schodach. Pamiętam, że mi krew szła z nosa. Przed bramą stała karetka, do której sadzano księcia. Podbiegłem i wyminąwszy usiłującego mnie powstrzymać lokaja, rzuciłem się znowu na Bjoringa. Nie pamiętam, w jaki sposób zjawiała się nagle policja. Bjoring złapał mnie za kołnierz i nakazującym tonem zażądał odprowadzenia mnie do komisariatu. Krzychałem, że on powinien iść razem ze mną w celu sporządzenia protokołu, i nie wolno im aresztować mnie nieledwie w moim własnym mieszkaniu. Ponieważ jednak wszystko to odbywało się na ulicy, a nie w mieszkaniu; ponieważ krzychałem, wymyślałem i chciałem się bić jak pijany. Ponieważ Bjoring był w mundurze, więc stójkowy aresztował mnie.

Ale tu wpadłem w kompletną wściekłość, opierałem się ze wszystkich sił, zdaje się, że nawet uderzyłem policjanta. Potem pamiętam, że przybyli jeszcze dwaj policjanci, obezwładnili mnie i poprowadzili do cyrkułu. Jak przez mgłę przypominam sobie zadymiony pokoik, w którym było pełno ludzi siedzących i stojących, czekających i piszących, a ja dalej krzychałem, i domagałem się spisania protokołu. Ale sprawa nie ograniczała się tylko do protokołu. W grę jeszcze weszło wywołanie awantury i opór władzy; przy tym wyglądałem okropnie. Ktoś nagle głośno krzyknął na mnie. Policjant, oskarżył mnie o awanturę, opowiedział o pułkowniku...

* Drogie dziecię, ja panią kocham!

** Wiem, pojmuje, wiedziałam o tym od początku!

535

- Nazwisko? - krzyknął mi ktoś.

- Dolgorukij! - ryknąłem w odpowiedzi.

- Książę Dolgorukij?

Nie panując nad sobą, odpowiedziałem jakimś wysoce nieprzyzwoitym przekleństwem... Pamiętam dalej, że wciągnięto mnie do jakiejś ciemnej komórki „dla pijanych”. O, nie chcę protestować.

Wszyscy czytali niedawno w gazetach skargę jakiegoś jegomościa, który przesiedział całą noc w areszcie związany, i również w celi „dla pijanych”; ale tamten, zdaje się, nie był wcale winien.

Rzuciłem się na pryczę obok jakichś dwóch ludzi śpiących kamiennym snem. Głowa mnie bolała, skronie pulsowały, serce waliło jak młotem. Zdaje się, że straciłem przytomność i zacząłem majaczyć. Pamiętam tylko, że wśród ciemnej nocy obudziłem się nagle i siadłem na pryczy.

Momentalnie uprzytomniłem sobie, zrozumiałem wszystko i oparłszy łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach, pogrążyłem się w głębokiej zadumie.

Och, nie chcę opisywać moich uczuć, zresztą nie mam na to czasu, ale zaznaczę jedno: nigdy może nie przeżyłem chwili tak radosnej, jak podczas tej zadumy, wśród ciemnej nocy, na pryczy, w areszcie. Czytelnik może pomyśleć sobie, że to jakaś dziwaczna poza, jakaś blaga, chęć popisania się oryginalnością - a jednak było to dokładnie tak, jak opowiadam. Była to jedna z tych chwil, jakie każdy, być może, przeżywał, ale które się nigdy w życiu nie powtarzają. W takiej chwili człowiek wybiera sobie drogę życia, ustala swoje poglądy i powiada sobie raz na zawsze: „Tu oto jest prawda, tędy trzeba do niej zmierzać”. Tak, te chwile rozjaśniły mi duszę. Byłem obrażony przez pyszałka Bjoringa, nazajutrz mogła mnie spotkać zniewaga ze strony tej światowej damy.

Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że w rękach moich znajduje się narzędzie zemsty, ale postanowiłem nie mścić się. Postanowiłem sobie, że nie ujawnię dokumentu, że nie pokażę go całemu światu (bo już i takie myśli kręciły mi się po głowie), i powtarzałem sobie, że jutro natychmiast położę ten dokument przed nią; i jeżeli nawet zamiast wdzięczności otrzymam drwiący uśmiech, to jednak nie powiem jej ani słowa i pójdę od niej na zawsze. Zresztą, nie ma się o czym rozpisywać. To, co się może stać ze mną jutro tutaj, kiedy będę musiał stanąć przed obliczem władzy, i co ze mną zrobią - nie przyszło mi to nawet do głowy. Przeżegnałem się z

rozzewnieniem, położyłem się na pryczy i zasnąłem pogodnym, dzieciennym snem. Obudziłem się dość późno, było już zupełnie jasno. W pokoju nie było już nikogo oprócz mnie. ‘•»»;*;,j;,,

536

Usiadłem i zacząłem spokojnie czekać, trwało to dość długo, około godziny. Była już prawdopodobnie jakaś dziewiąta, kiedy mnie nagle wezwano. Mógłbym to opowiedzieć bardziej szczegółowo, ale nie warto, bo nie ma to nic wspólnego ze sprawą, a chodzi tylko o istotę rzeczy.

Zauważę jedynie, że ku memu wielkiemu zdumieniu, potraktowano mnie nadspodziewanie grzecznie, zadano mi parę pytań, odpowiedziałem na nie i natychmiast zostałem zwolniony.

Wyszedłem bez słowa, a w oczach tych ludzi nie bez zadowolenia dostrzegłem nawet pewien podziw, że w takiej sytuacji umiałem zachować się z godnością. Nie notowałbym tego, gdyby mnie to nie uderzyło. W bramie czekała na mnie Tatiana Pawłowna. W paru słowach wytłumaczę, dlaczego sprawa potoczyła się tak gładko.

Z samego rana, może około ósmej, Tatiana Pawłowna przyszła do mojego mieszkania, to znaczy do Piotra Ippolitowicza, spodziewając się, że zastanie tam jeszcze księcia, i dowiedziała się o całej wczorajszej historii, a przede wszystkim o tym, że mnie aresztowano. Natychmiast pobiegła do Katieriny Nikołajewny (która jeszcze wczoraj po powrocie z teatru widziała się z odwiezionym do domu ojcem), obudziła ją, nastraszyła i zażądała, aby mnie natychmiast uwolniono. Z kartką od niej pobiegła do Bjoringa i zażądała natychmiast od niego nowej karteczki do „odnośnej władzy”, z najgorętszą prośbą samego Bjoringa, aby uwolnić natychmiast „aresztowanego wskutek nieporozumienia”. Z karteczką tą przybyła do cyrkułu i prośba jej została spełniona.

Wracam do tego, co najważniejsze. Tatiana Pawłowna wsadziła mnie do dorożki, przywiozła do siebie, kazała natychmiast nastawić samowar, i sama mnie oczyściła, i umyła u siebie w kuchni. W

kuchni również zakomunikowała mi głośno, że o wpół do dwunastej ma do niej przybyć Katierina Nikołajewna, aby mnie zobaczyć. I to właśnie musiała usłyszeć Maria. W kilka minut później Maria podała samowar, a jeszcze po kilku chwilach nie odezwała się na wołanie Tatiany Pawłowny; okazało się, że już wyszła z domu. Proszę czytelnika o zwrócenie uwagi na tę okoliczność, a było wtedy, jak sądzę, za kwadrans dziesiąta. Chociaż Tatiana Pawłowna rozgniewała się, pomyślała jednak, że Maria wyszła do sklepiku i że zaraz wróci: a potem wyleciało jej to z głowy. Zresztą, mało nas to interesowało. Mówiliśmy bez przerwy, bo mieliśmy o czym, tak że ja, na przykład, nie zwróciłem najmniejszej uwagi

537

na zniknięcie Marii. Proszę czytelnika o zapamiętanie również i tego. Byłem, oczywiście, jak w gorączce i opowiadałem o swoich przeżyciach, a przede wszystkim czekaliśmy na Katierinę Nikołajewną. Myśl, że za godzinę może ją zobaczę, i to jeszcze w takiej decydującej chwili mojego życia, przejmowała mnie wzruszeniem i drżeniem. Wreszcie, kiedy skończyłem drugą filiżankę, Tatiana Pawłowna nagle wstała, wzięła ze stołu nożyczki i powiedziała:

- No, dawaj kieszeń, trzeba wyjąć list, przecież przy niej nie będziesz pruć.

- Dobrze - zawołałem i rozpiąłem surdut.

-Ależ nici poplątane! Kto to zaszywał?...

- Ja sam, ja sam, Tatiano Pawłowno!

- Widać, że to ty sam. No, już jest...

Wyjęliśmy list, była to ta sama stara koperta, ale w środku znajdował się nie zapisany arkusik papieru.

- A to co takiego? - zawołała Tatiana Pawłowna, rozkładając go. -Co to jest?

Stałem oniemiały, blady... Nagle upadłem bezsilnie na krzesło, niewiele brakowało, abym zemdłał.

- Co to ma znaczyć?! - wrzasnęła Tatiana Pawłowna. - Gdzie jest ten twój list?

- Lambert! - zerwałem się i puknąłem się pięścią w czoło. Domyśliłem się wszystkiego.

Spiesząc się, dysząc ciężko, wytłumaczyłem jej wszystko. Opisałem noc spędzoną u Lamberta i nasz ówczesny spiszek. Zresztą do tego spisku przyznałem się jej jeszcze wczoraj.

- Ukradli, ukradli go! - ryczałem, tupiąc nogami i wyrывая sobie włosy.

- Nieszczęście - zakonkludowała Tatiana Pawłowna, zrozumiawszy o co chodzi. - Która teraz godzina? Dochodziła jedenasta.

- Ach, a tu Marii nie ma! Maria, Maria!

- Co pani każe? - odezwała się nagle Maria z kuchni.

- Jesteś? Co teraz począć? Polecę chyba do niej... Ach ty, niedołęgo, niedołęgo!

- A ja - do Lamberta! - krzyknąłem. - Zaduszę go, jeżeli będzie trzeba!

- Proszę pani! - zapiszczała nagle z kuchni Maria. - Tu jakaś pani chce się z panią koniecznie zobaczyć...

538

Ale nie zdążyła dokończyć, gdy jakaś kobieta z krzykiem i płaczem wpadła do pokoju. Była to Alfonsynka. Nie chcę opisywać szczegółowo tej sceny. Było to oszustwo i podstęp, ale trzeba przyznać, że Alfonsynka grała cudownie. Ze łzami żalu i gestykulując szalenie zaczęła trzeszczeć (po francusku, oczywiście), że sama wtedy wypruła list, że on teraz jest w ręku Lamberta, i że Lambert razem z tym bandytą, cet hom-me noir, chce wezwać madame la generale* i zabić ją, zaraz, za godzinę... Że ona dowiedziała się tego wszystkiego od nich samych, i że strasznie się zlekła, bo mieli pistolet, a teraz przybiegła do nas, żebyśmy biegli, ratowali, uprzedzili... Cet homme noir..** Słowem, wszystko to nosiło cechy prawdopodobieństwa, nawet głupota, z jaką Alfonsynka dawała wyjaśnienia, wzmocniała pozory prawdopodobieństwa.

- Jaki homme noir?*** - zawołała Tatiana Pawłowna.

- Tiens, j'ai oublie son nom... Un homme affrewc... Tiens, Yersiloff...****

- Wiersiłow! To niemożliwe! - zawołałem.

- Ależ możliwe, możliwe! - syknęła Tatiana Pawłowna. - Ależ gadaj, moja panusiu, bez skakania, bez tych hec, czego oni od niej chcą? Wytłumacz mi to po ludzku. Nie mogę uwierzyć, że chcą do niej strzelać.

„Paniusia” wytłumaczyła, co następuje (Nb. wszystko to było kłamstwo, uprzedzam znowu): Yersiloff schowa się za drzwiami, a Lambert, gdy tylko ona wejdzie, pokaże cette lettre*****, wtedy Yersiloff wypadnie i ją... Oh, ils feront leur vengeance!***** Że ona, Alfonsynka, boi się nieszczęścia, bo sama brała w tym udział, a cette dame la genera-/e*****, na pewno przyjdzie, i to „zaraz, zaraz”, bo oni posłali jej kopię tego listu na dowód, że list jest naprawdę w ich posiadaniu, i pojedzie do nich; a list pisał tylko Lambert (o udziale Wiersiłowa Katieri-na Nikołajewna nic nie wie), a Lambert przedstawił się jako przybywający z Moskwy od pewnej damy moskiewskiej, une dame de Moscou***** (Nb. Maria Iwanowna).

* ten podejrzany człowiek chce wezwać panią generałową ** ten podejrzany człowiek *** Jaki podejrzany człowiek?

**** Och, zapomniałam jak się nazywa... straszny człowiek... już wiem, Wiersiłow...

***** ten list

***** Zemsta!

***** pani generałowej

***** moskiewska dama

539

-Ach, słabo mi się robi! Słabo mi! -jęczała Tatiana Pawłowna.

Oczywiście w tym całym zwariowanym opowiadaniu już na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że coś jest nie w porządku, ale nie było czasu na zastanawianie się, bo zresztą wszystko było bardzo prawdopodobne. Można było na przykład spodziewać się, i to niemal z pewnością, że, otrzymawszy list od Lamberta, Katierina Nikołajewna zajrzy najpierw do nas, do Tatiany Pawłowny, żeby wyjaśnić sprawę, ale mogło się również zdarzyć inaczej. Było rzeczą zupełnie możliwą, że Katierina Nikołajewna pojedzie od razu do nich - a wtedy będzie zgubiona! Trudno było co prawda uwierzyć, żeby tak, na pierwsze wezwanie, poszła do nieznanego sobie Lamberta, ale i to mogło się zdarzyć, jeśli, na przykład, zobaczyła kopię i przekonała się, że rzeczywiście list znajduje się w jego rękach! Co najgorsze, nie mieliśmy już ani chwili na rozważenie sytuacji.

- A Wiersiłow ją zamorduje! Jeżeli już poniżył się do spiskowania z Lambertem, to może ją zabić!

I ten sobowtór! - zawołałem.

-Ach, ten „sobowtór”! - załamywała ręce Tatiana Pawłowna. - No, nic tu nie wymyślimy! -

zdecydowała nagle. - Bierz czapkę, futro i marsz razem ze mną. Prowadź nas, paniusiu, do nich!

Ach, jak to daleko! Maria, Maria! Jeżeli Katierina Nikołajewna przyjdzie, powiedz, że zaraz wracam. Niech posiedzi i zaczeka na mnie, a gdyby nie chciała, to zamknij drzwi i zatrzymaj ją siłą. Powiedz, że ja tak kazałam! Sto rubli dostaniesz, jeżeli zrobisz, tak jak trzeba.

Wybiegliśmy na schody. Zdawało się, że to najlepsze, co mogliśmy zrobić, bo źródło niebezpieczeństwa znajdowało się w mieszkaniu Lamberta; a gdyby Katierina Nikołajewna, jak się tego należało spodziewać, przyjechała przed naszym powrotem, to Maria mogła ją zatrzymać. Ale Tatiana Pawłowna, już zawoławszy dorożkę, nagle zamieniła decyzję.

- Jedź sam z nią - rozkazała zostawiając mnie z Alfonsynką. -A tam, skonaj, jeżeli będzie trzeba, rozumiesz? A ja będę zaraz, za tobą, ale najpierw machnę się do niej, a nuż ją jeszcze zastanę; bo mów sobie, co chcesz, ale mnie się tu coś nie podoba!

I pobiegła do Katieriny Nikołajewny. Ja zaś z Alfonsynką pojechałem do Lamberta. Popędzałem dorożkarza i starałem się wypytać Alfonsynkę o szczegóły, która jednak odpowiadała okrzykami, a potem i łzami. Ale Bóg czuwał nad nami i ocalił nas, chociaż wszystko wisiało na włosku. Nie ujechaliśmy nawet czwartej części drogi, kiedy nagle za sobą usłyszałem krzyk. Ktoś wołał mnie po nazwisku. Obejrzałem się - doganiała nas dorożka, w której siedział Triszatow.

540

- Dokąd pan jedzie? - krzyczą! w strachu. - I to z nią, z tą Alfon-synką?

- Triszatow! - krzyknąłem mu. - Pan mówii prawdę! Stało się nieszczęście! Jadę do tego łajdaka Lamberta! Jedźmy razem, im nas będzie więcej, tym lepiej!

- Niech pan wraca, niech pan wraca, natychmiast! - krzyknął Triszatow. - Lambert kłamie, i Alfonsynka kłamie! Mnie posłał do pana ospowaty. Lamberta nie ma w domu, przed chwilą spotkałem go z Wiersiłowem... Pojechali do Tatiany Pawłowny... teraz już tam są...

Zatrzymałem dorożkarza i przeskoczyłem do dorożki Triszatowa. Do dziś nie rozumiem, jak mogłem się tak szybko zdecydować; ale od razu mu uwierzyłem i zdecydowałem się. Alfonsynka wrzasnęła przeraźliwie, ale zostawiliśmy ją samą. Nie wiem, czy pojechała za nami, czy wróciła do domu, bo już jej nigdy więcej nie widziałem.

W dorożce Triszatow, z trudem łapiąc powietrze, wytłumaczył mi, że tu knuje się jakaś intryga.

Lambert początkowo wszedł w porozumienie z ospowatym, ale ospowaty w ostatniej chwili zdradził go, i sam posłał Triszatowa do Tatiany Pawłowny z wiadomością, że Lambert i Alfonsynka kłamią. Triszatow dodał, że nic więcej nie wie, bo ospowaty nic więcej nie powiedział, ponieważ sam spieszył się gdzieś, i w ogóle wszystko było zrobione naprędce. „Zobaczyłem, że pan jedzie i pojechałem za panem” - ciągnął dalej Triszatow. Było rzeczą oczywistą, że ospowaty również wie wszystko, jeżeli posłał Triszatowa prosto do Tatiany Pawłowny; to stanowi jednak nową zagadkę.

Żeby jednak uniknąć plątaniny, muszę przed opisem katastrofy wytłumaczyć, o co naprawdę chodziło, i już po raz ostatni uprzedzę wypadki.

IV

Natychmiast po kradzieży listu Lambert wszedł w porozumienie z Wiersiłowem. O tym, jak Wiersiłow mógł współdziałać z takim Lambertem, nie chcę teraz mówić - odkładam to na później.

Najważniejszą rolę grał tu „sobowtór”. Ale, połączywszy się z Wiersiłowem, Lambert musiał teraz wyteńczyć cały swój spryt, żeby wciągnąć Katierinę Nikoła-jewnę w pułapkę. Wiersiłow oświadczył

mu, że ona na wezwanie nie przyjdzie. Kiedy jednak Lambert trzy dni temu spotkał mnie wieczorem na ulicy i kiedy, załamany, powiedziałem mu, że zwrócę list w mieszkaniu Tatiany Pawłowny i w jej obecności, natychmiast zorganizował szpie-541

gowanie domu Tatiany Pawłowny i przekupił Marię. Wręczył jej dwadzieścia rubli, a następnego dnia po dokonaniu kradzieży dokumentu odwiedził ją ponownie, zawarł ostateczną umowę i obiecał dwieście rubli, jeżeli mu wyświadczy pewną przysługę.

Dlatego właśnie Maria, usłyszawszy wtedy, że o wpół do dwunastej Katierina Nikołajewna będzie u Tatiany Pawłowny i że ja tam też będę, wybiegła natychmiast z domu, wzięła dorożkę i popędziła z tą informacją do Lamberta. Właśnie o tym miała donieść Lambertowi - na tym polegało całe jej zadanie. Właśnie wtedy u Lamberta był Wiersiłow i momentalnie obmyślił całą tę piekielną kombinację... Podobno obłąkani w pewnych chwilach okazują olbrzymi spryt.

Kombinacja polegała na tym, aby nas oboje, Tatianę Pawłownę i mnie, za wszelką cenę wyciągnąć z mieszkania, choćby na kwadrans, aż do przyjazdu Katieriny Nikołajewny. Potem mieli czekać na ulicy i skoro wyjdziemy, dostać się do mieszkania - Maria miała ich wpuścić. A potem spokojnie mieli zaczekać na Katierinę Nikołajewną. Alfonsynka zaś miała w tym czasie zatrzymywać nas wszelkimi sposobami, jak długo tylko będzie mogła. Natomiast Katierina Nikołajewna miała przybyć dokładnie o wpół do dwunastej, a więc znacznie wcześniej, niż my moglibyśmy wrócić.

(Rzecz jasna, Katierina Nikołajewna żadnego listu od Lamberta nie otrzymała i Alfonsynka oszukała nas. Całą tę historię wymyślił Wiersiłow, aż do najdrobniejszych szczegółów, a Alfonsynka odegrała jedynie rolę przerażonej zdrajczyni.) Oczywiście było to ryzykowne, ale obliczyli dokładnie: „Jeśli uda się - to dobrze, a jeśli się nie uda - nic strasznego, bo dokument pozostanie nadal w naszych rękach”. Ale udało się, zresztą nie mogło się nie udać, bo przecież musieliśmy koniecznie popędzić za Alfonsynka ze względu choćby tylko na jedną możliwość: „A jeżeli to wszystko prawda!” Powtarzam raz jeszcze: nie było czasu do namysłu.

Obaj z Triszatowem wpadliśmy do kuchni i zastaliśmy tam przerażoną Marię. Przyczyną jej przerażenia był rewolwer, który zobaczyła w ręku Lamberta, w chwili, gdy wpuszczała jego i Wiersiłowa do mieszkania. Chociaż przyjęła pieniądze, ale nie spodziewała się, że dojdzie do użycia rewolweru. Nie wiedziała, co począć i zaledwie mnie zobaczyła, rzuciła się do mnie:

- Generalowa jest, a oni przyszli z pistoletem.

- Triszatow, pan zostanie tu w kuchni! - zarządziłem. -Ale gdy tylko krzyknę, niech pan biegnie mi na pomoc.

Maria otworzyła drzwi do korytarzyka i zakradłem się do sypialni Tatiany Pawłowny; do tej samej komórki, w której raz już przypadkowo podsłuchiwałem. Siadłem na łóżku i natychmiast wyszukałem sobie szparę w portierze.

W pokoju był już szum i brzmiała głośna rozmowa. Zauważę, że Katierina Nikołajewna weszła dokładnie minutę po nich. Hałas i rozmowę słyszałem jeszcze w kuchni, to Lambert krzyczał. Ona siedziała na kanapie, a on stał przed nią i krzyczał jak głupi. Teraz już wiem, czemu tak głupio postępował: spieszył się, żeby go nie przyłapano. Potem wytłumaczę, czego to, mianowicie, bał się.

List trzymał w ręku. Ale Wiersiłowa nie było w pokoju. Byłem gotów rzucić się natychmiast na pomoc w razie jakiegoś niebezpieczeństwa. Podaję jedynie treść rozmowy: być może, że wiele rzeczy przekreśliłem, ale byłem nazbyt wzruszony, żeby móc wszystko dokładnie zapamiętać.

- Ten list jest wart trzydzieści tysięcy rubli, a pani się dziwi! Można by wziąć za niego sto tysięcy, a ja żądam tylko trzydziestu! - mówił Lambert bardzo głośno, w ogromnym podnieceniu.

Katierina Nikołajewna, chociaż przestraszona, spoglądała na niego z jakimś pogardliwym zdziwieniem.

- Widzę, że ktoś mnie zwabił w pułapkę, ale nic nie rozumiem - powiedziała. -Ale, jeśli istotnie ten list znajduje się w pańskim posiadaniu...

- Przecież widzi go pani! Może nie ten? Weksel na trzydzieści tysięcy i ani kopiejki mniej! -

przerwał jej Lambert.

- Nie mam tyle pieniędzy.

- Niech pani wystawi weksel - tu ma pani blankiet. Potem pani wyjdzie, postara się o pieniądze, a ja poczekam. Ale tydzień, nie dłużej... Przyniesie pani pieniądze, a wtedy ja pani zwrócę list i weksel.

- Pan mówi ze mną w dziwny sposób. Pan się myli. Jeżeli tylko złożę skargę, dzisiaj jeszcze odbiorą panu ten dokument.

- Skargę do kogo? A skandal, przecież my ten list pokażemy księciu! Gdzie mi go odbiorą? W mieszkaniu nie trzymam dokumentów. Pokażę go księciu za pośrednictwem trzeciej osoby.

Niech pani nie będzie uparta, niech mi pani dziękuje, że ja tylko tyle żądam. Ktoś inny być może zażądałby jeszcze jakiejś usługi... wie pani, jakiej. Żadna ładna kobietka nie odmówi w przykrych sytuacjach, w takich... hę, hę, hę! Vous etes belle, vous!*

* Jest pani piękna!

Katierina Nikołajewna raptownie podniosła się z kanapy, zaczerwieniła się i - plunęła mu w twarz.

Potem szybko chciała skierować się w stronę drzwi. A wtedy ten głupiec Lambert wydobył

rewolwer. Jako człowiek ograniczony wierzył ślepo w efekt dokumentu, a nie zorientował się, z kim ma do czynienia; właśnie dlatego, że, jak powiedziałem wyżej, uważał wszystkich za takich samych łajdaków jak on sam. Od pierwszych słów zirytował ją swoim chamstwem, a tymczasem, kto wie, czy nie zgodziłaby się na jakiś okup pieniężny.

-Ani kroku dalej! - zawył, rozwścieczony obelgą; chwycił ją za ramię i pokazał rewolwer -

oczywiście tylko dla efektu.

Katierina Nikołajewna krzyknęła i opadła na kanapę. Skoczyłem do pokoju. Ale w tej samej chwili zza drzwi prowadzących na korytarz wybiegł Wiersiłow (który tam stał i czekał). Nie zdążyłem mrugnąć, gdy wyrwał Lambertowi rewolwer i z całej siły uderzył go nim po głowie. Lambert zachwiał się i padł bez przytomności na podłogę. Krew bluznęła mu z rany na dywan.

Katierina Nikołajewna, ujrawszy Wiersiłowa, zbladła nagle jak płótno. Przez kilka chwil patrzyła na niego nieruchomo, w przerażeniu nie do opisanego, a potem nagle osunęła się zemdlna. Rzucił

się ku niej. Wszystko to teraz stoi mi przed oczyma. Pamiętam doskonale jego czerwoną, nieledwie purpurową twarz i nalane krwią oczy. Przypuszczam, że chociaż spostrzegł moją obecność w pokoju, ale jak gdyby mnie nie poznawał. Porwał ją leżącą bez przytomności, z nieprawdopodobną siłą podniósł na rękę jak piórko i zaczął bezmyślnie nosić po pokoju. Pokój był maleńki. Chodził z kąta w kąt, nie rozumiejąc widać, po co to robi. W tej chwili był całkowicie szalony. Patrzył ciągle na nią, na jej twarz. Biegałem za nim, ale obawiałem się, że użyje rewolweru, o którym po prostu zapomniałem, i który ciągle trzymał w prawej ręce, tuż koło jej głowy. Ale odepchnął mnie raz łokciem, drugi raz nogą. Chciałem krzyknąć na Triszatowa, ale bałem się rozdrażnić szaleńca.

Wreszcie rozsunałem portierę i zacząłem go błagać, aby ją położył na łóżku. Podeszedł do łóżka, położył ją, a sam stanął nad nią; może przez minutę wpatrywał się w leżącą, a potem nagle, przechyliwszy się, pocałował dwa razy w poblaskie wargi. O, zrozumiałem, że był to człowiek całkowicie pozbawiony rozumu. Nagle zamierzył się na nią rewolwerem, ale po chwili odwrócił

rewolwer i skierował lufę w jej twarz. Pochwyciłem go ze wszystkich sił za rękę i krzyknąłem na Triszatowa. Pamiętam, że obaj walczyliśmy z nim, ale zdołał wyrwać rękę i strzelił sobie w pierś.

Jak widać,

chciał zabić naprzód ją, a potem siebie. Ale kiedy nie pozwoliliśmy strzelić do niej, to skierował rewolwer prosto w swoje serce; na szczęście zdążyłem podbić rękę i kula trafiła go w ramię. W tej

samej chwili wpadła z krzykiem Tatiana Pawłowna. Wiersiłow leżał już na dywanie bez przytomności, obok Lamberta.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY ZAKOŃCZENIE

i

U

płynęło już pół roku od tej sceny i wiele się zmieniło, a ja rozpocząłem zupełnie nowe życie...

Zatem i ja muszę uwolnić czytelnika.

Najważniejszym zagadnieniem dla mnie i wtedy, i nawet znacznie później, było, w jaki sposób mógł Wiersiłow połączyć się z takim typem jak Lambert, i jaki miał w tym wszystkim cel. Powoli wyjaśniłem sobie to zagadnienie. Wiersiłow, moim zdaniem, wówczas, to znaczy w ciągu całego owego dnia i w przeddzień, nie mógł mieć żadnego określonego celu, a nawet, jak myślę, nie zastanawiał się wcale - był jedynie ogarnięty huraganem uczuć. Wykluczam rzeczywiste szaleństwo, tym bardziej, że dziś bynajmniej nie zdradza żadnych objawów obłąkania. Ale na

„sobowtóra” zgadzam się całkowicie. Co to jest właściwie „sobowtór”? Sobowtór, jak przynajmniej twierdzi pewien ekspert sądowy w jednej ze swych rozpraw lekarskich, którą później specjalnie przestudiowałem, jest niczym innym, jak tylko pierwszym stopniem poważnego rozstroju duszy, który może doprowadzić do tragedii. Zresztą, sam Wiersiłow, wtedy u mamy, wytłumaczył nam z okropną szczerością ówczesne „rozdwojenie” swoich uczuć. Ale muszę powtórzyć: cała ta scena u mamy, rozbicie ikony, wszystko to odbyło się pod wpływem sobowtóra.

A jednak nie mogę do dziś pozbyć się przeświadczenia, że w tym wszystkim zawarta była pewna złośliwa alegoria, pewna jakby nienawiść do uczuć tych kobiet, pewna niechęć do ich zasad i poglądów - i dlatego Wiersiłow wraz ze swoim sobowtórem rozbił ikonę: „Tak właśnie rozlecą się wasze marzenia”! Słowem, jeżeli nawet był w tym sobowtór, to obok niego był zwykły wybryk...

Ale wszystko to są jedynie moje domysły, na pewno twierdzić tego nie można.

Co prawda, mimo miłości do Katieriny Nikołajewny, odnosił się Wiersiłow z głęboką niewiarą i nieufnością do jej moralnej wartości.

546

Jestem pewien, że wtedy, za drzwiami, spodziewał się, że będzie płaszczyła się przed Lambertem.

Ale, jeżeli nawet spodziewał się, to - czy życzył sobie tego? Muszę znowu powtórzyć: jestem przekonany, że nic wtedy nie pragnął i w ogóle nie zastanawiał się. Miał po prostu chęć być przy tym, potem wypaść z ukrycia, powiedzieć jej coś, może nawet znieważyć ją, a może nawet zabić...

Wszystko to było możliwe, ale przychodząc z Lambertem nie wiedział, co się stanie. Dodam, że rewolwer był własnością Lamberta, a Wiersiłow przyszedł bez broni. Zobaczywszy zaś jej

szlachetną dumę, a przede wszystkim, nie mogąc ścierpieć, żeby taki łajdak jak Lambert jej groził, wyskoczył, - a potem już pomieszało mu się w głowie. Czy świadomie chciał ją zabić? Według mnie, nie zdawał sobie sprawy z tego, czego chce, ale zabiłby ją na pewno, gdybyśmy go nie chwycili za rękę.

Rana jego, jak się okazało, nie była śmiertelna i zagoiła się, ale leżał dość długo - oczywiście u mamy. Teraz, kiedy to piszę jest wiosna, połowa maja, cudowna pogoda i nasze okna są pootwierane. Mama siedzi przy nim, a on gładzi ją po twarzy i po włosach, i z rozrzewnieniem zagląda w oczy. O, z dawnego Wiersiłowa pozostała tylko połowa, i mamy on już nigdy nie porzuci, i już nigdy od niej nie ucieknie. Otrzymał nawet „dar łez”, jak powiedział niezapomniany Makar Iwanowicz w swej opowieści o kupcu. Mam wrażenie, że Wiersiłow doczeka późnych lat.

Wobec nas jest teraz prosty i szczery jak dziecko, zachowuje jednak umiar, hamuje się i nie mówi za wiele. Cała jego umysłowość i cały jego ustrój moralny pozostał bez zmiany, chociaż teraz silniej uwypukliły się idealistyczne skłonności jego duszy. Powiem wprost, że nigdy nie kochałem go tak jak teraz i żałuję bardzo, że nie mam ani czasu ani miejsca, żeby szerzej pomówić o nim.

Opowiem zresztą pewną historyjkę (a przytoczyć ich mógłbym wiele): do czasu wielkiego postu Wiersiłow już wyzdrowiał, a na szósty tydzień oświadczył, że chce pościć. Nie pościł już, jak myślę, chyba ze trzydzieści lat, a może nawet więcej. Mama była zadowolona: przygotowano postne jadlo, dość zresztą drogie i wyszukane. Słyszałem przez ścianę, jak nucił sobie w poniedziałek i we wtorek: „Oto zbliża się oblubieniec”, i zachwycał się melodią i wierszem. Przez te dwa dni mówił kilka razy bardzo pięknie o religii, ale we środę post nagle został przerwany. Coś go niespodziewanie rozdrażniło, jakiś „śmieszny kontrast”, jak się żartobliwie wyraził. Nie spodobało mu się coś w wyglądzie duchownego, czy w ceremoniach, ale ledwie wrócił, powiedział

nagle z cichym uśmiechem: „Moi kochani, ja bardzo kocham Boga, ale do tego - nie jestem 547

zdolny”. I tego samego dnia na obiad było już pieczone. Ale wiem, że mama jeszcze teraz siada często obok niego i wolno, z cichym uśmiechem, zaczyna mówić o najbardziej abstrakcyjnych sprawach. Teraz jakoś nagle ośmieliła się, ale jak to się stało, nie wiem. Siada obok niego i coś mu mówi, najczęściej szeptem. On słucha z uśmiechem, gładzi ją po włosach, całuje po rękach i pełnia szczęścia rozjaśnia jego twarz. Miewa niekiedy napady nieledwie histeryczne. Wtedy bierze jej fotografię, tę samą, którą całował owego wieczoru, przygląda się jej ze łzami, całuje ją, coś wspomina, woła nas wszystkich do siebie, ale mówi w takich chwilach niewiele...

O Katierinie Nikołajewnie jakby zapomniał; przez cały czas ani razu nie wymówił jej imienia. O

ślubie z mamą też nie było ani wzmianki. W lecie chcieliśmy wywieźć go za granicę, ale Tatiana Pawłowna odradziła, a i on sam też nie chciał. Lato spędzą gdzieś na wsi w powiecie petersburskim. Dodam jeszcze, że żyjemy wszyscy ze środków Tatiany Pawłownej. Jeszcze jedno: jest mi niesłychanie przykro, że pisząc niniejsze wspomnienia, pozwalałem sobie często traktować tego człowieka z góry i bez szacunku. Pisałem jednak, wczuwając się w mój stan i przedstawiając siebie takim, jakim byłem w tamtych chwilach. Natomiast skończywszy notatki i dopisawszy ostatni wiersz, poczułem, że wychowałem sam siebie, właśnie przy pomocy procesu wspominania i notowania. Obecnie nie apróbuję wielu rzeczy spośród tego, co napisałem, szczególnie tonu pewnych zdań i

stronic, ale nie chcę nic wykreślać i nie poprawię ani jednego słowa.

Powiedziałem, że Wiersiłow nie wspomina ani słowem o Katierinie Nikołajewnie, ale sądzę, że zupełnie się już wyleczył. O Katierinie Nikołajewnie rozmawiam tylko z Tatianą Pawłowna, ale i to w sekrecie. Katie-rina Nikołajewna bawi teraz za granicą; przed jej wyjazdem widziałem się z nią, byłem nawet u niej kilka razy. Zza granicy dostałem od niej dwa listy i odpowiedziałem jej.

Ale o treści naszych listów i naszych rozmów nie będę pisał: to jest już inna historia, zupełnie nowa historia i może nawet historia, która dopiero ma się stać. Nawet z Tatianą Pawłowna o pewnych rzeczach nie rozmawiam, ale dość o tym. Dodam tylko, że Katierina Nikołajewna nie wyszła za mąż i podróżuje w towarzystwie Pieliszczewów. Ojciec jej umarł i jest bogatą wdową. Teraz przebywa w Paryżu. Jej zerwanie z Bjoringiem odbyło się szybko i jakby automatycznie, to znaczy w sposób całkowicie naturalny. Zresztą opowiem o tym.

Tego ranka, kiedy odbyła się owa straszna scena, ospowaty, ten sam, do którego przeszli Triszatow i jego przyjaciel, zdążył zawiadomić Bjo-548

ringa o zamierzonym zamachu. Stało się to w sposób następujący: Lambert namówił ospowatego do współdziałania, następnie, po zdobyciu dzięki mojej głupocie dokumentu, wprowadził go we wszystkie szczegóły i wszystkie okoliczności przedsięwzięcia; a wreszcie zapoznał z ostatecznym punktem swego planu, to znaczy kombinacją wymyśloną przez Wier-siłowa w celu oszukania Tatiany Pawłowny. Ale w decydującym momencie ospowaty doszedł do wniosku, że sprawa jest zbyt poważna, że pachnie kryminałem, i że najrozsądniej będzie zdradzić współników. A przede wszystkim uważał, że wdzięczność Bjoringa jest warta więcej niż fantastyczny plan niezręcznego i zapalczywego Lamberta, i oszalałego z namiętności Wiersiłowa. Wszystko to opowiedział mi potem Triszatow. Nawiasem mówiąc, do dziś nie znam charakteru stosunków łączących Lamberta z ospowatym, i nie rozumiem, dlaczego Lambert nie mógł się bez niego obejść. Ale znacznie ciekawsze jest dla mnie pytanie, na co był Lambertowi potrzebny Wiersiłow, podczas gdy Lambert, mając w ręku dokument, mógł sobie doskonale dać radę bez niego. Odpowiedź jest teraz dla mnie jasna. Wiersiłow był mu potrzebny, po pierwsze, dlatego, że znał doskonale tamtejsze układy, a przede wszystkim, aby w razie jakiegoś alarmu lub niepowodzenia, można było na niego zwalić całą odpowiedzialność. W dodatku Wiersiłow nie żądał pieniędzy, dlatego Lambert uznał jego współdziałanie za rzecz nader pożądaną. Ale Bjoring nie zdążył wtedy na czas. Przybył dopiero około godziny po zajściu, kiedy mieszkanie Tatiany Pawłowny przedstawiało już zupełnie odmienny widok. Gdy Wiersiłow, brocząc krwią zwałił się na dywan, kilka minut potem podniósł

się i wstał Lambert, którego uważaliśmy za zabitego. Obejrzał się zdziwiony dokoła, szybko zorientował się w sytuacji, wyszedł do kuchni, tam włożył futro i znikł na zawsze. „Dokument”

zostawił na stole. Słyszałem, że tylko przez parę dni bolała go głowa, a cios rewolwerem oszołomił

go jedynie i zakrwawił, nie wyrządzając poważniejszej krzywdy. Triszatow pobiegł tymczasem po doktora, ale jeszcze przed nadejściem doktora Wiersiłow odzyskał przytomność; jeszcze przedtem Tatiana Pawłowna zdołała ocucić Katierinę Nikołajewną i odwieźć ją do domu. Tak, że kiedy przybył Bjoring, zastał u Tatiany Pawłowny jedynie mnie, doktora, rannego Wiersiłowa i mamę, która, chociaż chora, przybyła szalejąc z trwogi, a sprowadził ją znowu Triszatow. Bjoring obejrzał

nas ze zdumieniem i kiedy dowiedział się, że Katieriny Nikołajewny nie ma, natychmiast, nie mówiąc do nas ani słowa, pojechał do niej.

Był mocno zaniepokojony, gdyż widział jasno, że teraz nie ma prawie nadziei, by dało się uniknąć skandalu i rozgłosu. Wielkiego skandalu,

549

co prawda, nie było. Skończyło się na pogłoskach. Prawda, że nie udało się zataić wystrzału, ale to, co najważniejsze, istota rzeczy, rdzeń całej historii pozostał tajemnicą i śledztwo ustaliło jedynie, że niejaki W., człowiek blisko pięćdziesięcioletni, mający rodzinę, zakochał się, i szalejąc z namiętności, oświadczył się osobie godnej ze wszech miar szacunku, ale zupełnie nie podzielającej jego uczuć, i w napadzie szału targnął się na własne życie. Więcej nic nie wykryto i taka tylko wiadomość dostała się do gazet, bez nazwisk, jedynie z inicjałami. Wiem na przykład, że nawet Lambert nie miał z tego powodu żadnych przykrości. Mimo to jednak Bjoring przeraził się, gdyż znał całą prawdę. W dodatku otrzymał informacje o rozmowie Katieriny Nikołajewny z

zakochanym w niej Wiersiłowem dwa dni przed katastrofą. To go wytrąciło z równowagi i pozwolił sobie dość nieostroźnie zwrócić Katierinie Nikołajewnie uwagę, że teraz nie dziwi go, iż mogą się z nią dziać takie fantastyczne historie. Katierina Nikołajewna zerwała z nim momentalnie, bez gniewu, ale i bez wahania. Jej dawne uprzedzenie, jakoby małżeństwo z tym człowiekiem było szczytem rozsądku, rozwiało się. Być może, że już przedtem zrozumiała lepiej naturę Bjoringa, a może przeżyte ostatnio wzruszenia zmieniły nagle jej poglądy i uczucia. O tym jednak wolę milczeć. Dodam jedynie, że Lambert wyjechał do Moskwy i słyszałem, że go tam na czymś przyłapano. Triszatowa straciłem z oczu niemal bezpośrednio po tych zdarzeniach i chociaż bardzo się staram, nie mogę go odnaleźć. Triszatow znikł po śmierci swego przyjaciela, „le grand dadais”*, który zastrzelił się.

n

Wspomniałem o śmierci starego księcia Nikołaja Iwanowicza. Ten dobry, sympatyczny staruszek umarł wkrótce po tym zdarzeniu. Jednak nie bezpośrednio po nim, lecz po upływie miesiąca; umarł

w nocy, leżąc w łóżku, wskutek ataku nerwowego. Od tego dnia, który spędził w moim mieszkaniu, już go więcej nie widziałem. Mówiono, jakoby w ciągu tego miesiąca odzyskał

całkowicie rozsądek, jakoby nawet stał się surowy, nie lękał się już, nie płakał i nawet przez cały ten czas nie wspominał ani słowem Anny Andriejewny. Cała jego miłość zwróciła się teraz ku osobie córki. Pewnego dnia, jakiś tydzień przed jego śmiercią, Katierina

„wielkiego pieszczocha”

550

Nikołajewna, chcąc go rozerwać, zaproponowała, aby zaprosił mnie do siebie, ale staruszek zachmurzył się: fakt ten podaję bez komentarzy. Majątek księcia był, jak się okazało, w pełnym porządku, a oprócz tego staruszek pozostawił jeszcze duży kapitał. Blisko trzecią część tego kapitału

trzeba było, stosownie do testamentu Nikołaja Iwanowicza, rozdać jego niezliczonym chrześniakom, ale, co niezmiernie wszystkim zdziwiło, to fakt, że imię Anny Andriejewny nie było w ogóle wymienione w testamencie. Wiem jednak na pewno, że na kilka dni przed śmiercią staruszek wezwał córkę i swoich przyjaciół, Pieliszczewa i księcia W-go, i polecił Katierinie Nikołajewnie, by w razie jego śmierci wypłaciła sześćdziesiąt tysięcy rubli Annie Andriejewnie.

Wolę swoją wypowiedział jasno, krótko i węzłowato, bez żadnych uwag i bez podawania motywów. Po jego śmierci, kiedy sprawy spadkowe uporządkowano, Katierina Nikołajewna zawiadomiła Annę Andriejewną przez swego adwokata, że może w każdej chwili podjąć owe sześćdziesiąt tysięcy, ale Anna Andriejewna sucho i bez zbędnych słów odmówiła przyjęcia zapisu; mimo że świadkowie przekonywali ją, iż taka była rzeczywiście wola zmarłego. Pieniądze te wciąż leżą, czekając na podjęcie przez właścicielkę i Katierina Nikołajewna nie traci nadziei, że Anna Andriejewna zmieni decyzję. Do tego jednak nie dojdzie, mogę to powiedzieć z całą pewnością, ponieważ jestem teraz jednym z najlepszych znajomych i przyjaciół Anny Andriejewny. Odmowa jej wywołała pewien rozgłos i zaczęto o tym mówić. Jej ciotka, Fanariotowa, która początkowo zerwała z nią stosunki z powodu skandalu z porwaniem starego księcia, nagle zmieniła zdanie i po wyrzeczeniu się przez nią pieniędzy, uroczyście wyraziła jej swoje uznanie. Natomiast brat jej pokłócił się za to na nią ostatecznie. Ale chociaż bywam u Anny Andriejewny dość często, to jednak nie mogę powiedzieć, żebyśmy się sobie specjalnie ze wszystkiego zwierzali. O rzeczach dawnych nie rozmawiamy zupełnie: Anna Andriejewna przyjmuje mnie u siebie bardzo chętnie, ale rozmawia ze mną w sposób jakiś oderwany. Między innymi oświadczyła mi bardzo poważnie, że chce wstąpić do klasztoru. Zdarzyło się to niedawno, ale ja w to nie wierzę i uważam to jedynie za świadectwo rozgoryczenia.

Ale gorzkie, naprawdę gorzkie słowa muszę powiedzieć o siostrze mojej, Lizie. Och, jest naprawdę nieszczęśliwa; cóż znaczą moje wszystkie niepowodzenia wobec jej- okropnego losu! Zaczęło się od tego, że książe Siergiej Piotrowicz nie wyzdrowiał i nie doczekawszy się sądu, umarł w szpitalu, jeszcze przed zgonem księcia Nikołaja Iwanowicza:

551

Liza została sama, z dzieckiem w łonie. Nie płakała i była na pozór zupełnie spokojna, stała się cicha, pokorna i cała dawna żarliwość jej serca gdzieś nagle przepadła. Posłusznie pomagała mamie, opiekowała się chorym Andriejem Piotrowiczem, ale stała się milcząca, na nikogo, ani nawet na nic nie zwracała uwagi, jakby jej wszystko zobojętniało, i jakby nic jej nie łączyło z otoczeniem. Kiedy stan Wiersiłowa poprawił się, zaczęła spać całymi dniami. Przynosiłem jej książki, ale ich nie czytała: zaczęła okropnie chudnąć. Nie ośmieliłem się pocieszać jej, a chociaż często przychodziłem z tym zamiarem, nie mogłem jakoś zbliżyć się do niej i zresztą nie znajdowałem odpowiednich słów.

Trwało to aż do strasznego wypadku: Liza spadła ze schodów, choć nie było wysoko, wszystkiego z trzech stopni, ale poroniła i chorowała prawie całą zimę. Teraz już wstała z łóżka, ale zdrowie jej zostało na dłuższy czas nadwerężone. Jest jak dawniej milcząca i zamyślona, i tylko z mamą od czasu do czasu zamienia kilka zdań. Przez ten cały czas była cudowna, słoneczna pogoda wiosenna i ciągle przypominał mi się ten słoneczny poranek zeszłej jesieni, kiedyśmy szli razem ulicą, oboje pełni radości, nadziei i miłości dla siebie. Niestety, co nastąpiło później? Ja nie skarzę się, dla mnie nastąpiło nowe życie, ale ona! Przyszłość jej jest zagadką, a teraz nie mogę patrzeć na nią bez bólu.

Jednak udało mi się trzy tygodnie temu zainteresować ją wiadomością o Wasinie, który został nareszcie uniewinniony i wypuszczony na wolność. Ten rozsądny człowiek dał, jak mówią, szczegółowe wyjaśnienia i niezmiernie ciekawe informacje, które usprawiedliwiły go całkowicie w opinii ludzi, od których zależał cały jego los. A ów osławiony rękopis okazał się po prostu tłumaczeniem z francuskiego, rzecz można, materiałem, który Wasin zbierał wyłącznie dla siebie, mając zamiar napisać później na ten temat bardzo pożyteczny artykuł do gazety. Wasin wyjechał teraz do ...skiej guberni, a jego ojczym, Stiebielkow, siedzi nadal w więzieniu, przy czym sprawa jego, jak słyszałem, coraz bardziej się rozrasta i komplikuje. Liza wysłuchiwała wiadomości o Wasinie z dziwnym uśmiechem i powiedziała, że z nim musiało się tak stać. Ale była widocznie zadowolona, że zeznania nieboszczyka księcia Siergieja Pio-trowicza nie zaszkodziły Wasinowi. O

Diergaczowie zaś i o jego towarzyszach nie mam nic do powiedzenia.

Skończyłem. Być może niejeden czytelnik zapyta: a gdzie podziała się moja słynna „idea”, i cóż to jest to moje nowe, rozpoczynające się życie, o którym tak tajemniczo wspominam? Ale właśnie to nowe życie, ta nowa droga, która stanęła przede mną otworem - jest niczym innym,

552

tylko nową moją „idea”, tą samą zresztą, co i dawniej, ale już pod zupełnie inną postacią, tak że jej nawet poznać nie można! Ale to wszystko już do notatek moich wejść już nie może, bo to jest już zupełnie inna rzecz. Dawne życie skończyło się na zawsze, a nowe dopiero się zaczyna. Jedno tylko dodać muszę koniecznie: Tatiana Pawłowna, moja serdeczna i ukochana przyjaciółka, nalega stale, przypomina ledwie nie co dzień, żebym koniecznie wstąpił na uniwersytet. „Potem, kiedy skończysz naukę, wtedy będziesz mógł myśleć, co zechcesz, a teraz kończ.” Przyznam się, że rozmyślałam nieraz nad jej radami, ale jeszcze się nie zdecydowałam. Między innymi, oświadczyłam jej, że nawet nie mam teraz prawa uczyć się, bo muszę pracować, aby zapewnić utrzymanie mamie i Lizie; ale ona chce ten ciężar wziąć na siebie i twierdzi, że starczy jej pieniędzy aż do chwili, kiedy skończę uniwersytet. Zdecydowałam wreszcie, że poradzę się jakiegoś mądrego człowieka.

Rozejrzawszy się dokoła, wybrałam tego człowieka po starannym rozważeniu. Człowiek ten to Nikołaj Siemionowicz, mój dawny wychowawca w Moskwie, mąż Marii Iwanowny. Nie powiem, żebym tak bezwarunkowo potrzebował czyjejś rady, ale po prostu zachciało mi się koniecznie usłyszeć zdanie tego zupełnie dla mnie obcego, a nawet nieco zimnego egoisty, ale niewątpliwie mądrego człowieka. Posłałam mu cały mój rękopis, prosząc o tajemnicę, albowiem nie pokazywałam go jeszcze nikomu, przede wszystkim zaś Tatianie Pawłownie. Rękopis wrócił do mnie po dwóch tygodniach wraz z długim listem... Z tego listu przytoczę jedynie parę urywków, zawierających ogólny pogląd na całość sprawy i rodzaj rozjaśnienia. Przytaczam te urywki.

„...Lepiej nie mógł pan, niezapomniany Arkadiju Makarowiczu, wyzyskać swej chwilowej beczynności niż przez napisanie tych „notatek”! Dokonał pan, rzecz można, świadomego obrachunku ze swoich pierwszych i tak bardzo ryzykownych kroków na arenie życia. Jestem mocno przekonany, że przez uświadomienie i wyłożenie sobie tego wszystkiego - mógł pan pod wieloma względami, jak pan powiedział, sam siebie wychować. Rzecz oczywista, że na uwagi krytyczne w ścisłym znaczeniu tego słowa, nie pozwolę sobie. Nie mniej jednak przy każdej prawie stronicy nasuwa mi się jakaś myśl... Choćby na przykład to, że pan tak długo i uparcie przechowywał u siebie „dokument” - to jest rzecz wysoce charakterystyczna... Ale to jest tylko jedna uwaga na

553

sto, którą pozwoliłem sobie uczynić. I to również bardzo sobie cenię, że pan postanowił podzielić się ze mną i tylko ze mną, „tajemnicą swojej idei”, jak pan sam powiada. Ale prośbie pańskiej o opinię co do tej właśnie „idei” muszę stanowczo odmówić: po pierwsze jest to zbyt obszerne na list, po drugie - sam nie mam na to gotowej odpowiedzi i muszę to jeszcze przetrwać. Zaznaczę jedynie, że idea pańska wyróżnia się swoją oryginalnością, podczas gdy młodzież pokolenia współczesnego rzuca się przeważnie na idee nie stworzone samodzielnie, ale dane z góry, a zapas ich, nie jest nazbyt obfity i często skrywa niebezpieczeństwo. Pańska „idea” ustrzegła na przykład pana, przynajmniej na pewien czas, od idei takich panów Diergaczowów i spółki, niewątpliwie nie tak oryginalnych jak pańska. A zresztą, zgadzam się całkowicie z opinią czcigodnej Tatiany Pawłowny, której mimo że znałem osobiście, nie miałem jednak możliwości ocenić tak, jak na to zasługuje. Jej projekt co do wstąpienia pana na uniwersytet jest dla pana najlepszy. Wiedza i życie odsłonią, niewątpliwie, w ciągu trzech, czterech lat szersze horyzonty przed pańskim umysłem i pańskimi dążeniami, a jeżeli po skończeniu uniwersytetu zechce pan znowu zwrócić się do swojej idei - nic panu nie będzie w stanie przeszkodzić.

Teraz pozwoli pan, że ja sam, z własnej inicjatywy wyłożę panu otwarcie szereg myśli i wrażeń, zrodzonych w moim umyśle i w sercu w trakcie czytania owych tak szczerych „notatek” pańskich.

A więc, zgadzam się całkowicie z Andriejem Piotrowiczem, iż należałoby obawiać się o pana i o pańską samotną młodość. I takich młodzieńców jak pan jest wielu i zdolności ich, istotnie, grożą niebezpieczeństwem rozwinięcia się, albo w nikczemne lizusostwo, albo w skryte pragnienie nieporządku. Ale to pragnienie anarchii powstaje, prawdopodobnie, najczęściej na tle wewnętrznego pożądania ładu i „szlachetności” (używam pańskiego zwrotu) . Młodość zawsze jest czysta, już przez to samo, że - jest młodością. Być może, że w owych pierwszych

najwcześniejszych porywach zawiera się właśnie owe pragnienie ładu i poszukiwanie prawdy; i czyjaż to wina, że niektórzy młodzi ludzie doszukują się tego ładu i tej prawdy w rzeczach tak głupich i śmiesznych, iż jest wprost niezrozumiałe, jak można w coś podobnego wierzyć. Zauważę nawiasem, że niedawno, bo jeszcze w poprzednim pokoleniu, nie trzeba było się litować nad owymi interesującymi młodzieńcami, którzy w owym czasie kończyli zazwyczaj tym, że udawało im się dostać do wyższej, kulturalnej warstwy naszego społeczeństwa i stać się jej organiczną częścią. I jeśli nieraz, na początku swej drogi życiowej, zdawali sobie sprawę z braku porządku i

ści swej, że ich sytuacja rzuca na nich hańbiący cień, że brak im tradycji i pięknie wykończonych form; to stąd płynął nawet pewien pożytek, bo później już świadomie starali się to wszystko zdobyć i umieli to potem należycie ocenić. Teraz już jest trochę inaczej - dlatego mianowicie, że nie mają się do czego przyłączyć.

Wytłumaczę to pewnym porównaniem, a ściślej mówiąc upodobnieniem. Gdybym był

powieściopisarzem rosyjskim i gdybym miał talent, to na pewno wybrałbym bohaterów swoich spośród rosyjskiej szlachty rodowej, ponieważ tylko ten typ kulturalnych ludzi w Rosji tworzy choćby tylko pozór ładu i piękna, które są konieczne w każdej powieści, o ile ma uszlachetniająco oddziaływać na czytelnika. Mówię to zupełnie poważnie, chociaż sam nie jestem bynajmniej szlachcicem, o czym pan zresztą wie. Już Puszkina szkicował temat swoich przyszłych powieści w

„Podaniach rodziny rosyjskiej” i niech mi pan wierzy, że tam zawarte jest wszystko, co tylko mieliśmy pięknego, a przynajmniej wszystko, co miało jako tako wykończony kształt. Nie mówię tak dlatego, żebym był całkowicie przekonany, iż to piękno jest zupełnie słuszne i sprawiedliwe, ale tu na przykład posiadamy wykończone formy honoru i obowiązku, czego nigdzie indziej, w całej Rosji nie znajdziemy, czego nigdzie indziej nie tylko nie wytworzono, ale nawet nie zaczęto stwarzać. Mówię to jako człowiek spokojny i pragnący spokoju.

A więc, czy ten honor jest dobry i czy ten obowiązek jest słuszny - to inna kwestia. Ważniejszy jest dla mnie fakt istnienia wykończonych form i pewnego ładu, i to nie narzuconego z góry, ale wytworzonego przez tych właśnie ludzi, przez ich życie. Mój Boże, jest przecież jasne, że najważniejszą rzeczą dla nas to mieć jako taki porządek i niechby nawet nie był idealny, byle był

swój własny! W tym właśnie tkwiła cała nadzieja iż, że tak powiem, na harmonijnych i ustalonych kształtach oko nasze będzie mogło odpocząć od widoku tego ciągłego burzenia, od widoku latających na wszystkie strony odłamków, śmiecia i brudu, z których, mimo że już dwieście lat minęło, nie zdołano nic trwałego zbudować.

Niech mnie pan nie posądza o słowianofilstwo. Jest to po prostu mizantropia, bo mi na sercu ciężko! Teraz, od pewnego czasu, możemy zaobserwować zjawisko biegunowo przeciwne. Już nie śmiecie przyrastają do wyższej warstwy ludzi, ale przeciwnie, kawałki, grudy odrywają się od tego pięknego typu człowieka i z radosną skwapliwością zbijają się w jedną masę z tymi, co mącą, zazdroszczą i burzą... I nie jest bynajmniej wypadkiem odosobnionym, że nawet ojcowie i głowy kultural-555

nych ongiś rodzin drwią sami z tego, w co chciałyby jeszcze wierzyć ich dzieci. Nie dość na tym, z rozkoszą odsłaniają przed dziećmi pożądanie prawa wyrzeczenia się honoru, które nie wiadomo na jakiej podstawie udowodnili. Nie mam tu na myśli, kochany Arkadiju Makarowiczu, prawdziwych postępowców, a tylko ową zbieraninę, która jak się okaże, jest niezliczona, o której można powiedzieć: „Poskrob Rosjanina, a oskrobiesz się Tatarą”. I niech mi pan wierzy, że prawdziwych liberałów i szlachetnych miłośników ludzkości nie mamy bynajmniej tak wielu, jakby to się nam zdawało. Ale to jest filozofia, wracajmy do naszego fikcyjnego powieściopisarza. Sytuacja jego byłaby wobec tego zupełnie jasna: nie mógłby on tworzyć nic poza powieścią historyczną, bo w

naszych czasach typów pięknych już nie ma, a jeżeli nawet tułają się gdzieś jakieś resztki, to i one, jak głosi panująca obecnie opinia, utraciły swe dawne piękno. O, i historyczna powieść może dać nam sposobność odtwarzania mnóstwa miłych i przyjemnych szczegółów! Można nawet porwać czytelnika do tego stopnia, że gotów będzie wziąć obraz historyczny za coś możliwego jeszcze dzisiaj. Utwór tego rodzaju, wykonany z talentem należałby już nie tyle do literatury rosyjskiej, ile do historii. Byłby to artystycznie wykończony obraz mirażu rosyjskiego, który wszakże istniał

naprawdę, póki nie odkryto, że to miraż. Wnuk tych bohaterów, których podobizny widzimy na obrazie, odtwarzającym rodzinę rosyjską ze średnio-wyższej sfery kulturalnej - ów potomek takich przodków nie mógłby zostać odtworzony w swoim współczesnym typie inaczej, niż jako mizantrop, samolub i człowiek smutny. Powinien nawet ukazać się w postaci jakiegoś dziwaka, w którym by od pierwszego spojrzenia czytelnik mógł poznać człowieka pokonanego, a potem przekonać się, że jest to istotnie człowiek pokonany. Jeszcze trochę, a zniknie nawet ów wnuk mizantrop i zjawią się nowe twarze, teraz jeszcze nieznanne i nowy miraż, ale - jakie to będą twarze?

Jeżeli brzydkie, to powieść rosyjska zostaje skazana na zagładę. Ale, niestety! Czyliż tylko powieść zostanie skazana na zagładę?

Żeby nie szukać daleko, uciekam się do rękopisu pańskiego. Niech pan weźmie dla przykładu rodzinę pana Wiersiłowa (pozwoli pan, że tym razem będę już całkowicie szczery). Po pierwsze, na temat samego Andrieja Piotrowicza nie chcę się rozpisywać, ale przecież jest jednym z ojców rodziny. Jest szlachcicem z wielce starożytnego rodu, a jednocześnie paryskim komunardem. Jest prawdziwym poetą, kocha Rosję, a jednocześnie - odrzuca ją całkowicie. Nie ma żadnej religii, ale gotów jest nieledwie umrzeć za coś nieokreślonego, co nawet nie ma nazwy,

556

w co jednak namiętnie wierzy, tak jak mnóstwo Rosjan - reformatorów europejskich z okresu petersburskiego historii Rosji. Ale dość już o Wier-siłowie. Weźmy teraz jego legalną rodzinę; o synu jego nie chcę nawet mówić, zresztą nie wart jest tego zaszczytu. Ludzie, umiejący patrzeć, wiedzą z góry, do czego dochodzą u nas podobni hultaje i do czego innych potrafią pociągnąć za sobą. Ale oto jego córka, Anna Andriejew-na - wszakże to jest typ panny z charakterem. Postać na miarę matki przeoryszki Mitrofanii - nie chcę powiedzieć, że czeka ją przyszłość kryminalna, bo to byłoby już niesprawiedliwe z mojej strony. Jeżeli teraz pan, Arkadiju Makarowiczu, zechce oświadczyć mi, że rodzina taka jest jedynie zjawiskiem przypadkowym, to będę niezmiernie uradowany. Ale czyż nie będzie raczej słuszniejszy wniosek, że już mnóstwo takich, posiadających niewątpliwą tradycję, rodzin rosyjskich, przekształca się masowo w rodziny przypadkowe i miesza się z nimi w ogólnym nieładzie i chaosie. Typ takiej rodziny przypadkowej ukazuje mi poniekąd pan również w swoim rękopisie. Tak, Arkadiju Makarowiczu, jest pan członkiem rodziny przypadkowej, w przeciwieństwie do naszego niedawnego jeszcze typu rodowego, którego dzieciństwo i młodość tak się różniły od pańskich.

Przyznam się, że nie chciałbym pisać powieści o bohaterze wziętym z rodziny przypadkowej. Praca ta jest niewdzięczna i nie będzie miała pięknych form. A przy tym, wszystkie te typy są jeszcze, bądź co bądź w stanie płynnym, dlatego nie mogą być wykończone artystycznie. Autor naraża się na błędy, przesadę, niedopatrzanie. W każdym razie - trzeba by było wiele rzeczy odgadywać. Ale cóż ma

począć pisarz, któremu nie wystarczy tylko powieść historyczna? Zgadywać i... mylić się.

Takie „notatki”, jak pańskie, mogą, jak mi się zdaje, posłużyć jako materiał do przyszłego dzieła artystycznego, do przyszłego obrazu epoki chaotycznej, ale już minionej. Kiedy minie namiętność dnia dzisiejszego i nadejdzie przyszłość, wtedy przyszły artysta znajdzie nawet formę dla odtworzenia minionego bezładu i chaosu. A wtedy właśnie przydadzą się takie „notatki” jak pańskie - byleby tylko były szczere. Mimo swej chaotyczności i przypadkowości dostarczą niezmiernie cennego materiału. Dochowają się przynajmniej niektóre wiernie oddane rysy, z których można się będzie domyślać, co ukrywało się w duszy niejednego młodzika owych niespokojnych czasów. Rzecz to nie jest błaha, bo z młodzików powstają pokolenia...”

KONIEC

557

Szatan - ukojenie w nicości, w wiecznej śmierci.

Nie każdy człowiek może obrażać drugiego człowieka.

Cóż z tego, że jestem podły i wstrętny, prawda i beze mnie jest prawdą.

Zawiść uśmierca każdego człowieka, zawiść niesie w sobie śmierć.

Łajdaków jest wielu, a ludzi mało. Ludzie odchodzą, łajdacy zostają.

Im człowiek ma więcej rozumu, tym bliższy jest Boga.

Nie pragnij być lepszym od innych, najpierw bądź samym sobą. x Świat trzeba zmieniać, rzecz jednak w tym, że zacząć trzeba od siebie.

Nieszczęścia Bóg zsyla.

Są one również pozytywne i to jeszcze jak.

Bez nieszczęścia i szczęścia by nie było.

Jeśli by nie było nieszczęść,

nie warto byłoby żyć.